

Marian Brandys
Generał Arbus

Tom

Całość w tomach

Polski Związek Niewidomych
Zakład Wydawnictw i Nagrań
Warszawa 1990

Tłoczono pismem punktowym dla
niewidomych
w Drukarni PZN,
Warszawa, ul. Konwiktorska 9
Pap. kart. 140 g kl. III_Ba1

Przedruk z wydawnictwa
"Iskry", Warszawa 1988

Pisał R. Sitarczuk
Korekty dokonały:
U. Maksimowicz
i K. Kruk
Adamowi

Od autorytetu do autorytetu

I

Właśnie skończyłem czytać
obszerną, doskonale
udokumentowaną biografię
generała Józefa Zajączka pióra
Jadwigi Nadziei. Dociekliwa
historyczka strawiła znaczną
część życia na gromadzeniu

wszystkiego, co kiedykolwiek
napisano bądź powiedziano o
smutnej pamięci
księciu_namiestniku kongresowego
Królestwa Polskiego. Wskutek
przeładowania drobiazgową
faktografią, zwłaszcza z zakresu
wojskowości, książka pani
Nadziei jest nieco trudna w
czytaniu, ale pokazany
wszechstronnie Zajacek wyłania
się z niej jak żywy. I ten
"napoleoński" - najlepiej znany
z ołówkowego portretu
Dutertre'a, skreślonego z natury
podczas wyprawy egipskiej -
wysoki, postawny, o nieufnym,
odpychającym wyrazie twarzy,

generał rewolucyjnej Francji,
przepasany trójbarwną szarfą, w
dwurożnym francuskim kapeluszu z
piórami, tak jakoś osadzonym na
głowie, że sprawia wrażenie
raczej czapy polskiego
szlachciury; i drugi Zajacek -
"kongresowy" - starszy o lat
trzydzieści beznogi inwalida,
postukujący kulami, rozczulająco
intymny w domowym pikowanym
kaftaniku, uśmiechający się
dobrodusznie pod koafiurą
misternie trefionych loczków.
Takim widywał go Kajetan
Kozmian, kiedy składał mu wizyty
w ostatnich latach jego życia.

W burzliwej, pełnej
gwałtownych wstrząsów i
zakrętów, a w ostatecznych
wyrazie zdecydowanie ponurej
biografii Józefa Zajaczka
osobliwe jest to, że co
kilkanaście stron natrafia się
w niej na elementy wręcz
humorystyczne. Poczynając od
nazwiska Zajacek herbu Świnka!
Trudno by było wymyślić dla
nielubianego prominenta nazwisko
bardziej ośmieszające, bardziej
wystawiające na sztych, bardziej
prowokujące do wszelkiego
rodzaju złośliwości:

kalamburów, dowcipów, ataków satyrycznych. Współcześni nie przeoczyli tej okazji: wykorzystywali ją aż do przesytu. Przez całe życie nękały Zajączka niewybredne żarty z jego nazwiska. Kto wie, czy nie one właśnie przyczyniły się do owego nieufnego, odpychającego wyrazu twarzy, uwiecznionego na portrecie Dutertre'a?

Kpiny ze "zwierzęcego" nazwiska nie ustawały nawet wówczas, kiedy zajęło ono zaszczytne miejsce na paryskim Łuku Tryumfalnym, w poczcie najwybitniejszych dowódców wojen napoleońskich, ani wtedy, gdy - uświetnione tytułem książęcym i godnością wicekróla - zaległo posępnym cieniem nad satelickim

państewkiem polskim, utworzonym przez kongres wiedeński. Im wyżej właściciel ośmieszzonego nazwiska wspinał się w hierarchii społecznej, tym zacieklej go atakowano. W złośliwych napaściach na "zajączka, z którego car zrobił królika", współdziałali ramię w ramię: anonimowi autorzy ulicznych wierszy ulotnych i najwybitniejsi poeci polskiego Oświecenia, na czele z Julianem Ursynem Niemcewiczem. Narzuconego namiestnika wyszydzano na wsi i w mieście, w koszarach i na uniwersytecie, w trzeciorzędnych traktierniach i najwykwintniejszych salonach stolicy. W satyrycznych wierszykach szarpano go bez litości, nieraz w niezgodzie z prawdą i niesprawiedliwie. Nawiązując do nazwiska, pomawiano go o tchórzostwo, nawiązując do herbu - o rozpustę, chociaż w życiu nie był ani tchórzem, ani rozpustnikiem. Ale prominent,

który raz przepadł w opinii publicznej, nie może liczyć u rodaków na litość i sprawiedliwość.

Oto jest sternik nieszczęsnego kraju: @ zajaczek z ducha, świnka z obyczaju... @

Ale nie tylko nazwisko sprawia, że w biografii Zajączka narodowy dramat co chwila ociera się o cyrkową groteskę. Właściciel śmiesznego nazwiska miał jeszcze prócz niego szczególny dar wywoływania niezamierzonych efektów komicznych swoimi uczynkami i zachowaniem. Już jego pierwszemu występowi na scenie publicznej towarzyszył gromki śmiech współczesnych.

Zimą roku 1770 zjechało do Paryża poselstwo Generalności barskiej, aby domagać się od francuskich sprzymierzeńców

wsparcia dla upadającej konfederacji. W świcie posła Michała Wielhorskiego znalazł się, jako sekretarz (z protekcji Zamoyskich) 18-letni oficerek, który dwa lata wcześniej doskoczył do konfederacji z królewskiej załogi Kamieńca Podolskiego. Młodziutki Zajaczek nie miał w Paryżu zbyt wielu zajęć służbowych, mógł więc do woli wydeptywać bruki "stolicy Europy", chłonąc głodnymi oczami różne miejscowe cuda. Zwiedzając Luwr natknął się na posąg Wenus Medycejskiej. Piękność i skromny wdzięk pogańskiej bogini tak go oczarowały, że bez wahania uznał ją za Matkę Boską i - nie zważając na otoczenie, runął przed nią na kolana. Takie przy tym wybijał pokłony, że - jak odnotował świadek zajścia - "aż mu peruka spadła".

Zabawna gafa polskiego

aspiranta dyplomatycznego musiała się odbić szerokim echem, skoro dochowały się o niej relacje pamiętnikarskie. I dobrze się stało, bo w tej błażej historyjce jest jakby zapowiedź i skrót wszystkich przedziwnych meandrów kariery życiowej przyszłego księcia namiestnika. Cały życiorys Józefa Zajączka herbu Świnka to nieprzerwane pasmo oczarowań różnego rodzaju i różnego kalibru autorytetami. Przed każdym od razu wali się na kolana, przed każdym wybija pokłony aż do spadnięcia peruki (oczywiście w przerośni, bo później peruki już nie nosił). Potem następuje odkrycie omyłki lub zmierzch autorytetu z jakichś innych względów i... niemal natychmiastowy przeskok w zachwycenie autorytetem następnym, będącym najczęściej krańcowym przeciwieństwem poprzedniego.

Pierwszą odnotowaną przez kronikarzy wielką fascynacją Zajączka, jeśli nie liczyć

wspomnianej Wenus Medycejskiej, był bohater konfederacji barskiej Kazimierz Pułaski. Dwaj uchodźcy barscy spotkali się w Paryżu w początkach roku 1773, w tym czasie mniej więcej, kiedy znikczemiały sejm warszawski zatwierdzał pierwszy rozbiór Polski. Przyjaźnienie się wtedy z Pułaskim nie było wygodne ani bezpieczne nawet w Paryżu. Za przyszłym bohaterem dwóch kontynentów wlokła się anatema gardłowych oskarżeń. Gdyby nie uciekł był na czas z Polski, historia Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej stałaby się uboższa o jednego z głównych bohaterów wojny o niepodległość. Inspiratorowi porwania przez konfederatów

króla Stanisława Augusta
wytoczono w Warszawie proces o
najcięższą zbrodnię epoki:
królobójstwo. Trybunał sejmowy
pod przewodnictwem osławionego
prześladowcy Rejtana, Adama
Ponińskiego, skazał zaocznie
Pułaskiego na "ucięcie głowy i
prawej ręki, ćwiartowanie i
spalenie ciała, którego popiół
miał być na wiatr rzucony". Za
granicą tropiły go wywiady
mocarstw zaborczych. Władze
burbońskiej Francji również nie
zamierzały pieścić się z
"królobójcą", musiał się ukrywać
przed policją pod przybranym
nazwiskiem. Niechętni mu także
byli umiarkowani przywódcy
emigracji konfederackiej - od
początku przeciwni pomysłowi
porwania króla. Biorąc to
wszystko pod uwagę, trzeba
przyznać, że oczarowanie
Pułaskim było ze strony Zajączka
uczuciem najzupełniej
bezinteresownym, czego o
późniejszych jego fascynacjach
powiedzieć się już nie da. Ale
"pana Romera" (pod takim
kryptonimem ukrywał się Pułaski)
wielbił szczerze i całym sercem,
bez żadnych rachub na karierę
czy inne korzyści materialne.

Przyjaźń z Pułaskim wymagała
ofiary. Bohater konfederacji
barskiej nie uważał walki z
rozbiornymi Polakami za skończoną.
Nie mogąc liczyć na posłuch w
tej sprawie we Francji, odwołał
się do drugiego sprzymierzeńca
konfederacji: Turcji, która w tym
czasie prowadziła wojnę z
cesarstwem rosyjskim i pełnym
głosem domagała się naprawienia
krzywd wyrządzonych Polsce.

Zajączek, chociaż zdążył się
już zadomowić w Paryżu, nie
zawiodł przyjaciela i wyjechał
razem z nim na Wschód, aby
dobić się u boku Turcji o

sprawiedliwość dla Polski. Latem 1774 roku pisał z tureckiego frontu do znajomych we Francji:

"Ja mego drogiego Romera nie opuszczę nigdy i jestem tak dumny z tego postanowienia, że gotów jestem ponowić je w każdej chwili. Cóż może być słodsze, jak oddać się istocie godnej całej naszej przyjaźni, godnej uwielbienia całego naszego świata, dzielić jej nieszczęścia, łagodzić cierpienia. To, że jestem użyteczny człowiekowi, opuszczonemu jakby przez całe jestestwo, sprawia mi rozkosz większą, niż można sobie wyobrazić; gdy o tem pomyślę, własne cierpienia odczuwam jako coś drogiego. (...) Rozmawiamy tu o miłości Ojczyzny i o swobodzie, żyjącej już tylko w sercach niewielu obywateli. Z żalem wspominamy męstwo dawnych naszych ziomków, oplakując podłość współczesnych. W nieszczęściu można się nauczyć filozofować."

Paromiesięczne perypetie dwóch barskich przyjaciół - znane w niektórych szczegółach z barwnych relacji listowych Zajączka - wystarczyłyby z pewnością na scenariusz pasjonującego filmu przygodowo_historycznego. Niestety, zabrakło im happy

endu. Turcja wojnę z Rosją przegrała i w lipcu 1774 roku musiała podpisać upokarzający traktat, w którym nie wspomniano już ani słowem o krzywdach Polski. Przestraszone władze tureckie wydały barskim rozbitkom nakaz opuszczenia państwa ottomańskiego w ciągu czterech tygodni. Ale dla nich i ten krótki termin był za długi, gdyż wywiad zwycięzców wpadł już na trop niebezpiecznego

"królobójcy" polskiego. W wielkim pośpiechu wsiedli na statek kupiecki płynący do Francji i dzięki przychylnym wiatrom udało im się ująć przed wysłanymi w pogoń okrętami rosyjskimi.

W październiku 1774 roku wylądowali w Marsylii, na gościnnej ziemi francuskiej. Ale w niedługi czas potem, w tejże Marsylii, drogi życiowe przyjaciół rozeszły się. Kazimierz Pułaski - ożywiony wiarą, że sprawa polska rozstrzyga się wszędzie tam, gdzie walczą o wolność - wyruszył za ocean, aby włączyć się w wojnę o niepodległość młodego państwa amerykańskiego. 22-letni Józef Zajączek - wbrew niedawnym zapewnieniom, że nie opuści nigdy przyjaciela - nie mógł się jakoś zdecydować na rolę bohatera dwóch kontynentów i pozostał w Marsylii, dzięki czemu dzisiejsi uczniowie szkół amerykańskich nie muszą sobie wyłamywać języków nad zniekształcaniem jego, i tak ośmieszonego, nazwiska. Z ówczesnych okoliczności ustalonych przez historyków zdaje się wynikać, że główną przyczyną odstępstwa Zajączka od uwielbianego autorytetu było oczarowanie kolejnym autorytetem. Przedmiotem nowej fascynacji został przebywający wówczas w Marsylii młody magnat litewsko_polski, Kazimierz Nestor Sapieha, syn

wieloletniej egerii Stanisława Augusta, Elżbiety z Branickich Sapieżyny, a siostrzeniec jednego z głównych pogromców konfederacji barskiej, hetmana wielkiego koronnego, Franciszka Ksawerego Branickiego. Dla uspokojenia sumienia wobec zdradzonego przyjaciela Zajączek

jeszcze w czasie pobytu w Marsylii napisał po francusku i natychmiast opublikował (zapewne na koszt Sapiehy) dzieło biograficzne "Détail des opérations militaires du comte Pułaski par le comte Zajączek", wysławiające cnoty i męstwo porzuconego przyjaciela. Warto zauważyć, że przy okazji tego debiutu pisarskiego młody autor uzurpował sobie z rozpędu tytuł hrabiowski.

Przyszły książę Królestwa Polskiego niemal od kolebki miał ciągoty do arystokracji. Dzieciństwo i wczesna młodość upłynęły mu u magnackiej klamki. Wychowywał się na dworze ordynatów Zamoyskich, u których ojciec jego, Antoni Zajączek, dowodził pułkiem dworskich kozaków. Zamoyscy zainteresowali się inteligentnym synem dworzanina i zapewnili mu wykształcenie, o jakim marzyć nie mogli inni synowie rodzin drobnoszlacheckich. Dzięki Zamoyskim nauczył się wcześniej francuskiego, ich protekcji zawdzięczał wyjazd w misji dyplomatycznej do Francji. W wyższe sfery Paryża wprowadzał go inny magnat, Michał Wielhorski, noszący tytuł dworski Wielkiego Kuchmistrza Litewskiego. Podczas peregrynacji tureckich wspierał go opieką i pieniędzmi trzeci magnat: osławiony Karol Radziwiłł "Panie Kochanku". Nie było więc w zasadzie nic zaskakującego w tym, że od uwielbienia dla radykalnego "królobójcy" Pułaskiego przeczucił się bez większych

oporów w adorację związanego z dworem królewskim, czwartego magnata, Sapiehy.

Fascynacja nowym autorytetem nie była już tak bezinteresowna

jak poprzednia. "Pobierający nauki" we Francji, młody książę był bardzo ustosunkowany i bardzo bogaty. Zajączek korzystał z jednego i drugiego. Dzięki swym stosunkom na dworze wersalskim Sapieha uzyskał dla przyjaciela rzecz dla cudziemca niemal nieosiągalną: stopień podporucznika (wprawdzie bez gaży) w elitarnym pułku huzarów "Jego Arcychrześcijańskiej Mości" króla Francji. Po raz pierwszy (ale nie ostatni) wdział Zajączek na siebie mundur francuski. W dwadzieścia lat później wdzieje go powtórnie i tak się do niego przyzwyczai, że nie zechce go zamienić nawet na mundur generała odrodzonego wojska polskiego. Na razie mundur francuski ułatwiał mu pobyt w Paryżu, ale nie zapewniał najskromniejszego nawet utrzymania. Wspaniałomyślny Sapieha wypłacał faworytowi apanaże z własnej kasy.

Prawie przez rok brylował Zajączek w Paryżu. "Przystojny, pięknie ufryzowany, najstaranniejszy w ubiorze, szarmancki dla kobiet" - szybko odnalazł dla siebie miejsce w wielkim świecie "stolicy Europy". Przyjaźń z Sapieha otwierała przed nim drzwi najbardziej ekskluzywnych domów i ułatwiała zawieranie znajomości, które w przyszłości miały mu się bardzo przydać. Niezależnie od sukcesów towarzyskich wzbogacał się intelektualnie, chłonąc nowinki filozoficzne, zapowiadające zbliżanie się czasu wielkich przemian społecznych. Ta rewolucyjna edukacja również odegra niebagatelną rolę w jego późniejszych losach.

Przyjemne i urozmaicone życie

na koszt Sapiehy nie mogło
jednak ciągnąć się w
nieskończoność. Jesienią 1775
roku Zajączek, rad nierad,
zdecydował się na powrót do
okrojonej ojczyzny. A że nie
czekała tam na niego żadna
ciepła posadka, opatrzościowy
Sapieha dopomógł i tym razem.
Dał mu list do swej matki z
gorącą prośbą o polecenie
Zajączka względem jej potężnego
brata, hetmana Branickiego.

"Od wyjazdu mojego z Warszawy
- pisał w liście młody książę -
jeszczem dotąd nie ośmielił się
nikogo rekomdować kochana matko
dobrodziejko, pomimo że wiele
osób mnie o to prosiło. Ten raz
pierwszy ośmielam się list dać
panu Zajączkowi, jak najmocniej
go J. O. W. X. Mości Dobr.
zalecając, abyś za nim do pana
hetmana instancją wniosła i
placować go u niego raczyła.
Charakter jego dobrze mi znany,
ma wiele rozgarnienia, prowadzi
się najwyborniej i bardzo
odważny. Sytuacja jego nie
pozwoliła mu nabyć wiadomości
biegłemu żołnierzowi
potrzebnych, ale przy dobrych
chęciach dojdzie do tego. Ma
wszystko, co dobremu kawaleryi
oficerowi potrzebne; zdaje mi
się, że W. X. Mość uznasz w nim
ton bardzo dobry i nader
przyzwoitą postawę. W Paryżu się
bardzo cicho i dobrze sprawował,
obce kraje niezmiernie go
uformowały i odjęły mu ten
sposób myślenia niski i
poniżający, właściwy naszej
drobnej szlachcie, nie
natchnąwszy go wszakże
niepotrzebną dumą (...)
Odpowiadam za jego dobre
prowadzenie się, za wierność
jego i pojętność."

Wręczając Zajączkowi swój list
Kazimierz Nestor Sapieha nie
przeczuwał, jak bardzo zaważy on
na życiu jego pupila, a już na
pewno przez myśl mu nie

przeszło, że dalsze konsekwencje tej prywatnej rekomendacji odcisną piętno także na historii porozbiorowej Polski.

Z listem Sapieżyńskim w zanadrzu 23-letni Zajączek powrócił tedy na ojczyznę łono. A że gorąca rekomendacja do Branickiego natychmiast poskutkowała - z całym oddaniem, na jakie było go stać - a w tym zakresie stać go było na wiele - podporządkował się następnemu z kolei autorytetowi, wyznaczonemu przez szczęśliwy (a raczej nieszczęśliwy) zbieg okoliczności.

Tym razem nie była to krótkotrwała fascynacja jak w wypadku Pułaskiego i Sapiehy. Zauroczenie hetmanem Branickim miało trwać kilkanaście lat. Przez cały ten czas pan hetman był dla swego podopiecznego nie tylko najwyższym autorytetem w dziedzinie wojskowości i polityki, lecz również przedmiotem bezkrytycznego uwielbienia jako wzór nieomylny postępowania moralnego, etycznego i obyczajowego.

Biedny Zajączek! Po przejściu przez taką szkołę, nie miał już żadnych szans na to, żeby stać się kiedyś ulubionym bohaterem narodowym Polaków. Ze wszystkich ówczesnych panów polskich hetman Branicki chyba najmniej się nadawał do wdrażania młodych ludzi w cnoty patriotyczne i obywatelskie, wielbione później przez potomnych. Nawet na tle ogólnego rozkładu moralnego i obyczajowego chylącej się do upadku Rzeczypospolitej hetman wielki koronny Franciszek Ksawery Korczak-Branicki rysuje się jako monstrum zupełnie wyjątkowe. Nie darmo Wyspiański wyznaczył mu tak poczesne miejsce w korowodzie swoich weselnych upiórów ("Hetmaniłeś ty, hetmanie, chocia byłeś łotr (...), braliśta pieniążek

moskieski, hej, hetmanie,

hetmanie Branecki!...").

W nowym protektorze Zajączka wszystko było jakieś podejrzane i dwuznaczne. Nawet nazwisko. Wywodził się ze średnioszlacheckiej rodziny Korczak_Branickich, ale stugębna fama (uwierzytelniona później w druku przez Niemcewicza i Wypiańskiego(niosła się po Polsce, że naprawdę nazywał się Branecki, a jedną literę zmienił dlatego, żeby "spokrewnić się" w opinii z wielkopańskim rodem Gryf_Branickich, którego ostatni potomek, królewski szwagier, stary hetman Jan Klemens Branicki dzierżył przed nim buławę wielką koronną.

Jego hetmaństwo również wzbudzało wątpliwości. Wielu sądziło, że tę najwyższą godność wojskową zawdzięczał nie tyle rzeczywistym kwalifikacjom dowódczym, co intymnym przysługom, świadczonym w młodości w Petersburgu wysoko postawionej parze kochanków: Stanisławowi Poniatowskiemu, późniejszemu królowi Polski, i wielkiej księżnej Katarzynie, późniejszej imperatorowej Wszechrosji.

Wybrzydzano się także na ogromne bogactwa hetmana, gdyż zdaniem patriotów wywodziły się z nieczystych źródeł. Powszechnie wiadano, że jest "pensjonalistą" obcych ambasad, że szantażami politycznymi wyłudza od króla najbogatsze starostwa, że lwia część majątku zawdzięcza rosyjskiej żonie, Aleksandrze Engelhardt, uchodzącej oficjalnie za siostrzenicę cesarskiego "generalissimusa", kniazia Grigorija Potiomkina, w rzeczywistości - córce naturalnej głównej rozbiorky

Polski, carycy Katarzyny II.

Najbardziej jednak podejrzany i dwuznaczny był patriotyzm Branickiego. Gębę miał go pełną. Nie było chyba w sejmie polskim

drugiego gębacza, który by tak często, jak on, odmieniał we wszystkich przypadkach słowa: ojczyzna i naród. Ilekroć stawał na sejmowej mównicy w całej krasie sarmacko szlacheckiego sztafażu i - odrzuciwszy wyloty kontusza, wsparty na szabli - przemawiał do "panów braci", tak ich potrafił stumanić i omotać patriotycznym frazesem, że miękli mu w rękach jak wosk. Nie wszyscy jednak poddawali się czarom jego krasomówstwa. Julian Ursyn Niemcewicz otwarcie go stawiał na czele tych, co "w uścich ich była ojczyzna, w czynach zdrada". I miał chyba rację.

Po pierwsze Branicki był z duszy serca kondotierem. Barwy i komendy zmieniał często bez żadnych oporów wewnętrznych. Raz walczył jako "wolontarz" w armii austriackiej, to znowu - we francuskiej; najchętniej i najczęściej wysługiwał się Rosjanom. W owych kosmopolitycznych czasach okazjonalna służba pod obcymi znakami nie była jeszcze uważana za rzecz karygodną. Ale to, co wyczyniał w tej dziedzinie Branicki - zwłaszcza w latach późniejszych, kiedy był już hetmanem wielkim koronnym - oburzało Polaków i wzbudzało pogardę u obcych. Trudno się było nie oburzać, kiedy najwyższy zwierzchnik wojskowy Rzeczypospolitej, minister i senator całe miesiące potrafił spędzać w obozie oblegającego tureckie twierdze "wuja" Potiomkina, harcując na czele carskich kozaków. "Eto prawo dla

niewo komanda" - podśmiewał się z polskiego hetmana faworyt rosyjskiej imperatrycy.

Ale przechyły kondotierskie Branickiego były jeszcze niczym wobec jego działalności publicznej jako polityka, męża stanu i zwierzchnika sił zbrojnych. Niemal wszystko, co

czynił jeden z najwyższych dygnitarzy trawionej ciężką chorobą Rzeczypospolitej, było skierowane przeciwko jej najżywotniejszym interesom. Żywiołem tego dostojnika były: intryga i gra polityczna, celem - wzmacnianie swych wpływów przez rozbijanie jedności narodu i skłócanie ze sobą wszystkich sił społecznych. Był mistrzem w montowaniu wszelkiego rodzaju "kabał", konfederacji i rekonfederacji. Kiedyś usiłował uzyskać od ościennego mocarstwa poparcie dla perfidnego planu zbuntowania prowincji przeciwko Warszawie, ale nawet na obcym dworze projekt ten odrzucono, jako zbyt daleko idący. Początkowo zaprzyjaźniony ze Stanisławem Augustem i obsypywany przez niego złotem i dostojenstwami, zwrócił się przeciw niemu, kiedy król zaczął zmierzać do ograniczenia uprawnień hetmańskich, i śmiertelnie go znienawidził. Odtąd szczuł przeciwko tronowi naród szlachecki, gdzie i kiedy tylko mógł. Kiedyś groził po pijanemu monarsze, że zwoła pospolite ruszenie i wypędzi go z kraju. Jednocześnie króla napuszczał na naród, pouczając go listownie, że "na miłość Polaków zasługiwać nie warto, lepiej ich trzymać krótko i twardo". Blisko związany przez żonę z dworem rosyjskim i przepotężnym faworytem Katarzyny, Potiomkinem, czuł się

w kraju całkowicie bezkarny.
Jego warcholskie zatargi z
królem były załatwiane w trybie
międzynarodowym. Monarcha chcąc
ukrócić samowolę niesfornego
ministra musiał odwoływać się do
rozjemstwa obcych ambasadorów.
Wszelkie patriotyczne ruchy,
zmierające do uzdrowienia
stosunków w Polsce i zapewnienia
jej większej niezależności,
napotykały bezwzględny opór
Branickiego. Ten zaprzysiężony

obrońca złotej wolności
szlacheckiej, w imię tej
wolności, działając ramię w
ramię z generałami Katarzyny
zdusił konfederację barską, a
później, jako jeden z głównych
przywódców targowicy -
rywalizował z zaborcami o
pierwszeństwo w niszczeniu
dzieła Konstytucji 3 Maja.
Zachował się z tamtych czasów
piękny tekst krasomówczy pana
hetmana. Wydelegowany w
listopadzie 1792 roku do
Petersburga, aby podziękować
imperatorowej za uchronienie
Polski od nieszczęść, w jakie
usiłowali ją rzekomo wtrącić
autorzy i zwolennicy Konstytucji
3 Maja, Branicki rozczulał
Katarzynę bredzeniem o Polaku,
co "patrzył już na wieczyste
kajdany, które prawników jego
krępować miały". Kiedy jednak
"wejrżeli nań Bóg i Katarzyna,
upadł bałwan zwodniczy,
pierzchnęli onego twórcy i
czciciele. Powstał Polak podobny
swoim naddziadom, wznosił ręce
ku niebu, a oczy łez czułości
pełne ku swojej wybawicielce".

Po drugim rozbiórce Branicki
był już postacią tak bardzo
skompromitowaną, że kierując się
instynktem samozachowawczym
przekazał buławę hetmańską w
ręce następcy: Piotra
Ożarowskiego, który w rok

później miał zamiast niego
zawisnąć na powstańczej
szubienicy. Sam zaś przebrał się
w zaofiarowany mu przez teściową
mundur rosyjskiego generała "en
chef" i czmychnął do
Petersburga. O kompletnym zaniku
w nim uczuć narodowych świadczą
jego własne słowa, odnotowane
przez współczesnych mu
kronikarzy. Po trzecim rozbiorze
zwykł był mawiać: "Nie jestem
cudzoziemcem, bom się w Polsce
urodził, nie jestem Polakiem, bo
Polski nie ma". Po pijanemu
określał się jeszcze wyraźniej.
Ponieważ większość jego dóbr

znalazła się w zaborze
rosyjskim, mówił po prostu "Je
suis Russe".

Całkowicie obojętny na
nieszczęścia ojczyzny, dożył w
pokoju i pomyślności późnej
starości. "Ostatnich lat 25
życia - brzmi przekaz
historii - spędził w komforcie
Białej Cerkwi, dogadzając swemu
ciału, a nie okazując ani
przebłyску żalu za grzechy." W
roku 1815, gdy car Aleksander I,
po przybraniu tytułu króla
polskiego (z łaski własnej i
kongresu wiedeńskiego) odwiedził
Białą Cerkiew, osiwiwały w walce
przeciwko legalnemu monarsze
niepodległej Rzeczypospolitej
Branicki powitał nowego pana
słowami: "Szczęśliwy starzec,
nie umrę już, nie zobaczywszy
króla mej ojczyzny".

Takim był człowiek, który
przez kilkanaście lat nadawał
ton życiu Józefa Zajączka i w
większym stopniu niż inni
protektorzy wpływał na
kształtowanie się jego
charakteru, poglądów i sposobu
bycia.

Może się wydać dziwne, że
młody, inteligentny oficer,
mający za sobą przyjaźń z

Kazimierzem Pułaskim oraz staż
patriotyczny w konfederacji
barskiej i w wojnie
turecko_rosyjskiej, mógł przez
tak długi okres podporządkowywać
się podobnemu autorytetowi. Ale
trzeba pamiętać, że inaczej
widzą hetmana Franciszka
Ksawerego Branickiego historycy,
dysponujący pełną dokumentacją
jego postępów i znający tych
postępów samolubne motywacje i
opłakane skutki, a inaczej
widzieli go młodzi ludzie,
pozostający w kręgu jego
bezpośrednich wpływów. Dla tych
drugich był przede wszystkim
potężnym, łaskawym dobroczyńcą,
szczodrym i wesołym panem
pysznego dworu w Białej Cerkwi.
Wodzem nadzwyczaj dbałym o

sprawy bytowe swych podwładnych.
Upostaciowaniem ideału "dobrego
magnata", jaki ukształtowała w
umysłach drobnej szlachty epoka
saska. Nikt tak jak on nie umiał
obcałowywać się i popijać z
bracją szlachta, nikt tak jak on
nie potrafił kupować sobie
szlacheckiej gołoty za piękne
gesty i dobra materialne. Kiedy
na sejmikowych biesiadach
grzmiał patriotycznie
(przeważnie po pijanemu)
przeciwko królowi, nikt z jego
stronników nie wątpił, że miał
na celu jedynie obronę
szlacheckich swobód przed
despotycznymi zakusami
Stanisława Augusta i stronnictwa
reform. A kiedy ktoś próbował mu
się sprzeciwić, bądź demaskować
jego prawdziwe intencje, wszelką
opozycję głuszył wrzask tysięcy
szlacheckich gardeł: "Musi tak
być, jak pan hetman chce! Innego
nikogo nie dopuścimy!". Poza
wszystkim "Branio" - jak
pieszczotliwie nazywali go
bliscy - oddziaływał na swych
zwolenników niezaprzeczoną

wdziękiem osobistym, w jaki
natura niekiedy wyposaża
wierutnych łajdaków, aby uczynić
ich jeszcze bardziej
niebezpiecznymi dla otoczenia.
Jak tu się dziwić zresztą, że
podał się wpływom złowrogiego
hetmana młody, niedoświadczony i
nader skłonny do przesadnych
uwielbień Zajączek, jeżeli
Branio latami potrafił zwodzić
tak doświadczonych i prawych
patriotów, jak marszałek Ignacy
Potocki i generał ziem
podolskich, Adam Czartoryski.

Zajączek wzajemnie od
pierwszej chwili przypadł panu
hetmanowi do gustu. Przywódca
magnackiej opozycji dostrzegł
idealne dla siebie narzędzie w
byстрыm polsko_francuskim
oficerku, ogładzonym na modłę
zachodnią, w miarę
wykształconym, ciętym w języku,
a równocześnie wyposażonym w te

cechy, które hetman cenił
najbardziej: obrotność życiową,
odwagę graniczącą z brawurą,
skłonność do chwytania za szablę
przy lada okazji, a przede
wszystkim wierność i bezwzględne
posłuszeństwo aktualnemu
rozkazodawcy.

Sytuacja Zajączka polepszyła
się jeszcze, kiedy rządy nad
Białą Cerkwią objęła hetmanowa
Branicka "de domo Engelhardt".
Pani hetmanowa - uderzająco z
twarzy i kobiecego temperamentu
podobna do swej cesarskiej matki
- była dwa razy młodsza od męża
(w chwili zamążpójścia liczyła
sobie lat 27), ale przewyższała
go rozumem, energią i wpływami
politycznymi. Katarzyna II nie
tylko zasypywała ją zaszczytami
dworskimi i lukratywnymi
przywilejami finansowymi, lecz
ponadto uczyniła ją oficjalną
adresatką swoich listów
filozoficznych,

przedrukowywanych następnie w prasie niemieckiej i studiowanych z uwagą przez wszystkie rządy europejskie, próbujące wyczytać z nich zamiary polityczne potężnej władczyni Północy.

Otóż młodej pani hetmanowej przybysz z Paryża spodobał się również, choć niekoniecznie z tych samych powodów co mężowi. "Lubiła bardzo - informuje powściągliwie biografka Zajączka - gdy w zgrabnie skrojonym mundurze galopował na koniu przy jej karecie." Najlepszym dowodem sympatii pani hetmanowej dla Zajączka jest sugerowana przez wielu historyków teza, że jeszcze w czterdzieści lat później dziedziczka z Białej Cerkwi nie szczędziła wysiłków, aby swego dawnego gwardzistę wydzwignąć na najwyższe miejsce w aleksandrowskiej Polsce.

Ogrzewany ze wszystkich stron ciepłem pańskiej łaski, skromny, polsko_francuski poruczniczek bez gaży w szybkim tempie

porastał w pióra. Wstępny staż na hetmańskim dworze przebył jako kapitan przybocznych dragonów, ale już w niedługi czas potem wyrósł na hetmańskiego generała_adiutanta w stopniu "oberszt_lejtnanta", czyli podpułkownika. Jeszcze później awansował na pełnego pułkownika i otrzymał dowództwo pułku lekkiej jazdy Buławy Wielkiej, co było już w owych czasach uważane za wojskowe dygnitarstwo. Czy nie douczony wojskowo porucznik w czasie swej błyskawicznie postępującej kariery miał możliwość wyrównania braków w wykształceniu wojskowym, o których nadmieniał w swej rekomendacji książę Sapieha? Raczej wątpliwe. W czasach pokojowych nie było

wiele po temu okazji, a już najmniej - na rozhulany i rozpitym dworze hetmańskim w Białej Cerkwi. Z kalendarza późniejszej kariery dowódczej Zajączka, kiedy był już generałem wysokiego stopnia, zdaje się wynikać, że do końca doskwierały mu pewne niedostatki w wojennym rzemiośle, starał się też unikać wystawiania na próbę swoich kwalifikacji dowódczych, a kiedy do takich prób dochodziło, przeważnie kończyły się niepowodzeniem.

Podszkolił się natomiast u Branickiego wybornie we wszelkiego rodzaju grach politycznych. Hetman, po bliższym poznaniu swego ulubionego adiutanta, zorientował się, że pasuje on jak ulał do rozgrywek partyjnych w polskim sejmie. Głos miał donośny i sugestywny, postać imponująca, rozum bystry, "choć nie polityczny", temperament rasowego ogiera. Bez trudu rozeznał się w najbardziej pokrętnych intrygach sejmowych i można było na nim polegać, że pokieruje nimi tak, jak życzył sobie pan hetman. Wybrany, przy

poparciu Branickiego, na posła z ziemi kijowskiej, Zajączek w krótkim czasie stał się jednym z głównych i najgłośniejszych rzeczników interesów hetmańskich w sejmie.

Dla częściowego przynajmniej usprawiedliwienia Zajączka i dla pełnej jasności obrazu wypadu wspomnieć, że w latach 1775_1786 popieranie linii politycznej hetmana Branickiego nie było wcale jednoznaczne z działaniem przeciwko interesom narodu. Opozycja magnacka występowała jeszcze wtedy we wspólnym froncie i obok Branickiego przewodzili jej ludzie, którzy

już wkrótce znaleźć się mieli
wśród czołowych przywódców
stronnictwa patriotycznego i
twórców Konstytucji 3 Maja:
bracia Ignacy i Stanisław Kostka
Potoccy oraz generał ziem
podolskich, Adam Kazimierz
Czartoryski.

Podstawową zasadą działania
jednoczącą możnowładczą opozycję
było stałe sprzeciwianie się
polityce króla, a ponieważ
Stanisław August nie zawsze
działał w zgodzie z interesami
ojczyzny, przeciwstawiająca mu
się opozycja często miewała
rację i zyskiwała sobie poklask
większości szlacheckiego narodu.

O działaniach Zajączka w
sejmie można się wiele
dowiedzieć z listów pisanych do
różnych znajomków - przeważnie
dam z najwyższego towarzystwa,
do których zawsze miał słabość.
Dla przykładu: przytoczony w
książce Jadwigi Nadziei, list z
grudnia 1784 roku do starościny
litewskiej Teresy ze Stadnickich
Grabianczyny, dotyczący głośnego
zatargu o spłatę milionowych
długów królewskich. Stanisław
August, uzgodniwszy uprzednio
rzecz z Katarzyną, zamierzał
wydusić od sejmu uchwałę,
przerzucającą obowiązek spłaty
jego prywatnych długów na skarb
państwa.

Opozycja - tym razem
zjednoczona, jak nigdy przedtem,
poczuciem swej racji prawnej i
moralnej - podniosła ogłuszające
"larum" patriotyczne, grożąc
zerwaniem sejmu, jeżeli rząd
swego projektu nie wycofa.
Dominująca w sejmie partia
królewska, aby ustrzec się
przed tym, zamierzała bądź
projekt przeforsować od razu,
bądź przekształcić sejm w
konfederację, co zawiesiłoby
stosowanie zasady "liberum veto",

a tym samym uniemożliwiło zerwanie sejmu przez mniejszość.

"Cała psiarnia królewska - pisze w swym liście Zajaczek - krzyknęła, aby zaraz przeszedł (projekt królewski - M.B.), lecz ja prosiłem, aby według prawa szedł "ad deliberandum" (do rozważenia - M.B.). I tak wrzeszczeliśmy z godzinę: królewscy, aby zaraz przeszedł, a ja z JM Panem Potockim, posłem lubelskim (Stanisławem Kostką - M.B.): "ad deliberandum".

Poszedł tedy nazajutrz w deliberację. Po sesji zjechaliśmy się do marszałka nadwornego litewskiego Potockiego (Ignacego - M.B.). Tam rada stanęła tedy, aby Sejm zerwać. Marszałek Potocki, proszony przez nas pojechał do posła rosyjskiego i oświadczył mu, że albo Sejm pęknie, albo trzeba projekt królewski cofnąć. Poseł tedy w gniewy, potem w prośby, na ostatku pokazuje rozkazy imperatorowej, zalecające mu wspierać spłacenie długów królewskich, oświadczając, iż gdy Sejm zerwiemy, to nie uratuje milionów, bo będą o nich traktować jak o materii ekonomicznej "pluralitate" (większością głosów - M. B.); po wtóre, że rozgniewamy imperatorową, która gdy pozwoli na konfederację, to bardziej jeszcze kraj udra".

Tak to wyglądało w ówczesnej

praktyce. "Hetmańscy" żarli się z "królewskimi", samolubna prywata ścierała się z interesami patriotycznymi, krzyżowały się rozmaite koncepcje rozwiązań politycznych, a później ostatnie słowo wypowiadał ambasador Najaśniejszej Gwarantki polskiej wolności i

rzecz szła wskazanym przez niego torem. Ciekawy to przyczynek do charakterystyki nie tylko autora listu, lecz i całego czasu, który historycy nie darmo nazywają okresem rządów królewsko_ambadorskich.

W szczytowym nasileniu działalności politycznej Józefa Zajączka wydarzyło mu się coś niezwykłego. Znowu rzuciło go na kolana piorunujące olśnienie, podobne do przeżytego przed laty w Paryżu spotkania z Wenus Medycejską. Tyle że tym razem Wenus Medycejska, była żywa, urzekająco cielesna i bynajmniej nie usposabiała do skojarzeń religijnych. Pan poseł kijowski i hetmański generał_adiutant zakochał się śmiertelnie od pierwszego wejrzenia w 30_letniej Francuzce, pani Alexandrine Isaurat z domu Pernette, żonie osiadłego w Polsce francuskiego lekarza i matce 10_letniego syna.

Urodziwej i obdarzonej niezwyklej ponoć czarem pani doktorowej również przypadł do serca szalejący z miłości dziarski żołnierz_polityk, lecz doktor Isaurat twardo bronił swych praw do szczęścia rodzinnego. W stanisławowskiej Polsce - gdzie pójście do łóżka z cudzą żoną uważano za rzecz najzwyklejszą w świecie - doprowadzenie do legalnego rozwodu było przedsięwzięciem nad wyraz trudnym. Ale gwałtowny, by nie rzec szaleńczy, afekt Zajączka, gorąco wspierany przez takich tuzów dygnitarskich jak Ignacy

Potocki i Adam Czartoryski, doprowadził wreszcie do szczęśliwego zakończenia. Po dotarciu do najwyższych instancji watykańskich, po przeprowadzeniu sprawy przez

krajowe sądy konsystorskie i po
godziwym wynagrodzeniu szkód
moralnych doktorowi Isaurat -
pułkownik Józef Zajączek herbu
Świnka, poseł na sejm z ziemi
kijowskiej, i pani Alexandrine
Isaurat urodzona Pernette -
zostali oficjalnie uprawnieni
do, jak się wówczas mówiło,
"wstąpienia na ślubny
kobierzec".

Zdaniem autorów interesujących
się Zajączkiem jego małżeństwo
było najlepszą rzeczą, jaką
wyniósł z lat hetmańskich. W
polskiej tradycji historycznej
pani Alexandrine Zajączkowa
przetrwała głównie jako fenomen
wiecznotrwałej młodości i urody,
zwycięsko przeciwstawiającej się
działaniu czasu. Wielki Balzak,
który widział ją, gdy zbliżała
się już do osiemdziesiątki,
zachwycał się jej wdziękiem i
świeżością, świadcząc potem na
piśmie, "że ma tyle lat, ile się
jej mieć podoba". Inny świadek epoki,
generał Klemens Kołaczkowski,
spotykający
księżnę_namiestnikową na balach w
roku 1820, kiedy miała lat 64,
tak ją wspominał: "Pamiętam
panią Zajączkową w gazowej sukni
z różą we włosach, wachlarzem w
ręku na balach i wyznam, że
jeśli nie zachwycony, to
zadziwiony stanąłem na jej
widok. Zachowała czerstwość,
wdzięk i ubiór młodego wieku
(...) Czuła i kochała jak
piętnastoletnia panienka".

Ale byłoby wielką
niesprawiedliwością ograniczać
charakterystykę Alexandrine
Zajączkowej, urodzonej Pernette,
jedynie do opinii o jej walorach
zewnętrznych. Z niezliczonych
świadectw pamiętnikarskich i
epistolarnych wynika, że pod

wdzięczną i odporną na działanie
czasu powierzchownością kryła

bystry rozum oraz twardy i prawy charakter, odziedziczony zapewne po hugenockich przodkach. Wielu świadków epoki, łącznie z najzłośliwszym i najbardziej wrogim domowi Zajączków Julianem Ursynem Niemcewiczem - przyznaje, że nawet w czasie, gdy namiestnika nienawidzono, namiestnikowa "wrogów w społeczeństwie nie miała". Anna z Tyszkiewiczów Potocka, której jako wnuczki stryjecznej króla Stanisława Augusta i siostrzenicy księcia Józefa - dwóch ludzi najbardziej przez Zajączka nienawidzonych i opluwanych - nie można w danym wypadku posadzać o stronniczą pobłażliwość, wystawia pani Zajączkowej takie oto świadectwo:

"Chociaż historia nigdzie nie mówi o księżnej Zajączek, to przecież wspomną ją dobrze wszyscy, którzy ją znali, a to ze względu na szlachetną godność, jaką zachowała na wysokim stanowisku, a szczególnie dzięki dobremu wpływowi na męża..."

Krótko mówiąc: udało się panu Zajączkowi to małżeństwo. Trwać miało równo czterdzieści lat - aż do śmierci księcia namiestnika. Przez większą część tego czasu żona była mężowi podpora i pomocą, nie czyniąc nic, co by mogło szkodzić mężowskiemu nazwisku; przeciwnie: często chroniła je przed ludzką niechęcią i ratowała od ostatecznego pohańbienia. Dopiero w czwartym dziesięcioleciu przykładowego na ogół pożycia, kiedy niezniszczalna Alexandrine była już grubo po sześćdziesiątce i godnie odgrywała rolę pierwszej damy Królestwa, zdarzyło jej się popaść w poważną i długotrwałą kolizję z obowiązkiem wierności małżeńskiej. W salonach warszawskich zaszumiało od

plotek na jej temat, a pewnego
jurnego referendarza stanu,
młodszego od niej prawie o
czterdzieści lat (urodził się,
kiedy poślubiła Zajączka),
zaczęto nazywać "oficjalnym
faworytem wicekrólowej".
Później, kiedy ów młody człowiek
wplątał się w spiski
niepodległościowe i powędrował
do więzienia Karmelitów, skandal
towarzyski nabrał cech skandalu
politycznego. Wielki książę
Konstanty, który nienawidził
niepokornej Francuzki od czasu,
gdy nie zgodziła się dopuścić do
warszawskich salonów jego
metresy, skorzystał z okazji, by
poszczuć na dom Zajączków swoje
policyjne psiarnie. Przysporzyło
to sporo zmartwień
księżnej_namiestnikowej, a
księciu_namiestnikowi zakłóciło
spokój domowy w ostatnich
miesiącach życia. Ale
okoliczności i atmosfera tego
późnego skandalu miłosnego były
tak rozrzewniająco
romantyczne, że nie pozostawił
on żadnej plamy na biografii
warszawskiej "wicekrólowej".
Podchodząca pod
siedemdziesiątkę, pani
Zajączkowska utwierdziła tylko
współczesnych i potomnych w
opinii, że naprawdę umiała "czuć
i kochać jak piętnastoletnia
panienka".

W niedługi czas po zmianie
stanu cywilnego zaczęły się
także zmieniać układy
personalno_polityczne Zajączka.
Kaniowskie spotkanie Stanisława
Augusta z cesarzową Katarzyną
II wiosną 1787 roku i
bezpośrednio je poprzedzające
rozmowy Katarzyny z przywódcami
magnackiej opozycji w kijowskim
pałacu Potiomkina, gdzie
Katarzyna stanowczo odrzuciła
magnacki plan skonfederowania
przeciwko królowi południowych
prowincji kraju - przesadziły o
dalszym rozwoju życia
politycznego w szlacheckiej

Rzeczypospolitej. Pomimo poparcia potężnego "wuja" Branickich, kniazia Grigorija Potiomkina, opozycji nie udało się wymóc na Katarzynie ostatecznego podporządkowania sobie Stanisława Augusta. Imperatorowa Rosji kochała swą "Duszkę" z Białej Cerkwi, lubiła jej polskiego męża, ale w swoich stosunkach z Polską wolała się opierać na uzależnionym od niej finansowo, posłusznym królu niż na bogatych, nieobliczalnych "królewietach".

Magnacka opozycja nie wytrzymała swej klęski i rozpadła się z hukiem na dwa odłamy. Bracia Ignacy i Stanisław Kostka Potoccy, generał ziem podolskich Adam Kazimierz Czartoryski oraz powiązani z nimi magnaci litewscy: Karol Radziwiłł Panie Kochanku i Michał Ogiński - zrezygnowali ostatecznie z zabiegów o porozumienie się z Rosją nad głową króla i odwrócili się w stronę Prus. Deklarując się coraz wyraźniej jako zwolennicy gruntownej naprawy Rzeczypospolitej i łącząc się w tym celu z reformistami z partii królewskiej, utworzyli podstawy nowej opozycji: w większym stopniu reprezentującej interesy całego narodu.

Natomiast odłom hetmana Branickiego i wojewody ruskiego Szczęsnego Potockiego pozostał przy orientacji rosyjskiej, jako zasadniczy element w systemie rządów ambasadorskich. Gardłując po staremu na sejmikach i sejmach za ojczyznę, wolnością i narodem, a równocześnie pilnie nasłuchując wskazań z Petersburga - szczątkowa opozycja magnacko_republikańska coraz bardziej stawała się

agenturą ościennego mocarstwa.

Położenie Zajączka było nie do pozazdroszczenia. Znalazł się między młotem a kowadłem.

Dowódca pułku kawalerii Buławy Wielkiej nie należał do ludzi lubujących się w dokonywaniu trudnych wyborów moralnych. Najlepiej czuł się wtedy, gdy miał nad sobą jeden mocny autorytet i mógł posłusznie wypełniać rozkazy. Tymczasem wydarzenia postawiły go w sytuacji eksperymentalnego psa Pawłowa, któremu tak długo maćono rozeznanie, co jest dla niego dobre, a co złe, że popadł w rozstrój nerwowy. Zajączkowi rozstrój nie groził: nerwy miał jak baranie struny. Niemniej, poważne rozterki z pewnością nie były mu oszczędzone. Z jednej strony wiązał go z sobą hetman Branicki, pan potężny i łaskawy, twórca całej jego kariery wojskowej i politycznej; z drugiej wabili do siebie bracia Potoccy i Czartoryski - opiekunowie możni i życzliwi, którzy niedawno tak serdecznie mu pomagali w poślubieniu umiłowanej kobiety. Aby mu wybór jeszcze utrudnić, na czoło radykalnego skrzydła nowej reformistycznej opozycji wybił się ksiądz podkanclerzy Hugo Kołłątaj, daleki krewny Zajączka i jego wielokrotny wybawca z opresji finansowych (Wacław Tokarz ustalił, że z długów zaciągniętych u Kołłątaja Zajączek wypłacał się jeszcze, kiedy już był generałem dywizji i bogatym właścicielem Opatówka).

Zmagania wewnętrzne Zajączka trwały dość długo. Jeszcze wiosną 1788 roku, razem z Branickim, a pod naczelną komendą Potiomkina, oblegał

kluczową fortecę Turcji,
Oczaków. Fakt, że przed
trzynastu laty walczył po
stronie Turcji, przeciwko
Rosjanom, w niczym jego animuszu
wojennego nie umniejszał.

Jeszcze nieco później: w maju
tegoż roku - na polecenie

Branickiego i jego mocodawców -
ściągał opozycyjnych magnatów na
zjazd w posiadłości Potiomkina w
Jelizawetgradzie. "Cesarz i
Moskwa - pisał do Szczęsnego
Potockiego - chcą nas czynnemi
zrobić i ta jest przyczyna, dla
której JW Pana Dobrodzieja
przybycia żądają."

Na odejście od hetmana
zdecydował się dopiero w czasie
trwania sejmu, który miał
przejsć do historii pod nazwą
Sejmu wielkiego. Nie notowany od
stuleci wybuch żywiołowego
patriotyzmu, jakiego widownią
stał się ten sejm, burzliwe
poparcie społeczne dla
patriotycznego stronnictwa
reform, pogłębiająca się
izolacja partii Branickiego i
Szczęsnego Potockiego - wszystko
to razem wzięte spowodowało
zasadniczy zwrot w przekonaniach
politycznych hetmańskiego
generała_adiutanta. Jak wszyscy,
co zakosztowali już słodczy
szybkiej kariery, Zajączek nie
lubił być po stronie
przegrywających.

Zerwanie z wieloletnim
dobroczyńcą - jeśli wierzyć
świadectwu samego Zajączka -
odbyło się z zachowaniem
wszelkich zasad rycerskości i
dramatyzmu. Na zarzuty hetmana,
oskarżającego go o
niewdzięczność, Zajączek miał
odpowiedzieć: "Mości panie
hetmanie, tam gdzie by szło o
osobistą krzywdę twoją, zastawić
cię piersiami mojami jako
dobroczyńcę gotów jestem, lecz w

razie tyczącym się dobra
Ojczyzny, darujesz, że na moment
o dobrodziejstwach twoich
zapomnę." Pożegnanie mogło w
szczegółach wyglądać nieco
inaczej, gdyż żegnający miał
skłonność do upiększania w
późniejszych relacjach swoich
słów i postępów, niemniej sam
fakt zerwania z hetmanem nie
budzi żadnych wątpliwości.
Patriotyczny huragan Sejmu

Wielkiego wywiał Zajączka z
najzaufańszej świty hetmana
Branickiego. A że były adiutant
hetmański miał we krwi skłonność
do rozwiązań skrajnych, znalazł
się od razu w grupie najbardziej
zapalonych zwolenników
podkanclerzego Hugona Kołłątaja,
przyszłego "polskiego
Robespierre'a." Nastąpiła
kolejna rotacja autorytetów.
Organizm Zajączka nie
wytrzymał ani przez chwilę
próżni ideologicznej: ciągle
musiał czuć nad sobą
zdecydowanego rozkazodawcę,
wytyczającego mu drogi
postępowania i myślenia.

Pomimo politycznego rozdźwięku
z Branickim, promotora swej
kariery zachował jeszcze na
długo we wdzięcznej pamięci. W
czasie insurekcji
kościuszkowskiej nie wahał się
narażać patriotycznej opinii
żarliwymi próbami
zrehabilitowania hetmana
targowiczanina. W cztery lata
później, po powrocie z wyprawy
egipskiej, wzbogacił tajnie
Białej Cerkwi o parę pięknych
wierzchowców czystej krwi
arabskiej. W sympatii umiał być
tak samo stały jak w nienawiści.

Swoją działalność
parlamentarną wznowił Zajączek
dopiero w drugiej kadencji obrad
sejmowych, z początkiem roku
1790, kiedy pojawił się w Sali

Poselskiej Zamku Warszawskiego jako poseł z Podola, wybrany już pod auspicjami nowych opiekunów ze stronnictwa reform. W nowej sytuacji politycznej Zajączek był równie żarliwy, jednostronny i zapalczywy, jak w swoim poprzednim posłowaniu, kiedy reprezentował interesy hetmańsko_potiomkinowskie. Mówca był dobrym, sugestywnym, ale niejednokrotnie brakowało mu właściwego rozeznania politycznego. Diariusze sejmowe z lat 1790_#1791 odnotowały kilka jego rozsądnych przemówień,

wykazujących dużą znajomość rzeczy, zwłaszcza w zakresie organizacji i administracji wojskowej. W rezultacie tych przemówień sejm powołał go do "Deputacji do ułożenia regulaminu służby", co było niemałym zaszczytem i dowodem zaufania. Ale - jak to zawsze u Zajączka - nie obyło się także bez tragikomicznego skandalu.

Nowa opozycja patriotyczno_reformistyczna, po zerwaniu z orientacją rosyjską, szukała zabezpieczenia tyłów w ugodzie z drugim rozbiorną Polski: królem Prus. Ale Prusy za przymierze obronne z Polską żądały słonej ceny: oddania im Gdańska i Torunia, których nie zdołały zagarnąć w pierwszym rozbiornie Rzeczypospolitej. Zwłaszcza zależało im na Gdańsku. Za koniecznością ustępstw terytorialnych ze strony Polski wypowiedali się także przedstawiciele Anglii i Holandii, pośredniczący w pertraktacjach polsko_pruskich.

Dla większości patriotycznych posłów Sejmu Wielkiego oddanie Prusom Gdańska - co stanowiłoby niejako dobrowolne dopełnienie gwałtu rozbiornu - było rozwiązaniem nie do przyjęcia.

Ale niektórzy przywódcy nowej opozycji, a wśród nich Ignacy Potocki, gotowi byli zapłacić każdą cenę za przymierze z Prusami, gdyż widzieli w nim jedyny sposób uchronienia Polski przed odwetem Katarzyny, która nie zamierzała tolerować wyłamywania się z systemu gwarancji rosyjskich. Podobno właśnie z natchnienia Potockiego Zajączek wygłosił owo niefortunne przemówienie w obronie przymierza polsko-pruskiego. Świeżo pozyskany orędownik tego przymierza, przywykły do nadgorliwego wypełniania zaleceń aktualnie uznawanych autorytetów i nie zgłębiający swoim

pragmatycznym umysłem ani potworności szantażu pruskiego, ani potężniejszych z dnia na dzień sił patriotycznego oporu - zagalopował się w swym wystąpieniu znacznie dalej, niż mógł sobie życzyć jego inspirator. Po prostu: wszelkie sprzeciwianie się oddaniu Prusom Gdańska pan poseł z Podola określił jako "kabałę moskiewską". Z oskarżeniem takim wystąpił ktoś, kto jeszcze niedawno, z polecenia Branickiego i jego petersburskich mocodawców, naprawdę motał moskiewskie kabały w pałacu Potiomkina w Jelizawetgradzie. W sejmie zawrzało, ale na zasadzie przysłowia "Uderz w stół, a nożyce się odezwą", najbardziej poczuli się dotknięci obelgą Zajączka aktualni motacze "kabał moskiewskich" - jego dawni koledzy spod znaku Branickiego i Szczęsnego Potockiego. Obrażony rzecznik owych "patriotów", generał Piotr Ożarowski, wyzwiał Zajączka na pojedynek. Był to ten sam Piotr Ożarowski, który za swą patriotyczną działalność

otrzyma wkrótce dwie kolejne nagrody: godność hetmana wielkiego koronnego od targowicy i stryczek szubieniczny od powstańców.

Do pojedynku między Zajączkiem a Ożarowskim nie doszło, zapobiegli mu król i promineneci sejmowi. Mimo to Zajączkowi cały ten skandal na dobre nie wyszedł. Wrogowie okrzyczeli go zdrajcą, przyjaciele zarzucali mu brak rozumu politycznego. Burza w polskim sejmie miała reperkusje międzynarodowe i poważnie zaszkodziła rokowaniom angielsko_pruskim.

Ale zła atmosfera wokół zapalczywego posła podolskiego szybko się rozwiała. Jego dalsze wystąpienia sejmowe, przeważnie w sprawach organizacyjno_wojskowych, zyskiwały mu uznanie patriotów.

Nawet książę Józef Poniatowski, wspominając ten okres, bardzo ciepło oceniał działalność publiczną swego późniejszego śmiertelnego wroga i prześladowcy.

Jako stronnik Kołłątaja i Ignacego Potockiego, należał oczywiście Zajączek do uformowanego przez nich klubu patriotycznego, przekształconego, później w "Zgromadzenie Przyjaciół Konstytucji Rządowej "Fiat Lux"". Uczęszczając pilnie na zebrania klubowe w Pałacu Radziewiłłowskim na Krakowskim Przedmieściu, ani przypuszczał, że w ćwierć wieku później pałac ten stanie się jego siedzibą i od niego przybierze nową nazwę Pałacu Namiestnikowskiego.

Autorka książki o Zajączku tak ocenia jego ówczesną działalność sejmowo_konstytucyjną: "Stał się Zajączek żarliwym posłem, obrońcą konstytucji, ba, nawet

jednym z niewielu, którzy
widzieli krzywdę uciskanego
chłopa...". Zainteresowanie
losem chłopskim u wychowanka
hetmana Branickiego jest dość
zaskakujące. Mogło ono być
rezultatem paryskich lektur
wolnościowych sprzed lat
piętnastu, najpewniej jednak
zaszczepił mu je nowy dyspozytor
ideologiczny,
ksiądz_podkanclerzy Hugo
Koźłataj. Jeśli chodzi o
szybkość zmieniania barwy pod
wpływem impulsów zewnętrznych,
Józef Zajaczek herbu Świnka mógł
śmiało rywalizować z
najwrażliwszym z kameleonów.

Ale kiedy już raz dokonał
wyboru ideologicznego, potrafił
mu być wierny i konsekwentnie
według niego postępował aż do
kolejnego przełomu. W
historycznych latach Sejmu
Wielkiego ani razu nie przejawiał
oportunistycznych wahań, chociaż
pogłębiająca się przepaść
między jego teraźniejszymi a

poprzednimi przewodnikami
duchowymi musiała mu przysparzać
niemało strapień.

Dnia 3 maja 1791 roku -
przytłaczającą większością
głosów wybrańców narodu, przy
burzliwym aplauzie warszawskiej
ulicy - sejm uchwalił Ustawę
konstytucyjną, kładącą podwaliny
Rzeczypospolitej rządnej,
sprawiedliwej i w pełni
suwerennej.

W niecały rok później - kiedy
przygotowywano się do
uroczystych obchodów pierwszej
rocznicy uchwalenia Konstytucji
3 Maja - od wschodu uderzył
grom. 27 kwietnia 1792 roku w
Petersburgu, bliski jeszcze
ciągle sercu Zajaczka hetman
Branicki wraz z dwoma z innymi
zdradzieckimi magnatami:
Szczęsnym Potockim i Sewerynem

Rzewuskim, podpisali - opracowany
wspólnie z pełnomocnikiem
Potiomkina, generałem Wasylem
Popowem - akt konfederacji
wymierzonej przeciwko
Konstytucji 3 Maja i wszystkim
zdobyciom Sejmu Wielkiego. Aby
nadać aktowi pozór samorządnej
inicjatywy polskiej, ogłoszono
go dopiero po kilkunastu dniach
w Targowicy, przygranicznym
miasteczku Rzeczypospolitej, pod
sfalszowaną datą 14 maja 1792
roku.

Targowiczanie oficjalnie
zwrócili się do Najjaśniejszej
Gwarantki polskich "praw
kardynalnych" z prośbą o pomoc
zbrojną dla odzyskania swobód
ukróconych przez Konstytucję 3
maja. Prośba została wysłuchana
bezzwłocznie. 21 maja 1792 roku
posłom Sejmu Wielkiego odczytano
notę ambasadora Bułhakowa
głoszącą, że do Polski wkraczają
wojska rosyjskie, "jako
przyjazne dla dokonania dzieła
odrodzenia się Rzeczypospolitej
w prawach jej i prerogatywach".

Jednocześnie zwierzchność
targowicka wystosowała do wojska
polskiego uniwersał, wzywający

je w szeregi konfederatów. Na
wezwanie to odpowiedział dowódca
wojsk koronnych, książę Józef
Poniatowski, przebywający już w
obozie wojskowym pod Lubarem:

"...jako żołnierz przysięgły,
honor kochający i powinności
swojej zadosyć czyniący nie
znam innej władzy jak władzę,
którą naród cały ustanowił,
żadnego innego prawa, jak rozkaz
króla i prześwietnej Komisji
Wojskowej, żadnego innego
obowiązku, jak żyć z ukochaną
Ojczyzną lub za nią umierać.
Jako obywatel nie mogę słuchać
rady (...), która pod pozorem
wolności, upstrzona licznymi
bajkami, wsparta jest obcą

przemocą. Ci, którzy śmieli dla ich dumy i własnej miłości zaprzedać krew współziomków swoich, są ohydą narodu i zdrajcami Ojczyzny.

Te są moje sentymenta i wszystkich podkomendnych moich, zacząwszy od prostego żołnierza. Proszę więc (...) zaniechać niepotrzebnych pism, które nikogo omamić nie potrafią, i być przekonanym, że Ojczyzna jest naszym Bogiem, że zbrojny obcy żołnierz, na gruncie polskiem znajdujący się niesprzymierzony, nie może nam przynosić przyjaźni i że takowego żołnierz Rzeczypospolitej szukać będzie albo zwyciężyć, albo umrzeć ze sławą."

W wojnie polsko_rosyjskiej roku 1792 Zajączek uczestniczył już jako generał_major. Jego patent generalski nosi datę 29 maja 1792 roku. Początkowo komenderował w Warszawie, później Komisja Wojskowa wysłała go na teren działań wojennych, zlecając mu dokończenie organizacji korpusu rezerwowego, złożonego z wojsk "świeżo udecydowanych". Poza tym otrzymał dowództwo nad kawalerią i piechotą dwóch brygad. Z jego raportów wysyłanych do dowódców

korpusów i Komisji Wojskowej wyraźnie widać, jak tragiczny bałagan panował w armii polskiej, której nie zdażyły jeszcze przeorać mądre reformy Sejmu Wielkiego. Widać także z tych raportów, że Zajączek był zdolnym, energicznym organizatorem, że dbał o swych żołnierzy, a najważniejsze, że potrafił sobie radzić z narastającymi trudnościami zaopatrzeniowymi. Natomiast z dowodzeniem liniowym szło mu gorzej. Świadczy o tym choćby

list do dowódcy Wojsk Koronnych
generała_lejtnanta Józefa
Poniatowskiego, w którym próbuje
się oczyścić z jakiejś,
zarzucanej mu przez księcia,
"nieudolności" i przyrzeka, że
"jeśli miał nieszczęście
popęłnić błąd, postara się go
naprawić, pełniąc służbę z
największym poświęceniem."

Pełne skruchy przyrzeczenie
brzmi przekonywająco, ale jeśli
się choć trochę zna charakter
Józefa Zajączka, rodzi się
przypuszczenie, że to właśnie
ten list i poprzedzające go
okoliczności zapoczątkowały
nieubłagany, dwadzieścia lat
trwający konflikt między dwoma
generałami. Może od tej chwili
właśnie cała nienawiść do
rodziny Poniatowskich,
zaszczepiona Zajączkowi na
dworze hetmana Branickiego,
skupiać się poczęła na młodym
bohaterskim księciu.

Nie wiadomo, jaką
"nieudolność" zarzucał
Zajączkowi Poniatowski. W każdym
razie pod Zieleńcami - w
pierwszej zwycięskiej bitwie
smutnej kampanii roku 1792 -
generał_major sprawiał się
dobrze. Nie kwestionuje tego
żaden z historyków wojskowości.
Poza tym istnieje przekonywające
świadczenie bezpośrednie. Kiedy
po Zieleńcach Stanisław August
ustanowił Krzyż Virtuti Militari
- Zajączek znalazł się w

pierwszej piątce odznaczonych
tym najzaszczytniejszym orderem.

W wojnie 1792 roku Zajączek
zabłysnął także jako prekursor
nowoczesnych metod
penitencjarnych. Kiedy - w miarę
pogarszania się sytuacji
wojennej - w wojsku coraz
śmielej dawali o sobie znać
przeciwnicy Konstytucji 3 Maja,
uzdolniony organizacyjnie

generał_major wystąpił z projektem internowania wszystkich "burzycielów" w jednym odpowiednio przygotowanym miejscu odosobnienia: "żeby tych wszystkich Pułaskich, Kurdwanowskich * etc. im podobnych zamknąć w Częstochowie, traktować i karmić ich dobrze aż do końca roboty, bo inaczej zawsze dadzą okazy niespokojności do oglądania się."

Do najgłośniejszych "antykonstytucjonistów" w wojsku należeli dwaj dawni koledzy Zajączka z partii hetmańskiej: Franciszek Pułaski ze Sławuty i Kajetan Kurdwanowski.

Dnia 25 lipca 1792 roku - dokładnie w tydzień po niezbyt szczęsnej batalii stoczonej przez generała Tadeusza Kościuszkę pod Dubienką - nadeszła do wojska zbijająca z nóg wiadomość o przystąpieniu króla do Targowicy. "Uczyliem akces do konfederacji - tłumaczył się przed armią jej najwyższy wódz - abym kraj i was ocalił: kraj, bo gdybym się z tem opóźnił, niniejsze onego granice byłyby w niebezpieczeństwie; was, bo los wasz i uciski, których doznaliście, byłyby coraz sroższymi."

Jako konstytucyjny wódz naczelny, Stanisław August wydał rozkaz zaprzestania działań wojennych, domagając się równocześnie, by oficerowie nie opuszczali szeregów.

W wojsku zostało przyjęte to

jak najgorzej. Wśród generalicji zrodził się pomysł porwania króla i sprowadzenia go siłą do obozu. Najgorętszym zwolennikiem planu był Zajączek, nie darmo przyjaźnił się niegdyś z "królobójcą" Kazimierzem

Pułaskim. Zwrócił się do księcia Józefa, proponując, żeby jemu zlecono porwanie króla i zaręczając, że doprowadzi go do obozu "całego i zdrowego". Po dwudniowych zmaganiach się ze sobą książę propozycję odrzucił. Z jego pięknych listów wiadomo, jak bardzo potępiał posunięcie króla. Ale kochał swego starego, lekkomyślnego stryja i w żadnym razie nie chciał go narażać na niebezpieczeństwo. A nie gwarantował bezpieczeństwa proponujący porwanie, chmurny, zapalczywy generał_major spod znaku Kołłątaja. Książę rozglądał się za środkami łagodniejszymi. Próbował perswazją ściągnąć króla do obozu. Słał do niego zaufanych posłów. Zgadzał się nawet na porwanie sfingowane, o którym król byłby z góry uprzedzony. Ale żaden z tych kompromisowych pomysłów nie dał pożądanego efektu.

Odrzucenie planu Zajaczka pogłębiło jeszcze jego niechęć do księcia i utwierdziło w przekonaniu, że wszyscy Poniatowscy są zdrajcami. Możliwe, iż jego oceny nie byłyby tak bezwzględne, gdyby wiedział, że ministrem, który najbardziej nalegał na królewskie przystąpienie do targowicy, był jego umiłowany przewodnik polityczny, książę_podkanclerzy Hugo Kołłątaj, opętany absurdalną, oderwaną od rzeczywistości koncepcją, że akces króla do zdradzieckiej konfederacji umożliwi przejęcie w niej steru, całkowitą zmianę jej ukierunkowania i przechytrzenie w ten sposób jej petersburskich

inspiratorów.

Na znak protestu przeciwko haniebnemu postępkowi monarchy i

naczelnego wodza wielu
generałów, wbrew rozkazowi
Stanisława Augusta, podało się
do dymisji. Jako jeden z
pierwszych - zaraz po
Poniatowskim i Kościuszcze -
uczynił to Zajączek. Na jego
dobro trzeba zapisać, że nie
próbował urządzić się w
opanowanej przez targowicę
Polsce, chociaż miał pełne prawo
oczekiwać, że hetman Branicki z
otwartymi ramionami przyjąłby
dawnego adiutanta.

Dymisjonowany generał_major
wybrał drogę trudniejszą: wyjazd
na emigrację. Pierwszy jej etap
spędził w Wiedniu, razem z
przywódcami stronnictwa
konstytucyjnego: marszałkiem
Stanisławem Małachowskim,
Franciszkiem Barssem i
Aleksandrem Linowskim.

Pozbawiony pensji generalskiej i
jakichkolwiek innych dochodów,
utrzymywał się w Wiedniu z
zapomóg, udzielanych mu przez
księcia Adama Czartoryskiego. Ta
kłopotliwa sytuacja materialna
musiała mu przypominać Paryż
sprzed osiemnastu lat, gdzie w
podobny sposób żył na koszt
księcia Sapiehy. Wolno
przypuszczać, że myśli o Paryżu
narzucały mu się także z innych
powodów. Rewolucja we Francji
osiągnęła swą kulminację:
obalono tron, ścięto króla i
królową, w Paryżu szalał
ulegalizowany terror. Jakobińska
Republika Francuska - skazana na
wojnę ze starą monarchiczną
Europą, której główną siłę
reprezentowali trzej zaborcy
Polski - stawała się naturalnym
sprzymierzeńcem polskich
patriotów. *

Wypada tu wspomnieć o bolesnej
stracie, jaką poniosła w tym
czasie generałowa Zajączkowa.
Jej 16_letni syn Aleksander
Isaurat, który wstąpił na

ochotnika do rewolucyjnej armii francuskiej generała Dumourieza, poległ od kuli austriackiej w bitwie pod Jemappes.

Jednocześnie z kraju dochodziły ponure wiadomości o podpisaniu przez zaborcze mocarstwa drugiego rozbioru Rzeczypospolitej, co było bolesnym zaskoczeniem nawet dla targowiczian oraz o hańbie Sejmu Grodzieńskiego, który ratyfikował traktaty rozbiorowe, nadając im pozór legalizmu. Ale kraj nie poddawał się zniewoleniu. Organizowano patriotyczne spiski, konspiracja szerzyła się w wojsku, gromadzono broń. Oczekiwano od przebywających na emigracji przywódców hasła do zbrojnego powstania.

Wszystko to przyczyniło się do postępującej radykalizacji nastrojów w wychodźstwie polskim. Szczególnie był na nią podatny generał Zajączek - radykał z temperamentu, od dawna już łakomie nasłuchujący rewolucyjnych nowinek z Paryża. Zwłaszcza że ostatnie dekrety paryskiej Konwencji Narodowej zapowiadały braterstwo i pomoc rewolucyjnej Francji dla wszystkich ludów, pragnących odzyskać niepodległość i obalić u siebie feudalizm.

Radykalnemu generałowi majorowi coraz trudniej było się porozumieć z umiarkowanymi przywódcami "konstytucjonistów", przebywającymi w Wiedniu. Tamci wyobrażali sobie przyszłe powstanie jako akcję wyłącznie wojsk regularnych, a cele powstańcze ograniczali do przywrócenia Konstytucji 3 Maja i wskrzeszenia rozbitego przez targowicę bloku szlachecko-mieszczańskiego. Program Zajączka był o wiele radykalniejszy i bliższy rewolucyjnym wzorom francuskim. Przewidywał masowy ruch

powstańczy, oparty głównie na mieszczańach i chłopach. Pojętny uczeń Kołłątaja bez udziału chłopstwa w ogóle nie wyobrażał sobie zwycięstwa insurekcji, dlatego dla pozyskania mas chłopskich żądał likwidacji poddaństwa i pańszczyzny.

W sierpniu 1793 roku Zajączek opuścił Wiedeń i przeniósł się do Saksonii, aby połączyć się z przywódcami emigracyjnymi o poglądach bliższych jego własnym. Przede wszystkim: z Kołłątajem, którego bieg wydarzeń zdażył już gruntownie wyleczyć z lekkomyślnych mrzonek o porozumieniu z targowicą.

Krażąc między Lipskiem a Dreznem, radykalny generał_major stał się wkrótce najbliższym współpracownikiem Kołłątaja i Kościuszki. Sprawiedliwa biografka wystawia piękne świadectwo jego ówczesnej działalności.

"Młody, rzutki i niezmiernie energiczny, a przy tym tchnący gorącym patriotyzmem Zajączek - pisze pani Nadzieja - rozwija w tym okresie szeroko zakrojoną i skuteczną działalność. Z polecenia Kościuszki objeżdża cały kraj, jest "incognito" we wszystkich niemal głównych ogniskach rodzącego się i rozwijającego się ruchu powstańczego, bada stan przygotowań, udziela spiskowcom rad i wskazówek. Jeździ też do Wiednia, Drezna, i Paryża, gdzie roznosi i rozpowszechnia hasła powstańcze. Niezwykle czynny i rzutki, nieustrudzony, oddał ogromne usługi sprawie powstania i był powszechnie ceniony. Swą postawą i działalnością pozyskał sympatię i zaufanie Kościuszki i Kołłątaja, czego mamy niezbite dowody w dalszym jego życiu. Trzeba również podkreślić, że

należał on wtedy do grona
najradykalniejszych ludzi w
Polsce (...) "był również jednym

z najbardziej świadomych i
zdecydowanych demokratów".

Jedynie co do młodości
Zajączka pani Nadzieja nieco
przesadza: generał_major był już
wtedy po czterdziestce,
natomiast pozostałe pochlebne
opinie znajdują pełne pokrycie w
wiarygodnych świadectwach
pamiętnikarskich. Przydaje
chwały Zajączkowi z tamtych
czasów nawet, tak bardzo go
później nienawidzący, Julian
Ursyn Niemcewicz.

Najlepszym dowodem ówczesnej
popularności i ważności Zajączka
był fakt, że kiedy w początkach
września 1793 roku Kościuszko
po raz pierwszy wybrał się
konspiracyjnie do kraju, aby
naocznie się rozeznać w
przygotowaniach do wolnościowego
zrywu - wziął z sobą na
współemisariuszy: Rafała
Koźłataja, starszego brata
księdza_podkanckerzego oraz
właśnie Zajączka. Desygnowany
naczelnik insurekcji musiał się
liczyć z możliwością szybkiego
rozpoczęcia działań, gdyż przed
opuszczeniem Saksonii
sporządzono na wszelki wypadek
Akt Powstania oraz ułożono
odpowiednie instrukcje.

Dnia 11 września 1793 roku
Kościuszko i jego towarzysze
spotkali się na Pogórze
krakowskim z emisariuszami
konspiracji krajowej. Następnie
Kościuszko wysłał Zajączka do
Warszawy, gdyż w razie wybuchu
powstania jemu był zdecydowany
powierzyć kierowanie akcją w
stolicy.

Zajączek pojechał do Warszawy
w przebraniu i pod nie swoim
nazwiskiem. Przebywał tam sześć
dni, spotykając się z

organizatorami powstania (między innymi: ze swoim przyjacielem generałem Antonim Madalińskim) i badając stan przygotowań do wystąpienia zbrojnego. W późniejszych relacjach pisemnych narzekał, "że przygotowania są

małe, porozumienia niedostateczne, ale przy pewnym nakładzie sił i pieniędzy można będzie dalsze przygotowania ożywić".

Żegnając się ze spiskowcami warszawskimi, kładł szczególny nacisk na pozyskanie dla powstania chłopstwa, jako "że w tej klasie prawdziwą siłę Polski uważać należy." Zalecał stołecznym konspiratorom, aby rozsyłali po wszystkich powiatach "patriotów gorliwych i zręcznych, którzy by lud ten oświecać mogli. Dał im poznać, jak ocalenie Rzeczypospolitej zawisło od tego kroku".

Druga misja Zajączka do kraju przypadła na przełom lat 1793_#1794. Wspominając ją w pamiętniku, nadal żalił się na niedostatki organizacyjne. "Nie miano ani oręża, ani koni, ani wszelkiego rodzaju zapasów... Szlachta pragnęła żywo zrzucenia gniewającego ją jarzma, ale chciałyby, aby wojsko samo usiłowania tego dopełniło i wcale bezczynną została. Sam pomysł o powszechnym włościan uzbrojeniu przerażał wielu właścicieli. Tak więc z własnym uczuciem w przeciwieństwie zostając, wahali się pomiędzy pragnieniem odzyskania niepodległości i bojaźnią utracenia praw sobie nad ludem wiejskim przywłaszczonych. Dziwaczna ta niepewność hamowała wszystkie czynności...".

Powtórny pobyt drezdeńskiego emisariusza w Warszawie zwrócił na niego uwagę władz rosyjskich.

Popędliwy Zajaczek sugeruje w pamiętniku, że to król Stanisław August zdemaskował jego "incognito" przed generałem Igelstr~omem, naczelnym dowódcą wojsk rosyjskich w Polsce - tym Igelstr~omem, którego Or_ot uwieczni później w szopce powstańczej:

Szewc Kiliński to był

majster,@ roboty nie chybił.@
Igelstr~oma wziął na klajster,@
goździkami przybił.@

Zajaczek - powiadomiony przez przyjaciół, że pomimo jego osobistego rozpoznania, tajna misja, w jakiej przyjechał, odkryta nie została - z właściwą sobie brawurą sam zgłosił się do Igelstr~oma i zażądał z nim rozmowy. Pisząc później o tym osobliwym spotkaniu, ograniczył się do stwierdzenia, że rosyjski generał był "srogi i pyszny" oraz, że wydał mu rozkaz bezzwłocznego opuszczenia Polski.

Pomimo ostrożnych raportów Zajaczka i innych emisariuszy - wykazujących jednoznacznie niewystarczające przygotowanie Polski - wzbierająca w kraju burza powstańcza była już nie do opanowania. 24 marca 1794 roku przybył z Drezna Tadeusz Kościuszko ogłosił i zaprzysiął na Rynku Krakowskim Akt powstania.

Z obszernego materiału dokumentarnego o działalności powstańczej generała Zajaczka, jaki zebrała w swej książce Jadwiga Nadzieja, wyraźnie wynika, że tak chwalony przez biografkę spiskowiec, emisariusz, organizator i ideolog powstania - sprawiał się znacznie gorzej jako dowódca

wojskowy. Ujmując rzecz ściślej:
Zajączek wypełniał swe zadania
bojowe dobrze tylko tam, gdzie
nie był dowódcą samodzielnym, a
wykonywał cudze rozkazy. Dzięki
swej brawurowej odwadze i
szybkości decyzji potrafił być w
boju nieocenionym subalternem.
Tak było w bitwie pod
Raclawicami, gdzie dowodząc
lewym skrzydłem, walnie się
przyczynił do ogólnego
zwycięstwa. Kościuszko w swoim
"Raporcie pierwszym narodowi
polskiemu o zwycięstwie pod

Raclawicami" oddał
sprawiedliwość jego zasługom,
wymieniając go wśród tych, co
"szczególniej się dystyngowali".
Za Raclawice otrzymał Zajączek
awans na generała lejtnanta.

Ale w dwa miesiące później -
wydźwięty na dowódcę korpusu -
zawalił haniebnie operację
bojową pod Chełmem. W
samodzielnie dowodzonej akcji
odwaga osobista i kawaleryjska
brawura nie mogły już pokryć
braków w wojennym rzemiośle.
Przegranej bitwie pod Chełmem
zawdzięczamy kapitalny portret
generała lejtnanta Zajączka
"odrysowany z natury" w
"Pamiętnikach", przebywającego
wówczas w Lublinie, Kajetana
Kozmiana.

"W jednej chwili - wspomina
Kozmian - rozbiegły się w
Lublinie wieści o przegranej
bitwie przez generała Zajączka
pod Chełmem. Poranieni
rozszerzyli postrach
przesadzając klęskę (...)
Komisja lubelska w oczekiwaniu
pewniejszych wiadomości odbywała
zwyłe posiedzenie, gdy wszedł do
jej sali mężczyzna wysoki,
przystojny, w ciemnej bajowej
wołoszce z czarnym bandoletem
przez ramiona; włosy na głowie
gładko uczesane, śmiały krok,

jakim ku przodującym postępował,
wydawały wojskowego wyższej
rangi. Gdy się zbliżył, rzekł
dobitnym głosem: "Jestem generał
Zajączek. Nie byłem szczęśliwy
odeprzeć silniejszego
nieprzyjaciela pod Chełmem,
cofam się, lecz pod Lublinem
bić się zamyślam. Czy są
przysposobione środki obrony dla
miasta, bo może będzie
wystawione na walki po ulicach".
Na to jeden z członków Komisji,
Tomasz Dederko, już podeszły
wiekiem, który się był ożenił z
młoda żoną i posiadał w Lublinie
na Panny Marii ulicy dom piękny,
świeżo wystawiony, ale drewniany
- odezwał się: "Panie Jenerale,

w cóż się nasze domy obróca?" Na
to generał w żywym uniesieniu:
"Kto Wć Pan jesteś? I Wć Pan
myślisz o swoim domu, kiedy
ojczyzna woła o ofiary życia i
majątku! Wć Pan nie powinienes
tu siedzieć, nie masz ducha
patriotycznego i jeszcze go
zabijesz u drugich. Ja cię każę
w kajdany okuć i do sądu
kryminalnego do Warszawy
odeszłę".

Na to Grabowski, pokomorzy
krasnostawski, znajomy dawny
generała odezwał się: "Panie
Jenerale, nie posadzajmy się".
"Cóż mi Wć Pan zarzucasz?" -
odparł z gniewem Zajączek. "Że
nie wygrałem bitwy? Bronić się
będę pod Lublinem i w Lublinie.
Czy są skóry mokre do pokrycia
dachów, czy są narzędzia do
gaszenia ognia, czy jest
generalne powstanie?" "Prosimy o
dowódcę - zawołali wszyscy - aby
się z nami naradził, a wszystko
będzie". "Powinno już być -
rzekł generał - przyszłę
dowódcę, ale to na próżno, bo w
tym województwie nie ma ducha
patriotycznego" - i w
największym gniewie wyszedł.

Grono Komisji jakby uderzone piorunem oniemiało i nie wiedziało, co ma czynić".

Pani Nadzieja bardzo surowo ocenia lubelski występ bohatera swej książki: "Postępowanie Zajączka z komisją potwierdza raz jeszcze, że generał nie miał walorów niezbędnych dla wodza. Swym nietaktownym zachowaniem wywołał skutek wręcz niepożądany. Komisja, obawiając się, by generał nie spełnił przypadkiem swych gróźb, uciekła w nocy z 11 na 12 czerwca do Markuszowa, przenosząc tam jakby swoją jurysdykcję. Potem przy ewakuacji miasta Zajączek dotkliwie odczuł brak komisji."

Przy okazji biografka Zajączka zwraca uwagę na przyczyny jego narastającej niepopularności w wojsku i społeczeństwie

cywilnym:

"Zajączek nie należał do najprzyjemniejszych w obejściu ludzi: apodyktyczny, gwałtowny, nie przebierający w środkach i słowach, nie zdołał sobie zaskarbić sympatii podkomendnych. Zresztą generał Zajączek był już wtedy znany w całym wojsku i nie tylko w wojsku, jako jeden z najzagorzalszych "czerwieńców", tych, co chcą naśladować Francję. Wielu nie rozumiało jeszcze wówczas, do czego dążą jakobini_patrioci, nie widziało ich ofiarności, waleczności czy męstwa, nie znało och postępowego programu reform społecznych, lecz dostrzegało tylko i jedynie krwawych terrorystów, siepaczy stawiających szubienice w Warszawie. Z jednej strony Zajączek - gwałtowny jakobin - nie dowierzał tym, co myśleli tylko o ratowaniu króla i jego popleczników, z drugiej zaś

niejakobini nie mieli zaufania do "czerwieńca"."

Jak bardzo generał_lejtnant Zajaczek stał się niepopularny wśród oficerów swego korpusu, wykazały wydarzenia, które rozegrały się w obozie wojskowym w Piaskach Luterskich pod Lublinem, bezpośrednio po przegranej chełmskiej. Doszło tam do faktu bez precedensu w nowożytnej historii wojska polskiego. Cała starszyzna oficerska korpusu, od dowódców dywizji do podpułkowników - po przeprowadzeniu zbiorowo miażdżącej krytyki dowodzenia Zajaczka pod Chełmem - zażądała od niego złożenia dowództwa. Był to formalny rokosz na staroszlachecką modłę. Nie ulega wątpliwości, że spowodowały go nie tylko względy czysto wojskowe, lecz także wrogość polityczna wobec dowódcy korpusu. Prowodyrem rokoszu był generał_major Filip Hauman,

protegowany króla Stanisława Augusta i sztandarowy antyjakobin w armii powstańczej.

Zajaczek wykazał twardość w tej niezwykle ciężkiej próbie. Zażądał sformułowania na piśmie uchwały rokoszu oficerskiego, po czym przesłał ją Kościuszce. Naczelnik stanął całkowicie po stronie swego zaufanego współpracownika z konspiracji przedpowstaniowej i ostro przywołał do porządku zbuntowanych oficerów, przenosząc niemal wszystkich do innych jednostek na mniej ważne stanowiska.

"Tam więc rokosz został zlikwidowany - podsumowuje smętnie autorka książki o Zajaczku - ale jego skutki jeszcze długo pozostały, podrywając autorytet wodza i siejąc zamęt w szeregach

wojska."

I rzeczywiście: aż do końca powstania generał_lejtnant Zajaczek herbu Świnka ponosić będzie przykre konsekwencje swojej - w pełni zresztą uzasadnionej - opinii najbardziej zaciętego jakobina w powstańczym korpusie oficerskim. Inna rzecz, że Zajaczek nie byłby Zajączkiem, gdyby jego żarliwy jakobinizm na modłę francuską nie przybierał niekiedy form zgoła humorystycznych. Dowód na to odnaleźć można w pamiętniku posła na Sejm Wielki, Antoniego Trębickiego - niegdyś członka Kołłatajowskiej Kuźnicy, później - targowiczanina i zajadłego wroga powstańczych czerwieńców. Scena opisana przez Trębickiego rozegrała się ponoć na sesji Rady Najwyższej Narodowej, czyli cywilnego rządu powstania - powołanego przez Kościuszkę. W tym to dostojnym gronie Zajaczek wygłosić miał przemówienie, nakłaniające do pełnego naśladowania francuskich rewolucjonistów. Zalecał, aby

krocząc ich śladem, polscy przywódcy powstania wyrzekli się "szlachectwa, jego tytułów i zaszczytów, i nawet nazwisk". We Francji rzeczywiście istniała taka praktyka: francuscy sankiuloci często przybierali sobie nowe nazwiska, zapożyczone przeważnie od starożytnych bohaterów. W ówczesnym Paryżu roiło się od rozmaitych Hektorów, Brutusów, Arystydesów i Mariuszów. Ale, wyprany całkowicie z poczucia humoru, jakobin warszawski wpadł na pomysł zgoła odmienny. Oświadczył, że "aby dał przykład z siebie, przestaje zwać się Zajączkiem i bierze odtąd nazwisko Ananasa". Skąd przyszło

mu na myśl tak nieadekwatne do okoliczności nazwanie, można tylko zgadywać. Najprawdopodobniej - ze zwykłego łośuchostwa. O jego łośomstwie w późnym jeszcze wieku pisał Kajetan Koźmian, o jego szczególnym upodobaniu do soczystych owoców południowych wiadomo ze wspomnień kronikarzy wyprawy egipskiej Bonapartego. W Polsce końca XVIII wieku ananasy były nowalijką, na którą się snobowano. Każdy wielmoża starał się w swych ogrodach hodować ananasy. Mieli swoje ananasarnie: król - w Ogrodzie Saskim, Królewski brat Kazimierz - na Solcu, Potoccy - w Wilanowie. Możliwe, że Zajączek chciał upiec na jednym ogniu dwie pieczenie: nazwać się od owocu, który uważał za najdoskonalszy wytwór natury, a jednocześnie obrzydzić ten owoc jego arystokratycznym hodowcom. W każdym razie mało brakowało, a lista starszyny wojskowej insurekcji kościuszkowskiej wzbogaciłaby się o nową postać: "generała_lejtnanta Ananasa". Zapobiegł temu obecny na zebraniu członek wydziału wojskowego Rady Najwyższej Narodowej, Jan Nepomucen Horain.

Był to bliski współpracownik Zajączka, lecz miał poczucie humoru, którego tak beznadziejnie brakowało jego starszemu koledze. "Jak to - zawołał Horain - składasz nazwisko najnikczemniejszego zwierzątka, byś go zamienił na najpiękniejszą roślinę? Cóż na tym tracisz, kto twemu patriotyzmowi uwierzy?"

Roześmiali się wszyscy, wniosek upadł...

Ale zażarty jakobinizm Zajączka nie zawsze przyjmowany był tak wesoło. Częściej budził

niepokój i grozę. Zwłaszcza w sierpniu i wrześniu 1794 roku, kiedy jakobiniński generał, z powołania Naczelnika Kościuszki, pełnił urząd prezesa Sądu Kryminalnego Wojskowego.

Ustanowienie 19 sierpnia 1794 roku - w miejsce dotychczas funkcjonującego cywilnego Sądu Kryminalnego Księstwa Mazowieckiego - doraźnego trybunału rewolucyjnego, bo tym właśnie miał być w swej istocie Sąd Kryminalny Wojskowy, pozostawało w ścisłym związku z dramatycznymi wydarzeniami z 9 maja i 28 czerwca 1794 roku. W dniach tych - pod naciskiem rozkołysanych przez jakobinów mas ludowych - odbyły się na Rynku warszawskim publiczne egzekucje wyciągniętych z więzień, szczególnie skompromitowanych dostojników targowickich. Wśród powieszonych znaleźli się dwaj hetmani (Piotr Ożarówski i Józef Zabiełło) oraz dwaj biskupi (Józef Kossakowski i Ignacy Massalski). Hetmani i biskupi na szubienicach! Tego jeszcze w Polsce nie było! Na Zamku Królewskim i w magnackich pałacach powiało grozą. Krążyły paniczne wieści, że hugoniści (tak od imienia Kołłataja nazywano warszawskich jakobinów) przygotowują listy proskrypcyjne, obejmujące króla, całą jego rodzinę i wszystkich

popleczników. W umiarkowanych kołach powstańczych odpowiedzialnością za samosady czerwcowe (w maju doszło jedynie do wymuszenia na sędziach wyroków na zdrajców - w czerwcu wieszano ich już bez wyroków) - obciążano Hugona Kołłataja, reprezentanta jakobinów w rządzie powstańczym oraz generała Zajączka, głównego czerwieńca w armii.

Dla uspokojenia opinii

Kościuszko kazał aresztować
agitatorów jakobińskich,
uznanych za bezpośrednich
podżegaczy do samosądów
czerwcowych. Wśród aresztowanych
znaleźli się dwaj młodzi
radykalni kaznodzieje
warszawscy: ksiądz Florian
Jelski i ksiądz Józef Mejer -
wielokrotnie już przedtem
upominani za polityczny
charakter swych kazań. Ale te
krótkotrwałe areszty nie były
żadnym rozwiązaniem. Naczelnik
powstania coraz lepiej rozumiał,
że zbiorowe wybuchy nienawiści
do zdrajców ojczyzny miały swe
główne źródło nie w agitacji
hugonistów, lecz w ogólnej
sytuacji zewnętrznej i
wewnętrznej powstania, a przede
wszystkim w opieszałości sądów w
karaniu targowiczian. Do
zbliżenia Kościuszki z
jakobinami przyczyniały się
także wiadomości nadsyłane z
Paryża przez Franciszka Barssa,
reprezentującego władze
powstańcze w rewolucyjnej
Francji. Wyrażano tam
zdziwienie, że "Kościuszko zbyt
łagodnie traktuje króla, a
surowo lud. 13 lipca Saint Just
oświadczył Franciszkowi
Barssowi, że rewolucja w Polsce
robiona przez szlachtę nie może
liczyć na pomoc jakobińskiej
Francji".

W początkach sierpnia, kiedy
wokół Warszawy zaczęła się
zacieśniać obręcz
interwencyjnych wojsk rosyjskich
i pruskich, fala ludowego gniewu

znowu poczęła rosnać i zanosilo
się na nowe samosady. Tym razem
ofiara paść miał brat
królewski: ksiązę prymas Michał
Poniatowski - ogólnie
znienawiedzony ideolog partii
dworskiej. W pierwszych dniach
sierpnia poczęły obiegać

Warszawę pogłoski o
przechwyceniu listu
księcia_ Prymasa do królewicza
pruskiego z wiadomościami o
najsłabiej bronionych punktach
miasta.

Rozwścieczony tłum warszawski
pociągnął pod Pałac Prymasowski.
Silne straże uniemożliwiły
wtargnięcie do wnętrza,
ograniczono się do wzniesienia
szubienicy przed pałacem.
Ostatecznie jednak do samosądu
nie doszło, gdyż w parę dni
później rozniosła się wieść o
nagłym zgonie Prymasa. Mówiono o
samobójstwie, wtajemniczeni
zapewniali, że to król podesłał
truciznę bratu, aby oszczędzić
mu haniebnej śmierci na
szubienicy. Ale w zgon
księcia_ Prymasa uwierzono
dopiero wtedy, gdy jego zwłoki
wystawiono na widok publiczny.
Ulotna poezja uliczna
zareagowała natychmiast:

Książę_Prymas@ zwąchał linę.@
Wolał proszek@ niż drabinę.@

W tydzień po śmierci Michała
Poniatowskiego powstał Sąd
Kryminalny Wojskowy. Zbieg dat
nie mógł być przypadkowy.
Kierownictwo powstania - w
którym coraz większą rolę
odgrywali hugoniści - musiało
uznać, że rewolucyjnym samosądom
da się zapobiec tylko w jeden
sposób: przez stworzenie
energicznego i zdecydowanego
trybunału rewolucyjnego,
zdolnego do szybkiego i
bezwzględnego karania zdrajców.

Nowy sąd był wojskowy i
jakobiński. Kościuszko,
ulegający coraz bardziej wpływom

Koźłataja i Ignacego Potockiego,
powołał na stanowisko prezesa
generała_lejtnanta Józefa
Zajączka. Sędziami zostali:

generał_lejtnant Antoni
Madaliński, generał_major
Franciszek Łażniński,
generał_major Gabriel Taszycki,
rotmistrz kawalerii narodowej
Rafał Kołłataj, pułkownik
artylerii koronnej Józef Górski,
major kawalerii narodowej
Walenty Bębnowski,
wicebrygadier Antoni
Gruszkowski, major Tomasz
Maruszewski i pułkownik Feliks
Gawdzicki. Przytłaczająca
większość sędziów, bo aż siedem
osób (wśród nich wszyscy czterej
generałowie), zaliczała się do
hugonistów.

Po ukonstytuowaniu się nowego
sądu, prezes Zajaczek wygłosił
przemówienie programowe,
odnotowane później w jego
"Historii rewolucji polskiej w
roku 1794". Zażądał od sędziów
ślubowania, że "ile okażą się
nieubłaganymi dla zdrajców i
fakcyonistów, tyle ułomnościom
przyrodzenia ludzkiego
przebaczać będą". Dla pełnej
wykładni tego rozróżnienia,
generał_prezes wyjaśnił, że
"pracowanie przy okopach (...)
za małej wagi przestępstwa,
śmierć zaś przeznaczoną była za
same tylko zbrodnie przeciw
narodowi popełnione".

W początkach urzędowania Sąd
Kryminalny Wojskowy ściśle
przestrzegał zaprogramowanej
łagodności. "Do 4 września na 16
rozpatrzonych spraw aż 14 osób
pośredniejszego stanu zostało
jako niepodejrzani uwolnionych.
Oczyszczeni od zarzutów, jeśli
mieli jakieś środki utrzymania,
uwalniani byli bez zastrzeżeń;
na własne życzenie mogli
wstąpić do wojska lub sąd
kierował ich do odpowiednich
urzędów, aby pracując na swoje
wyżywienie byli
pożyteczniejszymi krajowi."

Szczególną wielkoduszność
okazywali sędziowie Sądu
Kryminalnego Wojskowego ludziom,
aresztowanym w wyniku tumultów
majowych i czerwcowych. "W
kilku dniach uwolnili - brzmi
pamiętnikarska relacja Zajączka
- mnóstwo ludzi, których dlatego
tylko do więzienia wtracono, że
stronnikom królewskim strasznymi
byli."

Po uporaniu się ze sprawami
drobniejszymi, sąd zajął się
zbrodniami politycznymi,
zagrożonymi karą śmierci. 6
września 1794 roku, na zebraniu
całego kompletu sędziowskiego,
prezes Zajączek "przystąpił do
czytania nadesłanych przez
Deputację Indagacyjną zeznań
oskarżonego o zbrodnię przeciw
narodowi biskupa
chełmsko_lubelskiego Wojciecha
Skarszewskiego".

Proces biskupa Skarszewskiego
wywołał wielkie poruszenie w
Warszawie. Głęboko katolickiej
ludności stolicy, pomimo jej
nienawiści do targowiczian,
trudno się było pogodzić z
zagrożeniem szubienicą czwartego
z kolei przedstawiciela
hierarchii kościelnej. Tym
bardziej że biskup
chełmsko_lubelski nie był tak
źle notowany w opinii publicznej
jak senatorowie duchowni i
świeccy powieszani w maju i
czerwcu. Przede wszystkim
rehabilitowała go okoliczność,
że jego nazwiska nie było na
"liście pensjonalistów",
odnalezionej przez powstańców w
biurach ambasady rosyjskiej.
Przyznawał to nawet, acz z
wyraźną niechęcią i zgryźliwym
komentarzem, sam prezes Sądu
Kryminalnego Wojskowego.

"Wyobrażenie prawdziwej cnoty
tak było zatarte naówczas w
Polsce - głosi nota w pamiętniku
Zajączka - że ten prałat w
wielkiej części obywateli za
cnotliwego uchodził z przyczyny,
iż nie brał pensji od Moskwy."

Prezesowi Sądu Kryminalnego Wojskowego nie przesłaniało to jednak innych win oskarżonego biskupa: "Wotował on na rozbiór kraju, bezczelność swoją posunął do tego stopnia, że uwolnił publicznie członków sejmu od przysięgi przez nich uczynionej, że nikomu nie odstąpią posesji Rzplitej. Przyjął urząd kanclerza koronnego (podkanclerzego koronnego - M.B.) wtenczas gdy poczciwi i sumienni uciekali od wszelkiej dostojności. Zapytany, dlaczego wotował na rozbiór Polski i uwolnił Sejm Grodzieński od przysięgi wykonanej przez jego członków, odpowiedział, że oboje to uczynił dla uchronienia swego biskupstwa od ruiny. Komisja więc osądziła, że wart jest szubienicy".

Dnia 12 września w obecności sędziów i zgromadzonej publiczności porucznik audytor Józef Więckowski odczytał skazanemu obszerny wyrok, przesłany do wykonania prezydentowi miasta Zakrzewskiemu. Władze kościelne zawiadomiono, że biskup Skarszewski został skazany na karę śmierci przez powieszenie "za przykładanie się do zguby i podziału ukochanej Ojczyzny".

Niezależnie od przyczyn zasadniczych Skarszewski był dla hugonistów postacią szczególnie nienawistną ze względów, by tak rzec: uboczno_personalnych - o czym napomyka w swych wspomnieniach Zajączek. W 1792 roku, po ucieczce z kraju Kołłątaja, biskup Skarszewski przejął z ramienia targowicy jego urząd: podkanclerstwo koronne.

Wyrok na Skarszewskiego wywołał wstrząs na dworze i wśród wyższego duchowieństwa. "Król zadrżał czytając ten wyrok - wspomina Zajączek - i z

własnych ust jego usłyszano te
słowa: "Na osądzenie mnie samego

nie trzeba, tylko przekopiować
akt takowy".

Od przebywającego w obozie
wojskowym poza Warszawą
Naczelnika Kościuszki poczęto z
różnych stron domagać się
złagodzenia wyroku. Zajączek
zdaje w swoich wspomnieniach nie
wolną od złośliwości relację z
tych zabiegów: "Król użył
wszystkich środków na uratowanie
winowajcy. Zakrzewski w tym
zamiarze działał z gorliwością.
Nuncjusz papieski złączył się z
nimi. Dwie także metresy biskupa
skazanego na śmierć intrygowały.
Na koniec takich sprężyn ruszyła
kabała, iż Kościuszko zmordowany
tytu naprzykrzaniem odmienił
karę śmierci na wyrok
dożywotniego więzienia".

Trudną sytuację Kościuszki
opisuje najlepiej jej świadek
naoczny, ówczesny adiutant
Naczelnika, Julian Ursyn
Niemcewicz.

"Skazany dekretem Zajączka
Skarszewski na szubienicę
przeraził dwór, duchowieństwo,
wielu więcej może jak on
poczuwających się do winy.
Przyjechał więc do obozu naszego
nuncjusz apostolski Litta i w
uczonej, długiej, patetycznej
mowie prosił Naczelnika o
darowanie życia biskupowi (...)
Kościuszko, z natury z
ciężkością tłumaczący się, nigdy
w życiu nie mówiący w
publiczności, zmieszał się na
perrorę nuncjusza i zajękiwając
się niezrozumiale mu
odpowiedział. Nazajutrz dekret
miał być podpisany. Kościuszko
całą noc spać nie mógł: leżący w
tymże namiocie obok niego
widziałem, że się srogo pasował
z sobą nie chcąc atoli nigdy
najmniejszego w decyzję jego

(mieć) wpływu, milczałem. Alić nade dniem: - Czy śpisz? - zapytał mnie. - Nie śpię - odpowiedziałem. - Cóż ja mam robić z tym Skarszewskim? - Co ci się zdaje najlepiej. Powiedz

mi otwarcie twoje zdanie. - Powiem, jeśli tak rozkazujeś. Sądzę, że między Skarszewskim a Rzewuskim, Szczęsnym, Branickim, którzy z wojskiem moskiewskim najechali ojczyznę, między Massalskim, Kossakowskim, Czetwertyńskim etc., co brali od nich pieniądze i za nie kraj swój przedali, wielka jest różnica: a jeśli jest różnica w występkach, jakże Skarszewski, mniej winny, ma jednej z nimi karze podlegać. Nad to czy powieszenie jego stanie się dla sprawy naszej pożytecznym, czy nam doda żołnierza, pieniędzy, broni? Da tylko powód nieprzyjaciołom naszym do mieszania przez te krwawe egzekucje sprawy naszej z sprawą jakobinów francuskich; czy nie lepiej byłoby - przydałem - karę śmierci na wieczne przemienić więzienie? - Masz rację - zawołał Naczelnik i natychmiast zmianę dekretu tego podpisał. Posłany wyrok Kościuszki do Warszawy już zastał Skarszewskiego w kościele, gdzie mu zdejmowano poświęcenie biskupie. Rozgniewał się Zajączek, nie śmiał jednak wybuchnąć z popędliwością swoją. To ocalenie życia Skarszewskiemu, z końcem rewolucji powróciło go do biskupstwa. Za rządów atoli cnotliwego króla saskiego (tzn. w Ksistwie Warszawskim - M.B.) nie wolno mu było się znajdować w Warszawie ni w senacie, nigdy mu bowiem bogobojny pan ten nie mógł tego darować, że był jednym z tych, którzy sejm grodzieński

od przysięgi rozwiązywali. Za cara Aleksandra Skarszewski postąpił na prymasostwo, a co się tylko w krajach rewolucjom podległych zdarzać może, tenże Zajączek, co go na szubienicę sądził, siada koło niego u stołu cesarskiego, odwiedza go i przyjmuje u siebie."

Ale zapis Niemcewicza zbyt

daleko wybiega w przyszłość. Na razie jest wrzesień 1794 roku. Zajączek czyta ze wściekłością dekret Kościuszki, zmieniający Skarszewskiemu karę śmierci na dożywotnie więzienie. Do dekretu dołączony jest list urzędowy do prezesa Sądu Kryminalnego Wojskowego, w którym Naczelnik, przyznając słuszność wyrokowi, a nawet chwalać go i potwierdzając we wszystkim, tłumaczył, że "złagodził go, aby dać poznać Ojcu Świętemu, że naród wolny żadnej religii nie prześladowuje, ani krwi zdrajców, gdy są ludźmi, chciwy nie jest."

Zajączek nie dał się ułagodzić Kościuszce. Jak zawsze - skrajny w swych osądach, uznał, że Naczelnik swą niewczesną ingerencją naruszył zasady rewolucyjnej sprawiedliwości. Dla zademonstrowania swego protestu podał się do dymisji ze stanowiska prezesa Sądu Kryminalnego Wojskowego. W swoich apologetycznych wspomnieniach z roku 1794 tak to opisał:

"Zajączek, którego charakter moralny daleki był od surowości, jakiej jego funkcja wymagała, widząc, że ostrość jego, którą na sobie wymuszał, próżna się stawała przez łagodność Kościuszki, złożył prezydencję swoją. Surowość jego nie miała na celu, jak tylko przywrócenie stopniami narodowi jego dawnej w charakterze rzetelności."

Pamiętnikarski zapis szafarza rewolucyjnej sprawiedliwości brzmi bardzo pryncypialnie. W praktyce Zajaczek, w znacznie większym stopniu niż wyrozumowanymi zasadami, kierował się impulsami uczuciowymi: sympatii bądź nienawiści. W tym samym czasie, gdy tak gwałtownie domagał się stryczka dla Skarszewskiego, równie gwałtownie bronił przed stryczkiem, o wiele bardziej winnych od biskupa, swoich

dawnych protektorów: Ksawerego Branickiego i Szczęsnego Potockiego, chociaż w wypadku tych ostatnich chodziło jedynie o symboliczne powiększenie ich portretów, gdyż główni przywódcy targowicy zdążyli przed wybuchem powstania zbiec z kraju.

Z tej obrony głównych zdrajców ojczyzny tłumaczy się w sposób niezbyt przekonujący w swojej "Historii rewolucji..."

"Łaska wyświadczona prałatowi hypokrycie przyspieszyła ukaranie Feliksa (Szczęsnego) Potockiego, Branickiego i Rzewuskiego. Kościuszko, którego nieukontentowanie powszechne, sprawione przez jego występki względem Skarszewskiego, bardzo trapiło, obawiał się spóźnić z obwieszczeniem dekretu, skazującego na śmierć trzech wymienionych zbrodniarzy, a ponieważ oni znajdowali się wówczas za granicą, powieszono więc tylko ich portrety. Szczęsny Potocki i jego koledzy mniej byli winni w oczach patriotów niż Stanisław August (...) Żałowano szczególnie Szczęsnego Potockiego i Branickiego, pragniono, aby naprawili swój błąd i mniemano, że mają jeszcze zdolne serca do żalu. Starano się nawet

następować im sposobność do tego. Oprócz tego ci dwaj ostatni, niezmiernie bogaci, mogli działać pomyślnie dla dobrej sprawy insurekcją mocną od 20.000 do 30.000 uzbrojonych przez same zaciągi w ich dobrach."

Rozwścieczony dwoma niepowodzeniami osobistymi: wyrwaniem mu spod stryczka biskupa Skarszewskiego i powieszeniem "in effigie" dawnych protektorów - Zajęczek złożył "prezydencję" Sądu Kryminalnego Wojskowego i pomimo usilnych perswazji Kościuszki decyzji tej nie cofnął.

Nie było to dla niego szczęśliwe posunięcie. Bo gdyby pozostał prezesem sądu, to kto wie: może Kościuszko, wyruszając pod Maciejowice, nie powierzyłby mu naczelnego dowództwa w Warszawie i oszczędzony byłby mu najbardziej żalony epizod jego epopei powstańczej: obrona Pragi - która stać się miała dla niego tragicznym przełomem życiowym, rzucającym cień na wszystkie jego późniejsze lata.

Wydarzenia praskie rozegrały się w pierwszych dniach listopada 1794 roku. Powstanie dogasało. Wiedziano już o klęsce pod Maciejowicami i dostaniu się do niewoli Naczelnika. Wobec ogólnego upadku ducha, władzę przejmowały elementy skrajne. Prowadziło to do panicznych plotek. "Jest mniemanie - stara się rozbrajać te plotki w swoim pamiętniku Zajęczek - że oni (jakobińscy przywódcy powstania - M.B.) przywieźdzeni do rozpacz, widząc powszechny upadek ducha, uformowali projekt przyprowadzenia armii i mieszkańców do tego punktu, aby wszyscy byli zniewoleni ostatnią koniecznością zginąć lub

zwyciężyć. Podług autorów tej potwarczej wieści, miano zamordować króla, wyrżnąć jego rodzinę, partyzantów (stronników - M.B.) i niewolników moskiewskich będących w liczbie 6.000. A ponieważ takowa rzeź nie pozostawiała nadziei pardonu, mieszkańcy więc byliby przymuszeni z ostateczną działac zapalczywością. Zajączek, Kołłataj mieli być dowódcami tego projektu."

Znając przywiązanie Kołłataja i Zajączka do wzorów rewolucji francuskiej, trudno wykluczyć, że podobne rozwiązanie mogło im się snuć po głowach. A trzeba pamiętać, że Kołłataj odgrywał wtedy ważną rolę w rządzie powstańczym, a Zajączek - do czasu przyjazdu do stolicy

generała Tomasza Wawrzeckiego, wybranego po Maciejowicach na nowego Naczelnika insurekcji - sprawował władzę naczelnego wodza. Ale nawet jeżeli taki desperacki plan pod uwagę brano, to pozostał on jedynie w sferze nie sprawdzonych plotek. W każdym razie istnienie takich plotek mówiło wiele o nastrojach, w jakich rozpoczynał Zajączek obronę Pragi przed nacierającymi korpusami generałów rosyjskich; Derfeldena, swego pogromcy spod Chełma, oraz sławnego Suworowa.

Po nadejściu do Warszawy wieści spod Maciejowic o wzięciu przez Rosjan do niewoli rannego Kościuszki, generał Zajączek, jako głównodowodzący w stolicy, wydał następujący "Rozkaz do Wojska":

"...Koledzy, dlatego on (Kościuszko - M.B.) temu smutnemu popadł losowi, że nie wszyscy tę mieli co on odwagę, że pierzchliwi opuścili go w pośród nieprzyjaciół. My więc bracia, my szczerze do niego

przywiązani, okażmy, iż ma w nas
godnych mścicieli, że duch jego
przelany jest w serca nasze i
że, nim ożywieni, umiemy
utrzymać tę świętą sprawę, za
którąśmy walczyli, przysięgali i
której obrona ściągnęła nas pod
chorągwie nieodżałowanego
Naczelnika naszego.

Spodziewam się (...) iż (...)
będziecie wierni obowiązkowi
waszemu i nikt z was niewczesną
trwogą nie będzie przerażał
współtowarzyszów w ten czas,
kiedy wraz z odważnym ludem
warszawskim, i z całym ludem
polskim, zachęcać się i zapalać
powinniście do pomszczenia się
nad nieprzyjacielem (...)
każdy wasz czyn waleczny
największą sprawi w sercu jego
(Kościuszki - M.B.) pociechę; bo
będzie mógł z chlubą powiedzieć,
iż był wodzem ludzi odważnych."

W zestawieniu z tą podniosłą
odezwą jak ponure szyderstwo

brzmia relacje o wydarzeniach,
które w kilkanaście dni później,
z udziałem tegoż generała
Zajączka, rozegrały się na
szańcach Pragi.

Wszyscy, bez wyjątku,
historycy wojskowości,
analizujący zorganizowaną i
prowadzoną przez Zajączka obronę
Pragi, nie pozostawiają suchej
nitki na niedoszłym "generale
Ananasie". Najbardziej
kompetentny Waclaw Tokarz takie
wystawia mu świadectwo: "Nic go
(...) wytłumaczyć nie może z
fatalnej obrony Pragi. Sam wybór
pozycji obronnych, nie
zapewniających drogi odwrotu w
razie przegranej, wskutek czego
taką moc uciekających żołnierzy
pochłonęła Wisła, świadczył źle
o Zajączku jako wodzu (...).
Poza tym pozwolił się zaskoczyć
niespodzianie (...) jako wódz
nie zachował najprostszych

środków ostrożności i obrony i z tej racji ponosił sporą część odpowiedzialności za te tysiące wybitego żołnierza polskiego."

Jeżeli tak osadzają Zajączka obiektywni historycy, to łatwo można sobie wyobrazić, jak reagowała "na wydanie Pragi na rzeź" przez nienawidzonego prezesa Sądu Kryminalnego szalejąca z gniewu, rozpacz i trwogi, powstańcza stolica.

Zajączek w swoim pamiętniku stanowczo odpiesza wszystkie zarzuty, współczesnych i potomnych. Tłumaczy, że "był celem kabały zuchwałej, starającej się zawsze złe dać wrażenie względem jego renomy". Przyznaje jednak, że "nigdy nie praktykował wojny, a gmin nie wierzy temu, aby same książki i medytacje mogły uformować generała".

Stara się też wyjaśnić, dlaczego - posadzany o brak kompetencji wodzowskich - nie zrzekł się dowództwa powierzonego mu przez Kościuszkę. "Gdyby był Zajączek

złożył komendę, którą starano mu się przez wszystkie rodzaje zgryzot obmierzić, partia patriotyczna (czytaj: jakobini - M.B.) byłaby wystawiona na niebezpieczeństwo być oddaną w ręce Moskali przez rojalistów."

Swoje zachowanie w ostatniej - najostrożniej krytykowanej - fazie bitwy praskiej przedstawia w sposób raczej dla siebie pochlebny:

"Zajączek został ciężko rannym i otoczonym; miał jednak dość mocy do przerżnięcia się przez szeregi nieprzyjaciela. Wziąwszy się w prawo, napotkał swoich ratujących się w nieporządku ucieczką. Wszystkiego on użył i oficerowie jego dla zatrzymania ich i przywrócenia im odwagi,

ale nie można było nic dokazać
(...) Osłabiony wskutek upływu
krwi, widząc, że wszystkie są
wysiłki daremne, a Rosjanie
zbliżają się do jedyne go mostu
na palach, przerzuconego od
ulicy Brukowej do Bednarskiej -
uszedł z placu boju."

Świadkowie zdarzeń oceniali
katastrofę praską mniej
korzystnie dla Zajączka.
Najpierw struchlała Warszawę
obiegła, roznoszona przez
"królewskich" plotka, że całe
jakobińskie dowództwo uciekło od
razu z pola walki, pozostawiając
żołnierzy i ludność cywilną na
łup wroga. Ale to nie chwyciło.
W Warszawie już wiadano, że
bezpośredni podwładny Zajączka -
równie jak on żarliwy
czerwieniec - żołnierz_poeta
("Król zdradził swój naród, więc
ma być zabity") generał Jakub
Jasiński ("Młodzian piękny i
posępny") swoim upartym aż do
śmierci trwaniem na szanłcach
Pragi wpisał się w poczet
polskich bohaterów narodowych.
Natomiast samego generała
Zajączka osadzano bez litości.
Wiersze ulotne znowu nawiązywały
do jego nazwiska:

Ów obrońca okopów, sławny z
swej odwagi, @ co najpierw przed
wschodem słońca uciekł z Pragi. @
No i w przeciągu minut
kilkunastu prawie @ oddał na rzeź
to miasto i skrył się w
Warszawie, @ który jak lud
zaręcza i z nim młódź gorąca, @
że miał imię i nogi, i serce
zająca. @

Wiersz wyraża główny zarzut
stawiany Zajączkowi, przez jego
współczesnych. Niemal wszyscy
kronikarze zdarzeń oskarżają go
o to, że zbyt wcześnie wycofał
się z pola walki: że - wbrew

jego własnym twierdzeniom -
odniesiona przez niego rana ręki
nie była na tyle poważna, aby
mogła taki postępek
usprawiedliwić; że - osadzając
rzecz według praw obowiązujących
na froncie - dowódca obrony
Pragi zachował się po prostu jak
zwykły tchórz.

Trudno w to uwierzyć.
Dotychczas zarzucano Zajączkowi
braki w wykształceniu i
doświadczeniu wojennym.
Twierdzono, że zatracał się w
prowadzeniu samodzielnych
operacji strategicznych na
większą skalę. I te zarzuty nie
były pozbawione podstaw. Ale o
osobiste tchórzostwo nie
oskarżał go nikt. Przeciwnie:
często mówiono o jego odwadze
wręcz przesadnej, o
kawaleryjskiej brawurze. Jak
więc wytłumaczyć to, co się
stało na Pradze?

Może zbyt nie popuszczam wodze
fantazji, ale niezrozumiałe
załamanie Zajączka kojarzy mi
się nieodparcie z pewną
rozmową, odbytą w dwanaście lat
po bojach praskich. Odnotował ją
w swoich "Pamiętnikach"
przyjaciel i pierwszy biograf
Zajączka, Kajetan Koźmian.

"Słyszałem z ust Juliana
Niemcewicza - wspomina Koźmian -
w chwili, w której się jeszcze
nie stał jego (Zajączka)

antagonistą i nieprześląganym
nieprzyjacielem, iż żyjąc z nim
w najpoufalszej przyjaźni w
czasie wojny Napoleona z Prusami
i znając Zajączka patriotyzm, a
nie mogąc pojąć, dlaczego służbę
francuską przenosi nad polską i
wzbrania się munduru
napoleońskiego zamienić na
narodowy, kiedy Polska powstaje,
Zajączek mu odpowiedział:
"Wiesz, co ci powiem? Wszystko
to diabła warto, będziemy

Moskalami!" Dodał mi Niemcewicz:
"Nie wiem, czyli on znał tak
dobrze Napoleona, że o
szczerości jego intencji wątpił,
lub też bystrym okiem przejrzał
i zgadł przyszłość"."

Nie głowiłby się może
Niemcewicz tak bardzo nad
motywami dziwnej wypowiedzi
Zajączka, gdyby był głębiej
wejrzał w jego biografię. Gdyby
wziął pod uwagę, że przez
kilkanaście lat, dzień po dniu,
hetman Branicki wbijał w głowę
swemu adiutantowi
przeświadczenie o nieuchronnym w
przyszłości zdominowaniu Polski
przez Rosję, o konieczności
"przelania narodowości polskiej
w bryłę narodu potężniejszego",
o tym, że prędzej czy później
każdy Polak będzie musiał się
stać Rosjaninem. Czyż sam hetman
nie mawiał o sobie: "Je suis
Russe?"

Oczyszczająca burza Sejmu
Wielkiego, a potem wybuch
powstania - odczarowały Zajączka
z tych zaklęć hetmańskich. Ale
wówczas - w nocy z 3 na 4
listopada 1794 roku, na szanłach
miażdżonej kartaczami Pragi, w
obliczu nieuchronnej już klęski
powstania, kiedy usiłował
powstrzymać bosych, półnagich,
nędznie uzbrojonych powstańczych
żołnierzy, wycofujących się w
popłochu przed postępującą
naprzód połyskliwą ścianą
suworowskich bagnatów - wtedy
mógł znowu ujrzeć przed sobą
szydlerczo uśmiechniętą twarz

pana na Białej Cerkwi i znowu
mogło go porazić hetmańskie
mane, tekeli, fares: wszyscy
będziemy Moskalami! I tak go to
przypomnienie mogło przejąć i
oszołomić, że kompletnie upadł
na duchu i, nie bacząc na
konsekwencje, opuścił swe wojsko
i schronił się do Warszawy.

Wydaje mi się jeszcze, że z tego załamania praskiego nie podźwignął się już nigdy. Tłumaczyłoby to wiele z jego późniejszego życia, nie tylko ową dziwną rozmowę z Niemcewiczem.

O Pradze nie pozwalano mu zapomnieć. Po kaśliwych wierszach przyszły mordercze relacje "świadców zdarzeń".

Uczestnik powstania, Michał Starzeński, tak opisywał wycofanie się z Pragi jej głównego obrońcy: "Był jednym z pierwszych, którzy się stamtąd wycofali, sam jeden bez świty o godzinie #/5 rano, przez most okrywając chustką zranioną rękę. Mówiono, że w tę rękę był raniony przez jednego z naszych żołnierzy, który mu wyrzucał, że opuszcza stanowisko. widziałem go w dwie godziny później, jadącego w zamkniętym powozie. Rana jego nie była groźna".

Podobnie, lecz w sposób znacznie gwałtowniejszy, osadza Zajączka zajadły wróg czerwieńców, Antoni Trębicki. Czyniąc go odpowiedzialnym za klęskę Pragi, a w konsekwencji - całego powstania, Trębicki ze wściekłą pasją opluwa naczelnego jakobina armii: "Uciekł przed innymi jak ten nikczemny czworonożny zajac i jeżeli postrzał otrzymał, powszechnym jest twierdzeniem, że ten wyszedł z ręki walecznego i zdesperowanego Stasia Potockiego, który zgotował temu hersztowi wojskowemu demagogów tę sprawiedliwą nagrodę" (przy okazji jeszcze jeden przykład polskiego "tragizmu

beznadziejnych alternatyw": ów promowany przez Trębickiego na powstańczego mściciela "Staś" Potocki w 36 lat później - już jako generał Królestwa

Kongresowego - zginie w Noc listopadową zastrzelony przez żołnierzy powstańców).

Niezależnie od tego, czy fakty podawane przez Starzeńskiego i Trębickiego były w pełni prawdziwe, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że pamiętnikarze z palca ich sobie nie wyszali, że plotki tego rodzaju istotnie musiały po Warszawie krążyć. Dlatego trudno się dziwić, że Zajączek, po wymknięciu się z Pragi, nie czekał, aż rozścienieni warszawianie sami go powieszają bądź wydadzą w ręce Suworowa, lecz zaraz po opatrzeniu rany wsiadł do zamkniętego powozu i pospieszył w stronę zaboru austriackiego.

W Galicji pełno już było uchodźców z powstania, ale Zajączka i przybyłego na krótko przed nim Kołłątaja władze austriackie otoczyły szczególną opieką. W reskrypcie gończym z dnia 18 listopada 1794 roku, podpisanym przez samego cesarza Franciszka II, dwaj zbiegowie z Warszawy "Kolontay und Sayonciek" uznani zostali za głównych przywódców polskich powstańców ("Die Hauptanfuehre der polnischen Insurgenten") i jako tacy mieli być jak najszybciej "ujęci i dobrze zabezpieczeni".

Zajączka ujęto około 20 listopada, ale w więzieniu austriackim w Ołomuńcu znalazł się dopiero w połowie grudnia, gdyż - jak wynika z korespondencji urzędowej na najwyższym szczeblu - wcześniejsze przewiezienie więźnia było niemożliwe "z powodu nie zagojonej rany" (nie musiała więc być to rana tak lekka, jak głosili nieprzychylni Zajączkowi kronikarze).

W Ołomuńcu spotkał się

Zajaczek ze swym bratem Ignacym, "superintendentem skarbu koronnego", oraz ze swym przewodnikiem politycznym, księdzem_podkanclerzym Hugonem Kołłątajem, haniebnie wydanym w ręce policji austriackiej przez dawnych stronników.

W więzieniu ołomunieckim żyło im się ciężko. "Porozumiewanie się więźniów było początkowo niezwykle utrudnione, właściwie niemal niemożliwe. Ponadto wilgotne cele, ogólny niedostatek i brak ciepłej odzieży dawał się Polakom coraz bardziej we znaki." Ale w Ołomuńcu nie przebywali długo. Już w początkach lutego 1795 roku przewieziono ich do "Josephstadtu, małej twierdzy w Czechach, której garnizon składał się z niewielkiego pododdziału inwalidów".

Na nowym miejscu więźniom powodziło się lepiej niż w Ołomuńcu. Niektórzy oficerowie z austriackiej załogi twierdzy, zwłaszcza dwaj kapitanowie: Verheyen i Limb - ustosunkowali się bardzo przychylnie do pobitych przez Rosjan polskich powstańców. Wiecznotrwałym pomnikiem chwały austriackich "klawiszów" z Josephstadtu pozostanie testament Hugona Kołłątaja, darujący 12000 złp kapitanowi Verheyenowi, "a gdyby umarł, to jego córce".

Kapitan Verheyen zasłużył sobie rzetelnie na wdzięczność polskich więźniów. Dzięki jego staraniom Kołłątaj i Zajaczek otrzymali to, czego im uparcie odmawiano w Ołomuńcu: papier, atrament, pióra. Dla ich znękanych dusz było to wtedy równie nieodzowne, jak więzienna strawa dla ich wynędzniałych ciał. Odczuwali przemożną potrzebę oczyszczenia się przed narodem ze stawianych im zarzutów; przelania na papier tego wszystkiego, co wezbrało w

nich w ostatnich tygodniach powstania i pierwszych dniach po jego upadku: nienawiści do "moderatów * z otoczenia króla i Kościuszki, goryczy zawiedzionych nadziei i ambicji, poczucia niezawinionych krzywd zaznanych od rodaków.

Moderaci - tak nazywano umiarkowanych działaczy powstańczej prawicy.

Od razu zabrali się do pisania. Kołłątaj zaczął od drobnych utworów na poły literackich: wierszy, opisów marzeń sennych, myśli filozoficznych. Ale jednocześnie kreślił rozległe plany prac historycznych. "Żyję, jak gdybym miał jutro umrzeć - pisał później w, przemyconym z więzienia, liście do Kościuszki - myślę, jak gdyby mi jeszcze wiek cały żyć należało."

Zajączek skupił się na pisaniu wspomnień z powstania. W dwa lata później, ów skromnie zaczęty w Josephstadcie "Pamiętnik" ukaże się we Francji pod ambitnym tytułem: "Histoire de la R~evolution de Pologne en 1794 par un temoin oculaire".

W związku z więzienną twórczością Kołłątaja i Zajączka ciekawe porównanie między "polskim Robespierre'em" a jego głównym pomocnikiem i wyznawcą przeprowadza mądry i sprawiedliwy sędzia tamtych czasów, wielki historyk polski Wacław Tokarz.

Tokarz nie wątpi, że główną przyczyną niepopularności Kołłątaja i Zajączka był głoszony i stosowany przez nich rewolucyjny terroryzm na wzór francuski. Nie kwestionując samej myśli Kołłątaja, że rewolucja musi jak najsurowiej karać swoich wrogów, historyk zdecydowanie potępia sposób wprowadzania tej myśli w czyn przez generała Zajączka, kiedy urzędował jako prezes Sądu

Kryminalnego Wojskowego.

"Poddanie przystępnych surowości prawa roku 1794, cokolwiek dziś przeciw temu powiedzieć możemy, miało swoje głębokie uzasadnienie - dowodzi Tokarz. - Była to jednak zasada nowa, która spotkać się musiała z niechęcią powszechną i oporem, wprowadzać ją w praktykę należało ostrożnie, przy zachowaniu wszelkich form prawnych, z podkreśleniem zasady "salus rei publicae suprema lex es to". Trzeba przyznać, że postępowanie Zajączka w tym względzie nie nadawało się do spopularyzowania myśli Kołłątajowskiej. Nie dziwimy się nawet wcale, że jego postępowanie i poglądy w sprawie wymiaru sprawiedliwości tak go zdyskredytowały w oczach opinii. Przede wszystkim był on jednym z tych ludzi, którzy w terroryzmie upatrywali jakiś eliksir żywotny dla rewolucji, jak podobno później w roku 1831 upatrywał Joachim Lelewel (...). Nie dziwi nas zatem wcale niepopularność Zajączka po upadku powstania. To tylko dodać należy dla zrozumienia psychologii porewolucyjnej Zajączka, że niechęci osobiste, które on wzbudzać potrafił w nie mniejszym od Kołłątaja stopniu, rozdmuchały winy Zajączka do rozmiarów niebywałych, zrobiły go najniesłuszniej obok Kołłątaja kozłem ofiarnym klęski ostatecznej."

Tokarz wykazuje, jak odmiennie zachowywali się Kołłątaj i Zajączek wobec oskarżeń rodaków:

"...Reagował przeciwko temu Kołłątaj. Wiersze jego pisane w więzieniu austriackim w Josephstadicie przepełnione są goryczą przeciwko wszystkim, osad tej goryczy pozostaje mu aż

do śmierci. Ale podkanclerzy był przede wszystkim przesiąknięty zasadą ocalenia kraju; uraz nigdy nie zapomniał, to prawda, ale je hamował, nie rozciągał

ich do całego społeczeństwa. Dla kraju miał zawsze uczucie, gorące, mimo wszystko; ze swoim pesymizmem, ze swoją urazą nie wystąpił ani razu publicznie, zachował ją do rozmów z przyjaciółmi, do testamentu; jako pisarz polityczny miał do końca na ustach zdanie "nil desperandum"." *

Nil desperandum (Nie rozpaczać) - godło słynnej broszury Kołłątaja, zaczerpnięte z wiersza poety rzymskiego, Horacego.

Inaczej było z jego współwięźniem - Zajączkiem. "Zajączek został głęboko dotknięty zarzutami, odebrały mu one prawie całkowicie równowagę i zdecydowały bodaj bardzo poważnie o jego dalszym postępowaniu (..._ Stać się miały źródłem goryczy i zawziętości nie tylko już przeciw osobistościom, ale przeciw własnemu społeczeństwu."

W zapiskach więziennych Zajączka odbija się jak w lustrze cała dwoistość jego natury. Zdarzają się w tym "Pamiętniku" sformułowania najwyższej jakości; obiektywnie wyważone, trafiające w sedno rzeczy, świadczące dobrze o autorze nie tylko jako o pamiętnikarzu, lecz również jako o historyku epoki. Wydaje mi się, że nikt przed Zajączkiem nie uzasadniał z taką pasją jak on tezy, iż główną przyczyną nieszczęścia Rzeczypospolitej: rozbiorów kraju i klęski insurekcji - było niewykorzystanie ogromnego potencjału sił, tkwiącego w

ludzie polskim. "Klasa ta ludzi jęczała od wieków pod jarzmem tyranii szlacheckiej. Zdziczona przez niewolę, ale mężna przez charakter, byłaby cudów waleczności dokazywała, gdyby ją przez obietnicę osiągnięcia wolności starano się by natchnąć uczuciem patriotyzmu." Ale nie

umiał i nie chciał rozbudzić ludu król Stanisław August ("był doskonałym budowniczym i ogrodnikiem, znał się na obrazach, mówca z niego płynny, ale król wzgardy godny"). Nie potrafił wykorzystać w pełni mas ludowych w powstaniu Naczelnik Kościuszko, nazbyt ulegający wpływom otaczających go umiarkowanych moderatów ("Ci, których tak utytułowano, byli tem szkodliwsi w Polsce, że to, co było tylko wypadkiem słabości charakteru lub niedostatku światła, brano za skutek rozumu i ludzkości, a więc podstępna powolność wzięła przewagę nad potrzebną surowością"). Zdaniem Zajączka jedynie jakobini doceniali potrzebę patriotycznego zaangażowania mas ludowych. Dlatego ich żądania wolności dla ludu wiejskiego szły znacznie dalej niż połowiczne sformułowania Uniwersału połanieckiego; dlatego w ostatniej fazie oblężenia powstańcy stolicy domagali się uzbrojenia całego gminu warszawskiego. Usiłowaniom ich przeciwstawił się jednak zwarty front ziemiańskiej szlachty i bogatego mieszczaństwa - drżący ze strachu przed rzeczywistym poruszeniem ludu, które mogło zagrozić ich stanowi posiadania.

A oto inny przykład ostrości widzenia Zajączka i zalet jego pióra - zwięzła charakterystyka najbardziej typowych cech

"rządów ambasadorskich" w
przedpowstaniowej
Rzeczypospolitej:

"Ambasador moskiewski, który w
Polsce rządził jak despota,
czynił przeszkody w tem
wszystkiem, co mogło przyczynić
się do odrodzenia tego kraju.
Urzędy publiczne rozdawane były
ludziom nieumiejętnym i
zbrodniczym funkcjonistom
Moskwy. Nie docisnął się do nich
człowiek oświecony, chyba że

jego wyniesienie było potrzebne
Moskalom (...) dla podzielenia
ducha publicznego, utrzymania
niezgody i formowania partii."

Ale takich błyskotliwych
analiz publicystycznych - w
miarę obiektywnych,
nacechowanych patriotyczną
troską, znajdujących częściowo
przynajmniej potwierdzenie w
późniejszych ocenach historyków
- jest w "Pamiętniku" niewiele i
nie one przesądzają o jego
ogólnej wartości.

"Wziąłem sobie za powinność -
oznajmia Zajączek na początku
więziennych zapisek - wszystko
szczerze i prawdziwie
opowiedzieć, bo przekonany
jestem, że pochlebstwo równie
narodom, jak i ludziom prywatnym
szkodzi." Niestety, w dalszym
ciągu "Pamiętnik" całkowicie
przeczy tym szczytnym
założeniom: panoszy się w nim
prywatna i nieumiarkowana
stronniczość. Daremnie by w nim
szukać prawdziwego obrazu kraju,
przeżywającego wojnę w obronie
swych praw, patriotyczną
konspirację, wzniosłe i
tragiczne dni powstania
narodowego; zamiast tego
odnajduje się jedynie wizerunek
własny autora, załamane go
wskutek niepowodzeń osobistych;
niezdolnego do najlżejszej
samokrytyki, próbującego całą

odpowiedzialność za klęski
własne i ojczyzny przerzucić na
innych (przegrana pod Chełmem -
bo szlachta lubelska nie
przygotowała powstania, nie
udana obrona Pragi - bo intrygi
partii królewskiej itd...,
itd...) opluwającego jadem
przeciwników politycznych,
wynoszącego pod niebiosy, nie
zawsze na to zasługujących,
ludzi sobie bliskich.

O "szczerości i prawdziwości"
"Pamiętnika" najlepiej świadczą
zawarte w nim charakterystyki
dwóch "sprawdzalnych" postaci
historycznych: księcia Józefa

Poniatowskiego i hetmana
Ksawerego Branickiego.

Książę Józef - który, poza swą
przynależnością do
znienawidzonej rodziny
Poniatowskich, miał nieszczęście
dwukrotnie narazić się
Zajączkowi osobiście - zostaje
załatwiony metodą obelg i
pomówień. Oto co ma do
powiedzenia generał Ananas o
swoim dowódcy z wojny 1792 roku:

"Wszystkie poruszenia
Poniatowskiego podczas tej akcji
tak źle były zapewnione i tak
niebezpieczne, iż łatwo było
widzieć, że (...) młodzik ten
(...) nie miał ani talentów, ani
zdatności komenderującego."

"On i jego otoczenie głosili,
że (...) nie masz nic
nieroztropniejszego, jak wieść
walkę z nieprzyjacielem tak
wyższym od nas w sile."

"Klęski przypisywano niechęci
Poniatowskiego ku Kościuszce,
lecz jest to raczej wypadkiem
niedoświadczenia, złych układów
i tego charakteru wahającego
się, który we wszystkich tego
młodego człowieka czynnościach
okazywał się."

"Jego paniczne raporty z pola
walki przyspieszyły

przystąpienie króla do
Targowicy."

"Gdyby młody Poniatowski nie
był człowiekiem nadto miernym,
odważyłby się na ten krok śmiały
(porwanie króla - M.B.)."

Swoim stosunkom z Poniatowskim
w roku 1794 Zajączek wiele
miejsca w "Pamiętniku" nie
poświęcał, ale pewne pojęcie o
nich daje przerażający zapis
Stanisława Barzykowskiego, oparty
na ustnym świadectwie generała
Karola Kniaziewiczza.

"Jednego dnia, słyszeliśmy to
z ust samego Kniaziewiczza,
wspomina Barzykowski - księżę
Józef w czasie oblężenia
Warszawy był napadnięty przez
Prusaków w przemożnej liczbie, a
party gwałtownie, mógł być

pobitym. Kniaziewicz, który był
wtedy szefem sztabu Zajączka,
widząc to położenie księcia,
udaje się do Zajączka, donosi,
jak stoją rzeczy i przedstawia
naglącą potrzebę pośpieszenia z
pomocą. "Nie!" odrzekł spokojnie
Zajączek, "dobrze, że diabeł
weźmie sobie książątka".
Kniaziewicz, człowiek żywych
uczuc i szczerzej mowy, głośno
zawołał: "Generale! co mówisz?
Dziś książątka diabli wezmą,
lecz jutro nas, a pojutrze
Warszawę i koniec z Polską
będzie". Dopiero na takie
przemówienie Zajączek pozwolił
Kniaziewiczowi wziąć brygadę i w
odsiecz pośpieszyć."

Oczywiście, że księżę Józef z
lat 1792_#1794 nie był jeszcze
"kochanym wodzem Polaków" z lat
1809_#1813, lecz jego piękne
listy do króla z tamtego
wcześniejszego okresu
wystarczająco go bronią przed
napaściami Zajączka. Ale nie
trzeba nawet tych listów: sam
autor "Pamiętnika"
najskuteczniej podaje w

watpliwość wiarygodność swoich
opinii o Poniatowskim, wypisując
tuż przy nich pochwalną laurkę
jednemu z największych
zbrodniarzy politycznych swego
czasu: hetmanowi Ksaweremu
Branickiemu.

"Ten Polak odebrał od natury
wszystkie przymioty, potrzebne
do dźwignięcia swej ojczyzny -
pisał w twierdzy Josephstadt o
swym dawnym mentorze naczelny
czerwieniec powstańczej armii -
odważny w przedsięwzięciach,
śmiały, biegły w sztuce
wojennej, znający doskonale swój
kraj, obdarzony charakterem
pełnym szlachetności i
szczęśliwą figurą; jeżeli się
wmieszał do stronników
moskiewskich, to był do tego
kroku skłoniony nie przez
sentyment ambicji, jak Potocki i
Rzewuski, lecz przez znajomość
podwójności Stanisława

(Augusta) - przeglądał on, że
ten człowiek małego umysłu a
szalbierz, na pierwszy widok
niebezpieczeństwa, nie omieszka
opuścić i zdradzić narodu."

Obiema rękami podpisałby się
Branio pod tą swoją
charakterystyką. Zawsze przecież
tłumaczył, że wszystko, co robi,
robi po to, aby obronić Polskę
przed jej własnym królem.

Podobno dogorywający w
Gatczynie pod Petersburgiem
Stanisław August, po
opublikowaniu we Francji
pamiętników Zajączka, poczuł się
się ogromnie ich treścią
dotknięty i zamierzał z nimi
polemizować. Ale chyba już nie
zdażył.

Przy tak stronnicy
zaślepieniu w przyjaźni i
nienawiści, zapiski więzienne
Zajączka, bez względu na tytuły,
pod jakimi je później ogłaszano,
nie mogą wzbudzać zaufania jako

źródło historyczne; pozostają
natomiast nieocenionym
przyczynkiem do biografii swego
autora.

Dalsze losy Zajączka ułożyły
się tak pomyślnie, że już w
kilkanaście miesięcy po
rozpoczęciu "Pamiętnika" mógł
jego całość osobiście przekazać
w ręce paryskich wydawców.
Główną tego sprawczynią była
energiczna pani generałowa z
domu Pernette, która od chwili
uwięzienia męża nie ustawała w
zabiegach o jego uwolnienie.

Kobięcy czar i męska
stanowczość pięknej pani
Alexandrine umożliwiły jej
przenikanie do najwyższych
urzędów Cesarstwa Rzymskiego
Narodu Niemieckiego. Jej
wielomiesięczne starania
uwieńczył dekret cesarza
Franciszka II, zezwalający na
wypuszczenie generała Zajączka z
twierdzy Josephstadt i odesłanie
go do Pragi czeskiej pod "lekki
nadzór policyjny". Kontrolowana
wolność w Pradze nie trwała

długo. Przedwiośnie roku 1796
oboje państwo Zajączkowie
spędzali już w Paryżu.

II

Dla polskich czerwieńców
pierwsze zetknięcie z Paryżem
roku 1796 musiało być nie lada
wstrząsem. Przyzwyczajeni do
uważania tego miasta za główny
ośrodek rewolucyjnej czystości i
surowości, z trudem się oswajali
ze zmianami zastanymi w Paryżu
epoki Dyktoriatu. Już od
półtora roku stolica Francji
oddychała pełną piersią
uwolniona od koszmaru
jakobińskiego terroru. Jego
naczelnicy kapłani: Robiespierrre
i Saint Just zginęli pod nożem
golotyny, która przedtem,

posłuszna ich rozkazom, przez
wiele miesięcy zabijała na
placu Grève setki rzeczywistych
i urojonych wrogów rewolucji.
Uwielbiani przez paryską ulicę
przyjaciele ludu: Jan Paweł
Marat i Polak Klaudiusz
Łazowski, którzy mieli szczęście
opuścić ten kapryśny padół
jeszcze przed przewrotem
termidoriańskim * - zostali
ukarani pośmiertnie. Szalejący
tłum zwolenników nowych
przemian, złożony - jak sądzę -
w niemałej części z wczorajszych
entuzjastycznych kibiców
jakobińskich jatek na placu
Grève, wywłókł zwłoki swych
niedawnych bożyszczy z ich
honorowych grobów na placu
Karuzeli, i po gruntownym ich
znieważeniu, skazał na wieczne
zapomnienie. Pod opiekuńczymi
skrzydłami nowej władzy -
Dyrektoriatu Wykonawczego -
zwycięska burżuazja konsumowała
po swojemu obronione przez
jakobinów zdobycze wielkiej
rewolucji. Wprawdzie urzędnicy
Republiki przy ślubowaniach
służbowych nadal przysięgali
śmierć tyranom, ale rząd dusz z
rąk Komitetu Ocalenia

Publicznego przejęli:
pragmatyczni politycy, bogaci
bankierzy, młodzi generałowie i
romansowe muzy salonów
literackich.

10 termidora (28 lipca) 1794
r. w wyniku zamachu stanu
dokonanego przez grupę posłów
Konwentu doszło do obalenia
dyktatury jakobińskiej.

Nowy "wielki świat" Paryża
pławił się w doczesnych
uciechach, zbijał pieniądze na
nie zawsze czystych interesach,
brał i rozdawał łapówki,
uprawiał intrygi polityczne i
wolną miłość, wypełniał
szczelnie widownie teatrów,

wyżywał się w dyskusjach
filozoficznych i literackich, a
jednocześnie z dumą wsłuchiwał
się w wieści o zwycięstwach
republikańskich armii,
roznoszących hasła rewolucyjne
po krajach starej Europy. Po
skasowaniu wprowadzonych przez
jakobinów kartek na podstawowe
artykuły żywnościowe,
niepokojąco rosły ceny mięsa i
chleba, biedacy cierpieli głód.
Na posiedzeniach Dyrektoriatu, w
salonach literackich i tanich
winiarniach coraz częściej
dawało się słyszeć z włoska
brzmiące nazwisko Bonaparte.

Jakkolwiek nie ma na to
dowodów na piśmie, wolno
przypuszczać, że dla
generała_lejtnanta Józefa
Zajączka herbu Świnka odejście
Francji od jakobinizmu nie było
przeżyciem aż tak przykrym, jak
dajmy na to - dla jego sławnego
konfratra politycznego:
rewolucyjnego marzyciela i
ideologa, kapitana Józefa
hrabiego Sułkowskiego herbu
Sulima, który - po dwuletnich
peregrynacjach na wshodzie w
służbie rządu francuskiego -
pojawił się właśnie w Paryżu, na
krótko przed przyjazdem tam
Zajączków. Generał Ananas w
odróżnieniu od "Oficera
największych nadziei" nie był

ani marzycielem, ani ideologiem.
Jego niespożyta żywotność była
na wskroś fizyczna i znajdowała
dla siebie ujście nie tylko w
radykałizmie politycznym. Lubił
dobrze zjeść i dobrze wypić. Z
wieloletniego pobytu na dworze
Branickich w Białej Cerkwi
wyniósł zamiłowanie do
zewnątrznego blichtru i
wesołego, szumnego życia.
Świetnie tańczył mazura i inne
bardziej nowoczesne tańce,
podał się kobietom i potrafił

błyszcząc w towarzystwie.
Dlatego sędzę, że materialne
uroki Paryża Dyrektoriatu
szybko i skutecznie przełamały
w nim opory natury
ideologicznej. Zwłaszcza że miał
przy sobie swoją ucieleśnioną
Wenus Medycejską, która -
niezależnie od swych innych
zalet - okazała się znakomitą
organizatorką życia i szybko
uwolniła męża od najbardziej
przyziemnych kłopotów bytowania
na obczyźnie.

Gwałtowne spory polityczne w
polskim uchodźstwie
popowstaniowym bynajmniej nie
psuły Zajączkowi dobrego
samopoczucia; przeciwnie:
przepadał za atmosferą intryg
politycznych, czuł się w niej
jak ryba w wodzie.

W roku 1796 piekiełko
emigracyjne rozkręcało się na
dobre. Liczbowo Polonia paryska
nie przedstawiała się
imponująco. Razem z rodzinami i
służącymi nie przekraczała
pięćdziesięciu osób, z tego
czynnych działaczy - raptem
ponad dwudziestu. Ale za to sami
prominenci: członkowie władz
powstańczych, generałowie,
senatorowie, wybitni publicyści.

Dzięki swym kontaktom z
patriotyczną konspiracją w kraju
oraz z ośrodkami emigracyjnymi w
innych miastach Europy, skromna
liczbowo Polonia paryska, nie
bez podstaw, uważała się za
pełnoprawną reprezentację

ogólnonarodowego ruchu
niepodległościowego. Ale nie
była to reprezentacja jednolita;
od pierwszej chwili zarysował
się w niej taki sam podział
polityczny, jaki istniał już
podczas powstania. Działacze
powstańczej prawicy - tak nie
lubiani przez Zajączka moderaci
- skupiali się wokół Agencji,

czyli byłego przedstawicielstwa dyplomatycznego rządu powstańczego. W grupie tej wysuwali się na czoło: Franciszek Barss, przywódca mieszczaństwa warszawskiego, akredytowany w roku 1794 w Paryżu jako "poseł pełnomocny Polski Walczącej"; Józef Wybicki, znany pisarz i działacz polityczny, pełnomocnik Rady Najwyższej Narodowej przy generale Janie Henryku Dąbrowskim, w czasie jego wyprawy wielkopolskiej oraz generał_major Józef hrabia Wielhorski, którego rząd powstańczy, już po klęsce pod Maciejowicami, wysłał był do Francji dla uformowania tam legionów polskich.

Natomiast lewica powstańcza całkowicie podporządkowała swoim wpływom wyłonioną w drodze wyborów prowizoryczną władzę uchodźstwa paryskiego - tzw. Deputację. Tu rej wodzili radykalni generałowie ziemiańscy: kasztelan Dionizy Mniewski i Gabriel Taszycki (dawny zastępca Zajączka w Sądzie Kryminalnym Wojskowym) oraz drapieżny publicysta spod znaku Kołłątaja, były ksiądz Franciszek Ksawery Dmochowski.

W chwili przyjazdu do Paryża państwa Zajączków stronnicy Agencji (występujący oficjalnie pod nazwą "Polscy uchodźcy") i Deputacja - byli już dwiema odrębnymi partiami politycznymi, szczerzącymi na siebie zęby i wzajemnie się dyskredytującymi w opinii władz francuskich.

Niezależnie od licznych

rozgrywek na tle personalnym, główny przedmiot konfliktu był niebagatelny. Chodziło o to, która z dwóch grup emigracyjnych przejmie patronat nad tworzeniem polskich Legionów u boku

republikańskiej armii i francuskiej i w konsekwencji zdobędzie decydujący wpływ na odrodzone narodowe siły zbrojne przyszłej, wolnej Polski.

Pierwszym naturalnym kandydatem na twórcę i wodza Legionów Polskich u boku Francji był działacz z kręgu Agencji, generał Wielhorski, gdyż miał na to mandat jeszcze od rządu powstańczego. Ale władzom francuskim kandydatura Wielhorskiego nie odpowiadała, prawdopodobnie ze względu na jego arystokratyczne pochodzenie (był synem owego Kuchmistrza Wielkiego Litewskiego, który przed ćwierćwieczem patronował pierwszym krokom paryskim młodego Zajączka), francuski Dyrektoriat odciął się wprawdzie całkowicie od metod rewolucyjnej ekstremy, ale arystokratom nadal nie ufał.

Kiedy obie partie emigracyjne głowiły się nad znalezieniem nowego kandydata na wodza przyszłych Legionów, w Paryżu pojawił się generał Zajączek. Dla emigracyjnej lewicy był to dar niebios, zapewniający jej zdecydowane zwycięstwo w konkursie legionowym. Miała teraz po swej stronie jednego z najbliższych współpracowników wojskowych Kościuszki, najstarszego stopniem generała polskiego w Paryżu, i to - nie jakiegoś tam ziemiańskiego, z nominacji sejmikowej, lecz prawdziwego liniowego, zahartowanego w bojach (że nie zawsze zwycięskich, starano się nie pamiętać). Przewagi Zajączka były tak oczywiste, że wysunięciu jego kandydatury na wodza Legionów nie odważył się sprzeciwić nawet główny ideolog

Agencji, Józef Wybicki, z całego serca nie znoszący "czyścicieli

świata", jak nazywał jakobinów.

Ale władze francuskie i w tym wypadku ociągały się z zatwierdzeniem polskiej kandydatury. Dyrektoriat, ciągle jeszcze zagrożony przez własnych jakobinów, nie miał żadnych powodów, aby jakobinom polskim ufać bardziej niż polskim hrabiom.

Zwłokę w tę w sposób genialny wykorzystał Józef Wybicki, ściągając do Paryża swego przyjaciela i niedawnego towarzysza broni w kampanii wielkopolskiej: generała lejtnanta Jana Henryka Dąbrowskiego.

Dąbrowski przyjechał do Paryża w końcu września 1796 roku. Z chwilą pojawienia się jego nad Sekwaną, szanse kandydatury Zajączka na twórcę legionów zmalowały do zera. Uciekinier z Pragi nie mógł współzawodniczyć ze zwycięskim wodzem powstania wielkopolskiego.

Władze francuskie również odniosły się do Dąbrowskiego poważniej i przychylniej niż do poprzednich kandydatów. Wzięto zapewne pod uwagę jego doświadczenie i wykształcenie wojenne, otaczająca go zwycięska aura oraz niezwykle serdeczny list polecający jednego z najwybitniejszych wodzów republikańskich, dowódcy Armii Renu, * generała Kl~ebera, z którym Dąbrowski zaprzyjaźnił się w drodze do Paryża. Nie bez znaczenia dla Dyrektoriatu musiał być także, szeroko rozgłaszany przez "Polskich uchodźców", fakt, że po stłumieniu insurekcji zarówno Rosja, jak Prusy starały się zwerbować Dąbrowskiego do swoich armii.

Republika Francuska miała wówczas trzy armie, walczące poza Francją: Armię Włoch, Armię Sambry i Mozy, Armię Renu i

Mozeli.

Teraz sprawy potoczyły się szybko. Już w kilka tygodni po przyjeździe do Paryża Dąbrowski uzyskał ogólną zgodę Dyrektoriatu na formowanie Legionów Polskich w jednej z republik włoskich, powołanych do życia pod skrzydłami zwycięskiej Armii Włoch. Dano mu też od razu list polecający do naczelnego wodza tej armii, generała Napoleona Bonapartego. Wyjazd do Włoch opóźniał się jedynie z braku funduszków na podróż, gdyż Dąbrowskiego nie stać było na taki wydatek. Składali się więc na wyprawę przyszłego wodza wyzwolenczej armii polskiej co zamożniejsi patrioci z rozsianych po całej Europie ośrodków emigracyjnych.

Z obawy przed przeciwdziałaniami ze strony Deputacji, przygotowania do wyjazdu starano się utrzymywać w jak największej tajemnicy. Ludzie Agencji rozpuszczali mylące pogłoski, że Dąbrowski wybiera się jako prywatny ochotnik do Armii Renu.

Ale długo tajemnicy zachować się nie udało. O rzeczywistym celu i charakterze wyprawy powiadomili Deputację znajomi urzędnicy francuscy. Zawiedziona w swych rachubach emigracyjna lewica rozpętała wściekłą nagonkę propagandową przeciwko Dąbrowskiemu. Wspierała tę akcję swoim autorytetem generał ziemiański z Wielkopolski, kasztelan Dionizy Mniewski, człowiek z gruntu uczciwy i szczerzy patriota, ale nie mogący zapomnieć wodzowi kampanii wielkopolskiej jego pogardliwego stosunku do wybieranych przez sejmiki generałów ziemiańskich. Poszły w ruch przeciwko Dąbrowskiemu jadowite pióra jakobińskich publicystów: Franciszka Ksawerego Dmochowskiego i Józefa Kalasantego Szaniawskiego.

Zasłużonemu generałowi
zarzucano, że wykorzystał
podstępnie na swoją korzyść
trzyletnie zabiegi legionowe
Deputacji i opluwano go w
najobrzydliwszy sposób. Pisano o
nim i mówiono, że jest bardziej
Niemcem niż Polakiem, że pobiera
jurgielt od mocarstw zaborczych,
że w czasie powstania
wielkopolskiego napchał sobie
kieszenie zrabowanym bogactwem
(plotkę taką rozpuszczali
pobici przez Dąbrowskiego
generałowię pruscy) itd...,
itd...

W akcji przeciwko Dąbrowskiemu
nie mogło oczywiście zabraknąć
bezpośrednio "poszkodowanego":
Zajączka. Ale jego wkład w spór
emigracyjny był na wskroś
oryginalny i nie pozbawiony
pewnych akcentów
tragikomicznych. Za pretekst do
napuszczenia Zajączka na
zwycięskiego rywala posłużyła
wydana właśnie we Frankfurcie i
Lipsku, i świeżo dostarczona do
Paryża, broszurka Dąbrowskiego o
powstaniu 1794 roku.
Doświadczony wódz, sprawiedliwie
rozdzielający w swym "Przyczynku
do powstania" pochwały i
przygany, ostro krytykował
Zajączka za jego obronę Pragi i
zbyt wczesne opuszczenie
Warszawy. Broszurkę usłużnie
podsunięto skrytykowanemu. To
wystarczyło.

I oto ze starych papierów
wyłania się osobliwa scena.
Listopadowy wieczór roku 1796. W
jednym z pokojów paryskiego
hotelu "Maison des Etats Unis"
przy ulicy de Filles Saint
Thomas - ogromny, brzuchaty
generał Dąbrowski,
roznegliżowany po domowemu, stoi
przy kominku i przyrządza sobie
kolację. W kronikach
historycznych nie zapisano, co

zamierzał jeść tego wieczora,
pewne jest tylko, że posiłek był
skromny; bo zwycięski wódz
kampanii wielkopolskiej - wbrew

temu, co rozgłaszali pruscy
generałowie, a za nimi bazgracze
Deputacji - kieszenie miał
puste, a fakt, że u siebie nad
Wartą i Wisłą uchodził za
bohatera narodowego, nie miał
żadnego znaczenia dla
sklepikarzy znad Sekwany.

W pewnej chwili gospodarskie
czynności Dąbrowskiego ulegają
nagłemu zakłóceniu. Gwałtowny
łomot do drzwi, i do pokoju
wpada rozwścieczony Zajączek -
ciemny i groźny jak gradowa
chmura. Nastroszony, czarny wąs
drga mu z podniecenia, w
czarnych oczach - mordercze
błyski. Jest taki sam jak przed
dwoma laty, w czasie awantury z
lubelską Komisją Wojewódzką. Bez
żadnych wstępów, nie
przebierając w słowach, obrzuca
Dąbrowskiego stekiem oskarżeń i
obelg. Oskarża go o fałszowanie
prawdy historycznej insurekcji
kościuszkowskiej i przy okazji
ciska mu w twarz wszystkie
pomówienia, głoszone przez
paszkwilantów z Deputacji.

Tym razem jednak napadnięty
nie jest tak strachliwy jak
komisarze z Lublina. Dąbrowski
nie ustępuje Zajączkowi ani
temperamentem, ani siłą głosu.
Odpiera napaść z taką samą
gwałtownością, z jaką została
wszczęta. Kraszac swą niezbyt
czystą polszczyznę soczystymi
przekleństwami saskimi, równie
rozindyczony jak napastnik, nie
pozostawia na nim suchej nitki.
Przez dłuższą chwilę dwaj
rozjuszeni polscy
generałowie_lejtnanci miotają
się nad stygnącą francuską
kolacją. Pomimo wielu różnic, w
jakiś sposób są do siebie

podobni. Obaj potężni i silni
jak niedźwiedzie; obaj krwiści,
impulsywni i piekielnie żywotni;
obaj w jednakim stopniu -
choć zupełnie inaczej -
oczadziali Polską. A przy tym
prawie rówieśnicy: Zajaczek ma
lat 44, Dąbrowski - 41.

Pierwsza runda spotkania
kończy się fatalnie: Zajaczek
wzywa Dąbrowskiego na
pojedynek, a Dąbrowski
początkowo w odruchu obrazy
wyzwanie przyjmuje. Ale zaraz
potem rozważa bierze w nim górę
nad rozkiełznanym temperamentem.
Innym już tonem przyszły wódz
Legionów tłumaczy koledze, że
jego wyzwania przyjąć nie może,
gdyż w ważnej dla całego narodu
misji musi jechać do Włoch.
Chętnie udzieli wszelkiej
żądanej satysfakcji, ale dopiero
po powrocie do wolnej ojczyzny.
Rozmowa staje się bardziej
rzeczowa, a nawet nabiera
akcentów pewnej intymności. I,
o dziwo: Dąbrowskiemu udaje się
przekonać Zajaczkę! -
"Udobruchał zapaleńca" - świadczy
wprowadzony w sprawę kronikarz.
W jaki sposób Dąbrowski zdołał
to osiągnąć - wolno się tylko
domyślać. Może dlatego, że sam
zdażywszy już zaznać niejednego
od rodaków, potrafił lepiej niż
inni wczuć się w trawionego
kompleksem wyobcowania
uciekiniera z Pragi? A może to
łatwe udobruchanie Zajaczkę
wynikło stąd, że śmiertelnie
obrażony na Polskę autor
zapisków josephstadckich w głębi
duszy duszy wcale nie palił się
do ponownego objęcia komendy nad
Polakami? Wiadomo przecież, że
jeszcze na długo przed wizytą u
Dąbrowskiego ubiegał się o
przyjęcie w charakterze
ochotnika do jednej z armii
francuskich. Tak czy inaczej

fakt pozostaje faktem: skłóceni generałowie pogodzili się. I zapewne opili tę zgodę tanim winem z dzbanka, dzieląc się sprawiedliwie wystygłą (a może odgrzaną) kolacją gospodarza. I nie było to chyba pogodzenie na niby, gdyż w późniejszej korespondencji wodza Legionów odnaleźć można wiele przychylnych wzmianek o Zajączku, a Zajączek - ze swej

strony - przy każdym następnym spotkaniu z Dąbrowskim składać mu będzie zapewnienia szacunku i przyjaźni.

Ale indywidualne pojednanie generałów nie położyło kresu oszczerczej kampanii przeciwko Dąbrowskiemu, zapisującej najhaniebniejszą - moim zdaniem - kartę w dziejach polskich jakobinów.

W trzy miesiące później (19 lutego 1797 roku) już z Włoch, w czasie najintensywniejszego formowania Legionów, ich twórca rozprawił się sumarycznie z atakami paryskiej Deputacji we wspaniałym liście do Barssa i Wybickiego.

"Cóż ja mogę na to - pisał - że oni (...) przez 3 lata nic nie potrafili osiągnąć i wzajemnie kłócili się i żarli. Przecież tu chodzi o pomyślność Ojczyzny, a przynajmniej ich nieszczęśliwych rodaków. Czemu się złością, że nie idę ich torem, że zrobiłem w ciągu 3 miesięcy więcej, niż oni w 3 lata, że nie zależę od ich partii. Teraz jest moment, by każdy pokazał swój patriotyzm w czynie, a nie w słowach."

Czuje się, jak autorowi listu drży z gniewu ręka, kiedy wyrzuca paryskim działaczom, że właśnie oni ograniczają się jedynie do słów. Do złych słów! Zatrutymi jadem insynuacji i

kłamstwami słowami szkalują go przed światem. Nie cofają się przed najpodlejszą intrygą, aby przeszkodzić mu w formowaniu Legionów.

"Oto kabały! I to republikanie chcą udaremnić, by Ojczyzna nie miała sił, które by ją uczyniły restectable! - Cóż, ludzie są ludźmi! Nie byłem, nie jestem i nie będę ani Scypio, ani Belizariusz co do Ojczyzny usługi mojej, lecz co do ich chęci i patriotyzmu równać się z nimi śmiało mogę, gdy mi to sumienie moje dyktuje. Śmieję

się zatem z tej potwarzy, która mnie pensjonalistą nieprzyjaciół naszych czyni, gdyż wiem, że w przypadku jakiego nieszczęścia mam otwartą drogę do zebrania chleba, na którą już przygotowany jestem. Rad bym, aby Opatrzność zsyłając na mnie nieszczęścia, dźwignąć raczyła Ojczyznę moją, dla której życie i ostatnie tchnienie Jej poświęcam..."

Kiedy Dąbrowski pisał w Mediolanie ten list, po Paryżu krążyły znane już zapiski więzienne Zajączka, wydane po francusku pod wielo obiecującym tytułem "Historia rewolucji polskiej w roku 1794 przez naocznego świadka". W ówczesnej sytuacji politycznej, kiedy ważyły się jeszcze ciągle losy Legionów, a ich przeciwnicy chętnie korzystali z każdego nadarzającego się argumentu przeciwko Polsce, napastliwy i stronnaczy pamflet Zajączka mógł wyrządzić wiele złego. Wszyscy historycy epoki wytykają to autorowi. "Trudno coś dodać na usprawiedliwienie autora - obrusza się na zaciętrzewioną prywatę broszury Waclaw Tokarz - chyba to tylko, że nigdy w życiu nie znajdował on hamulca dla

swej niepowściągliwej,
niepolitycznej natury".

Porównując te dwa przykłady polemiki z przeciwnikami politycznymi: mediolański list Dąbrowskiego i paryską broszurkę Zajączka, w pełni można docenić, jak słuszny i przewidujący był wybór kandydata na wodza Legionów, dokonany przez Józefa Wybickiego i przez francuski Dyrektoriat. Generał Ananas nie miał kwalifikacji na bohatera polskiego hymnu narodowego.

Pisząc swój list, Dąbrowski miał już za sobą drugie z kolei spotkanie z Zajączkiem. Doszło do niego 7 lutego 1797 roku, nie gdzie indziej tylko we włoskim Mediolanie. Zabiegi

Zajączka o przyjęcie do służby francuskiej osiągnęły swój cel wkrótce po wyjeździe Dąbrowskiego z Paryża. Dzięki staraniom energicznej pani Alexandrine, zaprzyjaźnionej już wtedy z Józefiną Bonaparte, żoną naczelnego wodza Armii Włoch, a także dzięki poparciu polskiego adiutanta Bonapartego, Józefa Sułkowskiego, generał Zajączek uzyskał skierowanie do sztabu Armii Włoch, na razie w bliżej nie określonym charakterze ochotnika.

Wyjazd Zajączka do Włoch wywołał popłoch wśród paryskich "Uchodźców polskich", którzy uznali ten krok za perfidną dywersję Deputacji przeciwko Dąbrowskiemu. Z takim samym niepokojem i niechęcią przyjęto Zajączka w Mediolanie, gdzie mieściła się główna kwatera Legionów. Niektórzy oficerowie legionowi, nie bacząc na wiek i starszeństwo wojskowe przybysza wyraźnie dawali mu do zrozumienia, że nie jest pożądanym gościem. Raz i drugi świsnął mu koło ucha nienawistny

wierszyk, wyśmiewający jego ucieczkę z Pragi. Sam Dąbrowski też był początkowo przekonany, że jakobiński generał przyjechał po to, aby zająć jego miejsce. Ale Zajączek od razu rozwiał te obawy. Przy pierwszym widzeniu z Dąbrowskim wyściskał go serdecznie, prosił o wymazanie z pamięci listopadowej awantury i zapewniał o swych najlepszych dla niego uczuciach. Całkowicie uspokojony wódz Legionów, zdając sprawę z tego spotkania w liście do przyjaciół, pisał o Zajączku, że "zachowanie jego było zrównoważone i prawe".

Generał Ananas nie miał już wtedy żadnego powodu, aby bruździć Dąbrowskiemu. Z chwilą wystąpienia do służby francuskiej, sprawa Legionów całkowicie przestała go interesować. Przeczynał pewnie,

że zbliża się do nowego przełomu życiowego. Jego chmurną duszę, tak chętnie poddającą się władzy autorytetów, rozświecał już blask gwiazdy Bonapartego.

Rachuby na Bonapartego nie zawiodły. 8 marca 1797 roku, na rozkaz naczelnego wodza Armii Włoch, polski ochotnik został wciągnięty na listę czynnych generałów brygady, * z przydziałem do Kwatery Głównej. Nie było to jeszcze równoznaczne z patentem na generała Republiki Francuskiej, gdyż ten zaszczyt Dyktoriał przyznawał cudzoziemcom bardzo niechętnie, uzależniając go od spełnienia różnych warunków formalnych i długiego stażu w służbie ochotniczej. Ale w Armii Włoch nowo mianowany korzystał z pełnych uprawnień czynnego generała, pobierał pensję generalską i wszystkie inne świadczenia związane z tym stanowiskiem.

Posiadany przez Zajączka stopień generała lejtnanta odpowiadał francuskiemu generałowi dywizji, ale przy przechodzeniu z armii do armii szarża z reguły ulegała obniżeniu o jeden szczebel.

W kampanii wiosennej w roku 1797 przebył Zajączek z pełnym sukcesem pierwsze próby bojowe, jako dowódca niewielkiego korpusu rozpoznawczego, złożonego w przeważnej części z kawalerii. Prawidłowe wykonanie zleconych zadań zwiadowczych oraz szczegółowe raporty, pisane w bezbłędnej francuszczyźnie - zyskały mu zaufanie i sympatię wodza naczelnego Armii Włoch. w piśmie do Dyrektoriatu Bonaparte pisał o Zajączku: "Powierzyłem temu generałowi korpus obserwacyjny, mający za zadanie utrzymywanie łączności z Tyrolem. Wykonał zadanie z talentem i pożytkiem dla armii".

Ale dobry czas francuskiego generała brygady, Józefa

Zajączka herbu Świnka, nie był dobrym czasem polskich Legionów. 18 kwietnia 1797 roku generał Bonaparte podpisał nieoczekiwanie w miejscowości Loeben wstępny układ pokojowy z Austrią. Dla polskich legionistów - którzy pod wpływem wspaniałych zwycięstw Bonapartego widzieli już w marzeniach, jak rozsypuje się w proch i pył zaborcze imperium habsburskie, a oni wkraczają triumfalnie jako wyzwoliciele do Galicji i Krakowa - preliminarie loebeńskie były straszliwym ciosem. Rozumiano, że ostateczne zawarcie pokoju między Francją i Austrią może postawić pod znakiem zapytania sens dalszego istnienia z takim mozołem stworzonych legii włoskich.

W tych trudnych dniach doszło do jeszcze jednego spotkania między Zajączkiem a Dąbrowskim. 24 kwietnia 1797 roku zgnębiony Dąbrowski dopadł w Gratzu, bawiącego tam przejazdem, Bonapartego, aby dowiedzieć się od niego, jak ułożą się przyszłe losy polskich legionistów. Naczelnny wódz Armii Włoch przyjął go łaskawie i polecił mu upewnić współobywateli, że nie powinni tracić odwagi i nadziei, gdyż "powszechny pokój nie doszedł jeszcze do skutku, a obecny nie będzie trwał długo".

Nie pocieszony tymi ogólnikami, wódz Legionów znalazł oparcie w spotkanym w sztabie Bonapartego generale Zajączku, który odniósł się do niego jeszcze serdeczniej niż w Mediolanie i robił, co mógł, aby podnieść go na duchu. Wyraźnie wzruszony przebiegiem tego spotkania, Dąbrowski ponownie wystawił piękne świadectwo na piśmie niedawnemu przeciwnikowi: "Czuł nasze nieszczęście i moje położenie".

Ale podwładni Dąbrowskiego nadal trwali w swym wrogim

uprzedzeniu do jakobińskiego generała, który wydał na rzeź Pragę, a obecnie - jak sądzili - dybał na miejsce ich ulubionego wodza. Zajączek boleśnie odczuł to nastawienie przy pierwszym spotkaniu z szeregowymi legionistami - 30 kwietnia 1797 roku w miejscowości Palmanova. W pierwszych miesiącach swego pobytu we Włoszech unikał spotkań z polskimi żołnierzami, gdyż zbyt żywe były w nim jeszcze urazy wyniesione z bitwy praskiej. Ale zjechawszy do punktu zbornego Legionistów w Palmanova jako generał ze sztabu Bonapartego, mający już na swym rachunku pewne sukcesy bojowe w

służbie francuskiej - uznał
widocznie,- że dojrzał do
konfrontacji z przeszłością.
Kiedy się dowiedział, że w
zmienionym w koszary kościele
kwateruje kompania legionistów,
uprosił Dąbrowskiego, aby
pozwolił mu ich odwiedzić i
przekonać się, czy nie ma wśród
nich jego dawnych podwładnych.
Dąbrowski znał nastroje
legionowe, lecz odmówić prośbie
Zajączka nie mógł. Przydał mu
tylko na przewodnika jednego ze
swych młodszych oficerów. We
dwóch poszli do kościoła_koszar.
Co nastąpiło potem, opisuje w
swych pamiętnikach sumienny
kronikarz Legionów - powszechnie
zwany "szefem" - kapitan Józef
Drzewiecki.

Legioniści zajęci byli
przygotowaniami do obiadu:
"...rosół sobie i kaszę warzyli.
Na wchodzącego nie zwrócili
uwagi. Oficer towarzyszący,
chcąc wydobyć hura! dla
generała, rzekł do żołnierzy:
"Wiecież wy, wiara, kogo przed
sobą macie? Jest to pierwszy
nasz po Kościuszcze jenerał,
zowie się Zajączek, zapewne go
pamiętacie, którzyście pod nim
służyli, zbierzcie się do niego;
jedzie od Bonapartego i z wami
widzieć się pragnął."

Ta przemowa przeciwny i
niespodziewany zrobiła skutek,
zamilkli wszyscy, a na dalsze
wezwanie ktoś jeszcze zamruczał:

"Pięknie on obronił Pragę,
może nam go dać myślicie? Ale my
się bez niego obejdziemy; z
Dąbrowskiegośmy kontenci i
innego nie chcemy" Odgłos ten
powiększał się coraz
śmielej...".

Wszyscy biografowie generała
Zajączka, opisując zajście w
Palmanova, wyrażają zgodny
pogląd, że był to jeden z

najsmutniejszych dni w jego życiu.

"Jenerał powrócił milczący, zasępiony - kończy swą relację kronikarz legionowy - wrażenie tej chwili uczyniło jenerała Zajączka nieprzychylnym dla nas; ile razy jako dowódca w służbie francuskiej stykał się z nami, nierad był, gdy go jenerałem polskim nazywano."

Może właśnie wtedy, we włoskiej Palmanova po raz pierwszy nawiedziła Zajączka myśl, którą wyrazi później w liście do, ciągle jeszcze więzionego przez Austriaków, Kołłataja. Wywali wprost swemu mistrzowi i przyjacielowi, że "w Polsce nie ma nic do roboty dla takich ludzi jak oni (...) że uznania doczekać się mogą raczej od Francji, raczej nawet od nieprzyjaciół swego kraju." Wydawca tego listu, Wacław Tokarz, tak komentuje owe słowa: "Ziarno raz rzucone, w dobie goryczy, w mściwą duszę Zajączka wydało tu owoc trwałe; zadecydowało o jego francuzomanii i bonapartyzmie na emigracji, o nieobywatelskim stosunku do władz Księstwa Warszawskiego i księcia Józefa, a po części nawet i o jego działalności na stanowisku namiestnika Królestwa Kongresowego".

Wbrew kwietniowym zapewnieniom Bonapartego, dawanym na pociechę

Dąbrowskiemu, wojna między Francją a Austrią zakończyła się "powszechnym pokojem" już w połowie października 1797 roku. Wieść o podpisaniu traktatu pokojowego w Campo Formio wywołała zamieszanie i rozpacz w dowództwie polskich legionów. "Generałowie potracili głowy, puszczono krew Wielhorskiemu, zachorował Dąbrowski,

Kniaziewicz połowę swej energii utracił."

Może nie aż tak gwałtownie, ale z pewnością równie niechętnie odniósł się do zakończenia wojny we Włoszech Józef Zajaczek. W nowej sytuacji jego niezupełnie określona pozycja, ni to polskiego, ni francuskiego generała przy sztabie Armii Włoch, stwarzała na przyszłość widoki wcale nie lepsze od perspektyw legionistów. A Zajaczek po zejściu w Palmanova nie chciał mieć już nic wspólnego z legionistami ani z Polakami w ogóle. Aby odciąć się raz na zawsze od polskiego losu, pojętny uczeń hetmana Branickiego postanowił jak najszybciej doprowadzić do końca proces swego "przelania w bryłę narodu potężniejszego". Na jego prośbę w połowie listopada 1797 roku generał Bonaparte zezwolił mu udać się do Paryża dla uzyskania zgody Dyrektoriatu na wpisanie go na listę generałów Republiki Francuskiej.

Swoje sprawy osobisto_rodzinno_domowe zastał w Paryżu w porządku jak najlepszym. Pani Alexandrine była tak samo młoda, powabna i kochająca, jak przed jego wyjazdem do Włoch. Urządzone przez nią mieszkanie przy Champs Elysées nr 3 było miłe, wygodne i przyciągało gości z najbardziej wpływowych sfer nadsekwańskiej stolicy. Samych państwa Zajaczków również chętnie przyjmowano w najwyższej

notowanych salonach paryskich, łącznie z willą przy ulicy Chantereine, gdzie przyszła "Madonna Zwycięstwa", Józefina Bonaparte, umilała sobie zabawami oczekiwanie na powrót męża. Życie w Paryżu miało dla

Zajączka tylko jedną złą stronę: było bardzo kosztowne. Na razie pensja generalska, pobierana w sztabie Armii Włoch, na pokrycie wydatków wystarczała, ale coraz groźniej rysowała się ewentualność, że tej pensji może wkrótce zabraknąć.

Usilne zabiegi Zajączka o uzyskanie patentu generała Republiki Francuskiej napotykały zdecydowany sprzeciw Dyrektoriatu. Nie pomagały gorące polecenia generała Bonapartego ani zakulisowe zabiegi Józefa Sułkowskiego i Józefiny Bonaparte. Opierając się na dekrete Konwencji Narodowej z grudnia 1793 roku, zabraniającym przyjmowania do armii francuskiej "cudzoziemskich dezertersów", Dyrektoriat trwał niewzruszenie na stanowisku, że Zajączek jest nadal generałem polskim, czasowo tylko zatrudnionym w Armii Włoch, i wzbraniał się przed wpisaniem go na listę generałów francuskich. Ostateczna decyzja Dyrektoriatu w sprawie Zajączka, powzięta w styczniu roku 1798 brzmiała: "Nie może być zatrudniony we Francji z powodu dekretu. Odesłać do Bonapartego z zaleceniem, aby postarał się o zatrudnienie go w Republice Cizalpińskiej".

Ale Zajączkowi nie uśmiechało się generałowanie w marionetkowym państewku włoskim, gdzie znowu co krok mógłby się nadziewać na polskich legionistów. Poza tym przerażała go perspektywa oddalenia się od Bonapartego, w którego służbę oddał się bez zastrzeżeń, od chwili pierwszego z nim zetknięcia. Jego uwielbienie dla

Bonapartego, wyniesione z kampanii włoskiej, wzrosło jeszcze niepomierne w dniu 6

grudnia 1797 roku, kiedy stojąc w tłumie rozentuzjasmowanych paryżan, podziwiał tryumfalny wjazd zwycięzcy włoskiego do stolicy Republiki. Była to pierwsza z wielkich inscenizacji napoleońskich, w których tak gustowało późniejsze "Grand Empire". Ale też naczelny wódz Armii Włoch miał czym się chwalić.

Tryumf, jaki zgotował Francji ten niepozorny generał o obco brzmiącym nazwisku, przerósł najśmielsze oczekiwania. Cesarz i wszyscy książęta Rzeszy zostali zmuszeni do oficjalnego uznania "królobójczej" Republiki Francuskiej. Z Włoch wyduszono 20 milionów franków kontrybucji wojennej. Przed zachwyconymi oczami paryżan defilowały niekończące się kolumny wozów, obładowanych bezcennymi skarbami sztuki z Parmy, Florencji, Rzymu i Wenecji, które szacowano na więcej niż 200 milionów. Statki zdobyte w Genui, Livorno i Wenecji podwoiły stan liczebny marynarki francuskiej. Eskadry Tulonu przejęły nadzór na Morzu Śródziemnym, na Adriatyku i w Lewancie. Dla handlu Lyonu, Prowansji i Delfinatu - po odemknięciu wielkiej bramy Alp - otworzyły się nieograniczone możliwości.

Ogrom zwycięstw włoskich i entuzjazm, z jakim witano Bonapartego w Paryżu - napędziły tęgiego stracha Dyrektoriatowi. Rząd Republiki poczuł się zagrożony w swej władzy przed korsykańskiego Cezara. Kto wie, czy nie z tego właśnie poczucia zagrożenia wynikał, niezrozumiały dla sfer wojskowych, upór, z jakim Dyrektoriat odmawiał Zajączkowi patentu generalskiego. Porażeni tryumfem Bonapartego, paryscy Dyrektorzy nie mieli żadnego

interesu w tym, aby przysparzać niebezpiecznemu rywalowi do władzy nowych, oddanych mu generałów. W ogólnym jednak rachunku to wystraszenie Dyrektoriatu wyszło Zajączkowi na dobre, gdyż w dalszych konsekwencjach miało uwolnić go od wegetacji w Republice Cizalpińskiej, otwierając przed nim w zamian nowe, oszałamiające perspektywy przygód wojennych u boku Bonapartego.

Pragnąc za wszelką cenę pozbyć się groźnego rywala z Francji, Dyktoriat powierzył Bonapartemu naczelne dowództwo nad planowaną od dawna ekspedycją przeciwko Anglii - najtrudniejszemu do pokonania wrogowi Republiki. Zwycięzca włoski nowe zadanie przyjął, lecz po rozejrzeniu się w sytuacji wprowadził do niego korektę strategiczną, godną Aleksandra Macedońskiego. Zamiast frontального zaatakowania Wysp Brytyjskich - co ze względu na przewagę floty angielskiej na kanale La Manche byłoby operacją nader ryzykowną - przedstawił Dyktoriatowi gigantyczny plan wyprawy na kontynent afrykański dla opanowania Egiptu, odbudowy starożytnego Kanału, łączącego Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym, otwarcia drogi do Indii i uderzenia, w ten sposób, w główne podstawy potęgi gospodarczej Anglii, jej panowania nad morzami i nad światowym handlem.

Zuchwała awanturniczość i olbrzymie koszty planowanego przedsięwzięcia sprawiły początkowo w osłupienie ostrożnych mieszczan, zasiadających w Dyktoriacie, ale pod naciskiem szczególnie zainteresowanych zamorską wyprawą, wielkich kupców i wielkich amatorów - plan Bonapartego został w końcu przyjęty. Dyrektorzy musieli się zresztą zorientować, że była to

dla nich operacja bez ryzyka; w razie udania się wyprawy, zapewniała Republice nieobliczalne korzyści strategiczne i gospodarcze, w razie niepowodzenia - wyłączała z gry politycznej niebezpiecznego konkurenta do władzy.

Dekret Dyrektoriatu z 14 kwietnia 1798 roku powołał do życia nową Armię "Wschód" pod naczelnym dowództwem generała Bonapartego. Jeden z pierwszych etatów generała brygady w nowej armii powierzył Bonaparte (prawdopodobnie za radą Sułkowskiego) swemu podwładnemu z Armii Włoch - odepchniętemu przez Dyktoriat, polskiemu generałowi_ochotnikowi, Józefowi Zajączkowi. Od tej chwili egzystencja materialna państwa Zajączków była znowu zabezpieczona na czas dłuższy. Pani Alexandrine mogła nadal prowadzić kosztowne życie towarzyskie, a jej mążonek rozpoczął najbardziej fascynującą przygodę swego awanturniczego życiorysu.

Rozkosz ślepego posłuszeństwa

I

W wiele lat później, gdy rezydował już we wspaniałym pałacu warszawskim i tytułowano go Jaśnie Oświeconym Księciem Namiestnikiem - stary, beznogi generał Zajączek lubił przy rozmaitych okazjach nawiązywać do swoich wrażeń z wyprawy egipskiej.

Kiedy jesienny, mokry wiatr od Wisły przyprawiał go o wściekle bóle w kikucie amputowanej nogi, rozgrzewał się wspomnianiem, nie stygnącego nawet nocą, żaru pustynnych prowincji Środkowego

Egiptu, którymi zarządzał
niegdyś jako francuski
gubernator wojenny, z powołania

Bonapartego.

A latem znowu, gdy podawano mu
do stołu wczesne arbuzy
wyhodowane w warzywnikach
Opatówka, narzekał na ich
bladoróżowy, niezbyt soczysty
miąższ, tęsknie przywołując na
pamięć ciemnopurpurowe,
ociekające słodyczą wnętrza
arbuzów z Deltę Nilu, o których
w liście z tamtych czasów
pisał, że "jedyna to w zakazanym
Egipcie godna szlachcica
strawa".

Nieumiarkowana (jak wszystko u
niego) żarłoczność, z jaką
pochłaniał egipskie arbuzy,
zyskała mu szczególną sławę w
całej Armii "Wschód" i znalazła
szerokie odbicie w
pamiętnikarskiej dokumentacji
wyprawy. Żołnierze podległych mu
oddziałów przezwali go
"Generałem Arbuzem" ("le general
Pasteque"). * Jeszcze jeden z
przedziwnych paradoksów, tak
charakterystycznych dla
biografii Zajączka. W roku 1794
warszawski arcyjakobin, w swoim
lewackim zapale do małpowania we
wszystkim francuskich
sankiulotów, chciał rzucić
rodowe nazwisko i nazwać się
Ananasem. Wyśmiano go bez
litości. Ale w cztery lata
później jego wariacki pomysł
doczekał się realizacji z drobną
jedynie korektą. Wielbieni przez
niego sankiuloci - przebrani w
mundury żołnierzy Armii "Wschód"
- z własnej inicjatywy wymyślili
mu "owocowe" nazwisko, tyle że
nie od ananasa, lecz od
bardziej jeszcze soczystego
arbuza.

Autorka fundamentalnej pracy
biograficznej o Zajączku -
zazwyczaj tak rzetelna w swoich

dociekaniach, tym razem myli się chyba - tłumaczy jego egipskie przezwisko na "generał melon". Pomyłka wynikła zapewne stąd, że we Francji arbuzy bywa także nazywany "wodnym melonem" ("melon d'eau").

Ale nie soczyste arbuzy z Deltą Nilu i nie dobroczynny dla inwalidzkich reumatyzmów klimat afrykański sprawiały, że postarzały generał Zajaczek chętnie i często powracał myślami do swoich przeżyć w Egipcie. Zasadniczą przyczyną jego egipskiej nostalgii była chyba poważniejsza i bardziej skomplikowana. Warszawski "ćwierć król bez nogi" (epitet Niemcewicza) rozglądając się z wysokości Pałacu Namiestnikowskiego po mrocznym labiryncie swojej przeszłości, musiał dochodzić do tego samego wniosku, co dzisiejsi badacze jego biografii: że trzyletni pobyt w "zakazanym" Egipcie był najszczęśliwszym i najbardziej wydajnym okresem w całym jego życiu, że tam właśnie ujawniły się najpełniej pozytywy jego pogmatwanej osobowości, że nigdzie i nigdy - ani wcześniej, ani później - nie czuł się tak bardzo, jak tam, na swoim miejscu.

W wyprawie egipskiej - największej i najbardziej awanturniczej ekspedycji wojskowej przełomu XVIII i XIX stulecia - wszystko, od początku do końca, było niezwykle i fascynujące. Wszystko usposabiało do wspomnień.

Pamiętny dzień 9 maja 1798 roku! Do Tulonu, głównej bazy wypadowej wyprawy, przybywa naczelny wódz Armii "Wschód". Przed zaokrętowaniem wojsk ekspedycyjnych - odezwa do żołnierzy. Błada natchniona twarz Bonapartego. Patos nowej,

romantycznej retoryki wojskowej
zamiast oschłej nudy
dawnego rozkazodawstwa.

"Geniusz wolności, który
Rzeczpospolitą naszą przeznaczył
na zbawczynię Europy, chce,
byśmy za morze jej słodkie
panowanie przenieśli..."

Lapidarnie, lecz w sposób
zrozumiały dla najprostszego
szeregowca, wyjaśnia wódz swoim

podwładnym charakter
rozpoczynającej się operacji
wojennej. Paryscy sankiuloci w
mundurach Armii "Wschód" i
warszawski czerwieniec,
generał_ochotnik Zajączek - mogą
być spokojni: Nie ma
sprzeczności między zamiarem
podbicia Egiptu a ideałami
Wielkiej Rewolucji Francuskiej,
obietującej wolność wszystkim
ludom świata. Cele inwazji na
Egipt są wyłącznie obronne i
wyzwolenicze: obrona Republiki
przed zagrażającą jej Anglią,
wyzwolenie ludu egipskiego spod
jarzma obcej etnicznie,
feudalno_wojskowej kasty
mameluków. Po wielekroć
powtarzane naczelne hasło
wyprawy brzmi: Zagłada
mamelukom, błogosławieństwo
ludowi Egiptu!

Żołnierzy oszołamia wizja
bogatego, urodzajnego kraju za
morzem. Wódz obiecuje, że na
każdego z nich czeka tam sześć
mórg żyznego gruntu. A poza
tym, jaki to zaszczyt
uczestniczyć w przedsięwzięciu o
tak wielkim, międzynarodowym
znaczeniu. "Żołnierze, oczy
całej Europy zwrócone są na
was!" Radosny ryk przetaczający
się po szeregach przyszłych
sześciomorgowych gospodarzy:
"Vive Bonaparte!"

Potem upajający rejs na
okręcie admirałskim "Orient".
Poufałe obcowanie z

najwybitniejszymi generałami
Republiki, późniejszymi
marszałkami i książętami
cesarstwa, rozmowy z
uczestniczącymi w wyprawie,
sławnymi na cały świat uczonymi
i artystami. Czerwony burgund i
rewolucyjne pieśni. A przede
wszystkim: stale wyczuwalna
obecność naczelnego wodza. Tylko
dwaj Polacy dostąpili zaszczytu
podróżowania razem z Bonapartem:
jego nieodstępny adiutant,
"żelazny kapitan" Józef
Sułkowski i nie zweryfikowany

przez Dyrektoriat,
generał_ochotnik Józef Zajączek.

Na krótko przed wypłynięciem w
morze - nieoczekiwane spotkanie
z legionistami Dąbrowskiego.

Dziejopis napoleońskiej Polski
Szymon Askenazy utrzymuje, że
Bonaparte w swych pierwszych
planach zamorskiej wyprawy
przewidywał zabranie ze sobą do
Egiptu całych polskich Legionów.
Później jednak zarzucił ten
zamiar. Prawdopodobnie
przyczynili się do tego wrogowie
polityczni Dąbrowskiego
(Sułkowski?), obawiający się nie
bez racji, że długa i
bezpośrednia współpraca z
Bonapartem w Egipcie może bardzo
umocnić pozycję wodza Legionów i
jego wpływ na dalsze
kształtowanie się spraw
polskich. W rezultacie z
poważnego projektu, który
rzeczywiście mógł mieć dla
przyszłości Polski znaczenie
historyczne, ostało się jedynie
paru oficerów ochotników oraz
niewielki oddziałek z Pierwszej
Legii, przydzielony do
ekspedycji egipskiej "dla
eskortowania amunicji wojennej".
Ten właśnie oddziałek przybył do
Tulonu w ostatniej chwili,
przywożąc ze sobą pożegnalny
list Dąbrowskiego do

Bonapartego. "Naczelnik bezdomnego wojska polskiego - relacjonuje Askenazy - polecał swych żołnierzy szczególnie w zględom naczelnego dowódcy Armii Wschodniej oraz przesyłał mu życzenia Legionów (...) i żywione przez nie uczucia wdzięczności."

Generał Zajaczek, towarzyszący na "Oriencie" Bonapartemu, nie mógł nie wiedzieć o przybyciu polskich żołnierzy i o przywiezionym przez nich liście. Można więc śmiało wpisać owo zdarzenie w przewijający się przez całą biografię Zajaczka ciąg spotkań z Dąbrowskim bądź z jego ludźmi. Dla legionistów

Pierwszej Legii musiało to być spotkanie raczej nieprzyjemne, co innego Zajaczek: on mógł je odczuć jako słodki rewanż za zniewagę doznaną od legionistów w Palmanova. Pewne jest jedno: tulońskie spotkanie Zajaczka z żołnierzami Dąbrowskiego różniło się w zasadniczy sposób od jego paryskiego spotkania z Dąbrowskim sprzed dwóch lat.

W Paryżu ścierali się ze sobą dwaj polscy generałowie, wyrażający dwa, sprzeczne wprawdzie, lecz polskie poglądy na sprawy wspólnej ojczyzny. W Tulonie było inaczej. Z jednej strony - gromadka bezimiennych szeregowych polskich, oderwanych od swego dowództwa, zagubionych w obcojęzycznym tłumie, przerażonych perspektywą długiej podróży morskiej, mającej odciągnąć ich jeszcze dalej - na odległość zupełnie już niewyobrażalną - od ojczystych chat i zagonów. Z drugiej strony: spięty do kariery, na poły sfrancuziały generał z najbliższego otoczenia Bonapartego - odęty, nieprzychylny, obcy. W Tulonie

racje polskie reprezentowali już tylko żołnierze Dąbrowskiego. Generał Zajączek, po ostatniej ranie zadanej mu przez niewdzięcznych rodaków w Palmanova, ostatecznie obraził się na ojczyznę i jej sprawy przestały go interesować. Dawał temu ostentacyjny wyraz w całym swym postępowaniu, w rozmowach, w korespondencji. Marzył już tylko o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się na liście etatowych generałów francuskich. Zmierzając do tego celu, robił wszystko, żeby w półtora wieku później jego najpoważniejszy i najsprawiedliwszy biograf Wacław Tokarz miał prawo napisać: "Jeżeli o którym z Polaków walczących wówczas za granicą można powiedzieć z pewną słusnością, że się expatryował,

to o Zajączku".

Trudno kwestionować surowy sąd Tokarza: historyk wyciągnął jedynie wnioski ze znanych mu świadectw epoki. Generał Zajączek, wyruszający wiosną 1798 roku w sztabie Bonapartego na podbój Egiptu, mógł sprawić wrażenie całkowicie już wyojczyźnionego lub, jakby powiedziano dzisiaj, wynarodowionego. Jednakże, przytaczając opinię Tokarza, trzeba do niej dodać pewne zasadnicze zastrzeżenie. Wynarodowiony w słowach i czynach, Zajączek w najgłębszych pokładach swej jaźni pozostał polski, chciałoby się rzec: żałośnie polski. W tym wykształconym, społecznie postępowym, otrzaskanym po stolicach zachodniej Europy, francuskim generale przetrwał, nietknięty przez czas, drobny szlachcic polski z przełomu epoki saskiej i stanisławowskiej. Ów kresowy

warchoł i rozrabiaka sejmowy -
wypchnięty zbiegiem przypadków
na pierwszy plan najpierw
wielkich dramatów narodowych
swej ojczyzny, a później
międzynarodowych wojen o zmianę
obrazu świata - przez całą swą
bajeczną karierę, od skromnych
początków barskich po zawrotne
wzwyżki Pałacu
Namiestnikowskiego, z
zadziwiającą konsekwencją
starał się realizować ideał
życiowy, zakorzeniony w latach
jego młodości w warstwie
społecznej, z której się
wywodził. Dążył do pozyskania
możnego protektora, który
przejąłby na siebie pełną
odpowiedzialność za wszystkie
jego poczynania i - uwalniając
go od trudu samodzielnego
myślenia i dokonywania wyborów
moralnych - żądał w zamian
jedynie absolutnego
posłuszeństwa swoim rozkazom.
Nie ulega wątpliwości, że

najdoskonalsze wcielenie tych
dążeń odnalazł w osobie
Napoleona Bonapartego. Genialny
Korsykanin nieskończenie
przewyższał wszystkich jego
poprzednich protektorów, a
jednocześnie miał w sobie -
podniesione do najwyższej potęgi
- to wszystko, co Zajączkowi
najbardziej w tamtych
imponowało: zuchwałe męstwo i
fantazję Kazimierza Pułaskiego,
możliwości materialne i osobista
sugestywność hetmana
Branickiego, demokratyzm i
mądrość polityczną księdza
Koźłataja. Od pierwszego
spotkania we Włoszech Zajączek
przeczuł w Bonapartem swoją
wielką życiową szansę. Powołanie
do Armii "Wschód" zmieniło
przecucie w pewność. Wyciągnął
z tego jak najdalej idące
wnioski. Od chwili wstąpienia na

pokałd okrętu admiralskiego
"Orient" aż po ostateczną
katastrofę - napoleońską i
własną - nad białoruską rzeką
Berezyną, generał Józef Zajaczek
herbu Świnka trwać będzie
wiernie przy Bonapartem,
związany z nim na dobre i na
złe uczuciem, dającym się
najlepiej określić jako rozkosz
ślepego posłuszeństwa.

Rozkosz ślepego posłuszeństwa
(c.d.)

* * *

Pierwsze miesiące pobytu w
Egipcie. Przedziwne połączenie
sukcesów i klęsk. Zdobyć
największego portu egipskiego
Aleksandrii, nie powstrzymany
marsz w głąb kraju, uwieńczony
wspaniałym zwycięstwem nad
głównymi siłami mameluckimi w
pobliżu piramid ("Żołnierze,
czterdzieści wieków patrzy na
was z wysokości tych pomników!")
i w następstwie tego zwycięstwa
zajęcie stołecznego Kairu.

Ale sukcesy militarne nie dają
zwycięzcom radości. Towarzyszy
im atmosfera rozczarowania,
lęku, złych przeczuć i udręczeń
fizycznych. Wszystko przedstawia
się inaczej, niż obiecywano w
Tulonie. "Zawiedzeni zostaliśmy
w nadziei oczekiwanej
przyjemności - skarżył się po
zdobyciu Aleksandrii polski
kronikarz wyprawy,
major ochotnik Józef Szumlański.
- Zastaliśmy bowiem miasto
puste, sklepy liche, pozamykane,
niesłychane gorąco, a w miejscu
ludzi mnóstwo jadowitych much,
owadów, robactwa, że się prawie
pod naszym okiem sprawdzała kara
Boża owych plag siedmiu na Egipt
dopuszczonych." *

Pismo Święte mówi o dziesięciu
plagach egipskich.

Jak dalece egipska

rzeczywistość odbiegała od
oczekiwanych przyjemności,
przekonali się żołnierze
Bonapartego najdotkliwiej w
czasie dwustukilometrowego
marszu bojowego z Aleksandrii do
Kairu. Niedośli sześciomorgowi
gospodarze, z rozpaczą i
nienawiścią w sercach, brnęli
przez wszechogarniające,
pustynne piaski. "Słońce ciążyło
nad żołnierzami jak ołów -
pisał drugi polski kronikarz
wyprawy Józef Sułkowski -

gwałtowny wiatr tamował oddech,
straszliwy pot, lejący się
nieprzerwanym strumieniem,
wyciskał wszystkie siły z ciał,
doprowadzając je do stanu
ostatecznego wycieńczenia. Około
drugiej po południu odkryto
trochę błotnistej wody, która
tubylcy uznali za zdatną do
picia. Trzeba było widzieć te
tłumy spragnionych ludzi
cisnących się do błotnistej
dołu, błagających o swój łyk
wody, oblizujących wilgotną
ziemię (...) Widziało się, jak
mniej zaradni poniżali się do
najbardziej upokarzających
prośb, a inni walczyli o swe
prawo z pistoletem w ręce i z
narażeniem życia (...) Jeszcze
jeden dzień takich cierpień, a
cała droga byłaby zasłana
trupami..."

Jednocześnie z każdym dniem
pogarszała się sytuacja
strategiczno_polityczna wyprawy.
Stara Europa nie zamierzała
przyglądać się bezczynnie, jak
"republika królobójców" rozciąga
swe "słodkie panowanie" na inne
kontynenty i zagraża głównym
szlakom światowego handlu.
Dyplomacja cesarzy i królów
czyniła gorączkowe wysiłki, aby
zbuntować przeciwko francuskim
najeźdźcom, sprzymierzonego
dotychczas z Francją, potężnego

protektora Egiptu, sułtana tureckiego. Anglia, nie gotowa jeszcze do bezpośredniej interwencji zbrojnej na lądzie egipskim, starała się odciąć wojska Bonapartego od macierzystej metropolii. Przeciwko flocie francuskiej, zatajonej u wybrzeży egipskich, wyprawiono najczujniejszego strażnika angielskiego władztwa na morzach: admirała Horacego Nelsona. Wieści o tych zagrożeniach wyprawy docierały do Egiptu i potęgowały ferment wśród tubylczej ludności. Wyzwalany przemocą lud egipski coraz niechętniej odnosił się do

"błogosławieństwa" przyznanego przez Bonapartego. Zwłaszcza że owo "błogosławieństwo" na razie ograniczało się do nakładania wysokich danin w pieniądzu i naturaliach, rekwirowania koni i indywidualnych gwałtów, rozszereżonego na wszystko co egipskie, francuskiego żóldactwa. W prowincjach, zajętych przez Francuzów, wybuchały zamieszki i bunty (w najgroźniejszym z nich zginął, okrutnie zamordowany przez tubylców, "Oficer największych nadziei", Józef Sułkowski). W wojsku zaczynało brakować żywności. Jazda mamelucka, pokonywana w dużych bitwach, rozdrabniała się na małe oddziały i gnębiła przeciwnika wojną podjazdową.

W kilka dni po bitwie pod piramidami i zajęciu Kairu - w szczytowym punkcie zwycięstw francuskich na lądzie egipskim - spadła na zwycięskie wojska przerażająca wieść od strony morza. Eskadry Nelsona wytropiły flotę francuską, zakotwiczoną w zatoce Abukir i w wielkiej bitwie morskiej, w nocy z 1 na 2 sierpnia, zniszczyły ją niemal

doszczętnie.

W nieludzko zmęczonej, przerażonej armii poczęła się szerzyć choroba moralna, gorsza od afrykańskich upałów, braku wody, egipskiego zapalenia oczu i ukąszeń jadowitych moskitów. "Przeplływamy morza, plądrujemy wsie, rujnujemy mieszkańców i gwałcimy im żony - żalili się, zawiedzeni w nadziejach na sześciomorgowe gospodarstwa, paryscy sankiuloci. - Narażamy się na śmierć z głodu i pragnienia. I po co to wszystko? (...) Niejedno przekleństwo padło wówczas z ust żołnierzy na Dyrektoriat, Bonapartego, oficerów, a najwięcej na uczonych. Przeklinali kraj, który im w tak nęcących barwach przedstawiano. Nawet generałowie

tak się dawali ponosić, że rzucali kapelusze na ziemię i po nich deptali. Teraz, gdy dla całej armii droga do ojczyzny była odcięta, każdy marzył gwałtownie o powrocie indywidualnym. Dochodziło na tym tle do ciągłych awantur między szeregowymi a oficerami. Wśród szeregowych szerzyły się pogłoski o zamierzonej ucieczce generałów. Wzdłuż wybrzeży żołnierzy zaciągnęli ochotnicze warty, których zadaniem było kontrolowanie, kto wsiada na odpływające statki syryjskie i greckie."

Właśnie w tym okresie ogólnego upadku ducha i narastającego rozprężenia najświetniejszemu zajaśniał geniusz organizatorski Bonapartego. "Zawiedziony w swoich dalekosiężnych planach zdobywczych w Afryce i Azji, niespokojny o bieg wydarzeń we Francji, trapiiony tysiącnymi trudnościami nie do przewyciężenia, naczelny dowódca Armii Wschodniej

dokonywał tytanicznych wysiłków
wojskowych i dyplomatycznych,
aby umocnić panowanie francuskie
w zdobytym kraju. Sułtana w
Konstantynopolu zapewniał o
swoich przyjaznych zamiarach
wobec Porty, kontynuował
energiczny pościg za wojskami
mameluckimi, ustalał w Egipcie
nową strukturę
administracyjno_prawną,
wprowadzał reformy ekonomiczne i
socjalne, rozpatrywał możliwości
odbudowy starożytnego kanału
między Morzami: Śródziemnym i
Czerwonym, a jednocześnie czynił
wszystko, aby zjednać sobie
względy mahometańskich
tubylców, posuwał się tak
daleko, że nakłaniał swych
generałów do małżeństw z
muzułmankami i do zmiany
religii, sam nawet deklarował
się oficjalnie jako wyznawca
Proroka, z pewnymi tylko
drobnymi zastrzeżeniami natury

rytualnej."

Zapatrzony w genialnego
protektora, czujny na każde jego
skinienie, gotów na pierwszy
jego rozkaz skoczyć za nim w
ogień - Zajączek wysuwa się na
czoło najwierniejszych i
najposłusznieszych subalternów
Bonapartego. Ręczyć można, że
nie było Zajączka wśród owych
znerwicowanych generałów Armii
"Wschód", którzy po klęsce pod
Abukirem, w napadzie histerycznej
rozpaczy, deptali swoje
kapelusze i złorzeczyli
naczelnemu wodzowi. Więcej:
wolno przypuszczać, że gdyby w
Paryżu nie czekała na męża
urocza pani Alexandrine,
Zajączek - posłuszny sugestiom
Bonapartego - pierwszy by
zmienił religię i ożenił się z
Egipcjanką. UPoważnia do takich
przypuszczeń szczególnie stosunek
generała Arbuza do rodziny

generała dywizji Jakuba Menou,
jedyne generała Armii
"Wschód", który rzeczywiście
przeszedł na mahometanizm,
poślubił tubylczą arystokratkę,
wywodzącą się ponoć od samego
Proroka i spłodził z nią
egipskiego syna. Otóż z
dokumentacji wyprawy wiadomo, że
ilekroć obowiązki służbowe
odrywały generała Menou od jego
egipskiej rodziny, opiekę nad
nią przejmował nie kto inny,
tylko generał Zajączek. Zajączek
czuwał nad porodem pani
Siitti_Zebed~e Menou, Zajączek
poszukiwał mamki dla małego
Solejmana Murada Menou, Zajączek
świadczył rozmaite grzeczności
egipskiemu szwagrowi generała
Menou: generałowi Seid_Alemu,
członkowi kairskiego "dywanu"
(samorządu tubylczej ludności).
Mimo woli odnosi się wrażenie,
że czynił to wszystko głównie po
to, aby zrehabilitować się w
oczach wodza, że nie on sam
spowinowaca się z elitą
tubylczej ludności.

Pobudzony przez geniusz

nowego protektora, Zajączek
ujawnia w Egipcie zalety i
talenty, jakich przedtem w nim
nie dostrzegano. W Polsce nie
cieszył się opinią szczególnie
uzdolnionego dowódcy. W kampanii
1794 roku mieszano go z błotem
za fatalnie rozegraną batalię
pod Chełmem, później
wiecznotrwałą hańbą okryła go
kompromitująca ucieczka z Pragi.
W Egipcie dzieje się zupełnie
inaczej: dokumentacja wyprawy
wystawia najchlubniejsze
świadcstwo jego męstwu i
talentom dowódczym.

W pierwszej fazie walk dowodzi
spieszoną (z braku koni)
brygadą kawalerii w dywizji
generała Tomasza Aleksandra
Dumasa, ojca późniejszego autora

"Trzech muszkieterów". Dowódcami pozostałych brygad dywizji są generałowie: Mikołaj Davout i Joachim Murat. Koszty egipskiego braterstwa broni Zajączka z Davoutem poniesie później książę Józef Poniatowski, gdyż Zajączek z właściwym sobie brakiem skrupułów wykorzysta je dla swoich rozgrywek politycznych, w początkach napoleońskiej Polski.

Ze swą spieszną brygadą, która w miarę odbierania koni ludowi Egiptu, upodabnia się coraz bardziej do regularnej jednostki kawaleryjskiej, Zajączek z powodzeniem uczestniczy niemal we wszystkich sukcesach militarnych wyprawy. Pierwszym tego dowodem jest wzmianka Bonapartego w raporcie do Dyrektoriatu z 24 lipca 1798 roku: "Generał Zajączek sprawiał się bardzo dobrze w wielu ważnych misjach, które mu powierzyłem".

Przez cały rok następny, pomimo coraz trudniejszych warunków ogólnych, generał Arbuz umacnia swą opinię sprawnego i szczęśliwego dowódcy. Ze wszystkich starć z buszującymi w zasięgu jego działań zagonami mameluckimi wychodzi zwycięsko.

Wynika to przede wszystkim stąd, że podjazdowy sposób wojowania w Egipcie lepiej odpowiada jego możliwościom niż skomplikowane operacje taktyczne, z jakimi musiał się borykać w kampaniach polskich. Prowadzenia walk podjazdowych uczył się jeszcze w czasach barskich, później doskonalił te umiejętności u boku Pułaskiego i w służbie Branickiego. Poza tym w Egipcie nigdy nie jest - jak bywało w kampaniach lat 1792_#1794 - zdany na siebie samego. Stale czuje na sobie spojrzenie wodza, nieprzerwanie odbiera od niego

drobiazgowe instrukcje.

Na początku jesieni roku 1799 ślepe zaufanie Zajączka do Bonapartego wystawione zostaje na ciężką próbę. Pod naporem niepomyślnych wydarzeń wódz decyduje się na opuszczenie swej armii i powrót do Paryża. 22 sierpnia, pod osłoną nocy, fregata "Muiron" uwozi go z grupką najbliższych współpracowników w stronę Francji. W świetle późniejszych faktów ta ucieczka okaże się całkowicie zrozumiała i usprawiedliwiona. Awanturnicza wyprawa egipska poniosła klęskę. Wodzowi jej grozi nieuchronnie pociągnięcie przed sąd nienawidzącego go Dyrektoriatu. Jedynie jego niezwłoczna osobista ingerencja w Paryżu może odwrócić bieg wydarzeń. Uwięziona w Egipcie Armia "Wschód" nie orientuje się jednak na tyle w wielkiej polityce, aby mogła to zrozumieć. Ucieczka wodza jest dla niej ciosem równie nieoczekiwanym i ogłuszającym, jak zniszczenie floty pod Abukirem. Zajączek jest już chyba tylko o krok od podeptania swego generalskiego kapelusza.

Ale Bonaparte nie zawodzi tych, którzy w niego wierzą. Pod koniec roku dociera do Egiptu wiadomość o zamachu stanu,

dokonanym w Paryżu 9 listopada (18 brumaire) 1799 roku i o obaleniu władzy Dyrektoriatu. Zbiegły wódz Armii "Wschód", jako Pierwszy Konsul Republiki, ujmuje w swe ręce rządy nad Francją.

Zajączek przeżywa euforię. Na polityczny sukces Bonapartego we Francji odpowiada sukcesem militarnym w Egipcie: 25 stycznia 1800 roku dokonuje brawurowego napadu na obóz

głównodowodzącego wojsk
mameluckich Murada Beja. Zdobywa
znaczne łupy i wielu jeńców.
Jedynie samemu Muradowi udaje
się uciec z ogólnego pogromu.

Sytuacja militarna w Egipcie z
każdym dniem staje się
trudniejsza. Francuscy najeźdźcy
mają już przeciw sobie nie tylko
mameluków, ale także regularną
armię turecką, wojska desantowe
angielskie oraz stale
narastający opór ludności
tubylczej.

Następny głośny sukces wojenny
Zajączka wiąże się z bitwą pod
Kanopą, stoczoną z Anglikami
wiosną 1801 roku. W nagrodę za
rolę odegraną w tej bitwie
awansuje na generała dywizji, a
wkrótce po tym obejmuje
dowództwo nad całą kawalerią
francuską w Egipcie.

Świadectwo sukcesów egipskich
Zajączka przetrwało także w
papierach generała Jana Henryka
Dąbrowskiego. Generał Louis
Desaix, jeden z najsłynniejszych
wodzów Republiki Francuskiej,
przyszły bohater Marengo,
powracając wiosną 1800 roku z
Egiptu, spotkał się we Włoszech
z Dąbrowskim i grupą jego
oficerów. W rozmowach z nimi
wynosił pod niebiosa męstwo i
talenty dowódcze Zajączka:
"Bardzo dobrze o generale
Zajączku gadał i oświadczył, że
ostatnią wygraną z mamelukami
jemu francuskie wojska winne".

Ostatnie miesiące kampanii
egipskiej: lato i jesień 1801

roku. Wspierane przez ludność
tubylczą wojska angielskie
zadają coraz dotkliwsze klęski
zniekanym i wymęczonym przez
choroby, francuskim agresorom.
Zachowanie Zajączka w końcowej
fazie walk wzbudza podziw
biografów.

"Generał Zajączek wykazywał w

tych niezwykle ciężkich chwilach postawę godną pochwały - pisze Jadwiga Nadzieja. - Bronił każdej piędzi ziemi egipskiej, choć siły jego były bardzo skromne, a artyleria aż nazbyt słaba, aby mogła przeciwstawić się działom angielskim. Był wszędzie - pobudzał odwagę, tłumiał zwątpienie i upadek ducha, porywał osobistym przykładem do walki oddziały osłabione przez choroby, zmęczenie, niedostatek."

I wreszcie godne zakończenie heroicznego boju Zajaczka: stanowisko zajęte przez niego na naradzie kapitulacyjnej francuskich generałów - odbytej w nocy z 28 na 29 sierpnia 1801 roku. Angielscy zwycięzcy stawiają warunki trudne do przyjęcia: ciężkie i upokarzające. Mimo to prawie wszyscy dowódcy Armii "Wschód", nie widząc możliwości przeciągnięcia oporu, opowiadają się za kapitulacją. Tylko trzech generałów upiera się twardo przy dalszej obronie, pragnąc - jak głoszą - ocalić przynajmniej honor armii francuskiej. Jednym z tych niezłomnych obrońców francuskiego honoru jest polski ochotnik, generał dywizji Józef Zajaczek herbu Świnka. Ten sam Zajaczek, którego cztery lata wcześniej lżono, opluwano, pomawiano o tchórzostwo i zdradę za to, że nie wykazał należytego hartu przy obronie warszawskiej Pragi. I jak tu dojść do ładu z taką postacią?!

Osiągnięcia militarne to tylko część wkładu wniesionego przez generała Zajaczka w historię

wyprawy. Równie duże, a może i większe, były jego zasługi w zarządzaniu i eksploatacji gospodarczej zajętych ziem egipskich.

Bonaparte w lot docenił zdolności organizacyjne swego najwierniejszego subalterna. Już w końcu lipca 1798 roku generał Arbuz otrzymuje rozkaz udania się do jednej z prowincji Środkowego Egiptu i objęcia tam urzędu gubernatora wojennego. Pierwszy egzamin gubernatorski zdaje tak dobrze, że odtąd będą mu oddawane w zarząd coraz to nowe połacie podbijanego kraju. Często będzie gubernatorem jednocześnie dwóch, a nawet trzech prowincji, z których każda liczy około pięciuset wsi. Bonaparte jest w pełni zadowolony z Zajączka i daje mu to odczuć przy każdej nadarzającej się okazji. NIC dziwnego: w dziedzinie pacyfikowania i eksploatowania wyzwalanego ludu Egiptu polski generał jakobin bije na głowę etatowych generałów francuskich.

Na podstawie dokumentacji wyprawy, a zwłaszcza listów, jakie wymienia z Bonapartem i szefem sztabu Berthierem, można bez trudu odtworzyć imponujący zaiste obraz jego wielostronnej działalności gubernatorskiej. Zgodnie z instrukcjami Bonapartego organizuje samorządy tubylczej ludności ("dywany"), urządza lazarety dla armii, buduje piekarnie, magazynuje żywność, naprawia drogi i urządzenia nawadniające, niszczone przez mameluckich dywersantów. Ze szczególną pasją rekwiruje konie dla swego macierzystego korpusu kawalerii, zbiera podatek gruntowy "miri" i inne doraźnie nakładane daniny. Działalności gospodarczej towarzyszą akcje porządkowe. Na czele oddanego mu do dyspozycji niewielkiego oddziału jazdy z powodzeniem zwalczą operujące na

jego terenach partyzanckie grupy

mameluckie, z bezwzględna surowością tropi i karze przejawy współpracy ludności tubylczej z mamelukami. Z "dywanami" swoich prowincji rozmawia dokładnie tak samo, jak przed czterema laty rozmawiał z Komisją Wojewódzką w Lublinie. Tylko środkami posługuje się bardziej zdecydowanymi: nakłada wysokie kontrybucje, aresztuje, nie cofa się przed rozstrzeliwaniem opornych.

Wieczorami w swojej kwaterze, mieszczącej się w na pół rozwalonej chacie egipskiej, dyktuje raporty do Bonapartego o nastrojach wśród tubylczej ludności. Nie przerywa tych wszystkich zająć nawet wówczas, gdy zapada na nagminnie panujące w całej Armii "Wschód", egipskie zapalenie oczu. Leczy się ogólnie stosowanymi środkami zaradczymi. Nogi moczy w gorącej wodzie, głowę otula ciepłymi chustami, ból oczu łagodzi okładami z ałunu i białka. Dopiero gdy zalepione ropą oczy całkowicie uniemożliwiają mu pracę, pozwala odesłać się na krótkie leczenie do kairskiego szpitala. Zresztą jedynie egipskiemu zapaleniu oczu udaje się zakłócić równowagę jego żelaznego organizmu. Poza tym cieszy się zdrowiem końskim, a raczej należałoby rzec: wielbłądzim, odpornym na wszelkie niebezpieczeństwa i zasadzki afrykańskiego klimatu i afrykańskich chorób. Jego żywotność jest niespożyta. Cherlawi francuscy podwładni z trudem wytrzymują tempo pracy, narzucone przez krewkiego podolskiego szlachcica. Do zarządzanych przez siebie prowincji ma stosunek namiętny. O prowincji Fayoum pisze, że jest "najpiękniejsza na ziemi", o prowincji Beni_Souef - że "najwstrętniejsza z wszystkich".
W imponującej działalności

administracyjnej Zajączka zdarzają się jednak potknięcia. Bonaparte gani go niekiedy za zbyt surowy stosunek do tubylczej ludności, pedantyczny szef sztabu generał Berthier wytyka mu nieakuratność w wyliczaniu się z danin pieniężnych, ściąganych w podległych mu prowincjach. Podczas jego rządów w prowincji Menouf dochodzi na tym tle do poważnego konfliktu. Berthier oskarża go wprost o niewpłacenie do skarbu Armii sumy 2000 talarów, pobranych drogą kontrybucji. Wprawdzie Zajączkowi udaje się usprawiedliwić przed Bonapartem, który "przyjął z zadowoleniem jego wyjaśnienia, dając pełną wiarę jego słowom", ale w oskarżeniach Berthiera coś jednak - jak to się mówi - "musiało być na rzeczy", skoro w związku z tą sprawą Zajączek na własną prośbę wycofał się z zarządu prowincji Menouf i powrócił na pewien czas do Kairu.

Ten konflikt na tle finansowym nie jest pierwszym ani ostatnim w biografii Zajączka. Późniejsze lata wykażą, że zachłanność na pieniądze stanowi również integralną cechę jego osobowości, jak radykalizm polityczny czy nieumiarkowana skłonność do soczystych owoców Południa. Dotkliwie odczują to w przyszłości na własnej skórze władze Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. W dokumentacji wyprawy egipskiej dochował się jeszcze jeden ślad "nieakuratności" generała Arbuza w sprawach gospodarczych. Wydarzyło się to w ostatniej fazie kampanii - w sierpniu 1801 roku. Po odjeździe Bonapartego i zamordowaniu przez fanatyka muzułmańskiego jego pierwszego następcy, generała Kl~ebera, trzecim z kolei naczelnym wodzem

Armii "Wschód" zostaje świeżej

daty mahometanin Jakub Menou. Związany z Zajączkiem długiem wdzięczności za opiekę nad rodziną, Menou okazuje mu szczególne względy. Z jego rąk obiera Zajączek awans na generała dywizji i na dowódcę całej jazdy. W niedługi czas potem spotyka go kolejne wyróżnienie: Menou powierza mu komendanturę Przystani Aleksandryjskiej. Z nową funkcją wiąże się wiele ważnych kompetencji gospodarczych: przygotowania do zbliżającej się ewakuacji, załadowywanie na statki majątku Armii "Wschód", przydziały koni dla oficerów.

Rzecz jasna, że wszystko to odbywa się pod czujną kontrolą wielu zawistnych spojrzeń. Faworyzowanie generała Polaka psuje krew jego francuskim kolegom. Rozpoczynają się intrygi i donosy. Generał Menou nie pozostaje na nie głuchy i z dnia na dzień pogarsza swój stosunek do polskiego subalterna. Wreszcie 20 sierpnia 1801 roku dochodzi do otwartego skandalu. Z niejasnych wzmianek w dokumentacji wyprawy można się jedynie domyślać, że bezpośrednim powodem awantury było jakieś nadużycie Zajączka, związane z rozdziałem koni między oficerów. Na publicznej odprawie w obecności tłumu starszych i młodszych wojskowych generał Menou, w sposób niesłychanie ostry, poddaje ogólnej krytyce postępowanie komendanta Przystani i dowódcy kawalerii.

Ciężko dotknięty Zajączek, bezpośrednio po odprawie, rezygnuje z obu swych wysokich stanowisk i prosi o przydzielenie go w charakterze prostego adiutanta do jednego z

przychylnych mu generałów
francuskich. Jego dymisja nie
zostaje przyjęta, ale naczelny
wódz swego zaufania mu nie
przywraca, co pozostawia go w

sytuacji niezmiernie trudnej i
przykryj. Świadczy o tym list do
tego generała Menou, pisany w
kilka tygodni później. W
egipskiej korespondencji
służbowej Zajączka jest tak
niewiele listów o akcentach
osobistych, że ten pozwalam
sobie przytoczyć w całości.
Pierwszy jego ustęp, nawiązujący
do owej końskiej sprawy, brzmi
niejasno, ale zdaje się
potwierdzać, że oskarżenia
wysuwane przeciwko Zajączkowi
tej właśnie sprawy dotyczyły.

"Dnia 14 Vendemiaire roku X (6
października 1801 - M.B.)

Obywatelu Generale,

Nie obawa przed narażeniem się
jakimś prywatnym interesom
skłoniła mnie do pozostawienia
Panu wyboru koni, lecz strach,
że pomyśli Pan sobie, że to ja
chciałem kogoś wyróżnić (wyraźne
nawiązanie do jakichś
wcześniejszych zarzutów - M.B.)

Jeśli chodzi o nieugiętość
republikańską, to dlatego
właśnie, że w niczym jej nie
uchyliłem, nienawidzi mnie tylu
anty_Francuzów, a niektórzy z
nich, mając okazję rozmawiania z
Panem, osłabili tę przyjaźń,
którą Pan mnie zaszczycał. Nie
będę przed Panem ukrywał,
Generale, że od tego dnia, w
którym powierzył mi Pan
dowództwo Przystani, z
przykrością stwierdziłem, że
Pana zaufanie uległo zmianie.
Zbyt długo żyję, aby nie mieć
pod tym względem wyrobionego
spojrzenia. Czy zwątpił Pan o
moim talencie? Czy o mojej
waleczności? Czy o moim

przywiązaniu do spraw publicznych? Nic z tego nie rozumiem. Zmartwienie moje przeżywałem w cichości aż do dnia, w którym tak silnie mnie Pan zganił. Prosiłem Pana wówczas, aby zabrano mi dowodzenie, które mi Pan powierzył. Na tym sprawa

utknęła. Pana niezadowolenie i mój ból trwały nadal. Za każdym razem, kiedy mnie Pan widzi, jestem ganiony. Spokojny w moim sumieniu, pozostawiłem czasowi przekonanie Pana, że nic nie będzie w stanie zmniejszyć mojej czci, wdzięczności i przywiązania, jakie dla Pana żywię.

Pozdrowienie i szacunek
Zajaczek"

List brzmi przekonująco. Kto wie: może Zajaczek w tej sprawie naprawdę był bez winy, a padł jedynie ofiarą intryg zawistnych kolegów? Tylko że, jeżeli rzeczywiście chodziło o jakieś nadużycia przy rozdziale koni dla oficerów, to natrętnie nasuwa się przypomnienie pewnego szczegółu, który dla pełnego obrazu sprawy koniecznie powinien być wyjaśniony: skąd wzięły się owe wspaniałe araby, które po powrocie z Egiptu generał Zajaczek podarował swemu dawnemu protektorowi hetmanowi Branickiemu do jego stajen w Białej Cerkwi? Ale tego nikt już teraz nie wyjaśni.

I jeszcze jedna ciekawostka z egipskiej działalności finansowo_gospodarczej generała Arbuza - tym razem całkowicie już humorystyczna i godząca nie tyle w Zajaczkę, co w jego biografkę. Pani Jadwiga Nadzieja podaje w swej książce, że Zajaczek, ewakuując się z Egiptu, zabrał ze sobą do

Francji tysiąc ulubionych
arbuzów (w wersji pani Nadziei -
melonów). Zabawny ten szczegół
tak do Zajączka pasuje, że bez
wahania powtórzyłbym go za
biografką, gdybym z ciekawości
nie zajrzał wprzód do starego
listu, wskazanego jako źródło
owej informacji. Otóż w liście z
3 września 1801 roku Zajączek
prosi naczelnego wodza Armii
"Wschód", generała Menou, o
pomoc w odzyskaniu tysiąca

"gourdes", należnych mu od kupca
Kotty.ego z Rosetty. Z każdego
słownika francusko_polskiego
można się dowiedzieć, że
"gourde" to tykwa, czyli owoc
jadalny, należący, podobnie jak
arbuz i melon, do rodziny
dyniowatych. Autorka książki o
Zajączku, nie chcąc zapewne
poszerzać swego studium
wprowadzaniem jeszcze jednego
okazu z rodziny dyniowatych,
pozwoliła sobie na drobną
licencję botaniczną i
utożsamiła tykwę z faworyzowanym
przez generała arbuzem (w jej
wersji: melonem). A że Zajączek
zabiegał o zwrot owego tysiąca
tykw vel melonów vel arbuzów na
krótko przed opuszczeniem
Egiptu, więc prosty stąd
wniosek, że zamierzał je
załadować na statek i zabrać ze
sobą do Francji. W ten sposób
narodziła się anegdota o tysiącu
arbuzów wywiezionych przez
generała łakomczucha - anegdota,
która ze względu na autorytet
historyczny pani Nadziei,
weszła jako trwały element do
biografii jej bohatera i była
potem powtarzana przez
wszystkich autorów
interesujących się Zajączkiem.
Niestety: rzetelna na ogół
biografistka ma wyjątkowego
pecha do botaniki, zwłaszcza do
rodziny dyniowatych. Dowiodła

już raz tego, mieszając arbuzy z melonami. Z tykwami wyszło jeszcze gorzej. Okazuje się, że w tej sprawie istnieje jeszcze jeden list Zajączka do Menou - o dwa dni wcześniejszy, który efektowną anegdotę całkowicie unicestwia. Pod datą 1 września 1801 roku generał Zajączek informuje zwierzchnika, że w sierpniu tegoż roku, chcąc wesprzeć materialnie pozostawioną w Paryżu żonę, skorzystał z pośrednictwa kupca Kotty.ego, który po przyjęciu od niego odpowiedniej sumy pieniężnej, wystawił weksel

("lettre de change"), płatny u bankierów w Livorno na 1000 gourdes bądź (uwaga! uwaga!) piastrów hiszpańskich. Generałowa jednak przesyłki nie otrzymała, gdyż nieuczciwy kupiec weksel zaprotestował. Stąd żądanie Zajączka wyegzekwowania od Kotty.ego zawierzonego mu kapitału.

Przy wszystkich osobliwościach natury Zajączka, trudno uwierzyć, że chcąc dopomóc materialnie żonie, starał się przesłać jej do Paryża tysiąc egipskich tykw (arbuzów), i to za pośrednictwem międzynarodowej sieci wekslarzy i bankierów. Jasne, że nie mogło tu chodzić ani o tykwy, ani o arbuzy. I rzeczywiście: "Wielka Encyklopedia" Larousse'a wyjaśnia, że słowo "gourde" miało w przeszłości także inne znaczenie, dziś już nie używane; nazywano tak monetę, którą jeszcze w początkach XIX stulecia posługiwano się jako środkiem płatniczym w wielu krajach egzotycznego Południa. W świetle tej rewelacji sypie się w gruzy botaniczna hipoteza pani Nadziei. Nie o arbuzy dla siebie

chodziło Zajączkowi, tylko o
zapomogę pieniężną dla ukochanej
Alexandrine! Kompletne
odwrócenie sytuacji: zamiast
samolubnego łakomczucha -
tkliwy, troskliwy małżonek! Oto
jakie zasadzki czyhają na
interpretatorów starych
dokumentów.

I wreszcie ostatnia sprawa,
związana z udziałem generała
Zajączka w wyprawie egipskiej:
zawarte w tym czasie jego
polskie przyjaźNie.

Na pozór mogłoby się wydawać,
że najbliższym dla Zajączka
Polakiem w Egipcie powinien być
legendarny "Oficer największych
nadziei" - kapitan, a po swych
wspaniałych wyczynach bojowych w
pierwszych tygodniach zamorskiej

kampanii, pułkownik - Józef
hrabia Sulima_Sułkowski.
Predystynowały ich na przyjaciół
jednakowe poglądy
społeczno_polityczne, rodzinne
związki z Francją (Zajączek
przez żonę, Sułkowski przez
matkę) oraz liczne przysługi,
świadczone przez Sułkowskiego
Zajączkowi w Paryżu i we
Włoszech. Nawet przydział do
Armii "Wschód" zawdzięczał
Zajączek protekcji Sułkowskiego.
A mimo to w całej dokumentacji
egipskiej nie ma najmniejszego
śladu jakichkolwiek,
bezpośrednich kontaktów między
nimi. Częściowo można by to
tłumaczyć tym, że Sułkowski
bardzo wcześnie zszedł ze sceny
egipskiej - zamordowany przez
powstańców kairskich już w
październiku 1798 roku. Są
jednak przesłanki nakłaniające
do przypuszczeń, że gdyby nawet
żył znacznie dłużej, to i tak o
przyjaźni jego z Zajączkiem nie
mogłoby być mowy. Pomimo
wszystkich dawniejszych powiązań
i długów wdzięczności za bardzo

ich od siebie oddalał krańcowo odmienny stosunek do Bonapartego.

Zajączek, ślepo uwielbiający swego potężnego protektora nie pozwalał ani sobie, ani innym podawać w wątpliwość słuszności jego postępowania. Natomiast niezłomny jakobin i obrońca egipskich fellachów, Sułkowski odnosił się bardzo krytycznie do poczynań Bonapartego w Egipcie. Czarna legenda napoleońska sugeruje nawet, że naczelny wódz Armii "Wschód" mógł być zainteresowany w przedwczesnej śmierci swego polskiego adiutanta, gdyż liczył się z tym, że w przyszłości nie zawaha się on wystąpić jako jego oskarżyciel przed sądem Dyrektoriatu. Rzecz jasna, że Zajączek nie mógł się przyjaźnić z tak zdecydowanym przeciwnikiem ubóstwianego wodza.

Z dokumentacji wyprawy wynika,

że jedynymi polskimi przyjaciółmi Zajączka w Egipcie byli: szef batalionu inżynierów Feliks Łazowski oraz misjonarz z zakonu reformatów, Adam Prosper Burzyński. Obaj zasługują na bliższe przedstawienie.

Major Feliks Łazowski - syn i wnuk kucharzy osiadłego w Lotaryngii polskiego króla wygnańca Stanisława Leszczyńskiego - wybitny inżynier wojskowy, przyszły generał i baron cesarstwa napoleońskiego, był młodszym bratem głośnego rewolucjonisty Klaudiusza Łazowskiego, owego bożyszczka paryskich sankiulotów, przywódcy szturm na Bastylie i Tuilerie, którego po zamordowaniu przez przeciwników politycznych, najpierw z wielką pompą pochowano w honorowym grobie na placu Karuzeli jako męczennika rewolucji, a następnie, jako wroga tejże

rewolucji, z honorowego grobu
wywleczono, i, po gruntownym
zbeczeszczeniu zwłok, ciśnięto
je do bezimiennego dołu.

W wieku 40 lat, Feliks
Łazowski, wychowany przez matkę
Francuzkę, z trudem już
porozumiewał się po polsku i
uważał się raczej za Francuza.
Dopiero pod wpływem Zajączka (o
ironio!) znowu poczuł się
Polakiem. Zajączek tak
Łazowskiego pokochał, że kiedy
otrzymał nominację na
gubernatora prowincji Menouf,
wyprosił u Bonapartego
pozwolenie na zabranie tam ze
sobą przyjaciela. Przyjaźń ich
trwała aż do wyjazdu Łazowskiego
z Egiptu, co nastąpiło w
listopadzie 1800 roku.

Drugim przyjacielem egipskim
Zajączka był niezwykle zakonnik
Adam Prosper Burzyński. Pełen
ducha apostołskiego i zapału do
prac misyjnych, znawca języków
wschodnich i sztuki lekarskiej,
rozpoczął działalność misjonarską
w Egipcie już w roku 1795, a

więc na trzy lata przed
przybyciem tam armii
Bonapartego. W krótkim czasie
zdobył sobie wśród ludności
tubylczej olbrzymią popularność
jako lekarz_uzdrowiciel i
opiekun potrzebujących. Nazywano
go powszechnie "ojcem ubogich".
Z Zajączkiem poznali się po
bitwie pod piramidami, kiedy
ojcu Burzyńskiemu, dzięki jego
stosunkom z tubylcami, udało się
uchronić od zagłady jeden z
podległych Zajączkowi oddziałów
francuskich. Za namową Zajączka
ksiądz Burzyński zgodził się
pozostać na pewien czas przy
armii Bonapartego, w
charakterze kapelana, lekarza i
tłumacza. Wszystkie dostępne
źródła z tego okresu
potwierdzają jego bliską

przyjaźń z Zajączkiem.

Przedziwna była ta egipska trójka polskich przyjaciół. Chyba tylko wśród Polaków możliwe są podobnie paradoksalne przyjaźnie. Bardzo chciałbym wiedzieć, czy dawny prezes warszawskiego trybunału, nadgorliwy szafarz rewolucyjnej sprawiedliwości nawiązywał do swych sędziowskich poczynań w rozmowach z przyjacielem, który rewolucyjnej sprawiedliwości uczył się na tragicznych losach rodzzonego brata? Albo jak godzili się ze sobą: z jednej strony - płomienny głosiciel słowa Bożego i wierny syn Kościoła, z drugiej - wściekły jakobin, który nie mógł darować Kościuszcze, że nie pozwolił mu powiesić biskupa?

Przyjaźń Zajączka z Łazowskim nie wykroczyła za wspólny pobyt w Egipcie. Po powrocie do Francji już się chyba z sobą nie przyjaźnili, gdyż nie ma na to żadnych dowodów. Dopiero w wiele lat później ich nazwiska spotkały się na tablicy honorowej paryskiego Łuku Tryumfalnego.

Natomiast przyjaźń z księdzem Burzyńskim trwała bardzo długo - aż do śmierci Zajączka.

Kiedy w roku 1815 o. Burzyński zawadził o Warszawę, aby ostatecznie pożegnać się z ojczyzną przed całkowitym poświęceniem się pracy misjonarskiej, generał Zajączek gorącymi namowami zdołał go nakłonić do pozostania na stałe w Królestwie Polskim. W cztery lata później książę namiestnik uzyskał od cesarza króla Aleksandra I zgodę na wyniesienie przyjaciela na wakujące biskupstwo sandomierskie. I wreszcie w roku

1826, kiedy na wpeł
sparaliżowany eks_jakobin z
Pałacu Namiestnikowskiego
poczuł, że nadchodzi śmierć,
zażądał, by nie kto inny, tylko
stary druh z Egiptu udzielił mu
ostatniej pociechy religijnej i
przygotował go do pojednania z
Bogiem.

Ii

Z Egiptu do Francji powrócił
Zajączek w początkach listopada
roku 1801. Poza sławą czynów
wojennych przywiózł stamtąd
kilka pięknych koni arabskich
pod wierzch i do zaprzęgu oraz
młodziutkiego jeńca mameluckiego
Ibrahima, którego - naśladowując
przykład Bonapartego - zatrzymał
przy sobie do posług osobistych.

Pierwsze miesiące pobytu
generała Arbuza w Europie
stanowią jakby pauzę w jego
bujnej, stale wznoszącej się ku
górze, karierze wojskowej. Wobec
ciągle jeszcze nie załatwionego
wpisu na listę etatowych
generałów dywizji Republiki
Francuskiej, otrzymał na razie
prowizoryczny przydział do
tyłowych wojsk terytorialnych,
co nie dawało wprawdzie szans na
wybicie się, ale też nie
obciążało nadmiarem zajęć
służbowych. Większość czasu

mógł spędzać w Paryżu,
poświęcając się całkowicie
słodyczom i goryczom życia
rodzinnego. Niewyczerpanym
źródłem słodczy była stęskniona
małżonka, urocza i zaradna
madame Alexandrine, goryczy,
brat Ignacy, który już od roku
przebywał z rodziną we Francji.
Ów młodszy brat - niegdyś z
protekcji generała
superintendent skarbu
powstańczego i zastępca w
Radzie Najwyższej Narodowej,

później jego współwięzień w Ołomuńcu i Josephstadtzie - człowiek raczej pocziwy i "kochany przez wielu", stanowił klasyczny okaz życiowego niedorajdy i pechowca. Zwolniony z austriackiej niewoli jako jeden z ostatnich, gdyż nikt z możliwych o jego uwolnienie specjalnie nie zabiegał, przedostał się z żoną i dwiema córeczkami: Gabrysią i Pelasią do Francji, aby wieść tam trudny żywot szeregowego emigranta, wśród nieustających kłopotów finansowych i upokarzających starań o zapomogi. Nie było podobno w Paryżu instancji politycznej czy charytatywnej, do której by Ignacy Zajaczek nie kołatał z prośbami o wsparcie. Domagał się go natarczywie, sugestywnie malując krańcową nędzę swej rodziny, niekiedy grożąc nawet popełnieniem samobójstwa. Bieda zapędziła byłego prominenta powstańczego aż do więzienia, gdyż w rezultacie swej łatwowierności dał się wplątać w aferę puszczenia w obieg fałszywych pieniędzy, namotaną przez osławionego oczajduszę emigracyjnego, pułkownika Ignacego Chadzikiewicza. Z więzienia uwolniono go wprawdzie szybko, dzięki staraniom Kościuszki i bratowej generałowej, ale kompromitacja pozostała i zatrzała mu dodatkowo dalszy pobyt na emigracji.

Główną podporą młodszego Zajaczka w jego biedach i kłopotach emigracyjnych był zaprzyjaźniony z nim generał Dąbrowski, który miał do niego słabość osobistą i cenił go jako "zasłużonego w insurekcji i ofiarę więzień austriackich". Doszło nawet do tego, że pod naciskiem Dąbrowskiego

oficerowie Legii Włoskiej uchwalili dla nieszczęśnika Dar Narodowy, przeznaczając dla niego jedną dniówkę ze swego miesięcznego żołdu.

Sytuacja Ignacego Zajączka zmieniła się zasadniczo dopiero z chwilą powrotu z Egiptu starszego brata. Generał Arbuż natychmiast przejął pełną opiekę materialną nad niewydarzonym krewnym. I trzeba mu przyznać, że uczynił to bez żadnych wzdragań. Okazało się, że okrzyczany samolub i nie nasycony chciwiec obdarzony był nad wyraz rozwiniętym zmysłem familijnym. Dla potrzebujących krewnych serce i kieszę miał zawsze otwarte. Zachłanna rodzinka w pełni tę jego zaletę doceni. Córki Ignacego Zajączka: Gabriela z Zajączków Radoszewska i Pelagia z Zajączków Łubieńska będą korzystać ze szczodrobliwości stryja do końca jego życia, a także - jeszcze długo po jego śmierci.

Pauza w karierze generała Arbuza nie trwała nawet roku. Potężny protektor nie zapomniał o swym "Egipcjaninie" (tak go nazywał przy każdym z nim spotkaniu). Lata następne będą dla Zajączka okresem zbierania nagród za wierną służbę z w Egipcie. W październiku roku 1802 osiągnął zasadniczy cel swych pragnień: wpis na listę etatowych generałów dywizji Republiki Francuskiej. W miesiąc później wyjechał do Ferrary we Włoszech, dla objęcia dowództwa nad dwiema dywizjami Armii Włoch (2 i 5). Wywołało to nie lada

poruszenie w kołach wojskowych Francji: Postawienie Polaka na czele dwóch dywizji regularnej armii było sensacją bez precedensu w dotychczasowych dziejach wojskowości

francuskiej.

O blisko trzyletniej służbie Zajączka w Armii Włoch wiemy niewiele. Ponieważ w zasadzie należy to do zakresu badań raczej francuskich i włoskich niż polskich, polscy historycy wymigują się samymi ogólnikami. "W Ferrarze źle mu się nie powiodło - pisze o bohaterze swej monografii Jadwiga Nadzieja. - Poświęcił się pracy organizacyjnej i szkoleniu wojska. Zawsze i wszędzie troszczył się o swoich podkomendnych, załatwiał im gorliwie awanse, dbał o wyżywienie i umundurowanie."

Że wywiązywał się ze swych obowiązków dowódczych ku pełnemu zadowoleniu, nie tylko podwładnych, ale i zwierzchników, najlepiej świadczą przyznawane mu w tym czasie wysokie odznaczenia. W maju 1802 roku Pierwszy Konsul Bonaparte powołał do życia Legię Honorową, pomyślaną jako związek wojskowych, odznaczonych najwyższym orderem Republiki, a zarazem jako najbardziej doborowa elita armii i społeczeństwa. Otóż generał Zajączek i tu osiągnął rekord bez precedensu. W ciągu niespełna dwóch lat - i to lat niczym nie zakłóconego pokoju - zdobył trzy kolejne krzyże nowego odznaczenia: kawalerski, oficerski i komandorski. Dekret Pierwszego Konsula z 14 czerwca 1804 roku uczynił go pierwszym w dziejach Polskim Komandorem Francuskiej Legii Honorowej.

Ale oficjalne świadectwa zasług wojskowych Zajączka w Armii Włoch nie wystarczają dla stworzenia sobie pełnego obrazu jego paroletniego życia w

Ferrarze. Chciałoby się znać jakieś szczegóły z tamtych lat

bardziej prywatne, bardziej osobiste, które potrafiłyby przydać więcej ciała i krwi ciągle jeszcze mglistej sylwetce przyszłego księcia_namiestnika Królestwa Kongresowego. I znowu nasuwa się refleksja, nieodmiennie towarzysząca odczytywaniu kolejnych etapów tej pokrętej biografii: co za szkoda, że nie dochowała się po Zajączku prawie żadna korespondencja prywatna. Szkoda tym większa, że z przetrwałej korespondencji służbowej widać, że przenoszenie na papier myśli i uczuć nie sprawiało generałowi większych trudności. Najdotkliwiej odczuwa się brak listów i "liścików", jakie wymieniać musieli ze sobą państwo Zajączkowie w tak często im się zdarzających okresach rozłąki. Z pewnością wiele ciekawych rzeczy mieli sobie do przekazania: rozumna i dowcipna madame Alexandrine oraz gwałtowny w swych uczuciach, chętnie wyrzucający z siebie wszystko, co leżało mu na wątrobie, monsieur Żo (generałowa w ten sposób spieszczała imię męża). Ileż takie listy mogłyby wnieść nowych rysów do psychologicznego portretu generała Zajączka! O ileż zrozumialsze mogłyby stać się dzięki nim mechanizmy jego wzlotów i upadków!

Ale nie dajmy się ponosić wyobraźni: listów takich niestety nie ma, a jeśli nawet niektóre z nich gdzieś się dochowały, to - zagrzebane głęboko w jakichś nie znanych archiwach polskich lub francuskich i jedynie szczęśliwy przypadek mógłby doprowadzić do ich ujawnienia. W tych warunkach - także i w odniesieniu do prywatnego życia Zajączka w Ferrarze - trzeba się zadowolić lakoniczną informacją

jego biografki, że "źle mu się nie powiodło". Co do tego nie może być chyba żadnych wątpliwości. Pomijając przejściowe epidemie febry bagiennej, dziesiątkujące mu żołnierzy i narażające go przez to na pewne kłopoty natury administracyjnej, życie we Włoszech słało się generałowi Arbuzowi po różach. Był najważniejszą osobą wojskową od Ferrary po Bolonię. Egzotyczny mameluk na kozłach ekwipażu potęgował jeszcze jego autorytet, przypominając o zwycięstwach w Egipcie i bliskich powiązaniach z "Bohaterem dwóch wieków". Włoskie principessy i contessy z rąk sobie wydzierały postawnego, tryskającego energią "Egipcjanina" o czarnych, palących oczach (madame Alexandrine, związana licznymi obowiązkami gospodarsko_towarzyskimi, większość czasu spędzała w Paryżu), walczyły o jego obecność w swoich salonach, ubiegały się o zaszczyt odtańczenia z nim pierwszego kadryla. No i uroki samej Ferrary: miasto niewielkie i niezbyt ożywione, ale niezmiernie interesujące, bo wypełnione bezcennymi pamiątkami przeszłości i arcydziełami sztuki - stwarzało idealne warunki do kulturalnego wytchnienia po całodziennym trudzie zajęć wojskowych. Można zaryzykować twierdzenie, że w renesansowych świątyniach Ferrary i w jej wspaniałych pałacach, pozostałych po książętach z rodziny d.Este, dałoby się odnaleźć dzieła pędzla i dłuta, równie zachwycające, jak ów posąg w paryskim Luwrze - co rzucił niegdyś na kolana młodziutkiego barskiego podporucznika. Tylko że francuski generał dywizji Zajaczek jest już uodporniony na

podobne zachwycenia. Po prostu: nie są mu więcej potrzebne. Cały jego zachwyty - po odliczeniu uczuciowego kontyngentu, należnego małżonce, skupia się na osobie Bonapartego. A potężny protektor czyni wszystko, aby zachwycać go coraz bardziej. W maju 1804 roku wstrząsa światem wielka nowina: Pierwszy Konsul Republiki Francuskiej, Bonaparte przeistacza się w Cesarza Francuzów Napoleona I.

Koronacja Napoleona na cesarza odbyła się w Paryżu 2 grudnia 1804 roku. Sądzę, że Zajaczek miał szczęście oglądać to wydarzenie na własne oczy, gdyż udział Legii Honorowej w zwartym szyku należał do programu uroczystości koronacyjnych. A jeżeli nawet obowiązki służbowe nie pozwoliły mu wtedy pojechać do Francji, to w pół roku później już na pewno uczestniczył w mediolańskiej koronacji cesarza na króla Włoch - sławną, żelazną koroną Karola Wielkiego. Wiadomo, że na pokoronacyjnym przeglądzie wojsk w Montechiaro, 13 czerwca 1805 roku, defilował przed Napoleonem na czele dywizji jazdy. Wyobrażam sobie tę scenę. Na tle mieniącej się wszystkimi kolorami tęczy świty marszałków i generałów szara, skromna sylwetka nowego cesarza i króla. Z wyciągniętą szablą na czele swej dywizji cwałuje Zajaczek. Na mgnienie oka spojrzenia ich się spotykają. Na nieprzeniknionej twarzy Cezara - cień uśmiechu, życzliwy gest ręki: Przecież to mój Egipcjanin! I oczy tamtego: "skamieniałe z żołnierskiej wierności, oczy przysięgłe!" Ostatnie określenia wzięte są od Żeromskiego. Takimi oczami wpatrywał się w cesarza inny

zagorzały napoleończyk:
Krzysztof Cedro, bohater
"Popiołów". Natężenie wierności
w oczach Zajączka było z

pewnością nie mniejsze niż w
oczach Cedry. Tyle że Cedro
szukał u Napoleona
potwierdzenia, że powstanie
wolna Polska, podczas gdy
Zajączek - zatruty naukami
hetmana Branickiego,
utwierdzonymi jeszcze klęską
Powstania Kościuszkowskiego - w
wolną Polskę już chyba nie
wierzył i, kto wie, może nawet
jej już nie pragnął. Wpatrując
się "skamieniałymi z żołnierskiej
wierności" oczami w Napoleona,
wyrażał jedynie swój podziw i
wdzięczność za to, że pozwolono
mu być francuskim generałem,
którym pragnął pozostać do końca
swych dni. Najwyżej mogła mu się
marzyć francuska buława
marszałkowska, byli już przecież
marszałkami jego koledzy
dywizyjni z Egiptu: Murat i
Davout.

W miarę rosnących
powodzeń osobistych, rozbrat
generała Arbuza ze wszystkim, co
polskie, stawał się coraz
wyraźniejszy i bardziej
zdecydowany. Wyjątkiem był
jedynie stosunek do generała
Dąbrowskiego. Od pamiętnego
zatargu w Paryżu Zajączek darzył
dowódcę Legionów sympatią i
szacunkiem, później doszła
jeszcze do tego wdzięczność za
pomoc udzielaną bratu. Wiadomo,
że za swego pobytu we Włoszech
często pisywał do Dąbrowskiego i
zawsze w tonie jak najbardziej
przyjaznym.

Dąbrowskiemu w tym czasie - w
odróżnieniu od Zajączka -
powodziło się fatalnie. Po
zawarciu przez Republikę
Francuską w roku 1801 pokoju z
Austrią i z Rosją, dalsze

utrzymywanie polskich Legionów
stało się dla Francji
niewygodne. Odebrano więc
Dąbrowskiemu jego żołnierzy,
dając mu w zamian fikcyjne
stanowisko generalnego
inspektora wojsk cudzoziemskich
we Włoszech (później zrobiono go

generalnym inspektorem jazdy w
Królestwie Neapolu). Oderwanych
od wodza legionistów wcielono do
wojsk Republiki Francuskiej,
formując z nich trzy półbrygady
cudzoziemskie. Dwie z nich -
blisko 6000 żołnierzy polskich -
włączono wkrótce po tym do
korpusu ekspedycyjnego,
wysłanego na wyspę San Domingo
na Morzu Karaibskim, dla
ugruntowania tam władztwa
kolonialnego Francji.

Nie mieli szczęścia polscy
legioniści do zamorskich wypraw.
W roku 1798 ominął ich udział w
ekspedycji do Egiptu. Tamta
zamorska wyprawa stwarzała im,
moim zdaniem (podkreślam, że
jest to tylko moje zdanie),
pewną historyczną szansę.
Walcząc bezpośrednio pod okiem
przyszłego zdobywcy Europy,
mieli okazję swoją żołnierską
bytnością i wiernością na tyle
zaskarbić sobie jego względy i
zaufanie, że mogło to bardzo
korzystnie zaważyć na jego
stanowisku w roku 1807, kiedy po
pokonaniu wszystkich trzech
zaborców, powstały warunki do
odrodzenia niepodległego państwa
polskiego.

Druga wyprawa zamorska,
podjęta w roku 1802, już takich
szans Polakom nie dawała. Przede
wszystkim nie było z nimi na San
Domingo "Bohatera dwóch wieków",
poza tym zielona wyspa karaibska
- tak piękna i gościnna z pozoru
- okazała się piekłem, wobec
którego niczym wydawać się
mogły: egipskie upały,

mameluckie szable, dokuczliwe
moskity i męczące zapalenie
oczu. San Domingo miało do
zaofiarowania polskim żołnierzom
z jednej strony śmierć od żółtej
febry bądź śmierć w torturach, w
razie dostania się w ręce
murzyńskich powstańców; z
drugiej - szczególnie dla
Polaków przykre i upokarzające
poczucie, że uczestniczą w
wojnie najbardziej trudnej, że

pacyfikują naród, walczący - jak
oni - o swoją wolność.

W rezultacie długotrwałych,
krwawych walk na karaibskiej
wyspie z sześciu tysięcy
wysłanych tam legionistów
powróciło do Francji zaledwie
dwudziestu oficerów i trzystu
szeregowych. Łatwo można sobie
wyobrazić, z jaką rozpaczą
przyjmował generał Dąbrowski
wieści o unicestwieniu swoich
Legionów. "Z tym wszystkim on
jeden wytrwał na posterunku -
oddaje Dąbrowskiemu
sprawiedliwość autor "Dziejów
oręża polskiego" Marian Kukiel.
- Otoczył się ścianą
zobojętnienia, nadał sam sobie
pozory kondotyera, aby nie
słyszeć niewczesnych skarg i
rozpaczliwych rezonowań ze
strony współrodaków. Czekał z
zaciśniętymi zębami nadejścia
rzeczy nieuniknionych.
Pozostawał wobec Francuzów,
wobec Pierwszego Konsula i
Cesarza Napoleona jedynym
przedstawicielem tej woli
narodowej u Polaków, która w
czyn się wciela."

Sądzę, że zupełnie inaczej
reagował na San Domingo generał
Zajączek. Dramat Legionów mógł
go tylko umocnić w narastającym
już w nim od dawna,
przeświadczeniu, że od losu
polskiego należy trzymać się jak
najdalej. Mentor Zajączka,

hetman Ksawery Branicki, lubił - jak pamiętamy - przedstawiać się po pijanemu: "Je suis Russe". Jego uczeń był bliski tego, aby w stanie zupełnej trzeźwości powiedzieć o sobie: "Je suis Fran~caise". Na drodze Zajączka do pełnego "wyojczyźnienia" pozostała już tylko jedna przeszkoda: Napoleon jeszcze ciągle pamiętał, że jego wierny "Egipcjanin" był Polakiem; w odpowiednich okolicznościach nie omieszka mu o tym przypomnieć. Tymczasem "pokój powszechny" w Europie miał się ku końcowi. Z

początkiem jesieni roku 1805, w wyniku układów zawartych między Anglią, Rosją i Austrią, zawiązała się nowa koalicja antyfrancuska. Napoleon potraktował to jako "casus belli". Powiadomił o tym swe wojska w odezwie z 30 września, skierowanej do świeżo utworzonej Wielkiej Armii. Odezwa rozpoczynała się od słów: "Żołnierze, zaczęła się trzecia wojna koalicyjna...". Jednocześnie główne siły lądowe Francji - zgrupowane dotąd w bazach wypadowych przeciwko Anglii, wokół miasta Boulogne - dokonały raptownego zwrotu i ruszyły szybkim marszem w stronę Renu na spotkanie z przeniewierczą Austrią.

Wojna z Trzecią Koalicją miała przebieg błyskawiczny.

"Musimy skończyć uderzeniem gromu" - zapowiedział Napoleon w jednym ze swych historycznych rozkazów dziennych, zwróconych do żołnierzy. I rzeczywiście każde ze zwycięstw tej wojny było gromem, bijącym w stary porządek Europy.

Dnia 19 października 1805 roku sromotnie skapitulowała pod Ulm 75_tysięczna elitarna Armia Dunajska pod dowództwem słynnego

generała austriackiego, Karla von Macka.

W listopadzie Francuzi, niemal bez przeszkód, wkroczyli do Wiednia opuszczonego w pośpiechu przez rzymsko_niemieckiego cesarza Franciszka II. *

Pełny tytuł Franciszka II brzmiał: Cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Po zwycięstwie Napoleona rzymsko_niemiecki cesarz Franciszek II przemienił się w Cesarza Austrii Franciszka I.

Dnia 2 grudnia 1805 roku na polach Austerlitz (obecnie Sławków w Czechosłowacji) rozegrała się rozstrzygająca "bitwa trzech cesarzy". Wojska

francuskie odniosły bezprzykładne zwycięstwo nad połączonymi armiami koalicji. Armia Austriacka została unicestwiona, armia rosyjska, po poniesieniu olbrzymich strat, zdołała się wycofać na wschód tylko dzięki przezorności starego generała Kutuzowa, późniejszego pogromcy Napoleona w wojnie 1812 roku. Jeden z pokonanych cesarzy (Aleksander) uciekł w popłochu z pola walki, drugi (Franciszek) przyszedł pieszo do polowej kwatery zwycięzcy (mieściła się w wiejskim wiatraku) prosić o pokój. Trzecia koalicja antyfrancuska niesławnie zakończyła swój krótki żywot. "Korsykański uzurpator" (jak nazywano Napoleona na koalicyjnych dworach) stał się władcą połowy Europy i zabrał się do ustalania w niej nowych porządków. Swymi proklamacjami, ogłaszanymi w paryksim "Monitorze", obalał stare trony ("Dynastia neapolitańska przestała panować") i powoływał do życia nowe państwa (zamiast

obalonego Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego - zostawione z łaski Habsburgom, okrojone Cesarstwo Austriackie oraz poddany protektoratowi Francji Związek Reński, który miał z czasem objąć wszystkie pozostałe państwa niemieckie z wyjątkiem Prus). Zajączek, odkomenderowany z Włoch do Armii Renu na krótko przed wybuchem wojny, całą kampanię 1805 roku przebył w sztabie generalnym Wielkiej Armii, jako jedyny Polak w stopniu francuskiego generała dywizji. Ale po bitwie pod Austerlitz jakaś złośliwa choroba przebiła się przez zapory jego legendarnego zdrowia i wyłączyła go ze służby na czas dłuższy. Co mu właściwie było, dokładnie nie wiadomo. Historyczne przekazy mówią jedynie ogólnie o "ciężkiej

chorobie i odnowieniu się starych ran". W każdym razie schorzenie rzeczywiście musiało być poważne, skoro leczył się z niego w szpitalu wiedeńskim przez blisko trzy miesiące, a potem uzyskał jeszcze pozwolenie na spędzenie rekonwalescencji w Paryżu, u boku żony.

A niepoprawna, stara Europa znowu szykowała się do wojny z Napoleonem. Jedynie pobita do imentu Austria nie była na razie zdolna do dalszych działań wojennych. Natomiast Rosja i Anglia, podbudowana wielkim zwycięstwem morskim admirała Nelsona pod Trafalgarem - montowały następną, czwartą już z kolei, koalicję antyfrancuską, do której przyłączyły się skwapliwie, sstrwożone rosnącym zagrożeniem ze strony Napoleona, Prusy.

Rekonwalescent Zajączek - przynaglany narastającymi nastrojami wojennymi, a także

poważnymi trudnościami finansowymi, w jakie wpędziła go długotrwała choroba - od razu poczuł się zdrów i gwałtownie zaczął się dopominać o powołanie go z powrotem do służby czynnej w Wielkiej Armii. Ale na prośby, z jakimi się zwracał do Sztabu Generalnego, odpowiadano mu zagadkowo, że "Cesarz ma już dla niego inne przeznaczenie". Rzecz się wyjaśniła na krótko przed rozpoczęciem wojny z Czwartą KOalicją. Tym razem główne uderzenie Wielkiej Armii kierowało się przeciwko Prusom. A ponieważ zaborca pruski miał pod swą władzą całą prawie centralną Polskę z Warszawą i Poznaniem - wyciszona w latach pokoju "sprawa polska" znowu powracała na porządek dzienny. Było więc rzeczą jak najbardziej naturalną, że Napoleon uznał za stosowne przypomnieć swemu "Egipcjaninowi" o jego obowiązkach Polaka.

Dnia 20 września 1806 roku w

pałacu St. Cloud cesarz Francuzów podpisał dekret o powołaniu Legii Północnej pod dowództwem generała dywizji, Józefa Zajączka. Legia Północna miała być sformowana z Polaków, zbiegłych z armii pruskiej i podobnie jak przedtem Legiony włoskie, była pomyślana jako załążek przyszłego wojska polskiego. Na razie jednak, ze względów taktycznych, w oficjalnej nomenklaturze Legii Północnej imienia Polski skrzętnie unikano, aby zbyt wcześnie nie drażnić Prus i Rosji. Jako typowy przykład hipokryzji mogą posłużyć odezwy Napoleona do nowej Legii, zwracającej się do polskich legionistów umownymi kryptonimami: "Dzieci Północy (...) Wojownicy nieustraszeni!"

General Arbus był podobno bardzo niemile zaskoczony ponownym przypisaniem go do losu polskiego. Ale woli cesarza poddał się. Już 3 października 1806 roku stawił się w westwalskim miasteczku Julich (uliers), przewidzianym początkowo na punkt organizacyjny nowej legii. Kiedy zaś w Sztapie Generalnym uznano, że lepiej na ten cel nadaje się miasto Landau w Nadrenii, przeniósł się posłusznie do Landau, założył tam swą główną kwaterę i z właściwą sobie gorliwością zabrał się do pracy zleconej mu przez Napoleona. Na nowym stanowisku raz jeszcze dowiódł swych niezaprzeczonych zdolności organizacyjnych. W ciągu niespełna dwóch miesięcy stan liczebny formowanej przez niego legii urósł prawie do 6000 żołnierzy. Z jego ówczesnej korespondencji z francuskim Sztabem Generalnym można się dowiedzieć, że o zaopatrzenie i uzbrojenie dla swoich nowych podwładnych umiał zabiegać tak samo żarliwie i energicznie, jak wcześniej czynił to generał

Dąbrowski dla swoich włoskich legionistów. Szkolenie wojskowe "dzieci Północy" również musiało być prowadzone nie najgorzej, skoro w kilka miesięcy później Legia Północna - wprawdzie pod innym już dowództwem - potrafiła zasłużyć sobie na najwyższe pochwały za swe wyczyny w bojach o Tczew i Gdańsk. Kiedy generał Arbus ćwiczył w Landau nad Renem nowych, polskich żołnierzy, marząc skrycie o jak najprędszym, ponownym oderwaniu się od spraw polskich - jego cesarski protektor zadawał mordercze ciosy armii pruskiej, która od czasów Fryderyka II uchodziła za niewyciężoną. Ta

kampania potoczyła się jeszcze szybciej niż poprzednia. 14 października 1805 roku - w dwóch wielkich zwycięskich bitwach, rozegranych niemal równocześnie pod Jeną i Auerstedt, armie pruskie zostały całkowicie rozbite, a państwo pruskie, bezbronne i otwarte, zdało się na łaskę zwycięzcy. Przerażony król pruski Fryderyk Wilhelm III i jego piękna, mądra żona, królowa Luiza - uciekli ze swej stolicy do Królewca, aby z resztą swych wojsk czekać tam na odsiecz sprzymierzonych armii rosyjskich.

Dnia 27 października cesarz Francuzów i król włoski odbył tryumfalny wjazd do Berlina. W towarzyszącej mu świcie zwracał powszechną uwagę, odziany po polsku, zwalisty generał Jan Henryk Dąbrowski, którego Napoleon wezwał był z Włoch do swego boku już 20 września 1806 roku, czyli dokładnie tego samego dnia, kiedy generałowi Zajączkowi powierzył dowództwo Legii Północnej. Zbieżność ta nie była oczywiście przypadkowa. Mobilizowanie przeciwko Prusom wszystkiego, co polskie, od początku uznano we francuskim Sztabie Generalnym za niezbędny element strategiczny

przygotowywanej operacji wojennej. W berlińskich rozmowach z Dąbrowskim Napoleon nie posługiwał się już kryptonimami w rodzaju "dzieci Północy". Mówiono otwarcie o Polakach. "Ten naród może skorzystać z pory stania się narodem" - kusił twórcę Legionów pogromca trzech rozbiorców Polski. Za słowami cesarza szły przekonujące fakty.

Dnia 4 listopada 1806 roku przednie straże francuskie

zajęły staropolski Poznań. W trzy tygodnie później marszałek Joachim Murat na czele swego korpusu hucznie i szumnie wjechał do Warszawy. "Donieść muszę Waszej Cesarskiej Mości - raportował 28 listopada - z jakim entuzjazmem witano dziś w Warszawie zbliżenie się wojsk Waszej Cesarskiej Mości; nie jestem w stanie go odmalować, nigdy w życiu nie widziałem ducha narodowego wyrażonego z taką siłą..."

Nazajutrz po wejściu Francuzów do Warszawy generał Józef Zajączek rozstał się ze stworzoną przez siebie Legią Północną. Ale oderwanie się od "dzieci Północy" nie dało mu upragnionego powrotu na drogę francuskiego kondotiera. Nowe zadanie, jakie mu powierzono, wprzęgało go jeszcze mocniej w służbę sprawy, od której starał się uciec. Napoleon zlecił mu formowanie nowej legii polskiej, tym razem już w Polsce: na odebranej Prusom ziemi kaliskiej. Szczegółowe instrukcje w tym względzie miał odebrać w Warszawie bezpośrednio od cesarza. Wyglądało na to, że z woli potężnego protektora sfrancuziały "Egipcjanin" - jakkolwiek by się przed tym bronił - będzie musiał przeobrazić się znowu w Polaka.

III

Dniem i nocą, przez błota i śniegi opuszczonej przed laty ojczyzny, zajeżdżając do ostatniego potu swoje egipskie cuganty i popędzając do szybszej jazdy, francuskimi i arabskimi okrzykami siedzącego na koźle mameluka Ibrahima, spieszył generał Arbuz ku swemu nowemu przeznaczeniu. Ale był to

pośpiech czysto zewnętrzny,
wynikający nie z wewnętrznej
ochoty, lecz z zakorzenionego
nawyku ślepego posłuszeństwa.
Generałowi wcale się nie
spieszyło do nowych obowiązków.
Przeciwnie: myślę, że zdążał ku
nim wściekły i zbuntowany jak
nigdy przedtem, od chwili swego
przystania do Napoleona. NOWy
rozkaz cesarski rozwalał mu
konsekwentnie realizowane plany
życiowe, powodując w jego
położeniu zwrot tak gwałtowny i
zasadniczy, że można go
przyrównać jedynie do tamtej
zamierzchłej przygody z czasów
Sejmu Wielkiego, kiedy to z
najbardziej zaufanej czeladki
hetmana Branickiego jednym
skokiem przerzucił się w sam
środek czerwieńców
księdza podkanclerzego
Kołłątaja. Tylko że wtedy
nastąpiło to, bądź co bądź, z
jego własnej woli, w wyniku jego
własnych przemyśleń i pragnień.
Teraz - wbrew woli, bez pytania
o zdanie - spychano go z drogi,
którą od dziesięciu lat, nie
szczędząc kondotierskich trudów,
zmierzał do wymarzonego celu:
"przelania się w bryłę narodu
potężniejszego". Tym razem ślepe
posłuszeństwo, z jakim
podporządkował się rozkazowi
Napoleona, nie miało już w sobie
nic z rozkoszy.

Do Warszawy dotarł 23 grudnia
wieczorem. Ale cesarza już nie
zastał. "Bohater dwóch wieków"
przez trzecią z kolei - po
Wiedniu i Berlinie - zdobyta
stolicę przemknął jak gradowa

chmura. Po gwałtownym zgromieniu
władz warszawskich za
niewystarczające dostawy
żywności, furazu i nowych
żołnierzy dla Wielkiej Armii -
opuścił oszołomione miasto na
kilka godzin przed przyjazdem

Zajaczka i pomknął dalej do przyfrontowej kwatery głównej marszałka Davouta, aby stamtąd pokierować osobiście manewrem strategicznym, który miał położyć ostateczny kres działaniom wojennym. Bo wojna z Czwartą Koalicją nie była jeszcze skończona. Na północ od Warszawy - na całej przestrzeni od Nasielska, Gołymina, Pułtuska aż po bagna Mazur - przetaczała się kolejna faza, nazywana teraz oficjalnie "wojną polską". Po szybkich i efektownych zwycięstwach nad Prusami przyszedł czas ślimaczających się bez rozstrzygnięć, ciężkich i krwawych zmagania z wojskami rosyjskimi. Południowcom z Wielkiej Armii nie odpowiadał ten sposób wojowania. Nie wytrzymywali naporu wicherów i chłodów wyjątkowo przykrew w tym roku zimy polskiej. Ciężka kawaleria francuska nie mogła się opędzić od szarpiącego ją ze wszystkich stron chyżego kozactwa. Francuskie armaty zapadały w rozmokłą ziemię i uruchamianie ich kosztowało wiele wysiłku. "Cała artyleria nasza ugrzęzła w błocie (...) Wicher i grad wywracały moich żołnierzy..." - skarżył się cesarzowi spod Pułtuska marszałek Lannes. Kierowany przez Napoleona manewr pułtuski, zmierzający do otoczenia i zmiażdżenia w decydującej bitwie wojsk rosyjsko-pruskich - podobnie jak wszystkie poprzednie operacje uciążliwej wojny polskiej - zakończył się nierozegraną. Korpusy koalicyjne wycofały się nie zniszczone za Narew, francuski pościg ugrzązł

w bagnach. "Ach cóż to za wojna! Ach cóż to za wojna! - wyrzekał w listach z frontu sam Napoleon.

- Pobitem Rosjan, ale cóż z tego! Pogoda straszna, deszcz, błoto sięga nam do kolan (...)
Nieprzyjaciel odgradził się od nas bagnami i pustynią (...)
Poznałem w Polsce piąty żywioł, jest nim błoto..." Umęczeni i niedożywieni żołnierze Wielkiej Armii ujmowali rzecz jeszcze dosadniej: "Co za przeklęte bagno! I oni (tzn. Polacy - M.B.) nazywają to ojczyzną!"

Generała Zajączka podczas nieobecności cesarza przyjął jego warszawski namiestnik, Joachim Murat. Ciekawe, jakie było to spotkanie dawnych towarzyszy broni z Egiptu. Przed kilku laty obcowali z sobą na stopie koleżeńskiej, jako równorzędni dowódcy brygad w jednej dywizji kawalerii. Teraz: wysadzony z siodła, dowódca nie istniejącej jeszcze legii polskiej w Kaliskiem, stawał przed majestatem cesarskiego namiestnika, marszałka Francji, "z Bożej łaski" wielkiego księcia Bergu i Kliwii. Złośliwy los jakby specjalnie, dla jeszcze większego pognębienia Zajączka, pokazywał mu na przykładzie Murata, do czego można dojść na drodze, z której jego tak brutalnie spędzono.

O swej misji kaliskiej nie zdołał się dowiedzieć od Murata niczego bliższego, cesarz nie zostawił żadnych poleceń w tej sprawie; nie otrzymał ich także wojenny gubernator wyzwolonej stolicy, generał Gouvion de Saint_Cyr. Obaj dostojnicy doradzili Zajączkowi, aby wstrzymał się z dalszą podróżą do powrotu cesarza z frontu, co miało nastąpić wkrótce. Z urządzeniem się w Warszawie nie miał specjalnych kłopotów: od paru lat mieszkał tu stale z całą rodziną jego młodszy brat,

znany już Ignacy Zajączek,
zajmujący ówczasie w
prowizorycznych władzach
warszawskich odpowiedzialne
stanowisko dyrektora poczt.
Wolno więc przypuszczać, że
pierwsze święta Bożego
Narodzenia w ojczyźnie spędził
generał w kręgu rodzinnym.

Obecność w mieście sławnego
"Egipcjanina" została przez
warszawian natychmiast zauważona
i wywołała liczne komentarze. Na
ogół witano go z zaciekawieniem
raczej życzliwym. Lata spędzone
w więzieniach austriackich,
sława egipskich zwycięstw,
mundur francuskiego generała
dywizji, towarzyszący mu
wszędzie egzotycznie odziany
mameluk, podobny do mameluków
Napoleona - wszystko to nie
usposabiało do wypominania
Zajączkowi jego dawnych
jakobińskich grzechów,
związanych z prezydowaniem w
rewolucyjnym trybunale czy z
niefortunną obroną Pragi. On -
ze swej strony - jakkolwiek
kurczowo trzymał się pozycji i
dystansu francuskiego generała,
grzął coraz głębiej w polskiej
rzeczywistości. Stolica
wyzwalanego kraju żyła w
nieustannej gorączce i trudno
było temu nastrojowi nie ulec. W
pierwszych dniach pobytu
Zajączka w Warszawie, od strony
Gołymina i Pułtusa "słysząc
było mocne z armat strzelanie".
Codziennie przybywały transporty
rannych. W historycznych
pałacach, przemienionych w
publiczne szpitale, panie z
najwyższego towarzystwa wyżywały
się patriotycznie w
pielęgnowaniu ofiar polskiej
wojny. Na dziedzińcach koszar
musztrowano rekrutów, na
przymiejskich błoniach harcowała
nowozaciężna, lekka kawaleria,
tak potrzebna Napoleonowi jako
przeciwwaga jazdy kozackiej.
Członkowie naczelnych władz
stołecznych - pomni niedawnych

cesarskich gniewów - osobiście
doglądali młynów i rzeźni,
pracujących dla wojska.
Jednocześnie w całym mieście: w
kaffenhauzach, w traktierniach, w
domach mieszczańskich i w
arystokratycznych rezydencjach -
szalały spekulacje polityczne.
Wszędzie autorytatywnie
rozstrzygano zawiłe problemy
strategiczne toczącej się nie
opodal wojny. Niepewność co do
dalszych losów ojczyzny starano
się rozbrajać irracjonalnym
polskim optymizmem: "Bóg jest z
Napoleonem, Napoleon z nami!"

Zajączka opadli od razu starzy
konfratry polityczni - dawni
warszawscy "hugoniści" i
weterani spod znaku paryskiej
Deputacji: Józef Kalasanty
Szaniawski, Jan Alojzy
Orchowski, Antoni Gliszczyński,
Jędrzej Horodyski, no i
oczywiście braciszek umiłowany,
z którym tyle kłopotów było w
Paryżu, a który obecnie
patronował polskim pocztom.
Brakowało jedynie najwyższego
przywódcy i ideologa
warszawskich czerwieńców:
księdza podkanclerzego Hugona
Koźłataja. Najpóźniej uwolniony
z austriackich więzień, leczył
się teraz z więziennych chorób na
wołyńskiej wsi pod czujnym
nadzorem rosyjskiej policji.

Z pewnością nie kto inny,
tylko właśnie dawni partnerzy
generała Zajączka wprowadzali go
w zawiłości bieżącej sytuacji i
dostarczali mu najświeższe
nowiny polityczne. Nie były to
dla nich nowiny wesołe.
Bezpośrednio po wkroczeniu do
Warszawy wojsk francuskich,
przywódcom dawnej powstańczej
lewicy roiło się, że z pomocą
Napoleona uda im się to, czego
nie zdołali osiągnąć w czasie
insurekcji: że obejmą rządy w
wyzwolonej Polsce, a następnie

przebudują ją na modłę
francuską, uszczęśliwiając
Polaków zdobyczami Wielkiej

Rewolucji. Byli pewni, że
Napoleon pomoże im te pragnienia
urzeczywistnić. Sądziło, że mają
prawo oczekiwać tego od
człowieka, którego w okresie
Terroru nazywano we Francji
"Robespierre'em na koniu" i
który później - już po
ogłoszeniu się cesarzem - choć
sam u siebie rewolucję
zlikwidował, jej najważniejsze
osiągnięcia starał się
upowszechniać wszędzie tam,
gdzie zwyciężały jego wojska.

W pierwszych dniach po
wyzwoleniu nadzieje warszawskich
czerwonych zdawały się
spełniać. Wielu z nich zajęło
ważne stanowiska w różnych
instancjach, powołanej 3 grudnia
przez Murata Izby Najwyższej
Wojennej i Administracji
Publicznej (nazywanej potocznie
Izbą Administracyjną) -
pierwszej prowizorycznej władzy
wyzwalanego kraju, a francuscy
wyzwoliciele z życzliwą uwagą
wysłuchiwali ich rad i opinii.
Ale na krótko przed przyjazdem
Zajączka sytuacja jego
politycznych przyjaciół poczęła
się radykalnie zmieniać,
odzierając ich z hołubionych
złudzeń. Z dnia na dzień
ograniczano ich wpływy w Izbie
Administracyjnej, a dostęp do
władz francuskich stawał się dla
nich coraz trudniejszy. Na ich
oczach rozgrywało się coś, czego
żadną miarą nie mogli zrozumieć
i co wydawało im się jakimś
koszmarnym snem. Spadkobierca
Wielkiej Rewolucji Francuskiej,
zamiast opierać się w swej
polskiej polityce na polskich
jakobinach, najbliższych i
najwierniejszych
sprzymierzeńcach Francji, władzę

nad wyzwalanym krajem oddawał
magnatom, ciągle jeszcze
zerkającym bojaźliwie w stronę
zaborczych dworów oraz
ziemiańskim działaczom Sejmu
Wielkiego, którzy w swoim czasie
udaremnili rozciągnięcie

konstytucyjnych reform 3 maja na
szczególnie uciemioną ludność
włościańską.

Najbardziej jednak musiały
poruszyć Zajęczka przekazane mu
przez dawnych kolegów pogłoski,
że jego uwielbiany cesarz
zamierzał na czele tworzącej
się armii polskiej postawić nie
"swojego Polaka", generała Jana
Henryka Dąbrowskiego, i nie
"swojego Egipcjanina" - nie bez
powodu chyba ponownie gwałtem w
polskość zapędzonego - ale
wybrańca stołecznych
arystokratów, świeżo
przywróconego do służby i rangi,
lecz nadal mało w polskim
społeczeństwie popularnego,
generała Józefa Poniatowskiego -
hulaszczego księcia z pałacu Pod
Blachą.

Z tym już generał Arbut
pogodzić się nie mógł. W jednej
chwili ożyły w nim wszystkie
stare kompleksy i urazy. Znowu
wysokim płomieniem buchnęła
przygaszona upływem czasu,
obsesyjna nienawiść do
Poniatowskich. Zabułgotał w
gardle z trudem wstrzymywany
wrzask z dawnych lat
hetmańsko_sejmowych: "NIE ma
zgody! Fora! Nie pozwalam!"

Czyż mógł pozwolić na to, aby
w nowym wojsku polskim,
tworzonym przecież nie bez jego
udziału, najwyższe miejsce zajął
ten, którego w swym opisie
kampanii 1792 r. piętnował jako
"młodzika bez talentów i
zdatności komenderującego"?
Którego w roku 1794 miał
najszczerzą ochotę powiesić

razem z całą jego podłą
królewską rodziną? Który -
wtedy, gdy inni cierpieli po
więzieniach i przelewali krew na
szerokim świecie - gnił
bezczylnie w pruskiej Warszawie,
przyjmował najwyższe ordera od
pruskiego zaborcy, cudzołożył z
agentką francuskich rojalistów i
wpisywał się w kroniki
towarzystwa okupowanej stolicy

jako patron pijackich awantur w
restauracjach, na ulicach, w
teatrach?

Hałaśliwe protesty przeciwko
wywyższeniu Poniatowskiego
nadadzą skandaliczny posmak
wielu następnym kartom biografii
generała Arbuza. Ale za ten
niewybaczalny (w jego mniemaniu)
błąd polityki francuskiej nie
winił Zajaczek cesarza. Jak
wszyscy wierni pretorianie,
odpowiedzialnością za błędy
obciążał nie wodza, lecz jego
subalternów. Winnych odnalazł
bez trudu: warszawscy jakobini
doskonale wiedzieli, komu we
władzach francuskich zależało na
wywyższeniu księcia spod
"Blachy".

Popierał go najstrojniejszy
marszałek cesarstwa,
pawio_papuzi namiestnik Murat.
Ów "z Bożej łaski" suweren
Bergu i Kliwii, wywodzący swój
ród z małomiasteczkowych
francuskich oberżystów, snobował
się na starą arystokrację
warszawską i pragnął ją sobie
pozyskać, gdyż przymierzał się
już do tronu przyszłego
Królestwa Polskiego. Zresztą
księcia Józefa szczerze lubił i
podziwiał za bliski mu
kawalerski fason i rycerskie
poczucie honoru.

Za drugiego opiekuna "Blachy"
powszechnie uważano potężnego
ministra spraw zagranicznych
cesarstwa, Talleyranda.

Przemadry kulawiec - w odróżnieniu od Murata - zupełnie się nie interesował wewnętrznymi rozgrywkami Polaków. Wywyższeniu księcia Józefa sprzyjał wyłącznie ze względów intymno_towarzyskich. Wspierał go jako "sui generis" powinowatego, gdyż zdażył się już wdać w poważny romans z ukochaną siostrą księcia, hrabiną Marią Teresą Tyszkiewiczową, nazywaną przez warszawskich złośliwców z powodu pewnego dość istotnego defektu

urody "szklanym oczkiem". Wyobrażam sobie, że jakobińskie rewelacje o Poniatowskim musiały podziałać na Zajączka jak objawienie. Zrozumiał dzięki nim, po co los przygnał go z powrotem do Polski. Miał do spełnienia historyczną misję. Tylko on - jako jeden z nielicznych Polaków, obdarzonych przywilejem bezpośredniego komunikowania się z cesarzem - mógł swemu panu prawdziwie przedstawić sytuację polityczną w wyzwalanym kraju; tylko on mógł - w swoim mniemaniu - uchronić Napoleona od błędnych i szkodliwych rozstrzygnięć, ku którym go popychali z motywów osobistych Murat i Talleyrand.

I oto jeszcze jedna z Zajączkowych osobliwości biograficznych, jakich daremnie by szukać w innych znanych życiorysach historycznych. Czego nie zdołały sprawić ani rozkazy cesarskie, zlecające "Egipcjaninowi" formowanie polskich legii, ani jego bezpośrednie zetknięcie z nie widzianą od dwunastu lat ojczyzną - tego dokonała jego chorobliwa nienawiść do księcia Józefa. Z nienawiści do Poniatowskiego sfrancuziały generał Arbuz poczuł się znowu

Polakiem.

Z właściwą sobie gwałtownością rzuca się w korespondencję z cesarzem. Od pierwszych dni swego pobytu w Warszawie zasypuje potężnego protektora listami i memoriałami w sprawie polskiej. Program polityczny polskich jakobinów, natchniony światłą myślą Kołłątaja przeplata się w tej korespondencji z kompleksami i jadowitą prywatą autora.

"Wszyscy wierzą, że Wasza Cesarska Mość przywróci Polskę. Trzeba dla niej konstytucji francuskiej, kodeksu cywilnego i kryminalnego francuskiego, a przede wszystkim francuskiego

króla (byle nie oddawać tronu polskiemu magnatowi! byle nie komuś z kręgu Poniatowskich i Czartoryskich! - zdaje się krzyczyć między wierszami - M.B.). Ostatnia konstytucja polska z 1791 roku jest niewystarczająca. O chłopach w niej zapomniano. Ta klasa ludzi zasługuje, aby zajęto się polepszaniem jej losu. Odnowiciel Polski nie ścierpi, aby chłopci znosili nadal jarzmo niewoli..."

Do władzy - zdaniem Zajączka - trzeba powołać starego naczelnika Kościuszkę i "jedynego człowieka z głową" - Kołłątaja. Trzeba znieść przywileje szlacheckie i poskromić magnatów. To najważniejsze! "Francja nie może ufać arystokratom z ich księciem Józefem, bo ci ze względu na sprawę chłopską będą zawsze ciążyć ku Rosji i przy pierwszej okazji zdradzą." Autor listów uważa, że magnatów - zwłaszcza tych z kręgu "Familii" Czartoryskich i Poniatowskich - należy odsunąć raz na zawsze od wszelkich urzędów i "stale

trzymać pod dozorem".
Najzacieklej oskarża księcia
Józefa. Ostrzega cesarza o
istnieniu w Warszawie szerokiego
spisku rosyjskiego, sięgającego
swymi mackami do magnackich
pałaców. W miarę pisania
zaciętrzewia się coraz bardziej.
Za pozorami obywatelskiej troski
coraz wyraźniej pobrzmiwa
nienawiść osobista. Rzeczowe
informacje ustępują miejsca
ordynarnym donosom.

Bardzo surowo, ale chyba
sprawiedliwie, ocenia ówczesne
listy Zajączka do Napoleona
wielki historyk napoleońskiej
Polski, Szymon Askenazy.

"Ten głos zasłużonego
żołnierza, ale tylko żołnierza,
głowy na pozór postępowej,
radykałnej, ale naprawdę po
staroświecku wstecznej, mętnej i

ciasnej - brzmi synteza
Askenazego - to był w
odnowionej postaci stary
anarchistyczny głos faksji i
prywaty. Jeszcze nie było nic,
nie było kraju, a już podnosił
się zawczasu ten głos fatalny,
monopolizując z góry dla jednych
dobro i prawość publiczną,
osadzając z góry innych,
najlepszych od rady i służby
publicznej, dzieląc to, co
należało jednoczyć, osłabiając
to, co należało wzmocnić,
podnosił się i wciskał
zgrzytliwym, przeczącym echem
samobójczych błędów przeszłości
pomiędzy czyste i twórcze hasła
przyszłości społeczeństwa."

* * *

W ostatnich dniach grudnia
1806 roku gwałtowny atak mrozów
przerwał operacje bojowe
"polskiej wojny". Dwie
zmordowane, zziębnięte armie
zatrzymały się w niewielkiej

odległości od siebie i zapadły w zimowe leża.

Pierwszego stycznia 1807 roku, w późnych godzinach wieczornych, powrócił do Warszawy cesarz Napoleon - tym razem na pobyt dłuższy. Jego przybycie zapoczątkowało najbardziej osobliwy i najbardziej historyczny ze wszystkich warszawskich karnawałów. Na pewien czas Warszawa stała się stolicą całej napoleońskiej Europy, a co za tym idzie: centralnym ośrodkiem dyspozycyjnym dalszego biegu historii. Za cesarzem przyciągnął tłum dworskich dygnitarzy, ministrów, sławnych marszałków, egzotycznych ambasadorów oraz wasalnych książąt z Włoch i ze Związku Reńskiego. Miasto pojaśniało od odświętnej iluminacji, ożywił je wielojęzyczny gwar i nastrój radosnego podniecenia. A przecież rzeczywistych powodów

do radości było niewiele. "Chociaż Warszawa balami i zabawami świetniała, obraz tego, co działo się w kraju, rozdzierał serce każdego" - zapisał wiarygodny świadek ówczesnych zdarzeń i nastrojów, kasztelan Leon Dembowski. Miasto i kraj były do granic wytrzymałości udręczone wojną i przeszło dwumiesięcznym pobytom wojsk napoleońskich. Witani niedawno z takim entuzjazmem, francuscy wyzwoliciele niepostrzeżenie przemienili się w uciążliwych okupantów, wcale nie mniej przykrych niż wypędzeni przez nich Prusacy. Żołnierze Wielkiej Armii zachowywali się w Polsce jak zwycięzcy w zdobytym kraju nieprzyjacielskim i zabierali jako należny im łup wojenny wszystko, co nadawało się do

zabrania. Wiadomości nadchodzące z frontu również nie były pocieszające. Powolny i krwawy przebieg "polskiej wojny" uprzytamniał największym nawet optymistom, że rozbiornicy Polski są jeszcze ciągle zdolni do długotrwałego oporu, a może nawet i do skutecznego odwetu. Mgliście przedstawiała się nadal tak istotna dla Polaków sprawa "wrócenia Królestwa". Publiczne wypowiedzi cesarza na tematy polskie nie wykraczały poza wieloznaczne, pytyjskie ogólniki. Konkretne i jednoznaczne były w nich jedynie żądania coraz to większych dostaw dla Wielkiej Armii.

Nie bacząc na wszystko, wyzwolona stolica Polski pławiła się w euforii wielkich nadziei i na wszelkie możliwe sposoby wysławiała cesarza wybawcę. Entuzjazm i siła polskiego ducha narodowego - którymi tak zachwycił się Murat przy wjeździe do Warszawy - w pierwszych dniach stycznia 1807 roku osiągnęły punkt szczytowy. Podczas codziennych rewii

wojskowych, przyjmowanych przez cesarza, tysiące warszawian różnego wieku i stanu - "skamieniały z wierności" oczami - wpatrywały się w bladą, z lekka już nalaną twarz człowieka w czarnym, dwurożnym kapeluszu i szarym, podbitym futrem redingocie. Dziennikarze z codziennych gazet, okolicznościowi poeci, autorzy iluminowanych napisów na "arkach" tryumfalnych, scenarzyści alegorycznych, żywych obrazów, wystawianych w teatrach, a niekiedy także zwykli prości mieszkańcy Warszawy - prześcigali się w formułowaniu coraz to nowych, coraz bardziej wyszukanych

hołdów dla Napoleona: Bohatyr
dwóch wieków! Prawodawca ludów!
Pogrom uciemężycielów! "Venit
et lux facta est!" (Przybył i
stało się światło!) Wznosić
upadłe państwa, wracać im imiona
dziełem tylko jest Boga lub
Napoleona!

I rozczulająca pogróżka w
witrynie jatki rzeźniczej na
Krakowskim Przedmieściu:

Kto nie będzie wierny Polsce i
Napoleonowi, to mu łeb utnę jak
temu wołowi!

I końcowe słowa przysięgi,
składanej przez nowozaciężnych
polskich żołnierzy:

"...posłuszny do zgonu
rozkazom Wielkiego Napoleona o
swobodę i całość Ojczyzny do
przelania ostatniej kropli krwi
walczyć będę!"

Każdy krok, każdy
najdrobniejszy gest Napoleona
był pilnie odnotowywany przez
opinię publiczną i natychmiast
poddawany zgodnej z marzeniami,
lecz zupełnie nieadekwatnej
interpretacji:

Cesarz odtańczył na balu

kontredansa z szambelanową
Walewską - a więc będzie wolna
Polska!

Cesarz był na śniadaniu w
Jabłonnie u księcia Józefa i
bardzo chwalił kuchnię książęcą
- a więc będzie wrócone
Królestwo!

Itp..., itp..., itp...

Jedynie ktoś orientujący się w
polskiej historii zdolny jest
dzisiaj zrozumieć i
usprawiedliwić ten niebywały,

nie znajdujący uzasadnienia w realiach rzeczywistości, wybuch pronapoleońskiego szału. Wynikał on bowiem stąd, że dla Polaków ówczesnych człowiek w czarnym, dwurożnym kapeluszu i szarym redingocie stał się ucieleśnieniem marzeń i snów o odzyskaniu utraconego przed dwunastu laty niepodległego państwa. Jakież znaczenie mogły mieć wobec tego takie lub inne niedostatki w przyziemnych realiach czy małoduszne wątpliwości takich lub innych politycznych przemądrzalców?

W tej atmosferze powszechnej adoracji Napoleona generał Zajaczek musiał się czuć jak w niebie. Ale nie łagodziło to wcale jego zaciętrzewienia w stosunku do adwersarzy politycznych, zwłaszcza - do księcia Józefa. Przeciwnie: zdawał jeszcze wysiłki, aby plonów ogólnego uwielbienia dla jego cesarza nie przechwyciły niewłaściwe ręce. W swojej walce przeciwko Poniatowskiemu zyskał potężnego sprzymierzeńca, gdy po zawieszeniu działań wojennych zjechał do Warszawy jego drugi kolega z Egiptu, marszałek Ludwik Mikołaj Davout, książę Auerst~adtu, naczelny dowódca wszystkich wojsk cesarskich na wschód od Renu. Surowy, pedantyczny Davout, o którym mówiono w Warszawie, że tak samo

jak Murat marzył o koronie polskiej, różnił się pod każdym względem od impulsywnego księcia bergskiego. Obce mu było nuworyszowskie snobowanie się na wysoko urodzonych, jako że sam wywodził się ze starej rodziny arystokratycznej (przed rewolucją pisał się d.Avoust) i jak to często bywa u odstępców od swojej klasy społecznej - do arystokratów odnosił się

niechętnie i nieufnie.
Popieranie Poniatowskiego przez Murata szczególnie go drażniło. Na chłodnego intelektualistę sztabowego nie działały kawaleryjskie uroki "Alcybiadesa spod Blachy". Natomiast pamiętał dobrze, że bratanek polskiego króla, w czasie swej krótkiej emigracji brukselskiej po wojnie 1792 roku, ostentacyjnie się "fraternizował" z generałami austriackimi, walczącymi przeciwko Republice Francuskiej (Davout nie musiał wiedzieć, że byli to dawni przyjaciele księcia z lat jego służby wiedeńskiej). Nie mógł też darować Poniatowskiemu jego pruskich orderów i trwałego związku z podejrzaną emigrantką francuską, "agentką Burbonów", hrabiną de Vauban. Wszystko to grało na korzyść generała Arbuza. Uprzedzony do Poniatowskiego, potężny marszałek dawał chętny posłuch nienawistnym podszeptom zaufanego druha z Egiptu i jego opinie skwapliwie przekazywał cesarzowi.

W walce z Poniatowskim Zajączek nie był bynajmniej osamotniony. Dziś, kiedy księżę Józef spoczywa na wawelskim Panteonie, kiedy należy do naszych najulubieńszych bohaterów narodowych, kiedy dla przeciętnego Polaka stanowi symbol honoru rycerskiego bez skazy, bohaterstwa bez granic i najofiarniejszej miłości ojczyzny - trudno wprost

uwierzyć, jak wiele niechęci wzbudzał on przeciw sobie w Warszawie lat 1806_#1807. A jednak tak było, przyznaje to nawet zakochany w księciu jego biograf naczelny, Szymon Askenazy. "Co zaś w tym wszystkim najboleśniejszego -

żali się Askenazy - to ta okoliczność, że po stronie takiego przeciwnika jak Zajączek stała wtedy niemała opinia wojska i Warszawy, która większe tytuły do dowództwa przyznawała Dąbrowskiemu, która w ks. Józefie mogła już zapomnieć wodza spod Zieleniec, nie знаła jeszcze wodza spod Raszyna i Lipska, a pamiętała niefortunnego komendanta spod Powązek "(w roku 1794 - M.B.) i widziała ciągle "Szarmanckiego" spod Blachy, synowca Stanisława Augusta, krew abdykacyjną, osławione jeszcze, nie wślawione, imię Poniatowskiego."

Obok Zajączka, sztandarową postacią opozycji przeciwko księciu Józefowi był generał Jan Henryk Dąbrowski. Wódz Legionów miał za co nie lubić Poniatowskiego. Kiedy przyjechał po raz pierwszy do Warszawy, w połowie grudnia 1806 roku, powitano go jako niekwestionowanego przywódcę odzyskującego wolność narodu. Ale kiedy - obdarzony tym mandatem powszechnego zaufania - zamierzał wystąpić z orędem do wojska i społeczeństwa, ubiegł go nieoczekiwanie Poniatowski. W wyniku zakulisowych machinacji na szczytach administracji francuskiej (Murat, Talleyrand) druk odezwy Dąbrowskiego zatrzymano, a zamiast niej ukazała się odezwa księcia Józefa ogłaszająca jego powrót do "rangi i czynności" sprawowanych w wojsku Rzeczypospolitej i rekomendująca go jako organizatora i zwierzchnika sił zbrojnych "w tutejszych prowincjach".

Był to bolesny i upokarzający policzek dla Dąbrowskiego. Odezwa Poniatowskiego wyłączyła spod jego wpływu stolicę kraju,

pozbawiając go tym samym
należnego mu pierwszego miejsca
w odradzającym się wojsku
polskim. Oburzony zniewagą
wyrządzoną swemu wodzowi, obóz
legionowy, jak jeden mąż, stanął
przeciwko Poniatowskiemu,
jednocząc się mimo woli we
wspólnym froncie z niepopularnym
wśród legionistów generałem
Zajączkiem. Była to wielka
wygrana dla generała Arbuza.
Dzięki poparciu kół legionowych
jedo osobisty konflikt z
POniatowskim nabierał cech
ogólnonarodowego,
patriotycznego protestu.

Ale w styczniu 1807 roku - za
drugim pobycem Dąbrowskiego w
Warszawie - napięcie między
obozem legionowym a "Blachą"
wyraźnie zaczęło słabnąć.
Wynikało to z umacniającej się
dnia na dzień popularności
Dąbrowskiego w szerokich kręgach
społeczeństwa i z rosnącego
powszechnego przekonania o jego
przewagach moralnych i fachowych
nad księciem spod "Blachy". Wódz
legionistów przeżywał swe
najświetniejsze dni. Pomimo
starań francuskich protektorów
"Blachy", nie księżę Józef, lecz
on, Dąbrowski, był drugą po
Napoleonie najważniejszą osobą
historycznego karnawału
warszawskiego. Ilekroć pojawiał
się w teatrze czy innym miejscu
publicznym, "porywany był na
ręce i podnoszony do góry przy
powszechnych oklaskach". W
gazetach drukowano wiersze
opiewające jego patriotyzm i
bohaterstwo. Spotkanie
Dąbrowskiego na błoniach
łowickich z wielotysięcznym
pospolitym ruszeniem szlacheckim
obróciło się w burzliwą
demonstrację na jego cześć.
Okrzyknięto go ojcem Ojczyzny i
do otrzymanej już przez niego

wcześniej szabli króla Jana Sobieskiego dodano mu drugą najświętszą relikwię wojska polskiego: buławę hetmana Czarnieckiego.

Unieśmiertelniający jego imię i wiążący go trwale z Bonapartem, przywieziony z Włoch, mazurek legionowy śpiewany był przez wszystkich - od najmłodszych do najstarszych - i stawał się niemal oficjalnym hymnem odradzającego się państwa. Cały kraj zdawał się powtarzać to, co mówili niegdyś szeregowi legionieści, napotkani przez Zajączka we włoskiej miejscowości Palmanova:

"Dąbrowski naszym wodzem umiłowanym, innego wodza mieć nie chcemy!" Wtedy te słowa wymierzone były przeciwko Zajączkowi, teraz - godziły w Poniatowskiego. Jednocześnie ze sfer miarodajnych komunikowano "Generałczkowi" (tak tytułował Dąbrowskiego Wybicki), że jego nazwisko zajmuje poczesne miejsce na liście personalnej przyszłych władz wyzwolonej Polski i że jemu, niewątpliwie, oddane będzie naczelne zwierzchnictwo nad nowym wojskiem polskim.

W tej sytuacji wódz Legionów mógł poczuć się na tyle mocnym, by zlekceważyć całkowicie zagrożenie ze strony Poniatowskiego i cały spór z "Blachą" - wobec odpadnięcia jego konkretnych przyczyn - uznać za bezprzedmiotowy.

Inaczej rzecz się miała z Zajączkiem. On z konfliktu z Poniatowskim wycofać się nie mógł. Jego spór wyróżniał się tym, że u jego podstaw nie było takich konkretnych przyczyn, których usunięcie mogłoby go całkowicie rozbroić. Wrogość Zajączka do Poniatowskiego narastała latami i w ciągu tych lat wchłaniała w siebie jak gąbka wszystkie pretensje do ludzi i do świata, lęgnące się w

dzikiej, namiętnej duszy
generała Arbuza. Spór rozpoczęty
jako polityczny, stopniowo coraz
bardziej stawał się obsesją
osobistą. Zajączek przyzwyczał
się widzieć w Poniatowskim
generalną przyczynę wszystkich
krzywd, niesprawiedliwości i
poniżeń, jakich - w swoim
mniemaniu - doznał od
niewdzięcznej ojczyzny. Ten
symboliczny życiowy konflikt
mógł się zakończyć tylko wraz z
życiem jednej ze skłóconych
stron.

Akcja Zajączka przeciwko
Poniatowskiemu i jego
arystokratycznym poplecznikom
prowadzona na przełomie lat
1806_#1807 była początkowo bardzo
skuteczna. Cesarz odnosił się
poważnie do wszystkich rad i
postulatów swego wiernego
"Egipcjanina". Jeszcze w
grudniu otrzymał Zajączek zgodę
na sprowadzenie do Warszawy
księdza Hugona Kołłątaja. W
Berville pod Paryżem cesarski
minister policji Fouché
pertraktował z Kościuszką na
temat jego powrotu do Polski.
Także opinie o Poniatowskim,
przekazywane w listach Zajączka,
przyjmował cesarz z dobrą wiarą.
Znajdowało to odbicie w jego
korespondencji z warszawskim
namiestnikiem. "Poniatowskiego
znam lepiej od ciebie - pisał do
życzliwego księciu Murata - jest
to człowiek lekkomyślny,
niekonsekwentny w większym
jeszcze stopniu niż inni Polacy
(...) cieszy się on w Warszawie
małym zaufaniem".

Ukoronowaniem działań Zajączka
(i innych przeciwników
Poniatowskiego) były wyniki
konsultacji społecznej,
przeprowadzonej przez władze
francuskie wśród kilkunastu
wybitnych polityków i działaczy
polskich, w sprawie ewentualnego
składu osobowego mającej powstać

naczelnej władzy wyzwolonego kraju. Wynik ankiety okazał się

dla księcia spod "Blachy" fatalny: za jego kandydaturą na zwierzchnika sił zbrojnych wypowiedziało się zaledwie dwóch ankietowanych (jednym z nich był, o dziwo, Ignacy Zajaczek, dotychczasowy wierny sprzymierzeniec brata w zwalczaniu "poniatowszczyzny"; trudnymi do rozszyfrowania ludźmi byli ci Zajaczkowie herbu Świnka!").

Ale ankietowy sukces generała Arbuza zmienił się rychło w klęskę. Raz jeszcze sprawdziła się stara prawda, że władza odwołuje się do konsultacji społecznej jedynie po to, aby uzyskać potwierdzenie dla swych uprzednio podjętych decyzji. Jeśli zaś konsultacja tych decyzji nie potwierdza, wówczas po prostu nie bierze się jej pod uwagę. Tak stało się i w tym wypadku. Niemal bezpośrednio po rozliczeniu wyników ankiety, dwa dekrety cesarskie: z 14 i 15 stycznia 1807 roku ustanowiły "rząd tymczasowy dla Polski, zdobytej na królu pruskim": siedmioosobową Komisję Rządzącą oraz jej organ wykonawczy: pięcioosobowe Dyrektorium Generalne. Skład osobowy nowych władz urągał wynikom ankiety. W Komisji Rządzącej sześć miejsc zajęli przedstawiciele arystokracji, siódme oddano jednemu przedstawicielowi obozu legionowego, Józefowi Wybickiemu, który - prawdę mówiąc - był już wtedy bardziej mężem zaufania Napoleona niż rzecznikiem legionistów. Reprezentacji lewicy w Komisji Rządzącej w ogóle nie uwzględniono. W Dyrektorium Generalnym, będącym tymczasową namiastką rady ministrów, resort

wojny, przyrzeczony uprzednio Dąbrowskiemu, objął, tak usilnie do końca zwalczany, księżę Józef Poniatowski.

Musiało to być arcybolesne zaskoczenie dla generała

Zajączka i - w większym jeszcze stopniu - dla generała Dąbrowskiego. Ale w świetle pełnej dokumentacji tamtego okresu, ów pozornie zaskakujący obrót spraw wydaje się najzupełniej logiczny. Za swego drugiego pobytu w Warszawie Napoleon miał dość czasu na to, aby osobiście podać wnikliwej konfrontacji wszystkie sprzeczne opinie, przekazywane mu uprzednio w listach i raportach jego warszawskich mężów zaufania. Poznał bliżej księcia Józefa i dostrzegł w nim wartości, których nie chcieli uznać jego warszawscy wrogowie. Pod pozorami lekkomyślnego światowca, odkrył charakter niezłomny, umysł niezależny, patriotyzm bezinteresowny i niezwykle wrażliwe poczucie honoru - słowem to wszystko, co w przyszłości miało uczynić księcia "kochanym wodzem Polaków". Dla Napoleona, który u swoich generałów cenił przede wszystkim ślepe posłuszeństwo, nie były to może zalety najistotniejsze, ale uszanować je potrafił. Ponadto na zmianę jego stosunku do Poniatowskiego pewien wpływ wywarły także nastroje karnawałowe. Księżę spod "Blachy" był niezrównanym gospodarzem balów, rautów i proszonych obiadów. Dzięki staraniom hrabiny de Vauban francuskie potrawy podawane w pałacach Pod Blachą i w Jabłonnie mogły śmiało rywalizować z kuchnią cesarską w Paryżu. Jeśli wierzyć ówczesnym kronikarzom życia towarzyskiego,

to w wielostronnej akcji
"oswajania" cesarza wybawcy nie
zabrakło i pikantnych szczegółów
natury intymnej. W warszawskich
salonach szeptano sobie, że to
właśnie księżę ułatwił
Napoleonowi zbliżenie z piękną
szambelanową z Walewic.

Wszystko to razem wzięte
złagodziło z pewnością stosunek

cesarza do księcia Józefa i
popierającej go arystokracji
warszawskiej, nie na tyle
jednak, by mogło spowodować
oddanie arystokratom rządów nad
wyzwolonymi ziemiami polskimi.
Na ostatecznej decyzji cesarza,
która tak boleśnie zaskoczyła
Zajączka i Dąbrowskiego, przede
wszystkim zaważyły względy
polityczne. Była ona naturalnym
następstwem ogólnej sytuacji
wojenno-politycznej.

Napoleon powrócił z frontu w
nie najlepszym nastroju. Wojna z
Czwartą Koalicją trwała i nie
zanosiło się na jej rychłe
zakończenie. Korzystając z
zimowego zawieszenia broni,
przeciwnik wzmacniał swe
nadwątlone szeregi. Wielka Armia
była zmęczona, głodna,
zmarznięta i zniechęcona. Po
szczególnie krwawych utarczkach
zdarzało się, że dokonującego
przeгляdu wojsk Napoleona,
zamiast zwyczajowego: Niech żyje
Cesarz!, witały okrzyki: Niech
żyje Francja! Wymowa tego była
niedwuznaczna: żołnierze mieli
już dość nurzania się w błotach
mazurskich dla przyjemności
"Małego Kaprala", marzyli o
powrocie do swej słonecznej
ojczyzny. Napoleon rozumiał, że
musi tę nieszczęsną "polską
wojnę" doprowadzić jak
najszybciej do zwycięskiego
końca. A do tego trzeba było
polskiego zaopatrzenia w żywność
i furaz, trzeba było nowych

polskich żołnierzy.

Cesarz darzył pełnym zaufaniem swych wiernych generałów: Dąbrowskiego i Zajączka i z pewnością wolałby ich - nie Poniatowskiego - widzieć na czele polskiego wojska, wiedział jednak, że stojące za nimi siły społeczne nie potrafią zapewnić należytej eksploatacji polskiego potencjału wojennego. Wiedział też, że oddanie władzy nad wyzwolonymi ziemiami polskimi radykalnej lewicy i legionowym

demokratom zraziłoby najbogatszą i najbardziej wpływową warstwę społeczeństwa polskiego.

Arystokracja mogłaby wskutek tego stać się bardziej podatna na uwodzicielskie zabiegi czynione pod jej adresem przez cesarza Rosji i króla Prus, a już na pewno umniejszyłaby swój wkład w umacnianie ducha i sił Wielkiej Armii. Nic natomiast nie mogło grozić Napoleonowi ze strony jego wiernych polskich subalternów: Dąbrowskiego i Zajączka, nawet w wypadku rozstrzygnięć najbardziej dla nich krzywdzących. Zważywszy te wszystkie okoliczności - kierując się jak zawsze zasadą, że "polityka nie ma serca, ma tylko głowę" - "Bohater dwóch wieków" zdecydował się zawieść haniebnie nadzieje swych najbardziej zaufanych Polaków i rządu nad powstającą Polską oddać "nie zasługującej na zaufanie" arystokracji warszawskiej.

Zajączek i Dąbrowski - głęboko rozgoryczeni - opuścili niewdzięczną stolicę i udali się do miejsc postoju swych legii: Zajączek do Kalisza, Dąbrowski do Poznania. Dąbrowskiemu na pożegnanie wymierzono jeszcze jeden dotkliwy cios. Na wniosek nowego dyrektora wojny Komisja

Rządząca zmieniła numerację trzech dywizji "legii", składających się na nowe wojsko polskie. Dotychczasowa numeracja odpowiadała kolejności ich powstawania. Najwcześniej sformowana legia poznańska Dąbrowskiego była Dywizją Pierwszą, następna z kolei legia kaliska Zajączka - Dywizją Drugą, a zaczynająca się dopiero formować legia warszawska Poniatowskiego - Dywizją Trzecią. Dekret Komisji Rządzącej ten porządek zmieniał, uzależniając numerację dywizji od starszeństwa stopnia generalskiego ich dowódców.

Wskutek tego nie sformowana jeszcze legia Poniatowskiego awansowała na Dywizję Pierwszą, a najstarsza legia Dąbrowskiego uległa degradacji na Dywizję Trzecią. Dawny numer zachowała tylko legia kaliska Zajączka.

Wśród legionistów Dąbrowskiego, którzy dopatrywali się w tym obrocie rzeczy brutalnej szykany personalnej, zawrzało. Posypały się skargi i protesty, interweniowano w Komisji Rządzącej, we francuskim Sztabie Generalnym, nawet u cesarza. Ale wszystko na próżno. W świetle nowych przepisów zmiana numeracji była formalnie nie do zakwestionowania. Ale w opinii publicznej sprawa ta bardzo nowemu dyrektorowi wojny zaszkodziła. Z całego zamieszania zwycięsko wyszedł jedynie generał Arbus. Nie dość, że zachował dawny numer dywizji, ale ponadto mógł od tej chwili znowu liczyć na pełne poparcie Dąbrowskiego i jego sympatyków w swoich dalszych rozgrywkach z Poniatowskim.

Wprowadzając Zajączka z politycznych burz warszawskiego karnawału, godzi się także

wspomnieć o czysto karnawałowych wyczynach generała. Obserwatorzy ówczesnych balów odnotowali w życzliwej pamięci wspaniałe pląsy 55-letniego "Egipcjanina" w końcowych galopadach kadryla - nowego tańca francuskiego, który wypierał właśnie z balów warszawskich, nie odpowiadającego już rytmowi epoki, sentymentalnego kontredansa. Nie przeoczono też faktu, że stałą partnerką taneczną generała była dwa razy od niego młodsza, śliczna starościna mszczonowska Klementyna z Kozietulskich Walicka, rodzona siostra przyszłego zdobywcy Samosierry. Podżartowywano nawet z Zajączką, że we wszystkim naśladowuje swego cesarza. Miał Napoleon mameluka

Rustana, więc Zajączek postarał się zaraz o mameluka Ibrahima; zaromansował się cesarz z piękną hrabiną Walewską, więc jego wierny subaltern w te pędy nawiązał romans z piękną hrabiną Walicką.

Romans z panią Walicką, przesadnie - moim zdaniem - wyolbrzymiony przez biografów Zajączka, stał się trwałym elementem jego życiorysu. Mam jednak poważne wątpliwości, czy w tym wypadku można w ogóle mówić o romansie. Opowiadam się raczej za domniemaniem, że karnawałowy flirt Zajączka - jak to zgrabnie ujmował Leon Dembowski - "nie przekroczył granic towarzyskiej zalotności". Podobnie było chyba i z innymi flirtami generała Arbuza: w Egipcie, we Włoszech, w Niemczech i we Francji. Generała rozsądzał temperament, kobiety lubił bardzo, one także za nim przepadały, a jednak w materiale informacyjnym z jego lat małżeńskich biografom nie udało

się wyszperać ani jednej konkretnej plotki (poza rzeczona historią z panią Walicką) sugerującej, że generał sprzeniewierzał się wierności małżeńskiej, "przekraczając granice towarzyskiej zalotności".

A trzeba pamiętać, że ówczesni kronikarze pilnie łowili uchem każdy szmer dochodzący z sypialni osób wysoko postawionych. Czyżby więc ognisty generał Arbuz był swej francuskiej żonie tak samo wierny, jak swemu francuskiemu cesarzowi? *

Tę piękną hipotezę psuje nieco fakt, że Zajączek miał jednak nieślubnego syna ze służącą Majewską z Konina, gdzie w roku 1807 bywał często w sprawach służbowych. Może więc "nie przekraczał granic towarzyskiej zalotności" tylko w stosunkach z damami z wyższych sfer.

Co do pani Walickiej, zwanej w warszawskim towarzystwie "piękną Nońcią", to słynęła ona jako najlepsza z żon i matek, a w czasie gdy tańcowała z Zajączkiem, była już w daleko posuniętej ciąży (wtedy nazywano to "stanem interesującym") i spodziewała się czwartego z kolei dziecka. Nie sądzę, aby owe wysławiane cnoty rodzinne i zaawansowany "stan interesujący" czyniły z "pięknej Nońci" odpowiednią kandydatkę na heroinę romansu z 55_ lenim "Egipcjaninem". Prawda, że w dokumentacji biograficznej Zajączka, dotyczącej zwłaszcza ostatniego okresu jego życia, dochowało się wiele dowodów, świadczących o szczególnych względach, jakimi książę: namiestnik darzył panią Klementynę Walicką (wówczas już - po śmierci pierwszego męża -

kasztelanową Wichlińską). Z tych właśnie przysług i uprzejmości - świadczących dawnej partnerce tanecznej - biografowie Zajączka wywodzą swą tezę o jego "życiowym romansie". Moim zdaniem była to tylko spleta wspomnień. Dla starego beznogiego księcia_namiestnika karnawałowe pląsy ze śliczną Nońcią były z pewnością wspomnieniem równie pięknym i odmładzającym jak... - wyprawa egipska.

IV

Dnia 20 stycznia 1807 roku - po otrzymaniu od Komisji Rządzącej formalnej nominacji na dowódcę Legii Drugiej Kaliskiej i odebraniu bezpośrednio od cesarza szczegółowych instrukcji służbowych - generał dywizji Józef Zajączek bez szczególnego żalu opuścił, opanowaną przez "poniatowszczyznę", stolicę i - drogą nieco okrężną przez: Sochaczew, Kutno, Koło, Konin - powędrował do Kalisza. W trzy

dni później czynił już przegląd swego nowego wojska. Legia Druga Kaliska - obliczana teoretycznie na 10 000 ludzi - składała się częściowo z dawnych jego żołnierzy z Legii Północnej, lecz większość w niej stanowili nowozaciężni rekruci "dymowi", których wyekwipowanie, uzbrojenie i wyszkolenie - przedstawiały się raczej żałośnie. Skarżył się na to Zajączek w swym pierwszym raporcie do Warszawy. Po zlustrowaniu jednego z batalionów stacjonujących w Konieniu, pisał: "Widziałem, że ten batalion i żołnierz, który go składa, nie może być rozsądnie użytym w tym momencie do wojny. Siła batalionu tego

jest 870 głów. Ubiór jego ani żołnierski, ani wygodny; spodnie różnego koloru, mało który z halsztukiem (chustka na szyję zastępująca dzisiejszy kołnierzyk i krawat - M.B.); jedna mała część w nieszykownych kaszkietach, drudzy w swoich czapkach i kapeluszach. Ludzie zupełnie surowi, broń dostali dopiero od trzech dni i tylko 50 na cały batalion. Lederwerku (pasy skórzane do noszenia broni, ładownic i tornistrów - M.B.) żadnego, bębnow nie mają, słowem nie są w stanie pokazać się przystojnie ani być umieszczeni w liczbie wojska czynnego".

Ale generał Arbuż pamiętał, że jego cesarz czeka niecierpliwie na to, aby Legia Druga Kaliska mogła być jak najszybciej "umieszczona w liczbie wojska czynnego". Zakasał tedy rękawy i zabrał się do roboty. Nawet spór z Poniatowskim został czasowo zawieszony na kołku. Zapieniony intrygant polityczny ustępuje miejsca energicznemu dowódcy i zręcznemu administratorowi. Jak zawsze w takich razach, na pierwszy plan wysuwają się najlepsze cechy natury Zajączka.

Jego niezmożona żywotność, zapobiegliwość gospodarza i dbałość o podwładnych.

Kiedy się przerzuca dokumentację ówczesnej działalności organizatorskiej generała Arbuza: jego rozkazy dzienne, monity do warszawskich kwatermistrzów, raporty dla francuskiego sztabu generalnego oraz kwitacje odbioru takich czy innych dostaw - ma się wrażenie, jakby się oglądało jeden z tych, tak często dzisiaj pokazywanych filmów trickowych. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cywilne czapki i

kapelusze kaliskich legionistów zmieniają się w jednolite wojskowe konfederatki, wiejskie łapcie - w skórzane obuwie, na chłopskich świtkach pojawiają się regulaminowe lederwerki, z drabiniastych wozów dobywają się przywiezione w słomie karabiny i przeskakują w ręce rekrutów, ładownice wypełniają się amunicją. Na naszych oczach rozchełstana cywilbanda przekształca się w regularne wojsko.

Cała ta praca organizacyjna nie odbywa się bynajmniej w spokojnych warunkach garnizonowych. Nieopierzona Legia Druga Kaliska jeszcze w stadium formowania wykorzystywana jest do działań bojowych. Rozkaz cesarski powierza jej blokadę silnej twierdzy pruskiej w Grudziądzu. Zajacek zmuszony jest do ciągłego przenoszenia swej głównej kwatery: dziś w Kaliszu, jutro - w Toruniu, pojutrze - w Pokrzywnie pod Grudziądem.

Z dokumentacji czysto wojskowej tego czasu wyłaniają się niekiedy szczegóły bardziej osobiste. Nie mają one większego znaczenia dla przebiegu "polskiej wojny", ale ważne są dla samego Zajaczka. Dwie z takich informacji zasługują na przybliżenie.

Pierwsza dotyczy znacznej podwyżki uposażenia generała Arbuza - dokonanej na jego prośbę przez nowe władze polskie. W początkach lutego roku 1807 generał zwraca się do Komisji rządzącej (z pominięciem regulaminowej instancji służbowej dyrektora wojny) żądając podwyższenia swoich aktualnych poborów polskiego generała dywizji do wysokości, pobieranej przed

przyjazdem do Polski, pensji generała francuskiego. Chodzi o podwyżkę niebagatelną, bo niemal dwukrotną. MOtywy tego żądania - nieco żenującego w trudnych warunkach wojennych - są zrozumiałe. Po pierwsze: Zajączkowi stale potrzeba pieniędzy, bo poza wydatkami osobistymi ma jeszcze na utrzymaniu dom paryski, prowadzony lekką ręką przez lubiącą podejmować gości madame Alexandrine; po drugie: wściekły i obolały po klęsce politycznej poniesionej w Warszawie, chce przypomnieć nowym władzom warszawskim, a zwłaszcza Poniatowskiemu, że ciągle jeszcze jest generałem francuskim, czasowo tylko odkomenderowanym do wojska polskiego.

Wniosek Zajączka, poparty przez marszałka Davouta, rezydenta francuskiego w Warszawie, a także przez pominiętego drogą służbowa polskiego dyrektora wojny (książę Józef łudził się jeszcze, że zdoła sobie zjednać najbardziej zaciętego ze swych wrogów) zostaje załatwiony pozytywnie. Na sesji, odbytej w dniu 16 lutego 1807 roku, Komisja Rządząca, "...chcąc nadgrodzić JW Zajączkowi, Generałowi komenderującemu Legią Drgą, stratę, jaką poniósł w gaży swojej przechodząc ze służby francuskiej do narodowej (...) płacę Jego w czasie wojny

do sumy złp 49 865 podniosła". W miesiąc później, dzięki zabiegom Wybickiego, taką samą podwyżkę uzyska generał Jan Henryk Dąbrowski.

Druga godna uwagi informacja dokumentarna natury osobistej odnosi się do podpułkownika Kaspra Miaskowskiego, który od

chwili przyjazdu Zajączka do Kalisza włączył się w krąg jego najbliższych współpracowników. Była to postać niezwykle kolorowa. Główny (obok staruszka generała Skórzewskiego) organizator i przywódca powstania ziemi kaliskiej w listopadzie 1806 roku wślawił się później niesłychanie śmiałym i dowcipnym fortelem wojennym, dzięki któremu z małym oddziałkiem wojska zdobył silnie obsadzoną przez Prusaków Częstochowę (historię tę opisał dokładnie Wacław Gąsiorowski w swoim "Huraganie", błędnie tylko główną zasługę zwycięstwa przypisując kapitanowi Stanisławowi Wosińskiemu, który w rzeczywistości był podwładnym i wykonawcą planu Miaskowskiego).

Niezależnie od swych działań obywatelsko_wojskowych, Kasper Miaskowski - zubożały potomek jednej z pierwszych rodzin ziemiańskich w Kaliskiem - trzymał w dzierżawie, położony tuż pod Kaliszem, rozległy klucz dawnych dóbr arcybiskupich, Opatówek. W stosunkach Zajączka z Miaskowskim, na dłuższą metę, ta właśnie okoliczność miała się okazać najważniejsza.

Za każdym pobytem dowódcy Legii Drugiej w Kaliszu Miaskowski zapraszał zwierzchnika do pałacu w Opatówku na tak zwany "skromny poczęstunek żołnierski", po którym w czasie konnej przejażdżki kusił zachłanne oczy gościa wspaniałością dzierżawionych dóbr. Było to oczywiście kuszenie najzupełniej

bezinteresowne, gdyż generał Arbus, nawet przy swym zwiększonym uposażeniu generalskim, mógł najwyżej marzyć - i to bardzo nieśmiało -

o wejściu kiedykolwiek w posiadanie tak rozległej majątności ziemskiej. Ale niedaleka przyszłość miała wykazać, że historyczny rok 1807 będzie znacznie łaskawszy dla najmniej prawdopodobnych marzeń indywidualnych niektórych generałów niż dla najbardziej uzasadnionych marzeń całego narodu.

Napoleon musiał być zadowolony z działalności dowódcy Drugiej Legii, gdyż wkrótce powierzył mu nowe zadanie - jeszcze ważniejsze i bardziej odpowiedzialne. Rozkaz cesarski z 1 marca 1807 roku, nie zwalniając Zajączka z obowiązku dalszego formowania nowych pułków w Kaliskiem, odkomenderował go z częścią jego legii nad mazurską rzekę Omulew, dla sformowania tam samodzielnego korpusu obserwacyjnego, który mógłby roztoczyć dozór i zapewnić ochronę dróg strategicznych w rozległej luce między dwoma korpusami francuskimi: korpusem III - marszałka Davouta i korpusem V - marszałka Masseny.

Powierzenie stanowiska, o tak zasadniczym znaczeniu dla całej wojny, polskiemu generałowi dowodziło, jak bardzo Napoleon ufał swemu "Egipjaninowi". Z dokumentacji, zabezpieczonej przez historyków wojskowości, wynika, że Zajączek zaufania cesarskiego nie zawiódł. A przy okazji upiekł także własną pieczeń: wykorzystując nowe stanowisko dla wzmożenia swej walki z Poniatowskim.

Walka z Poniatowskim toczyła się właściwie bez przerwy, z niewielkim tylko osłabieniem tempa w okresie kaliskim. Ramię w ramię z Zajączkiem zwalczał

nowego dyrektora wojny, głęboko

na niego rozżalony, Dąbrowski. Tyle że Generałeczek, różniący się całkowicie od Zajączka sposobem bycia i kulturą polityczną, prowadził tę walkę bez ostentacyjnego naruszania dyscypliny wojskowej i przyzwoitości obywatelskiej. "Truł po cichu ducha wojska" - pisał o Dąbrowskim jeden z ówczesnych świadków zdarzeń. Na listy dyrektora wojny odpowiadał poprawnie, przysyłał mu - acz z pewną zwłoką - wszelkie żądane raporty i stany służby, natomiast bezlitośnie wykorzystywał i rozgłaszał każdy błąd Poniatowskiego, każde jego najdrobniejsze potknięcie w działalności publicznej. Przykładem takiego "trucia po cichu" był list Dąbrowskiego do członka Komisji Rządzącej Józefa Wybickiego po utrzymaniu w mocy przez Komisję, w wyniku żarliwych starań dyrektora wojny - o czym wiedziała cała Warszawa - dawnego polskiego regulaminu wojskowego, dopuszczającego stosowanie wobec żołnierzy kar cielesnych. Wódz Legionów, nie wymieniając z imienia dyrektora wojny, z całą surowością piętnował jego niedemokratyczne stanowisko. "Sam czujesz - pisał do Wybickiego - że każdego słusznego człowieka musiało zmartwić, że pierwsza odezwa rządu naszego do wojska była: nas przez różgi pędzić i kijami bić; kiedy wszystkie inne rządy z początku innym sposobem zachęcają wojska narodowe do obrony ojczyzny..."

Szeroko rozpowszechniony w odpisach wśród wojska i społeczeństwa list Dąbrowskiego z pewnością bardziej zaszkodził Poniatowskiemu w opinii publicznej niż awanturnicze wybryki korespondencyjne Zajączka, którego obsesyjna nienawiść do księcia nie dawała się utrzymać w szrankach

wojskowej dyscypliny i obywatelskiej przyzwoitości. Skandaliczne wysoki Zajęczka znacznie przybrały na sile po objęciu przez niego dowództwa nad Samodzielnym Korpusem Obserwacyjnym. Siedząc w swej nowej głównej kwaterze w Neidenburgu (dzisiejsza Nidzica) i pozostając stale w bezpośrednim kontakcie korespondencyjnym z samym cesarzem i najgłośniejszymi marszałkami cesarstwa, generał Arbuż poczuł się całkowicie zwolniony z jakiegokolwiek zależności od warszawskiego dyrektora wojny.

Sporadyczne listy Zajęczka do Poniatowskiego z tego okresu są czymś zupełnie wyjątkowym w całych dziejach polskiej epistolografii wojskowej. Jeszcze nigdy podwładny nie pisał w ten sposób do przełożonego. Zajęczek ostentacyjnie kwestionuje zwierzchnictwo nad sobą dyrektora wojny. Nie wypełnia podstawowych obowiązków: nie posyła do Warszawy raportów, stanów służby, nie przejmuje przydzielanych mu przez księcia oficerów, uzurpuje sobie prawo karania i degradowania bez sądu niższych dowódców w swoim korpusie. Wszelkie upomnienia Poniatowskiego zbywa lekceważąco i arogancko. Jego chęć obrażania księcia ujawnia się nawet w adresach wypisywanych na kopertach listów. Uparcie pomija w adresie tytuł dyrektora wojny, natomiast nie zapomina dodać: "kawaler wielu orderów". Ten grzecznościowy zwrot wypisywano ówczesnie dopiero po wszelkich tytułach, przysługujących adresatowi z racji zajmowanych stanowisk. Natomiast zastępowanie tym zwrotem należnego tytułu urzędowego mogło być tylko świadomie zamierzoną

złościwością. Zajaczek wypominał

w ten sposób Poniatowskiemu owe dwa fatalne ordery pruskie: Orła Czarnego i Orła Czerwonego - które książę Józef przyjął był lekkomyślnie od króla zaborcy Fryderyk Wilhelma III.

O tonie samej korespondencji niech świadczy kilka charakterystycznych fragmentów:

- W sprawie samowolnego mianowania przez Zajączka "adiutantów komenderujących" ("adiutant commendant") - "zam równie jak W.Ks.M., że etat jest przez N. Cesarza ustanowiony, wiem i to, że w nim nie masz adiutantów komenderujących, ale że ich później nominował, więc dowód, że ich chce mieć, a opierać się Jego woli jest więcej jak śmiesznym szaleństwem..."

- W sprawie oficerów, odkomenderowanych przez dyrektora wojny do korpusu Zajączka - "Co do oficerów, przysłanych mi przez W.Ks.M., a przeze mnie nie przyjętych, mam honor mu oświadczyć, że w mojej dywizji umieszczę tylko tych, których będę sądził zdatnymi do boju..."

- W sprawie samowolnie przez Zajączka zdegradowanych za tchórzostwo oficerów jego korpusu - "Co do postępku mojego z oficerami, niewartymi nosić munduru, można go krytykować, kiedy się podoba; z mojej strony, póki komenderować będę dywizją, nigdy w niej tchórza cierpieć nie będę, a że formalność dywizjonów (tj. sądów dyscyplinarnych - M.B.) jest długa i zawsze chybna, przeto w tej mierze mój sąd będzie prawem (...) Wreszcie W.Ks.M. przymówek nie zniosę i proszę ich zaprzestać..."

- W sprawie nienadsyłania

raportów o stanie legii -
"Jeżeli Książę chce wiedzieć, co
się u mnie dzieje, niech
przysze jednego od siebie, a
ten będzie świadkiem moim

czynności, których się nigdy
wstydzić nie będę. Na koniec
Cesarz wie bardzo dobrze, co się
w mojej dywizji dzieje i jaka
jest jej moc, bo mu co dzień
daję raport..."

Do szczytowego nasilenia
kryzysu w stosunkach między
Zajączkiem a Poniatowskim doszło
w drugiej połowie kwietnia 1807
roku. Książę Józef -
doprowadzony do ostateczności
niesubordynacją Zajączka, nie
różniącą się już niczym od
starszłacheckiego warcholstwa i
rozwalającego dyscyplinę w całym
korpusie oficerskim - pod datą
18 kwietnia pisał do niesfornego
dywizjonera:

"Na raport, czyli list JW Pana
(nie wiem, jak nazwać to
osobliwe w swym rodzaju pismo),
odpisuję. Czyliż generał
dawnością służby i jej ciągiem,
nie tylko w wojsku krajowym, ale
i najślawniejszym zagranicznym
chlubiący się, może się dopuścić
podobnego tonu i stylu,
odpisując do ministra wojny,
jakiego JW Pan użyłeś, pisząc
o tej rzeczy nieprzesyłaniu
raportów do mnie?"

Ale dopiero po tym liście miał
się dowiedzieć książę Józef, do
jakiego tonu i stylu
korespondencji ze zwierzchnikami
zdolny był generał Arbus. Na
pisany po polsku monit książęcy
odpowiedział po francusku,
podkreślając w ten sposób swoją
całkowitą niezależność od władz
polskich. Treść listu była
wszelkie rekordy warcholstwa.

"Jestem zmęczony
korespondencją z Panem - pisał
pod datą 19 kwietnia. - Ton

Pańskich listów nie odpowiada
mi; przestańmy w ogóle pisywać
do siebie, to będzie
najmądrzejsze. Proszę pamiętać,
że jestem generałem francuskim,
dowodzę Polakami, gdyż chciał
tego Najjaśniejszy Pan, nie
zależę bynajmniej od Pana, jeśli
chodzi o ruchy moich wojsk

(rozkazy bojowe odbierał
Zajączek bezpośrednio z Kwatery
Głównej - M.B.), co zaś do spraw
wewnętrznych i administracyjnych
Korpusu, to proszę kierować
swoje rozkazy do Pana
Kosseckiego, szefa sztabu mojej
dywizji. On je wypełni. Co do
mnie, to proszę raz na zawsze
zrozumieć, że nie mam do
odbierania od Pana żadnych
rozkazów, że niczego nie
oczekuję od rządu polskiego, że
winienem wszystko Cesarzowi
Francuzów i poza Nim nie chcę
od nikogo niczego się
spodziewać..."

Ten zupełnie niesłychany list
Zajączek - jak świadczy Askenazy
- "zaraz w kopiach autentycznych
sam zakomunikował władzom i
rozrzucił między wojsko i
publiczność dla tym
snadniejszego podkopania
autorytetu dyrektora wojny".

Tego było księciu Józefowi już
za wiele. Natychmiast po
przeczytaniu listu z NIdzicy,
przesłał go szefowi francuskiego
Sztabu Generalnego, marszałkowi
Berthierowi, księciu de
Neufchâtel, dołączając do niego
ujmująco szczery opis swoich
stosunków z Zajączkiem.

"Miałem wiele powodów do
uskarżania się na generała
Zajączka - pisał książkę,
nawiązując do zniewag i
pomówień, jakich nie szczędził
mu dawny więzień Josephstadtu w
swych emigracyjnych
pamiętnikach. - Ale kiedy

powrócił do ojczyzny, rozmówiłem się z nim szczerze, bo kiedy przyszło nam żyć razem i zbliżały nas obowiązki, trzeba było się wzajemnie szanować. Wierzyłem, że wspólna ojczyzna i służba dla Jego Cesarskiej Mości wystarczą do tego, aby stosunki między nami uczynić, jeśli nie przyjaznymi, to przynajmniej poprawnymi (...). On wyjechał pod Grudziądz i Najjaśniejszy Pan powierzył mu komendę nad polskim

Korpusem Obserwacyjnym. Stąd jego bardziej intymne stosunki z Kwaterą Główną, ośmielające go do posunięć, które uważam za sprzeczne z dyscypliną i dobrem służby. Od tej chwili wszelkie moje stosunki z generałem Zajaczkim stają się coraz bardziej nieprzyjemne (...). Na koniec dziś otrzymałem list, który załączam. Przyznaję, Wasza Wysokość, że po pierwszym przeczytaniu dopatrzyłem się w nim wyraźnego wypowiedzenia posłuszeństwa."

Poniatowski odwołał się także do Komisji Rządzącej. "Septarkowie" (tak nazywano członków siedmioosobowej Komisji), nie chcąc narażać się ani księciu, ani francuskim protektorom Zajaczka, zwlekali z odpowiedzią przez kilka tygodni i wyrazili swój pogląd na sprawę dopiero po powtórnym ostrym zażaleniu księcia Józefa. "Ponieważ ks. Poniatowskiego ustanowiliśmy dyrektorem wojny z obowiązkiem władania wojskiem krajowym, utrzymywania ciągłego porządku i przekładania nam wszelkich do jego ulepszenia zamiarów - głosił kompromisowy wyrok najwyższej władzy krajowej - przeto żeby ur (odzony) Zajaczek, gen. dywizji, nie ubliżając Naszemu postanowieniu i co do operacji wojennych

posłusznym będąc Najwyższym J.C. Mości rozkazom, żeby co do wewnętrznych obowiązków podlegał temuż dyrektorowi wojny i do niego (...) wprost się udawał mieć chcemy i oznajmujemy."

W ten sposób raz jeszcze potwierdzony został dualizm francusko_polski w dowodzeniu wojskiem krajowym i Zajączek nadal mógł go bezkarnie wykorzystywać, bojkotując całkowicie swe obowiązki wobec POniatowskiego i rozgłaszając na wszystkie strony, że "pisać do Dyrektora Wojny, jest to jedno, co nic nie robić".

Niezależnie od bojów korespondencyjnych, usiłował Zajączek podważać autorytet księcia Józefa swoimi słynnymi zapiskami więziennymi, które - nieprzypadkowo chyba - przełożono z francuskiego na polski właśnie w roku 1807.

"Po upadku Polski wydał był Zajączek w Paryżu dziełko o ówczesnych wypadkach - pisze Stanisław Barzykowski. - W niem ks. Józef w bardzo niekorzystnym świetle jest wystawiony. Dziełko to teraz czy przez samego Zajączka, czy przez jego adherentów pilnie zaczęło być rozszerzane. Ten sposób postępowania nie tylko, że żywo dotykał księcia Józefa, ale nadto widno w tem było rozprzężenie subordynacji wojskowej. Cierpliwość księcia Józefa wyczerpaną została, postanowił przeto zakończyć to, ale we właściwy jego sposób, to jest szlachetny i rycerski. Rozkazał Zajączkowi przybyć do Warszawy i stawić się przed sobą. Zajączek wykonał rozkaz, a gdy wszedł, zastał księcia samego. Książę wstał zaraz, zamknął drzwi na klucz i tak do niego mówił: Jenerale, musimy

naszą sprawę zakończyć.
Ubliżyłeś mi, musisz honorową
dać mi satysfakcję. Oto są dwa
pistolety, jeden nabity, drugi
nie, tutaj strzelać się
będziemy, bo nam, co tak wysokie
rangi piastujemy, złego
przykładu i wszelkich
demonstracji unikać potrzeba.
Wybieraj! Zajacek zmięsział się,
zapewne nie brakiem odwagi, lecz
taką niespodzianką zaskoczony i
zaczął się tłumaczyć i
usprawiedliwiać ze swego
postępowania. Jenerale, czy
strzelać się chcesz, czy
tłumaczyć? - zawołał książę.
Drugie - odpowiedział Zajacek.
Gdy tak, to muszę mieć świadków
- rzekł książę, a otworzywszy
drzwi, przywołał jenerała

Fiszera i paru adiutantów.
Zajacek uczynił głośne
usprawiedliwienie i prosił o
przebaczenie, a książę pierwszy
podał mu rękę."

Dla księcia Józefa wiosna roku
1807 była okresem szczególnie
ciężkim - nie tylko z powodu
Zajaczka. Z chwilą podjęcia po
przerwie zimowej działań
wojennych Napoleon wzmógł
żądania w sprawach: dostaw
żywności, furażu, a przede
wszystkim zwiększonego dopływu
polskiego rekruta - zwłaszcza do
lekkiej kawalerii. Dyrektor
wojny nie mógł tych nadmiernych
wymagań należycie zaspokajać.
Cesarz coraz częściej dawał
wyraz swemu niezadowoleniu i
znowu chętnie słuchał jąttrzących
podszeptów nieprzyjaciół
księcia. Dość nieprzyjemną rolę
w tym czasie odgrywał brat
generała Arbuza, Ignacy
Zajacek, który jako dyrektor
poczt kontrolował na poufne
polecenie marszałka Davouta
korespondencję polskich
ministrów i - nie pomny już swej

wypowiedzi w styczniowej
ankiecie - skwapliwie dostarczał
Główniej Kwaterze materiałów
szkodzących dyrektorowi wojny.
Sytuacja pogorszyła się jeszcze
dla Poniatowskiego, gdy z bojów
o Tczew powrócił generał
Dąbrowski - w aureoli
bohaterstwa i z ciężką raną w
nodze, co na czas dłuższy
eliminowało go z działań
wojennych. Przeciwnicy księcia
Józefa uznali, że jest to
najodpowiedniejszy moment, aby w
ręce rannego bohatera przekazać
kierownictwo resortu wojny,
które ich zdaniem należało mu
się z zasług, a nie wymagało
pełnej sprawności fizycznej. W
wyniku usilnych starań, przede
wszystkim generała Zajączka,
zdołano dla tej koncepcji
zjednać Napoleona. W liście z
29 kwietnia 1807 roku cesarz
pisał do Talleyranda: "Polacy

nie chcą już Poniatowskiego.
Byłoby dobrze, gdyby
Dąbrowskiego można by dać na
ministerstwo wojny, a
POniatowskiego powołać do
armii..."

Dla urzeczywistnienia tej
cesarskiej sugestii "w sposób
możliwie najdelikatniejszy"
uknuto perfidną intrygę, której
ostatecznym wynikiem był
prywatny list do księcia Józefa,
wysłany z Główniej Kwatery
cesarskiej w mazurskim zamku
Finckenstein przez
przebywającego tam brata Marii
Walewskiej, a dawnego kompana
księcia z hulanek w pruskiej
Warszawie, podpułkownika
Benedykta Józefa Łączyńskiego -
oficera blisko związanego z
Zajączkiem i Dąbrowskim.

"Dnia wczorajszego - pisał pod
datą 5 maja 1807 roku
podpułkownik Łączyński - byłem
zawołany do ks. Murata, który

rozkazał mi pisać do W.Ks.M.,
oświadczając mu co następuje:
Gen. Dąbrowski od trzech dni
bawi w Głównej Kwaterze i miał
audyencję u cesarza, na której
cesarz kazał mu się zatrzymać na
kilka dni w Gł. Kwaterze, a tego
samego dnia wieczór zawoławszy
Ks. Murata, powiedział mu:
"słyszałem, że ks. Poniatowski
życzy sobie komenderować w
linii, niechże teraz tego żąda,
a natychmiast (...) będę
akordował". Ks. Murat oświadczył
mi zatem, ażeby do W.Ks.M.
pisał, donosząc o tem i dodał,
że cesarza jest myślą dać
Dąbrowskiemu dyrektorstwo wojny,
dlatego że sam widział jego
nogę, która mu tak prędko służyć
na koniu nie pozwoli (...)
Przyjedź Książę jak najprędzej
do Finckensteinu, nie dla czego
innego, tylko abyś sam w osobie
prosił cesarza o komendę korpusu,
a pewnie jestem, iż kontent
odjedziesz, bo z odmiany, która
nastąpić ma, wszyscy, co jest im
wolno zaszczyścić się przyjaźnią

W.Ks.M., cieszyć się powinni.
Właśnie tego nam potrzeba,
moment to jest przekonać każdego
o talentach, odwadze i
"devoeuement pour sa patrie"
(przywiązaniu do ojczyzny -
M.B.) W.Ks.M. Nie spóźniaj
Książę swego przyjazdu..."

Dla księcia Józefa ten list,
pisany z niedźwidzią zaiste
delikatnością, był kompletnym
zaskoczeniem. W lot przejrzał
intrygę i, nie wdając się w
korespondencję z dawnym kolegą
- obwiesiem, odniósł się wprost
do Murata. W obszernym piśmie do
księcia Bergu rozżalony dyrektor
wojny demaskował podstępna grę
przeciwników i wyjaśniał swoje
rzeczywiste zamiary.
Przypominał, że nie ubiegał się
o piastowany urząd, lecz przyjął

go z woli i pod naciskiem Murata. Sam dyrektorstwa porzucić nie zamierzał, ale gotów był w każdej chwili z niego zrezygnować, skoro "nie byłby dość szczęśliwym, by zasłużyć sobie na aprobatę Jego Cesarskiej Mości", ostrzegał jednak przed szkodliwymi skutkami, jakie mogłyby wynikać dla młodego wojska polskiego z "tak nagłej i niczym nie usprawiedliwionej zmiany naczelnego dowództwa".

Jednocześnie z całą stanowczością oświadczał, że nie przyjmie żadnej komendy, mogącej go podać w zależność od ludzi, którzy byli dotychczas jego podwładnymi, bo znając ich wie, że użyliby "wszelkich możliwych szykan, aby zemścić się na nim za wysiłki, jakich dokonał, aby utrzymać ich w porządku i subordynacji".

Protest Poniatowskiego musiał wywołać niemało zamieszania w Głównej Kwaterze. Przychylnie usposobiony do księcia Murat - skoro zrozumiał, że go wprowadzono w błąd - zmienił natychmiast front i pośpiesznie wycofał się z poprzedniej

sugestii. W serdecznym liście z 11 maja zapewniał Poniatowskiego o swojej niezmiennej przyjaźni i życzliwości cesarza. Wzywał księcia do pozostania na stanowisku dyrektora wojny, "na które powołało go zaufanie rodaków i na którym z pewnością zasługiwać będzie nadal na zaufanie jego Cesarskiej Mości". Jednocześnie marszałek bez żadnych skrępołów ujawnił bezpośrednich sprawców intrygi. "Kilku polskich oficerów, a wśród nich: gen. Roźniecki i płk Łączyński (...) oświadczyli mi, że Pan życzy sobie opuścić ministerstwo wojny i przenieść

się do służby w armii" - pisał do księcia, obalając tym samym całkowicie stan faktyczny, przedstawiony w liście Łączyńskiego.

Cała ta brutalna "kabała" żadnych poważniejszych skutków za sobą nie pociągnęła. Nie pozwolił na to, nabierający coraz szybszego tempa, rozwój wydarzeń wojennych.

W dniu 14 czerwca 1807 roku w wielkiej zwycięskiej bitwie pod Friedlandem (obecnie Prawdińsk w okręgu Kaliningradzkim) wojska francuskie zadały decydujący cios głównym siłom rosyjsko-pruskim. "Zwycięstwo Napoleona było świetne - pisał świadek zdarzeń. - Stracili sprzymierzeni 17 000 poległych i rannych; wzięto jeńców 20 000, dział 80. Królewiec z ogromnymi zapasami broni wpadł w ręce Francuzów." W kilka dni później przednie straże Wielkiej Armii przeszły Niemen.

Tak potężnego ciosu Czwarta koalicja przetrzymać już nie zdołała. W dziesięć dni po bitwie friedlandzkiej przybył do Głównej Kwatery Napoleona parlamentariusz cesarza Aleksandra, generał książę Łobanow, z propozycją osobistego spotkania obu cesarzy dla ustalenia warunków pokoju.

Kiedy do Warszawy dotarły pierwsze wiadomości o zajęciu Królewca i wyparciu Rosjan za Niemen, miasto oszalało z radości. Spełnił się oto z dawna oczekiwany cud. Wszyscy trzej zaborcy Polski byli pokonani i uzależnieni od zwycięzcy. Nikt już teraz nie wątpił, że "Wielki Napoleon Przyjaciel Swoich Przyjaciół" - jak zachwalał go świetlisty napis na jednym z urzędowych gmachów stolicy - wywdzięczy się swoim

przyjaciołom najwierniejszym i odbuduje Królestwo Polskie w przedrozbiorowych granicach.

Do "spotkania na szczycie" dwóch cesarzy doszło 25 czerwca 1807 roku, w pawilonie pontonowym na środku Niemna. Braterski uścisk cesarza Zachodu i cesarza Wschodu przypieczętował ostatecznie koniec "polskiej wojny".

Właściwe rokowania pokojowe toczyły się w Tylży w obecności obu cesarzy oraz królewskiej pary pruskiej: Fryderyka Wilhelma III i jego pięknej małżonki, królowej Luizy Augusty. Wiadomości nadchodzące z Tylży ostudziły rozgorączkowane umysły warszawskie i spowodowały kompletną odmianę nastrojów. Przybywający stamtąd kurierzy, przeważnie oficerowie z polskiej gwardii cesarza, opowiadali kolegom i znajomym rzeczy przerażające. Rozchodziły się po Warszawie wieści, że sprawa polska była w Tylży przedmiotem najbardziej cynicznych przetargów politycznych. Szeptano, że Napoleon namawiał Aleksandra, aby ziemie polskie odebrane Prusom połączył z ziemiami zaboru rosyjskiego i ogłosił się królem polskim; a Aleksander, ze swej strony, proponował Napoleonowi włączenie ziem polskich do nowego królestwa niemieckiego, które miano stworzyć dla Hieronima

Bonapartego. Bohaterką wielu plotek była piękna królowa Luiza, ubierająca się w Tylży stale na białą, dla podkreślenia swego posłannictwa gołębicy pokoju. Mówiono, że Napoleon był pod wielkim urokiem jej kobiecych wdzięków i męskiego rozumu. Uparcie kolportowana, choć mało wiarygodna plotka

głosiła, że kiedy na powitanie ofiarowała mu bukiet czerwonych róż, a on zapytał, czym mógłby się jej odwdzięczyć, zażądała drobnostki: zwrotu zdobytych przez wojska francusko_polskie Prus Królewskich. Mówiono, że wyłudziła od Napoleona także Śląsk. "Dał jej Śląsk "na szpilki"" - oburzano się w warszawskich kaffenhauzach.

W miarę przeciągania się rokowań pokojowych, wpływ odgłosów tylżyckich na polską opinię publiczną stawał się coraz widoczniejszy. Władze starały się temu przeciwdziałać. "Gazeta Korespondenta" z 14 lipca doniosła: "Officer polski, przysłany kurierem z Kwatery Głównej do Komisji Rządzącej (...) pozwoliwszy sobie publiczność uwieść zmyślonymi wiadomościami, został za to aresztowanym". W cztery dni później władze naczelne wystosowały oficjalną odezwę do społeczeństwa. "Wzgardzajcie baśniami, rozsiewanymi bez żadnej podstawy przez naturalnych nieprzyjaciół wśród kraju naszego zagnieżdżonych - głosiła odezwa - zaufajcie wspaniałomyślności wielkiego bohatera. Los nasz jezcze czas jakiś zakrytym być musi przed nami. Przezorność niezgłębiająca tego, który znacznej części świata panuje, nie każe nam rozpaczać. POsłuszeństwo do końca i spuszczenie się zupełnie na jego łaskawość utwierdzić mogą szczęście nasze nadal; najmniejsze zaś szemranie, które by do uszu jego doszło,

najmniejszy opór jego woli mogłyby obalić i zniszczyć wszelkie dotąd czynione usiłowania nasze. MNiej silni, jego tylko siłą znaczenie mieć możemy, jedynie wsparciem

niezwyciężonego Napoleona byt nasz
zupełny odzyskać możemy (...)
Spuśćmy się zupełnie na niego,
to jedyny środek, jaki nam
pozostaje..."

Odezwę podpisało Dyrektorium
Generalne, w zastępstwie
nieobecnej już wtedy w Warszawie
Komisji Rządzącej. "Siedmiu
braci śpiących" - jak złośliwie
przezywano członków władzy
najwyższej - udało się do
Drezna, aby spotkać tam
powracającego z Tylży Napoleona
oraz (cytuję ogłoszony w prasie
komunikat pożegnalny) "złożyć u
tronu Jego winny hołd i odebrać
z Jego Zwycięskiej ręki przyszłe
nasze przeznaczenia".

Jedną z najpopularniejszych
ilustracji w ikonografii
polsko_napoleońskiej - znana
doskonale od przeszło półtora
wieku wszystkim amatorom lektur
historycznych z tego okresu -
jest obraz M. Bacciarellego
uwieczniający owo drezdeńskie
spotkanie Napoleona z Polską
Komisją Rządzącą. Obraz urzeka
bogactwem i drobiazgowym
dopracowaniem scenerii
historycznej. Cesarz siedzi na
tronie w paradnym mundurze
pułkownika strzelców konnych
gwardii i łaskawym gestem swej
"zwycięskiej ręki" przekazuje
kornie schylonemu prezesowi
Komisji Rządzącej, staremu
marszałkowi Stanisławowi
Małachowskiemu KONstytucję
Księstwa Warszawskiego, ułożoną
przez kancelarię cesarską w myśl
ustaleń tylżyckich. Każdy
szczegół tej historycznej sceny:
łaskawość Napoleona, nabożne
uwielbienie Małachowskiego,
usatysfakcjonowane twarze
pozostałych "septarchów", ich
suto szamerowane fraki, czujne

spojrzenia, stojących na
stopniach tronu, francuskich

ministrów: Talleyranda i Marena - wszystko to odtworzone zostało na obrazie Bacciarellego z fotograficzną niemal dokładnością. Mimo to obraz jest z gruntu fałszywy, gdyż odtwarza scenę historyczną, do której w ogóle nie doszło.

W rzeczywistości przekazanie Komisji Rządzącej "przyszłych przeznaczeń" Polski odbyło się zupełnie inaczej. Zredagowana przez Huguesa B. Marena księstwa Bassano Konstytucja Księstwa Warszawskiego przedstawiona została cesarzowi do ostatecznej akceptacji i podpisu 22 lipca 1807 roku. Bezpośrednio po jej podpisaniu, Napoleon opuścił Drezno, nie życząc sobie najwidoczniej bezpośredniego spotkania z Polakami.

Komisja Rządząca odebrała dokument dopiero nazajutrz - 23 lipca - z rąk Marena. Spotkanie polsko-francuskie odbyło się bez uroczystego ceremoniału i miało charakter "konferencji roboczej" - tyle że jednostronnej.

Wezwani przez Marena członkowie Komisji Rządzącej najpierw wysłuchali krótkiego przemówienia, w którym naczelny doradca prawny Napoleona wyjaśnił im prawa swego władcy do nadania Polsce Konstytucji. Potem odczytano im treść dokumentu. Jest rzeczą więcej niż pewną, że po zapoznaniu się z "dalszymi przeznaczeniami" Polski warszawscy prominenci nie mieli tak spokojnych i usatysfakcjonowanych twarzy jak na obrazie Bacciarellego. To, co usłyszeli, musiało ich przerazić i oszołomić. Tak niepodobne było do tego, czego spodziewano się w Warszawie. W ostatecznym wyniku targów tylżyckich zamiast Królestwa Polskiego powstał twór nieoczekiwany i kaleki. Księstwo Warszawskie, obejmujące część ziem byłego zaboru pruskiego, z

których wycięto jeszcze dla
Rojści obwód białostocki. NOwe
państewko - liczące 1040007km²
powierzchni i 2 600 000
ludności - oddawano "prawem
własności i najwyższego
zwierzchnictwa" wasalowi
Francji, królowi saskiemu
Fryderykowi Augustowi,
nawiażując przynajmniej w tym
punkcie - lecz jakże szydlerczo
- do postanowień ostatniej
konstytucji dawnej
Rzeczypospolitej.

Kiedy po ochłonięciu z
pierwszego wrażenia, sędziwy
Małachowski i jego koledzy
"usiłowali czynić co do niej
(tzn. konstytucji) uwagi i
przedłożenia", życzliwy na ogół
Polakom Książę Bassano zbył ich
surowym oświadczeniem, że
"konstytucja ta przez N. Cesarza
ułożona i podpisana żadnym
odmianom podlegać nie może". Nie
pozostawało więc nic innego, jak
"w winnym posłuszeństwie i
poszanowaniu przystąpić do
podpisania tego aktu praw
zasadniczych, przeznaczonego
dla części Polski, a
stworzonego bez udziału
Polaków".

Jasne, że tak nieefektywny
wariant głośnego wydarzenia
historycznego nie mógł przemówić
do wyobraźni Bacciarellego.
Sławny portrecista Stanisława
Augusta na starość (w chwili
malowania obrazu miał lat 80)
zaangażował się całym sercem w
nową rzeczywistość napoleońskiej
Polski. Naśladując tedy innych
twórców zaangażowanych uznał - z
najszczytniejszych zapewne
pobudek - że jeśli trudno
przedstawić rzecz, jaką była,
lepiej ją przedstawić, jaką być
powinna.

Jak zareagowała na
rozstrzygnięcia tylżyckie polska
opinia publiczna - nietrudno
sobie wyobrazić.

"Boleść pomieszana z
osłupieniem, te najpierwsze były

uczucia na wieść o pokoju -
pisał polski historyk epoki -
zamierały razem i wiara
prostacza w niezmierną moc
Napoleona i ufność w jego dla
losów polskich zmiłowanie (...)
Nawet imię Polski nie
wskrzeszone. Z wrogiem pokonanym
przyjaźń zawarta i przymierze,
Prusak utrzymany przy życiu."

Dnia 22 lipca 1807 roku - w
dniu kiedy Napoleon podpisywał
konstytucję Księstwa
Warszawskiego - Etienne Vincent,
rezydent francuski w Warszawie,
donosił przebywającemu w Dreźnie
Talleyrandowi:

"Umysły są ciągle w nastroju
niezadowolenia, zmieszanego z
osłupieniem. Gdy traktat
pokojowy jest poznawany jedynie
przez wprowadzenie go w życie,
każdy dzień odkrywa jakiś nowy
szczegół, który odnawia boleść.
Żywo odczuto utratę
Białegostoku, biskupstwa
warmińskiego, odstąpienie dolnej
Wisły Prusakom ("na szpilki" dla
królowej Luizy - M.B.) (...)
Niepewność losów kilku powiatów
departamentu bydgoskiego jest
powodem tyluż zmartwień dla
Polaków. Oczekują z największą
niecierpliwością wiadomości z
Drezna..."

A kiedy wiadomości z Drezna
wreszcie nadeszły, oburzenie
wybuchło tak wielkie i
powszechne, że nie ostała się
przed nim nawet dyscyplina
korpusu oficerskiego. "Wielu
Ichmp oficerów polskich -
stwierdzano w raportach Dykcji
Policji z 26 i 27 lipca -
zapomniawszy, że wykonali
przysięgę na wierność
Najjaśniejszemu Cesarzowi,
poważają się po oberżach,
biliarach i miejscach
publicznych schadzek, używać
słów nieprzyzwoitych i wyrazów

uwłaczających powinnego temuż
monarsze uszanowania. Oficerowie
gardii narodowej, zamiast co by
mieli przykładać się do

utrzymania porządku i winnego
urzędnikom posłuszeństwa, mowami
swymi i zakrywaniem tak od
rekwizycjów, jako i innych
rozkazów burzą porządek i
spokojność publiczną!"

Wydaje mi się, że to właśnie w
tamtych warszawskich dniach po
Tylży - dniach boleści, grozy i
najgłębszego rozczarowania,
ukształtował się ostatecznie
uczuciowy stosunek Polaków do
Napoleona - który z niewielkimi
zmianami przetrwał do dzisiaj.
Stosunek przypominający uczucia
kobiety, zawiedzionej przez
uwielbianego kochanka. Zawodu
nie wybaczy mu nigdy, ale
przestać go kochać nie może.

A jak wyglądało to wszystko od
strony Napoleona? Zacząć trzeba
od sprostowania zasadniczego
błędu, który zamącał jasność
widzenia większości Polaków z
roku 1807 i pokutuje jeszcze do
dzisiaj - jeżeli nie w naukowej
historiografii, to w każdym
razie w wierzeniach milionowych
rzesz czytelników literatury
napoleońskiej.

Otóż trzeba pogodzić się z
surową prawdą, że Napoleon ze
swoją Wielką Armią przybył do
Polski nie po to, by odbudować
przedrozbiorowe Królestwo
Polskie, lecz po to, by umocnić
i zabezpieczyć na przyszłość
wymarzone przez siebie Wielkie
Cesarstwo Francuzów. Polska była
dla "Bohatera dwóch wieków"
jedynie kolejnym poligonem w
walce o "Grand Empire".
Wewnętrzne sprawy polskie,
łącznie ze sprawą
niepodległości, interesowały go
na tyle tylko, na ile były
użyteczne dla nadrzędnego celu

francuskiego. A z Francuskiego punktu widzenia sytuacja po zwycięstwie pod Friedlandem nie przedstawiała się wcale tak różowo, jak uważano w warszawskich kaffenhauzach. Armia rosyjska była pokonana, ale nie rozbita, stał za nią

nadal niezmierny potencjał ludzki i gospodarczy cesarstwa rosyjskiego. Rozgromiona Austria podniosła się z klęczek i zagrażała jako nowy przeciwnik. Anglia po wielkich zwycięstwach Nelsona znowu wszechwładnie panowała na morzach. Francja wcale nie mniej niż Koalicja pragnęła i potrzebowała pokoju.

W najbliższym otoczeniu Napoleona poglądy na przyszłość Polski były niejednolite. "Sprawa polska przez osoby otaczające Napoleona bardzo rozmaicie była uważana - wspomina Leon Dembowski, pamiętnikarz blisko związany z warszawską Komisją Rządzącą. - Ks. Murat, Davout, Savary i z cywilnych ks. Bassano (Maret) radzili, aby Napoleon przez silną organizację tego kraju zapewnił sobie bezpieczną w tej stronie podstawę. Nie tylko więc chcieli dołączenia doń Białegostoku, ale Prus Królewskich z Warmią, Gdańska i Śląska. Żądali także, aby nabytą Dalmację i Istrię z Austrią na Galicyę wymienić, tę do państwa nowego dołączyć i rządy jakiemuś księciu francuskiemu powierzyć. Ks. Talleyrand oraz Berthier i Lannes byli zupełnie innego zdania. Twierdzili oni, że państwo takie zaledwie tylko Prusy zrównoważy, a nie będzie dość silne, żeby się Rosyi i Austrii o nie kuszającym oprzeć. Że Francya dla utrzymania jego narazi się na ciągłe wojny i że

ustalenie jego, zamiast pokoju
ciągłą niezgodę spowoduje."

Wyraziciele tego drugiego
kierunku nie kryli się
bynajmniej ze swymi opiniami.
Marszałek Lannes, książę
Montebello (ojciec przyszłego
oficera powstania listopadowego)
oraz oficerowie jego sztabu -
głośno wyrażali przekonanie - że
"wolność Polski nie jest warta
krwi choćby jednego żołnierza

francuskiego" (taki sam pogląd
miał odżyć w niektórych kołach
społeczeństwa francuskiego przed
drugą wojną światową).

Równie dosadny wyraz
stosunkowi do sprawy polskiej
dawał minister spraw
zagranicznych Napoleona,
Talleyrand, książę Benewentu.
Świadczy o tym w swoich
pamiętnikach Leon Dembowski.
Fakt przez niego opisany zdarzył
się po zdobyciu przez Francuzów
Królewca (obecnie Kaliningrad w
ZSRR), tuż przed rozpoczęciem
rokowań w Tylży.

"Kiedy przejeżdżając przez
Królewiec, Talleyrand dowiedział
się od Cavary'ego, że ten
pontony na Niemen posyła,
powiedział mu: - Daj pokój, nie
śpiesz się. A cóż my za Niemnem
poczniemy? Czegóż tam będziemy
szukać? Potrzeba, żeby cesarz
zaniechał myśli o Polsce. Naród
to do niczego nie zdatny, z nim
nieład tylko wieczny i żadnego
porządku."

Sądzę, że Napoleon gruntownie
i wszechstronnie rozważał oba
warianty rozwiązania sprawy
polskiej, podsuwane mu przez
otoczenie. Najprawdopodobniej
głównym czynnikiem, który
zaważył na jego ostatecznym
wyborze, był opór cesarza
Aleksandra przeciwko
przywróceniu dawnego Królestwa
Polskiego. Jak bardzo Rosja była

temu przeciwna, świadczyć może fakt, że w skreślonym przez NOWOSILCOWA w tymże roku 1807 "programie Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego" - w wykazie najcięższych zbrodni przeciwko państwu rosyjskiemu - "pogłoski o odbudowie Polski" zyskały lokatę niezwykle wysoką: umieszczono je między "osobistym zniesławieniem Cesarza" a "organizowaniem tajnych towarzystw i zebrań".

Ale o wyborze "przyjaciela swoich porzyjaciół" zdecydował także wzgląd drugi -

nie mniej ważny: jego ówczesny stosunek do Polaków. Skłonny jestem przypuszczać (i znowu podkreślam, że jest to tylko moje osobiste zdanie, nie mające oparcia w opiniach historyków), że gdyby Napoleon w roku 1807 tak ufał Polakom i księciu Poniatowskiemu, jako ich ewentualnemu przywódcy, jak ufał im później: w latach 1812_#1813 - to zaryzykowałby "wrócenie" Królestwa Polskiego jako silnego i pewnego bastionu na wschodzie sfery wpływów polityczno_strategicznych. NIestety: latem roku 1807 opinie cesarza o Polakach - a do kształtowania tych opinii w niemałym stopniu przyczynił się także Zajaczek - niedaleko odbiegały od poglądów cesarskiego ministra spraw zagranicznych. W tej sytuacji mógł Napoleon uznać, że odbudowa Królestwa Polskiego w jego dawnej sile byłaby przedsięwzięciem zbyt ryzykownym. Wybrał przeto wariant trzeci: kompromisowy - w postaci Księstwa Warszawskiego.

W późniejszej rozmowie z prezesem Komisji Rządzącej Stanisławem Małachowskim tłumaczył, że traktat tylżycki

został wymuszony
nieustępliwością cara i groźbą
kontynuacji wojny z dala od baz
zaopatrzeniowych. Potem odwołał
się do swej ulubionej gry w
karty: "21" (u nas ją nazywają
"oczkiem"). "Grałem w 21 - mówił
- dostałem 20 i uważałem, że
należy zatrzymać się."

Przyszłość wykazała jednak, że
tę partię "oczka" Napoleon
rozegrał błędnie. Odbiło się to
fatalnie na dalszych losach, nie
tylko Polski, ale i Wielkiego
Cesarstwa.

W związku z Tylzą mówi się u
nas często: Napoleon oszukał
Polaków. Należałoby dodać, że -
przeoczywszy jedyną sposobność
do odbudowy w środku Europy

silnego państwa polskiego -
oszukał także Francuzów, a
przede wszystkim - samego
siebie.

Na zakończenie przydługiej
dygresji tylżyckiej: kapitalna
historia, zaczerpnięta z
pamiętników Leona Dembowskiego.
Dembowski przyjaźnił się z
niektórymi członkami Komisji
Rządzącej, a także z
przedstawicielem Komisji przy
Główniej Kwaterze cesarskiej,
Aleksandrem Batowskim. Dzięki
temu znał wiele tajemnic,
nieдоступnych dla innych
kronikarzy. Jego zapis odnosi
się do okresu,
bezpośrednio poprzedzającego
wszczęcie rokowań pokojowych.

"Nasz reprezentant p.
Aleksander Batowski - słowa są
Dembowskiego - skoro tylko ks.
Talleyrand opuścił Warszawę,
doradzał Komisji Rządzącej, a
nawet naglił ją, żeby
francuskiemu dyplomacie
ofiarowała upominek od 7 do 10
milionów wynoszący, zapewniając,
że podarek ten będzie mile
przyjęty i jak najlepsze z niego

wypłyną skutki. Czy do propozycji podobnej miał upoważnienie, nigdy to na jaw nie wyszło, zdaje się jednak, że bez ośmielających go do tego insynuacji nigdy by rzeczy podobnej nie proponował. Komisya Rządząca atoli, złożona z ludzi prawych, nieugiętych i możliwości przekupstwa nie pojmujących, żądanie to puściła mimo uszu. Zresztą skarb zostawał w niedostatku i zebranie sumy takiej było prawie niemożliwe. Później, kiedy stosunki moje ze Stanisławem POTOCKIM (członkiem Komisji Rządzącej - M.B.) bliskimi się stały, po kilkakroć słyszałem od niego opowiadaną tę okoliczność, a utyskując, że nie posłuchano rady Batowskiego, zwykle tak kończył: "Tak, tak panie" było to jego przysłowie: "mielibyśmy

i Prusy Królewskie i Warmiję, panie, i Gdańsk i Białystok i Śląsk, panie, a później i obie Galicje. A z takim krajem, panie, mając, panie, 200 000 wojska i fortece, bylibyśmy, panie, przez całą Europę poważani".

Obawiam się, czy Stanisław Kostka Potocki nie przeceniał w tym wypadku możliwości politycznych Talleyranda. Możliwości nieograniczone miał książę Beneventu tylko w braniu łapówek. Za odpowiednio wysokie sumy gotów był kupczyć wszystkim, nawet własnym cesarzem. Nie bez powodu zasłużył sobie u Napoleona na epitet: "gnój w jedwabnych pończochach".

* * *

W czasie gdy ogromną większość Polaków dręczył potylżycki kociokwik, francusko_polski

generał dywizji Józef Zajaczek herbu Świnka upajał się swoim przerastającym wszelkie oczekiwanie sukcesem życiowym.

W Tylży rozwiązywano nie tylko ważne problemy polityczne. Napoleon znalazł także czas na zadośćuczynienie, pilnie przestrzegane w armii francuskiej, zwyczajowi materialnego nagradzania szczególnie zasłużonych uczestników wojny. Dwa wydane w Tylży dekrety cesarskie przyznały 27 marszałkom i generałom francuskim oraz 3 generałom polskim donacje w dobrach narodowych Księstwa Warszawskiego. Głównymi donatariuszami polskimi byli generałowie: Dąbrowski i Zajaczek. Każdy z nich miał otrzymać dobra wartości miliona franków o dochodzie rocznym 50 000 franków. Trzecim donatariuszem polskim był książę Józef Poniatowski. Ale w jego wypadku była to raczej

restytucja niż donacja, gdyż przywracano mu jedynie część starostwa wielońskiego (po lewej stronie Niemna), które przed rozbiorem w całości należało do niego, a później zostało mu odebrane przez Prusaków (pomimo jego orderów Czarnego i Czerwonego Orła). Dochód z trzeciej donacji był o połowę mniejszy niż w wypadku Dąbrowskiego i Zajaczka, co rzeczonym generałom - jak sędzę - sprawiło dodatkową przyjemność.

Na pokrycie donacji cesarz zażądał od Komisji Rządzącej dostarczenia sobie zestawu dóbr narodowych wartości 33 milionów złp., co też wkrótce nastąpiło. Natomiast donacje Dąbrowskiego i Zajaczka musiały czekać aż dwa miesiące na oficjalne

zatwierdzenie ze strony
polskiej.

Na sesji Komisji Rządzącej w
dniu 21 sierpnia 1807 roku
wniesiono do protokołu
następującą uchwałę: "Komisja
pragnąc zadość uczynić dekretowi
Najjaśniejszego Cesarza, a
nadajacemu Zajączkowi i
Dąbrowskiemu dobra narodowe 50
tysięcy franków czystego dochodu
przynosić mające, przznacza dla
Zajączka włości do departamentu
kaliskiego należące, dla
Dąbrowskiego z Szrody i
Pyzdrów".

To, że ostatecznie Zajączkowi
przypadły dobra Opatówek, nie
było z pewnością wynikiem
przypadku. Zajączek znał te
dobra z wizyt u pułkownika
Kaspra Miaskowskiego, był
wprowadzony we wszystkie ich
problemy, marzył może o ich
posiadaniu. Nic więc dziwnego,
że kiedy zdarzyła się ta jedyna
w życiu okazja, dokładał
wszelkich starań, aby jako
donację napoleońską przydzielono
mu te właśnie dobra, a nie
inne.

Namiętne - i z pewnością nie

najbardziej taktowne - zabiegi
Zajączka o Opatówek doprowadziły
do tak ostrych zadrażnień z
władzami Księstwa Warszawskiego,
że KOMisja Rządząca była już
zdecydowana w ogóle nie
przyznawać mu donacji w dobrach
ziemskich, a spłacić go gotówką.
Zaniechano tego zamiaru wtedy
dopiero, kiedy za Zajączkiem
ujęli się jego francuscy
protektorzy: marszałek Davout i
rezydent cesarski w Warszawie
Vincent. Dostał więc w końcu
generał Arbuz ten swój wymarzony
Opatówek.

Drugi donatariusz polski,
generał Dąbrowski, nie był tak
szybki i energiczny w

egzekwowaniu od władz swojej donacji. W związku z tym - zabawny przekaz pamiętnikarski Prota Lelewela: "Kiedy jeden z towarzyszy broni doradzał, aby się o siebie upomniał, Dąbrowski odrzekł: "Ja mam mojego mazurka"". Jeżeli ta dumna odpowiedź wodza Legionów dotarła do Zajączka (a dotarła z pewnością) - musiała go porządnie zabość. On swego mazurka dorobić się nie potrafił.

Ale ogólnej radości mu to nie popsulo. Opatówek wart był każdego zachodu. Okazała rezydencja arcybiskupia, a do tego: sześćdziesiąt kilka wsi, zagospodarowane folwarki, lasy, sady, młyny, gorzelnie. Opłaciły się sownie Zajączkowi lata ślepego posłuszeństwa Bonapartemu. Ze szlachcica bez ziemi, z generała, z trudem ze swej pensji opędzającego powszechnie wydatki, molestowanego przez wierzycieli, zmieniał się w pana całą gębą, w dziedzica obszernych włości, niemal w partnera dla swych dawnych arystokratycznych protektorów: Zamoyskich, Sapiehów, Branickich. Trudno się dziwić, że w tych dniach swego bajecznego przeobrażenia

Zajączek nie brał sobie zbyt do serca politycznych rozczarowań rodaków. Zwłaszcza że od chwili mianowania POniatowskiego dyrektorem wojny był znowu śmiertelnie obrażony na ojczyznę.

MOżna by mniemać, że społeczno_materialny awans na tyle zaspokoił namiętne ambicje generała Arbuza, że zaprzestał swych intryg i rozgrywek personalno_politycznych. Nic podobnego: jesień roku 1807 - a więc czas, kiedy się urządzał w

Opatówku i kosztował pierwszych
słodocy wielkopańskiego
bytowania - była okresem jego
najwścieklejszych zatargów z
władzami Księstwa Warszawskiego,
a zwłaszcza ze, świeżo
przekształconym z dyrektora w
ministra wojny, księciem Józefem
Poniatowskim. Tym razem chodziło
Zajączkowi przede wszystkim o
utrzymanie swej pozycji generała
francuskiego, o zachowanie prawa
do noszenia francuskiego munduru
i francuskiej kokardy.

Jakie były motywy tego
dziwnego stanowiska,
niezrozumiałego nie tylko dla
Niemcewicza, który miał odwagę
wprost o to Zajączka pytać, *
ale również dla szerokich kół
wojskowych i całego
warszawskiego "towarzystwa"?

Kajetan Koźmian mylnie chyba
podaje, że cytowana przez niego
(a przypomniana przeze mnie)
rozmowa na temat Zajączka z
Niemcewiczem odbyła się "w
czasie wojny Napoleona z Prusami"
- czyli jesienią roku 1806;
Niemcewicz nie miał wtedy w
ogóle możliwości spotkania się
z Zajączkiem. Wszystko przemawia
za tym, że rozmowa odbyła się
jesienią roku 1807 - w okresie
największego zaognienia
konfliktu.

Przypuszczam, że kondotierska
postawa Zajączka wynikała z
dwóch przyczyn. Po pierwsze:
pozostawanie w służbie

francuskiej uniezależniało go od
polskiego ministra wojny. Do
tego motywu przyznawał się bez
żadnych osłonek w liście do
marszałka Davouta: "Wolałbym
wziąć uwolnienie - pisał -
aniżeli otrzymywać rozkazy od
księcia Poniatowskiego".

Druga przyczyna
(przypuszczam), była - moim
zdaniem - bardziej zasadnicza i

bardziej skomplikowana. Sądę, że wbrew pozorom Zajączek był pod bardzo silnym wrażeniem trudnego przebiegu "wojny polskiej" i późniejszej ustępliwości Napoleona w rokowaniach francusko_rosyjskich. W rezultacie znowu mogła w nim ożyć, zakorzeniona przez Branickiego, przepowiednia, że "wszyscy będziemy MOskalami" (wszak powtórzył ją Niemcewiczowi). Naściślej ze wszystkich polskich oficerów związany z Główną Kwaterą francuską, miał szeroki wgląd w jej nastroje i lepiej od innych rozumiał, na jak kruchych podstawach oparty jest byt Księstwa Warszawskiego. NIE chciał więc wiązać się z "sezonowym" państewkiem polskim, lecz trzymał się kurczowo "narodu potężniejszego".

Ale w miarę gruntowania się napoleońskiej Polski walka Zajączka o uniezależnienie się od Poniatowskiego stawała się coraz trudniejsza. Konstytucja Księstwa Warszawskiego stanowiła, że wszyscy Polacy ze służby francuskiej mają być uznani za obywateli polskich. Poza tym władze warszawskie, pilnie przestrzegające pozorów pełnej suwerenności, nie mogły tolerować stanu rzeczy, w którym dowódca jednej trzeciej części całego wojska polskiego upierał się, że jest generałem francuskim.

Sytuacja jeszcze się zaostrzyła i skomplikowała się, gdy Napoleon postanowił

zlikwidować dualizm w dowodzeniu wojskami Księstwa Warszawskiego, przez mianowanie polskiego wodza naczelnego. Dla Zajączka - a także dla Dąbrowskiego - stało się to ostatnią okazją do wyzwolenia spod władzy

znienawidzonego ministra wojny.
Trzej skłóceni dywizjonerzy -
posługując się propagandą,
protekcją i podchodami -
stoczyli zajadły bój o naczelne
dowództwo. Zwyciężył
Poniatowski, który swymi
czynnościami ministerialnymi
zdołał już sobie zdobyć zaufanie
francuskiej Głównej Kwatery.

O ówczesnych stosunkach na
szczytach hierarchii odrodzonego
wojska polskiego najlepiej
świadczy przejmujące wyznanie,
jakie uczynił książę Józef swemu
adiutantowi płk. Józefowi
Szumlańskiemu 5 października
1807 roku, bezpośrednio po
wyjściu z gabinetu marszałka
Davouta, od którego odebrał był
patent na naczelnego wodza:

"Bóg widzi, jak nie dla chęci
dowodzenia cieszę się z tego,
gdyż wiem dobrze, jak wielka
czeka mnie odpowiedzialność.
Pewny wszakże jestem, że gdyby
Zajączek lub Dąbrowski otrzymali
naczelne dowództwo, to tak by
mnie szykanowali, tak by
dokuczali, ażby mnie zagryźli.
Ode mnie żaden z nich nie dozna
umyślonej przykrości."

Ostateczna porażka w
konflikcie z Poniatowskim oraz
oficjalne przejęcie władzy w
Warszawie przez króla saskiego
Fryderyka Augusta, mianowanego
przez Napoleona Księciem
Warszawskim - sprawiły, że
Zajączek poczuł się przyparty do
muru. Coraz natarczywiej
domagano się od niego złożenia
przysięgi na wierność nowym
władzom polskim, francuscy
protektorzy przestali go
osłaniać.

W raporcie do Napoleona z 25
listopada 1807 roku wyraźnie

zniecierpliwiony marszałek
Davout bez sentymentów
przedstawiał sytuację dawnego

kolegi z Egiptu:

"Gen. Zajączek odmawia do tej pory złożenia przysięgi królowi saskiemu, nie jako właściciel ziemski, lecz jako generał dywizji, a nie będąc już w liczbie generałów francuskich podaje się do uwolnienia, motywując, że nie chce mieć innego władcy jak Waszą Cesarską Mość. Dałem mu rozkaz przybycia do Warszawy, aby zakończyć te trudności ze złożeniem przysięgi królowi lub podanie się do dymisji."

Postawiony wobec alternatywy: przysięga albo wyjście z wojska, generał Arbuz ugiął jednak swój twardy kark i zaciskając zęby ze złości, pozwolił się wtłoczyć w polskość. W początkach grudnia 1807 roku złożył wymaganą przysięgę na wierność księciu warszawskiemu. W ten sposób zakończył się pierwszy etap jego kariery politycznej. Zdziorny generał nie sprawdził się ani jako gracz polityczny, ani jako konsultant Napoleona w sprawach polskich. Że tak było, jasno wynika z listów cesarskich pisanych do marszałka Davouta na przełomie lat 1807_#1808.

"...masz się mieszać jak najmniej w sprawy wojska polskiego - rozprawiał się Napoleon z przekazywanymi mu przez Davouta donosami na ks. Józefa i innych członków władz warszawskich. W Polsce pełno intrygantów, ale są oni tam bez żadnego znaczenia (...)
Memoriał, który mi posyłasz, pochodzi niezawodnie od Zajączka albo kogoś z jego partii. To samo powtarzano mi bez ustanku za mego pobytu w Polsce; i tak samo rozumują zapaleńcy we wszystkich krajach (...) Tak się nie postępuje. Widziałem sam tych spotwarzonych Polaków wielkiego nazwiska, jak narażali

się najwięcej; nie brak ich też
w wojsku polskim (...)
Okoliczności były ciężkie. Nie
mogę skarżyć się na Komisję
Rządzącą: robiła, co mogła. Nie
mogę się zgoła skarżyć na
księcia Poniatowskiego, na
Stanisława Potockiego; robili,
co mogli. MOją intencją jest
zatem, abyś nie dawał ucha tym
insynuacjom stronnicy (...)
Polacy są żywi, czynni. Wielkie
miasta w ogólności mają taki
charakter. Warszawa bardziej niż
inne. Jest podobna do
powierzchni morza, która przez
dwa dni z rzędu nie może
pozostać bez zmiany. Ale Polacy
są w gruncie rzeczy przywiązani
do Francji. Staraj się żyć jak
najlepiej z rządem i władzami.
Bierzesz sprawy z nadto gorąco.
NIE ulega wątpliwości, że w
stanie, w jakim znajduje się
Polska, muszą zachodzić tarcia,
intrygi, niedopatrzienia. W
położeniu, jakie zajmujesz,
winienesz nade wszystko zachować
cierpliwość i krew zimną."

Przy takim nastawieniu
najwyższego protektora, generał
Arbuz nie miał już żadnych szans
w warszawskich grach
politycznych; powrócił więc w
kaliskie zacisze, do swej
Drugiej Legii i do swych
rozległych dóbr ziemskich, w
których gospodarowała ściągnięta
z Paryża madame Alexandrine. .nv
Rozkosz ślepego posłuszeństwa
(c.d.)

V

Rok 1808. Dobry spokojny rok.
Chyba najlepszy,
najspokojniejszy rok w całej
wichrowatej karierze generała
Arbuza. Czas spoczywania na
zasłużonych laurach. Czas
odcinania kuponów za trudy,
upokorzenia i niepokoje lat
poprzednich.

Wszystko teraz funkcjonuje jak

w dobrze nakręconym zegarku. Do południa - zajęcia służbowe w Kaliszu, w głównej kwaterze Drugiej Legii. Sprawy administracyjne i zaopatrzeniowe. POpisywanie wniosków na awanse i odznaczenia, szkolenie rekrutów i musztrowanie lekkiej kawalerii. To zawsze dobrze mu wychodziło, w tych rzeczach był niezawodny. MIAł zresztą znakomitego pomocnika w osobie szefa sztabu dywizji, pułkownika Franciszka Ksawerego Kosseckiego, na którym mógł w pełni i we wszystkim polegać. Przyhołubił go sobie i podchował jeszcze nad Omulwią w Korpusie Obserwacyjnym i nie puści od siebie do końca swych dni, wynosząc wraz z sobą na coraz wyższe szczeble kariery wojskowo_urzędniczej.

Po zajęciach służbowych powrót na obiad do odległego o dziewięć kilometrów Opatówka. Niekiedy przebywał te dziewięć kilometrów konno, w gwarnej asyście najbliższych współpracowników i sztabowej młodzieży. Najczęściej jednak - powozem, ciągnionym przez cztery wysłużone araby, przywiezione ongiś z Egiptu - z egzotycznie odzianym mamelukiem Ibrahimem na koźLe. Jakkolwiek generał Arbuz zmienił mundur na narodowy i złożył przysięgę na wierność księciu warszawskiemu - nadal pilnie dbał o podkreślanie swej kondotierskiej odrębności.

W Opatówku, po sutym obiedzie - zajęcia gospodarskie. Prace związane z rozbudową i upiększaniem zaniedbanej rezydencji arcybiskupiej. Narady obojga małżonków z architektami, budowniczymi, rzeźbiarzami, malarzami, ogrodnikami, tapicerami. Odbieranie mebli i obić, zamówionych w Paryżu przez madame Alexandrine. Rezultaty

tych wszystkich zachodów
podziwiać będzie w cztery lata
później, goszczony w Opatówku,

Julian Ursyn Niemcewicz:

"...dawny biskupów zamek
przekształcony w dom
najświeższego ubrania i gustu.
Wszystkie meble i ozdoby
sprowadzone z Paryża.

Jedwabne obicia, marmury i
spiże robotą jeszcze drogość
materiałów przechodzą."

Musiał ten przepych niemało
kosztować. Zajączek ma teraz
wprawdzie duże dochody, a
hipoteki dóbr są czyste, więc
łatwo zaciągać na nie
długoterminowe kredyty. Że
jednak wolał zawsze brać niż
dawać, zabiega pilnie o to, aby
w jego wydatkach na inwestycje
budowlano_gospodarcze
uczestniczył także skarb
Księstwa Warszawskiego.
Korzystając z pomocy doskonale
wprowadzonego w sprawy Opatówka
pułkownika Kaspra MIaskowskiego,
uciażliwy donatariusz skrzętnie
wylicza, ile jeszcze mu się
należy od warszawskiego
ministerstwa (na szczęście dla
księcia Józefa nie było to
ministerstwo wojny), aby dobra
donacyjne, po odliczeniu kosztów
konserwacji, rzeczywiście dawały
przysiężony czysty dochód 50 000
franków. Dopomina się
zwłaszcza o sąsiadujące z
Opatówkiem lasy. Czyni to we
właściwy sobie gwałtowny sposób:
ciska gromy na ministerialnych
gryziopiórków, po starej
znajomości korzysta z poparcia
marszałka Davouta i kolejnych
rezydentów francuskich w
Warszawie, niekiedy potrafi
odwoływać się nawet do Paryża.

Drobne kłopoty z warszawskim
ministerstwem nie umniejszają w
niczym wdzięczności Zajączka dla
najwyższego protektora. Na

frontonie pałacu w Opatówku
sławi wspaniałomyślność cesarza
łaciński napis: "Magni
Napoleonis donum" (Dar Wielkiego
Napoleona). Nie zapominając o
uczczeniu darczyńcy, obdarowany
pamięta także o tym, żeby na

otrzymanych dobrach odcisnąć
trwały ślad swojej obecności.
Jedna z wsi zostaje
przemianowana na Zajączki, trzy
inne otrzymują nazwy
upamiętniające chwałę wojenna
generała: Raclawice, Fayoum,
Aleksandria.

W Opatówku - jakkolwiek
generałostwo na czas trwania
przebudowy pałacu rozlokowali
się prowizorycznie w niewielkim
dworcu neogotyckim - kwitnie
życie towarzyskie. Uczestniczą w
nim zapraszani na obiady
sztabowcy z Kalisza i co
godniejsi ziemianie okoliczni
(nie brak wśród nich
późniejszych zażartych
antagonistów generała: braci
Wincentego i Bonawentury
Niemojowskich). Jest także sporo
młodych oficerów, gdyż
niezmiennie młodzieńcza
generałowa lubi odbierać hołdy
od młodzieży. Kuchnia w Opatówku
jest czysto polska. Generał
przepada za takimi potrawami
jak: zrazy z kaszą, bigos
hultajski czy inne równie
treściwe przysmaki polskiej
kuchni szlacheckiej. W tej
dziedzinie nie zagraża mu
wynarodowienie. Jedyna koncesja
na rzecz francuskiej pani domu
to, sprowadzony z jej ojczyzny,
czerwony burgund - taki sam,
jaki pito na okręcie admirałskim
"Orient" w drodze do Egiptu.

Poza proszonymi obiadami -
polowania, pikniki, wesołe
kawalkady i wszelkie inne
rozkosze ziemiańskiego życia.

Równomierny rytm spokojnego

roku 1808 raz tylko zakłóciła na krótko godną odnotowania przygoda polityczna. Ale nie miała ona nic wspólnego z gorącymi awanturami lat 1806_#1807. Nawiązywała raczej do wzniosłych dni insurekcji kościuszkowskiej. Był to przygodą przyjazd do Księstwa Warszawskiego księdza eks_podkanclerzego Hugona

Koźłataja i jego parotygodniowy pobyt w Opatówku.

Podjęta w grudniu 1806 roku pierwsza próba sprowadzenia Koźłataja do Warszawy i osadzenia go we władzach odradzającej się Polski nie powiodła się, mimo że generał Zajaczek, niezwłocznie po otrzymaniu zezwolenia Napoleona, wysłał był po przyjaciela na Wołyń swego brata Ignacego, zaopatrzony w sumę 50 guldenów na opłacenie kosztów podróży. Pechowy Ignacy dotarł wprawdzie do wołyńskich Tetylkowic - majątku dzierżawionego przez Koźłataja, ale repatriacja eks_podkanclerzego okazała się niemożliwa; najpierw z powodu choroby, później, w wyniku ingerencji policji rosyjskiej, która zaniepokojona "przygotowaniami do ucieczki niebezpiecznego jakobina polskiego" - na wszelki wypadek wywozła go do Moskwy. W rezultacie: Ignacy Zajaczek powrócił z Wołynia sam, a nazwisko Koźłataja spadło ostatecznie z warszawskiej wokandy politycznej.

W Moskwie zniewolony "polski Robespierre" przebywał przez blisko półtora roku. Dopiero wiosną 1808 roku pozwolono mu powrócić do ojczyzny.

Przybył do Warszawy w lipcu 1808 roku. Stołeczni czerwieńcy

powitali swego naczelnego
ideologa z burzliwym
entuzjazmem, władze Księstwa
odniosły się do niebezpiecznego
przeciwnika politycznego z
ostentacyjnym chłodem.

Koźłataj był zmęczony i chory.
Jego wątły z natury organizm -
sterany latami więzienia i
trudnym bytowaniem na
przymusowej emigracji - domagał
się gwałtownie gruntownego
remontu. Warszawscy wyznawcy
postanowili wysłać go na
leczenie do dolnośląskiego

uzdrowiska Warmbrunn (Cieplice).
Przedtem jednak pojechał na
wypoczynek w dobrach cudownie
wzbogaconego przyjaciela i
współpracownika.

Nie widzieli się z Zajączkiem
od lat dwunastu, to znaczy od
czasu, gdy razem pokutowali za
grzechy powstańcze w austriackim
więzieniu, w twierdzy
Josephstadt. Kiedy więc
zasiedli obok siebie w pięknym
parku pałacowym Opatówka -
rozkoszując się lipcowym słońcem
oraz atmosferą spokoju i
dostatku - z pewnością mieli
sobie wiele do powiedzenia.
Równie pewne jest jednak, że
wszystkiego sobie nie
powiedzieli. Bo w ciągu tych
dwunastu lat niewidzenia się
życie ich ulegało tak trudnym do
wytłumaczenia zwrotom i
łamańcom, jak zdarza się to
tylko w życiorysach najbardziej
zapalonych radykałów.

Czyż mógł polski
"Robespierre", Koźłataj, odkryć
przed swym najżarliwszym uczniem
i wyznawcą, że w roku 1804, kiedy
choroba zmusiła go do spisania
ostatniej woli, odżegnywał się w
tym dokumencie od dążeń
rewolucyjnych roku 1794 i
zapewniał o swej prawowierności
religijnej?

Czy odważyłby się "obrońca wiejskiego ludu", Zajączek, wyznać swemu nauczycielowi, że od chwili, gdy los uczynił go panem na sześćdziesięciu kilku wsiach, dziwnie w nim przygasł zapał do walki o uwłaszczenie chłopów?

Ale i tak tematów do rozmowy im nie brakło. Czas niejednakowo oszedł się z dwoma czołowymi czerwieńcami insurekcji kościuszkowskiej. Dla Zajączka te dwanaście lat było okresem nieustannego podciągania się wzwyż. Osiągnął wszystko, co mógł osiągnąć człowiek jego proveniencji społecznej. Dopisywała mu także nad podziw

kondycja fizyczna. Pomimo dobrze już zaawansowanego szóstego krzyżyka, rozpierała go młodzieńcza energia i żądza życia.

Starszy od Zajączka zaledwie o dwa lata Kołłataj był żalosnym starcem. Dwunastoletni okres vegetacji w więzieniach i pod nadzorem policji wyposażył go w zestaw chorób, przerastający wytrzymałość jego wycieńczonego ciała. Cierpiał na: kamice moczową, artretyzm, szczególnie bolesną podagrę, niedomagania krążenia, uporczywe migreny. Poza tym nękały go cierpienia moralne. Każdy docierający do niego głos z ojczyzny uświadamiał mu wściekłą propagandę nienawiści i pomówień, jaką roztaczali wokół jego nazwiska przeciwnicy polityczni. Oskarżano go o dwuznaczny stosunek do Targowicy, o przywłaszczenie sobie skarbowych pieniędzy, o przygotowywanie "nocy św. Bartłomieja" podczas insurekcji. "Świat mię prześladował - pisał w roku 1803 w swym przejmującym "Wyznaniu" -

świat okrył prawdę potwarza,
skazał mię na cierpienia,
odmówiwszy sądu."

A przecież w tym strzępku
fizycznym człowieka, jaki
przedstawiał sobą Kołłątaj latem
roku 1808, duch nie poddał się
trawionej chorobami materii i
nadal pozostawał mocny i jasny.
Energia umysłowa, ostrością
widzenia i rozległością
horyzontów, ledwie trzymający
się na nogach, eks_podkanclerzy
znacznie przewyższał tryskającego
zdrowiem generała. Widoczne już
w roku 1795 różnice między dwoma
prominentami warszawskich
czerwieńców - w roku 1808
zaznaczały się jeszcze
wyraźniej. Zajączek we
wszystkich poczynaniach kierował
się motywami
osobisto_uczuciowymi. Można by

bez przesady rzec, że jego
światopogląd polityczny
wyznaczały i ograniczały dwie
wielkie namiętności osobiste: z
jednej strony - miłość do
Napoleona, z drugiej - nienawiść
do księcia Józefa. Z dawnego
jakobinizmu pozostało w nim
jedynie poczucie jakichś bliżej
nieokreślonych krzywd oraz
serdeczna niechęć do tych
wszystkich rodaków (z wyjątkiem
dawnych swoich protektorów),
którym dzięki przywilejom
związanym z wysokim urodzeniem
żyło się łatwiej i lepiej niż
jemu.

W roku 1807 Kołłątaj, tak samo
jak Zajączek, był żarliwym
zwolennikiem Napoleona. Ale
właśnie w stosunku ich obu do
Napoleona najbardziej się
uwidatniała odmienność dążeń i
charakterów. Zajączek wielbił
Napoleona jako nieomylnego
rozkazodawcę i potężnego
opiekuna, który potrafił mu
wynagrodzić wszystkie krzywdy i

upokorzenia doznane od niewdzięcznej ojczyzny. Kołłątaj natomiast widział w "Bohaterze dwóch wieków" jedyną siłę, zdolną dźwignąć Polskę z rozbiorowego upadku i wprowadzić ją na nowe tory dziejowej pomyślności. Według wszelkiego prawdopodobieństwa to w Opatówku właśnie, latem 1808 roku, eks_podkanclerzy nadawał ostatni szlif swej programowej pracy o Księstwie Warszawskim, którą jesienią tegoż roku wydrukowano w Warszawie pod godłem "Nil desperandum".

W swoich "Uwagach nad teraźniejszym położeniem tej części ziemi polskiej, która od traktatu tylżyckiego zwać począto Xięstwem Warszawskim" Kołłątaj uzasadniał aktualną, narodową rację stanu w przymierzu z Francją, ukazując ją w perspektywie federacji ogólnoeuropejskiej i podziału kontynentu na dwa imperia:

zachodnie - napoleońskie i wschodnie - rosyjskie. Polskę widział w tym układzie jako najdalej wysunięty na wschód bastion federacji zachodniej. Oczekiwał od Napoleona odbudowy suwerennej Rzeczypospolitej w granicach przedrozbiorowych: jagiellońskich na wschodzie, piastowskich na zachodzie, z uwzględnieniem Śląska po Odrę (Śląsk znał dobrze ze swych wielokrotnych pobytów w tamtejszych uzdrowiskach).

Wierząc niezachwianie, że Napoleon we własnym interesie urzeczywistni tę jego optymistyczną wizję, Kołłątaj - wbrew opinii większości polskich patriotów - od pierwszej chwili odniósł się entuzjastycznie do powstania Księstwa Warszawskiego, widząc w nim załążek przyszłej, potężnej,

suwerennej Rzeczypospolitej.
"Cóżkolwiek bądź - pisał w swych
"Uwagach..." - Księstwo
Warszawskie tak jak jest (...)
ostać się nie może. Jego więc
przeznaczeniem być musi albo
przyłączenie do jakiego innego
mocarstwa, albo wskrzeszenie na
nowo Polski i przywrócenie jej
do dawnego politycznego bytu
(...) tak tym bardziej
powinniśmy powierzyć nasze losy
Wielkiemu Napoleonowi, który dał
już dość jasno poznać, że Polska
do wielkich jego układów zaczęła
należać. To nieograniczone
zufanie powinno być pierwszą
cechą, po której poznać teraz
można dobrze myślącego Polaka
(...) NIE mieliśmy ziemi, którą
by nam wolno było nazwać naszą;
dziś mamy ją z rąk Wielkiego
Napoleona (...) mądrość jego
(...) przy zręcznych
sposobnościach, skutecznie losom
naszym zaradzi."

Po parotygodniowym, twórczym
wypoczynku w Opatówku ksiądz
eks_podkanclerzy pojechał leczyć
się w dolnośląskich Cieplicach,
a Zajączek powrócił do zwykłego

toku swych zajęć dowódcy dywizji
i właściciela dóbr. Dwaj
insurekcyjni czerwieńcy spotkają
się ponownie w roku następnym,
aby w obliczu kolejnych wydarzeń
wojennych raz jeszcze podjąć
próbę wywarcia bezpośredniego
wpływu na kształtowanie losów
Polski.

Vi

Wiosną 1809 roku - po
kilkunastu miesiącach pokojowego
budowania zrębów odrodzonej
państwowości - napoleońska
Polskę znowu ogarnęła wojna. 14
kwietnia w granice Księstwa

Warszawskiego wtargnął
30_tysięczny korpus austriacki
pod dowództwem arcyksięcia
Ferdynanda d.Este. Stało się to,
czego Napoleon obawiał się już w
roku 1807. Nie dobita Austria
dźwignęła się z kolan i -
ożywiona pragnieniem odwetu za
Ulm i Austerlitz - zaatakowała
na różnych frontach swego
niedawnego pogromcę. Wybuch
drugiej wojny austriackiej nie
był zaskoczeniem ani dla
francuskiej Kwatery Głównej, ani
dla polskiego dowództwa.
Przygotowywano się na tę
ewentualność już od dłuższego
czasu. NIE przewidziano tylko
tego, że jednym z pierwszych
terenów operacji wojennych
stanie się Księstwo Warszawskie.
Sztab Generalny francuski
nadmiernie zaufał
postanowieniom, zawartego w
Tylży i umocnionego później
konwencją erfurcką, sojuszu
francusko_rosyjskiego, który
wprost zobowiązywał Rosję do
uderzenia na Austrię w razie
wybuchu przewidywanej wojny. W
tej sytuacji 70_tysięczny korpus
rosyjski księcia Golicyna,
stojący u wschodnich granic
Księstwa Warszawskiego, zdawał
się zabezpieczać je całkowicie

przed możliwością inwazji
austriackiej.

Ale Austria również znała
treść sojuszu
francusko_rosyjskiego i przed
rozpoczęciem działań wojennych
uczyniła wszystko, aby
interwencji rosyjskiej zapobiec.
Specjalny wysłannik cesarza
austriackiego Franciszka, księżę
Karol Filip von Schwarzenberg,
tak długo i przekonująco
tłumaczył cesarzowi rosyjskiemu
Aleksandrowi, jak wielkim
zagrożeniem dla zaboru
rosyjskiego jest istnienie

napoleońskiej Polski, że w końcu uzyskał od niego jak najbardziej tajne zapewnienie, że Rosja w obronie Księstwa Warszawskiego interweniować nie będzie zbrojnie. Warto dodać, że ów książę Schwarzenberg, gotujący zgubę napoleońskiej Polsce i jej naczelnemu wodzowi, był najserdeczniejszym przyjacielem księcia Józefa Poniatowskiego w jego latach wiedeńskich. Ale w polityce sentymenty się nie liczą.

"Napaść austriacka na Księstwo Warszawskie miała sobie tym sposobem zapewnioną z góry bezkarność ze strony armii rosyjskiej - reasumuje ówczesną sytuację Szymon Askenazy. - Co więcej, taka napaść, niweczająca ten niemiły twór tylżycki, od początku swego istnienia kłujący w oczy przymusowego tylżyckiego kontrahenta, odpowiadała pod niejednym względem istotnym widokom polityki rosyjskiej. Skądinąd (...) w gabinecie wiedeńskim ułożony już był z góry w największej tajemnicy zamiar opanowania Księstwa Warszawskiego przez wojska austriackie, lecz jedynie w celu wydania go w ręce Prusaków, ażeby tym sposobem, za cenę Warszawy, zapewnić sobie przystąpienie Prus i uderzenie ich na tyły napoleońskiej linii operacyjnej. Śród podobnych

okoliczności, o jakich ani w Paryżu, ani w Warszawie nie miano zrazu żadnego pojęcia, atak na pozór niedorzeczny, nieprawdopodobny stawał się w rzeczywistości logicznym, koniecznym."

Położenie księcia Józefa w momencie napadu austriackiego było nad wyraz trudne i przykre. Kiedy w październiku 1807 roku - po odebraniu z rąk marszałka

Davouta naczelnego dowództwa nad armią Księstwa Warszawskiego - mówił swemu adiutantowi, jak wielką obarcza się odpowiedzialnością, nie przewidywał, że w osiemnaście miesięcy później brzemień naczelnego dowództwa okaże się aż tak ciężkie.

"...wiosną 1809 r. - świadczy o księciu Józefie jego znakomity biograf Askenazy - bez żadnego przygotowania, bez żadnej prawie możliwości skutecznej obrony, znalazł się naprzeciw nieoczekiwanego, forsownego ataku Austriaków, już zalewających połowę kraju, już podstępujących pod samą stolicę. Świeża, ledwo zorganizowana armia polska, osłabiona przez zaciągi do armii francuskiej (najlepsze pułki z dywizji Zajączka i Dąbrowskiego znajdowały się w Hiszpanii i w Niemczech - M.B.), skurczona wraz z garścią zatrzymanych Sasów do liczby czynnej zaledwie 14 tysięcy ludzi (...) zatem przeszło dwakroć słabsza od nieprzyjaciela, nie mogła obronić ani Księstwa, ani Warszawy. Na kogo zwalić winę? Oczywiście na wodza. Przypomniano sobie, że on był wszak oficer austriacki, syn feldcechmistrza (generała broni - M.B.) austriackiego, syn Austriaczki, sam Austriak. Głucha nieufność ogarniała stolicę, przenikała do armii, zatrutym oddechem otaczała każdy krok, każdy rozkaz ks. Józefa.

On odpowiedział na to wszystko, wydając Austriakom, swoim dawnym towarzyszom broni bitwę pod Raszynem 19 kwietnia 1809 roku."

W historii polskich wojen niewiele jest wyczynów zbrojnych tak obrosłych bohaterską legendą, tak mocno ugruntowanych

w wyobraźni historycznej Polaków, jak bitwa raszyńska. A przecież początkowo nic nie zapowiadało, że to starcie zbrojne z Austriakami na przedpolu Warszawy osiągnie tak wysoką rangę w historii. Bitwa była krwawa, chaotyczna, naraziła młodą armię polską na wielkie straty i w rezultacie pozostała nierozstrzygnięta. Ważność Raszyna uwidoczniła się dopiero na tle późniejszych wydarzeń i w ogólnej perspektywie historycznej. Pierwsza bitwa w kampanii austriacko_polskiej roku 1809 była równocześnie pierwszym po rozbiorach, całkowicie samodzielnym polskim czynem zbrojnym, który zdołał osłabić i powstrzymać impet dwukrotnie silniejszych wojsk zaborczego mocarstwa. BYła też zasadniczym przełomem w biografii polskiego bohatera narodowego: Księcia Józefa POniatowskiego. Od niej właśnie, niepopularny w szerokich kręgach wojska i społeczeństwa, "Austriak" począł się zmieniać w "kochanego wodza Polaków".

Prof. Jerzy Skowronek, autor niedawno wydanej pracy biograficznej o POniatowskim, tak oto opisuje historyczną bitwę:

"Walka rozpoczęła się 19 kwietnia o godz. 10 rano atakiem przedniej straży gen. Mohra na oddziały gen. Sokolnickiego pod Falentami. Pod naciskiem kilkakrotnie silniejszego przeciwnika Polacy zaczęli ustępować, dostając się na wąskiej grobli pod morderczy ogień artylerii bijącej z odległości około 50 kroków.

Utracili tu część artylerii, ranni zostali Fiszer (szef sztabu - M.B.) i dowódca pułku, popularny legionista i poeta

Cyprian Godebski, oddział
zaczynał się rozpręgać."

W tym najbardziej krytycznym
momencie włącza się bezpośrednio
do akcji wódz naczelny. Czyni to
w sposób, którego nie pochwalają
u naczelnym wodzów teoretycy
wojskowości, ale który zapewnia
miejsce w romantycznej
legendzie.

"Poniatowski, który na wzgórku
koło kościoła raszyńskiego
przyjmował organizatorów powstań
departamentowych, słysząc
zaciekły ogień, ruszył konno ku
Falentom. Zorientowawszy się, że
sytuacja jest coraz
krytyczniejsza, osobiście stanął
na czele załamującego się
batalionu, sformował go i z
fajką w zębach, spokojny, jak na
przeładowaniu, poprowadził go do
zwycięskiego kontruderzenia w
walce na bagnety."

I dalszy ciąg tego samego, z
komentarzem psychologicznym i
uzupełnieniem Askenazego:

"Silne musiały nim
(Poniatowskim) miotać uczucia,
kiedy w lasku Falenckim pod
Raszynem, około trzeciej po
południu, z lulką w zębach,
wziąwszy bagnet od szeregowca,
prowadził osobiście w ogień
pierwszy batalion pierwszego
pułku piechoty Małachowskiego. W
lat piętnaście po powązkowskim
swoim nieszczęściu 1794 r. po
raz pierwszy szedł znowuż w
ogień prawie, że pod oczami
patrzącej się z okopów, tej
Warszawy, która wciąż jeszcze w
nim widziała syna marnotrawnego,
odrośl wzgardzoną Poniatowskich,
a której on się znowuż pokazał
prawym synem kraju, prawdziwym
księciem Józefem. Przez cały
czas trwania zażartej bitwy, od
drugiej po południu do
dziewiątej wieczór, ciągle był
pod strzałami. Wszyscy sztabowcy

jego świty bądź zostali ranni, bądź mieli konie pod sobą ubite. To potykanie się nierówne z tak znacznie przemagającym przeciwnikiem mogłoby wydawać się nierozwagą. A było ono własną samorodną decyzją ks. Józefa, powziętą przez niego i wykonaną wbrew ostrzeżeniom odbieranym nawet z nadzorczej strony francuskiej. Lecz ta odruchowa decyzja raczej honoru niż rachuby okazała się i pod względem praktyczno_wojskowym, i moralno_politycznym nie tylko natchnieniem pięknym, lecz, co ważniejsza, zbawiennym. Wojsko polskie utrzymało się w swojej pozycji, zdobyło świadomość swojej sprawności bojowej, zagarnęło ten impet, którego pozbawiło nieprzyjaciela."

I jeszcze jeden szczegół z książki Jerzego Skowronka - nie zauważony bądź pomijany przez wcześniejszych biografów, łącznie z wielkim Szymonem Askenazym: Podczas całej operacji raszyńskiej księcia Józefa straszliwie bolały zęby. Kiedy otrzymał pierwszy meldunek o wkroczeniu Austriaków, był obolały, spuchnięty i trzęsła nim gorączka. Nękało go ropne zapalenie okostnej, nazywane wówczas fluksją. Rwały ból nie opuszczał go ani na chwilę w czasie przygotowań obronnych i później, kiedy z karabinem w ręku prowadził batalion do ataku na bagnety. Kto wie, czy owa historyczna lulka, której nie wypuszczał wtedy z ust, a która tak bardzo chwala sobie autorzy historycznych powieści dla młodzieży, była jedynie rekwizytem rycerskiej brawury, a nie służyła również jako środek na uśmierzanie dokuczliwego bólu?

Powtarzam za biografem księcia ten ściśle prywatny i na pozór mało istotny szczegół, gdyż nie umniejsza on w niczym romantycznej legendy bohatera spod Raszyna, a bardzo tę

legendę uczłowiecza.

Przed wyruszeniem z Warszawy pod Raszyn książę Józef - osaczony zewsząd przez kłopoty i trudności na pozór nie do zwalczania - wykonał gest pojednawczy wobec swoich najbardziej wpływowych przeciwników w armii. Wysłał list do Zajączka i Dąbrowskiego, wzywając ich do swej głównej kwatery "dla wspólnego o dobro Ojczyzny naradzenia się". Z powodu operacji raszyńskiej do spotkania trzech generałów doszło dopiero nocą po bitwie - najprawdopodobniej w bezpośrednim sąsiedztwie dymiącego jeszcze pobojuwiska.

Generał Dąbrowski przybył na naradę ożywiony patriotycznie, pełen szacunku dla Poniatowskiego za jego działania raszyńskie, skłonny do zapomnienia wszystkich dzielących ich waśni i nieporozumień. Zupełnie inne uczucia wypełniały generała Zajączka. Przejeżdżając przez ogarniętą paniką Warszawę, wchłonął był w siebie wszystkie wrogie naczelnemu wodzowi jakobińskie oskarżenia i pomówienia. Raszyński sukces księcia bynajmniej go nie cieszył. Jego chorobliwa zawiść, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, opancerzała go przeciwko wszelkim wezwaniom do zgody.

Sugestywny opis historycznego spotkania skłóconych wodzów przekazał potomnym Julian Ursyn Niemcewicz:

"Przybywszy do kwatery głównej Dąbrowski, pomny na potrzebę w powszechnej obronie zgody i dobrego porozumienia się, szczerze się z nim (Poniatowskim) pojednawszy, zachęcał generała Zajączka, by dla dobra publicznego zawziętości swojej zapomniał i z księciem się

pojednał. Zajaczek na to
wezwanie stał jak wryty, burzyły

się jeszcze w jakobińskiej jego
duszy zionione przed kilku
godzinami szkalowania i
potwarze, bladł, czerwienił się
i milczał. Gdy ksiązę z godną
pięknej duszy szlachetnością sam
się przybliżył do niego, mówiąc:
"Ksiązę Poniatowski pierwszy
idzie do Wpana i pojednania
szuka" - on szczerze uściśnienie
zimnem oddał objęciem."

Zimnem oddał objęciem! Dobrze
się to Niemcewiczowi napisało.
Wyczuwa się w tym "zimnem
objęciu" całą wrzącą furię
Zajaczka, całe piekło jego
nienawiści.

Jak sobie poczynął generał
Arbuz bezpośrednio po tym
spotkaniu wodzów, można jedynie
wnosić z ogólnych przekazów
historycznych. Niewątpliwie
należał do bardziej czynnych
aktorów owej dramatycznej nocy,
która nastąpiła po powrocie do
Warszawy wojsk spod Raszyna.
Korpusik polski był osłabiony
stratami poniesionymi w boju, a
bardziej jeszcze - odejściem
posiłkowych oddziałów saskich,
wycofanych zaraz po bitwie
rozkazem francuskiej Głównej
Kwatery na Toruń i Drezno.
Powracających żołnierzy ludność
zasypywała niespokojnymi
pytaniami o przyszłość. Krążyły
paniczne pogłoski, że naczelny
wódz zamierza oddać Warszawę
Austriakom.

"Nikt w mieście nie spał tej
nocy - słowa Askenazego. -
Wszyscy potracili głowy, wszyscy
radzili, wszyscy ponad głową
Księcia podejmowali się ratować
rzecz publiczną. Nikt nie
rozumiał, że on ją tego dnia
uratował naprawdę. Zapaleńcy
partii emigracyjnej
(jakobińskiej - M.B.), Neyman,

Horodyski, Szaniawski zgłaszali się ze swymi usługami do rezydenta francuskiego Serry. Ostrzegali przed podstępными zamysłami kapitulacyjnymi Poniatowskiego. Podejmowali się

sami ocalić Warszawę. Żądali uzbrojenia ludu, natychmiastowej organizacji rewolucyjnej po cyrkulach, podniesienia hasła wielkanocnych, insurekcyjnych 1794 roku."

Zajączek był niewątpliwie całym sercem po stronie dawnych przyjaciół politycznych. Podobnie jak innym czerwieńcom, eks_prezesowi Wojskowego Sądu Kryminalnego marzyło się pewnie rozdanie broni między warszawski gmin, a co za tym idzie: powtórzenie krwawych rozrachunków z wiosny insurekcyjnej - wieszanie książąt i biskupów. Ale jako doświadczony generał, musiał też wiedzieć, że jakobińska koncepcja bronięcia stolicy, jakkolwiek szlachetna w założeniu, w skutkach mogła prowadzić jedynie do rzeczy okropnych: do długotrwałego oblężenia, okrutnych walk ulicznych, a w końcu do powszechnej rzezi, nie mniej krwawej i wyniszczającej niż pamiętna pacyfikacja Pragi sprzed lat piętnastu. Kiedy więc arcyksiążę Ferdynand d'Este wezwał księcia Poniatowskiego do rokowań kapitulacyjnych, generał Józef Zajączek nie odważył się wyłamać z ogólnej opinii generałów polskich, że "w istniejącej sytuacji strategicznej oddanie stolicy Austriakom jest smutną, lecz nieodzowną koniecznością".

Zwłaszcza że młodziutki wódz austriacki - zaskoczony dzielnym oporem raszyńskim i przestraszony napływającymi z

Warszawy wiadomościami o
desperackim nastawieniu ludności
- zgodził się na konwencję
kapitulacyjną nad wyraz
korzystną i honorową dla strony
polskiej.

Ale ludu warszawskiego,
opuszczonego przez swych
obrońców, nie mogła zadowolić
najkorzystniejsza nawet

konwencja kapitulacyjna.
Wycofywanie wojsk odbywało się w
warunkach dramatycznych.

Relacjonuje Jerzy Skowronek:
"Opuszczał (naczelnny wódz -
M.B.) stolicę (...) wśród
złorzeczeń i wrzasków tłumów,
zdenewrowanych perspektywą
okupacji i podekscytowanych
plotkami o ewidentnej zdradzie
wodza. Padały okrzyki:
"Zdrada!", "Na szubienicę
zdrajców, co nas
nieprzyjacielowi wydali!",
"Stryj sprzedał Polskę Moskalom,
ten ją teraz Austriakom
sprzedaje!", "Precz z
Poniatowskim!"

Tu i ówdzie usiłowano wrywać
kamienie z bruku."

Przebijając się z trudem przez
rozwścieczone, niechętnie
rozstępujące się tłumy, jadący
obok księcia generał Arbuz nie
mógł nie wspominać podobnych
manifestacji ludowego gniewu po
swej niesławnej ucieczce z Pragi
w roku 1794. I nie byłby chyba
Zajączkiem herbu Świnka, gdyby w
owych tragicznych dla warszawian
godzinach poraszyńskich, nie
odczuwał złej radości, że tym
razem gniew warszawskiego ludu
kieruje się nie przeciw niemu,
lecz przeciw jego najbardziej
znienawidzonemu wrogowi.

Wkrótce po wyjściu z Warszawy
generał Arbuz naraził się
patriotycznej opinii haniebnie
defetystycznym wystąpieniem na
kolejnej naradzie wojennej. Za

ten wyskok szarpać go będą
później historycy; zwłaszcza
Szymon Askenazy, który jako
autor "Księcia Józefa
Poniatowskiego" miał szczególnie
wyostrzone spojrzenie na wrogów
swego umiłowanego bohatera.

"Wyprowadziwszy po Raszynie
wojsko za Bug, Poniatowski w
Modlinie odbył radę wojenną -
pisze Askenazy. - Zajączek,
który od pojawienia się swego w
nocy po bitwie raszyńskiej
okazywał mu zaciętszą niż

kiedykolwiek nienawiść (...),
wystąpił tutaj z opinią
złowróbną, nacechowaną
pesymizmem krańcowym. RAdził on
po prostu wycofać się za Sasami
na Toruń, czyli dać zupełnie za
wygraną."

Askenazy nie wglębia się w
motywy wystąpienia Zajączka, ale
dla tych, którzy znają
przeszłość "Egipcjanina", motywy
te są jasne. GEnerał Arbuz raz
jeszdcze ujawnił się jako
"wojczyźniony" kondotier. Wojnę
z Austrią oceniał nie z punktu
widzenia polskiego, lecz w
ogólnych planach strategicznych,
jak oceniała ją główna Kwatera
francuska. POnieważ po oddaniu
Warszawy sytuacja na polskim
odcinku wojny wydawała mu się
całkowicie beznadziejna, uznał
bez żadnych skrupułów, że należy
śladem Sasów schronić się pod
skrzydła Wielkiej Armii.

Kondotierskiej propozycji
Zajączka dał patriotyczny odpór
jego niedawny sprzymierzeniec w
walce z Poniatowskim, generał
Dąbrowski.

"Dąbrowski - powtarzam dalej
za Askenazym - który osobistych
uczuc nieprzychylnych dla
Księcia zapewne nie zmienił
bynajmniej, ale od chwili, jak
przybiegł pocztą pod wieczór na
pole Raszyna, całą głowę swoją,

całą wiedzę najlepszą i wytrawne
doświadczenie oddawał zagrożonej
sprawie publicznej, przenikniony
pamięcią świetnych wyników
własnej swojej dywersji
wielkopolskiej 1794 r.,
oświadczył się za uderzeniem na
Galicję. Zaznaczyć tu zresztą
należy, że taka dywersja
galicyjska leżała w naturze
rzeczy, że była brana pod uwagę
jeszcze przed wybuchem wojny, a
mianowicie już w marcu była
wskazana w dyspozycjach ogólnych
nakreślonych przez Napoleona
(czyżby Zajaczek,
najposłuszniejszy sługa swego
cesarza, o tym nie wiedział? -

M.B.) Ta wskazówka, tak słusznie
poparta i rozwinięta przez
Dąbrowskiego, nie była zatem
odkryciem, nie była nowością dla
Poniatowskiego, którego jednak
trwała, osobista zasługa
stanowi właśnie niezwłoczne
przyjęcie tego planu i
energiczne jego wykonanie."

Koncepcja uderzenia na,
okupowaną od piętnastu lat
przez Austriaków, Galicję -
niezależnie od tego, kto był tej
koncepcji pierwszym autorem -
okazała się w skutkach
zbawienna. Na oczach ciężko
doświadczanych przez historię
Polaków dokonywał się dziw
strategiczny, rzadko spotykany w
dziejach wojen; pozbawiona
jakichkolwiek szans na
powodzenie obrona przed
przemocnym najazdem wrogów,
przemieniała się w zwycięską
ofensywę przeciwko najeźdźcom.

"Austriacy - podaje w swej
książce Jerzy Skowronek -
absolutnie nie przewidując
takiego rozwoju wydarzeń,
pozostawili w Galicji zaledwie
około 10 tys. żołnierzy, i to
głównie niepełnowartościowych
młodych rekrutów. W tych

warunkach podjęta przez księcia Józefa ofensywa nad Sanem często zmieniała się w triumfalny pochód, a opór sił austriackich był zazwyczaj słaby. 14 maja Poniatowski wkroczył do Lublina, po kilku dniach wojska polskie wyzwoliły Sandomierz (18_#19 maja), Zamość (20 maja), a 27 maja nieliczna awangarda dotarła do Lwowa."

Wypadki galicyjskie tak przestraszyły arcyksięcia Ferdynanda, że obawiając się odcięcia drogi odwrotu, zdecydował się na opuszczenie zdobytej przed pięciu tygodniami Warszawy. W nocy z 1 na 2 czerwca wojska austriackie chyłkiem - aby nie sprawiać uciechy mieszkańcom - wyniosły się z miasta. I oto jak

niesprawiedliwa potrafi być historia; generał Zajączek, najbardziej zdecydowany przeciwnik ofensywy galicyjskiej, tej właśnie ofensywie zawdzięczać będzie najradośNiejszy triumf swego życia. On - którego w roku 1794 omalże nie powieszono w Warszawie za nieudolną obronę Pragi - po piętnastu latach wkroczy do uwolnionej stolicy jako pierwszy polski generał wyzwoliciel, jako entuzjastycznie witany tryumfator.

Tryumf swego bohatera opisuje ze smakiem autorka książki o Zajączku, Jadwiga Nadzieja:

"Rankiem (2 czerwca) ludność Warszawy wyległa na ulice, wszyscy szaleli wprost z radości, że wróg ustąpił. W samo południe wkroczyły oddziały mjr Hornowskiego z Pragi. Niebawem nadciągnął też gen. Zajączek z oddziałami pospolitego ruszenia z prawego brzegu Wisły. Ludność poznała go i wiwatowała na jego

cześć. Generalł wjeżdżał jak triumfator do wolnego miasta. Niewiele miał takich bezchmurnych i pięknych dni w swoim długim życiu, ale teraz dane mu było przeżyć wielką radość tryumfu, któremu towarzyszyły nie kończące się okrzyki na jego cześć. Przed wieczorem weszły do Warszawy dalsze oddziały z komendy Zajączka. O zmierzchu całe miasto wspaniale było oświetlone, a muzyka późno w nocy chodziła po ulicach, wygrywając pieśni patriotyczne." Od siebie dodam, że szczególnym powodzeniem cieszył się stworzony "ad hoc" czterowiersz satyryczny, wyśmiewający Austriaków:

Książę Ferdynandzie, @ cóż to ci się stało, @ żeś uciekł z Warszawy @ w samo Boże Ciało. @

"Wojsko rozłożyło się obozem w

Mokotowie - kończy swą relację biografka Zajączka. - Żołnierze, choć znużeni, byli w dobrym nastroju, a i gen. Zajączek zupełnie jakby się odmienił, tryskając wesołością i pogodą ducha. Do niedawna jeszcze niechętny czy nawet nienawistny Poniatowskiemu, teraz wypowiadał się o księciu z "największym umiarkowaniem, oddający duchowi i odwadze wojska i kraju naszego sprawiedliwość największą".

Zza słów pani Nadziei i przytoczonych przez nią słów J. U. Niemcewicza wyłania się nowy, odmieniony Zajączek, całkowicie różny od znanego dotychczas. Kto wie, może taki właśnie był w najgłębszych, najskrytszych pokładach swojej sprzecznej natury? Może jego odpychający sposób bycia, namiętna nienawiść do przeciwników osobistych i politycznych, jego

demonstracyjne nieliczenie się z opinią publiczną - może to wszystko było jedynie samoobronnym pozorem, za którym krył się człowiek w gruncie rzeczy niezły, spragniony miłości i uznania ze strony bliźnich; miękący na wosk i wyzbywający się całej złości w ciepłe powszechnego aplauzu? Czytając relację sumiennej biografistki, można by snadnie mniemać, że główne wady Józefa Zajączka herbu Świnka wynikały z jego poczucia niedowartościowania, z jego "niedopieszczona" przez nieczułych rodaków. Kto wie, może generał Arbus byłby kimś zupełnie innym, gdyby go bardziej kochano? Ale sęk w tym, że on się kochać nie dawał. Gdzie się tylko pojawił, co tylko zrobił, zawsze zrażał do siebie ludzi. Nawet z tym tryumfalnym wkroczeniem do Warszawy nie wszystko było w porządku. Miał je podobno zastrzeżone dla siebie generał Dąbrowski, jako dowódca lewego

brzegu Wisły. Ale dowodzący na prawym brzegu Zajączek, niewiele sobie robiąc z uzgodnionego uprzednio podziału kompetencji, na pierwszą wieść o wycofaniu się Austriaków, chwycił oddziały, jakie miał pod ręką i pognął z nimi do Warszawy, żeby ubiec kolegę i sprzątnąć mu sprzed nosa wieniec tryumfatora. Dąbrowski, przy całej swej wielkoduszności, nie mógł Zajączkowi darować tego podejścia i stosunki między dwoma generałami uległy na czas dłuższy zdecydowanemu zamrożeniu.

Gorszące były te ciągle "rozterki" między najwyższymi dowódcami odradzającej się Polski! W roku 1809 nie

wyglądało to wcale lepiej niż w roku 1807. Armia polska toczyła zwycięską wojnę - pierwszą zwycięską wojnę polską od czasów Sobieskiego. Dokonywał się kolejny krok na drodze ku wymarzonemu "wróceniu Królestwa". Ludność miast galicyjskich kwiatami i łzami radości witała polskich generałów przynoszących jej wolność. W wystawianych w teatrach patriotycznych apoteozach występowały obok siebie w najściślejszym powiązaniu trzy nazwiska: Poniatowski, Dąbrowski i Zajączek. Ale w życiu zgody między nimi nie było. Przy każdej sposobności darli ze sobą koty: Zajączek, oględnie mówiąc, robił świństwa Dąbrowskiemu, Dąbrowski mścił się na Zajączku, obaj warcholili przeciwko Poniatowskiemu.

Do jakich skutków te właśnie generalskie prowadziły, najlepiej świadczy przegrana przez Zajączka 17 czerwca bitwa pod Jedlińskiem.

Zazwyczaj skłonna do usprawiedliwiania swego bohatera, Jadwiga Nadzieja w tym wypadku osądza go bezlitośnie:

"Niestety, jedyna przegrana bitwa w tej kampanii była udziałem gen. Józefa Zajączka. Generał nie wykonał rozkazu Poniatowskiego i nie pomaszerował do Sandomierza. Zwiedziony pierwszą pomyślną potyczką, chciał działać na własną rękę, nie mając dokładnych wiadomości o siłach przeciwnika. Nie potrafił zorganizować sprawnej służby rozpoznawczej, a cały bój był jedynie nieudaną improwizacją pozbawioną realnych podstaw. Winę za ten brak, zarówno organizacji, jak i planu

operacyjnego, bezwzględnie ponosi gen. Zajączek. Jest co najmniej rzeczą dziwną, że doświadczony i prowadzący już niejedną bitwę generał zapomniał o elementarnych podstawach walki."

No cóż, takie rzeczy już się generałowi Arbużowi zdarzały: w strategii i taktyce nigdy nie był mocny. Najgorsze jednak, że zasadniczą przyczyną jedlińskiej przegranej było nieposłuszeństwo - karygodne nieposłuszeństwo rozkazom naczelnego wodza. Gwoli sprawiedliwości wypada dodać, że nieposłuszeństwo nie tylko Zajączka. Niektórzy historycy wojskowości uważają, że do porażki pod Jedlińskiem w ogóle by nie doszło, gdyby skuteczniej wspomagał Zajączka Dąbrowski. Ale Generałeczek również bywał nieposłuszny. Najbardziej wiarygodny biograf Dąbrowskiego, prof. Jan Pachonński, w związku z bitwą pod Jedlińskiem bez ogródek wytryka mu niesubordynację: "otrzymał wprawdzie rozkaz ks. Józefa (z 9 Vi), by maszerował na Sandomierz, ale uchylił się od wykonania go, nie chcąc powiązań z Zajączkiem".

Bitwa pod Jedlińskiem rozegrała się zaledwie w dwa tygodnie po warszawskim tryumfie Zajączka. Kto wie, czy

ten wydarty Dąbrowskiemu tryumf nie zaważył w jakimś stopniu na wydarzeniach jedlińskich?

W swarach generalskich nie uczestniczył czynnie jedynie Poniatowski. Jesienią 1807 roku, po objęciu naczelnego dowództwa nad armią Księstwa Warszawskiego, książę Józef wyraźnie nakreślił swój przyszły stosunek do głównych przeciwników w wojsku: generała Zajączka i generała

Dąbrowskiego. "Ode mnie żaden z nich nie dozna umyślnej przykrości" - powiedział wtedy adiutantowi Józefowi Szumlańskiemu. I przyrzeczenia tego starał się później wiernie dotrzymywać. Ale w roku 1809 Dąbrowskiemu i Zajączkowi (zwłaszcza Zajączkowi) nie mogło już wystarczyć zapewnienie, że ze strony wodza naczelnego nie grożą im żadne umyślne przykrości. Znacznie dotkliwsze były dla nich przykrości, jakie Poniatowski sprawiał im nieumyślnie: swoimi zwycięstwami, powszechną adoracją ze strony wyzwolanych mieszkańców Galicji, kultem narastającym wokół swej osoby.

Zajączek to znosił bardzo ciężko. Od bitwy pod Jedlińskiem znajdował się stale u boku naczelnego wodza. Uczestniczył więc siłą rzeczy we wszystkich jego tryumfalnych wjazdach do wyzwolanych miast i w nieustających, burzliwych manifestacjach na jego cześć. Żółkł z zawiści, kiedy patriotycznie balujące damy z najwyższego towarzystwa rozpływały się nad urodą "Alcybiadesa spod Blachy" i nad jego nieporównaną postawą na koniu. Krew musiała zalewać dawnego prezesa trybunału rewolucyjnego, gdy w jego obecności jakiś niezrównoważony entuzjasta wykrzyknął do bratanka "haniebnej pamięci" Stanisława Augusta: "życzymy,

abyś został Królem"! Oliwy do ognia dolewali jeszcze młodzi arystokratyczni oficerowie ze sztabu księcia, przekazujący rozkazy swego zwierzchnika w nieznośnej dla demokratycznego ucha formie: "Jego książęca mość raczył rozkazać". To było więcej, niż mogła ścierpieć

jakobińska i niedopieczona
dusza generała Arbuza.

Tymczasem Poniatowskiemu
bardzo zależało na zjednaniu
sobie Zajączka. Naczeolny wódz
nie mógł się uporać z ogromem
obowiązków
organizacyjno administracyjnych
na wyzwanych terenach, a
wiedział, jak doskonale sobie
radzi z tymi sprawami jego
zaprzysięgły przeciwnik. Starał
się więc za wszelką cenę
pozyskać go do współpracy. 1
lipca powołał generała Zajączka
na stanowisko komendanta "wojsk
całej Galicji zajętej przez
Polaków oraz obydwóch brzegów
Wisły od ujścia Sanu do
Karczewa". Ale generałowi
Arbuzowi mało było tego. Pomyślny
swoich sukcesów gubernatorskich
w Egipcie, uzależnił przyjęcie
proponowanego stanowiska od
przyznania mu tytułu i uprawnień
generalnego gubernatora Galicji
- co przy najlepszej nawet woli
księcia Józefa nie dałoby się
pogodzić z prawami Księstwa
Warszawskiego. W rezultacie
Zajączek demonstracyjnie
stanowiska nie przyjął i książę,
chcąc nie chcąc, musiał je
powierzyć jednemu ze swoich
przyjaciół i protegowanych,
generałowi brygady Kajetanowi
Hebdowskiemu. Było to ze szkoda
dla sprawy publicznej, gdyż
Hebdowski znacznie mniej od
Zajączka się na to stanowisko
nadawał.

Ostatecznie popsuły się
stosunki między Zajączkiem a
Poniatowskim w połowie lipca, po
pojawieniu się w Galicji Hugona
Kołłataja.

Ksiądz eks podkanclerzy
przybył do Krakowa w szczytowym
punkcie wojny austriackiej. Z
zachodu napływały już pierwsze
wiadomości o walnym zwycięstwie

Napoleona nad Austriakami,
odniesionym (przy udziale
polskich szwoleżerów) pod
Wagram. Świeżo wyzwolony Kraków,
upojony odzyskaną wolnością,
tysiącami głosów słaWił swego
wyzwoliciciela, księcia Józefa
Poniatowskiego. Kołłataja
również wypełniały
najszczytniejsze uczucia
patriotyczne. Poza wszystkimi
tryumfował jako przewidujący
pisarz polityczny. W szybszym,
niż przypuszczał, tempie
sprawdzało się to, co
przepowiadał w swoich
"Uwagach..." opublikowanych
przed rokiem pod godłem "Nil
desperandum". Ułomne,
miniaturowe Księstwo Warszawskie
dzięki zwycięstwom galicyjskim
zdażało do kształtu
przedrozbiorowej
Rzeczypospolitej. Pomimo
steranego zdrowia, chciał w tym
cudzie czynnie uczestniczyć.
Udał się tedy do księcia Józefa
do Krakowa, aby ofiarować mu swe
służby. Ale w pałacu Pod
Krzysztoforami, gdzie mieściła
się główna kwatera książęca,
spotkała go brutalna zniewaga;
książę wódz naczelny nie przyjął
go, wymawiając się przez
adiutanta (dość zresztą
niedbale) brakiem czasu. Był to
ze strony POniatowskiego afront
rozmyślny. Szlachetny z natury
książę Józef z pewnością nie
należał do ludzi mściwych, ale w
wypadku Kołłataja nie potrafił
sobie odmówić satysfakcji
odpłacenia mu się za podobną
zniewagę sprzed lat piętnastu.
Kiedy po wybuchu insurekcji
kościuszkowskiej, sfrustrowany
bratanek okrytego niesławą króla
zgłosił się był do Kołłataja,
jako najlepiej sobie znanego
prominenta insurekcyjnego, aby

prosić go o przyjęcie do

szeregów powstańczych, "polski Robespierre" również odprawił go z kwitkiem pod pozorem braku czasu. Po piętnastu latach zdarzyła się księciu okazja, aby o tym Kołłątajowi przypomnieć. Nie było to szczęśliwe posunięcie ani dla samego księcia, ani dla sprawy publicznej.

Odepchnięty przez Poniatowskiego Kołłątaj przeszedł do opozycji przeciwko księciu i wkrótce stał się tej opozycji głównym ideologiem. Może się wydawać dziwne, że naczelny wódz zwycięskiej kampanii, coraz powszechniej uważany za bohatera narodowego, czczony, podziwiany i na rękach noszony w wyzwanych przez siebie miastach galicyjskich - miał w ogóle przeciw sobie jakąś opozycję. A jednak opozycja taka istniała, i, pomimo coraz pomyślniejszego rozwoju wydarzeń wojennych, bynajmniej nie słabła. Przyczyny jej były różnorakie.

Wielu oficerom armii Księstwa Warszawskiego, wychowanym w demokratycznej szkole Legionów i republikańskiej armii francuskiej, trudno się było pogodzić ze stylem życia, panującym w głównej kwaterze naczelnego wodza. Poza nielicznymi wyjątkami, książę Józef nie najlepiej sobie dobierał najbliższych współpracowników. Swój sztab formował przeważnie z dawnych towarzyszy zabaw warszawskich, z owej osławionej "bilardowej junakierii". Młodzi, niedoświadczeni oficerkowie, wywodzący się ze sfer arystokratyczno_ziemiańskich, przenosili w warunki polowe hulaszczo_towarzyską atmosferę pałacu Pod Blachą. Plagą Głównej Kwatery było powszechne kartograjstwo. Na każdym postoju siedziba naczelnego dowództwa

wyzwoleńczych wojsk
przekształcała się w kasyno gry,
gdzie rządził wszechwładnie
faraon, podgrzewany horrendalnie
wysokimi stawkami bilardowych
junaków. Wprawdzie naczelny wódz
korzyści materialnych z tego nie
wynosił, gdyż rzadkie swe
wygrane z reguły zwracał
podwładnym partnerom, ale do
napędzania złej krwi wystarczał
sam fakt, że owe hazardowe
imprezy, potępiane przez
większość liniowej oficerii,
odbywały się pod jego
patronatem.

Co gorsza książę wódz naczelny
dobierał sobie nieodpowiednich
ludzi nie tylko na adiutantów
czy oficerów łącznikowych.
Obsadzał nimi również ważne
stanowiska w administracji
wyzwalanego kraju. Szczególnie
zaszkodziły mu w opinii
Galicjan krótkotrwałe rządy
Rajmunda Rembielińskiego, jako
intendenta generalnego armii dla
terenów Galicji. Ów Rembieliński
"człowiek zdolny, lecz
niewytrawny gorączka", którego
"duma i samowola przechodziły
wszelką miarę" wzorując się na
praktykach intendentów
napoleońskich - stosowanych
przez nich w podbijanych krajach
nieprzyjacielskich, zdawał się
całkiem zapominać, że w Galicji
ma do czynienia nie z wrogami,
lecz z przyszłymi
współobywatelami i z władzy
sobie danej uczynił wkrótce
"całkowicie autonomiczną, a
nieznośną dla ludności
galicyjskiej dyktaturę
rekwizyjnoprawodawczą". Rzec
prosta, że odpowiedzialnością za
drakońskie rekwizycje intendenta
generalnego obciążano naczelnego
wodza, który go na to stanowisko
powołał.

Były jeszcze inne sprawy
przyczyniające się do
powstawania nastrojów
opozycyjnych wobec księcia

Józefa. Chociażby sprawa

pospolitego ruszenia. Szlachta galicyjska, podniecona zwycięstwami warszawskiej armii, chcąc się jak najszybciej w te zwycięstwa włączyć, domagała się coraz usilniej zwołania w obu Galicjach (Zachodniej i Wschodniej) pospolitego ruszenia. Książę te nalegania stanowczo odpierał. "Mamy skuteczniejszą broń niż kosy i piki - tłumaczył galicyjskim żarliwcom - bo mamy Napoleona i jego potęgę za sobą, a on nie lubi tego rodzaju powstań (...) Zbrójdźmy się regularnie, skwapliwie, ale bez gwałtownych wzruszeń." Nie wiadomo, co kryło się naprawdę za upartymi odmowami księcia: czy rzeczywiście zależało mu jedynie na uszanowaniu gustów Napoleona, czy w grę wchodziła jeszcze właściwa wszystkim Poniatowskiemu (od roku 1794) niechęć do "gwałtownych wzruszeń" narodowych. Tak czy inaczej, argumenty księcia nie spotykały się w Galicji z życzliwym przyjęciem.

Najwięcej zastrzeżeń wzbudzało niezdecydowanie naczelnego wodza w ustalaniu statusu politycznego wyzwolanych ziem galicyjskich. Książę szarpał się między sprzecznymi naciskami wywieranymi na niego z różnych stron. Dla mieszkańców Galicji, a także dla żołnierzy armii warszawskiej kampania galicyjska była bezspornie wojną narodowowyzwoleńczą. Dbano pilnie o podkreślanie tego przy każdej sposobności. Zachłystywano się hasłami niepodległościowymi. Wyzwalane miejscowości stroiły się w narodowe barwy i znaki. Austriackich urzędników zastępowano polskimi. W kościołach odprawiano

nabożeństwa dziękczynne za przywrócenie wolnej ojczyzny, w teatrach wystawiano patriotyczne alegorie i śpiewano patriotyczne pieśni. Wszyscy czekali

niecierpliwie na oficjalne połączenie wyzwolonych ziem galicyjskich z Księstwem Warszawskim.

Tymczasem Główna Kwatera francuska domagała się stanowczo, aby do zawarcia traktatu pokojowego: Obiedwie Galicje były obejmowane w posiadanie tymczasowe w imieniu Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości (Napoleona), aby wszędzie były zawieszane orły francuskie, wszystkie władze zaprzysiężone na wierność Cesarzowi Francuzów. Sądownictwo w Jego imieniu sprawowane."

Chodziło o Rosję. Napoleon musiał mieć na względzie, że Rosja miała zobowiązania sojusznicze wyłącznie wobec Francji, nie miała ich natomiast wobec Polaków. Zbyt wyraźne wychylenie się kampanii galicyjskiej spod parasola francuskiego protektoratu groziło nieobliczalnymi konsekwencjami. Rosja - wzdragając się przed wkroczeniem do Galicji w wykonaniu zobowiązań sprzymierzeńczych wobec Francji - z największą ochotą zagarnęłaby ile tylko można ziem galicyjskich pod pretekstem chronienia ich - w myśl dawnych układów rozbiorowych - przed inwazją polską.

Aby sprostać różnorodnym naciskom, naczelny wódz Polaków uciekać się musiał do rozwiązań kompromisowych. Takim kompromisem było powołanie w początkach czerwca we Lwowie tymczasowej władzy najwyższej dla całej GALICJI, pod długą i

wywołująca wiele sprzeciwów
nazwą: Rząd Wojskowy Tymczasowy
Centralny pod protekcją
Najjaśniejszego Cesarza i Króla
Napoleona Wielkiego.

Dla uwiarygodnienia narodowego
charakteru Rządu Centralnego
książę Józef powołał na jego
prezesa przedstawiciela dwóch

najpotężniejszych rodów
magnackich w Galicji: młodego
ordynata Stanisława Zamoyskiego,
ożenionego z siostrą księcia
Adama Jerzego Czartoryskiego. W
skład sześciuosobowego rządu
galicyjskiego weszli ludzie
popularni w Galicji, znani ze
swych patriotycznych przekonań.
Przykre dla polskich uszu w
nazwie nowej władzy, jej
oficjalne podporządkowanie
protektoratowi francuskiemu wódz
naczelný uzasadniał tym, "że
użycie tego środka wstrzyma zbyt
porywczą chęć komendantów
rosyjskich rozrządzania się w
Galicji".

Pomimo usilnych starań księcia
kompromis nie zadowolił żadnej z
grup nacisku. Główna Kwatera
francuska nadal wyrzucała
Poniatowskiemu "nadmiernie
polski" charakter kampanii
galicyjskiej. Rosja protestowała
przeciwko tworzeniu pod jej
bokiem "francuskiej prowincji".
Ożywieni aspiracjami
niepodległościowymi patrioci
galicyjscy za nic nie chcieli
się pogodzić z oficjalnym
podporządkowaniem nowej władzy
obcemu protektoratowi.

Śmiało natomiast można
zaryzykować twierdzenie, że
całkowicie zadowolony z
powstania Rządu Centralnego był
generał Józef Zajączek. Pokonany
w warszawskich walkach
politycznych, nieubłagany wróg
księcia Józefa dostrzegł w
nowych władzach galicyjskich

wymarzoną odskocznnię do kontynuowania swoich personalnych rozgrywek. Zwłaszcza że jako syn dworzanina Zamoyskich miał doskonałe dojście do prezesa Rządu Centralnego. Młody ordynat znał go od dziecka i darzył wielkim szacunkiem i podziwem jako "bohaterskiego generała" (dawał temu wyraz jeszcze w swoich uczniowskich dzienniczkach). Nic więc dziwnego, że Zajączek, a

wraz z nim Kołłątaj - znaleźli się w kręgu najczynniejszych stronników Rządu Centralnego. W rezultacie ich wytężonych zabiegów, powołana przez księcia Józefa władza stała się wkrótce główną bazą poczynań opozycyjnych, kierowanych przeciwko swemu twórcy.

Koroną działalności Zajączka i Kołłątaja, jako rzeczników i doradców galicyjskiego Rządu Centralnego, był, wspólnie przez nich opracowany jesienią 1809 roku, memoriał dla Napoleona o sytuacji w Galicji w czasie i po zakończeniu działań wojennych ("Notice sur l'état actuel de la Galicie"). Stara nienawiść Zajączka, sprzęgnięta ze świeżą obrazą Kołłątaja - sprawiły, że memoriał ten stał się jednym wielkim aktem oskarżenia przeciwko księciu Józefowi. W czasie, gdy na Zachodzie toczyły się już rokowania pokojowe, mające ostatecznie zadecydować o połączeniu wyzwolonej Galicji z Księstwem Warszawskim, w momencie szczytowej popularności armii polskiej i jej naczelnego wodza, zarówno w Polsce, jak we Francji - Zajączek i Kołłątaj zespolili wszystkie swe siły i zdolności, aby w oczach Napoleona odrzeć księcia Józefa z należnych mu zasług i przedstawić go w świetle jak

najgorszym.

Z zadziwiającą jak na polskich patriotów żarliwością, usiłowali udowodnić w swym memoriale, że "nie książę był autorem koncepcji ofensywy w GALICJI, ale podjęto ją w wyniku nacisku cesarza". Chwaląc męstwo żołnierza polskiego, krytykowali "brak energii i nieumiejętność w prowadzeniu kampanii przez księcia Józefa". Pomijając zasługi księcia w opanowaniu chaosu w armii po Raszynie, zarzucali mu "dezorganizowanie wojska, wolne tempo ofensywy, niedoprowadzenie pułków na czas

do pełnej liczebności, nieprzygotowanie pospolitego ruszenia". Powołując się na niefortunny przykład intendenta Rembielińskiego, oburzali się na "traktowanie Galicji jako kraju podbitego".

Po gruntownym zohydzeniu księcia Józefa, Zajaczek i Kołłątaj przeciwstawiali mu i polecali względem Napoleona swego aktualnego protektora i sprzymierzeńca: hrabiego Stanisława Zamoyskiego, "człowieka cnotliwego, dobrego Polaka", a przy tym "bogacza, cieszącego się wielkim mirem wśród rodaków".

Napastliwy ton memoriału, tak nie odpowiadający czasowi, w którym pismo powstawało, zdaje się świadczyć o tym, że jego autorzy uważali, iż jest to ostatnia okazja do "wykończenia" księcia Józefa w opinii Napoleona. Ale rachuby ich okazały się grubo spóźnione. Przekonał się o tym Zajaczek, kiedy osobiście zawiózł memoriał do Paryża. Napaść na PONIATOWSKIEGO przyjęto tam jak najgorzej, zwłaszcza że jej współsprawcą był Kołłątaj, przed którym rząd warszawski już od

dawna ostrzegali paryskich protektorów, jako przed krwawym jakobinem. Po powrocie do kraju Zajacek listownie powiadomił przyjaciela o doznanym niepowodzeniu:

"Nie pisywałem do Jwpana z Paryża, bo tam listy otwierają, bo uprzedzono Cesarza, że Jwpan Dobrodziej chcesz rząd przewrócić (...) To wszystko, com tylko mógł powiedzieć na zniszczenie tak złośliwego fałszu, nie skutkowało w uprzedzonych umysłach. Poniatowski są pijani, wyperswadowani są, że mieć go - jest mieć całą Polskę. Uprzedzenie ich do tego punktu jest posunięte, że ostatniego króla polskiego mają za

distingowanego monarchę, a nieszczęście zdarzone za jego panowania przypisują narodowi (...) W takim rzeczy położeniu jakże było pisać; list otwarty przez nich byłby stwierdził podejrzenia, że moja droga do Paryża nie miała w celu jak intrygować naprzeciw rządzących..."

Tyle słyhać w tym liście prawdziwej rozpacz, takie bije z niego poczucie dogłębnej przegranej, iż można by sądzić, że po tej ostatniej, nieudanej próbie zdyskwalifikowania Poniatowskiego generał Arbutus uzna się wreszcie za ostatecznie pokonanego i zaprzestanie dalszej beznadziejnej walki ze swym obsesyjnym wrogiem. Jednak tak się nie stało. Nienawiść Zajaczka do Poniatowskiego wymykała się spod kontroli rozsądku. Była chyba najsilniejszą namiętnością gwałtownej, nieopanowanej natury "Egipcjanina" - silniejsza nawet od jego miłości do Napoleona. Tak przynajmniej

wynika z przekazu
pamiętnikarskiego saskiego
ministra spraw zagranicznych
Fryderyka Senftta von Pilsacha.
Zaufany minister księcia
warszawskiego Fryderyka Augusta
utrzymuje, że w roku 1810
działał w Warszawie szeroko
rozgałęziony spisek
antynapoleoński, grupujący ludzi
rozczarowanych polityką
Napoleona wobec Polski. Spisek
ów, którego Senftt mieni się
cichym protektorem, miał
zmierzać do "pełnego wybicia się
Polski na niepodległość" przez
wywołanie powstań narodowych we
wszystkich trzech zaborach, a
następnie "wrócenie Królestwa" w
granicach przedrozbiorowych.
Wśród generałów polskich,
sprzyjających spiskowi, Senftt,
obok generała Dąbrowskiego,
wymienia także generała
Zajączka.

Generał Arbus w spisku
antynapoleońskim! To już chyba
największe zaskoczenie, jakie
mógł Zajączek zgotować swoim
biografom. Pani Jadwiga Nadzieja
nie chce się początkowo w żaden
sposób z taką ewentualnością
pogodzić. Ale po drobiazgowym i
wszechstronnym opukaniu tematu
dochodzi do wniosku, że dałoby
się przecież odnaleźć przyczynę
zdolną zbuntować przeciwko
Napoleonowi jego ślepo oddanego
pretorianina. Taką przyczyną
mogła być nienawiść Zajączka do
Poniatowskiego. Kończąc swój
sumienny wywód, biografka pisze:
"Mógł więc Zajączek należeć do
spisku, licząc w razie jego
powodzenia na pzbawienie
Poniatowskiego naczelnego
dowództwa w armii Księstwa i
zyskanie tego stanowiska dla
siebie".

Hołubiony przez Senftta
spisek antynapoleoński nie

wykroczył - jak się zdaje -
poza sferę zamysłów, gdyż źródła
historyczne nie odnotowały
żadnych jego konkretnych
początków. Zdaniem niektórych
historyków, Senfft celowo
wyolbrzymił w pamiętnikach
rozmiar i znaczenie całej
sprawy, aby za jej pomocą
oczyścić się przed Europą
Świętego Przymierza z grzechu
swoich zbyt dobrych stosunków z
napoleońską Francją. Niezależnie
jednak od tego, czy Zajączek
był w spisku antynapoleońskim,
czy nie był, pewne jest, że
nadal nie ustawał w dążeniu do
zwalenia znad siebie
nienawistnego zwierzchnictwa
Poniatowskiego. Następna o tym
wiadomość pochodzi z roku 1811.
Na pozór był to rok zupełnej
zgody między dwoma wodzami.
Książę, wyjeżdżając na dłuższy
czas w misji oficjalnej do
Francji, wyznaczył Zajączka
swoim zastępcą w naczelnym
dowództwie wojsk Księstwa
Warszawskiego, Zajączek -

pozornie zjednany tym zaufaniem
- przesyłał nieobecnemu
zwierzchnikowi regularne i
wyczerpujące raporty ze
wszystkich swoich czynności. Ale
było to przymierze
powierzchowne. Zerwał je jak
zwykle Zajączek. Jaka nowa
intrygę zmalował wtedy przeciwko
księciu Józefowi, dokładnie nie
wiadomo. MOgło chodzić o
podsuwany w tym czasie władzom
francuskim pomysł odebrania
księciu naczelnego dowództwa
armii polskiej i powierzenia go
któremuś z generałów
francuskich. W każdym razie
musiało to być coś poważnego,
gdyż książę zdenerwował się do
tego stopnia, że postanowił za
wszelką cenę pozbyć się z wojska
niesforne go subalterna. Ale

zaprzyjaźniony z najwyższą
generalicją francuską
"Egipcjanin" miał pozycję tak
mocną, że narzucenie mu dymisji
nie mogłoby się obyć bez
wielkiego skandalu. Dlatego
książę wybrał drogę bardziej
dyskretną, choć dość wstydlivą
dla ministra i wodza
naczelnego niby to samorządnego
państwa. Zwrócił się do
rezydenta francuskiego w
Warszawie Edwarda Bignona z
prośbą, aby ten, przy użyciu
swych wpływów - doprowadził do
mianowania Zajączka senatorem
Księstwa Warszawskiego i "w ten
sposób uczynił z niego
czcigodnego cywila". Nic z tego
jednak nie wyszło. Po
wysłuchaniu propozycji Bignona
Zajączek wpadł we wściekłość i
oświadczył kategorycznie, że w
żadnym razie nie zgodzi się na
wyjście z wojska "z pozorami
łaski" (czyli na "kopa w górę" -
jak powiedziano by dzisiaj).
Wobec tego Bignon z pośrednictwa
się wycofał i książę Józef nadal
musiał dźwigać swój krzyż
współpracy z Zajączkiem.

Ale nadchodził czas, kładący
kres rozgrywkom personalnym na

szczytach polskiej hierarchii
wojskowej. Zbliżała się nowa
wojna.

ViI

W lutym 1812 roku - na cztery
miesiące przed wybuchem wojny z
Rosją - umarł przewodnik duchowy
generała Zajączka, Hugo
Koźłataj. Ostatni rok życia
ksiądz eks_podkanclerzy spędził
w Warszawie, korzystając z
gościny w domu swego krewnego
Dionizego Koźłataja, w Rynku
Starego Miasta pod numerem 4
(obecnie - 21 A).

Kiedy przyjechał do stolicy,

aby towarzyszyć otwarciu sejmu Księstwa Warszawskiego, mogło się wydawać, że po wieloletnim trzymaniu go z dala od wszelkich urzędów, los wreszcie się nad nim ulitował i pozwoli mu powrócić do czynnego życia publicznego. Eks_podkanclerzy marzył wówczas o skupieniu w swych rękach kierownictwa spraw oświatowych w Księstwie, jako że w tej dziedzinie uważał się - nie bez podstaw - za szczególnie kompetentnego. Przyjęcie, jakiego doznał w Warszawie, rokowało najlepsze nadzieje. Król saski i książe warszawski Fryderyk August z zainteresowaniem wysłuchiwał jego planów zreformowania nauczania w Księstwie, królowa Maria Amelia zapraszała go na obiady, rezydent francuski Bignon - ten sam Bignon, któremu nie udało się przerobić Zajączka na senatora - zachwalał swym szefom paryskim niezwykle walory umysłowe "jedynego w tym kraju człowieka z głową". Ale arystokraci, zasiadający w rządzie warszawskim, i tym razem udaremniili powrót do władzy "polskiego Robespierre.a". Ciągle jeszcze nie mogli mu wybaczyć, że tak ich nastraszył w roku 1794, zbyt dobrze pamiętali szubienice, na których

zawiśli ich krewni i znajomi.

Po tej ostatniej porażce politycznej stan zdrowia księdza eks_podkanclerzego uległ gwałtownemu pogorszeniu. "Zaczynało mu zbywać na siłach znoszenia ciągłych ataków choroby" - pisał jego sekretarz i powiernik Marcin Szymański. Nękały go straszliwe bóle głowy i nóg, dokuczało serce, szalejące tętno trzeba było uspokajać częstym puszczeniem krwi bądź przystawianiem

pijawek. Chorobę zwalczał pracą.
W wyścigu ze śmiercią
pospiesznie porządkował i
wykańczał swe rozliczne studia
historyczne. Odepchnięty raz
jeszcze od urzędów, rad nierad,
stosował się do udzielonej mu
przed rokiem rady Jana
Śniadeckiego, że "lepiej być
Tacytem jak pierwszym ministrem
swego narodu". Im dotkliwiej
dawała mu się we znaki choroba,
tym bardziej przyspieszał tempo
pracy, z tym większą pasją
drażył ojczyste dzieje,
poczynając od ich
przedpiastowskich początków, aż
po ostatnie panowanie, w którym
już czynnie uczestniczył.
Śmierci czekał z zupełnym
spokojem, uważając ją za
"najwyższe dobrodziejstwo, które
opatrność zapewniła żyjącym".
Mawiał Szymańskiemu, że "w
grobie odpocznie tylko,
zwłaszcza że sumienie cieszy go
widokami dobrze odbytej
przeszłości". Z Bogiem był
pogodzony całkowicie. "Wiara -
napisze w testamencie - nigdy
nie była ciężarem dla mego
roзумu."

Poza pracą naukową i
literacką, poza walką z
chorobą, głównym zajęciem
Koźłataja w tych ostatnich
miesiącach życia było
wyczekiwanie na wojnę. Dzielił
to uczucie z całym narodem.

"Wszystko chciało wojny z
nieopisanym pragnieniem -

zdumiewał się nad tym poskim
fenomenem ambasador Bignon. -
Inne narody europejskie
błogosławiły zazwyczaj krótkie
chwile pokoju, pozwalające im
odetchnąć; lecz w Księstwie
każdy odpoczynek był tylko
przedłużeniem wątpliwego i
zaprzeczanego bytu, z którego
tylko przez wojnę wyjść było

podobna. Pokój wszystkim się już
naprzykrzył; w spodziewanych
skutkach bliskiej walki każda
namiętność szlachetna lub
osobista miała nadzieję znaleźć
zaspokojenie. Wszyscy obiecywali
sobie znaleźć ojczyznę;
żołnierze sławę; ambitni wzrost
potęgi państwa, honory dla
siebie; właściciele odbył na
produkta; kobiety świetny dwór i
powrót ich wpływu na
towarzystwo. Chłop nawet, biorąc
za karabin, pokazywał się
godnym wolności; wyraz ojczyzna
ciągle miał na ustach, jak w
sercu..."

Co obiecywał sobie po wojnie
Koźłataj, łatwo można wyczytać z
jego pism. Książ
eks_podkanclerzy tolerował
wprawdzie jakobińskie knowania
antynapoleońskie w latach
1810_#1811, ale był najgłębiej
przekonany, że w razie wojny z
Rosją miejsce wszystkich Polaków
powinno być przy Napoleonie.
Marzył, że z tych ostatnich -
jak wierzył - zapasów zbrojnych
wyłoni się Polska w granicach
przedrozbiorowych
piastowsko_jagiellońskich,
całkowicie suwerenna, lecz mocno
osadzona w sfederowanej
napoleońskiej Europie, Polska
wyzwolona z magnackiego jarzma,
kraj pełnoprawnych mieszczan i
uwłaszczonych chłopów.

Najwierniejszym towarzyszem
Koźłataja w czekaniu na wojnę
był generał Zajaczek. Na dobro
generała Arbuza zapisać należy,
że będąc u szczytu powodzeń
życiowych, nie odrzekł się od
dawnego opiekuna ideowego,

dożywającego swych dni w
cierpieniu, osamotnieniu i
kompletnym bankructwie
politycznym. Za swych pobytów w
Warszawie wiele czasu i troski
poświęcał przyjacielowi, czuwał

przy nim w atakach choroby, dbał o zapewnienie mu pomocy lekarskiej i zaspokojenie jego potrzeb bytowych. Kiedy zaś obowiązki służbowe trzymały go z dala od stolicy, regularnie z nim korespondował, informując go szczegółowo o wszelkich odznakach zbliżania się tak upragnionej przez nich wojny.

Być może, iż wizja powojennej Polski w marzeniach Zajączka różniła się nieco od wizji kołłątajowskiej. Zajadłemu wielmoży z Opatówka z pewnością bardziej, niż na uwłaszczeniu chłopów, zależało na tym, aby w powojennej Polsce nie mógł już być naczelnym wodzem księżę Józef POniatowski. Ale w sprawie najbardziej zasadniczej byli z Kołłątajem jednomyślni. Obaj święcie wierzyli, że Napoleon wojnę z Rosją wygra. Przekonanie to zresztą dzielali z nimi wówczas tacy główacze polityczni, jak Adam Jerzy Czartoryski, jak późniejszy mózg Świętego Przymierza austriacki minister, Klemens Metternich czy sławny strateg pruski August von Gneisenau, nie mówiąc już o milionach mniej znanych mieszkańców Europy.

Książę eks_podkanclerzy był tak pewny zwycięstwa Napoleona, że gdy przejeżdżał przez Warszawę w drodze do Petersburga, zbliżony ówczas do dworu rosyjskiego, dyplomata i muzyk Michał Kleofas Ogiński - "kazał mu oświadczyć, że przekona go z pewnością, iż o rachowaniu na powodzenie Rosji mowy być nie może". Łaskawa śmierć oszczędziła Kołłątajowi największego z życiowych rozczarowań. "Zmarł w blasku wielkiej nadziei - napisze o nim

po przegranej wojnie jeden z przyjaciół - żałuję zawsze

przyjaciela, zazdroścę
rodakowi."

W testamencie Kołłątaj wyraził
życzenie, aby pochowano go jak
najskromniej, ale wyrażając to
życzenie, nie przypuszczał
zapewne, że jego pochówek
wypadnie aż tak żałośnie.
Wyniesioną z domu nr 4 w Rynku
Staromiejskim "trumnę z nie
heblowanych deseczek"
odprowadziło na cmentarz
Powązkowski zaledwie pięciu
przyjaciół, na czele z wiernym
do końca generałem Zajączkiem.
Nad grobem nie było żadnych
przemówień. Gazety ograniczyły
się do oschłych nekrologów.
Odejście jednego z
najwybitniejszych ludzi
ówczesnej Polski odbywało się w
atmosferze nieprzyjaznego chłodu
bądź zupełnej obojętności.
Pańska Warszawa karała zmarłego
za jego jakobińskie grzechy.

Ale już wkrótce po tym
żałosnym pogrzebie, nad świeżo
zasypanym grobem rozwinie się
wielka ogólnonarodowa dyskusja,
która przez sto lat z okładem
rozważać będzie na łamach pism,
brozur i książek zasługi i
błędy Kołłątaja, aby w
ostatecznej konkluzji przyznać
mu należne miejsce w ojczyściej
historii. Z czasem
ksiądz podkanclerzy stanie się
nieodzownym elementem wielkich
płócien narodowej ikonografii,
historycy, oceniający jego
dorobek piśmienniczy, uznają go
za "ojca demokracji polskiej",
nazwiskiem jego nazywać się
będzie szkoły i ulice, a dom w
Rynku Starego Miasta - w którym
zmarł zapomniany po latach
cierpień i upokorzeń -
ozdobiony będzie marmurową
tablicą pamiątkową, wysławiająca
go jako twórcę Konstytucji 3
maja, przywódcę powstania
kościuszkowskiego, reformatora
narodowej oświaty.

Generał Zajączek, krocząc za ubożuchną trumną przyjaciela i nauczyciela, nie mógł przewidzieć rozmiarów jego pośmiertnego zwycięstwa. Ale z pewnością zdawał sobie sprawę z rozmiarów straty, jaką sam poniósł wskutek śmierci Kołłataja. Zmarły odgrywał w jego życiu rolę zasadniczą i niepowtarzalną. Jakobińskie nauki "ojca demokracji polskiej" posiane w ciemnej duszy podolskiego warchoła sprawiały, że najbardziej samolubne odruchy mściwej, namiętnej natury Zajączka zyskiwały uzasadnienie ideologiczne. Wszystko, co robił z urażonej ambicji czy ze stale w nim obecnego kompleksu krzywdy, urastało do rangi walki politycznej. Warcholąc przeciwko Poniatowskiemu, przeciwstawiał się w swoim mniemaniu wpływom magnaterii w Polsce. Wysługując się pod obcymi znakami - protestował przeciwko niewłaściwym układom politycznym w ojczyźnie. Czyż rozpoczynając swoją karierę kondotierską, nie pisał do swego nauczyciela politycznego, że "w Polsce nie ma już nic do roboty dla takich ludzi jak oni"?

Śmierć Kołłataja pozbawiła działania Zajączka ich osłony ideologicznej. Odtąd jedynym drogowskazem generała Arbuza pozostanie już tylko ślepe posłuszeństwo Napoleonowi.

A potężny protektor wkraczał właśnie w decydującą fazę swej gry o panowanie nad światem. Rozkaz dzienny do Wielkiej Armii z dnia 22 czerwca 1812 roku zapowiadał rozpoczęcie tak wyczekiwanej przez Polaków wojny.

"Żołnierze - głosiła historyczna odezwa - rozpoczęła się druga wojna polska. Pierwsza skończyła się pod Friedland i w Tylży! W Tylży Rosja zaprzysięgła wieczne przymierze Francji, a wojnę Angli. Dziś

gwałci ona swe przysięgi i nie chce wytłumaczyć swego dziwnego postępowania, póki orły francuskie nie wycofają się za REn, zostawiając przez to samo na jej łasce naszych sprzymierzeńców. Rosję ponosi fatum, jej przeznaczenia muszą się dopełnić. Czyż sądzi, że zdegenerowaliśmy się, że nie jesteśmy już żołnierzami spod Austerlitz? Stawia nas między hańbą a wojną i wybór nie może budzić wątpliwości. Maszerujmy więc naprzód: przejdźmy Niemen, ponieśmy wojnę na jej terytorium. Druga wojna polska będzie dla oręża francuskiego tak samo pomyślna jak pierwsza. Ale pokój, który zawrzemy, będzie miał w sobie gwarancję trwałości i położy kres zgubnemu wpływowi, jaki Rosja od 50_ciu lat wywiera na sprawy Europy."

Rozkaz napoleoński zapowiadał więcej, niż ważyli się oczekiwać najwięksi optymiści z Kaffenhauzów warszawskich. Decydujący, gigantyczny bój między Zachodem a Wschodem został nazwany "drugą wojną polską". Sformułowania końcowe odezwy cesarskiej pozwalały wierzyć, że błędy Tylży nie będą już powtórzone. Tylekroć wystawiana na próby Warszawa raz jeszcze dała się uwieść radosnym nadziejom.

"Wielkie wypadki, których oczekiwano, spełniły się - pisała 29 czerwca w liście do siostry czujna kronikarka stolicy, prefektowa Nakwaska. - Wojna wypowiedziana, istnienie Polski ogłoszone. Wczoraj Sejm się związał w konfederację przy okrzykach jednogłośnych całego narodu; chwila tego entuzjazmu jest niepodobna do opisanie i niepodobna do wyobrażenia sobie (...) Płakano, krzyczano,

ściskano się, gadano
niedorzeczności i dziwna rzecz,
żeśmy wszyscy nie zwaryowali."
Generał Zajączek wyruszył na

"drugą wojnę polską" jako
dowódca dywizji w dowodzonym
przez księcia Józefa
Poniatowskiego V Korpusie
Wielkiej Armii. Złożony
wyłącznie z Polaków, 40_tysięczny
V Korpus skupiał w sobie trzon
armii Księstwa Warszawskiego.
Reszta blisko 100_tysięcznych
wojsk polskich, które z
najwyższym wysiłkiem dobył z
siebie wyniszczony ciągłymi
wojnami i rekwizycjami kraj,
rozrzucana była po innych
korpusach półmilionowej,
wielonarodowej armii
napoleońskiej. To rozdrobnienie
wojsk polskich rzuciło pierwszy
cień na wybujałe nadzieje
niepodległościowe Polaków. Nikt
nie mógł zrozumieć, dlaczego
cesarz wybawca, stawiający sobie
za cel "wrócenie Królestwa" (w
co wierzyli wszyscy), dopuszcza
się takiego rozdrobnienia
narodowych sił zbrojnych. Ale w
miarę rozwoju wydarzeń wojennych
- podobnie jak w roku 1807 -
stawało się coraz bardziej
jasne, że nazwanie kolejnej
kampanii napoleońskiej "wojną
polską" było w głównej mierze
obliczone na efekt propagandowy
i wcale nie oznaczało, że
nadrzędnym celem tej kampanii
jest wywalczenie państwa
polskiego w jego
przedrozbiorowych granicach.

Do otwartego konfliktu na tym
tle doszło po zdobyciu
Smoleńska. W bitwie o Smoleńsk
szczególnie dzielnie sprawiał
się korpus polski. Jednym z
bohaterów bitwy był generał
Zajączek. Odniósł dwie rany i
wymieniono go pochwalnie w
biuletynie Wielkiej Armii. Ale

zaraz po bitwie nadszedł dla Polaków czas na gorzkie refleksje.

"Zdobyl więc Napoleon, a raczej opuścili Rosyanie Smoleńsk - pisał uczestnik i kronikarz "drugiej wojny polskiej" Józef Załuski -

zdawało się nam, iż jeżeli w Witebsku mogło być jeszcze za wcześnie pozostać, teraz w Smoleńsku były do tego i historyczne, i militarne powody. Z niespokojnym więc umysłem oczekiwaliśmy dalszego postanowienia Napoleona, zapatrując się nie bez obawy na to ciągle ustępowanie armii moskiewskiej."

Piszac o historycznych powodach, dla których "druga wojna polska" powinna była jego zdaniem zakończyć się w Smoleńsku, miał Załuski na myśli oczywiście to, że Smoleńsk był ostatnim, najdalej wysuniętym na wschód miastem przedrozbiorowej Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Ale poza względami historycznymi, ważnymi przede wszystkim dla Polaków, istniały także ogólne względy militarne, dla których działania wojenne, a przynajmniej ich pierwszy etap - powinny się były zakończyć w Smoleńsku. Wojska rosyjskie, znacznie słabsze od napoleońskich, stosowały taktykę defensywną; cofały się przed nieprzyjacielem, nie dopuszczając do rozstrzygających starć zbrojnych. Wielka Armia była coraz głębiej wciągana w bezkresne przestrzenie cesarstwa rosyjskiego. Posuwając się niemal bez oporu naprzód, coraz bardziej oddalała się od swych baz zaopatrzeniowych. Niedostatecznie zorganizowany transport nie mógł nadażyć za szybkim tempem ofensywy. Na

tyłach Wielkiej Armii: na
Polesiu i północnym Wołyniu
wszczęły akcję dywersyjną
korpusy rosyjskie siejąc popłoch
w Księstwie Warszawskim.

I oto nazajutrz po hucznie
odtrąbionym zwycięstwie
smoleńskim dochodzi do ostrego
zatargu między cesarzem wybawcą
a dowódcą, dopiero co
pochwalonego w biuletynie
Wielkiej Armii, korpusu

polskiego. W obecności marszałka
Davouta (a może i Zajączka)
książę Józef Poniatowski
przedkłada Napoleonowi swoją
koncepcję strategiczną; korpus
polski odgrywa, jego zdaniem,
stosunkowo nieznaczną rolę w
ramach Wielkiej Armii,
natomiast mógłby się okazać
nieskończenie bardziej
pożyteczny, gdyby go zwrócono na
Kijów, aby wywołać powstanie na
Ukrainie i innych ziemiach
dawnej Rzeczypospolitej.

Plan polskiego wodza
przemawia do Davouta i innych
marszałków francuskich,
obserwujących z niepokojem
dotychczasowy przebieg
"zwycięskiej" wojny. Ale cesarz
Zachodu jest już w tym stanie
zadufania, jaki prędzej czy
później staje się niezawodnie
udziałem wszystkich władców
absolutnych, że przestają do
niego docierać zbawienne rady i
ostrzeżenia podwładnych. Ma
własny plan, z którym tę wojnę
rozpoczął, i nie zamierza od
niego odstąpić. Nie zważając na
oddalanie się od baz
zaopatrzeniowych i trudności
transportowe, uparcie ściga
armię nieprzyjacielską, aby
zmusić ją do stoczenia
rozstrzygającej bitwy, po
wygraniu której będzie mógł
podyktować warunki pokoju
reszcie nie podbitej jeszcze

Europy. Nie zgodzi się na nic,
co mogłoby, choć o dzień,
ureczywistnienie tego planu
opóźnić. Dlatego jak najbardziej
stanowczo odrzuca propozycję
polskiego wodza. Następuje
dramatyczna scena, zachowana dla
potomności przez pamiętnikarzy:

"Kiedy cesarz plan ten
odrzucił, księżę ukląkł przed
nim i błagał o zatrzymanie
ofensywy francuskiej w Smoleńsku
i odesłanie korpusu polskiego na
Ukrainę. Cesarza podobno tak to
rozgniewało, że miał zagrozić
księciu rozstrzelaniem, gdyby na

własną rękę próbował swój plan
realizować."

Wbrew nadziejom Polaków,
Napoleon powtarza błąd z roku
1807. Nadal nie docenia roli,
jaką mogłoby odegrać w układach
militarno_politycznych Europy
silne państwo polskie. Skutki
tego błędu będą katastrofalne;
zarówno dla Polaków, jak i dla
"Bohatera dwóch wieków".

Tak więc "druga wojna polska"
kończy się w Smoleńsku.
Rozpoczyna się teraz - już bez
żadnych osłonek - bój na śmierć
i życie z cesarstwem rosyjskim.
A w tej wojnie wszystko
sprzymierza się przeciwko
cesarzowi Zachodu; trudne do
przemierzenia przestrzenie,
niemożność zmuszenia
nieprzyjaciela do walnej
rozprawy zbrojnej, zaciekły opór
napadniętego ludu, ostry klimat
kontynentalny, wreszcie głód.

Napoleon przez dziesięć lat
zadziwiał Europę ogromem swych
zwycięstw, teraz zadziwi ją
ogromem swej klęski. W ciągu
jednej, na pozór zwycięskiej
kampanii zaprzepaści wszystkie
dotychczasowe zdobycze, przegra
swe Wielkie Cesarstwo.

Z niezmiernie obfitej
dokumentacji wyprawy na Moskwę

niewiele się można dowiedzieć o generale Zajączku. Losy jego były losami V korpusu. Po bitwie smoleńskiej nie odznaczył się już chyba żadnym indywidualnym wyczynem. Pamiętnikarze zauważają go dopiero w czasie wielkiego odwrotu spod spalonej Moskwy. Ten potworny pochód "przebierańców" i "oderwańców", w jakich zmieniła się niezwyciężona Wielka Armia, stanie się tłem dla ostatniej przygody napoleońskiej generała Arbuza.

Dnia 1 listopada, w drodze do Wiaźmy, koń dowódcy V korpusu księcia Józefa Poniatowskiego potyka się nieszczęśliwie i padając, przygniata sobą

jeźdźca. Ciężko kontuzjowany księżę nie może już sprawować naczelnego dowództwa, więc przekazuje je najstarszemu dowódcy dywizji, którym jest generał Zajączek. W taki to szyderczy sposób historia zamyka dwudziestoletni spór między dwoma generałami.

Niedawno jeszcze 40_tysięczny korpus polski w chwili obejmowania go przez Zajączka liczy już tylko 2 tysiące żołnierzy. Zmarzniętych, głodnych, chorych, okaleczonych. I Zajączek nie jest już taki zdrowy jak w poprzednich kampaniach: dokucza mu podagra, jatrzą się nie zabliźnione rany spod Smoleńska, dają o sobie znać rany dawniejsze. Mimo to wszyscy kronikarze i historycy, interesujący się Zajączkiem, te ostatnie tygodnie kampanii rosyjskiej zgodnie zaliczają do najchlubniejszych kart jego biografii. "W tych ciężkich dniach - pisze Jadwiga Nadzieja - Zajączek wykazywał niezwykłą wprost energię i wytrwałość. Był nie tylko dowódcą i

rozkazodawcą, ale także
przyjacielem swych
podkomendnych. Jako dowódca
podejmował niezbędne decyzje i
był stale na pierwszej linii
walki razem ze swymi
żołnierzami. Starał się
pokrzepić ich na duchu,
wykrzesać z nich resztki
energii, męstwa i wytrwałości."

Ze wspomnień pamiętnikarskich
często wyłania się Zajączek
idący pieszo na czele szczątków
V korpusu. Na głowie ma sobolową
czapę, szyję i pół twarzy otula
mu ciepły szal, na nogach
futrzone buty. Krok ma
energiczny, młodzieńczy,
chciałoby się rzec: taneczny.
Jako generałowi dywizji
przysługuje mu osobisty pojazd.
Ale nie korzysta z niego. Powóz
wlecze się w tyle za maszerującą
kolumną. Powozi nim półżywy z

mrozu i nadmiaru wrażeń, syn
skwarne Południa: mameluk
Ibrahim.

Ostatnia napoleońska przygoda
Zajączka znajduje patetyczny
finał w bitwie nad białoruską
rzeką Berezyną. Znamy każdy
szczegół tego finału, gdyż
generał - na szczęście dla
siebie - miał wśród swych
adiutantów utalentowanego
pamiętnikarza: majora Józefa
hrabiego Krasińskiego - owego
sympatycznego "Oboźnicę",
któremu tyle ciepłych słów
poświęciłem w moich książkach o
szwoleżerach gwardii. Niech
więc przemówi naoczny świadek
zdarzeń.

"Gdym przybył do Zajączka,
było to już po czwartej po
południu (28 listopada - M.B.),
a już od świtu trwała walka
(tyralierska i armatnia) między
dywizjami Qudinota a czołem
armii Cziczagowa, zawsze prawie
na tymże samym miejscu, to jest

na szerokim bitym gościńcu i po bokach w lesie. To Francuzi się posuwali naprzód, a Rosjanie się cofali, to przeciwnie, Rosjanie postępowali naprzód, a Francuzi się cofali. Francuzi byli już jednak bardzo znużeni tą więcej niż półdniową utarczką i właśnie gdy tylko połączyłem się z naszymi generałami, odebrał Zajacek rozkaz rzucić się z całym korpusem swoim na drogę dla poparcia Francuzów. Jakoż natychmiast stanąwszy na czele korpusu piechoty, z dobytą szpadą poprowadził go Zajacek w ogień. Szedłem obok niego i widzę, jakby to dziś było, starego osiwiiałego generała w małych futrzanych bucikach idącego do ataku w postawie metra do tańca. Przed nami spostrzegliśmy niebawem cofających się Francuzów i napierający na nich pułk rosyjski jegierski w kolumnach do ataku i z bagnetem w ręku; jedni i drudzy, gdy nas

zobaczyli, zatrzymali się. Natenczas dywizja Dąbrowskiego, wykomenderowana (przez Zajaczkę) naprzód do ataku, poszła na bagnety na pułk rosyjski; Francuzi już słabniejący, ożywieni tym przykładem, zwrócili się także na niego. Zaatakowany z dwóch stron nieprzyjaciel placu nie dotrzymał, batalion jeden jegierski broń rzucił i poddał się, drugi pierzchnął, a nasz korpus cały poszedł naprzód i zluzował bardzo już znużone i zdziesiątkowane dywizje francuskie (...) Korpus nasz został sam jeden na wielkiej drodze dla osłaniania odwrotu przed armią Cziczagowa. Położenie to było wcale niedogodne. Po rozbiciu pułku jegierskiego odsłoniły się przed

naszymi oczami baterie
rosyjskie, usypane na drodze na
wzgórzu i zaczęły prażyć nas
kartaczami i granatami.
W okamgnieniu szeregi nasze ogromnie
się przerzedziły. Zajączek dał
rozkaz rozstąpienia się w
las na prawo i na lewo, sam
został na gościńcu pilnując,
ażeby dywizje śpiesznie i w
porządku się rozeszły.
Kniaziewicz w lewo, a Dąbrowski
w prawą stronę lasu.
POstrzegłszy, że batalion jeden
pułku Blumera ociągał się iść
za dywizją swoją, pobiegł ku
niemu rozgniewany, ja za nim,
wtm o kilkanaście kroków od nas
pada granat, pęka, mnie całego
obsypuje śniegiem i ziemią, a
Zajączka o parę kroków przede
mną jeden odłam tegoż granatu
trafia w nogę i gruchocze ją.
Przyznaję, iż w tej chwili
straciłem głowę, padłem na
ziemię, lubo wcale nie ranny.
Może być się tylko pośliznąłem,
bo od rana mróz chwycił i była
wielka ślizgota. Cóżkolwiek
bądź, zerwałem się natychmiast,
a widząc rannego generała
leżącego na śniegu, we krwi

obficie lejącej się z jego rany,
pryskoczyłem do niego z kilku
żołnierzami. Porwaliśmy go z
drogi i zanieśliśmy na prawą
stronę boru; generał stracił był
zrazu przytomność; odzyskawszy
ją, rzekł do mnie: - Wszystko
już dziś skończyło się dla
mnie.

Żegnał mnie i dziękował za
przychylność, jaką mu okazywałem
przez ciąg służby mojej.
Odpowiedziałem mu, że nie jest
tak źle z nim, jak sądzi, a ja
go nigdy nie odstąpię. - Niechże
i tak będzie, kiedy tego chcesz
koniecznie - rzekł.

Zebrałem, co mogłem, ludzi
pozostałych w tyle, którzy

zrobili nosze z gałęzi i
karabinów i włożyli na nie
Zajączka. On zaś polecił mi,
ażebym zaraz pojechał do
Napoleona i prosił go w jego
imieniu, aby pozwolił swemu
chirurgowi, sławnemu Larreyowi,
ranę jego opatrzyć. Larrey znał
go od dawna, opatrywał bowiem
jego rany, gdy był z Napoleonem
w Egipcie. Wsiadłem natychmiast
na koń, gdyż ordynans prowadził
zawsze za mną konia, kiedy przy
Zajączku szedłem piechotą i
pobiegłem galopem do cesarza, a
tymczasem ludzie nieśli powoli
za mną jenerała..."

Po krótkim szukaniu major
Krasiński odnajduje Napoleona,
stojącego samotnie, bez żadnej
świty, przed barakami starej
gwardii.

"Zsiadłem z konia i śmiało do
niego przystąpiwszy,
oświadczyłem, że jestem
adiutantem Zajączka i że tenże
ciężko ranny prosi o pomoc
Larreya. Wiadomość ta snadź
mocno go poruszyła, bo pytał
mnie, gdzie jest ranny? od
jakiego strzału? itp.. Na koniec
rzekł: - "C'est bien, faites
l.apporter ici, chez moi -
l.entendez vous, chez moi ici"
(dobrze, niech go przyniosą
tutaj, do mnie, słyszy pan, do

mnie tutaj). - Wsiadłem na
powrót co prędzej na koń i
powtórzyłem Zajączkowi, co mi
cesarz powiedział, po czym
szedłem piechotą przy nim.
Rozmawiał ze mną spokojnie,
mówił mi, iż czuje, że kości
nogi ma zgruchotane, a więc bez
amputacji się nie obejdzie i
zniesie ją cierpliwie, ale jest
przekonany, że w jego wieku i
przy wycieńczonych siłach nie
przeżyje tej operacji. Kazał mi
pojechać zaraz do Dąbrowskiego i
oznajmić mu, że zdaje dowództwo

korpusu; prosił mnie także, aby w jego imieniu pożegnać kolegów i przyjaciół.

Odprowadziłem Zajączka aż do baraku Napoleona; nie zastaliśmy cesarza (później musiał powrócić, gdyż z innych źródeł wiadomo, że był obecny podczas operacji Zajączka - M.B.), lecz czekał już Larrey ze swoimi pomocnikami i instrumentami. Kazał zaraz rozłożyć generała na składanym łóżku cesarskim i zabrał się do operacji..."

Tak więc to się odbyło; na łóżku cesarskim i w obecności cesarza. Rannemu odcięto prawą nogę powyżej kolana. Świadkowie operacji odnotowali z podziwem, że operowany "nie wydał ani jęku", co przy ówczesnym stanie środków znieczulających było wyczynem nie lada. Można by rzec, że generał Zajączek odegrał przed Napoleonem swoją małą prywatną Samosierzę ("trzymać się, psiekrwie, cesarz patrzy!").

Nazajutrz po operacji ledwie żywego z upływu krwi rannego załadowano na sanie, aby zgodnie z rozkazem cesarza odtransportować go do Wilna. Towarzyszyli mu w tej podróży również ranni w ostatnich bojach: wieloletni współpracownik i przyjaciel generał brygady Franciszek Ksawery Kossecki, adiutant kapitan Ignacy Mieroszewski oraz

wierny służący i woźnica mameluk Ibrahim.

Napoleon wynagrodził dzielność Zajączka według francuskiego zwyczaju asygnując mu z podręcznej szkatuły 6 tysięcy franków. Wiadomo skądinąd, że polscy szwoleżerowie gwardii bardzo się zrymali na to nagradzanie przelanej krwi pieniędzmi. Zajączek ofiarowaną

sumę przyjął bez romantycznych fochów, ale - jak twierdzi Jadwiga Nadzieja - "w dużej części rozdał ją polskim oficerom i prostym żołnierzom".

Niedaleko od Wilna sanie, wiozące Zajączka i towarzyszy, z niewiadomych przyczyn wywróciły się i wszyscy pasażerowie zapadli w głęboki śnieg. Dopiero po wielu godzinach przybył im na ratunek, urzędujący w Wilnie dawny rezydent, a ówczesnie komisarz cesarski, Edward Bignon, który nie omieszkał odnotować tego zdarzenia w swoich pamiętnikach.

"Jeden z pierwszych, którego ujrzałem, był Zajączek. Nogę miał strzaskaną przy przeprawie przez Berezynę; Larrey amputował mu ją na polu bitwy. Dojeżdżając do Wilna, przed samem miastem wywrócił się z sanek. Dowiedziawszy się o tym, pośpieszyłem z pomocą. Przywiązanie tego generała do Napoleona było tak wielkie, że koniecznie chciał dalej jechać z narażeniem się na niechybną śmierć, a to z obawy, aby cesarz nie poczytał mu za złe, że w takim mieście pozostał, gdzie łatwo mógł się dostać w niewolę."

Jeden tylko ważny szczegół pominął Bignon w swej relacji. W czasie tej przygody z saniami zamarzył na śmierć w podwileńskim śniegu służący Zajączka, mameluk Ibrahim. Śmierć tego jeńca z wyprawy egipskiej była jak gdyby symbolicznym zamknięciem epopei napoleońskiej generała Arbuza.

Niedługo potem - zgodnie z przewidywaniami Zajączka - Wilno zajęli Rosjanie i ranny generał, wraz z paroma innymi generałami polskimi, został aresztowany, a następnie wywieziony w głąb Rosji. POdażyła za nim wierna

małżonka, piękna madame
Alexandrine, która przyjechała
do Wilna, aby pielęgnować
swojego Żo.

Zajaczek w królika
przemieniony

I

W niewoli rosyjskiej spędził
Zajaczek około półtora roku.
Aresztowanie, a następnie
wywiezienie z Wilna kibitką
więzienną ciężko chorego
generała inwalidy nie przeszło
nie zauważone. Zainteresowali
się Zajaczkami jego dawni
protektorzy, dobrze notowani na
dworze petersburskim. Już po jego
aresztowaniu przez rosyjskie
władze wojskowe, odwiedził go w
Wilnie syn hetmana z Białej
Cerkwi - ukochany chrześniak i
wnuk naturalny carycy Katarzyny
II - pułkownik gwardii
rosyjskiej, Władysław Grzegorz
Branicki. Zajął się nim również,
bardzo się jeszcze wtedy w
cesarstwie rosyjskim liczący,
książę Adam Jerzy Czartoryski,
szwagier ordynata Stanisława
Zamoyskiego - protektora
Zajaczka z roku 1809. Ale nic te
wysokie znajomości nie pomogły.
Nienawidzący Polaków, wileński
gubernator wojenny Łowiński nie
zgodził się na odroczenie
wywózki chorego generała do
czasu jego wyzdrowienia.
Skarżył się na to w liście do
cesarza Aleksandra I książę
Czartoryski. Fakt, że "z Wilna
wywieziono 70_letniego (w
rzeczywistości 60_letniego -

M.B.) chorego o kuli jenerała
Zajaczka" - Czartoryski wytykał
gubernatorowi Łowińskiemu jako

jeden z owych fatalnych błędów politycznych, które odwracają od cesarza serca polskiej ludności. "Źle jest - przestrzegał książe swego cesarskiego przyjaciela - rządzić przez ludzi nienawidzących i znienawidzonych."

Nic jednak nie wskazuje na to, że przestrogi Czartoryskiego dotarły do świadomości samowładcy rosyjskiego wcześniej, niż Zajaczek - do ukraińskiej Połtawy, którą gubernator Łowiński wyznaczył mu był na miejsce zesłania. Pierwszy etap niewoli - przez wzgląd na ustosunkowanych protektorów, zapewne niedługi - spędził beznogi generał w fortecznych kazamatach. Później wypuszczono go z więzienia pod nadzór policji i pod opiekę żony, ale z nakazem pozostawania w Połtawie.

Wolno przypuszczać, że zaradna madame Alexandrine urządziła mężowi pobyt na połtawskim zesłaniu, jak tylko można było najlepiej. Pomagał jej w tym skwapliwie inny jeniec wojenny: dawny oficer ordynansowy generała, 19_letni porucznik Wojciech Grzymała, syn dygnitarza sądowego Księstwa Warszawskiego i późniejszego senatora Królestwa Polskiego, kasztelana Wincentego Grzymały. Zawarta w Połtawie przyjaźń między 57_letnią generałową a dokładnie trzy razy od niej młodszym, przystojnym oficerkiem bardzo później zaważy na życiu rodzinnym państwa Zajaczków.

Niewola generała Arbuza skończyła się chyba nie wcześniej niż w drugiej połowie kwietnia 1814 roku, kiedy to "wybawca Europy" (od Napoleona) imperator Aleksander I po kapitulacji napoleońskiego Paryża "raczył kazać wypuścić na

wolność wszystkich Polaków w niewoli rosyjskiej, wojennej w Rosji będących".

Dnia 5 lipca 1814 roku "Gazeta Warszawska" powiadomiła swych czytelników, że "z niewoli wojennej w Rosji powrócił tu Jw Generał dywizyi Zaiączek". Poniżej urzędowego komunikatu zamieszczono obszerniejszy opis powitania Zajączka w Warszawie:

"Dnia 4 b.m. Officerowie Polacy, mający na czele Jw Jenerała dywizyi Dąbrowskiego, udali się do mieszkania Jw Jenerała Zaiączka w celu powitania tego szanownego i znamienitego Jenerała. Był to widok zaiste piękny i rozczulający, bo odwiedzający witali Jenerała okrytego szanownymi ranami, z uczuciem należnem zasłudze iego. On zaś przyimował ich iako Towarzyszów broni, którzy nieraz sławy iego uczestnikami bywali."

Powitanie odbyło się w pałacu Józefa Krasińskiego przy ulicy Mazowieckiej, gdzie powracający z Połtawy Zajączkowie korzystali przejściowo z gościny, ofiarowanej im przez dawnego adiutanta generała i jego wybawcę z bojowych opresji nad Berezyną. Zebranie było liczne i błyszczało od historycznych nazwisk. Generał Dąbrowski - świeżo przybyły z Paryża z pełnomocnictwami cesarza Aleksandra do "urządzenia na nowo wojska" - przyprowadził z sobą na Mazowiecką wszystkich obecnych w Warszawie polskich "dywizjonerów", powołanych decyzją cesarską, wraz z nim i Zajączkiem, na członków formującego się właśnie Komitetu Wojskowego. Witali więc generała Arbuza wieloletni świadkowie jego wlotów i upadków, generałowie dywizji: Karol Kniaziewicz i Józef Wielhorski, Franciszek Paszkowski i Karol Sierakowski,

Antoni Paweł Sułkowski i
Stanisław Woyczyński. Wśród
witających nie mogło też
zabraknąć "żelaznego szefa
sztabu Zajączka, generała
brygady Franciszka Ksawerego
Kosseckiego oraz słynnego "ułana
nadwiślańskiego", generała
brygady Jana Konopki, który
towarzyszył Zajączkowi w jego
drodze powrotnej z niewoli i
razem z nim dotarł do Warszawy.
Z osób cywilnych - jeżeli takie
w ogóle dopuszczono - mógł
uczestniczyć w powitaniu
najpilniejszy obserwator
wszystkich ważniejszych wydarzeń
stołecznych, serdecznie jeszcze
wówczas z Zajączkiem
zaprzyjaźniony, Julian Ursyn
Niemcewicz.

Uroczystość kombatancza na
Mazowieckiej odbywała się w
czasie niezwykle dramatycznym,
nie tylko dla okupowanego przez
Rosjan Księstwa Warszawskiego,
ale i dla całej Europy. Łatwo to
można wyczytać z tej samej
"Gazety Warszawskiej", która
podała wiadomość o powrocie
Zajączka. Pełno tam depeš z
Paryża, Wiednia i Berlina
donoszących o radosnym
świętowaniu zwycięstwa nad
"korsykańskim potworem". Salwy
tryumfalne mieszają się w tych
doniesieniach z salwami
egzekucyjnymi, od których gina
najbardziej skompromitowani
współpraca z Napoleonem. Sam
"Bohater dwóch wieków" odarty z
siły i blasku - zesłany na
wyspę Elbę w asyście
najwierniejszych żołnierzy:
polskich szwoleżerów.
Rojalistyczni emigranci z
Francji, Włoch i Niemiec
powracają do swoich zamków i
pałaców. Niedawno jeszcze
napoleońska Europa "liże stopy"
zwycięskich monarchów. Sławni
marszałkowie cesarstwa,

wywodzący swe książęce tytuły od
wygranych przez siebie
historycznych bitew, hańbią się

składając hołdy intronizowanemu
z powrotem w Paryżu,
burbońskiemu tłuściochowi.
Portrecista Isabey, który wpisał
się w historię malarstwa jako
autor portretów Napoleona i
jego cesarskiej rodziny, ubiega
się o stanowisko "malarza
gabinetowego Jego Królewskiej
Mości". Polscy kawalerowie,
oficerowie i komandorzy Legii
Honorowej, niejednokrotnie
odznaczeni tym orderem osobiście
przez Napoleona, ze zgrozą
dowiadują się z gazety, iż
"ozdoba Legii Honorowej
zmienioną została tak, iż z
jednej strony jest wizerunek
Ludwika XVIII, a z drugiej trzy
lilye". "Gazeta Warszawska"
poświęca też wiele uwagi licznym
polskim uchodźcom politycznym,
którzy zwracają się do cara z
pokornymi prośbami o pozwolenie
na powrót do swoich dóbr w
zaborze rosyjskim i uwolnienie
tych dóbr spod sekwestru.

Z zalewającego gazetę bezmiar
upokorzeń i biernego poddania
się złemu losowi wybija się
tylko jeden gest protestu -
żałosny w swym osamotnieniu i
słabości, ale przez to
wzruszający. "Gazety berlińskie
donoszą - odnotowuje warszawski
dziennikarz - iż osobliwszy i
śmieszny patryotyzm okazują w
Strassburgu, gdzie z rąk do rąk
przesyłano sobie wezwania, ażeby
tego lata nie odwiedzać wód w
Baden, do których zwykle bardzo
uczęszczano w Alsacyi."

Polscy notable wojskowi
witający w lipcu 1814 roku
powracającego z rosyjskiej
niewoli generała Zajączka byli -
podobnie jak on sam - ludźmi do
głębi porażonymi. Poraziła ich

bezprzykładna klęska Napoleona.
Wszyscy oni - niezależnie od
dzielących ich takich czy innych
różnic - byli do niedawna
entuzjastycznymi wyznawcami
wielkiego cesarza Francuzów.
Pokładali w nim nadzieje na

"wrócenie królestwa" i na swoje
we wróconym królestwie kariery.
Zamiast tego stali się świadkami
i uczestnikami, nie mającej
precedensu w historii,
katastrofy militarnej, która te
wszystkie nadzieje pogrzebała.
Był to dla nich prawdziwy koniec
świata. Nie umieli sobie po
prostu wyobrazić, jak dalej
potoczą się losy ojczyzny i ich
własne.

Ale z czarnych dymów,
unoszących się nad
pogorzeliem Wielkiego
Cesarstwa napoleońskiego,
wychylał się już ku Polakom nowy
"cesarz wskrzesiciel": zwycięski
imperator Wszechrosji Aleksander
I ("Od powietrza, głodu, ognia i
wskrzesicieli zachowaj nas
Panie" - powie później
zapoznany wielki aforysta
tamtych czasów Marcin Badeni)
Ci z gości Zajęczka, których
koniec wojny zastał we Francji,
mieli już okazję zetknąć się
bezpośrednio z Aleksandrem i nie
taili zapewne przed kolegami,
jak korzystne wrażenie wywarł
na całym polskim korpusie
oficerskim młody cesarz
rosyjski. Chwalili jego
uprzejmość, wspaniałomyślność i
szacunek, z jakim odnosił się do
pokonanych Polaków. "Wybawca
Europy" dawał niedwuznacznie do
zrozumienia, że zamierza
odbudować zarówno państwo
polskie, jak polską armię.
"Szczyć się tym wojskiem -
pisał w rozkazie dziennym do
Polaków - chcę go mieć mocnym i
wielkim, tak jak Polskę

szczęśliwą." Pierwszym konkretnym wyrazem tych dążeń wskrzesicielskich było powołanie w Warszawie KOMiteu Wojskowego, złożonego z najstarszych stopniem generałów Księstwa Warszawskiego i zlecenie mu zorganizowania na nowo armii polskiej. Aleksander nie ukrywał, że jego propolska polityka wywołuje wiele

sprzeciwów wśród jego własnych poddanych. "Polska ma trzech wrogów - mawiał w poufnych rozmowach z Polakami - Austrię, Prusy i Rosjan, jedyny przyjaciel to ja." Niemcewicz, jeśli rzeczywiście znajdował się wśród witających Zajączka, mógł poprzeć to cesarskie wyznanie przekonywającym przykładem z własnej obserwacji. Na krótko przed spotkaniem na Mazowieckiej zdarzyło mu się być w Królikarni na obiedzie u Wasyla Łanskoja, przewodniczącego okupacyjnego zarządu Księstwa Warszawskiego, właśnie w chwili gdy odebrał on list od Aleksandra o wyznaczeniu Komitetu Wojskowego. "Trudno opisać wściekłość Moskali - odnotował Niemcewicz w swoim dzienniku - wrzeszczeli "Szto eto takoje - wojsko polskie?!" (...) "Kakije duraczestwo!" - i wyrzekali na "szaleństwo" imperatora."

Aleksander był z pewnością głównym tematem rozmów w czasie zebrania na Mazowieckiej, zwłaszcza że jego przyjazd do Warszawy zapowiadano na najbliższe dni. Ale zapowiedzi nie sprawdziły się. Widocznie za wcześnie jeszcze było na konfrontację nadziei z rzeczywistością. W trzy tygodnie później - 25 lipca 1814 roku - generał Dąbrowski w liście do swego starego przyjaciela Józefa Wybickiego, eks_senatora

wojewody Księstwa Warszawskiego,
dementował pogłoski o rychłym
przyjeździe cesarza do Warszawy:

"Wszyscy, którzy tu
przyjechali widzieć Imperatora,
powracają do domów. Generał
Zajączek, zupełnie zdrow, jedzie
pomimo swej ułomnej nogi dziś do
Opatówka. Nużby tu potrzebni
byli, uwiadomię ich o tem
wszystkich."

Zajączkowi pozwolono
odpoczywać w Opatówku prawie
przez dwa miesiące. Dąbrowski,
zgodnie z obietnicą wyrażoną w

liście, przyzwał go do Warszawy
dopiero około 20 września, w
związku z przygotowaniami do
pierwszej sesji Komitetu
Wojskowego.

Te dwa miesiące w Opatówku
były niewątpliwie dla generała
Arbuza okresem wewnętrznego
porządkowania i odnajdywania się
w nowej rzeczywistości. Zaczęło
się to już pewnie na zesłaniu
ukraińskim, kiedy jego koledzy z
armii Księstwa Warszawskiego
walczyli jeszcze pod znakami
napoleońskimi w Saksonii i we
Francji. Atmosfera Połtawy -
nasycona pamięcią wielkiego
zwycięstwa Piotra I nad wojskami
króla szwedzkiego Karola XII,
zwycięstwa, które
zapoczątkowało rzeczywistą
potęgę cesarstwa rosyjskiego -
musiała w szczególny sposób
sprzyjać niewesołym rozmyśleniom
i ponurym przeczuciom
napoleońskiego rozbitka. Sądzę,
że w połtawskiej niewoli, o
wiele jeszcze silniej niż po
klęsce powstania
kościuszkowskiego, odżywała w
Zajączku, głęboko zakodowana w
jego pamięci, złowieszcza
przepowiednia hetmana
Branickiego, że "wszyscy
będziemy Moskalami".

Ale chyba dopiero w środku

lata 1814 roku - kiedy
odpoczywał na tarasie swego
pałacu w Opatówku, wystawiając
na żar słoneczny kikut uciętej
nogi i kontemplując wyryty na
pałacowym frontonie napis:
"Magni Napoleonis donum" - mógł
sobie Zajączek w pełni
uświadomić, że jego kariera
napoleońska jest ostatecznie
skończona, i że nie czuwa już
nad jego krokami wszechpotężny i
nieomylny rozkazodawca.

Jedyną pociechą w zmartwieniu
było to, że zwycięzcy nie
odebrali mu Opatówka. A mógł się
przecież tego spodziewać.
Rosyjscy okupanci z upodobaniem
stosowali sekwestr dóbr

ziemskich jako narzędzie
szantażu moralnego wobec ich
właścicieli. Ale właściciela
Opatówka nie trzeba było
szantażować, aby przeciągnąć go
na stronę nowej władzy. Zajączek
nie znosił po prostu braku nad
sobą potężnego protektora.
Przywykły do ślepego
posłuszeństwa, aż się rwał do
ugięcia karku przed nowym panem.
Jego "przełomy ideologiczne"
wysztytował morderczy wierszyk
Niemcewicza:

W młodości mej konfederat,@
republikanin, desperat,@
służyłem Branickiemu i
Kościłłatajowi@ i zaprzedałem duszę
Napoleonowi.@ Dziś gdy panuje
"ein ander",@ wrzasnę: łotr
Napoleon, wiwat Aleksander!@

W jednym tylko nie można się z
Niemcewiczem zgodzić: Zajączek
nigdy nie mówił źle o
porzuconych protektorach.
Porzucał ich, ale zachowywał we
wdzięcznej pamięci. Tak
Pułaskiego jak Branickiego, tak
Kościłłataja jak Napoleona. Jeśli
chodzi o Napoleona, to dał temu

dobitny wyraz w parę lat
później, kiedy już był
namiestnikiem i księciem
Królestwa Polskiego. Odwiedził
wtedy Warszawę sprawca
ostatecznej przegranej "Bohatera
dwóch wieków": angielski
marszałek polny i minister,
książę Artur Wellington -
zwycięski wódz, wielbiony przez
całą Europę Świętego Przymierza.
W programie wizyty angielskiego
gościa przewidziano oczywiście
spotkanie z głową odwiedzanego
państwa, w danym wypadku - z
księciem_namiestnikiem. Ale
Zajączek się zawziął i mimo że
go straszono międzynarodowym
skandalem, nie zgodził się
przyjąć zwycięzcy spod Waterloo,
wymawiając się chorobą. Zarobił
sobie tym na krótkotrwałą
popularność w kaffenhauzach

warszawskich, gdzie od razu i
bezbłędnie rozszyfrowano
prawdziwe przyczyny
dyplomatycznej choroby.

Pierwsze posiedzenie Komitetu
Wojskowego odbyło się 27
września. W ogóle wrzesień 1814
roku był dla Polaków czasem
historycznych wydarzeń. Dnia
ósmego tego miesiąca stolica
Księstwa Warszawskiego witała
uroczyście szczątki swego
wojska, powracające z Francji
pod dowództwem generała
Wincentego Krasińskiego. Przez
dwa dni następne równie
uroczyście chowano w krypcie
kościółka Świętego Krzyża,
sprowadzone z Lipska za łaskawym
zezwoleńiem cesarza Aleksandra,
zwłoki księcia Józefa
Poniatowskiego. W niespełna dwa
tygodnie później sam "cesarz
wskrzesiciel" przejeżdżał przez
ziemie polskie w drodze na
rozpoczynający się w Wiedniu
kongres pokojowy. Dostojny
podróżny Warszawę ominął, ale

zatrzymał się na dwa dni (20 i 21 września) w Puławach, w gościnie u książąt Czartoryskich, wykorzystując ten czas na pozyskiwanie sobie Polaków. "Wystawić sobie nie można - zachwycał się obecny wówczas w Puławach Kajetan Koźmian - jak ten Pan umiał sobie ujmować serca i ujął je też aż do entuzjazmu." Nieco ostrożniej formułował swe zachwyty inny świadek dni puławskich Antoni Ostrowski, były dygnitarz Księstwa Warszawskiego, przyszły senator wojewoda kongresowego Królestwa Polskiego: "Cały jeden długi jesienny wieczór spędziliśmy z Aleksandrem, wśród zgromadzonej familii Czartoryskich i wielu gości (...) Obserwowaliśmy towarzyskie przymioty Aleksandra; nic wyżej ugrzecznionego, układniejszego, mniej imponującego, zarazem do przywiązania bardziej

skłaniającego, nad niego znaleźć by nie można; lecz dlatego był on najniebezpieczniejszym i wielu Polaków acz jednych na dłużej, drugich na krócej pouładzał swą mową i postawą syreniczną (nie darmo Napoleon nazywał Aleksandra "Talną Północy" - M.B.), a nikogo dotąd nie zostawił głęboko przekonanego o swej szczerości (...) Gdzie tylko z konwersacji, prawie ciągle głośno prowadzonej, tak wypadło, zręczny ten i wymowny mistyfikador coś uprzejmego do Polaków o Polakach i o rzeczach polskich przemawiał".

Uroki cesarskiego uwodziciela szczególnie silnie oddziaływały na kobiety. Księżna Radziwiłłowa z Nieborowa nie mówiła o Aleksandrze inaczej jak "nasz Anioł". Księżna Czartoryska z

Puław popłakała się ze
szczęścia, widząc go po raz
pierwszy w polskim mundurze.
Łaskawy samowładca nie
ograniczał się do zjednywania
sobie dam z najwyższej
arystokracji. "W uroczystym
polonezie - wspomina Antoni
Ostrowski - potrafił porzucić
Czartoryską, Wirtemberską,
Radziwiłłową... dla podania swej
cesarskiej ręki jakiejś
artystce, kupcowej. W
przejazdach przez kraj polski
nie tylko ściskał i całował
rączki obywaterek po dworach,
lecz nawet poczmistrzowych,
zwłaszcza gdy te były piękne i
niezbyt brudne."

Do zachwytów kobiecych
dołączali wyrazy uwielbienia
poeci okolicznościowi. Przodował
im niezawodny chwalca
każdorazowej władzy Marcin
Molski:

Kto wie, jeżeli wspaniały@
zastępca Bogów na ziemi@ przez
cnotę i miłość chwały@ nie zrobi
nas szczęśliwymi...@

Zajączkowi nie było na razie
dane zetknąć się bezpośrednio z
"cesarzem wskrzesicielem".
Zetknął się natomiast - i
wkrótce wszedł w bliskie
stosunki - z bratem cesarskim:
wielkim księciem cesarzewiczem *
Konstantym, który jako
desygnowany przez cesarza
naczelną wódz armii polskiej,
kierował pracami Komitetu
Wojskowego. Wzajemna sympatia,
jaką w roku 1814 poczuli do
siebie "szalony" cesarzewicz
rosyjski i polski generał -
inwalida wojen napoleońskich,
stać się miała jednym z
czynników, określających treść
następnego dziesięciolecia
historii Polski.

Honorowy tytuł Cesarzowicza otrzymał wielki książę Konstanty od ojca, cara Pawła I, za swe zasługi w kampanii włoskiej roku 1799, odbytej pod rozkazami Suworowa. Nie miał tego tytułu żaden z jego braci, nie wyłączając ówczesnego następcy tronu, wielkiego księcia Aleksandra.

Wielki książę cesarzowicz był krańcowym przeciwieństwem swego ukoronowanego brata. Aleksander stale występował w aurze wylewnej uprzejmości, uwodzicielskich śmiechów, pięknych gestów i jeszcze piękniejszych słów, ale "najchytrzejszemu z Greków" (także określenie Napoleona) cała ta promienna zewnętrzność służyła przeważnie do ukrywania prawdziwych myśli i zamiarów, nad rozszyfrowaniem których do dziś biedzą się historycy polscy i rosyjscy.

U Konstantego natomiast wszystko było na wierzchu, niczego ukryć nie potrafił, choćby chciał tego jak najbardziej. Jego polski adiutant Władysław Zamoyski zastał go kiedyś przy czytaniu ośmieszającego go artykułu w paryskim "Constitutionelu".

Zamoyski ze zdumieniem spostrzegł, jak w miarę czytania, między rudymi włoskami, porastającymi dłonie cesarzowicza, pojawiały się wielkie krople potu. Tak było u niego ze wszystkim. Wszystko, co przeżywał, wylewało się z niego na zewnątrz pod naporem biologicznego musu. Jego niepohamowane wybryki przerażały bądź śmieszyły. Wybuchy jego dzikiej furii z powodu jakiegoś nie dopiętego guzika doprowadzały do samobójstw młodych, ambitnych oficerów.

Kiedy był z czegoś zadowolony,
wrażał to w sposób równie
nieopanowany. Obcałowując
dowódcę oddziału, który dobrze
się sprawił na rewii, wołał do
niego po francusku: "Padam panu
do nóg, biję przed panem czołem,
całuję pańskie ręce"! Kiedy po
rewii ściągano z niego ciasno
przylegające jelonkowe spodnie,
kazał podziwiać adiutantom swoje
posiniaczone uda i zad, na
dowód, ile znosić potrafi dobry
żołnierz. Karał bezlitośnie, ale
gdy dowiedziono mu
niesprawiedliwości, kajał się w
głębokim poczuciu winy: "Bywam
szalony, ale w gruncie jestem
dobry". I rzeczywiście był
dobry. Dobry i sprawiedliwy.
Wiedzieli o tym jego krewni,
domownicy i szeregowi żołnierze.
Ale jego dziwactwa były trudne
do zniesienia. Skierowany przez
cesarza na "posterunek polski",
uważał za swój obowiązek
interesować się wszystkim:
poczynając od sposobu noszenia
mundurów przez najstarszych
generałów (zatargi na tym tle z
Dąbrowskim), aż po zawartość
koszyków ulicznych handlarek.
Głośno formułował swe
posłannictwo, daleko
wykraczające poza sprawy czysto
wojskowe: "Ja Polaków wreszcie
nauczę porządku i posłuchu!".
Warszawa, wyczekująca miłośnie
Aleksandra, Konstantego

znienawidziła od pierwszego
zestknięcia. Oto
charakterystyczna zbitka z
dokumentacji pamiętnikarskiej
owego czasu: w górze, na
urzędowym gmachu - iluminowany
napis:

Węzeł ścisły POLAKA z
Rosjaninem wiąże, @ bo dowódcą
wojsk polskich jesteś Wielki
Książę!@

W dole pędzi ulicą, nie
zważając na przeszkody żywe i
martwe, czerwona kolasa,
ciągniona przez trzy ogniste
rysaki, sprzężone po rosyjsku "w
orła". Spod stosowanego
kapelusza z biało_złotym
pióropuszem małe, niebieskie
oczka pilnie penetrują ulicę,
szukając punktu zaczepienia, w
każdej chwili może wybuchnąć
wściekły wrzask. Ulicę ogarnia
popłoch.

"Na złowróbny turkot kibitki
w.księcia przechodnie chowali
się (...) po bramach; czynili to
zwłaszcza wojskowi, urzędnicy,
studenci i Żydzi, podczas gdy
przekupki uliczne pierzchały co
tchu."

Ale generał Arbut nie patrzył
na Konstantego oczami
warszawskiej ulicy ani młodych
oficerów, obrażanych na placu
Saskim. Pamiętał go jeszcze ze
swoich pierwszych lat w służbie
Bonapartego. Młody wielki książę
rosyjski zyskał sobie wtedy
szeroką popularność i sympatię w
wojskach Republiki Francuskiej
za swoje niezwykle humanitarne
traktowanie rannych żołnierzy
francuskich wziętych do niewoli
przez Rosjan. Potem słyszał o
nim wiele w roku 1807 - w czasie
rokowań pokojowych w Tylży.
Powszechną uwagę zwracały
ostentacyjne względy, jakie
Napoleon okazywał rosyjskiemu
cesarzowi - opiekunowi
jeńców francuskich. Mówiono
nawet, że proponował

Aleksandrowi powołanie
Konstantego na tron polski
(ciekawy byłby taki wariant
historii: KONstanty królem
polskim z poręki Napoleona).

Od pierwszej chwili współpracy
z cesarzem w Warszawie
Zajaczek odkrył w nim

znakomitego organizatora
wojskowego i wodza szczególnie
dbałego o sprawy bytowe
podwładnych. Ponieważ sam
posiadał zalety podobne,
potrafił je docenić u innych. Do
"szaleństw" KOnstantego odnosił
się znacznie bardziej
wrozumiale, niż obrażani przez
niego młodzi oficerowie czy
uciekające przed nim "co tchu"
przekupki. Taki sposób
zachowania się możliwych nie był
dla niego nowością. W młodości
miał wiele do czynienia z
kresowymi magnatami, a pijackie
ekscesy jego początkowych
protektorów: RAdziwiłła Panie
Kochanku czy hetmana
Branickiego, w niczym nie
ustępowały wybrykom wielkiego
księcia. Sam zresztą był poza
zasięgiem tych wybryków. Do
niego cesarzewicz odnosił się aż
do przesady grzecznie, tytułował
go ekscelencją, wzbraniał się
siadać w jego obecności, z
pokorną uwagą wysłuchiwał
wszelkich jego rad. Z pewnością
mile to łechtało próżność
niedopieczzonego ambitnika. Ale
jeszcze bardziej przekonywać go
musiało do Konstantego to, że
wyczuwał w nim człowieka, który
podobnie jak on sam uważał, że
stosunek między podwładnym a
zwierzchnikiem - zarówno w
wojsku, jak w społeczeństwie
cywilnym - powinien się opierać
na zasadzie ślepego
posłuszeństwa.

No i rzecz dla generała Arbuza
najważniejsza: Konstanty
reprezentował siłę - zwycięską
siłę cesarstwa rosyjskiego,
które położyło kres potędze
"Bohatera dwóch wiekó". Pomimo

niewygasłego jeszcze sentymentu
do Napoleona, Zajączka nie stać
było wobec Konstantego na
odprawę, jakiej udzieli później

księciu Wellingtonowi. Wybrał więc ewentualność krańcowo odmienną, do której popychała go jego kondotierska natura: ugiął kark przed Konstantym, ofiarując mu swoje ślepe posłuszeństwo. Cesarzewicz przyjął to ze zrozumieniem. "Trudno byłoby go zastąpić kim innym - pisał o Zajączku w opinii przesłanej swemu cesarskiemu bratu. - Człowiek ten umie być przychylnym, powoduje się zaś jedyną myślą wypełnić wolę Cesarza." "Szalony" wielki książę nie najgorzej znał się na ludziach.

II

W Komitecie Wojskowym - który na życzenie cesarza Aleksandra miał "uorganizować" nową 30-tysięczną armię polską (oddziały przybyłe z Francji liczyły zaledwie 5 tysięcy żołnierzy) - od pierwszej chwili zarysowały się zdecydowane różnice poglądów. Chodziło o sprawy najbardziej zasadnicze. Mamy tworzyć wojsko polskie - niepokoili się niektórzy z zasiadających w Komitecie generałów - a nie wiemy, komu to wojsko ma służyć, skoro nie istnieje jeszcze państwo polskie? Może chcą nas po prostu mieć jako najemną siłę zbrojną do obrony obcych interesów? Wysuwano też ważny wzgląd formalny: czy można tworzyć nową armię, gdy polscy wojskowi nie zostali uwolnieni z przysięgi na wierność, złożonej królowi saskiemu? (Biedny Fryderyk August, najlojalniejszy z niemieckich sprzymierzeńców Napoleona, pokutował wtedy za swą lojalność w berlińskim

więzieniu). Najbardziej jednak niepokoiło opozycję komitetową postępowanie wielkiego księcia_cesarzewicza, który rządził się w Komitecie jak na własnym folwarku, starając się narzucić organizowanemu wojsku polskiemu mundury i regulaminy zbliżone do rosyjskich.

Wątpliwości niezadowolonych generałów umacniały się pod wpływem nacisków oddolnych. W masach żołnierskich i wśród młodszych oficerów przeważały nastroje niedowierzania nowym "wskrzesicielom". W odezwie skierowanej do generała Dąbrowskiego jako formalnego przewodniczącego Komitetu - jego dawni podwładni z wojen napoleońskich żądali wyraźnej odpowiedzi na pytanie "po co się uzbrajać każe?" Patetyczna odezwa kończyła się słowami: "Zakrwawionych serc naszych nie zhańbimy obelgą, byśmy się uzbrajać mieli, nie wiedząc dlaczego". Do generała Zajączka, wiceprezesa Komitetu zgłosiła się delegacja wojska, aby mu oświadczyć, że "Polsce, Ojczyźnie swojej służyć będą, lecz żadnemu obcemu nigdy".

Równie niechętnie odnosiły się do tworzenia "bezpieczeństwa" wojska patriotyczne kręgi społeczności cywilnej. "Oficerów przybranych w nowe mundury na modłę rosyjską z piórami u kapeluszy wyszydzano tak na ulicy, jak w salonach". (W piętnaście lat później te "obce" pióropusze, zdarte z oficerskich kapeluszy, walać się będą po brukach powstańczej Warszawy). Kronikarka życia towarzyskiego Warszawy, pani Anna Nakwaska, skarżyła się w liście do siostry: "Wojsko nowe już wyrasta; odbywają się różne parady, ale na nich żadna dama nie bywa. Nowe mundury żołnierzy są na rosyjski krój, w większej części z żółtymi wyłogami lub wypustkami; szkaradnie oni w tym

wyglądają". Zmienił się także stosunek do tak serdecznie witanego niedawno generała Zajączka. Jego serwilizm wobec komitetowych poczynań wielkiego księcia Konstantego wzbudzał powszechne oburzenie. Znowu zaczęto mu wypominać wszystkie jego antypatriotyczne grzechy, a najbardziej szanowane domy zamknęły przed nim swe drzwi ("zaniedbywano go w zebraniach towarzyskich" - odnotował stołeczny kronikarz).

Mimo to większość członków Komitetu, z Dąbrowskim i Zajączkiem na czele, nadal uważała, że wojsko trzeba zorganizować jak najprędzej. Dąbrowskiemu chodziło o to, aby na linii Warty wystawić taką siłę zbrojną, która potrafiłaby odstraszyć Prusy od wszelkich prób rewindykowania ziem, stanowiących do niedawna ich zabór. Zajączek nie bawił się w szczegółowe uzasadnianie swego stanowiska, wystarczało mu, że na szybkie organizowanie wojska nalegali: Aleksander i Konstanty.

Różnica zdań w łonie Komitetu przerodziła się w jawny konflikt w początkach grudnia 1814 roku, kiedy z kongresu wiedeńskiego powrócił do Warszawy wielki książę Konstanty. Cesarzewicz był ogromnie podniecony narastającym napięciem między uczestniczącymi w kongresie mocarstwami i zapowiadał rychły wybuch nowej wojny. Wzmógł też od razu nacisk na Komitet Wojskowy, przekazując mu ponaglenie cesarza, "aby przyspieszyć organizację wojska ze względu na naprężoną sytuację polityczną".

Jednocześnie impulsywny cesarzewicz odwołał się do wszystkich wojskowych polskich przebywających w Księżstwie Warszawskim, kierując do nich

odezwę brzmiącą jak rozkaz
mobilizacyjny.

"Odzywa się do was
Najjaśniejszy cesarz, wasz
opiekun - pisał pod datą 11
grudnia 1814 roku - zbierajcie
się koło waszych sztandarów,
uzbrójcie dłonie wasze na obronę
ojczyzny waszej i bytu
politycznego utrzymanie (...)
Bądźcie gotowi zamiary Cesarza
względem was poprzeć krwią swoją
(...) Cesarz ceni wasz honor,
wasze męstwo. Staną między wami
ci sami dowódcy, którzy wam
przewodzili przez lat
dwadzieścia. Odznaczaliście się
świetnymi czynami w wojnach,
których powód był wam częstokroć
obcy - będziecie niezwyknięci,
kiedy usiłowania poświęcone będą
dla samej tylko ojczyzny.
Poświęćcie się bez granic dla
Cesarza, nic więcej nie
pragnącego, jak tylko dobra
waszej ojczyzny, którą zasłania
silną tarczą. Inni wam mogą
wiele przyrzekać, on tylko
dotrzyma."

Zapowiadająca wojnę
proklamacja Konstantego wywołała
takie poruszenie na kongresie
wiedeńskim, że Aleksander był
zmuszony odciąć się od niej i
zabronić dalszego jej
rozgłaszania. Równie niefortunny
w skutkach okazał się nacisk
Konstantego na Komitet Wojskowy,
gdyż doprowadził do rozłamu
wśród jego członków. Trzej
generałowie dywizji: Karol
Kniażewicz, Franciszek
Paszkowski i Stanisław
Woyczyński zrezygnowali ze
stanowisk w Komitecie,
oświadczając, iż "nie można
organizować armii bez zwolnienia
jej od przysięgi królowi
saskiemu". W rozmowach i
zapiskach prywatnych odchodzący
generałowie szerzej uzasadniali

swoje odejście. Skarżyli się, że wbrew ich woli wojsko polskie chciano organizować "odmienne" na wzór rosyjski, aby osiągnąć przez to "odosobnienie wojska od narodu".

Ustąpienie z Komitetu Wojskowego trzech znanych i szanowanych generałów zwróciło uwagę całego kraju i odczytane zostało jako wyraz patriotycznego protestu przeciwko samowoli wielkiego księcia cesarzewicza. Władze okupacyjne starały się to wrażenie zatrzeć. Prawdopodobnie w tym celu puszczono w obieg sfalszowany list Tadeusza Kościuszki. W prymitywnej "fałszywce", przypominającej stylem i tonacją odezwę Konstantego, rzekomy Kościuszko błagał Aleksandra, aby mu dozwolił złożyć sobie przysięgę w dniu ogłoszenia się królem. Oświadczał ponadto, że gdyby zamiarom imperatora sprzeciwiły się mocarstwa, stanie do walki pod jego rozkazami.

Tymczasem w Wiedniu - w atmosferze ciągłych balów, festynów, intryg towarzyskich i sensacyjnych romansów - zwycięzcy monarchowie oraz ich doradcy targowali się zajadle o nowy kształt Europy.

Głównym przedmiotem sporu były dalsze losy dwóch państw, okupowanych przez wojska rosyjskie: Królestwa Saskiego i Księstwa Warszawskiego.

Cesarz Aleksander zgadzał się na oddanie całej Saksonii swemu wypróbowanemu sprzymierzeńcowi: Prusom; natomiast żądał stanowczo, aby ziemie polskie zdobyte na Napoleonie - to "przedmurze okupione krwią rosyjską" - pozostały w całości przy Rosji, jako konstytucyjne królestwo pod berłem rosyjskich

carów.

Sprzeciwiały się temu: Anglia, Austria i Francja - obawiające się nade wszystko wzmocnienia wpływów rosyjskich w Europie. Dawny sternik napoleońskiej polityki zagranicznej Talleyrand, reprezentujący na kongresie królestwo Burbonów, pisał w instrukcji dla delegacji

francuskiej: "Oddać całą Polskę Rosji 44_milionowej, to niebezpieczeństwo zbyt wielkie i bliskie. Gdyby taki plan można było obalić jedynie siłą oręża, ani minuty nie można by się wahać".

Ten sam Talleyrand, który w roku 1807 tak nieprzychylnie odnosił się do sprawy polskiej, w roku 1814 - z obawy przed Rosją - gotów był, tak przynajmniej głosił, do wszczęcia wojny europejskiej dla przywrócenia Polsce niepodległego bytu. "Dla utrzymania pokoju - przekonywał szefa dyplomacji brytyjskiej, lorda Castlereagha - można poświęcić wszystko prócz honoru, sprawiedliwości i przyszłości (dziwnie brzmią te słowa w ustach najbardziej cynicznego dyplomaty Europy - M.B.). Na teraz można by usprawiedliwić potrzebę wojny, naznaczając jej cel wielki, prawdziwie europejski, to jest przywrócenie Polski."

Ale cesarz Aleksander, tak czarująco gładki i łagodny w stosunkach towarzyskich, potrafił twardo bronić swych zdobyczy. Bronił ich na różne sposoby. Kiedy poruszał sprawę Polski w oficjalnych wystąpieniach przed szerokim gremium kongresowym, pochylał się współczująco nad losem zawiedzionych przez Napoleona Polaków i mówił o konieczności

zakończenia "długich cierpień szanownego narodu". W poufnych targach kuluarowych używał argumentów mniej sentymentalnych.

"Wolę raczej wojnę, niż rzeczenie się tego, co mam dzisiaj w ręku - miał oświadczyć kategorycznie w gwałtownym starciu z Talleyrandem. - TAK, raczej wojnę! (...) Mam w Księstwie Warszawskim 200000 wojska. Niech mnie wypędza!"

Kiedy zaś Talleyrand, rzecznik

legitymizmu dynastycznego (on właśnie ten termin wymyślił), próbował tłumaczyć Carowi, że król saski może się nie zgodzić na złożenie korony, usłyszał chłodną odpowiedź: "Jeżeli król saski nie złoży korony, to będzie wywieziony do Rosji i tam umrze. Jeden król już tam umarł".

Stosunki Aleksandra z szefem dyplomacji austriackiej, księciem Metternichem, układały się jeszcze gorzej. W czasie jednej z rozmów - także na temat Saksonii i Polski - imperator Wszechrosji zdenerwował się tak bardzo, że wyzwiał kanclerza Austrii na pojedynek. Skutkiem tego niebywałego w dziejach dyplomacji zdarzenia zapobiegła dopiero osobista interwencja gospodarza kongresu, cesarza Franciszka I.

Napięcie między mocarstwami doszło do szczytu, kiedy 3 stycznia 1815 roku rozeszła się wieść, że Anglia, Austria i Francja zawarły przymierze zaczepno_odporne. Po tym fakcie groźba wojny między nową koalicją a cesarstwem rosyjskim i Prusami stawała się już całkowicie realna. Wpłynęło to na ostudzenie temperamentów skłóconych stron i w wyniku usilnych starań cesarza

Franciszka I przerwane układy zostały na nowo podjęte.

Dnia 11 lutego, na posiedzeniu w sprawach: polskiej i saskiej - w drodze wzajemnych ustępstw - rozwiązano wreszcie wszystkie sporne problemy i "urządzenie Polski monarchowie potwierdzili". Ale mieszkańcy Księstwa Warszawskiego mieli się dowiedzieć o "urządzeniu" swych dalszych losów dopiero w parę miesięcy później. Poza przyczynami natury proceduralnej zwłoka wynikła stąd, że 1 marca 1815 roku obradujących w Wiedniu monarchów zaskoczyła wiadomość, która na czas dłuższy

sparaliżowała wszystkie czynności kongresu; skazany na wieczne wygnanie cesarz Napoleon wymknął się z wyspy Elby i wraz ze swoją miniaturową armią, trzon której stanowili polscy szwoleżerowie, wylądował we Francji.

Ciekawe, jak na tę elektryzującą nowinę zareagowali mieszkańcy Księstwa Warszawskiego, a zwłaszcza, jak przyjął ją generał Zajaczek po uszy już zanurzony w nowej rzeczywistości? Co sobie myślał wierny "Egipcjanin" Bonapartego, dowiadując się o spontanicznym poddawaniu się Napoleonowi całej Francji; o ucieczce z Paryża przerażonych Burbonów; o powrocie do cesarza skruszonych marszałków; o nie odstępującym go szwadronie polskich szwoleżerów?

Niestety, nie dochowały się żadne materiały pamiątkarskie czy epistolarne, pozwalające wejrzeć w ówczesne myśli i uczucia generała Arbuza. Istnieją natomiast dokumenty świadczące o ogólnym stosunku wojska i społeczeństwa Księstwa Warszawskiego do, wyklętego

przez kongres wiedeński, zbiega z Elby.

Najwymowniejszy z tych dokumentów to nie podpisana notatka, odnaleziona przez historyków w papierach księcia Adama Jerzego Czartoryskiego. Jej anonimowy autor starał się najwyraźniej przestrzec czynniki decydujące przed użyciem wojska polskiego w wojnie Koalicji z Napoleonem:

"Na Francuzów armię nie posyłać; było by to tylko generałów i oficerów exponować, bo żołnierz, ledwie nie całkiem jeszcze za Napoleonem."

I w podobnym duchu - zapis w dzienniku Juliana Ursyna Niemcewicza:

"Powrót Napoleona szkodliwe w dzisiejszym położeniu rzeczy

sprawił wrażenie. Młodzież rycerska, smakująca w bojach, szybko do wysokich stopni i licznych zaszczytów pod dowództwem jego wyniesiona, mieszkańcy zapomniawszy zawiedzionych przez niego obietnic, poniesionych przez wojska jego klęsk, pamiętni tylko rozszarpania Ojczyzny (...) oczy i życzenia swoje do tego błędnego, oddalonego o kilkaset mil światła obracać zaczęli."

Z polskimi świadectwami w pełni współgrały, słane w tym czasie do Petersburga, przestrogi prezesa okupacyjnej Rady Najwyższej Tymczasowej, Wasyla Łanskoja:

"Przywiązanie (Polaków) do wroga Europy nie wygaśnie, zwłaszcza wśród wojskowych (...) Próżne są usiłowania Cesarza zbliżyć do Rosyi naród polski i wojsko (...) W organizowanym wojsku hodujemy żmiję gotową zawsze na nas jad swój wypuścić (...) W żadnym wypadku na

Polaków liczyć nie można."

Obywatele Księstwa
Warszawskiego z trwożną nadzieją
wsluchiwali się w odgłosy,
dochodzące z francuskich pól
bitewnych. Ale w miarę rozwoju
wydarzeń nadzieje słabły i
gruntowała się pewność, że zbieg
z Elby - mający przeciwko sobie
połączone siły zbrojne
wszystkich mocarstw kontynentu
oraz przebogate zasoby
angielskiego złota - nie zdoła
już odwrócić biegu historii.
Tym niecierpliwiej czekano na
wiadomości o "urządzeniu" spraw
polskich przez kongres
wiedeński. Prasa krajowa z
nakazu władz okupacyjnych
zachowywała zupełne milczenie.
Ale między ludźmi krążyły
plotki, przywożone z Wiednia
przez przypadkowych wojażerów
oraz skąpe szczegóły,
przenikające z korespondencji
osób wysoko postawionych.

Jeszcze w lutym 1815 roku
książę Antoni Radziwiłł -
późniejszy namiestnik W.
Księstwa Poznańskiego - donosił
z Wiednia swemu ojcu:

"Królem polskim będzie odtąd
cesarz Aleksander. Polska nie
będzie owym przedrozbiorowym,
rozległym Królestwem, ale
zmniejszona o wiele. Żał stąd
niemały, lecz i za to należy się
wdzięczność, że kiedy na
wiedeńskim Kongresie nic nas
obronić nie mogło, uratowano
przynajmniej choć mniejszą część
krajów."

W podobnym, z lekka
melancholijnym, tonie informował
rodzinę o uchwałach kongresowych
główny inspirator odrodzenia
Królestwa Polskiego pod berłem
rosyjskim, książę Adam Jerzy
Czartoryski:

"Będziemy mieli Królestwo i
króla. Kraków wolne miasto,

Austria i Prusy zapewniły instytucje narodowe dla poddanych polskich; amnestia, stosunki "sujets mixtes", zdobyte. Złe z dobrym pomieszane, ale lepiej nam będzie niż było."

Jedynie arystokratyczne wielbicielki cesarza Aleksandra aprobowały bez zastrzeżeń "urządzenie" kongresowe. Oto fragment listu księżnej Heleny Radziwiłłowej - pani na Nieborowie i Arkadii - pisanego w marcu 1815 roku do synowej: "To chyba nie dziennik mój pisać będę, lecz rapsodye o wielkich wypadkach, które mi zamąciły głowę do reszty. Jesteśmy więc Polakami pod Aniołem królem (...) Zmartwieniem patriotów jest to, że nam jeden z członków odjęto. Gdyby go miano, toby się im zachciało tych wszystkich, które Jagiełło posiadał."

Autorka listu istotnie musiała mieć "zamaconą głowę do reszty". Jej natrzęsanie się z "zachłanności" patriotów brzmi co najmniej dziwnie, w zestawieniu

z kongresową rzeczywistością. Księstwo Warszawskie wyszło z kompromisu wiedeńskiego zubożone o 300007km² powierzchni i o milion mieszkańców. Odpadły od niego na rzecz Prus, najwyżej rozwinięte gospodarczo i kulturalnie, departamenty: poznański i bydgoski ze skrawkami województwa kaliskiego. Kraków ze swym okręgiem stawał się odrębną Rzeczpospolitą Krakowską pod protektoratem sprzymierzonych mocarstw. Austrii przypadły bogactwa solne w Wieliczce i obwód Tarnopolski. Znacznemu ograniczeniu uległa także niezależność nowego tworu państwowego, sprzęgniętego unią personalną z ogromnym

samowładnie rządzonym cesarstwem rosyjskim ("było to jakby gliniany garnek przywiązać do żelaznego koła", mówiono w Warszawie). W zamian za te wszystkie ubytki nowe państewko otrzymało od kongresu czcza nazwę Królestwa Polskiego, jak gdyby dla wydrwienia dwudziestoletnich tęsknot Polaków. Zamiast Polski powstało "un ridicule Royaume de Pologne".

"Bo też nie o Polskę (...) chodziło carowi Aleksandrowi - zżyma się Kazimierz Bartoszewicz, autor fundamentalnej pracy "Utworzenie Królestwa Kongresowego". - Chciał posunąć swe "granice wojskowe" na zachód, wkroczyć klinem do środkowej Europy, a ponieważ na to nie zezwoliłaby Europa, więc dla jej uspokojenia nowemu zaborowi nadał formę przejściową konstytucyjnego państewka."

Pierwsza oficjalna wiadomość o uchwałach kongresu w sprawie Polski pojawiła się w dodatku nadzwyczajnym do warszawskiej "Gazety Korespondenta" z 7 maja 1815 roku. Był to list cesarza Aleksandra do byłego prezesa

senatu Księstwa Warszawskiego, Tomasza Ostrowskiego - opublikowany w oryginale francuskim i tłumaczeniu polskim.

"Ze szczególnym ukontentowaniem donoszę Wpanu - pisał twórca Królestwa Kongresowego - iż los jego Ojczyzny na koniec ustalonym został za zgodą wszystkich mocarstw na Kongresie zgromadzonych. Biorąc tytuł króla polskiego, chciałem zadość uczynić życzeniom narodu. Królestwo Polskie połączone będzie z Cesarstwem Rosyjskim

węzłem właściwej sobie
konstytucyi, na której pragnę
ugruntować szczęśliwość kraju.
Jeżeli wielki powód spokojności
powszechnej nie dozwolił, aby
wszyscy Polacy pod jednym
złączeni zostali berłem,
przynajmniej wszystkie ku temu
obróciłem usiłowania, aby im
osłodzić ile możności przykrość
takowego między nimi rozłączenia
i aby otrzymać dla nich
wszędzie używanie właściwej im
narodowości. Nim rozmaite do
dopełnienia jeszcze pozostające
formalności dozwolą głosić w
sposobie dokładniejszym
wszystkie punkta tyczące się
ostatecznego układu spraw
Polski, chciałem, aby Wpan
pierwszy o tym w treści
uwiadomiony ode mnie został i
upoważniam Wpana do uwiadomienia
swoich rodaków o tym, co list
niniejszy zawiera.

Przyjmij Wpan zapewnienia
szczerego szacunku

Dan w Wiedniu

d. 18830 Kwietnia 1815

Aleksander."

Dnia 13 czerwca 1815 roku
przyjechał do Warszawy książę
Czartoryski, przywożąc z sobą
pełną tekę ważnych dokumentów.
Były wśród nich: "Zasady
Konstytucyi", opracowane przez
księcia pod okiem cesarza
Aleksandra; orędzia abdykacyjne

króla Fryderyka Augusta;
manifest cesarski do Polaków
oraz "ukaz", rozwiązujący
okupacyjną Radę Najwyższą
Tymczasową i przekazujący jej
władzę Rządowi Tymczasowemu,
który miał trwać "aż do
ogłoszenia i wprowadzenia w
życie samej Konstytucyi".

W cztery dni po przyjeździe
Czartoryskiego - 17 czerwca -
gazety ogłosiły orędzie króla
Fryderyka Augusta, w którym

nieszczęsny sprzymierzeniec Napoleona zrzekał się wszelkich praw do byłego Księstwa Warszawskiego i zwalniał jego wojsko ze złożonej przysięgi wierności ("Rozłączenie to z poddanymi (...) najżywszą zadaje nam boleść. Pamięć ich na zawsze w sercu Nam wyryta będzie"). Równocześnie z tym smutnym aktem opublikowano radosną "Programmę" uroczystości, związanych z zapowiadającym na 20 czerwca "ogłoszeniem Królestwa Polskiego".

Nazajutrz 18 czerwca - wielki książę Konstanty w rozkazie dziennym podał do wiadomości wojska "to szczęśliwe losów ojczystych ustalenie".

Tego samego dnia, na polach Waterloo w Belgii, sprzymierzone armie pod dowództwem marszałka angielskiego Wellingtona i marszałka pruskiego Blüchera zadały ostateczny śmiertelny cios Cesarstwu Stu Dni Napoleona.

Generał Arbutnot mógł sobie powinszować trafnego wyboru nowych protektorów.

* * *

Zgodnie z zapowiedziami prasowymi "powrót" Królestwa Polskiego ogłoszono 20 czerwca 1815 roku. O godzinie 5 rano - jak donosiły gazety warszawskie - "51 wystrzałów armatnich zwiastowało stolicy dzień uroczysty, który powszechna

radość i wdzięczność mieszkańców w narodowe święto zamieniła".

Dochowana dokumentacja owego "narodowego święta" jest wyjątkowo obfita, lecz tyle w niej opinii krańcowo sprzecznych, że wcale niełatwo ustalić, co rzeczywiście wówczas myślano i odczuwano w Warszawie.

W sprawozdaniach prasowych wszystko, co działo się tego dnia - ogłaszanie dokumentów stanowiących Królestwo Polskie, zaprzysięganie nowego rządu przed portretem cesarza_króla Aleksandra, nabożeństwa dziękczynne w kościołach, czy wreszcie wieszanie na gmachach publicznych nowych godeł państwowych: maleńkiego białego orzełka na piersi wielkiego czarnego orła cesarstwa rosyjskiego - przedstawiane było jako jeden wielki festyn spontanicznej radości oraz wdzięczności i uwielbienia dla nowych "wskrzesicieli".

Sprawozdaniom prasowym dzielnie sekundowały produkcje artystyczne, urozmaicające oficjalny program uroczystości. Poeci okolicznościowi zachłystywali się zachwytem dla cesarza_króla, a z rozpędu i dla jego brata - wodza naczelnego armii odrodzonego Królestwa. Powszechnie nienawidzonego już wtedy w Warszawie cesarzewicza wierszokleta Molski rekomendował w taki oto sposób:

Wódz ten prawy i czynny
uważany razem@ mógłby się w
dwóch Rzymianów porównać
obrazem.@ Ma tęgość duszy
Katona@ z zaletami Scypiona.@

W teatrze - jak zawsze w podniosłych dla narodu chwilach - wystawiano "Krakowiaków i górali". Śpiewogra Bogusławskiego zrobiła swoistą karierę: od powstania kościuszkowskiego służyła wyrażaniu uczuć dla bohaterów

narodowych i kolejnych
wyzwolicieli. Stosownie do
okazji pierwotny tekst widowiska
wzbogacano coraz to nowymi
aktualnymi wstawkami. Ustami

krakowiaków i górali czczono
Kościuszkę, Dąbrowskiego,
Poniatowskiego i Napoleona. W
roku 1815 przyszła kolej na
Aleksandra. Występujący w sztuce
Dziedzic, na wieść o
"szczęśliwych losach Ojczyzny",
intonował pochwalną kantatę na
cześć cesarza_króla:

Przy jego tronie, nowym
blaskiem ozdobiona, @ zajaśnieje
w swej chlubie Zygmunta
korona, @ z nim szczęście, z nim
obfitość wstąpi na tę ziemię. @
Pobratymskiego ludu
przyjacielskie plemię @ wzywa
dawnych swych braci do wspólnej
rodziny (...) @ Boże, wspieraj
swą mocą złączone krainy. @

Oficjalni mówcy tego dnia nie
pozostawali w tyle za prasą i
sztukami pięknymi. Szczególny
niesmak wzbudziła oracja,
przewodniczącego ceremoniom,
Tomasza Wawrzeckiego - człowieka
o pięknej patriotycznej
przeszłości; po klęsce
maciejowickiej najwyższego
naczelnika narodu, współwzięcia
Kościuszki w twierdzy
Pietropawłowskiej, członka
najwyższych władz Księstwa
Warszawskiego. Nie bacząc na
przyznawaną mu rangę "niemal
bohatera narodowego", dał
Wawrzecki w swym przemówieniu
rażący pokaz płaszczenia się
przed nowymi panami. Po
wyniesieniu pod niebios
"pieczołowitości Cesarza
Aleksandra nad Polakami", po
wyrażeniu najwyższego zachwytu z
powodu "węzła nierozdzielnej po
wszystkie wieki Unii z narodem
wielkim jednego szczepu i
dialektu, a zatem pobratymczym",
zapędził się mówca w ślady
"poety" Molskiego i oddał cześć

wielkiemu księciu Konstantemu,

"którego talenta osobiste i
wojskowe są połączone z
największą prawością duszy,
dobroczynnością i
sprawiedliwością najściślejszą".
Co skłoniło eks_bohatera
narodowego do takiego
zaszargania sobie pięknego
życiorysu - nie wiadomo. Może
uczynił to z dziecinnej naiwnej
wiary w dobrą wolę nowych
"wskrzesicieli"? A może ze
strachu przed tymi
"wskrzesicielami" - wyniesionego
jeszcze z lochów
Pietropawłowskiej twierdzy? Lub
mże po prostu chodziło mu jedynie
o zdobycie teki ministerialnej w
nowym rządzie Królestwa?
(Otrzymał ją zresztą, ale nie
cieszył się nią długo".

Historycy, pisząc o
wystąpieniu Wawrzeckiego,
przedstawiają go jako człowieka
"sędziwego", aby tą sędziwością
choć trochę go usprawiedliwić.
Ale nie był aż tak sędziwy: miał
56 lat i uchodził za człowieka w
pełni sił umysłowych i
fizycznych. Dopiero ostracyzm
społeczny, jakim mu zapłacono za
jego ultralojalizm, przygiał go
do ziemi i przyspieszył jego
zgon. Zmarł na udar serca w
kilkanaście miesięcy po swym
przemówieniu. I nie było chyba
przypadkiem, że śmierć go
dosięgła w czasie, kiedy całe
Królestwo pozostawało pod
wrażeniem tragedii pięciu
młodych oficerów, którzy w
proteście przeciwko postępowaniu
"dobroczynnego i sprawiedliwego"
Konstantego popełnili zbiorowe
samobójstwo.

W zupełnie odmienny sposób niż
"sędziwy" Tomasz Wawrzecki,
oceniał "święto narodowe" 20
czerwca inny jego uczestnik:
18_letni Teodor Morawski.
Wszystkie opinie późniejszego
ministra spraw zagranicznych w
powstaniu listopadowym i autora
sześciotomowych "Dziejów narodu

polskiego" - cechuje młodzieńcza bezkompromisowość.

Kiedy warszawska prasa w podniosłych słowach opisywała, jak to "wśród radosnych okrzyków" zawieszano na Ratuszu nowe godło Królestwa, młody Morawski z najwyższą pogardą odrzucał to godło, dopatrując się w nim obrazy narodu polskiego: "Orzeł czysty, biały, rozpięty został na piersi czarnego dwułowego dziwotworu. Nie przyczyniło się to, niemniej jako i pomieszczenie tytułu króla polskiego między tatarskimi caratami, astrachańskim i sybirskim, do przymnożenia przyjemnych wrażeń".

Kiedy Wawrzecki zachwycał się "węzłem nierozzerwalnej unii z pobratymczym narodem", Morawski głosił, że "instynktowy wstręt budziło przymusowe spojenie dwóch narodów, dwóch wiar, dwóch języków, dwóch przeciwstawnych sobie duchów narodowych".

Oceniając całość obchodów "narodowego święta", Morawski - wbrew oficjalnemu entuzjazmowi - zapewniał, że "uroczystość odbyła się zimno". Tak zimno, że musiano się usprawiedliwiać przed cesarzem, iż "tyloletnie cierpienia odjęły narodowi siły do żywszej radości".

Relacja Morawskiego nie jest odosobniona. Wiele innych świadectw pamiętnikarskich i epistolarnych - acz nie tak radykalnych jak sądy Morawskiego - potwierdza jednak, że "powrócenie Królestwa" obchodzono w atmosferze daleko odbiegającej od przekazów oficjalnej propagandy.

Cała patriotyczna Warszawa podzielała oburzenie Morawskiego na nowe godło Królestwa. Z niezadowoleniem i lękiem przyjmowano również wiadomość, że w nowo powołanym Rządzie Tymczasowym, który miał

wprowadzać w życie liberalne

"Zasady KOnstytucyi"

Czartoryskiego, zachowali swe
miejsca dwaj zdecydowanie
nieprzychylni Polakom
przedstawiciele rosyjskich władz
okupacyjnych: przewodniczący
Łanskiej i komisarz cesarski
NOWOSILCOW. Nastroje te były tak
powszechne, że Czartoryski uznał
za konieczne powiadomić o nich
cesarza: "Żałowano orła w
dotychczasowej postaci - pisał
do Aleksandra bezpośrednio po
zakończeniu uroczystości
warszawskich. - Ubolewano nad
udziałem Rosyan w rządzie."

Najbardziej przeszkadzał
radowaniu się z "wrócenia
Królestwa" powszechny w
społeczeństwie żal z powodu
ubytków terytorialnych. Trudno
się było cieszyć z Królestwa
Polskiego bez Krakowa, Poznania,
Torunia i Bydgoszczy. Od razu
też zaczęto je lekceważąco
nazywać "Królestwem Kongresowym"
bądź "Królestwem Puławskim" (ze
względu na udział Czartoryskiego
w jego tworzeniu).

W ogłoszonym tego dnia
manifestie cesarz_król
Aleksander usiłował wytłumaczyć
swym polskim poddanym, że
okrojenie ich Królestwa było
konieczne z przyczyn
międzynarodowych.

"Polacy - głosił manifest -
nie podobna było opatrzyć w
sposób inny waszej narodowej
pomyślności. Należało zachować
wam ojczyznę, która by nie mogła
zostać ani powodem do zazdrości,
ani przedmiotem niepokoju dla
sąsiadów, ani pochopelem wojny dla
Europy."

Manifest cesarski powszechnego
żalu z pewnością nie ukoił, ale
mógł skłaniać do poważnych
refleksji. W Warszawie znano już
z grubsza przebieg rokowań

wiedeńskich i wiedziano, że to
rzeczywiście Aleksander,
niezależnie od motywów, jakie
nim kierowały, to Królestwo dla
Polaków wywalczył. Wiedziano

też, że zachodnie mocarstwa,
pomimo krzykliwych pogroźek
Talleyranda, wojny o Polskę
wszczynać nie będą i że
alternatywą ułomnego Królestwa
Kongresowego mógł być jedynie
powrót do traktatów
rozbiorowych, czego domagali się
w Wiedniu poniektórzy
"legitymiści". Od takiego
rozwiązania Królestwo
Kongresowe, przy wszystkich
swoich brakach, było na pewno
lepsze. Dlatego co rozważniejsi
uczestnicy "święta narodowego"
20 czerwca 1815 roku odrywali
wzrok od przeszłości i z
nieśmiałą nadzieją kierowali go
w stronę przyszłości. Nastroje
te najlepiej odtwarza bajka
Niemcewicza "Mrowisko", którą
poeta napisał bezpośrednio po
powrocie z warszawskich
uroczystości.

Bajka opowiada o mrówkach,
które odzyskały "część burza
rozniesionego mrowiska". Stara
Mrówka, wyrażająca niewątpliwie
poglądy autora, dziwi się, że
zamiast się cieszyć, "skargę
szerzymy zuchwałą, że mrowisko
nie takie, jak przedtem bywało".
Wzywa do porzucenia "zwodniczych
ssnów" i zajęcia się sprawami
doraźnymi: "część odzyskaliśmy,
pozostawmy resztę czasowi.
Uprzątajmy zwaliska, podnośmy
ruiny".

* * *

Z ogłoszonych 20 czerwca
"Zasad Konstytucyjnych"
społeczeństwo polskie
dowiedziało się, że w nowym
państwie najwyższym urzędnikiem

z prerogatywami niemal
monarszymi będzie namiestnik,
mający zastępować w Warszawie
rezydującego stale w Petersburgu
cesarza_króla. Od razu zaczęły
się domysły i spekulacje
polityczne, kto mógłby tym
namiestnikiem zostać. Na ogół
widziano tylko dwóch kandydatów

do tego urzędu. Pierwszym - za
którym opowiadała się większość
patriotów - był Adam Jerzy
książę Czartoryski, wiceprezes
świeżo powołanego Rządu
Tymczasowego, współtwórca
Królestwa Kongresowego,
wieloletni zaufany przyjaciel
cesarza Aleksandra, niegdyś
minister spraw zagranicznych
cesarstwa rosyjskiego; drugim -
którego imię wymawiano ze zgrozą
- niezrównoważony brat
cesarski, wielki
książę_cesarzewicz, desygnowany
wódz naczelny armii Królestwa.

Tylko nielicznie optymiści
brali pod uwagę jeszcze trzecią
ewentualność, że powróci do
kraju Kościuszko, aby objąć
należne mu pierwsze miejsce. Ale
stary Naczelnik rozwiął te
nadziej. Po ogłoszeniu uchwał
kongresowych wymówił się
ostatecznie od współpracy z
próbującym go uwieść cesarzem
Aleksandrem. Wyjeżdżając
rozgoryczony z Wiednia
zawiadomił o swej decyzji
Czartoryskiego. "Poświęciłem
życie całej Polsce - pisał w
pożegnalnym liście - ale nie
najmniejszej, którą pompatycznie
nazwano Królestwem Polskim (...)
To nie może ująć Polaków do
zaufania wielkiego, owszem z
bojaźnią każdy uczyni wniosek
takowy, że imię polskie z czasem
w pogardzeniu zostanie i że
Rosjanie traktować nas będą jako
podległych im, gedyż tak
szczupła garstka populacji nigdy

się nie zdoła obronić intrydze,
przewadze i przemocy Rosjan."
Kończył list słowami: "Jadę do
Szwajcar, nie mogąc zdatnie
służyć Ojczyźnie".

Między Czarторыjskim a wielkim
księciem Konstantym od
pierwszych chwil istnienia
Królestwa Kongresowego
rozgorzała walka na śmierć i
życie. Poszczególne jej epizody
znane są z ówczesnej
korespondencji Czarторыjskiego.

"Listy z tych czasów
Czarторыjskiego do Imperatora to
znakomity, niepodrobiony obraz
smutnej rzeczywistości - pisze
Kazimierz Bartoszewicz w swoim
"utworzeniu Królestwa
Kongresowego". - Żadne archiwa,
żadne wydobyte dawniej czy
świeżo materiały, żadne
pamiętniki czy panegiryki, żadne
naciągane wywody nie są w
możliwości obalić bolesnej prawdy,
jaka z tych listów wieje,
stłumić skarg, jakimi są
przepełnione."

Skargi Czarторыjskiego
kierowały się niemal wyłącznie
przeciwko wielkiemu
księciu_cesarzewiczowi. Dopiero
czytając fragmenty lipcowej
korespondencji Czarторыjskiego
rozumie się, jak bardzo musiał
gniewać warszawian, zaledwie o
miesiąc wcześniejszy,
panegiryczny wyskok pod adresem
Konstantego w mowie Tomasza
Wawrzeckiego. W każdym liście
Czarторыjski błaga cesarza_króla
o odwołanie z Warszawy wielkiego
księcia. Zdaniem wiceprezesa
Rządu Tymczasowego "odrębna
władza wojskowa Cesarzewicza
uniemożliwia pracę rządu.
Wielkiego księcia nie wzrusza
żadna gorliwość, żadna uległość.
Żywi on do kraju nienawiść,
wzrastającą w sposób
zatrważający. Nie otacza

względami ani wojska, ani
ludności, ani nikogo z
prywatnych. Drwi z konstytucji,
szydzi z praw i form, a za
słowami idą czyny. Nie trzyma
się nawet własnych przepisów
wojskowych. Chce kijem kierować
armią. Żołnierzom rosyjskim każe
"pałkować" polskich żołnierzy.
Wielu oficerów zapowiada
wystąpienie z armii, szerzy się
dezercja, wszyscy otrzymują
wrażenie, że istnieje plan
zniszczenia i udaremnienia
dobrodziejstw W.C.Mości, a
W.Książę jest bezwiednym
narzędziem tych zgubnych

machinacji, mających na celu
rozjątrzenie zarówno Rosjan, jak
Polaków".

W następujących listach
błagania o odwołanie Konstantego
przybierają jeszcze na sile.
"Czas nagli, każda chwila może
przynieść burzę i katastrofę
(...) W.Książę chce doprowadzić
do ostateczności. Żaden wróg nie
zdoła więcej szkodzić Waszej
Cesarskiej MOści..." Już nie w
swoim własnym imieniu, lecz z
upoważnienia wszystkich członków
rządu (a więc i Tomasza
Wawrzeckiego) prosi Czartoryski
cesarza o "zarządzenie położeniu,
które z każdym dniem stając się
gorszym, grozi nieobliczalnie
zgubnymi skutkami". Przytacza
szczegóły bezwzględnej samowoli
wielkiego księcia, który "znosił
wyroki sądów wojskowych,
rozdawał dymisje, rozciągał swą
władzę nad urzędnikami
cywilnymi, kazał nawet uwięzić
prezydenta Warszawy". W jednym z
listów Czartoryski wprost
zarzuca Konstantemu, że jest
manipulowany przez niechętnie
propolskiej polityce cesarza
koła petersbuskie: "z
najlepszego źródła wiem, że w
Petersburgu istnieje towarzystwo

przeważnie wojskowych, którzy
mają w kraju wysłańców
wpływających na w.księcia;
stowarzyszenie to miało już
gotowy memoriał przeciw Polsce
dla wręczenia go W.C.Mości;
wojna przeszkodziła tym
buntownikom."

W parę miesięcy później, kiedy
polski generał_adiutant cesarza,
Adam Ożarowski, przywiózł do
Warszawy wiadomość, że Konstanty
musi być wicekrólem polskim,
Czartoryski wpadł w rozpacz.
"Daj nam Najjaśniejszy Panie
innego wielkiego księcia
(Aleksander miał jeszcze dwóch
młodszych braci: Mikołaja i
Michała - M.B.) - zaklinał
cesarza - nominacja Konstantego
byłaby wyrokiem śmierci."

Cesarz Aleksander z pewnością
nie lekcewał opinii swego
głównego, od lat, doradcy w
sprawach polskich. Jest więcej
niż prawdopodobne, że właśnie w
wyniku ostrzeżeń Czartoryskiego
Konstanty nie został ani
wicekrólem, ani namiestnikiem
królewskim, o co podobno usilnie
zabiegał. Ale zasadniczego celu
swych starań nie udało się
Czartoryskiemu osiągnąć;
Aleksander nie chciał słyszeć o
odwołaniu Konstantego z
Warszawy. Cesarz kochał
młodsze brata, ale nie chciał
go mieć przy sobie, gdyż obawiał
się jego szaleństw, mając żywo w
pamięci zamordowanie ojca,
cesarza Pawła I, którego
Konstanty pod wieloma względami
przypominał. Niektórzy historycy
uważają, że największą
korzyścią osobistą, jaką
Aleksander wyniósł z powstania
Królestwa Polskiego, było to, że
mógł Konstantego trzymać z dala
od Petersburga. Ani Czartoryski,
ani nikt inny nie był na tyle
silny, aby go tej korzyści

pozbawić.

Konstanty niewątpliwie wiedział o oskarżycielskich listach Czartoryskiego i z pewnością robił, co mógł, aby zdyskwalifikować swego przeciwnika w oczach cesarza. Ale decydujący cios zadał Czartoryskiemu nie Konstanty, lecz komisarz cesarski Mikołaj Nowosilcow - niegdyś przyjaciel i pensjonalista księcia z Puław, później podstępny jego przeciwnik polityczny - zmierzający wszelkimi środkami do tego, aby stać się w jego miejsce głównym mężem zaufania cesarza w sprawach polskich.

Wiarygodni kronikarze tamtych czasów utrzymują, że "Nowosilcow postarał się o wykradzenie Czartoryskiemu kopii jego listów, pisanych podczas Kongresu do angielskich mężów stanu, i że te kopie

przedstawione przez Nowosilcowa Aleksandrowi stały się grobem zaufania Cesarza do Czartoryskiego".

Tak więc, w zakulisowej grze o urząd namiestnika, przepadły szanse obu głównych kandydatów do tego urzędu: Konstantego "unieszkodliwił" Czartoryski, Czartoryskiego - Nowosilcow. Ale szeroka opinia o tym nie wiedziała. Warszawianie nadal z rosnącym napięciem czekali na przyjazd cesarza króla i na ostateczną decyzję, kto będzie jego oficjalnym zastępcą w Warszawie: Konstanty czy Czartoryski.

Zajaczek w królika
przemieniony (c.d.)

"Warszawa, 3 grudnia (1815 r.)

Znasz ty efekt pioruna, gdy spadnie nagle i niespodziewanie, bomby pękającej tuż przy nas, iskry elektrycznej, który cała istota naszą wstrząsa? Otóż taki efekt wywarła dziś rano na całą Warszawę wiadomość o wyniesieniu generała Zajączka na naczelnika Rządu - wczoraj wieczór został nim zamianowany."

Sympatyczna kronikarka życia towarzyskiego Warszawy, pani Anna Nakwaska, żona prefekta departamentu warszawskiego, Franciszka Salezego Nakwaskiego, "jedna z najbardziej rozbawionych i roztańczonych dam stolicy" - pisząc wyżej przytoczony list do swej mieszkającej na wsi siostry, baronowej Teresy Rastawieckiej, z pewnością nie przypuszczała, że stwarza dokument historyczny, który przez półtora wieku z okładem cytować będą wszyscy historycy, interesujący się kongresowym Królestwem Polskim. Ale też nikomu poza nią nie udało się tak wyraziście i lapidarnie przekazać potomnym ogromu zdumienia, jakie powitało nominację 63-letniego inwalidy Zajączka na namiestnika królewskiego w Warszawie.

Cesarz-król Aleksander I wjechał do swej nowej stolicy dnia 12 listopada 1815 roku w samo południe. Jego z dawna wyczekiwany przyjazd poprzedziły wielotygodniowe narady nad programem jego przyjęcia. Znalazło to odbicie nawet w anonimowych rymach ulotnych:

Jak gdyby za dotknięciem
czarodziejskiej różgi@ krew
wrzeć poczyna, wstrząsają się
mózgi.@ W ruchu stolica cała,

wszystkie stany radzą jak go
wprowadzą...

Wprowadzano dostojnego gościa
z całym rytuałem należnych mu
honorów. Jego przybycie
zwiastowały salwy armatnie,
warkot tysiąca bębnow i trzask
wystrzeliwanych w niebo
światlistych rakiet. U progu
miasta - tam gdzie stoi dzisiaj,
upamiętniający ów dzień, kościół
św. Aleksandra - powitała
cesarza_króla wspaniała brama
tryumfalna (wyższa od kolumny
Zygmunta) wzniesiona z
dobrowolnych składek
obywatelskich "nawet Naczelnik
Kościuszko - na krótko przed
swym wielkim rozczarowaniem -
przyczynił się do jej budowy
1000_złotowym datkiem). W
uroczystym powitaniu
uczestniczyła cała Warszawa, kto
żyw biegł oglądać pogromcę
Napoleona i nowego pana Polaków.

Każdy z wierzchnią oznaką,
czem jest w kraju naszym, kozak
z batem, ksiądz z krzyżem, a
żołnierz z pałaszem, stoi na
swoich miejscach. Tam licznych
biur rzesza, tak nigdy
niedostępna od synów Mojżesza
miejsce obok nich wzięła. Tu
adiutant w biegu, niosąc
rozkaz, przebiega szereg od
szeregu. Tam Kozak, kraju swego
chwalebny zwyczajem, zrobiony
nieporządek poprawia nahajem.
Coraz ciszej i ciszej, a wtem
nagle dzwony jęknęły, znak
wydając, że Błogosławiony minął
bramę tryumfu, że się już
przybliża. Lud ciekawy,
ujrzawszy zwycięzcę Paryża,
schyla głowy przed świetnym jego
majestatem...

Trasę przejazdu cesarza_króla
- od Belwederu do Zamku -
obstawiały gwardie rosyjskie i
wyborowe oddziały świeżo
utworzonej armii posłkiej. Za
wojskiem cisnęły się tłumy

warszawian: na poły wiwatujące,
na poły nieufne. Okna i balkony
Nowego Świata i Krakowskiego
Przedmieścia - zgodnie z
dyskretnymi pouczeniami
Nowosilcowa, który znał gusty
swego władcy - "od dołu do góry
ugarniowane były płcią
piękną".

Pobył Aleksandra w Warszawie
trwał trzy tygodnie.
Uczestnicząc w urządzonych na
jego cześć balach, uroczystych
przyjęciach, rewiach
wojskowych, a także: przyjmując
na prywatnych audiencjach
rozmaite ważne osoby - "Talma
Pólnocy" roztaczał przed
Polakami wszystkie czary swej
ujmującej osobowości i nie
przepuszczał żadnej okazji do
zdobywania sobie serc nowych
poddanych.

Kiedy prezydent Warszawy
Stanisław Węgrzecki ofiarował mu
klucze miasta, nie przyjął ich
oświadczając: "Nie przyjmuję
kluczy, gdyż nie przychodzę tu
jako zdobywca, lecz jako opiekun
i przyjaciel wasz, pragnąc
wszystkich widzieć
szczęśliwymi".

Uczestników uroczystych
przyjęć w magnackich pałacach
zachwycał swą bezpośredniością i
uprzejmością w obcowaniu
towarzyskim. "Sypał
grzecznościami, przesadzał się w
dowcipnych twierdzeniach; w
końcu biesiady, przy wetach,
jakby był człowiekiem rodziny i
najpierwszym domu przyjacielem,
w poufną wpadał rozmowę i z
domownikami w familijność.
Mówił, że wszystko mu się tu
podoba: kobiety są przyjemne i
ładne, mężczyźni grzeczni bez
płaszczania się i weseli bez
poufałości".

Na balu dziecięcym u księżnej
Izabeli Czartoryskiej (matki
księcia Adama Jerzego, wzruszył

wszystkich swoją miłością do
dzieci ("tańczył z temi
dzieciakami, całował je w

buziaki i po rękach") oraz tym,
że wystąpił w polskim mundurze.
Rozczulona do łez, stara księżna
zapisła po balu w swoim
dzienniczku: "Zdało mi się snem,
że jest Polska, król polski w
mundurze i o barwach narodowych.
Łzy mi popłynęły: mam więc
ojczyznę, zostawiam ją dzieciom
moim".

Mniejszy zachwyt wzbudzały
wypowiedzi nowego pana w
zasadniczych materiach
publicznych. Polaków
interesowały przede wszystkim
dwie sprawy: czy Królestwo
zostanie powiększone o ziemie
polskie, wcielone na mocy
traktatów rozbiorowych do
cesarstwa rosyjskiego oraz jaką
rolę będzie odgrywał w nowym
państwie polskim, siejący grozę
wokół siebie, niezrównoważony
brat cesarski?

Cesarz_król nie uchylał się od
odpowiedzi na te pytania.
Odpowiadał na nie z taką samą
swobodą i bezpośredniością,
jakie cechowały go w stosunkach
towarzyskich. Ale obietnice
zawarte w tych odpowiedziach
były mgliste, niepewne i
uzależnione od różnych warunków.
Sprawę ewentualnego przyłączenia
do Królestwa "zachodnich
prowincji" cesarstwa omawiał
szeroko w poufnej rozmowie z
przewodniczącym, przybyłej do
Warszawy, delegacji ziem
litewskich, Michałem Kleofasem
Ogińskim. Tłumaczył mu, jak
wielkie opory będzie musiał
przełamywać w konserwatywnych
kołach Petersburga, aby
osiągnąć w tej sprawie pomyślne
rezultaty.

"Dotrzymam, co obiecałem -
mówił do Ogińskiego - ale nie

można tego zrobić od razu.
Potrzebuję zaufania. Postanowień
moich nie zmieniam (...) Nie
trącajcie zbyt delikatnej
struny, nie kompromitujcie mnie
wobec moich. Nie mogę dopuścić,
abyście żądali połączenia

(Litwy) z Polską, bo nie trzeba,
aby sądzono, że to wy się tego
domagacie (...) Każdy powinien
być przekonany, że co
uczynię dala was, pochodzi z mego
własnego popędu (...) Jeżeli
będę jak dotychczas zadowolony z
armii i osób cywilnych
Królestwa, jeżeli rząd jego
będzie mógł za wzór służyć i nie
wypłynie z niego żadna
niedogodność dla Cesarstwa, to
dopełnię reszty (...) Powtarzam
raz jeszcze, ufajcie mi i nie
kompromitujcie mnie."

Co do Konstantego, to obawy
przed nim starał się rozbrajać
zapewnieniami, że władza
cesarzewska ograniczać się
będzie wyłącznie do spraw
wojska, ale upierał się przy
pozostawieniu go w Warszawie.

W rozmowie z księżną Marią
Wirtemberską, siostrą Adama
Jerzego Czartoryskiego,
usprawiedliwiał się, dlaczego
nie odwołuje Konstantego z
Polski. Nie ujawniając głównych
motywów swej decyzji, tłumaczył
księżnej, że jeżeli zabierze
brata do Petersburga, to
zniechęci on Polaków jeszcze
bardziej i będzie przeszkadzał
wszelkim działaniom zmierzającym
do polepszenia ich sytuacji.
"Starajcie się - mówił do
księżnej Wirtemberskiej cesarski
czaruś - usposobić do siebie
przychylnie Konstantego i
Rosjan, aby ułatwić połączenie z
Litwą i Podolem, czego szczerze
pragnę."

* * *

Głównym polskim żyrantem cesarsko_królewskich obietnic był książę Adam Jerzy Czartoryski, niegdyś najbliższy powiernik i współautor młodzieńczych projektów politycznych Aleksandra.

Czartoryski wierzył, że jego cesarski przyjaciel wykorzysta swą dominującą pozycję w

ponapoleońskiej Europie dla zrealizowania ich dawnych planów uszczęśliwienia narodów europejskich, a wśród nich także narodu polskiego. Postępowanie Aleksandra na kongresie wiedeńskim oraz w pierwszych miesiącach po jego zakończeniu podtrzymywało księcia w tej wierze.

W 38 roku życia "wybawca Europy" znajdował się jesienią 1815 roku w szczytowym punkcie swych osiągnięć życiowych. "Przeniknięty wielkością misji wypełnionej, coraz skłonniejszy do mistycyzmu i odnajdywania w sobie posłannictwa Bożego - pisał o Aleksandrze tamtych dni znakomity historyk Marian Kukiel - powrócił do idei, rozważanej niegdyś z polskim przyjacielem młodości: idei ligi narodów ku obronie sprawiedliwości i pokoju."

Dażenia Aleksandra doczekały się swoistej realizacji na krótko przed jego przyjazdem do Warszawy. 26 września 1815 roku, w Paryżu, trzej zwycięscy mocarze Europy: cesarz Rosji, cesarz Austrii i król Prus podpisali, opracowany przez Aleksandra, osobliwy układ polityczno_religijny, który miał przejść do historii pod nazwą Świętego Przymierza. Trzej monarchowie, uznając się za "powołanych przez Opatrzność, by rządzić trzema gałęziami rodziny

chrześcijańskiej", zobowiązywali się do współdziałania w duchu chrześcijańskiego braterstwa zgodnie z nakazami Pisma Świętego, do obrony pokoju i sprawiedliwości.

Z czasem Święte Przymierze miało ujawnić swe ukryte treści i stać się w rękach polityków narzędziem "posuniętej do skrajności reakcji, ucisku ludów i prześladowania wolnej myśli". Na razie jednak na pierwszy plan wysuwały się jego wzniosłe hasła humanitarne.

Po uszcześliwieniu Europy Świętym Przymierzem, zapragnął Aleksander uszcześliwić swoje własne cesarstwo rosyjskie konstytucją oraz innymi reformami w duchu liberalnym. A to wiązało się już bezpośrednio ze sprawą polską. Z wywalczonego na kongresie wiedeńskim Królestwa Polskiego cesarz_król zamierzał uczynić poletko doświadczalne do wstępnego wypróbowania wielkiego eksperymentu liberalizacji Rosji. Wprowadzony w te zamiary Czartoryski miał prawo wierzyć, że jego cesarski przyjaciel - we własnym interesie - uczyni wszystko, aby zapewnić Królestwu rozwój jak najbardziej pomyślny. Ale wiedział też Czartoryski, lepiej niż ktokolwiek inny w Polsce, jak bardzo przeciwstawiać się będą liberalnym zamierzeniom Aleksandra zachowawcze koła rządzące cesarstwa. Dlatego usilnie nakłaniał rodaków, aby w pełni zaufali cesarzowi_królowi, czekali cierpliwie na spełnienie jego obietnic i nie kompromitowali go wobec Rosjan nadmiernymi bądź przedwczesnymi żadaniami.

Mniej optymistycznie niż Czartoryski zapatrywał się na

szczerłość intencji Aleksandra
wobec Polaków inny polski
przyjaciel cesarza_króla
jego generał_adiutant i aktualny
faworyt, Adam Ożarowski - syn
powieszzonego w roku 1794 hetmana
targowiczanina. Z natury chłodny
karierowicz, ale nie wyzbyty
jeszcze całkowicie poczucia
solidarności z ojczystym
narodem, generał_adiutant
Ożarowski przy każdej okazji
otwierał rodakom oczy na niestały
charakter cesarza i studził ich
nadmierny optymizm. Wiadomość o
jednym z takich demaskatorskich
działań Ożarowskiego przetrwała
w pamiętnikach Antoniego
Ostrowskiego, członka delegacji

posłkiej, wysłanej w sierpniu
1815 roku do przebywającego
wówczas w Paryżu cesarza_króla z
"hołdem najgłębszego uszanowania
i najczulszej wdzięczności".

"Delegacja była zachwycona
uprzejmością cesarza i (...)
jego ubiorem - pisał Ostrowski -
wdział on na jej przyjęcie
polski mundur granatowy ze
złotym kołnierzem i zawiesił na
piersiach order Orła Białego na
wstędze błękitnej." O tym, co
nastąpiło bezpośrednio po
odejściu delegacji, dowiedział
się jej kronikarz właśnie od
Ożarowskiego. "Po audyencji
(cesarz) rzekł do Ożarowskiego:
- Po odegranej komedii aktorowie
zrzucają mundur. Wracam do
munduru rosyjskiego, a ciebie
mianuję kawalerem orderu Orła
Białego. - To mówiąc zdjął
wstęgę z orderem i zawiesił ją
na piersiach swego adiutanta."

Dziwne, że o tej nieprzyjemnej
rewelacji Ożarowskiego nie
dowiedziała się, zazwyczaj
dobrze poinformowana, księżna
Izabela Czartoryska. Gdyby o
niej wiedziała, nie pobudziłby
jej do płaczu widok Aleksandra w

polskim mundurze.

W okresie uzgadniania zasad polskiej konstytucji Ożartowski często bywał w Warszawie jako specjalny wysłannik cesarza. I znowu, dezawuuując swego pana, tłumaczył autorom konstytucji, że despotyczny wielki książe Konstanty, niezależnie od takich czy innych oświadczeń swego cesarskiego brata, i tak pozostanie w Warszawie jako faktyczny wicekról. Dlatego doradzał rodakom "mniej zajmować się subtelnościami jakiejś liberalnej konstytucji, natomiast obmyśleć środki kładące tamę samowoli wielkiego księcia".

Przyszłość miała wykazać, że w ocenach postępowania i zamiarów cesarza_króla Ożarowski bliższy był prawdy niż Czartoryski. Na ogół

jednak chętniej wierzono Czartoryskiemu. Głównie dlatego, że w istniejącej sytuacji historycznej mieszkańcy kongresowego Królestwa Polskiego nie widzieli przed sobą żadnego innego wyboru poza życiem pod rządami Aleksandra. Czekano więc cierpliwie na spełnienie się obietnic cesarza_króla i nie kompromitowano go przesadnymi żądaniami.

* * *

W swoich listopadowych rozmowach warszawskich Aleksander w jednej tylko sprawie zachował milczenie do końca: nie zdradził się przed żadnym z polskich rozmówców, kogo zamierza mianować swoim namiestnikiem.

Szeroko rozeszła się już wieść o zapewnieniach cesarskich, że Konstanty zajmować się będzie tylko wojskiem, więc wierzono

powszechnie, że namiestnikiem królewskim zostanie Czartoryski; zwłaszcza że Aleksander, jakkolwiek znał już donos Nowosilcowa, okazywał księciu i jego rodzinie ostentacyjną serdeczność. Ale właśnie w związku ze sprawą nominacji namiestnika Warszawa miała się zapoznać z ulubionym sposobem postępowania swego nowego pana, tak trafnie podpatrzonym i sformułowanym przez jego rosyjskiego biografa Nikołaja Szildera: "wszystkich pozostawiać w niepewności, w niejasności, a potem niespodziewanym rozstrzygnięciem w przeciwnym duchu i kierunku wprowadzać wszystkich w zdumienie". Nazwisko Zajączka wypłynęły dopiero w trzecim tygodniu pobytu cesarza w Warszawie - i to w okolicznościach dość niezwykłych i na pozór nie mających nic wspólnego z polityką.

"Kiedy prawie niewatpliwa zdawało się rzeczą - wspomina w swych pamiętnikach Kajetan Koźmian - że nie kto inny po ogłoszeniu Konstytucji mianowany będzie namiestnikiem, tylko ksiązę Adam Czartoryski, ciche szemrania i szeptania zaczęły się rozchodzić o generale Zajączku, który zasiadając w Komitecie Wojskowym do utworzenia armii polskiej wyznaczonym umiał się w.Księciu podobać i uległością jego woli zjednać sobie przychylność. Nie wierzono temu; w tej chwili właśnie (24 listopada - M.B.) wypadło przedstawienie Towarzystwa Nauk Cesarzowi. Licznie zebrane grono pod prezydencją Staszica wprowadzono do gabinetu tronowego; cesarz stał przy kominie, ksiązę Adam Czartoryski obok niego. Ksiązę przedstawił

Staszica, który przemówiwszy do cesarza krótko, ofiarował mu swoje dzieło o "Ziemioródtwie". Wystąpił Linde, również przedstawiony przez księcia, i ofiarował mu swój słownik. Cesarz łaskawie przyjął, położył na kominku i w krótkich w języku francuskim słowach zapewnił Towarzystwo o swojej przychylności i protekcji, potem obszedł łańcuch członków, a książę Adam każdego imiennie przedstawiał, następnie wróciwszy do komina i wzięwszy dykcjonarz Lindego w rękę, zaczął rozmowę o dialektach języków pobratymczych rosyjskiego i polskiego; na koniec zapytał, jaka jest etymologia nazwiska "Zajaczek". Gdy Linde wytłumaczył, cesarz powtórzywszy słowo "Zajaczek", pożegnał Towarzystwo. To nam dało poznać, że owe głucho szemranie o Zajaczkach nie było bez zasady, jakoż niebawem uiszcilo się".

A "uiszcilo się" dosłownie w ostatnich godzinach pobytu Aleksandra w Warszawie. Wobec

rozbieżności w dokumentacji trudno dokładnie ustalić, co nastąpiło wcześniej: zawiadomienie Czartoryskiego o jego nieoczekiwanej klęsce czy Zajaczka o jego nieoczekiwanym zwycięstwie?

Rozmowa z Czartoryskim odbyła się o pierwszej w nocy z 2 na 3 grudnia - a więc na dziesięć godzin przed wyjazdem cesarza z Warszawy. Czartoryski nigdy później nikomu o tej rozmowie nie wspominał i nie odnotował jej ani w pamiętnikach, ani w korespondencji. Jej treści, a raczej atmosfery, w jakiej przebiegała, można się jedynie domyślać na podstawie relacji członka świty cesarskiej

Michajłowskiemu_Danilewskiemu,
który wraz z dwoma innymi
Rosjanami z otoczenia Aleksandra
przebywał w tym czasie w
poczekalni gabinetu cesarskiego.
Michajłowskiemu_Danilewskiemu
odnotował na gorąco w swym
dzienniku, że Czartoryski
"wyszedł z pokojów cara ze
zmienionym wyrazem twarzy i
przez kwadrans chodził po
poczekalni jakby nieprzytomny,
nie patrząc na obecnych, nikomu
się nawet nie ukłoniwszy".

O rozmowie cesarza z
Zajączkiem wiadomo więcej, gdyż
dość obszernie zdaje z niej
sprawę w swoich wspominkach z
lat 1813_#1820 Julian Ursyn
Niemcewicz. Według relacji
Niemcewicza wywyższenie Zajączka
miało się odbyć bezpośrednio
przed wyjazdem Aleksandra z
Warszawy, w trybie kompletnego
zaskoczenia. 3 grudnia rano, tuż
po mszy porannej, cesarz_król
wezwał do siebie Zajączka i bez
uprzedzenia, niemal już na
wsiadającym, doręczył mu akt
nominacji na namiestnika.
"Niespodzianością tą zdziwiony
Zajączek wymawiał się szczerze i
usilnie: wiek swój, kalectwo,
głuchotę, niewiadomość, na
koniec cywilność przytaczając,

zapewniając króla, że cała
publiczność zdumieje nad tym
wyborem. Król mu odpowiedział:
"Jesteście szlachcicem polskim,
wylaliście krew za ojczyznę,
któż to znaleźć może
nieprzyzwoitem, że was mianuję,
nareszcie, jako król
rozkazuję".

Powyższą relację - opartą
najprawdopodobniej na
informacjach samego Zajączka, z
którym Niemcewicz jeszcze się
wtedy przyjaźnił - podaje w
wątpliwość rzetelny dziejopis
początków Królestwa

Kongresowego, Kazimierz Bartoszewicz. "Czy opór Zajęczka był sztuczny, czy prawdziwy rozstrzygnąć trudno - pisze Bartoszewicz. - Nie sposób jednak przypuścić, aby nic nie wiedział o czekającym go wywyższeniu. Wygląda raczej na to, że opieranie się jego wchodziło w program, że było środkiem do pozyskania sobie przez niego opinii. Kto jak kto, ale on nie wyglądał na człowieka mającego siłę odrzucić dostojeństwa, tytuły i władzę, których zawsze pożądał."

W związku z wątpliwościami Bartoszewicza można by wspomnieć jeszcze o pewnym zabytku budowlanym, który przetrwał do dziś w Opatówku. Są nimi dwa obeliski ozdabiające wjazd do parku pałacowego, wzniesione przez generała Zajęczka w roku 1815 na pamiątkę pobytu w Opatówku cesarza króla Aleksandra I. Jeżeli Aleksander rzeczywiście zadał sobie fatygę złożenia Zajęczkowi wizyty w Opatówku, to nie sposób uwierzyć, że podczas tej wizyty nie rozważano ewentualności powierzenia gospodarzowi godności namiestnika. Może to właśnie ta wizyta dała początek wspomnianym przez Koźmiana "szeptaniom i szemraniom" oraz zainteresowaniu Aleksandra etymologią nazwiska Zajęczek.

Czartoryski zniósł swą klęskę z godnością wielkiego pana i wielkiego patrioty. "Nominacja Zajęczka na namiestnika zdziwiła wielu - pisał w liście do ojca - ma atoli dobre strony; w najlepszych jest on teraz chęciach dla kraju i dla własnej reputacji. Jego ścisłe stosunki z w.księciem usuną wiele kwasów i przeszkód. Miałbym przyczynę skarżyć się osobiście na

cesarza, (...) ale to rzecz
uczuć partykularnych. Ja, co
bliżej sądzić mogłem w wielkiej
liczbie jego na przyszłość
dobroczywnych zamiarów, tem
większy mam obowiązek (...)
Trzeba dać przykład jedności
(...) Trzeba dowieść, że duch
partyi nie panuje i że niczem
niepodobna rozdzielić umysłów,
kiedy o los kraju idzie."

Warszawskiej opinii publicznej
nie stać było na podobną
wielkoduszność. Wywyższenie
Zajączka wywołało przede
wszystkim niezliczoną ilość
niewybrednych żartów i wierszy
satyrycznych, nawiązujących do
nazwiska nowego szefa rządu.
Natychmiast po ogłoszeniu
nominacji całą Warszawę obiegły
wierszowane koncepty o "Zajączku
zamienionym przez cara w
królika". W innych pisemkach
ulotnych, przypominając znane
przysłowie o górze, co zrodziła
mysz, pisano:

Nikt bez podziwu nie usłyszy,
że góry, co przez lat tysiące
same rodziły nam myszy,
dzisiaj rodzą już zające.

Trafiały się jednak także
utwory satyryczne Zajączkowi
przychylne i nie ukrywające
satysfakcji z powodu porażki
prorosyjskiego magnata,
Czartoryskiego. Autorem
najbardziej znanego z nich był
uwielbiany przez warszwian aktor
komiczny, Fortunat Alojzy
Gonzaga Żółkowski, późniejszy

wydawca pisma satyrycznego
"Momus", ojciec polskiego
kabaretu literackiego. Żółkowski
zabłysnął jako satyryk
polityczny po ustanowieniu
Królestwa Polskiego w okrojonych
przez kongres wiedeński
granicach. Występując wtedy w

przedstawieniu "Krakowiaków i
górali", wplótł w tekst swej
roli rymy własnego pomysłu:

Polska bez Poznania i
Wieliczki@ nie warta nawet
biednej świeczki.@

Rozwścieczony wielki książę
Konstanty kazał sprowadzić
Żółkowskiego do Belwederu i
zagroził mu, że "sto kijów
dostanie, jeżeli sobie pozwoli
jeszcze kiedy aluzyj
politycznych w swoich rolach".
Wychodzącego z pokojów
cesarzewicza popularnego aktora
otoczył tłum zebranych w
poczekalni wyższych oficerów
polskich i rosyjskich,
dopytując się o przebieg rozmowy
z Konstantym. "Dobre panisko -
odrzekł Żółkowski - daje nam
Kijów za Poznań". Nominację
Zajączka uczcił Żółkowski takimi
oto rymami:

Co hałasu, co tu wrzawy,@ że w
puławskie ogrody@ zakradł się
zając kulawy@ i zniszczył
pańskie zagrody.@

Jaka to zmiana natury,@ inne
rządy, inny szyk,@ zasługa idzie
do góry,@ a intryga fik, fik,
fik.@

Żółkowski wyrażał nie tylko
swoje poglądy. Za Zajączkiem, a
przeciwko Czartoryskiemu
opowiadali się jakobini,
liczni wojskowi, a także
urzędnicy miejscy, sędziowie i
adwokaci - słowem, jak ich
zgryźliwie określa Kajetan
Kozmian: "cała czereda
urzędnicza popruska i

pofrancuska".

Najbardziej jednak ucieszył
się z awansu Zajączka
cesarzewicz z Belwederu. "W.Ks.

Konstanty - świadczy
pamiętnikarz Franciszek z
Błociszewa Gajewski - nie
posiadał się z radości. - "Je
lui ai j~ue un tour ~a ma
fa~con" - mówił do osób go
otaczających." Pamiętnikarz nie
stara się wyjaśnić, komu to
Konstanty "wypłatał figla na
swoj sposób." Wiadomo, że mogło
chodzić jedynie o księcia z
Puław. Krótki przekaz
pamiętnikarski działa na
wyobraźnię, ukazując nominację
Zajączka na namiestnika
królewskiego w szczególnie
demaskującym świetle: jako
figiel Konstantego spleatany
Czartoryskiemu.

IV

A więc stało się! Dokonał się
najbardziej zadziwiający awans w
dziejach szlacheckiej Polski:
kresowy szlachetka,
chudopachołek, "wyojczyźniony"
kondotier, zmieniający panów i
sztandary, stanął na czele rządu
w swej ojczyźnie!

Czy wywyższenie Zajączka było
rzeczywiście figlem, spletanym
przez Konstantego
Czartoryskiemu? Poniekąd - tak.
Skoro cesarzewicz musiał
pozostać w Warszawie,
nienawidzący go i wzajemnie
przez niego znienawidzony
Czartoryski nie mógł pełnić przy
nim funkcji królewskiego
namiestnika. Nic więc dziwnego,
że wielki książę i zgodnie
współdziałający z nim w tej
sprawie Nowosilcow - uczynili
wszystko, aby popieranemu przez
opinię publiczną księciu z Puław
przeciwstawić powolnego sobie
wiceprezesa Komitetu Wojskowego.

Warto jednak wiedzieć, że poza

Konstantym i Nowosilcowem miał jeszcze Zajączek innych wpływowych protektorów. Wiadomo na przykład, że gorąco popierała swego dawnego gwardzistę przybocznego ustosunkowana na dworze rosyjskim naturalna ciotka cesarza: hetmanowa Branicka z Białej Cerkwi. Ale przede wszystkim o wyborze Zajączka zadecydowały jego "walory" osobiste. Znający dobrze brata, Aleksander doceniał wagę, jaką w oczach Konstantego miały zasługi wojskowe i mundur generalski napoleońskiego inwalidy (cesarzewicz obwieszczał wszem wobec, że nie znosi: cywilów, księży i literatów). Nowym panom Zajączka odpowiadał też jego wieloletni nawyk ślepego posłuszeństwa, sprawdzony w służbie Napoleona, a potem w urzędowaniu w Komitecie Wojskowym. Ważne również było, że nie stała za nim, jak za Czartoryskim, potęga rodu i majątku, co gwarantowało, że pozostanie całkowicie uzależnionym od tych, którzy wydzwignęli go na wyżyny. Nawet starość, kalectwo i bezdzietność Zajączka - przemawiały w opinii rosyjskich protektorów na jego korzyść: zapewniały bowiem, że nie grożą z jego strony żadne zakusy na ufundowanie własnej dynastii.

Urząd namiestnika królewskiego nie był jedynym prezentem, jakim obdarzył Zajączka cesarz-król na wyjeździe z Warszawy. Za owocną działalność w Komitecie Wojskowym (jesienią 1815 roku nowa armia polska liczyła już 20000 żołnierzy) - Zajączek i Dąbrowski awansowali na generałów broni: pierwszy został generałem piechoty, drugi - generałem kawalerii. Ponadto - na mocy nowej konstytucji, podpisanej przez Aleksandra 27 listopada - otrzymał Zajączek wraz z Czartoryskim, Wawrzeckim,

Dąbrowskim i Wielhorskim godność wojewody. W Królestwie Kongresowym, podobnie jak w Księstwie Warszawskim, była to już godność na poły tytułarna, ale zapewniała dożywotnie miejsce w senacie oraz rozmaite korzyści i przywileje; wśród nich prawo używania sześciokonnego zaprzęgu. Skoro mowa o zaprzęgu, warto wspomnieć i o woźnicy. Szczegół raczej zabawny, lecz nadzwyczaj charakterystyczny dla generała Arbuza. W okresie napoleońskim na koźle pojazdu Zajączkowego zasiadał egzotyczny mameluk Ibrahim, podobny do mameluków Napoleona. Gdy nastał czas protektoratu Konstantego, naśladowający we wszystkim aktualnego pana Zajączek - jak informuje z najgłębszym niesmakiem Niemcewicz - "przyjął na woźnicę brodatego markietana rosyjskiego".

Na uroczyste ogłoszenie konstytucji i odebranie przysięgi od namiestnika królewskiego wyznaczono dzień 24 grudnia - rocznicę urodzin Najjaśniejszego Cesarza i Króla.

Uroczystość odbywała się w Sali Senatorskiej Zamku Królewskiego, a jej mistrzem ceremonii był sekretarz główny Rządu Tymczasowego, referendarz Józef Kalasanty Szaniawski, zwany przez dowcipnisiów warszawskich "rudą peruczką" - dawny jakobin i współbojownik Zajączka w paryskich rozróbach przeciwko Dąbrowskiemu sprzed lat dwudziestu.

Po odczytaniu przez Szaniawskiego "wyroku", upoważniającego Rząd Tymczasowy do ogłoszenia Ustawy konstytucyjnej, zabrał głos wiceprezes Rządu Tymczasowego Adam Czartoryski.

Czartoryski przetrwał w historii Polski jako wybitny

polityk i mąż stanu. Ale mowa
wygłoszona 24 grudnia 1815 roku

nie wystawiała dobrego
świadczenia jego
dalekowzroczności politycznej.
Na swą obronę miał jedynie to,
że konstytucja Królestwa
Polskiego, związanego unią
personalną z cesarstwem
rosyjskim, była ukochanym
dzieckiem jego myśli - wynikiem
wieloletnich trudnych zabiegów i
wyrzeczeń. Pomimo doznanego
dopiero co ciężkiego zawodu
osobistego, nadal niezachwianie
wierzył w "dobre zamiary" swego
cesarskiego przyjaciela. Jemu
też poświęcał główne fragmenty
swego przemówienia. "Mógł władać
tylko potęgą (...) mógł w
najtwardsze więzy bezbroną
oblec krainę - słaawił Aleksandra
- ale prowadzony światłem
wyższym i cnót swoich
natchnieniem, wolał rządzić
cudowną siłą, która wprowadza w
miejsce postrachu obowiązki, w
miejsce przymusu poświęcenia i
chęci dobrowolne, a w
powszechnej zgodności wolę i
interes wszystkich łączy." Składał więc mówca hołd "Twórcy,
Dobroczyńcy i Królowi, którego
trudu owocem jest ustawa
przyszłe szczęście
zabezpieczająca". Wyrażał też
radość z "połączenia z bratnim
a szlachetnym narodem, którego
wielkość już nie trwożyć, ale
zabezpieczać będzie". Mówiąc o
samej uroczystości, Czartoryski
zapędził się w słowa, których
nie będzie mógł później
wspominać bez zażenowania.
"Dzień dzisiejszy - powiedział -
wiecznie na tej ziemi
obchodzonym będzie, póki na niej
mowa Polska da się słyszeć, póki
w mieszkańcach krew przodków nie
zastygnie."

Po mowie Czartoryskiego

minister sekretarz stanu Ignacy Sobolewski odczytał tekst Ustawy konstytucyjnej. "Przy artykule 108, stanowiącym, iż członkami senatu są książęta krwi cesarsko_królewskiej, wszyscy

senatorowie powstawszy, oddali ukłon w.ks. Konstantemu, który w mundurze rosyjskim zasiadł zaraz krzesło w senacie, po prawej stronie tronu, przed biskupami."

Potem Julian Ursyn Niemcewicz, jako sekretarz senatu, odczytał krótkie "expos~e" sędziwego prezesa senatu Tomasza Ostrowskiego. "Akt ten - pisał o nowej Ustawie konstytucyjnej 80_letni prezes dwóch kolejnych senatów: Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego - to pomnik świadczący o świetnych cnotach i mądrości, które imieniowi MOnarchy naszego nieśmiertelność zaręczają (...) Oddajmy pod straż i zachowanie odradzającym się pokoleniom ten nowy zaród istnienia naszego, ten święty ogień rozniecony w sercach naszych, a nikt z obcych ani się na swobody i wolności nasze narodowe targnąć, ani nam ich odjąć nie będzie dosyć silnym." Ponieważ Niemcewicz nie był pozbawiony instynktu politycznego, wolno przypuszczać, że w delektowaniu się wzniosłymi słowami Ostrowskiego musiał mu bardzo przeszkadzać ukłon, złożony chwilę wcześniej wielkiemu księciu_cesarzewiczowi.

Sam tekst konstytucji przyjęto na ogół bardzo dobrze. Zwracano uwagę, że w niektórych częściach jest bardziej liberalny i demokratyczny od konstytucji Księstwa Warszawskiego. Trzeba będzie dopiero doświadczeń następnych piętnastu lat, aby ostre pióro Joachima Lelewela

mogło należycie objaśnić różnice między dwiema konstytucjami. "Za Księstwa - napisze Lelewel - nie było gwarancji wolności osobistej i wolności słowa, ale nikt jakoś nie odczuwał ich braku; za Królestwa były gwarancje, ale nikt jakoś nie odczuwał ich istnienia."

Po uroczystym ogłoszeniu

Ustawy konstytucyjnej rozpoczął się akt zaprzysiężenia namiestnika królewskiego.

Józef Kalasanty Szaniawski odczytał nominację Zajączka oraz pismo cesarza króla, upoważniające Rząd Tymczasowy do odebrania przysięgi od namiestnika. Wezwany przez ministra skarbu Matuszewicza i ministra sekretarza stanu Sobolewskiego, Zajączek - powoli kusztykając, wsparty ciężko na kulach - zbliżył się do podnóża tronu. Minister Sobolewski odczytał rotę przysięgi.

"Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, iż sprawować będę w imieniu Króla rządu Polski stosownie do aktu konstytucyjnego, do praw i do pełnomocnictwa królewskiego, i że złożę Królowi władzę, którą mi powierzył, skoro się Jego Królewskiej MOści zdawać będzie."

Po przysiędze namiestnik podtrzymywany przez ministrów zajął miejsce na tronie. Musiała to być dla Zajączka chwila upajającego zadośćuczynienia. Był to przecież tron króla Stanisława Augusta, do którego nienawiść stanowiła jeden z zasadniczych wątków jego lat młodzieńczych, zanim nie przeniósł jej z jeszcze większą siłą na królewskiego bratanka. Tronowe przemówienie namiestnika dowodziło, że ta obsesyjna nienawiść, pomimo śmierci obu

Poniatowskich, jeszcze w nim nie
wygasła. Dała o sobie znać w
ustępie mowy, wychwalającym
wielkiego księcia Konstantego.
"Wódz ten - powiedział świeżo
mianowany namiestnik - wojsko na
takim postawił stopniu, do
jakiego nigdy nie doszło, ani
pod innym wodzem dojść by
mogło."

Słowa te wywołały oburzenie
wśród zebranych w Sali
Senatorskiej, gdyż dopatrzono
się w nich obrazy pamięci,

uznanego już powszechnie za
bohatera narodowego, księcia
Józefa Poniatowskiego.
"Pochlebstwo dla W.Księcia
KOnstantego, jako dowódcy Wojska
Polskiego - pisze Kazimierz
bartoszewicz - raziło niemile
umyślnym zlekceważeniem
ostatniego wodza tego wojska,
którego prochy świeżo złożył
naród na Wawelu. * Było to
przykre, zapóźnione echo
osobistej urazy, pośmiertne
poniżenie pamięci utraconego
wodza, poniżenie prochów księcia
Józefa."

W tym miejscu autor
"Utworzenia Królestwa
Kongresowego" pomylił się, gdyż
zwłoki księcia Józefa spoczywały
jeszcze wtedy w krypcie kościoła
Świętego Krzyża w Warszawie, na
Wawel przewieziono Je dopiero w
półtora roku później.

Po mowie Zajączka prezes
Senatu "wezwał obecnych do
złożenia dziękczynień
Wszehmocnemu Bogu". Dostojne
grono przeszło "in corpore" do
pobliskiej katedry św. Jana,
gdzie "Te Deum" zaintonował,
celebrujący nabożeństwo
dziękczynne, biskup
chełmsko_lubelski Wojciech
Skarszewski. Ten sam biskup
Skarszewski, którego w roku 1794
Zajączek chciał powiesić za

zdradę ojczyzny.

Po południu - kiedy w domach warszawskich czyniono już przygotowania do wieczerzy wigilijnej - senator i tajny radca Nowosilcow, mianowany przez Aleksandra w dniu podpisania konstytucji cesarsko_królewskim komisarzem pełnomocnym przy Radzie Stanu, wydał "wielki obiad" na cześć konstytucji i namiestnika. Ten autentyczny, historycznie udokumentowany "bal u senatora" równie silnie działa na wyobraźnię, jak tamten - literacki z "Dziadów". Niektórzy uczestnicy warszawskiego obiadu,

paradoksalnym powikłaniem swych losów, śmiało mogliby konkurować z najwymyślniejszymi kreacjami poetów i beletrystów.

Oto gospodarz przyjęcia: demoniczny senator Nowosilcow - znienawidzony w Warszawie, "Zyzak". Święci uroczyście ogłoszenie nowej konstytucji, a sam jest tej konstytucji najjaskrawszą obrazą. Nie przewidywała bowiem Ustawa konstytucyjna Królestwa stanowiska nadetatowego opiekuna i kontrolera Rządu - w dodatku Rojsanina. I to Rosjanina tak nieprzychylnego Polakom. Niegdyś był Nowosilcow liberałem i wspólnie z cesarzem Aleksandrem i księciem Czartoryskim obmyślał postępowe reformy dla uszczęśliwienia ludów - w dziejach Królestwa Kongresowego zapisze się jako zaciekły przeciwnik polskiej odrębności państwowej i narodowej, wróg konstytucyjnych swobód, arcy mistrz politycznej intrygi i policyjnej prowokacji.

A oto niektórzy z najważniejszych gości przyjęcia, biorący najwyższe miejsca za stołem. Biskup lubelski, który

dla uchronienia swej diecezji
upoważnił sejm do zatwierdzenia
rozbioru rozległej, suwerennej
Rzeczypospolitej, aby w
dwadzieścia lat później
przewodząc modłom dziękczynnym
za maleńkie satelickie
Królestwo. Generał namiestnik,
który rozpoczynał karierę jako
burzyciel starego świata królów
i cesarzy, aby później ślepe
posłuszeństwo władcom uczynić
naczelną zasadą swego życia i
postępowania. Książę polityk,
który od młodości szczęście
Polski widział w łączności z
cesarstwem rosyjskim, aby
później w chwili, gdy myśl jego
wyda pierwsze owoce, zostać
brutalnie "wykopanym" ze sceny
politycznej.

I jeszcze jeden pomniejszy

gość przyjęcia: referendarz
Józef Kalasanty Szaniawski
"alias" "Ruda peruczka".
Niegdyś najwścieklejszy z
polskich czerwieńców,
dziennikarski paszkwilant,
nadużywający wolności słowa aż
do występnej przesady - w
najbliższej przyszłości naczelny
cenzor życia kulturalnego w
kongresowej Polsce, tłumiciel
wszelkich przejawów krytyki,
ostoją reakcyjnej
praworządności.

Skład osobowy warszawskiego
"balu u senatora" nie rokował
dobrej przyszłości rodzącemu się
Królestwu.

Uroczysty dzień zakończyła
odświętna iluminacja miasta,
trwająca całą noc. Szczególny
podziw wzbudzało ogromne
przezrocze, rozpięte na Nowym
Świecie przed kwaterą generała
Sokolnickiego. "Widziano na tem
przezroczu - relacjonuje
Kazimierz Bartoszewicz -
świątynię egipską, "obraz"
N.Cesarza i Króla w mundurze

polskim, wieżę Aleksandryjską,
widok Aleksandryi, popiersie
Zajączka, wreszcie Oko
Opatrzności, z którego źrenicy
promień odbijał się o kulę złotą
na szczycie wieży umieszczoną i
oświecał całą okolicę.
Oczywiście były na przezroczu i
napisy pełne uwielbienia dla
powtórnej, lecz lepszej edycji
Aleksandra Wielkiego i
pochlebstwo dla jego
namiestnika."

Poeta Molski uczcił Zajączka
krótkim, lecz pełnym treści
wierszykiem:

Pod trzema monarchami droga
Marsa chodził@ wspaniały
Aleksander cnotę wynagrodził.@

W trzy miesiące później - z
okazji uroczystości obchodzonych
imienin namiestnika - Molski da
dodatkowo upust swej weni
poetyckiej, wychwalając Zajączka

ustami cesarza_króla:

Zostawię namiestnikiem męża z
przymiotami,@ wojownik pełen
zasług, obywatel prawy,@ on
będzie wykonawcą danej wam
ustawy.@ Zaufanie i godność,
którymi go zdobię,@ nie swoim
przodkom winien, lecz samemu
sobie.@

Mniej pompatycznie, ale za to
zabawniej pisał o tym samym inny
- nie ujawniony z nazwiska -
autor wierszy ulotnych:

Alexander choć krótko w
Warszawie zabawiał,@ jednakowoż
Cud wielki Polakom objawił.@ Bo
czego dotąd żadna nie pisze
Kronika,@ on zrobił z kulawego
Zaiąca Królika (...).@ Czemu
jedni się dziwią, a drudzy się
śmieją.@

* * *

Przekazanie władzy nowemu rządowi, sformułowanemu według wymogów konstytucji, odbyło się 27 grudnia po południu, w Pałacu Rzeczypospolitej przy placu Krasińskich. W sali posiedzeń Rady Stanu zebrali się członkowie ustępującego Rządu Tymczasowego, senatorowie, nowi ministrowie, rady i referendarze stanu. Kiedy dano znać o przybyciu namiestnika, prezes Rządu Tymczasowego, Wasyli Łąnskoj, wydelegował jednego ze swoich ministrów i jednego z senatorów, aby go powitali i zaprosili na salę. Zajączek, po odstawieniu kul, na których się wspierał, zajął miejsce przy prezesie ustępującego rządu, po czym sekretarz generalny Józef Kalasanty Szaniawski odczytał pismo cesarza_króla, upoważniające Rząd Tymczasowy do "instalacji" namiestnika i Rady Stanu. Po odczytaniu aktu złożonej przez Zajączka przysięgi, zabrał głos Łąnskoj.

Pomimo jego powszechnie znanej niechęci do propolskiej polityki Aleksandra, przemówienie ociekało miodem. Mówił o "najdobrotliwszych zamiarach Najjaśniejszego Pana, widocznie zwiastowanych w nadanej, najwspanialszej konstytucji i powierzeniu namiestniczej władzy w ręce męża tak znakomicie zasłużonego ojczyźnie". Po ogłoszeniu, że Rząd Tymczasowy zostaje rozwiązany, Łąnskoj i Nowosilcow opuścili salę posiedzeń (Nowosilcow powróci do niej innymi drzwiami jako cesarsko_królewski komisarz przy nowej Radzie Stanu).

Zajączek, przerzuciwszy się za pomocą swych kul na fotel prezesa Rady Stanu, wygłosił

krótka mowę inauguracyjną.
"Wynurzył wdzięczność Cesarzowi
za położone w nim zaufanie,
zapewnił o chęci poświęcenia
reszty swych sił starganych,
żeby godnie odpowiedzieć tak
znakomitemu wezwaniu, wyraził
nadzieję, że otrzyma pomoc w
znanem obywatelstwie i znanem
świetle swych szanownych
współpracowników, zakończył
wreszcie życzeniem, aby dążeniem
narodu było pozbyć się wad,
szkodzących dobru ojczyzny, a
wspólnymi natężeniami spieszyć
do tego wzniosłego celu, który
potężna ręka Aleksandra I
wskazała."

Potem nastąpiła prezentacja
nowych ministrów, powołanych
przez cesarza_króla przed jego
wyjazdem z Warszawy.
Przedstawiał ich namiestnikowi
wiceprezes rozwiązanego Rządu
Tymczasowego, książe Adam Jerzy
Czartoryski.

Sześciu członków Rady
Administracyjnej *
przedefilowało z niskimi
ukłonami przez rozpartym w
prezydialnym fotelu generałem
inwalidą, a książe Czartoryski
wymieniał kolejno ich nazwiska i
powierzone im funkcje. Była to

oczywiście czcza formalność,
gdyż Zajączek wszystkich nowych
ministrów znał doskonale i
słuchając ich nazwisk,
wypowiadanych uroczyście przez
księcia Adama, miał jedynie
sposobność do wertowania w
pamięci różnych okresów swego
życiorysu.

Nowa Ustawa konstytucyjna
stanowiła, że w nieobecności
monarchy naczelną władzę w
Królestwie sprawuje namiestnik z
działającą pod jego
przewodnictwem Radą Stanu,
złożoną z ministrów, radców
stanu i innych osób powołanych

przez króla. Rządem właściwym była, wyłoniona z Rady Stanu, Rada Administracyjna Złożona z sześciu ministrów, stojących na czele odpowiednich komisji. Zarówno zebranie ogólne Rady Stanu, jak Rada Administracyjna - miały tylko głos doradczy. Konstytucja wyraźnie stwierdzała, że "zdanie Namiestnika jest jedynie stanowcze".

Stanisław Kostka Potocki - minister prezydujący w komisji wyznań religijnych,

Tadeusz MÓstowski - minister prezydujący w komisji spraw wewnętrznych,

Tadeusz Matuszewicz - minister prezydujący w komisji przychodów i skarbu.

Odpowiadając dostojnym skinieniem głowy na pełne uszanowania ukłony trzech nowych podwładnych, Zajaczek musiał odczuwać sporo złośliwej przyjemności. Ci trzej nowi ministrowie Królestwa Polskiego zasiadali przedtem w naczelnych władzach Księstwa Warszawskiego i w swoim czasie niemało krwi mu napsuli. Z nimi właśnie staczał swe zażarte boje o prawo do lasów, graniczących z Opatówkiem. To oni starali się wyzuć go całkowicie z donacji napoleońskiej, a nawet wygryźć go z armii. Patrząc na ich

pochylone w ukłonach głowy, mógł sobie z satysfakcją powtarzać: a jednak wyszło na moje!...

Z pozostałymi członkami Rady Administracyjnej nie miał zastarzałych porachunków, przeciwnie: wiązały go z nimi wspólne przeżycia przeszłości bądź obiecujące widoki na przyszłość.

Tomasz Wawrzecki - minister prezydujący w komisji

sprawiedliwości.

Starzec czcigodny i wielce zasłużony. Po klęsce maciejowickiej oni dwaj wzięli na siebie ciężar dowodzenia insurekcją. Z nim uzgadniał plany obrony Pragi i Warszawy. Teraz - po latach dwudziestu - zbliżała ich do siebie, wyrażana słowem i czynem, gorliwa aprobata nowej rzeczywistości.

Generał Józef Wielhorski - minister prezydujący w komisji wojny.

Tego znał jeszcze młodziutkim chłopcem. Ojciec generała, wielki kuchmistrz koronny, w latach barskich wprowadzał go w arkana dyplomacji i kierował jego pierwszymi krokami na paryskim bruku. Z całej znienawidzonej klikki Poniatowskiego jedynie generał Wielhorski do końca pozostał mu bliski. Później spotykali się przy pracy w Komitecie Wojskowym. Tak bardzo się z sobą w tej pracy zgadzali, że Wielhorskiemu aż to szkodziło w opinii rozpolitykowanych warszawskich salonów i rozzuchwalonej warszawskiej ulicy.

Ignacy Sobolewski - minister, sekretarz stanu.

Tego znał najsłabiej, ale witał chyba najserdeczniej, bo ze wszystkich nowych ministrów ten był dla niego najważniejszy.

Konstytucja stanowiła, że minister sekretarz stanu stale rezydować będzie w Petersburgu przy boku króla, "aby mu przedstawiać sprawy przesłane przez Namiestnika i nawzajem przesyłać Namiestnikowi postanowienia królewskie".

Powołanie konstytucyjnego

rządu nie wywarło w społeczeństwie specjalnie wielkiego wrażenia. Wprawdzie nowy rząd, w odróżnieniu od poprzedniego, był "w całości narodowy", to znaczy składał się z samych Polaków, wprawdzie należeli do niego ludzie o znanych w kraju nazwiskach, ale w jego zapleczu nadal straszyły złowróżbne cienie Konstantego i Nowosilcowa. Powszechnie żałowano, że nie wszedł do nowych władz współtwórca Królestwa i jego konstytucji, książę Czartoryski. Książę miał wielu przeciwników politycznych, lecz nikt nie wątpił o jego ofiarnym patriotyzmie. Ale cesarz_król, zniechęcony do polskiego przyjaciela, pozostawił mu jedynie dekoracyjną godność senatora_wojewody.

Po zakończeniu formalności, związanych z przejęciem władzy, namiestnik wydał "Odezwę do Narodu". Była ona zbiorem takich samych pompatycznych frazesów i pochlebstw wobec nowych panów - jakie powtarzano już wielokrotnie w poprzednich odezwach i przemówieniach. Ale Zajączek, z właściwym sobie brakiem taktu, i tym razem przekroczył granicę przyzwoitości, dopuszczając się gafy jeszcze bardziej drastycznej niż niedawna obraza pamięci księcia Józefa. Wychwalając cnoty i dobrodziejstwa Aleksandra, skierował do Polaków retoryczne pytanie: "Kiedyż na waszym tronie tyle cnót i wielkości istniało?" Łatwo sobie

wyobrazić, jak rozjątrzyć musiały te słowa patriotów polskich, zapatrzonych w wielką przeszłość swego narodu. "Pochlebca może nie czuł nawet -

oburza się na Zajączka Kazimierz Bartoszewicz - jak urąga całej przeszłości, jak poniża cienie wielkich królów, których imiona potomność ze czcią wymawiała".

"Odezwa do Narodu" Zajączka nosiła datę 1 stycznia 1816 roku. Pod tą samą datą Adam Czartoryski pisał w liście do swego przyjaciela generała_literata Ludwika Kropińskiego: "Zdaje się, że moja rzecz skończona.

POstawienie na nogach jakośkolwiek niedołączonych tej biednej Polski było moją pensa (...) Więc ja zawód swój dobiegłem. Niechaj inni teraz pracują; znajdę się może później".

V

Radości i strapienia, wynikające z bajecznego wywyższenia generała Arbuza, dzieliła z nim jego francuska małżonka: pani Alexandrine Zajączkowa (z domu de Pernette, z pierwszego męża - doktorowa Isaurat). W czasach napoleońskich pani generałowa nie odgrywała pierwszoplanowej roli w życiu towarzyskim wyższych sfer Księstwa Warszawskiego. Przede wszystkim dlatego, że rzadko pokazywała się w Warszawie, większość swego czasu poświęcając niestrudzenie wojażom na szlaku Opatówek_Paryż. Poza tym warszawskie arystokratki krzywiły się na jej niezbyt wysokie pochodzenie. Wypominano jej, że we wczesnej młodości była "baletniczką" na dworze Ogińskiego w Słonimiu, a później "zwykłą cyrulikową" na dworze

Branickich w Białymstoku.

Kronikarze życia towarzyskiego nazywali ją lekceważąco "Pernetką" - bądź, od nazwiska pierwszego męża - "Izora", co brzmiało już wręcz obraźliwie. Zachwycono się jedynie jej legendarnymi talentami kosmetycznymi, dzięki którym, pomimo zaawansowanego wieku, udawało jej się zachować urodę i pozory młodości. "Była ona jednym z najwięcej zadziwiających zjawisk czasu swego - świadczy warszawski kronikarz - śmieszna wydawać się mogła ta nieustanna walka z potęgą czasu, choć przyznać należy, że zwycięstwo było po stronie walczącej."

Po wyniesieniu jej przez awans męża do godności pierwszej damy Królestwa, pani Alexandrine szybko dowiodła, że stać ją na zwycięstwa nie tylko w dziedzinie kosmetyki. Już w kilka dni po "instalacji" konstytucyjnego rządu nie starzejąca się namiestnikowa olśniła Warszawę - i nie tylko Warszawę - odwagą i siłą charakteru nieodrodnej potomkini francuskich hugonotów.

Okazję po temu nastroczył pierwszy bal, wydany przez namiestnika na Zamku Królewskim. "Bal ów - informowała prasa warszawska - rozpoczął tańcem polskim ("danse polonaise") Wielki Książę Konstanty z namiestnikową Zajączkową." Na pozór nie było w tej informacji nic zaskakującego, gdyż trudno było oczekiwać, że inauguracyjnego poloneza poprowadzi osobiście beznogi gospodarz balu. A jednak owa banalna notka gazetowa nie była pozbawiona pewnej pikanterii. Ale odczuć ją mógł jedynie ktoś, kto wiedział, że tancerze wiodącej pary zamkowego poloneza byli ze sobą na zabój pokłóceni w wyniku gwałtownej scysji towarzyskiej, która rozegrała

się na krótko przed balem w apartamentach namiestnika.

Bohaterkami przedbalowej awantury były dwie Francuzki: z jednej strony - bohaterka pozytywna: madame Alexandrine Pernette_Isaurat_Zajączkowa, ślubna żona królewskiego namiestnika; z drugiej - bohaterka negatywna: madame Josephine

Friedrichs_Weiss_Aleksandrowa, konkubina wielkiego księcia Konstantego, matka jego syna Pawła Aleksandrowa.

Cesarzewicz był już w tym czasie pod urokiem swej przyszłej żony: pięknej Polki Joanny Grudzińskiej, ale wieloletnią kochankę nadal darzył serdecznym uczuciem i szanował jako matkę swego uznanego potomka. Że zaś miał wobec niej sumienie trochę nieczyste, tym pilniej starał się zaspokajać wszystkie jej zachcianki. A głównym marzeniem pani Friedrichs było uzyskanie wstępu na warszawskie salony, czego dotychczas uparcie jej wzbraniano, pomimo dyskretnych nacisków ze strony Belwederu.

Bal na Zamku Królewskim pod patronatem posłusznego namiestnika wydał się Konstantemu wymarzoną okazją do wprowadzenia swojej "Fifine" w sam środek warszawskiego wielkiego świata i przełamania raz na zawsze gnębiącego ją ostracyzmu towarzyskiego. Ale "notre bien aimé chef" (tak mówił o Konstantym Zajączek) nie wziął pod uwagę pewnej drobnostki: że razem z posłusznym namiestnikiem balowi na Zamku patronowała niepokorna namiestnikowa. A tu kosa trafiła na kamień. Szczegółowy przebieg przedbalowego zajścia przekazuje w swoich "Wspomnieniach naocznego świadka" Anna z Tyszkiewiczów Potocka_Wąsowiczowa. Oto jej

relacja:

"Zapowiadał się właśnie wielki bal u namiestnika. NOWOSILCOW, zawsze usłużny, podjął się poprosić o zaproszenie dla pani Friedrichs. Szczęściem pani Zajączkowska weszła akurat do męża w chwili, gdy toczyły się pertraktacje w tej delikatnej kwestii. Widząc, że generał skłania się do zgody, zapowiedziała, że jeśli ulegnie żądaniu tak sprzecznemu z przyzwoitością, ona uda chorą i nie pojawi się na balu. Chyba że wielki książę przyśle jej własnoręcznie sygnowany rozkaz na piśmie, żeby mogła usprawiedliwić się wobec pań z towarzystwa, uchybiłaby im bowiem bardzo poważnie, gdyby wprowadziła między nie osobę niegodną tego zaszczytu.

Wysłannik miłości, któremu powierzono układy, poniósł niespodziewaną klęskę. Pani Zajączkowska zniosła wyrzuty męża, przewidującego najgorsze nieszczęście w wyniku tego, co nazwał szaleńczym oporem. Tymczasem przeciwnie nieugięte stanowisko namiestnikowej, którego echo nie tylko rozległo się w Warszawie, ale dotarło wkrótce do Petersburga, zjednało jej powszechny szacunek.

Wielki książę poddał się, nie bez dąsów, ale nie ośmielił się powiedzieć słowa: czuł doskonale, jak nieprzyzwoite było jego wystąpienie (...) Zbyt słaby, żeby odmówić czegokolwiek kochance, licząc przy tym na służalczą powolność, której dowody składał namiestnik przy każdej sposobności, nie przewidział, że śmieszny jego projekt napotka nieprzebytą przeszkodę w osobie generałowej. Za wiele miał sprytu, żeby od razu pokazać po sobie, jak jest

urazony, ale z wolna gotował zemstę."

Cesarzewicz mścił się za krzywdę swej Fifine jeszcze przez wiele lat, ale przejawy

tej zemsty bywały na ogół tak prymitywne i nieporadne, że niemal zawsze obracały się na korzyść pani Zajączkowej, a niedoszłego cesarza Bizancjum (tę rolę przeznaczała Konstantemu jego babka Katarzyna II) pokazywały jako człowieka niepoważnego i źle wychowanego. Pani Potocka zachowała dla potomnych jeden z takich przykładów zemsty wielkoksiążęcej.

"Wkrótce po opisanych wyżej wypadkach - wspomina pamiętnikarka - władze miejskie wydały wielki bal na cześć Konstantego i poprosiły panią Zajączkową, aby przyjęła rolę gospodyni. Rzecz oczywista, pani Friedrichs nie otrzymała zaproszenia.

Stojąc na środku sali, książę nie krył złego humoru. Przyjęte było, żeby dama sprawująca rolę gospodyni najwięcej uwagi poświęcała temu, na którego cześć wydano bal. Na próżno jednak generałowa starała się zainteresować wielkiego księcia próbując różnych tematów. Zazwyczaj rozmowny, tego dnia odpowiadał półsłówkami. Naraz, podniósłszy do oczu lornetkę, zaczął przyglądać się z uwagą toalecie balowej pani Zajączkowej, toalecie tak eleganckiej i młodzieńczej, że młodziutka dziewczyna mogłaby jej pozazdrościć.

Uśmiech księcia nie wróżył nic dobrego. Pani Zajączkowa, której oku nic nie uchodziło, przygotowała się do odparcia ataku, udając, że nie dostrzega, z jaką uwagą Konstanty jej się

przygląda. Wybiła godzina zemsty
- nie było ucieczki.

- Wciąż jeszcze piętnaście
lat, wiek kwiatów i miłości! -
zauważył książę, przesuwając
lornetkę z góry na dół, tonem,
który nie pozostawiał
wątpliwości co do złośliwej
intencji jego słów.

- Czy wasza Cesarzewiczowska
Wysokość rozkaże, żebym się
oddaliła? - spytała pani
Zajączkowa popierając tych kilka
słów gestem, który wskazywał, że
gotowa jest opuścić bal. Spokój
jej i milcząca groźba tak zbiły
z tropu księcia, że zupełnie
stracił kontenans i zaczął się
niezręcznie tłumaczyć."

Godna postawa namiestnikowej i
tym razem zyskała jej w
Warszawie powszechny poklask.
Dzielna Francuzka sprawiła, że
ośmieszone do gruntu przez
ulotne pisemka nazwisko Zajączek
opromienił nie znany dotąd blask
godności, odwagi cywilnej i
obywatelskiej cnoty. Ale nie
trwało to długo. Już w
kilkanaście dni po pierwszej
awanturze balowej główny
nosiciel nazwiska jednym
niedźwiedzim stąpnieniem
unicestwił wszystkie osiągnięcia
żony, dając kpiarzom warszawskim
pole do jeszcze zuchwalszych
popisów, a historykom - podstawę
do jeszcze surowszych osądów.

To, na co pozwolił sobie
generał Arbuz na zebraniu
konstytucyjnego rządu Królestwa
w dniu 12 stycznia 1816 roku,
znacznie przewyższało ciężarem
gatunkowym wszystkie jego
uprzednie gafy razem wzięte.
Było postępkim bez precedensu
nie tylko w jego urozmaiconym
życiorysie, lecz w ogóle w całej
historii polskiego (a może nie
tylko polskiego?) życia
politycznego. Z pewnością

warszawski namiestnik nie był pierwszym i jedynym w historii mężem stanu, gruntującym swe postępowanie na dwóch niezmiennych podstawach: na ślepych posłuszeństwie wobec silniejszych i na dbałości o własny prywatny interes. Ale inni się do tych małodusznych pobudek nie przyznawali, obłudnie kryjąc się z nimi, przesłaniali je sztucznie dorabianą motywacją

ideowo_patriotyczną.

Impulsywnego Zajęczka nie stać było na takie maskowanie: w niespełna dwa tygodnie po objęciu urzędu namiestnika - z bezprzykładną brutalnością - wywalił kawę na ławę.

Owego dnia przedmiotem obrad Rady Administracyjnej były sprawy wojskowe. Rozpatrywano drastyczny spór kompetencyjny między ministrem wojny, generałem Józefem Wielhorskim, a naczelnym wodzem armii Królestwa, wielkim księciem cesarzewiczem. Uprzednio generał Wielhorski otrzymał od Rady Administracyjnej polecenie zorganizowania podległej mu rządowej komisji wojny. Tymczasem okazało się, że KONstanty, bez porozumienia się z Wielhorskim, opracował własny projekt organizacji komisji i, pomijając instancje konstytucyjne, przesłał go wprost do cesarza. Obecnie domagał się od Rady Administracyjnej, aby ten właśnie projekt poparła w Petersburgu. Na rozkaz KONstantego Wielhorski przedstawił książęcy projekt Radzie, zaznaczając jednak, że powstał on bez jego udziału i że "jako minister musi uważać go za sprzeczny z Ustawą

konstytucyjną". Tego samego zdania byli i inni członkowie Rady Administracyjnej. Zgodnie uznawano, że postępek brata cesarskiego był "pierwszym krokiem ku pogwałceniu konstytucji". Owe "pomruki buntu" musiały od razu dotrzeć do Konstantego, gdyż jeszcze przed zakończeniem debaty nagle wezwano Zajączka do Pałacu Brühlowskiego, gdzie cesarzewicz we właściwy sobie gwałtowny sposób wyraził niezadowolenie z powodu toczącej się dyskusji. Szef pierwszego konstytucyjnego rządu Królestwa

powrócił z "wygaworu" rozgorączkowany i wściekły. A gdy ponownie próbowano podjąć sprawę pogwałcenia konstytucji, nie hamując się w gniewie i wyrażeniach zawołał: - Co mi tu wspomnianie o tej Konstytucji. Jeżeli mi w.książę rozkaże, to ja wyrócę do góry nogami. Co to jest konstytucja, co to jest ten kraj? Niczem. Co ten kraj uczynił dla mnie. Te dobra, co je mam, dał mi cesarz Napoleon - dzisiejsze miejsce winieniem cesarzowi Aleksandrowi, a kraj co? Kraj mi jeszcze lasy do dóbr moich dysputował (...) Nie konstytucji, lecz cesarza Aleksandra słuchać będę, i co mi brat jego rozkaże, czynić będę."

To bezprzykładne wyznanie wiary samolubnego, ślepo posłusznego służbisty - w mig przekazane opinii publicznej przez niedyskretnych referendarzy Rady Stanu - przerazić musiało tych wszystkich, którzy budowali dalekosiężne nadzieje na konstytucyjnym charakterze nowego państwa. Ale wybryk namiestnika najbardziej chyba dotknął jego własną żonę. Po owej fatalnej sesji rządowej

apartamenty państwa Zajączków
były z pewnością widownią
niejednej dramatycznej sceny.
Anna Potocka_ Wąsowiczowa
poświęca w swych "Wspomnieniach
naocznego świadka" sporo miejsca
opisom bojów, jakie pani
namiestnikowa staczać musiała ze
złymi skłonnościami męża:
"Walczyła bez wytchnienia ze
służalczą, z jaką spełniał
bezprawne rozkazy (...) Wynikiem
nieustannej walki były nierzadko
gwałtowne burze małżeńskie. Pani
Zajączkowska, wyrzucona jednymi
drzwiami, wracała drugimi i
rąbała małżonkowi prawdę w oczy,
na co nikt by się nie odważył i
co nie zawsze pozostawało bez
rezultatu." *

Przed wprowadzeniem się do

Pałacu Radziwiłłowskiego,
którego przebudowę zakończono w
roku 1818, państwo Zajączkowie
mieszkali w pałacu Anny
Potockiej na Krakowskim
Przedmieściu. Stąd daleko
posunięte wtajemniczenie
pamiętnikarki w życie prywatne
pary namiestniczej.

W danym wypadku rezultat był
nikły. Wprawdzie następnego dnia
namiestnik przeprosił swych
ministrów, zwalając wszystko na
zły stan zdrowia i stargane
nerwy, ale to wymuszone
usprawiedliwienie nie mogło go
już obronić przed gniewem
współczesnych i surowością
historyków.

Pośrednim skutkiem
"niepoczytalnego wybuchu"
Zajączka było odejście z Rady
Administracyjnej jego
najbardziej lojalnego
współpracownika, generała Józefa
Wielhorskiego. Nie znajdując
oparcia w namiestniku, pierwszy
(i jak się miało okazać -
ostatni, konstytucyjny minister
wojny Królestwa Kongresowego był

całkowicie wydany na łup
nieposkromionych żądań
cesarzewicza, który pragnął
uczynić z ministerstwa wojny swą
drugą kancelarię. Konstanty nie
szczędził Wielhorskiemu
impertynencji i, mszcząc się za
jego "nieposłuszeństwo",
wykorzystywał każdą okazję do
dyskredytowania go i poniżania.
W końcu nieszczęsny minister
uznał, że w tych warunkach nie
zdoła wykonywać swego urzędu i
podał się do dymisji. "Ulegałem
aż do linii, gdzie się podłość
zaczyna" - pisał w liście do
cesarza_króla, wyłuszczając
otwarcie przyczyny swego
odejścia. Wkrótce po zwolnieniu
ze służby generał Wielhorski
zmarł. Nie był człowiekiem
zdrowym. Przez wiele lat
chorował na ciężką podagrę, ale
słynął ze swej wytrzymałości na
cierpienia fizyczne. Na

cierpienia duchowe okazał się
mniej odporny.

Stanowiska ministra wojny już
więcej nie obsadzono. Komisja
rządową wojny aż do 29 listopada
1830 roku kierował jako
"zastępca ministra", całkowicie
oddany Konstantemu, generał
Maurycy Hauke - zabito go
podczas Nocy listopadowej.

Inną - tym razem już
bezpośrednią - konsekwencją
wystąpienia Zajączka było
ponowne uaktywnienie się księcia
Adama Jerzego Czartoryskiego
jako doradcy cesarza_króla w
sprawach polskich. Dopiero co -
w listach do krewnych i przyjaciół
- książę zarzekał się, iż w
ogóle wycofuje się z
działalności politycznej. Ale
dźgnięty prosto w serce
służalczym oświadczeniem
namiestnika, uznał za swój
obowiązek raz jeszcze ostrzec
niewdzięcznego cesarskiego

przyjaciela przed
niebezpieczeństwami, jakie
zagrozały ich wspólnemu dziełu.

I znowu nawiązuje się ta
tragicznie jednostronna
korespondencja z Aleksandrem. *
Bije z niej rozpacz człowieka,
na oczach którego niszczy się
dobro, szczególnie jego sercu
drogie. Dobrem tym - według
własnych słów księcia - jest
"postawienie na nogach
jakośkolwiek niedołączonych tej
biednej Polski".

Opracowanie Korespondencji
Czartoryskiego wg książki K.
Bartoszewicza "Utworzenie
Królestwa Kongresowego".

Czartoryski po dawnemu
przyczynę wszelkiego zła
upatruje w obecności w Warszawie
Konstantego, ale równocześnie
coraz ostrzej atakuje
bezpośrednio Zajączka. "Rada
Administracyjna widzi od pewnego
czasu, że generał Zajączek, choć
światły i honorowy, nie ma ani
zdania, ani woli wobec
J.C.W.Wielkiego księcia (...)

Posuwa on swą służalczość do
granic niebezpiecznych (...) Co
chwila gotów jest naruszyć
konstytucję na żądanie
J.C.Wysokości. Wyraził to
głośno w Radzie i powtarza przy
wszelkiej sposobności. Taka
uległość (...) może zmienić
konstytucję w przykrą a
nieużyteczną komedię. Namiestnik
nie pojął swych obowiązków, nie
zrozumiał intencji W.C.Mości
(...) Przywołany do porządku i
objaśniony co do istotnej woli
W.C.Mości, spełni ją (...)
stanie się pożytecznym.
Upomnienie jest konieczne
(...) inaczej sprawa publiczna
będzie zaprzepaszczoną."

Czartoryski błaga cesarza o
zalecenie namiestnikowi, aby się
trzymał ustaw konstytucyjnych.

"Niechby Polacy czuli się Polakami, sami zarządzili u siebie." Prostuje mylne informacje, dochodzące do tronu (prawdopodobnie od Nowosilcowa), jakoby dyskusje w łonie rządu znamionowały "ducha niepokoju". Muszą być różne zdania, gdzie obraduje około dwudziestu osób. Tego jednak nie rozumie namiestnik. "Ma on pod względem prawa i administracji pojęcia i uprzedzenia obce wszystkim członkom rządu. Żył za krajem w służbie wojskowej, więc nie posiada potrzebnych wiadomości o stosunkach, stąd w zdaniu swym bywa odosobniony, co przypisuje duchowi stronniczości, nie istniejącej ku niemu zawiści. Ulega złym doradcom, czuje się obrażonym i stąd jego chłód i nieufność do rządu. Nic go nie zadawala, wszystkich podejrzewa i skarży się przed w.księciem. Stan rzeczy jest bardzo opłakany. Rząd robi, co może w granicach udzielonej mu władzy, ale robi mało - stąd duch publiczny słabnie, widoczne jest zniechęcenie. (...) Namiestnik nie przestaje głosić, że konstytucja jest kodeksem

anarchii i musi być zmieniona (...) Nowosilcow wcale się też nie przyczynia do uspokojenia umysłów (...) Jest on uważany za stróża rządu, mającego nie zezwalać na spokojne wykonywanie praw nadanych."

"Na nieszczęście J.C.Wysokość podziela zdanie Namiestnika (...) każde słowo i każdy czyn w.księcia idą w kierunku sprzecznym zasadom monarchy (...) Obecność jego tutaj jest stanowczo wielką przeszkodą (...) Zajaczek byłby innym, gdyby J.C.Wysokości tu nie było (...) Obecny zarząd armią dąży jedynie do wprowadzenia i

utrzymania poczucia trwogi.
Wobec tej wyłączności słabną i
gasną zalety mające cechować
żołnierza: obowiązek, honor,
miłość Ojczyzny (...) Kto z
żołdu żyć nie potrzebuje,
melduje się chorym lub opuszcza
szeregi (...) Skuteczne wrażenie
na Konstantym, wywołane
samobójstwami, * minęło już
zupełnie."

Rok 1816 był okresem
wzrastającej liczby samobójstw
wśród młodszych oficerów i
podoficerów.

Trzecią, najmniej ważną
konsekwencją publiczną "wyznania
wiary" Zajączka była fala
wyjątkowo zjadliwych wierszy
ulotnych. Wyróżniają się wśród
nich okrutne rymy Niemcewicza:

Żadnej plamy na mnie nie ma,@
zawszem miał jedno systema,@
zawszem na dwóch łapach stawać,@
przed tym co rządzi i co ma
rozdawać,@ bo cóż mi dała ta
szelma ojczyzna?@ Opatówek,
starostwo, godność wyniesiona@
wszystko od cara lub Napoleona.@

Niemcewicz i Zajączek - temat
sam w sobie! O ileż uboższa, a
jednocześnie i łagodniejsza, bo
stonowana przyjacielskim piórem
Kajetana Koźmiana, dotarłaby do
potomnych biografia Józefa

Zajączka herbu Świnka, bez
wkładu pamiętnikarskiego i
satyrycznego Juliana Ursyna
Niemcewicza!

Niezapomniany portret autora
"Śpiewów historycznych" skreślił
w swym "Zmierzchu wodzów" Wacław
Berent:

"Śród odętych i jak pawie
wtedy strojnych ministrów, radców
stanu oraz generałów obu
narodów, rozlegał się na
assamblach nieznośny dla nich
dyszkantowy chichot osobnika

przysadzistego pod obfitą wiecha
włosów siwych, w puklach
falistych. Owym skrzypieniem
śmiechu swego zwykł on wtórować
własnym konceptom i przycinkom,
sam niemi najbardziej uweselony.
Z całego aspektu, zachowania się
i tupetu nie kto inny -
odgadywali dygnitarze - tylko
literat postarzały. Działał on
tym panom tembardziej na nerwy,
że uważały go tak wielce damy po
salonach, mimo że jego
wierszyki, kursujące w odpisach
po mieście, doskwirały nawet
osobom na najwyższych
stanowiskach państwowych.
Obyczaj nie pozwalał się obrażać
na Niemcewicza "bajeczki", choć
ich aluzje "ad personam" jawne
były dla wszystkich, nie
wyłączając wielkiego księcia."

Niemcewicz był w Królestwie
Kongresowym potęgą. Był
pierwszym w dziejach Polski
literatem sprawującym moralne
przywództwo nad narodem. "Dwie
były władze w kraju - świadczył
kronikarz tamtych czasów -
fizyczna: Konstantego w
Belwederze i moralna:
Niemcewicza na mieście."

Współcześni nazywali go
"Człowiekiem Polską", damy
"rozpieszczały go do
niepodobieństwa". W sejmie i
senacie "w najtrudniejszych
sprawach radzono się Niemcewicza
i głosowano za jego wskazaniem".
Mówiono o nim także, że jest
"świętym słoniem Warszawy", gdyż

- pomimo zuchwalstwa
przejawianego w prasie i pismach
ulotnych - korzystał z
osobliwej, jak na owe czasy -
nietykalności i bezkarności.
Cesarzewicz obstawiał go
wprawdzie ze wszystkich stron
policją i przesyłał mu
ostrzeżenia w swoim stylu:
"Powiedzcie Niemcewiczowi, że

jak raz siedział w więzieniu petersburskim, tak może się w nim znaleźć po raz drugi" - ale w czasie przypadkowych spotkań w teatrze czy innym miejscu publicznym brał go pod ramię i prowadził z nim przyjacielskie pogawędki o cnotach Joanny Grudzińskiej. Nowosilcow na wszelkie sposoby starał się cenzurować twórczość Niemcewicza, ale na bankietach Towarzystwa Przyjaciół Nauk wznosił toasty na jego cześć. Ten osobliwy stosunek władz do najzjadliwszego pamflecisty Królestwa wynikał podobno z faktu, że Niemcewicz nosił na palcu pierścień, ofiarowany mu przez cesarza Pawła I w chwili zwalniania go z twierdzy Pietropawłowskiej, gdzie na rozkaz Katarzyny II był więziony razem z Kościuszką. Konstanty nienawidził despotycznej babki, natomiast czcياً otaczał pamięć uduszonego ojca.

Stosunki między Niemcewiczem a Zajączkiem przeszły długą drogą: od najściślejszej przyjaźni do najbardziej zajadłej nienawiści. Przyjaźń skończyła się wiosną 1819 roku - w okresie narastających we władzach Królestwa dążeń do ograniczenia zagwarantowanej przez konstytucję wolności słowa.

Rzecz całą dokładnie opisuje sprzyjający Zajączkowi Kajetan Koźmian. Konserwatywnie nastawiony pan radca Stanu nie ukrywa niechęci do "rozhułanych" dziennikarzy warszawskich. "Młodzież ze szkół wychodząca,

niebaczną, nie zgłębiającą położenia naszego, zupełnie odmiennego od krajów niepodległych, zarozumiała i niepohamowana żądza słynności za wzorem pismaków francuskich

ze zwykłą sobie do małpowania skłonnością rzuciła się w ten zawód." Skutki nie dały na siebie czekać: "Zaczęły się zjawiać artykuły polityczne rozmaitego, a przeciwnego rządowi ducha, rozbiory czynności rządowych, często z krytyką lub z szyderstwem spraw i osób. Wychodziły na jaw dyskusje Rady Stanu, które młodzi wicereferendarze przytomni posiedzeniom, a nie umiejący sekretu utrzymać, owszem, wyjawieniem jego chcący sobie jakąś ważność dodać, po domach z krytyką niewłaściwą roznosili i szyderstwem z osób i rzeczy towarzystwa, szczególnie kobiety bawili."

Po opisaniu, jak bardzo z tej "swawoli dziennikarzy" byli niezadowoleni wielki książę i namiestnik, Koźmian przechodzi do konfliktu między Zajaczkim a Niemcewiczem. "Przybył wkrótce do tego (tzn. do niezadowolenia władz - M.B.) nowy powód z pism Juliana Niemcewicza. Zaczęło wychodzić dzieło jego "Dzieje panowania Zygmunta III), epoka historyczna największych między Polską a Rosją wojen, zatargów i nienawiści. Niemcewicz jak w sejmie konstytucyjnym, tak tym bardziej po odsiedzeniu więzienia w Petersburgu żywił w sercu niepohamowaną zemstę i nienawiść do Rosji. W tym czasie chociaż pozostał na urzędzie sekretarzem senatu i doznawał wszelkiego poszanowania jako cnotliwy Polak, utalentowany mąż i przyjaciel księcia Adama, nie odmienił się w dawnych nawyknieniach, które się pod piórem jego wyraźnie objawiały. Mniej potrzebnie do rzeczy poumieszczał, jakie tylko mógł

zebrać, najdotkliwsze przeciwko temu narodowi z owych czasów

sarkazmy, paszkwile, malujące w
ubliżających kolorach i wyrazach
barbarzyństwo i prostactwo tego
narodu. W swoich własnych
opowiadaniach nie oznaczał ich
imieniem Rosjan, lecz często
używał pogardliwego nazwiska,
jak to nasi nienawistni im
przodkowie czynili: Moskvicin.
Nie uszło to bystrej i
przezornej uwagi senatora
Nowosilcowa, uraziło go to na
umyśle i niepolityczne ubliżenie
i użalił się przed namiestnikiem
prosząc, aby ten zaradził
wpływem swoim na Niemcewiczu."

Koźmian przytacza pokrótce
argumenty przeciwko dziełu
Niemcewicza, przekazane przez
Nowosilcowa Zajączkowi: "Do
czego - mówił Nowosilcow -
prowadzi w teraźniejszym
położeniu dwóch narodów to
drażnienie tym szkodliwsze, że
pochodzące od osoby tak wysokiej
reputacji używającej, a przeto
taki wpływ wywierającej na
opinię publiczną. Rosjanie
złożyli nienawiść do Polaków,
choć zwycięzcy nie obrażają w
niczym ich miłości własnej
narodowej, nie nazywają ich
Lachami, jak to ich przodkowie
czynili, owszem oddają
sprawiedliwość wyższości ich
cywilizacji (...) Rosjanie
weszli w widoki cesarza:
pojednania i połączenia pod
jedno berło tych dwóch narodów;
oświeceńsza część narodu pomaga
mu, lecz ma jeszcze monarcha do
zwalczenia niemałą liczbę i w
wojsku, i w ludzie patrzących z
zazdrością na te dobrodziejstwa
jego wylane na lud i kraj
kosztem krwi Rosjan pobity. Taka
niebacznosc ze strony narodu
polskiego utrudniając położenie
cesarza, i polityczne, i
wewnętrzne, może go zatrzymać,
może spóźnić lub odmienić jego
dalsze dla narodu polskiego
dobrodziejstwa i widoki. A wtedy

sami Polacy będą winni, jeżeli się pozbawia obszerniejszego istnienia, a zarazem i swobód tych, które wspaniały cesarz hojną ręką na nich wylał i uszczęśliwić ich zamierza."

"Te uwagi komisarza cesarskiego trafiły do przekonania namiestnika i zaprosił do siebie Niemcewicza - świadczy w dalszym ciągu Koźmian. - Dotąd żyli oni ze sobą w najściślejszej przyjaźni w sejmie konstytucyjnym, w rewolucji Kościuszki. Dzielili jedno wyobrażenie i jedną postępowali drogą. Po uwolnieniu Zajączka z więzienia ołomunieckiego przestawali z sobą i nad ratowaniem Polski wspólnie się naradzali w Warszawie. Podczas wojny francuskiej w Księstwie Warszawskim, po powrocie Niemcewicza z Ameryki ta przyjaźń jeszcze bardziej się zaciśnięła."

Warto tu dodać - czego Koźmian już nie pisze - że i w Królestwie Kongresowym stosunki między nimi układały się jak najlepiej. Po kontrowersyjnym wyborze Zajączka na namiestnika, Niemcewicz odnotował w swoim pamiętniku_dzienniku: "Choć mu niektóre zarzuty czynić można, przecież mąż lat kilkadziesiąt straciwszy na usługach ojczyzny, co tylekroć krew za nią przelewał, co poniósł okropne kalectwo; mąż z czystym rozsądkiem i dobrą chęcią równie jak inny wart miejsca tego." Wiadomo poza tym, że Niemcewicz, aż do konfliktu w roku 1819, bywał stałym gościem na przyjęciach w domu Zajączków, przyciągany tam zapewne - jak przypuszcza Wacław Berent - "późnymi wdziękami i francuską zalotnością pani Namiestnikowej".

Ale niech sam Koźmian świadczy o dramatycznym spotkaniu, które wieloletnich przyjaciół zmienić

miało w dozgonnych wrogów.

"Namiestnik powierzył Niemcewiczowi uzalania Nowosilcowa i znajdował je słusznymi, bo się głęboko przekonał, że nie zostaje Polakom, jak trzymać się szczerze i otwarcie Rosji, i starał się skłonić Niemcewicza do umiarkowania. Niemcewicz, zawsze marzący niepodległość Polski i za wypadkiem pomyślnych okoliczności oderwania się od Rosji, w ścisłym związku z nią uważając skażenie charakteru narodowego i wyzucie się z europejskich cywilizacji, mniemał zdradą losów Polski bezwarunkowe przywiązanie się do dobrodziejstw cesarza Aleksandra, którego wspaniałym chęciom wierzył, lecz następców jego i naród podzierał (podejrzewał - M.B.) i na przypadek wczesnej śmierci obawiał się podobnych losów dla swego kraju, jakie go po upadku Napoleona spotkały, że przeznaczenie kraju do jego osoby przywiązał. Stąd żywa między nimi rozmowa, stąd wzajemne wyrzuty, przymówki, obraza i uraza. Namiestnik wyrzucał Niemcewiczowi nieumiarkowanie w słowach i pismach, Niemcewicz oszczędzanie i miłość obecnego jego położenia, aż do krzywdzącej go uległości i czołgania. Dotknięty namiestnik zerwał związki przyjaźni z Niemcewiczem i dom mu swój wypowiedział."

Podobno Niemcewicz, opuszczając w gniewie gabinet namiestnika, trzasnął za sobą drzwiami. Echa tego zatrzaśnięcia drzwi będą prześladowały namiestnika do końca jego dni. "Człowiek Polska" był znacznie zręczniejszy w zemście niż

wielki książę z Belwederu. Jego "dyszkantowy chichot" będzie obiegał warszawskie salony, zalecając uwadze publiczności

coraz mniej wybredne ataki na "ćwierćkróla bez nogi". Tyle w tych wierszykach było jadu, że nawet odporna pani namiestnikowa - do niedawna gorąca wielbicielka "świętego słonia Warszawy" - nie mogła się powstrzymać od wypowiedzenia, podchwyczonego przez kronikarzy, zdania, że "kiedy Niemcewicz kogoś ukąsi, to ten od razu się wścieknie".

Szczególnie dotkliwy cios Niemcewicza ugodził Zajączka wkrótce po zerwaniu ich przyjaźni - w lipcu 1819 roku. Tym razem rzecz znacznie wykroczyła poza ramy konfliktu osobistego, stając się ważnym epizodem w trwającej już od dwóch miesięcy walce między konstytucyjnym rządem Królestwa a obrońcami, poręczonej przez konstytucję, wolności słowa.

W następstwie głośnego skandalu teatralno prasowego, wywołanego wygwizdaniem przez publiczność warszawską, popieranej przez wielkiego księcia Konstantego, aktorki teatru francuskiego Jenny Phillis - władze postanowiły wziąć się ostro do prasy za to, że ośmieliła się stanąć po stronie niesfornej publiczności. Wydany 22 maja 1819 roku dekret namiestnika, kontrasygnowany przez ministra oświecenia publicznego Stanisława Kostkę Potockiego i sekretarza Rady Stanu, generała Ksawerego Kosseckiego, poddał rządowej cenzurze prewencyjnej wszystkie gazety codzienne oraz inne pisma periodyczne - to znaczy: ukazujące się w regularnych odstępach czasu. Po ogłoszeniu

dekretu jedyną trybuna nie
kontrolowanych polemik
publicystycznych pozostała
założona przez Brunona
Kicińskiego "Kronika drugiej
połowy roku 1819", wydawana w
formie sporadycznie ukazujących
się broszurek, a więc nie

podlegająca cenzurze jako
wydawnictwo nieperiodyczne. I
właśnie to pismo wybrał
Niemcewicz dla rozprawienia się
z niedawnym przyjacielem.

W początkach lipca 1819 roku,
w trzecim numerze "Kroniki..."
ukazało się nie podpisane, lecz
mające wszelkie znamiona
Niemcewiczowskiego stylu,
opowiadanie "Sen Plutarcha
("Ułomek z dzieł moralnych
Plutarcha, świeżo odkrytych
przez ks. Majo, Profesora w
Mediolanie" - jak głosił niby to
naukowy podtytuł utworu).

Ponieważ "Sen Plutarcha" od
chwili jego pierwodruku w
"Kronice..." - a więc mniej
więcej od 170 lat, nie był ani
razu przytaczany w
najdrobniejszych nawet
fragmentach, wypada mu poświęcić
nieco miejsca, aby każdy mógł
się przekonać, jak ta
pseudoateńska opowieść -
zręcznie operując antyczną
alegorią, załatwiała porachunki
najbardziej swojskie i każdym
swym zdaniem wbijała bolesne
szpile w warszawskiego
namiestnika.

Przechadzając się po ateńskich
gajach oliwnych, Niemcewiczowski
Plutarch rozmyśla o dobrym
cezarze rzymskim Adrianie i o
jego niegodnym zastępcy w
Atenach: "Stawała w umyśle moim
wspaniała monarchy tego
przychylność ku Ateńczykom,
zawiedziona nieraz przez
zostawionego przezeń Propretora
Publiusza Licyniusza Naso". Dla

wytworzenia odpowiedniej aury
dokoła osoby niegodnego
Propretora, zatrzymuje się
Plutarch przy kolumnie brązowej,
aby mimochodem odczytać "Wryty
na niej wyrok, skazujący na
wieczną hańbę obywatela jednego
dlatego, iż wziął złoto od
Persów na zepsucie i pognę bienie
ducha publicznego w sercach
współziomków swoich" (W
Warszawie krążyły wówczas

plotki o ogromnych sumach
wypłacanych rzekomo Zajączkowi z
kas petersburskich).

Kiedy zmożony upałem i
wysiłkiem intelektualnym,
mędrzec grecki zapada wreszcie w
zapowiedziany w tytułce sen,
jawi mu się piękna
majestatyczna dziewica, pokryta
najokropniejszymi ranami.
Zapytany, kim jest, odpowiada
smętnie: "Nie poznajesz że mnie?
Jestem Konstytucja Ateńska.
Rany, którymi okryła mię
widzisz, nie są zadane przez
cesarza Adriana, który mię
utworzył, który mię wam nadał,
lecz przez niebaczną i
popędliwość Propretora".

I żeby nie było już żadnej
wątpliwości, o kogo chodzi,
Plutarch dodaje jeszcze, że ów
Propretor "długo zasłużony w
Legiach Rzymskich, okazał w nich
świetną odwagę, lecz napił się z
kubka władzy najwyższej, a napój
ten odurza i oślepia".

Informuje też Plutarch, że
niebaczną i popędliwą Propretor
ma wokół siebie nieodpowiednich
ludzi, którzy wypaczają mu obraz
rzeczywistości: "Nie zawsze
otoczony, jakby przystało,
możeż prawda znaleźć przystęp
do niego?".

Całość kończy się jednak
akcentem optymistycznym. Bo oto
przybywa do Aten,
entuzjastycznie witany, sam

wielki cesarz Adrian.
Poinformowany przez
"nieposzlakowanej wiary
Ateńczyków" o nadużyciach
władzy i zgwałceniu konstytucji,
zwraca się do swego Propretora i
w podniosłych słowach przywołuje
go do porządku.

"Znam ja Ateńczyków - mówi do
niego - wiem, iż tyle tylko będą
i mnie, i sobie użytecznymi, ile
w nich zachowamy tego ducha,
przez który niegdyś tyle
zadziwiających świat czynów
dokazywali; przytłumić ducha
tego, jest złamać pierwszą

sprężynę podniecającą do dzieła
szlachetnych i pięknych. Nie
lękaj się zaburzeń, ułóżenia
powadze mojej. Pan świata, mogę
się Ateńczyków lękać? Lecz im
pewniejsza, im ogromniejsza jest
potęga moja, tym więcej pragnę,
by ja poddani moi kochali,
poważali, nie zaś w niewolniczym
osłupieniu, straciwszy wszelką
duszy szlachetność, drżeli
przede mną."

Perswazja Cezara odniosła
skutek: "Poznał Publiusz
Licyniusz Naso i błąd swój, i
sprawiedliwe Imperatora uwagi;
odtąd trzymał się ich pilnie.
Szanował przepisana przez niego
ludowi Ateńskiemu Ustawę, nie
kaleczył jej więcej; a Adrian
ujrzał w ciągu jeszcze panowania
swego Ateny gmachami swemi
pyszniejsze, niż były, co więcej
ujrzał lud swobodami szczęśliwy,
błogosławiący imię nowego
założyciela swego".

"Sen Plutarcha" z miejsca
podbił warszawską publiczność.
Jego aluzje były dla wszystkich
zrozumiałe i znakomicie
odpowiadały sytuacji
politycznej. Jeszcze nigdy dotąd
nie zaatakowano niepopularnego
namiestnika w sposób tak ostry i
zasadniczy - i to nie w jakimś

tam pisemku ulotnym, lecz w
druku oficjalnie wydanym i
podpisanym przez
odpowiedzialnych redaktorów. O
cienkie tomiki "Kroniki..."
staczano istne boje. W
kaffenhausach stołecznych
delektowano się każdym zdaniem
"ateńskiej" opowieści.
Starożytny moralista Plutarch
stał się nagle postacią bliską,
niemalże kochaną nawet dla
staromiejskich przekupek. W
każdy zakątek stolicy Królestwa
Kongresowego przenikał
dyszkantowy chichot Niemcewicza.
Powszechnemu zadowoleniu i
rozbawieniu społeczności
warszawskiej towarzyszył
wściekły gniew obrażonego

namiestnika. Szczególnie musiał
zaboleć Zajączka zarzut, iż swą
"niebaczną i popędliwością"
wypacza i udaremnia dobre
zamiary wspaniałomyślnego
cesarza. Zalewała generała
Arbuza jego gwałtowna,
choleryczna krew; cisnęły mu się
na usta pod adresem Niemcewicza
najplugawsze przekleństwa:
polskie, francuskie, włoskie,
egipskie; walił w bezsilnej
złości swymi inwalidzkimi kulami
w posadzki Pałacu
Radziwiłłowskiego. Ale bezsilny
nie był. Na jego rozkaz dwaj
dygnitarze z jego najbliższego
otoczenia: generał Franciszek
Ksawery Kossecki i dyrektor
Jerzy Okołów "udali się do
Belwederu ze skargą na doznaną
obrazę, wskutek czego Wielki
Książę wezwał do siebie
Kicińskiego i zgromiwszy go
surowo, zagroził tak jemu, jako
i domniemanemu autorowi "Snu
Plutarcha", NIemcewiczowi,
wysłaniem ich do więzienia
petersburskiego".

Na tym się nie skończyło.
KOMisarz cesarski NOWosilcow -

pilnie od początku obserwujący
walkę władz warszawskich z
obrońcami wolności słowa,
zwieńczoną awanturą wokół "Snu
Plutarcha" - złożył o wszystkim
dokładny raport
cesarzowi królowi. W Odpowiedzi
na to Aleksander w piśmie
odręcznym do prezesa Rady
Administracyjnej "dał wyraz
swemu niezadowoleniu i
oświadczył, iż dopiero teraz
poznaje, że Polacy są
niespokojni i krnąbrni, i że Bóg
dał mu w ręce dość siły, żeby
wszelkie ich zamachy niszczył i
skruszył".

Niemcewicz, który jako
sekretarz Senatu znał treść
pisma cesarskiego, z goryczą
odpierał w swoim
dzienniku_pamiętniku krzywdzące
zarzuty, stawiane przez
Aleksandra Polakom:

"Kto tu myśli o buntach, o
poruszeniach! Poddani z pokorą
pod losy przeznaczenia,
wdzięczni za świadczone nam
dobro, za nbadane swobody, czyż
winą jest naszą, że uwierzywszy,
iż swobody te doprawdy nie dla
żartu byxły nam dane, pismem i
mową ujęliśmy się za ich
zgwałceniem."

Ale władze warszawskie poddały
się sugestiom zawartym w piśmie
monarchy. Dnia 16 lipca 1819
roku ukazał się nowy drkret
namiestnika, rozciągający
cenzurę na "wszelkiego rodzaju
dzieła i pisma w królestwie
wydawane, choćby peryodycznymi
nie były."

Nie śniło się
Niemcewiczowskiemu Plutarchowi,
że z jego winy w karby cenzury
ujęte będzie każde słowo
drukowane w kongresowej Polsce.

Drugi dekret o cenzurze -
podobnie jak pierwszy z 22 maja
- miał być kontrasygnowany

przez ministra oświecenia publicznego. Ale Stanisław Kostka Potocki - sam literat i autor książek - tak się wystraszył wszechobejmującego zasięgu dekretu, że pod pretekstem nagłej słabości skrył się w swoim Wilanowie i podpisu w żaden sposób nie można było od niego wydębić. Wobec tego Zajączek uprosił o współpodpisanie dekretu swego przyjaciela i współpracownika: Stanisława Staszica, ogólnie szanowanego członka dwóch komisji rządowych. Oddany całą duszą wielkim planom rozbudowy gospodarczej Królestwa, Staszic uważał, że dla zrealizowania tych planów konieczny jest przede wszystkim spokój polityczny. Dlatego - ku zaskoczeniu patriotycznej opinii publicznej i zmartwieniu swych późniejszych biografów - bez większych wahań uczynił zadość prośbie namiestnika i złożył swój szanowany podpis pod

antywolnościowym rozporządzeniem.

VI

Dziewięć miesięcy przed huczkiem, wywołanym "Snem Plutarcha" - w kwietniu 1818 roku, w związku z inauguracyjną sesją pierwszego sejmiku Królestwa Polskiego i obecnością w Warszawie cesarza króla - królewski namiestnik, generał piechoty Józef Zajączek herbu Świnka, został mianowany księciem. Zadziwiło to wszystkich, ale najbardziej chyba - starą arystokrację warszawską, która dobrze jeszcze pamiętała, jak wściekła w roku 1794 atakował utytułowanych jakobiński prezes powstańczego Sądu Kryminalnego. "Nadzwyczajny

wysłannik przywiózł dla Zajączka tytuł książęcy i wielką wstęgę Orła Białego - wspomina z rozbawieniem stryjeczna wnuczka króla Stanisława Augusta, hrabina Anetka Potocka_Wasowiczowa. - Przyjęliśmy to jako ukoronowanie farsy. Pierwszą, która śmiała się szczerze, była nowa księżna."

Rok 1818 - czas kulminacji libelarnych rojeń Aleksandra I, przy jednoczesnym pogłębianiu się polskich obaw o los maleńkiego konstytucyjnego Królestwa u boku samowładnie rządzonego ogromnego cesarstwa - stanowił ważną cezurę, nie tylko w życiorysie Zajączka, lecz również w życiu ogółu obywateli kongresowej Polski między Prosną a Bugiem. Zajączkowi ten rok przynosił jeszcze wyższe dostojęstwo i jeszcze większy dobrobyt materialny, ogółowi społeczeństwa - jeszcze jedno powtórzenie mglistych obietnic "Cesarza_Aniola" oraz przeczucie nowych rozczarowań i kolejnego przełomu ku gorszemu.

"Przełomów od roku 1812 było

aż nadto wiele - pisze znakomity znawca tego okresu historii Marcei Handelsman. - Od nadziei odbudowania Wielkiej Polski, na podstawie Księstwa Warszawskiego, własnym wysiłkiem zbrojnym u boku niezwyciężonego Napoleona do żalosnej katastrofy odwrotu i zapoadnięcia się wszelkich złudzeń. Od rozbudzonej wiary w pełne odnowienie Polski przy boku Rosji przez Aleksandra do małego Królestwa Kongresowego wydanego na łup Konstantemu; do nikłej na zachodzie prowicji Rosji (...)"
Od wielkich obietnic 1812_#1813 roku (...) głoszonych we wszystkich językach (...) do

obludnych zasad św. Przymierza,
do reakcji umysłowej,
politycznej, społecznej i
moralnej. Droga była daleka,
kręta i wyboista. Niejeden
zmęczył się w pół drogi, odbił
się i przystać pragnął do tych,
co zapowiadali spokój. Bo (...)
jedno było pewne. Wojna się
skończyła. Pokój ustalony w
Wiedniu był pokojem wiecznym, to
znaczy miał obowiązywać jedno
pokolenie, a porządek tam
zaprowadzony stawał się normą,
której trzeba było się poddać."

Jaka była norma, określająca
życie w kongresowej Polsce,
wyjaśnia ten sam historyk:

"Normalnym był król obcy,
autokratyczny, prawosławny w
społeczeństwie polskim,
liberalnym, katolickim.
Normalnym był wódz naczelny
dziki, który nie wahał prochu,
mistrz w paradach i manewrach -
dla żołnierza honoru i walki, a
miłości ojczyzny, który w szyku
bojowym przemierzył zwycięsko
całą Europę od Tagu do Moskwy,
od Berezyny do Elstery i
Sekwany. Normalnym miał być
dozór, ucisk policji,
szpiegostwo, donosicielstwo i
przekupstwo, kontrola myśli,
niewola słowa w społeczeństwie
ponad miarę zindywidualizowanym,

zatopionym w wolności, którego
młodzież nie znała już
niepodległej Polski
rzeczywistości i tym bardziej
była rozkochana w Polsce ideału.
Odrzucenie wszystkiego, w co się
wierzyło i zupełna bezwiera
staje się normą. A w takiej
atmosferze jedni, większość,
ogół przystosowują się do tej
nowej miary: najsprytniejsi
ratując pozory idei, dla kariery
i służby, najtragiczniejsi w
szczerym przekonaniu, że tylko
nowa ideologia konserwatyzmu,

wstecznicstwa, spętania dusz jest
jedyną doktryną prawdziwą i
ostatecznie dla Polski
zbawienną."

Dochowane z tamtych czasów
świade3ctwa: pamiętniki,
dzienniki, listy - pozwalają
sobie w pełni uzmysłwić, jak
bardzo "daleka, kręta i
wyboista" była droga, która
historia wyznaczyła do przejścia
Polakom, mieszkającym między
Prosna a Bugiem. I jak wielu z
nich "męczyło się w pół drogi".
Jak jedni "przystawali" do
nowego porządku, a drudzy
"odbijali się" od niego
całkowicie. Najbardziej widoczne
było to w wojsku. W ciągu
czterech pierwszych lat
istnienia Królestwa Kongresowego
naliczono w armii przeszło
czterdzieści wypadków
samobójstw, głównie wśród
młodszych oficerów, którzy -
wychowani w demokratycznych
tradycjach Legionów i armii
Księstwa Warszawskiego - nie
mogli się pogodzić z
bezdusznym, chamskim drylem,
wprowadzanym przez "dzikiego"
wodza naczelnego. NIektórzy z
nich kończyli ze sobą po cichu,
ledwie zauważeni, inni czynili
ze swej śmierci głośny
obywatelski protest. Jeden z
samobójców, kapitan Michał
Wilczek - dawny szwolerzer
gwardii i najmłodszy wiekiem
bohater wojen napoleońskich -

wahał się, czy zabić siebie, czy
wielkiego księcia; wybrał drogę
pierwszą, ale w pozostawionym
liście pisał do Konstantego:
"Uważam za swój obowiązek
przestrzec Pana, byś nie
doprowadzał moich ziomków do
rozpaczy, gdyż ta może łatwo
popchnąć kogo z nich do
występku, którego ja po
dojrzałym namyśle zaniechałem".

Ustawiali w pół drogi także generałowie. Ale ci byli w szczęśliwszym położeniu od swoich młodszych kolegów: bardziej o d nich niezależni materialnie, nie musieli popełniać samobójstw, mogli po prostu odchodzić.

Jako pierwszy ze znanych generałów opuścił wojsko i kraj, zbuntowany członek Komitetu Wojskowego, Karol Kniaziewicz. Odrzuciwszy proponowaną mu godność senatora Królestwa, zdecydował się na niełatwą dolę emigranta politycznego w Dreźnie, byle tylko pozostawać z dala od despotycznego "mistrza w paradach i manewrach".

Poszustną karetą senatora_wojewody odjechał z Królestwa Kongresowego, nie widząc tam miejsca dla siebie, "moralny wódz wojska polskiego", generał Jan Henryk Dąbrowski, aby na resztkę życia osiąść w podarowanej mu przez Napoleona Winnogórze, w Wielkim Księstwie Poznańskim (tak nazwano zachodnią część Księstwa Warszawskiego pozostawioną przez kongres wiedeński pod panowaniem pruskim).

Odszedł z wojska, po wielkiej awanturze z wodzem naczelnym, generał Józef Chłopicki. Odwaga, z jaką przeciwstawił się Konstantemu, zyskała mu w opinii publicznej sławę niezłomnego bojownika o wolność i godność narodową - co później miało się w fatalny sposób odbić na losach powstania listopadowego.

Odszedł generał Józef

Wielhorski, który potrafił być uległy, ale tylko do "linii, za którą się podłość zaczynała".

Odeszło wielu innych, wyższych wojskowych i wysoko sytuowanych funkcjonariuszy cywilnych, którzy w żaden sposób nie mogli

się pogodzić z nowymi normami życia w pokongresowej Polsce.

Wśród tych, którzy pozostali, aby przystosowywać się do nowego stanu rzeczy "dla kariery i służby", pierwsze miejsce przypada bezspornie generałowi Józefowi Zajączkowi. Czy jednak - zgodnie z sugestiami profesora Handelsmana wobec tej grupy przystosowujących się - generał Arbuz także starał się swe karierowiczostwo "ratować pozorami idei"? Jego bezprzykładnie cyniczne wyznanie z 12 stycznia 1816 roku zdaje się temu przeczyć. Ale z drugiej strony najlepiej wprowadzony w sprawę Zajączka, Kajetan Końmian zapewnia, iż pragnął on "wsławić swoje rządy pomyślnością mieszkańców i ozdobieniem ojczystej ziemi". A to już starcza za "pozór idei". Bo jeśli takie cele stawia sobie główny dysponent funduszków państwowych, to - normalnym porządkiem rzeczy - jako realizatorzy tych celów skupiać się będą przy nim ludzie rzeczywiście, jak określa Końmian, "przejęci duchem wydobywania kraju z ubożenia i stworzenia jego zamożności", a to z kolei nadać musi działalności dysponenta funduszków - niezależnie od jego motywów - charakter użyteczności ogólnospołecznej, a zatem - pozór ideowości. Tak też było w przypadku Zajączka. W pierwszych latach istnienia Królestwa Kongresowego, w kręgu najbliższych towarzyszy pracy i przemyśleń "łaskawego i szczodrego" namiestnika spotykali się najświatlejsi i ożywieni najlepszymi chęciami,

przedstawiciele ówczesnych kół rządzących: minister Wyznań Religijnych i Oświecenia

Publicznego Stanisław Kostka
Potocki, Minister Spraw
Wewnętrznych i Policji Tadeusz
MOstowski, radcy stanu:
Stanisław Staszic, Kajetan
Koźmian, Aleksander Linowski i
mądry, dowcipny sceptyk Marcin
Badeni. Najważniejszą osobą w
tym gronie był Stanisław
Staszic, członek Komisji
Rządowej Oświecenia Publicznego
oraz dyrektor wydziału Przemysłu
i Kunsztów w Komisji Rządowej
Spraw Wewnętrznych - myśliciel i
mąż stanu największego wymiaru,
działacz gospodarczy, z
inicjatywy którego w różnych
częściach kraju rozwijało się, z
rozmachem dotychczas nieznanym,
budownictwo przemysłowe, a
Warszawa obraastała coraz to
nowymi wpaniałymi gmachami
publicznymi.

Zajączek od pierwszej chwili
nabrał do Staszica szczególnego
upodobania. Wynikało to stąd, że
start życiowy ich obu: drobnego
szlachcica i mieszczańskiego
syna odbywał się pod protekcją
tego samego magnackiego domu
ordynatów Zamojskich. Ale
jeszcze bardziej zbliżało ich do
siebie powinowactwo
światopoglądowe.

"Namiestnik tym szczerzej -
tym stalej przywiązywał się do
niego (Staszica) - świadczy
Kajetan Koźmian - że w jego
pismach objawiony systemat
przywiązania się stale i na
zawsze Polaków do Rosji jako
jedyny środek zbawienia i
zachowania tego, co
nadszpodziewanie przez
wspaniałomyślnego cesarza
udzielonym narodowi zostało,
spotykał się i łączył z
namiestnika mocnym i tym samym
przekonaniem."

Zeświecczony ksiądz Stanisław
Staszic stał się dla Zajączka
takim samym oparciem, jakim w

epoce poprzedniej był dla niego
zeświecczony ksiądz Hugo
Koźłataj. W ich słowach i
pismach Zająček odnajdował
usprawiedliwienie dla wszystkich
swych poczynań - choćby najmniej
popularnych w odczuciu ogólnym.
Obaj umieli przemawiać do jego
emocji. Koźłataj podniecał go
perspektywą potężnej, suwerennej
Polski w ramach swederowanej
napoleońskiej Europy, Staszic
rozpalał jego wyobraźnię wizją
jeszcze bardziej oszalałamiącą,
lecz w treści diametralnie
przeciwą. Jaka była ta - rzadko
na ogół przypominana - wizja
polityczna Staszica, dowiedzieć
się można od Koźmiana.

"Razu jednego - świadczy pan
radca stanu - jadąc wraz ze
Staszicem w jednym pojeździe do
Tarchomina na obiad do ministra
MOstowskiego, gdzieśmy się co
niedziela udawali, zapytałem się
go, dlaczego rząd takie miliony
trwoni na ozdobienie Warszawy,
która w ubogim i małym kraju tak
wyglądać będzie, jak głowa
ufryzowana na szkielecie.
Odpowiedział mi: "Nie
zaniedbujemy i kraju. Lecz cóż
to, nie zgadujesz jeszcze
przeznaczenia Warszawy pod
berłem rosyjskim? To miasto -
rzekł - przez swoje położenie
geograficzne i polityczne jest
przeznaczone być trzecią, a może
główną stolicą wielkiego w jedno
ciało zrzeszonego pod jednym
potężnym berłem słowiańskiego
narodu. Tu się rozstrzygną losy
Europy Zachodniej. Pozwoliła na
rozbiór Polski, musi służyć
mocniejszemu, zaniedbała mieć
Polaków sprzymierzeńców, będzie
miała za wcielonych w
Słowiańszczyznę panów. KOstka
jest już rzucona. Spajajmy się z
Rosją i oświecajmy się, bierzmy
od niej potęgę, ona od nas niech
bierze oświecenie. Narody zginą,
niech cywilizacja nie zginie"."

Te panslawistyczne
mrzonki Staszica - odczytywane

dzisiaj, kiedy wiadomo już, jak się dalej potoczyła historia - wydają się nieskończenie naiwne i całkowicie oderwane od realiów ówczesnej sytuacji politycznej. Ale wtedy mogło się wydawać inaczej. Udręczone kataklizmami historycznymi społeczeństwo polskie czekało na cud, zdolny wyprowadzić je z matni dziejowej. Na sprawcę tego cudu upatrzono sobie rosyjskiego cesarza "wskrzesiciela", który obiecywał uszczęśliwić całą ludzkość. Do jakiego stopnia wydęty mit Aleksandra potrafił zniewalać umysły ludzi nawet najbardziej wartościowych, świadczyć może przypadek Józefa Wybickiego - autora polskiego hymnu narodowego, patrioty jak najpiękniej zapisanego w historii szczyłku Rzeczypospolitej i lat porozbiorowych.

Senator_wojewoda Królestwa Kongresowego Józef Wybicki, w odróżnieniu od swego najserdeczniejszego przyjaciela: senatora_wojewody Jana Henryka Dąbrowskiego, nie wycofał się do swego majątku ziemskiego w Wielkim Księstwie poznańskim, lecz postanowił współuczestniczyć w umacnianiu podstaw konstytucyjnego Królestwa Polskiego. W styczniu 1818 roku Wybicki przyjął nominację na prezesa Sądu Najwyższego. Obejmując to stanowisko, wygłosił mowę, która czyta się dzisiaj z jeszcze większym zdumieniem niż wywody polityczne Staszica.

Po wyliczeniu niezmiernych dobrodziejstw, jakimi cesarz_król Aleksander obdarzył Polaków, twórca "Mazurka Dąbrowskiego" zamknął swą orację taką oto konkluzją:

"Ale nie na tym dzieło swoje Król Wielki ukończył. Nadawszy

nam konstytucję liberalną,
jeszcze się pierwszy na jej
straży postawił, aby

najmniejszego nadużycia nie
dotknęła ją skaza. Podobnego
przykładu nie dało mi się czytać
w dziejach królów. Tak tylko
Stwórca dla utrzymania harmonii
i porządku w utworach, nigdy z
nich Opatrzności nie spuszcza
oka."

Oczywiście, że ten dar
aleksandrowski "kochanego
wojewody" (tak nazywał
Wybickiego Dąbrowski) nie ostał
się pod naporem dalszych
wydarzeń. Już w dwa lata później
wytrzeźwiały Wybicki błagać
będzie cesarza_króla o
udzielenie mu dymisji z
zajmowanego urzędu, a uzyskawszy
ją po blisko rocznych
staraniach, czmychnie czym
prędzej do swych Manieczek w
Wielkim Księstwie Poznańskim.
Ale kompromitująca mowa,
utrwalona drukiem, pozostanie. I
- bezlitosny do niej komentarz
Niemcewicza: "Wybicki 70_letni
starzec, zapalczywy na dawnych
sejmach wolności obrońca,
później ślepy woli Napoleona
wykonawca, za zmianą rzeczy,
dziś podłością szukający łaski u
panującego i podły Zajączka
służalec".

Sejm roku 1818 gorzko
rozczarował skrajnych optymistów
w rodzaju Staszica i Wybickiego.
Oczekiwany przez nich cud nie
nastąpił. Nie doszło też do
żadnego wyraźniejszego
oświadczenia w sprawie
przyłączenia do Królestwa
"zachodnich prowincji"
cesarstwa, czyli dawnych ziem
zaboru rosyjskiego. Mowa tronowa
cesarza_króla była łaskawa i
życzliwa, ale nie wykraczała
poza znane już ogólniki i nie
dopowiedziane do końca

obietnice.

"Reprezentanci Królestwa
Polskiego, Polacy! - mówił
Aleksander. - Odstąpiwszy od
zgubnych uprzedzeń, które wam
tyle zadawały ciosów, do Was już
należy ustalić Wasze odrodzenie.

Jest ono nierozzerwalnie
połączone z przeznaczeniem
Rosji. Wszystkie Wasze
usiłowania dążyć powinny ku
ściśnieniu tego zbawionego i
opiekuńczego związku (...)
Podaliście mi sposobność
okazania mojej ojczyźnie tego,
co dla niej od dawna gotuję i co
otrzyma, skoro zarody tak
ważnego dzieła będą mogły
osiągnąć potrzebne rozwinięcie
(...) Skutki prac Waszych naucza
mnie, czy wierny moim
przedsięwzięciom będę mógł dalej
rozszerzać to, co już dla Was
uczyniłem."

Przy wszystkich
niedopowiedzeniach mowa tronowa
Aleksandra brzmiała dość
obietnicą. Ale później - w
czasie trwania sesji - stosunek
cesarza_króla do polskich
poddanych uległ oziębieniu, gdyż
Sejm, biorąc na serio swe
uprawnienia konstytucyjne,
odmówił zatwierdzenia,
popieranego przez kler i Radę
Stanu, projektu nowego prawa
małżeńskiego - wyraźnie
wstecznego wobec obowiązującego
jeszcze w Królestwie kodeksu
Napoleona. Ta nieoczekiwana
samodzielność Sejmu zaskoczyła i
zirytowała "Cesarza_Anioła".
Najbliżej współpracujący z
Aleksandrem i najlepiej
orientujący się w jego
zmiennych nastrojach, polski
minister sekretarz stanu, Ignacy
Sobolewski ostrzegał swoich
kolegów z Rady Stanu: "Pan nasz
podejrzliwy z natury, nie
dowierza nam. Chciwy zjednać

sobie w Europie sławę opiekuna wolności, dał konstytucję, lecz wychowany w samowładztwie, ślepe posłuszeństwo nad wszystko przekłada".

Może to właśnie wtedy - w sejmowych dniach 1818 roku - podczas obiadu u ministra MOstowskiego albo i u samego namiestnika Zajączka - narodził się ów lotny aforyzm Marcina

Badeniego, tak znakomicie charakteryzujący pierwszy okres dziejów Królestwa Kongresowego:

"Konstytucja na stole, a bat pod stołem."

* * *

W kilka dni po zakończeniu obrad sejmowych i wyjeździe cesarza-króla, przybył do Warszawy ów, wspominany przez Annę Potocką, "nadzwyczajny wysłannik" z monarszymi prezentami dla posłusznego namiestnika. Doręczony Zajączkowi dekret nominacyjny głosił, iż Jego Cesarska Mość, pragnąc wynagrodzić królewskiego namiestnika za "znakomite zasługi dla kraju i monarchy położone, wynosi tegoż namiestnika swego na godność Xiążęcia Królestwa Polskiego".

Ten najwyższy chyba w całej historii Polski awans społeczny był odpowiednio podbudowany finansowo. W dochowanych protokołach Rady Administracyjnej aż roi się od wzmianek o rozmaitych korzyściach pieniężnych i rzeczowych, przyznawanych namiestnikowi. Pensja roczna 120000 złp. - stopniowo zwiększana, aż do podwójnej wysokości. Zwolnienie od wysokiego podatku od tytułu książęcego. Dodatki na "fundusz urzędzenia się", na

reprezentację, na mieszkanie itp. Ostateczne zatwierdzenie własności, graniczących z Opatówkiem, lasów, o które toczyła się długa walka z rządem Księstwa Warszawskiego. I wreszcie ukoronowanie dobrodziejstw: donacja starostwa Klonowskiego. Nie bez kozery w Niemcewiczowskim "Śnie Plutarcha" znalazł się ów zjadliwy przytyk o "złocie brany od Persów".

Rzecz zrozumiała, że księżę_namiestnik musiał też

mieć siedzibę odpowiadającą jego wysokiej godności. Rozległy, lecz straszliwie zaniedbany, Pałac Radziwiłłowski na Krakowskim Przedmieściu - oddany na rezydencję namiestniczą - uległ więc w roku 1818, na koszt państwa, gruntownej przebudowie i rozbudowie pod kierunkiem sławnego architekta, Piotra Aignera. Zajączek osobiście czuwał nad przebudową i troszczył się, aby wszystko wypadło jak najwspanialej. Nie zapomniał też zadbać o to, aby - podobnie jak w Opatówku - przebudowanemu pałacowi patronował jego wysoki ofiarodawca. Wzdłuż całego frontonu pałacowego wykuto wielki napis w wybornej łacinie (na życzenie namiestnika ułożono go w Królewskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk): "Aleksander I Rex Poloniae vice sua fungentibus ("Aleksander I Król Polski swoim namiestnikom").

Czuwając nad przebudową Pałacu Radziwiłłowskiego, Zajączek nie mógł oczywiście przewidzieć, jaki żart zgotuje mu historia. Może nie wypieszczałby tak bardzo każdego szczegółu swej rezydencji, gdyby wiedział, że w półtora wieku później posłuży ona z tło i obramowanie dla

pomnika jego śmiertelnego wroga:
księcia Józefa Poniatowskiego.

Uksiążęcenie generała Arbuza
odbiło się także na wyglądzie
jego rodowego herbu - owej
prastarej Świnki, wspólnej wielu
rodzinom szlacheckim w Polsce.
Zmiany, jakim ulegał herb
Zajączka w różnych okresach jego
życia, zasługują, moim zdaniem,
na to, aby stać się tematem
rozprawki naukowej jakiegoś
młodego, ambitnego heraldyka.

Najpierw - wersja oryginalna
herbu, reprodukowana we
wszystkich herbarzach: "w polu
czerwonym głowa wieprzowa,
której pysk rozdziera ręka
ludzka prawa w rękaw błękitny

przybrana. Na hełmie panna do
połowy widoczna z warkoczem
rozczesanym, obydwoma rękami pod
boki trzymająca się". Prócz tego
korona szlachecka i stylizowane
liście akantu. Heraldycy, na
czele z XVII_wiecznym poetą
Wacławem Potockim, wyprowadzają
herb ze starej legendy
myśliwskiej:

Kiedy srogi dziki wieprz
puszczone ze smyczy@ książęciu
na Sieradzu brytany kaliczy,@
ratuj kto; uczynię go możnem,
bogatem@ krzyknie i sam bowiem
był w wielkim strachu za tym.@
Zsiadłszy z konia, czym prędzej
dworzanin ochoczy@ na grzbiet z
tyłu odważnie odyńcowi skoczy.@
Za uszy wprzód, potem kielce mu
z paszczęka@ uchwyciwszy
wyłomie; stąd ci z człeczą ręką@
herb do szlactwa dany, łeb
ten dzikiej świni,@ od którego
tak wiele domów zacnych słynie.@

Ale tradycyjną wersją herbu
"Świnka" posługiwał się Zajączek
tylko do lat napoleońskich. NOWA
wersja - "zdemokratyzowana" -
powstała najprawdopodobniej

bezpośrednio po powrocie z wyprawy egipskiej. Wyobrażenie tej nowej wersji w całej okazałości przetrwało do dzisiaj jako płaskorzeźba na murze "domku gotyckiego" - pierwszej siedziby państwa Zajaczków, w otrzymanym od Napoleona Opatówku.

Z pierwotnego herbu pozostało niezmiennie jedynie godło: łeb dzikiej świni z podtrzymującą go ludzką ręką. Zniknęły natomiast najczęstsze elementy szlacheckich herbów: pięciopałkowa korona, rycerski hełm z przyłbicą, stylizowane liście akantu. Najbardziej zmienił się klejnot herbu: miejsce "panny z rozczesanym warkoczem" zajął obnażony do połowy egipski mameluk.

Trzecia wersja herbu "Świnka"

- książęca - dochowała się również w Opatówku, w kościele parafialnym, na tablicy nagrobnej księcia namiestnika. Tu również nie zmieniony pozostał tylko łeb świński. Ale otacza go mnóstwo stylizowanych ozdób. W klejnocie herbu półnagi Egipcjanin zastępuje rzymski pretorianin w zbroi i hełmie z pióropuszem. Nad całością rozpina się uroczysty baldachim uwieńczony na szczycie książęcą mitrą.

Modernizacji uległa także - ale już bez udziału generała Arbuza - legenda o pochodzeniu herbu. Niektórym ze starych mieszkańców Opatówka jest najwyraźniej trochę głupio, że ich najcenniejszą pamiątkę historyczną stanowi, wyobrażony w kamieniu, dosyć paskudny świński łeb. Wysiłają więc wyobraźnię, aby to jakoś usprawiedliwić. "Generała urodził się jako wcześniak - tłumaczą ciekawemu turyście,

który przypadkiem zawadzi o ich miasteczko - musieli okładać go ciepłymi prosiętami, inaczej by nie wyżył. Stąd taki herb."

Cóż: bywają jeszcze bardziej dowolne i opatrzone interpretacje historii. Ta - przynajmniej - nikomu nie wyrządza szkody.

VII

Generał Arbus nie miał szczęścia do Niemcewicza. "Mściwy Julian" nękał go, szarpał i ośmieszał przy każdej nadarzającej się okazji; miał natomiast szczęście - i to szczęście wyjątkowe - do drugiego współczesnego sobie arcy pamiętnikarza: Kajetana Koźmiana.

Ilekcroć przeglądam "Pamiętniki" Koźmiana, nie umiem oprzeć się uczuciu najgłębszego podziwu. Cóż to był za niezrównany kronikarz swoich czasów. Wszystkie utwory

literacko_poetyckie, którymi autor "Ziemiaństwa polskiego" chlubił się za życia i za które podziwiany był przez współczesnych - od dawna już obróciły się w martwą makulaturę zalegającą półki biblioteczne. Natomiast "Pamiętniki" nadal żyją, równie - czy może jeszcze bardziej - atrakcyjne niż w chwili swego powstania. Wyczuwa się w nich mocno bijący puls epoki - roztaczają przed czytelnikiem barwną panoramę napoleońskiej i kongresowej Polski - zaludnioną mnóstwem interesujących postaci, nasyoną imponującym bogactwem realiów obyczajowych i politycznych. I właśnie za tę żywość, barwność i obfitość informacyjną wspomnień Koźmiana trzeba mu odpuścić jego autorskie grzechy: A więc krańcową reakcyjność niektórych

poglądów i sformułowań; a więc -
jeszcze dalej posuniętą niż u
Niemcewicza zajadłość w
opluwaniu przeciwników
politycznych i literackich -
sprawiająca, że w wielkim
pisarzu politycznym Maurycym
Mochmackim dostrzegał jedynie:
"pismaka, krętacza z
przewróconą głową, z sercem od
młodu skażonym, z umysłem podłym
i nikczemnym, z małą i drobną
zdolnością" a największego
polskiego poetę Adama
Mickiewicza przedstawiał jako
"politycznego i literackiego
zbrodniarza", co "wałęsając się
poza granicę, z wściekłą, a
niedołączną zemstą śpiewając
jadem i zuchwałością zaprawione
pieśni, czekał w nich na
wszystko, co tylko towarzystwo
ludzkie czci i szanuje".

Do Zajączka, na szczęście, nie
miał Koźmian stosunku
namiętnego; opluwanie go
pozostawiał Niemcewiczowi,
wynoszenie pod niebiosa -
pochlebczym wierszokletom w
rodzaju Marcina Molskiego. Sam -
pozostając przez cały czas

namiestniczej kariery generała
Arbuza w bezpośrednim jego
pobliżu, jako zaufany
współpracownik w Radzie Stanu i
nader częsty gość w Pałacu
Namiestnikowskim - podpatrywał
zwierzchnika i przyjaciela
ważnym okiem urodzonego pisarza
realisty i z drobnych scenek w
urzędzie i w domu, z zachowań
się w chwilach dobrego i złego
humoru, z przypadkowych rozmów i
z odnośnienia się do otaczających
go osób - układał plastyczny,
przekonywający i w miarę
obiektywny wizerunek szefa rządu
kongresowej Polski. A jeżeli
nawet sumaryczna opinia Koźmiana
o Zajączku - w zestawieniu z
innymi świadectwami epoki -

wypada nieco zbyt pozytywnie, to trzeba autorowi "Pamiętników" przyznać, że potrafił tę swoją przyjacielską wyrozumiałość uzasadnić w sposób rzeczowy i pobudzający do myślenia.

Znajomość Kajetana Koźmiana z generałem Józefem Zajączkiem herbu Świnka rozwija się w "Pamiętnikach" jak na taśmie biograficznego filmu.

Spotkanie pierwsze - latem 1814 roku, tuż po powrocie Zajączka z niewoli. Przechodząc przez ogród Krasińskich, Koźmian zauważa beznogiego generała w stroju cywilnym, siedzącego samotnie na ławce. Poruszony jego kalectwem i osamotnieniem, podchodzi, przedstawia się i przypomina, że jako lublinianin był świadkiem pamiętnej sceny, w radzie miejskiej po przegranej przez Zajączka bitwie pod Chełmem. Zaczyna się rozpamiętywanie dawnych czasów, nawiązuje się pierwsza nić wzajemnej sympatii.

Drugie spotkanie - w rok później, kiedy Zajączek był już członkiem Komitetu Wojskowego. Spotkali się na obiedzie, wydanym przez ich wspólnego przyjaciela, kasztelana Michała Kochanowskiego, na cześć księcia

Adama Czartoryskiego. "Wchodząc - wspomina Koźmian - zastałem księcia i osoby chodzące po bawialnym pokoju i rozmawiające, a Zajączka ubranego w mundur wojskowy, siedzącego w kącie przy ścianie i dwie kule obok niego stojące, na których się jako kaleka z uciętą nogą zwykł wspierać. Od roku go nie widziałem, teraz go ujrzałem (...) zawsze, choć już osiwiałego, bardzo pięknej i poszanowanej wzbudzającej postaci, twarzy siwym wąsem ozdobionej i poważnej. Widząc go

i tu opuszczonym,
przypomniawszy się mu,
przysiadłem się do niego i
zacząłem się pytać o zdrowie i
ubolewać nad jego kalectwem.
Generał, jakby chciał dać uczuć
zaniedbanie swoje - odpowiedział
mi: "Wać Pan Dobrodziej
interesujesz się do mego
kalictwa, bardzo mu za to
wdzięczny jestem". I na moje
zapytania opowiadał mi bitwę,
miejsce jej, w którym kula
karabinowa strzaskała kość u
nogi, a którą Larrey, felczer
cesarza Napoleona, przypadkiem
przebiegający, pod gołym niebem
śmiałą operacją odciął, jak
niesiony na płaszczu przez
grenadierów do małego miasteczka
litewskiego ledwie nie spalił
się w pożarze tego miasta. I jak
wyrwany z płomieni, aż do Wilna
zanieiony został, gdzie obległ
i został jeńcem wojennym. *
Zajączek opowiadał nader
przyjemnie, krótko, zwięźle i
bez samochwalstwa. Wtem dano
znać do stołu, Kochanowski znany
z roztargnienia w całej
Warszawie, gdy wszystkich prosił
i wskazywał im miejsca,
zapomniał o Zajączku. Ja więc
porwałem się z mego miejsca,
podałem mu podpory, podparłem
moim ramieniem i wprowadziłem do
salonu. Stół był okrągły, siadł
więc Zajączek między gośćmi bez
nieprzyzwoitości miejsca,

inaczej ostatnie miejsce byłoby
się mu dostało. Obejrzawszy się
za mną rzekł: "Siadajże Wać Pan
Dobrodziej koło mnie, dokończę
ci mojego nieszczęścia". Jakoż
cały obiad ze mną najwięcej
mówił, mało się mieszał do
konwersacji, zapytany,
lakonicznie odpowiadał. Może
widok i rozprawianie poufałe z
księciem Linowskim, którego
nie cierpiał za jego paszkwilową

broszurkę wydaną w Krakowie przeciw niemu i Kołłątajowi, dał mu posępny humor (...) Któż mógł wtedy wnosić, że ten zaniedbany i opuszczony wkrótce wzniesie się na pierwszy stopień w Królestwie, a ten, którego powszechne życzenia wzywały, którego względy cesarza prawie nieomylnie wskazywały, bez namiestnikowania namiestnik, otoczony czcią prawych i płaszczyząc się (...) pod jego władzę podejdzie."

Przekazane przez Koźmiana opowiadanie Zajączka różni się od przytoczonej wersji Józefa Krasińskiego. Ale w materiałach pamiętnikarskich, spisanych w wiele lat po wydarzeniach, takie różnice zdarzają się bardzo często.

Po nominacji Zajączka na namiestnika Koźmian, jako "należący do liczby zasmuconych księcia Adama Czartoryskiego przyjaciół" nie kwapił się do złożenia wizyty nieoczekiwanemu wybrańcowi fortuny. Namówił go dopiero do tego wspomniany już kasztelan Michał Kochanowski. "KOchanowski, szczęśliwy z wyniesienia swego poufałego i obowiązane przyjaciela, spotkawszy mnie, zapytał, czy byłem u namiestnika? A gdy odpowiedziałem: "Pierwszy uszanowałem Zajączka, rad bym ostatni powitać go namiestnikiem", odpowiedział mi: "A on się troskliwie o ciebie pytał i dziwi się, żeś go nie odwiedził. Wierzaj mi,

jakiegokolwiek są przeciw niemu uprzedzenia, on ma najlepsze chęci, nie trzeba go drażnić, owszem trzeba, żeby ludzie prawi otoczyli go ufnością i radą, a zobaczysz, że ten wybór na dobre nam wyjdzie". Oddałem więc namiestnikowi wizytę urzędową,

przyjął mnie bardzo czule i
rzekł: "Dziwisz się zapewne nad
tym, nad czym ja z podziwienia
wyjść nie mogę. Spotkał mnie nie
szukany przeze mnie,
niespodziewany i nie zasłużony
zaszczyt i razem starość moja
przygniótł ciężarem, któremu nie
wiem, czy wydołać potrafię. Mam
chęci i pragnąłbym nie zawieść
ufności cesarza i coś dobrego
zrobić dla mego kraju i narodu;
ale ja jestem żołnierz,
zestarzałem się pod bronią.
Wyobrażenia nie mam rządu
cywilnego, rad bym się podpierać
w tym trudnym i nowym zawodzie
radą i pomocą prawych i
oświeconych, i gorliwych mężów.
Szukać ich będę i jak wielu
prosiłem, tak i pana proszę,
abyście mnie nie odstępowali i
pomagać mi raczyli. Proszę o
szczerłość o otwartość, a odpłacę
się ufnością i wdzięcznością."
Odpowiedziałem, co odpowiedzieć
należało, i odtąd w Radzie Stanu
zacząłem doświadczać jego
ufności i przychylności. Mnie
zwykł był powierzać
najważniejsze referaty, co mnie
niesłychaną obciążało pracą, bo
nawet wymawiającemu się i
proszącemu o ulgę z uśmiechem
odpowiadał: dasz temu radę."

Jednakże współpraca między
królewskim namiestnikiem
Zajączkiem a referendarzem
stanu, Koźmianem, nie zawsze
układała się harmonijnie. Do
najpoważniejszego zakłócenia ich
dobrych stosunków doszło na
początku roku 1817 - w okresie
organizowania struktur i
programów Komisji Rządowych,
czyli kolegialnych kierownictw
poszczególnych resortów

najwyższych władz Królestwa.
Koźmian dość dokładnie opisuje
ten konflikt w swoich
"Pamiętnikach" i znowu - dzięki

jego bystremu oku - biografia
Zajączka wzbogaca się o kilka
godnych zapamiętania epizodów.

"Niespodzianie - żali się
pamiętnikarz - winą pana
Stanisława Potockiego, prezesa
Komisji Oświecenia, na drodze
tej może zazdrozczony mi
ufności i najlepszej harmonii
między Radą Stanu a
namiestnikiem znalazł się
nieszczęśliwy szkopuł, o który
się ta ufność rozbiła i mnie
zadała moralne cierpienia, dla
których zamyślałem podziękować
za służbę i oddalić się na wieś
na zawsze."

Chodziło o incydent, będący
niejako dalszym ciągiem sprawy,
na której wyrócił się minister
wojny generał Wielhorski. Wielki
książę Konstanty, po zwycięskim
przeforsowaniu z pomocą
namiestnika własnego projektu
zorganizowania Komisji Rządowej
Wojny - projektu, który wbrew
zakładanej przez konstytucję
kolegialności prac w Komisjach
Rządowych, całą władzę skupiał w
rękach prezydującego ministra -
zaprağnął podobną organizację
narzucić i innym komisjom
rządowym. Pierwszy uległ jego
naciskom prezydujący w Komisji
Oświecenia Publicznego,
Stanisław Kostka Potocki,
zasłużony działacz z okresu
Sejmu Wielkiego i Księstwa
Warszawskiego, ale człowiek
próżny i ambitny, a przeto
chętny do odgrywania roli
samowładnego ministra. Po
rozmówieniu się z namiestnikiem,
"który jako żołnierz, główny
nieprzyjaciel wszelkiej
kolegialności i oporu,
utwierdził go w jego
pragnieniu", Potocki wycofał,
wniesiony już do Rady Stanu,
kolegialnie uchwalony projekt
Komisji Oświecenia i na własną

rękę przerobił go w duchu życzeń wielkiego księcia. Zreferowanie w Radzie Stanu tak odmienionego projektu namiestnik zlecił Koźmianowi. Autor "Pamiętników" nie był bynajmniej przesadnym liberałem ani fanatykiem kolegalności, ale jako gorliwy legalista i wzorowy urzędnik państwowy, nie mógł się zdobyć na obronę projektu, obrażającego Ustawę konstytucyjną. Wsparty opiniami takich autorytetów moralnych jak: książe Adam Czartoryski i Stanisław Staszic, zdecydował się więc pan referendarz - wbrew zdaniu swego zwierzchnika, namiestnika królewskiego - wystąpić publicznie przeciwko projektowi Potockiego.

"Wygotowałem referat według mego przekonania - pisze w "Pamiętnikach" - i jakbym nie wiedział, że to jest projekt p. Stanisława, zbijałem i przełożenie, i projekt, jakby od Komisji pochodzące; i w dzień zgromadzenia ogólnego Rady Stanu wniosłem na posiedzenie, które z trwających było najliczniejsze, gdyż członkowie świadomi rzeczy i wchodzący w ważność dyskusji wszyscy się wraz z ministrami zgromadzili. Gdy zacząłem czytać mój referat, siedząc tylko przez stół naprzeciw namiestnika, lubo referat nie był długi, skoro w nim zaczęły się czytać argumenta przeciw projektowi, spostrzegłem po namiestniku poruszenie. Zaczął ruszać ramionami, poruszać się, wasa kręcić i surowo na mnie spojrzeć (...) Gdy przeczytałem konkluzję i wnioski usunięcia projektu i wyznaczenia deputacji dla zastosowania go do konstytucji, namiestnik z gniewem się odezwał: "Gdybyśmy poszli za zdaniem referenta, wpadlibyśmy w dawną anarchię"; i do Tomasza Grabowskiego, wtedy wicereferendarza i sekretarza protokółisty rzekł: "Czytaj

WóPan projekt". Myślałem, że który z członków Rady Stanu zabierze głos i poprze moje wnioski. Gdy wszyscy milczeli, a Tomasz Grabowski na powtórzony surowym głosem rozkaz namiestnika zabierał się do czytania projektu, odezwał się: "Niech wolno będzie przeczytać statut organiczny Rady Stanu i przepis w nim o porządku dyskusji". I przeczytałem artykuł wyraźny statutu, iż Rada Stanu rozstrzyga najprzód przez wotowanie wnioski referenta, jeżeli te były przeciw projektowi; gdy je przyjmuje, projekt upada, jeżeli je odrzuca, Rada przystępuje do dyskusji (po)szczególnych artykułów projektu. A gdy i po tym przeczytaniu namiestnik naglił sekretarza protokółistę do czytania projektu, powstał pierwszy Matuszewicz i zwykłą wymową, logiką i dokładnością poparł i cały mój referat, i ostatni (wywód) o porządku dyskusji.

Mówił następnie Wawrzecki, minister sprawiedliwości, co tym więcej miało wagi, że popierał referat, nie uznając się jako minister sprawiedliwości upoważnionym przez konstytucję do skoncentrowania w osobie swojej władzy, którą sama natura niepodległości sądownictwa pod straż kolegialności powierzyła. Mówił potem i Staszic, i ten już dotknął jako członek Komisji Oświecenia owej malwersacji, której się minister oświecenia względem projektu Komisji dopuścił. A gdy i na te położenia namiestnik coraz więcej uniesiony swój rozkaz czytania projektu powtarzał, porwał się z miejsca swego minister spraw wewnętrznych, MÓstowski, i rzekł: "Mci Namiestniku, król po to cię

przełożył nad Radą Stanu, abyś
jej zdania cierpliwie słuchał.

Jeżeli tak być nie może, to my
tu niepotrzebni" (...) Na koniec
p. Stanisław Potocki, który
dotąd milczał, zabrał głos i
ubolewając, że nieprzygotowany
musi odpowiadać na tak
wypracowany referat (czym chciał
mi przymówić), w argumentowaniu
zawikłał się, a widząc, że
niechętnie jest słuchany,
kończąc nachylił się do ucha
namiestnika i rzekł do niego
cichym głosem, tak jednak, że
dosłyszeć mogłem: "Pan wiesz,
jak się to stało z projektami,
chciałem dowodzić w.księciu
"non tam libenter, quam
reverenter" (nie tyle z chęci,
ile z poszanowania - M.B.), i
poprawiłem projekt Komisji; lecz
gdy się o to tak żywy spór
toczy, najskuteczniej będzie
przystąpić do wotowania, a
opinia się wyjawi". "Ułóż więc
Wćpan propozycję" - odrzekł
namiestnik. Nie potrzeba było
tego, gdyż była położona w
referacie, pan Stanisław jednak
ułożył propozycję "affirmative"
za wnioskiem referenta,
"negative" za projektem swoim.
Gdy przyszło do wotowania,
pierwszy najmłodszy referendarz
Jan Tarnowski dał kreskę
"affirmative". Oburzył się
namiestnik w słowach: "O, Wćpan
zapewne przeciw rządowi", jakby
mu chciał przymówić o znany w
nim republikanizm. Szły kryski
wciąż "affirmative" za moim
wnioskiem, aż do radców Komisji
Wojskowej, na co się namiestnik
ciągle zrywał, generał Kossecki
przekonany za moim wnioskiem,
dla nieobrażenia swoją kryską
namiestnika wyszedł z sesji na
początku dyskusji, za co długiej
doznał urazy. Dwie więc tylko
kreski wojskowe za projektem

padły. MInistrowie "uno labio" (jednogłośnie - M.B.) wotowali za moim wnioskiem. Gdy się objawiła decyzja - namiestnik w gniewie, z oburzeniem rzekł do Stanisława Potockiego: "Na coś

mnie Wćpan wystawił przez kryskowanie"; porwał się z krzesła i na kulach idąc do drzwi zawołał o karetę, a że ta jeszcze nie nadeszła, stanął przy drzwiach, opierając się plecami o ścianę. Przystąpił do niego Wawrzecki, pod którego on naczelnictwem zostawał w powstaniu Kościuszki (...) i zaczął mu robić uwagi nad jego gwałtownym i nieprzyzwoitym uniesieniem się, wystawiając, na (jak) przykre położenie siebie i Radę Stanu wystawia. "Proszę mi rad nie dawać", odrzekł z gniewem, a skoro karetą nadeszła, odjechał."

Głównemu sprawcy rozdrażnienia generała Arbuza, Koźmianowi, udało się jakoś wyjść z awantury cało i zaufania zwierzchnika nie utracił. Dowodem - fakt, że zaraz potem namiestnik zlecił mu zajęcie się "arcyważnym projektem o urządzeniu ludu izraelskiego i przypuszczeniu go... do używania praw obywatelskich". Już konstytucja roku 1807 przyznała mniejszości żydowskiej prawa obywatelskie, lecz wprowadzenie ich w życie zawieszono na dziesięć lat. W roku 1817 okres zawieszenia się kończył i sprawa "uobywatelnienia" Żydów powracała na wokandę, rzekomo - jak sugeruje Koźmian - pod naciskiem cesarskiego komisarza NOwosilcowa, podkupionego przez żydowskich bogaczy. W każdym razie namiestnik projekt w tej sprawie przyjął i skierował do Rady Stanu, powierzając zreferowanie go Koźmianowi.

Początkowo Koźmian odniósł się do nowego zlecenia nieufnie: "...skoro namiestnik projekt przyjął i mnie, który się mu sprzeciwić śmiałem, wyznaczył do przedstawienia - wniosłem sobie, że przez urazę do mnie szuka nowej okazji, aby się mnie pozbyć. Umyśliłem więc uprzedzić jego życzenie, wymówić się od

referatu i podziękować za urząd. Lecz Staszic pocieszony tym, że mnie się dostał referat (obaj oni: wyrosły z mieszczaństwa Staszic i szlachecki konserwatysta Koźmian - jednak niechętnie odnosili się do emancypacji Żydów - M.B.) tak mnie mozolił, bym tego nie czynił, i nie uważając na żadne względy ochronił kraj od klęski, iż skłoniłem się do wypracowania tego ostatniego referatu, do którego Staszic dostarczał mi argumentów ze swoich pism i dzieł ze swojej biblioteki."

Po zebraniu pełnego materiału polityczno historycznego przeciwko emancypacji Żydów, Koźmian przedstawił go namiestnikowi, aby uniknąć ponownych kontrowersji na forum publicznym. Ale tym razem wszystko poszło gładko, a biografia generała Arbuza wzbogaciła się o jeszcze jedną barwną scenkę.

"Namiestnik słuchał cierpliwie i z wypogodzoną, a nawet ukontentowaną twarzą tego wywodu, w którym już przezierało przekonanie referenta. Czasem się pytał z ciekawością o szczegóły historyczne, nieraz się odezwał: "Proszę głośniej, bo ja głuchy, a chciałbym być dokładnie objaśniony". A gdy przyszło do zbijania szczególnych artykułów i przepisów, jakie Żydzi

uobywatelnieni zachować mają, to jest przepisów o łaźniach dla nich, o kąpaniu się i myciu itd., gdy zakonkludowałem ironicznymi słowy: "Z tych powodów wątpię mi przychodzi, aby rząd krajowy chciał przypuścić do współobywatelstwa ród, który prócz innych nie wykorzenionych odrębności, nosząc w sobie zaród najobrzydliwszej zarazy, potrzebuje prawa przymuszającego do ochędóstwa i pozbycia się trądów i drugiej równie

bezpiecznej, a zaraźliwej choroby. Czekajmyż przynajmniej, póki się z tej zarazy nie obmyją", namiestnik szczerze śmiać się zaczął i rzekł: "To prawda, że te kanale nigdy się świerzbu nie pozbęda. Będąc pułkownikiem, miałem dwu tylko w moim regimencie, a cały mi batalion zarazili. Nie trzeba było więc długiej dyskusji; cała Rada Stanu zgodnie uznała nie tylko usunięcie projektu, lecz zdecydowała ścieśnienie Żdom ich nabyte przez przedawnienie przywileje: szynki, wciskanie się na główne ulice miast itd., i razem uznała koniecznością, na zasadzie mego wyводу, uczynić do króla przedłożenie o potrzebie innego wychowania Żydów i zniszczenie w kraju tego "corpus in corpore". Namiestnik odpowiedział: "Przedstawię królowi słuszną Rady Stanu troskliwość, a do zredagowania tego przedłożenia (przeznaczam) referendarza stanu Koźmiana". Ułożyłem więc przedstawienie, namiestnik go poparł u cesarza i emancypacja Żydów więcej wznowioną nie została."

W rok później - o czym Koźmian już nie wspomina - sprawa żydowska odżyła jako temat szerokiej dyskusji publicznej, utrwalonej dla

potomnych w kilku osobnych
broszurkach. Jako najbardziej
konsekwentny orędownik
"uobywatelnienia" Żydów wystąpił
w tej dyskusji przyszedł
"męczennik wolności", major 4
pułku piechoty liniowej,
Walerian Łukasiński.

Koźmian, pomimo odzyskania
względów namiestnika, nadal
pozostawał pod przykrym
wrażeniem awantury w Radzie
Stanu, zwłaszcza gdy się
dowiedział, że awanturą tą
zainteresowano się w Petersburgu.

"W parę dni będąc u generała
Kosseckiego zastałem ministra
skarbu Węglińskiego, który żyjąc

w ścisłej przyjaźni z Ignacym
Sobolewskim, ministrem
sekretarzem stanu, ciągnął i
poufną prowadził z nim
korespondencję i przez każdego
kuriera z Petersburga odbierał
listy. Ten przywitawszy się ze
mną, rzekł: (...) "Nie wiem...
co się stało staremu, że wpadł w
takie uniesienie, ale nawet czy
do wielkiego księcia, lub też
do samego cesarza oskarżył Radę
Stanu. Przeczytam ci, co
Sobolewski do mnie pisze". I
przeczytał następujące słowa:
"Cóż tam za burzliwą sesję
wyprawiła Rada Stanu z
namiestnikiem, podobno referat
Koźmiana był tego przyczyną.
Koźmian zwykł się zapalać,
zmiłójkcie się, wstrzymujcie go,
niech się nie wystawia. Cesarz
bardzo niekontent z tego wypadku
i rad by, aby się więcej nie
powtórzył". "Niech się nie
obawia - rzekłem - nie wystawię
się na dymisję, ale ją uprzedzę;
miałem wewnętrzne dawne
przekonanie, że ja nie jestem
zdolny do obecnego położenia
(...) Uchylę się więc jak
najszkwapliwiej, bo nawet urząd
nie dogadza moim prywatnym

interesom". "Nie rób tego - rzekł Węgliński - nadto jesteś drażliwy; zobaczysz, że stary tego żałować będzie; widzisz, on się i na Kosseckiego rozgniewał i już dwie niedziele do niego słowa nie mówi - od owej sesji, z której wyszedł". Kossecki na to rzekł, co mnie zastanowiło: "To jest egoista, idzie mu tylko o miejsce, na którym zasiadł, on mnie gotów poświęcić, chociaż tyle lat byłem przy jego boku".

Ta surowa opinia z ust najbliższego i najdawniejszego współpracownika generała Zajączka wpłynęła na ostateczną decyzję Koźmiana. Napisał prośbę o dymisję i udał się z nią do przełożonego. Namiestnik był chory, ale nie odmówił mu posłuchania. "Zastałem go w

łóżku, w białym kaftaniku, z wyfryzowaną w pukle głową - wspomina autor "Pamiętników". - "Przepraszam, że Wielmożnego Wćpana Dobrodzieja tak przyjmuję (nb. z kim nie był w bliskiej poufałości, zawsze zwykł był ten mu epitet dodawać), cierpiący jestem na moją nogę. Siadaj Wćpan Dobrodziej. I co mi masz powiedzieć?" Oświadczyłem mu tedy moją prośbę o dymisję. Żywo ze wzdrygnięciem mi przerwał: "A ja tego nigdy nie uczynię". A gdy tłumaczyć mu się zacząłem, że nie żaden zły humor lub nieukontentowanie skłania mnie do tej konieczności, ale interesa domowe (...) rzekł z pośpiechem: "Nie taj przede mną prawdziwych przyczyn. Ja ci uchybiłem, żałuję tego i przepraszam cię najszczerzej. Nie odmieniaj dla mnie swojej przyjaźni, o to proszę. I nie ja tylko ci ubliży(łem), rząd ubliżył twoim zasługom. Wiem, na coś zasłużył i co cię czekało od króla saskiego. W Królestwie

zostawiono cię na tym samym miejscu, kiedy innych wyniesiono. Do mnie należy poprawić to i nagrodzić; pozwól mi czasu i sposobności, a za ufność odpłacę się ufnością i przyjaźnią. Wchodzę w twoje domowe interesa, dam ci urlop na czas, jakiego do ułożenia twoich interesów potrzebujesz (...) a wracaj i zostań, boś nam potrzebny". Te słowa z uprzejmością i rozrzewnieniem wyrzeczone rozbroiły mnie, rzekłem więc do niego z rozczuleniem: "Mci Namiestniku, urazy żadnej nie miałem, może nieco żalu; nauczyłem się z młodu zwierzchników moich słuchać i znosić. Miałem sobie za zaszczyt i mam sobie teraz służyć krajowi pod mężem, który sam na ten wysoki stopień wzniosłszy się drogą zasługi, umie oceniać nie tylko prawdziwe zasługi, lecz same chęci. Na

dowód tego niech się stanie twoja, Namiestniku, wola. Zostaję więc z zastrzeżeniem sobie urlopu". Wyciągnął do mnie rękę, ścisnął, przyciągnął i ucałował mnie w twarz, potem w najlepszym humorze nie puścił mnie i długo ze mną rozmawiał. Otrzymałem więc urlop na pół roku."

Odwołano pana referendarza z urlopu dopiero w początkach 1818 roku, kiedy namiestnik postanowił powierzyć mu opracowanie raportu z działalności Rady Stanu dla pierwszego sejmu Królestwa. Do sztafety generała Kosseckiego, przyzywającej Koźmiana do Warszawy, dołączony był awans na nadzwyczajnego radcę stanu z pensją 15000 złp. Generał Arbuz zawsze umiał dbać o swych podwładnych.

* * *

Sejmowe wystąpienie
nadzwyczajnego radcy stanu
Kozmiana stało się jego wielkim
sukcesem. Sam cesarz_król na
specjalnej prywatnej audiencji
serdecznie mu podziękował za
"właściwe zredagowanie raportu".
Namiestnik - który, zlecając mu
przed sejmem przygotowanie
sprawozdania, ograniczył swoje
wytyczne do krótkiej
żołnierskiej komendy: "Pociąg
piórem, aby Cesarz wiedział, jak
mu wdzięczni jesteście" - był
całkowicie usatysfakcjonowany.
Niezadowoleni byli jedynie
liberalni opozycjoniści, którzy
właśnie wtedy po raz pierwszy -
bardzo jeszcze nieśmiało - dali
o sobie znać w sejmowych
dyskusjach. Zarzucali raportowi,
że wyolbrzymia osiągnięcia
rządu, a przemilcza jego
niepowodzenia i liczne
naruszenia konstytucji.
Krytyczne nastroje znalazły
odbicie w satyrycznym wierszyku
skierowanym do Kozmiana:

Twój raport w sejmie był na
rany plastrem,@ uwielbiam
chemika głowę,@ co umiał zrobić
wapno alabastrem@ przez
czarodziejską wymowę.@

Od sejmu roku 1818 Kozmian
stał się jednym z najbliższych
współpracowników i doradców
księcia_namiestnika. Dawało to
radcy_pamiętnikarzowi
wszechstronny wgląd w
działalność szefa rządu
Królestwa oraz możliwość
przenikania motywów tej
działalności i dostrzegania jej
skutków.

"Namiestnik - głoszą
"Pamiętniki" - od początku
zaraz, czując się starym i
kaleką i nie wróżąc sobie

długiego wieku, pragnął za życia
swego oglądać skutki swojej
administracji i to było podnieta
jego może zbyt gorliwych, dla
materialnych korzyści,
czynności. Stąd nie dość baczył
na konstytucyjne formy, które
pośpiechowi jego stawiały
zawadę, nie dość przywiązywał
wagi do kontrasygnowania przez
ministrów swoich postanowień i
administracyjnych urzędzeń.
Ministrowie zaś, widząc w tym
postępowaniu uwolnienie się od
odpowiedzialności, mniej się o
to upominali; owszem, chcąc mieć
także nieskrempowane ręce,
poddawali mu to organizacje
swoich wydziałów, to inne
dogodne im urządzenia (...)
które z przepisu konstytucji
były atrybucją sejmu."

Trzeba pamiętać, że powyższe
świadczenie wyszło spod pióra
zdecydowanie Zajączkowi
przychylnego. A jednak - wbrew
może nawet intencjom Koźmiana -
nie jest to świadectwo
pochlebne. Zza słów
pamiętnikarza wyziera - tak
dobrze znana z lat napoleońskich
- odęta, nieufna twarz
"wojczyźnionego" karierowicza.
Generał Arbuz miał już wszystko,

co było do zdobycia na tym
padole: najwyższy stopień
wojskowy, godność królewskiego
namiestnika, tytuł książęcy,
rozległe dobra ziemskie,
wspaniały pałac w Warszawie,
sześciokonna karocę. Ale mało mu
tego jeszcze. Jego nienasycone
apetyty sięgają dalej,
wykraczają poza sferę dóbr
materialnych i poza swój czas.
Królewski namiestnik chciałby
ponadto zaskarbić sobie miłość
rodaków - jeżeli nie zaraz, to w
niedalekiej przyszłości. Pragnie
dobrze zapisać swe imię i rządy
w pamięci narodu - tego narodu,

z którym od roku 1794 był stale
skłócony, od którego trudnych
losów przez wiele lat
konsekwentnie się odcinał. Do
tego ostatniego celu, którego
nie udało mu się jeszcze
osiągnąć, zmierza z właściwą
sobie brutalną pasją: nie licząc
się z opinią publiczną,
zmiatając z drogi wszystkie
przeszkody, gwałcąc konstytucję,
wykorzystując do ostatnich
granic środki finansowe,
pozostające w dyspozycji
posłusznego mu aż do
tchórzostwa, ministra skarbu
Jana Węglińskiego.

"Kilkakroć osadzany i ścigany
zawiścią niewinnie - próbuje
tłumaczyć Zajączka Koźmian -
przekonanie powziął, że naród
polski nie umie oceniać
prawdziwych przysług sobie
świadczonych; podobnymi
przykładami w historii się
pocieszał i na tej zasadzie
działał, że narodowi polskiemu
prawie gwałtem narzucić trzeba
to wszystko, co się z dobrem
jego zgadza; inaczej nigdy by
przez nałóg do anarchizmu,
równie materialnej, jak
politycznej pomyślności nie
dosięgnął i nigdy by do
porządnej organizacji nie
trafił."

Taki był stosunek szefa
konstytucyjnego rządu Królestwa

Polskiego do narodu, którym
przyszło mu władać i którego
miłość pragnął pozyskać. Wobec
swych mocodawców natomiast nadal
przestrzegał zasady ślepego
posłuszeństwa. "Jako żołnierz i
żywego charakteru - przyznaje
Koźmian - tam się tylko hamować
nie umiał, gdzie wiedział, że
zezwole nie jego nie podobałoby
się cesarzowi lub
w.księciu..."

Jako przewodniczący Rady Stanu

Zajaczek starał się zachowywać pozory praworządności i, chcąc nie chcąc, stosował się do przepisanej przez konstytucję kolegiałności w sprawowaniu władzy. Ale tylko do pewnych granic.

"We wszystkich materiach politycznie obojętniejszych, a materialnie krajowi przysłużonych chętnie się oświecał, łatwo pojmował, wolnej dyskusji dozwalał, jasno i krótko się tłumaczył, gadulstwa tylko i nieużytecznych sprzeczań nie lubił, nie znosił i wtedy dyskusję zamykał." W praktyce znaczyło to, że nie tolerował żadnej opozycji. Najbardziej opornych członków Rady Stanu - choćby chodziło o ludzi najbliżej z nim związanych - prędzej czy później pozbywał się z Rady, w najlepszym razie przenosząc ich do senatu z honorowym awansem na kasztelana. Metoda ta tak się utarła, że przeszła w przysłowie. Gdy któryś z radców stanu czy dyrektorów generalnych w Radzie, bądź Komisji Rządowej, zbyt śmiało stawał w obronie konstytucji, straszono go: "Uważaj, bo przejdziesz w kasztelany".

Z najwyższą niechęcią odnosił się generał Arbut do wszystkiego, co ograniczało jego władzę namiestnika królewskiego. "Sejmów nie lubił - świadczy Koźmian. - Przez cały czas swego namiestnikostwa, dwa razy tylko

był na posiedzeniu sejmowym; lecz twarzą i ruchem ramion okazywał, iż mu się nie podobają spory i krytyki, i zniecierpliwiony, prawie z szyderczym uśmiechem wyszedł." "Żołnierz prawników i gadaczów nienawidził. Sam w wyobrażeniach liberalny,

liberalistów w naszym położeniu nie lubił i na równi ich kładł z anarchistami. Razu jednego, gdy mu przyniosłem raport do sejmu, wszedł ze mną w rozmowę o zapaleńcach kaliskich. Nie broniliem ich, lecz dodałem: "Wszyscy przechodzimy przez chwilę zapału i dopiero z wiekiem się ustalamy, niech Książę sobie przypomni, jak myślał przed laty trzydziestu". "Bo głupi byłem" - na to mi odpowiedział."

Kaliscy zapaleńcy! Sąsiedzkie stosunki z przywódcami liberalnej opozycji kaliskiej, braćmi Wincentym i Bonawenturą Niemojowskimi - nie były z pewnością epizodem bez znaczenia w biografii księcia namiestnika. Perfidny żart historii sprawił, że sejmowa opozycja antyrządowa lat 1818_#1825 obrała sobie na główną kwaterę majątek Bonawentury Niemojowskiego, Marchwacz, położony w bezpośrednim sąsiedztwie dóbr księcia namiestnika (jeszcze dzisiaj lasy nadleśnictwa Marchwacz podchodzą niemal pod sam Opatówek).

W pięknym neoklasycznym dworze w Marchwaczu odbywały się regularne zebrania "partii kaliskiej", na których - przy sutym poczęstunku - omawiano ważne materie gospodarcze i polityczne, piętnowano naruszanie przez rząd konstytucji, czytano wspólnie francuskie dzieła polityczne i filozoficzne, zastanawiano się nad sposobami najlepszego wykorzystania istniejących swobód konstytucyjnych dla

całkowitego upodobnienia ustroju Królestwa Kongresowego do zachodnioeuropejskich systemów parlamentarnych.

Sądzę, że generał Arbuz, w

czasie swoich letnich pobytów w Opatówku, pilnie nadstawiał ucha na odgłosy dochodzące z Marchwacza. Ale działalność poolityczna sąsiadów zza między musiała mu się wydawać niepoważna i godna pożałowania. Litował się pewnie nad zapaleńcami kaliskimi, że pomimo ich wykształcenia i obycia, nie mogli zrozumieć podstawowej prawdy swego czasu, wyrażającej się w tym, że - jak to pięknie ujmie bystry kronikarz epoki, Fryderyk hr. Skarbek - swobód konstytucyjnych "należało tylko tyle używać, o ile na to samowolność cesarza Rosji pozwalała".

Jednakże stosunki sąsiedzko_towarzyskie między Opatówkiem a Marchwaczem układały się nie najgorzej. Braci Niemojowskich chętnie podejmowano w Opatówku, książę_namiestnikowej imponowali swymi walorami towarzyskimi i odczytaniem w poważnej literaturze francuskiej. Książę_namiestnik cenił ich za humor, upodobanie do dobrego jedzenia i picia, a także za ich osiągnięcia w dziedzinie rolnictwa. Nie bez znaczenia dla ich stosunków mogło być i to, że widok młodego jeszcze Wincentego Niemojowskiego, z blaszaną trąbką przy uchu, niewątpliwie ułatwiał staremu żołnierzowi znoszenie własnej głuchoty.

Do roku 1820 stosunki między szefem rządu a przywódcami, niegroźnej jeszcze dla władz, opozycji były tak dobre, że książę_namiestnik zamierzał powierzyć ogólnie szanowanym Niemojowskim najwyższe urzędy w województwie kaliskim. Wincenty miał zostać prezesem KOMisji

prezesem Trybunału
Wojewódzkiego. Ale na krótko
przed drugim sejmem Królestwa
wszystko się popsuło. Nie
wiadomo, czy zawiniło tu
zachowanie się Niemojowskich na
sejmikach wyborczych, czy też
wmieszał się do sprawy
wszystkowidzący i wiedzący
senator NOWosilcow - dość że
namiestnik nagle, tuż przed
sejmem, wycofał się ze swych
obietnic, wyjaśniając, że
Wincenty Niemojowski nie może
zostać prezesem Komisji
Wojewódzkiej ze względu na swą
głuchotę (przyczyny, dla której
Bonawentura NIemojowski nie mógł
przewodniczyć Trybunałowi
Wojewódzkiemu - nie udało się
kronikarzom odnotować). Co
gorsza namiestnik, w miejsce
Wincentego Niemojowskiego,
prezesem kaliskiej Komisji
Wojewódzkiej mianował męża swej
synowicy Gabrieli z Zajączków -
młodego obrotnego Józefa
Radoszewskiego, którego, jak
świadczy Koźmian, "coraz
bardziej szanował i kochał". Tak
jaskrawy przykład nepotyzmu ze
strony najwyższej władzy
krajowej wywołał powszechne
wzburzenie w województwie
kaliskim. Odtąd ziemianie
kaliscy, z braćmi NIemojowskimi
na czele, staną się
nieprzejednanymi wrogami
Zajączka.

Mieszanie do polityki
sentymentów osobistych należało
do stałych praktyk generała
Arbuza. Koźmian opowiada, jak
raz udało mu się udaremnić tego
rodzaju zamysł ze strony
namiestnika. Zdarzyło się to w
związku z nakazaną przez cesarza
Aleksandra reorganizacją Komisji
Rządowej Wyznań Religijnych i
Oświecenia Publicznego. Będąc
wyznaczonym do deputacji,
mającej te zmiany przeprowadzić,
Koźmian zgłosił się do
namiestnika, "dla wyrozumienia

jego i cesarza myśli". Przebieg rozmowy przytacza w "Pamiętnikach": "(Wyznaczyłem cię - rzekł (namiestnik) - do tej deputacji, pamiętaj, że trzeba usunąć wszystkich członków, którzy tam brużdżą, a najprzód Niemcewicza". Przeląknęłam się tego: jak to, ja miałabym zadawać ten cios przyjacielowi, i przyjacielowi tak potężnemu opinią powszechną? Zapytałem więc, czy jest to "conditio sine qua non?" Odrzekł z żywością: "To jest burzyciel wszystkich przeciw rządowi i póki on tam będzie, daremne wszystkie urządzenia". "Czy nie byłoby Mci Książę - odpowiedziałem - przyzwoiciej i godniej wprzód projekt ułożyć, a przy wprowadzeniu go w wykonanie wtedy pomyśleć o wyborze członków? Mam jeden powód tak utrzymywać, lecz nie śmiem go W.Książęcej Mci wyjawiać, bo się tyczy samej W.Książęcej Mości; powziąłem go przez tę przychylność, którą mam do W.Książęcej Mości". "Cóż mi więc powiesz?". "Świeża jeszcze jest chwila, w której Niemcewicz zerwał z dawną z W.Książęcą Mością zażyłość i dopuścił się w pismach swoich obrazy przeciw W.Ks. Mości osobie; wszyscy ludzie rozsądni potępiają tę jego zemstę. Gdy teraz tak "improvise" (nagle - M.B.) usuniętym zostanie, nie przypiszą to woli cesarza ani innym słusznym powodom, lecz wzajemnej W.Książęcej Mości zemście - a wiem, że szlachetne Waszej Książęcej Mości serce jest dalekie od niej - a tak bez winy W.Książęcej Mości głos nieukontentowania padnie na Waszą Książęcą Mość. Przepraszam Waszą Książęcą Mość za tę może zbyt śmiałą uwagę". Na to wyciągnął do mnie rękę, objął za szyję, pocałował i rzekł: "Dziękuję ci za prawdziwie

przyjacielską uwagę, masz rację,

zapewne, na co drażnić i tak
rozdrażnionego człowieka".

Taki był Zajączek w swym
namiestnikowskim urzędowaniu. A
jaki był w domu, w życiu
osobistym? O tym również można
się od Koźmiana sporo
dowiedzieć.

"Życie namiestnika było
porządne, regularne i polskie -
świadczy autor "Pamiętników". -
Rano zaraz ubierał się, głowę w
pierścienie fryzował i modlitwy
kapłańskie z brewiarza
odmawiał..."

Sumienna biografka Zajączka,
pani Jadwiga Nadzieja,
powtarzając informację Koźmiana
o porannych modłach namiestnika,
dystansuje się od niej słówkiem
"podobno". Bo rzeczywiście
niełatwo uwierzyć w tę solenną
religijność dawnego, wściekłego
libertyna w duchu francuskim -
nienawidzącego religii i księży,
rwącego się d wieszania
biskupów. Ja bym jednak
informacji Koźmiana zawierzył.
Historia - zwłaszcza w okresach
wielkich przełomów - często bywa
widownią raptownych nawróceń
najwścieklejszych nawet
libertynów. Poza tym Zajączek
miał w swym pobliżu kogoś, kto
mógł go skutecznie do nawrócenia
nakłaniać. Tym kimś był druh
generała z wyprawy egipskiej,
zakonnik_reformata Prosper
Burzyński, wieloletni misjonarz
w krajach afrykańskich, po
powrocie do ojczyzny - gwardian
klasztora reformatów w
Sandomierzu, a od roku 1820,
dzięki poparciu namiestnika,
biskup sandomierski. Przyjaźń z
biskupem Burzyńskim to jedna z
trudnych do rozwiązania zagadek
biografii generała Arbuza. Poza
równym wiekiem (biskup był
młodszy od generała zaledwie o

kilka miesięcy) i wspólnie
przeżyta przygodą egipską - nie
było na pozór w tych dwóch
ludziach niczego takiego, co
mogłoby ich do siebie

przyciągać; przeciwnie: wszystko
zdawało się ich raczej dzielić,
niż łączyć. Biskup Burzyński w
czasie swych dziesięcioletnich
rządów duchowych w Sandomierzu
zasłynął jako gorliwy pasterz,
orędownik krańcowej surowości
obyczajów, asceta i opiekun
ubogich. Mówiono, że pomimo
sekularyzacji, pod pasem
biskupim nadal nosił pokutny
sznur zakonnika reformaty. W
jego diecezji tradycją się
stało, że osobiście wymierzał
karę chłosty księżom "rozwiązłym
i opieszalym". W odróżnieniu od
dawnego druha z warszawskiego
Pałacu Namiestnikowskiego
odznaczał się absolutną
bezinteresownością. w sprawach
materialnych, co nawet wśród
ówczesnych dostojników
kościelnych nie było cnotą
często spotykaną. Wszystkie
dochody, jakie miał z
biskupstwa, oddawał na
restaurację kościołów i na
wspieranie biednych. Nie
predystynowało go na przyjaciela
namiestnika także i to, że będąc
z urzędu senatorem Królestwa i
członkiem Rządowej Komisji
Wyznań Religijnych i Oświecenia
Publicznego, niestrudzenie
zabiegał o "wyjęcie duchownych
spod władz świeckich".

A jednak przyjaciółmi byli.
Potwierdzają to zgodnie wszyscy
liczący się kronikarze tamtych
czasów. Julian Ursyn Niemcewicz
wprowadził nawet biskupa
Burzyńskiego - oczywiście jako
postać pozytywną - do jednej ze
swych złośliwych bajek o
Zajączku. Ordynariusz
sandomierski za każdym swoim

pobytem w Warszawie, a jako członkowi prymasowskiej Sekcji Duchownej zdarzały się mu takie pobyty dość często - odwiedzał Pałac Namiestnikowski i bywał tam podejmowany z najwyższymi względami i honorami. Wiele przemawia za tym, że tchnący misjonarskim żarem reformata

starał się w czasie tych przyjacielskich wizyt uszlachetniać duchowo, podatnego na wpływy autorytetów moralnych, generała. Nic jednak nie wskazuje na to, że udało mu się przeszczepić Zajączkowi swoje umiłowanie ascezy czy pogardę dla korzyści materialnych. Wolno natomiast przypuszczać, że krakowskim targiem zdołał nakłonić przyjaciela do odprawiania codziennych praktyk religijnych.

Po uwiarygodnieniu w ten sposób porannych modłów dawnego arcyjakobina, powracam do przerwanej relacji Koźmiana.

"Okolo dziesiątej (Namiestnik) jadł śniadanie polskie z nadzwyczajnym na swój wiek i małość ruchu apetytem (zrazy z kaszą, bigos hultajski, kapłon pieczony były ulubionymi i zwyczajnymi jego potrawami), wypijał kilka kieliszków wina francuskiego lub węgierskiego zielonego i wytrawnego. Następnie załatwiał i podpisywał urzędowe postanowienia, które mu generał Kossecki (sekretarz Rady Stanu - M.B.) przynosił. Dalej sam pisał bilety i listy, po polsku lub po francusku. Bilety jego ręką do kobiet pisane po francusku mogły być wzorem w tego rodzaju korespondencji. Kilka ich zdarzyło mi się czytać."

W tym miejscu znowu muszę Koźmianowi przerwać. Ja również miałem w ręku - wyszperane w

warszawskim Archiwum Głównym Akt
Dawnych - francuskie "bilety"
Zajączka, pisane w roku 1818 do
Klementyny z Koziatulskich
Walickiej (fragmenty ich
przycząłem przed dwudziestu
laty w książce "Koziatulski i
inni"). Zgadza się z Koźmianem,
że francuszczyzna tych liścików
jest doskonała, a styl
nacechowany wytworną elegancją.
Od siebie dodam, że niezwykle
jest charakter pisma Zajączka:

trudny do odczytania, pokrętny,
przypominający jakieś wschodnie
hieroglify. Tak mnie to pismo
zadziwiło, że kopie
korespondencji przekazałem do
ekspertyzy grafologowi.
Orzeczenie jego nie wniosło do
biografii generała Arbuza
niczego nowego, ale potwierdziło
w pełni to wszystko, co jest już
znane z innych źródeł: wielkie
ambicje..., gwałtowne
namiętności..., ciężkie
kompleksy...

I znowu oddaję głos
Koźmianowi: "Chcąc wiedzieć,
kogo namiestnik szacował i
poważał - czytamy w
"Pamiętnikach", trzeba było rano
odwiedzić pałac jego, u którego
zawsze drzwi otwarte przyjmowały
wszystkich z uszanowaniem lub
intereselem przychodzących. Witał
każdego z uprzejmą grzecznością,
słuchał cierpliwie, chętniej
zaspokajał żądania, niż odmawiał
lub do generała Kosseckiego
odsyłał".

Te poranne godziny były
najpożyteczniejszą częścią
dnia namiestnika. Odwiedzali go
wtedy ci z jego
współpracowników, którzy jego
przyrodzoną lekkość w
dysponowaniu funduszami
publicznymi potrafili kierować
na właściwe tory. Widywano wtedy
w Pałacu Radziwiłłowskim:

Staszica, ministra Mostowskiego,
Marcina Badeniego, Aleksandra
Linowskiego, kasztelana
Kochanowskiego, architektów:
Corazziego, Aignera, Kubickiego.
Uzgadniano wtedy projekty, w
wyniku których kraj pokrywał się
siecią nowych dróg i osad
fabrycznych, a w Warszawie
wyrastały okazałe gmachy
ministerstw i urzędów.

"Dalej (Namiestnik) dyktował
Francuzowi, sekretarzowi
Roufeau, różne ekspedycje; na
koniec czytał lub czytać sobie
kazał gazety zagraniczne i
dzieła świeże bądź polityczne,

bądź potoczne we Francji
wychodzące. (...) O godzinie
dwunastej wyjeżdżał do
w.księcia, lecz nie codziennie;
później na posiedzenia Rady
Stanu ogólnego Zgromadzenia,
które się w pierwszych latach
jego rządów odbywały w Pałacu
Kraasińskich, a ku schyłkowi
jego, dla oszczędzenia fatygi, w
pałacu jego, gdzie i Rada
Ministrów zawsze się zgromadzała
i u niego obiadowała. O godzinie
czwartej jadał zwyczajnie obiad
w małym gronie pięciu lub
sześciu osób, na który tylko
poufalszych przyjaciół, i to
rzadko, zapraszał. Obiad był
polski, bo kuchnię dobrą, polską
nad francuską przedkładał (...)
Lubił młodych i nieraz z
wesołością drażnił się z nimi
(...) Uczty urzędowe bywały u
niego przyzwoite; bale,
osobliwie gdy cesarz się
znajdował, świetne i liczne.
Lecz najpowabniejsze bywały
obiady środnie (środowe - M.B.) z
osób czterdziestu najmniej
złożone, na które tylko wybór
osób równie z płci pięknej, jak
i męskiego towarzystwa i
przytomnych w stolicy
cudzoziemców zapraszał."

Ale najbardziej sobą bywał
namiestnik wieczorami, gdy -
wolny od przymusu reprezentacji -
mógł się oddawać błogiej sjeście
i ulubionym rozrywkom.

"Wieczór, gdy zmordowany
publicznymi obowiązkami zrzucił
ubiór, wziął na siebie ulubioną
mundurową polską wołoszkę
(zachował tę ciepłą kurtkę
jeszcze z powstania
Kościuszkowskiego - M.B.) i
zasiadł do partii wiska, wtedy
bez wyboru wchodzili do niego -
rzadko zacni i szlachetni,
więcej nikczemni i podli, którzy
się jak do zaszczytu do partii
jego cisnęli. Wtedy Okołów
sadził się na koncepta i
rozpuszczał język; wtedy
drugiego rzędu bufon, Lewiński,

głosem i postacią jak na teatrze
wystawiał przed nim
Rembielińskiego Rajmunda
(osławiony Intendent Generalny
z kampanii galicyjskiej, w roku
1820 marszałkował na drugim
sejmie Królestwa - M.B.) i
innych; wtedy Poletyłło i
Grzymała im pomagał, Czarnecki
się kłaniał. A to zrażało, że na
te wieczory, rzadziej, niż sobie
życzyli, uczęszczali ludzie
poważni i cnotliwi, wojskowi i
cywilni, cierpiąc za siebie i za
namiestnika, gdy z koniecznej
przyzwoitości w tym towarzystwie
się znaleźli."

Także inne źródła ówczesne
potwierdzają, że wieczory u
namiestnika nie cieszyły się
dobrą sławą w Warszawie, ale
wrogo nastawiony do postępowej
młodzieży Koźmian wielką krzywdę
wyrządza takim wesołym młodym
ludziom, jak przyszły więzień
stanu Wojciech Grzymała, czy
przyszły minister
sprawiedliwości w powstaniu
listopadowym, Franciszek Ksawery
Lewiński - wrzucając ich do

jednego worka z cynicznym
pieczeniarem Feliksem
Czarneckim "alias "Pępuchem"" -
skompromitowanym później swym
zachowaniem w sądzie sejmowym -
czy z takim "moralnym i
fizycznym, bezecnym i
powszechnie pogardzanym potworem
towarzystwa" jak Jerzy Okołów.

Jeżeli zagadkowa mogła się
wydawać przyjaźń Zajączka z
biskupem Burzyńskim, to zagadką
stokroć do odgadnięcia
trudniejszą była niezrozumiała
słabość namiestnika do stałego
gościa Pałacu Radziwiłłowskiego,
Jerzego Okołowa. Ów niedoszły
duchowny kalwiński (stał
przydomek "Kalwin" nadany mu
przez namiestnika) skupiał w
swej osobie tyle najobrzydliwszych
przywar, że snadniej można go
było uznać za sługę nie Boga,
lecz diabła.

"Niskiej, pękatej i otyłej

postaci - pisze o Okołowie
Kozmian - w początkach Królestwa
przebrał się po polsku, co dało
powód publiczności do mówienia:
"Okołów przebrał się za Polaka".
Ubierał się starannie: nosił
szaty dobrane, pasy bogate,
karabele złociste, czapkę
konfederatkę ogromną, na
wierzchu opończę szaraczkową,
atłasem karmazynowym wyłopżoną
i często w czerwonych butach.
Toczył się przez ulicę,
zaczepiając znajomych, i żarty,
i bufonady, a najwięcej
szyderstw rozpoczynał, co tak
spóźniało jego kroki, że czasem
parę godzin trawił na
przechodzenie jednej ulicy."
Kozmian na różne sposoby starał
się dociec przyczyn upodobania
Zajączka do tej ogólnie
pogardzanej osobistości.
"Niewytłumaczoną jest zagadką
nawyknienie jego (Namiestnika)
do Okołowa, smak w jego płaskich

i często brudnych bufonadach (za przykład "humoru" Okołowa może posłużyć choćby to, że dla rozbawienia towarzystwa potrafił zwracać się do swej żony: "ty świnio" - M.B.), jego wynoszenie coraz z wyższego stopnia na wyższy, aż do prezesostwa Izby Obrachunkowej. Bądź się nie chciał narazić na jego język, bądź Okołów jako mu polecony przez Nowosilcowa był u niego w posadzeniu, że mu za dostrzegacza przydany został; bądź też nieszczęśliwy smak i upodobanie (...) owych jowialności, rubaszeństwa, bufonad, a szczególnie rozmów i żartów rozwiązłością i swawolą języka ku płci żeńskiej tchnące, długo w domu Branickiego kosztowane w nałóg mu się obróciły."

Nie tylko Koźmiana dziwiła słabość namiestnika do Okołowa. Dowcipny radca stanu Marcin Badeni mawiał: "Co ten namiestnik pieści tego brudnego Okołowa jak szpica lub mucyka, a

to jest brytan wycierający, gruby, który mu wszystkie sprzęty powala i jeszcze jego obrudzi i oszczeka".

Jeszcze surowiej osadzał Okołowa Tadeusz Matuszewicz, pierwszy minister Skarbu Królestwa, któremu Zajączek starał się swego totumfackiego narzucić na kontrolera. Ten mówił po prostu: "Okołów to jest smród, koło tego gnoju siedzieć byłoby ostatnią podłością". Niekiedy bufonady Okołowa nawet Zajączka wyprowadzały z równowagi. "Razu jednego - wspomina Koźmian - grając w wiska naprzeciw namiestnika, zaczął rozpuszczać szyderczy język na jednego urzędnika, którego namiestnik szacował i niekiedy rady jego zasięgał.

Dość było powodów dla tego
nikczemnika do zazdrości i
szyderstwa podkopywania
zasłużonej ufności; przedrwiwał
więc jego poezję, literaturę,
urzędowanie itd. (Kto wie, czy
tym atakowanym nie był sam
Kozmian? - M.B.). Namiestnik,
chcąc go stropić, odezwał się:
"Przestań tych żartów, ty jemu
nie odbierzesz reputacji
zasłużonej z jego zdolności i
poświęcenia się". A gdy nie
poprawiony przestroga,
przedrwiwacz jakiś nowy sarkazm
wybluźnił, namiestnik, jak
trzymał karty w ręku, rzucił mu
w oczy, zgromił słowami gniewu i
rozkazawszy sobie podać kule,
przerwał wiska i do swego pokoju
się oddalił. Okołów zmieszany i
zawstydzony obecnością kilku
słusznych ludzi oddalił się w
postaci tego brytana, który
szczekaniem obraziwszy pana,
uderzony tuli ogon pod siebie i
kryje się. Jednak w kilkanaście
dni, nie wiem, czy wezwany przez
słabość namiestnika lub też sam
wiedziony podłym natręctwem,
zjawił się na wieczorach i do
swoich bufonad, acz
ostrożniejszych powrócił."

Gdybyż Okołów ograniczał się
tylko do bufonad w szczupłym
gronie wieczornych gości Pałacu
Namiestnikowskiego. Ale on
pretendował także do roli
doradcy namiestnika w poważnych
sprawach państwowych. "Wmówił w
starca - świadczy Kozmian - iż
nie powinien ufać ministerialnym
raportom, lecz dla przekonania
się o ich prawdzie powinien z
ramienia swego wysłać zaufanego
kontrolera na prowincję, który
by po komisjach wojewódzkich
sprawdzał czynności prezesów i
regularność służby, badał
potrzeby województwa, dawał
opinie o zdatności urzędników i

namiestnikowi donosił, i naturalnie na tego kontrolera sam siebie nastręczył. Wysłał go więc namiestnik dobrze uposażonego dietami. Objeżdżał więc województwa bez żadnych ze swojej strony wydatków, bo wmówiwszy w urzędników, że jest wszechwładnym u namiestnika, i sami też spostrzegłszy, że od jego opinii ich los, wyniesienia lub oddalenie zależą, przesadzali się na jego przyjęcie. Pił więc z nimi i ucztował, pozornie się trudnił, a istotnie baraszkował i najfałszywsze zdawał raporta. Na koniec obłowiwszy się, wrócił z ogólnym raportem, którym umiał starcowi zamydlić oczy. A gdy spostrzegł zadowolenie namiestnika, podał mu konsygnację diet i wydatków tak przesadzoną, że starca obruszyła i wyrzucił mu w gniewie nieszlachetną interesowność (...). Kazał mu wypłacić, ile żądał, lecz od tej chwili szacunek do niego stracił; niestety nie stracił nawyknienia do osoby."

"Nawyknienie"

księcia namiestnika do Okołowa było tak nieprzeparte, że wkrótce potem - ku powszechnemu zgorszeniu - utorował mu drogę do niemal ministerialnego

stanowiska prezesa Izby Obrachunkowej.

Nie zidentyfikowany z nazwiska satyryk ówczesny tak pisał o Okołowie:

Przebrał się za Polaka, choć nie_Polak w duszy,@ gdy go spotkasz, zatykaj oczy, nos i uszy:@ opluje cię, obrudzi, oczerni przed tłumem;@ cnota u niego głupstwem, bezczelność rozumem.@ NIE dojdiesz, co w tej spasłej postaci przemaga,@

czy szyderstwo języka, czy
brzucha odwaga.@ Gdzie indziej
może by go użyto stosowniej,@
skrzybałby błoto albo siedziałby
w prochowni.@ Biada krajowi, w
którym do rady zasiada@ nadworny
błazen tego, co narodem włada.@

Pomimo postępującej kariery,
Okolów nie był jednak całkowicie
zadowolony ze swojej sytuacji w
Pałacu Radziwiłłowskim. Odczuwał
otaczającą go pogardę. Bolał nad
tym, że namiestnik w gruncie
rzeczy wstydzi się jego
towarzystwa, a namiestnikowa
patrzeć na niego nie może. Po
przerwaniu przez namiestnika
jego wyjazdów kontrolnych w
teren skarżył się Koźmianowi:
"Stary zawsze marnotrawi
fundusze krajowe; wasza to wina,
żeście mego projektu nie
przyjęli, ja mu chciałem
skrzydła obciąć. Myślicie, że on
moją radą żyje i że mnie lubi?
Lubi mnie, bo mu błaznuję i
rozśmieszam go, a nigdy mnie
prawie na poufały obiad nie
wzywa, bo mnie "Magnifica" nie
cierpi. Gdy do niego rano
przyjdę, a kto ze znakomitych
ludzi się zamelduje, to mnie jak
podejrzaną kobietę tylnymi
drzwiami wypuszcza".

Trudno się dziwić
przezorności namiestnika. Nie
mógł przecież dopuścić do takiej
ewentualności, aby w jego
pokojach trafiali na siebie
goście tak różnego autoramentu

jak: rozwiązły "kalwin" Okolów i
chłozzczący rozwiązłych, biskup
z Sandomierza.

Zrozumiała była także niechęć
do Okołowa pani namiestnikowej.
W miarę upływu czasu gusty
towarzyskie wiecznie młodej
madame Alexandrine coraz
bardziej odbiegały od gustów jej
starzejącego się małżonka. W

Pałacu Radziwiłłowskim
kształtowały się dwa odrębne
dwory: dwór namiestnika,
przypominający atmosferą męskie
kluby karciane oraz dwór
namiestnikowej, upodabniający
się do modnych wówczas salonów
literackich. Że pani Alexandrine
miała wszelkie kwalifikacje na
patronkę takiego salonu, orzekł
sędzia nie byle jaki, bo sam
wielki Balzac. "Posiada - pisał
o pani Zajączkowej autor
"Komedii ludzkiej" - umysł i
serce młode, figurę czarującą i
potrafi w rozmowie, której
słówka iskrzą się jak ogniste
języczki, porównywać ze sobą
ludzi i książki naszych czasów z
ludźmi i książkami XVIII
stulecia."

W salonach
księżnej_namiestnikowej
spotykała się elita
intelektualna i artystyczna
Warszawy. Tam święcił swe
pierwsze tryumfy muzyczne
młodziutki Fryderyk Chopin,
sprowadzany do Pałacu
Radziwiłłowskiego przez swego
przyjaciela referendarza stanu
Wojciecha Grzymałę,
odgrywającego pierwszoplanową
rolę nie tylko na owych
przyjęciach, ale także - w sercu
ich gospodyni.

Przyjęciom
księżnej_namiestnikowej
szczególnego smaku musiała
dodawać świadomość, że za
którymiś drzwiami jej dworu
kryło się sanktuarium
niezniszczalnej urody i
młodości. Na temat sposobów,
jakimi pani Alexandrine walczyła

z czasem, krążyły po Warszawie
niezliczone plotki. Najczęstsze
z nich powtarzam za Stanisławem
Wasylewskim, który zadał sobie
trud wyłuskania ich z zapisków
archiwalnych. Opowiadano więc:

- że konserwowała ciało swoje za pomocą niskiej temperatury, tak jak kucharz konserwuje sarninę w lodowni,
- że nigdy nie brała do ust gorących potraw,
- że żywiła się jarzynami, mleczystem i owocami,
- że sypiała w pokoju nie opalanym, nie świecąc o ile możliwości wieczorem dla uszanowania cery,
- że pod łóżkiem z firankami stały szczególne naczynia chłodzące z lodem,
- że do rannej kąpieli przygotowywano jej wanny z piekielnie zimną wodą,
- że na noc (ale w to już mało kto wierzył) obszywała się w sarnią skórę.

Do ludzi szczególnie interesujących się zabiegami kosmetycznymi namiestnikowej należał wielki książę Konstanty. Cesarzewicz z Belwederu był już przykładnym małżonkiem Joanny Grudzińskiej, ale ciągle jeszcze pamiętał o krzywdzie swojej Fifine i pałał żądzą zemsty na "zuchwałej Francuzicy". Kolejną po temu okazję wykorzystał z właściwym sobie, osobliwym poczuciem humoru. Kiedy policyjni "dostrzegacze" korespondencji donieśli mu, że księżna_namiestnikowa zamówiła sobie w Paryżu dziesięć fiszbinowych napierśników, kazał dopisać do zamówienia jeszcze jedno zero. W wyniku tej manipulacji, księżnie dostarczono sto sztucznych biustów i zażądano od niej uiszczenia odpowiednio wysokiej opłaty celnej. Wybuchła wielka awantura i w salonach warszawskich przez dłuższy czas miano o czym rozmawiać. Ale

dobrej sławie pani Zajączkowej
takie płaskie złośliwości nie

mogły zaszkodzić. Cytowany już Honoriusz de Balzac, który poznał ją osobiście dopiero w roku 1836, a więc kiedy miała za sobą 80 lat życia, takie oto wypisał jej świadectwo: "POdrwiwa ze śmierci, śmieje się z życia. Niegdyś zadziwiła Aleksandra, dziś prześciga Mikołaja wspaniałością przyjęć. Zaprawdę to jest bajka o wróżce, jeśli to nie jest w ogóle żywa wróżka z bajki - madame Zayonscek". .nv
Zajaczek w królika
przemieniony (c.d.)

VIII

Drugi sejm Królestwa Kongresowego - zasiadający w Warszawie od 13 września do 13 października roku 1820 - obradował w nastroju podniosłego ożywienia. Liberalna opozycja, która na pierwszym sejmie przed dwoma laty ledwie dawała się słyszeć, teraz wystąpiła w zwartym szyku i rozkrzyczała się wieloma głosami. Wolnościowe maksymy francuskiego teoretyka liberalizmu Beniamina Constanta, którymi upajano się na zebraniach obywatelskich w sąsiadującym z Opatówkiem Marchwaczu, podparte polsko_szlacheckim animuszem braci Niemojowskich, dały w rezultacie mieszankę piorunującą. "Kaliscy zapaleńcy", zapominając, w jakim żyją miejscu i czasie, ruszyli ławą przeciwko władzy, łamiącej konstytucję. Pierwszym przedmiotem ich ataków stał się wniesiony do tronu rządowy projekt "statutu organicznego" Senatu, kasujący w praktyce konstytucyjną odpowiedzialność ministrów przed sejmem.

"Konstytucja jest własnością narodu, nikt nie ma prawa ani nam jej odebrać, ani nawet jej

zmienić - wygrażał rządowi i
tronowi swoją blaszaną trąbką
akustyczną poseł ziemi kaliskiej
Wincenty Niemojowski. -
Straciliśmy już wolność druku,
nie mamy wolności osobistej,
prawo własności zostało
zgwalczone, dzisiaj na koniec
chcą nam odebrać
odpowiedzialność ministrów. Cóż
nam więc pozostanie z całej
konstytucji. "Stat magni nominis
umbra". * Zrzecemy się raczej
tych zwodniczych rękojmi,
niechaj nie wciągają w sieć
patriotów - którzy zaufali z
dobrą wiarą."

"Stoi (już tylko) cień
wielkiego imienia" (łac.) -
cytat z dzieła pisarza
rzymskiego Lukana Pharsalia.

"Mowa Niemojowskiego zrobiła
nadzwyczajne wrażenie na Izbie i
na licznie zgromadzonej
publiczności - wspominał jeden z
obecnych na sesji "arbitrów",
późniejszy poseł na sejm i
minister Rządu Narodowego w
powstaniu listopadowym,
Stanisław Barzykowski - projekt
znaczną większością odrzucony
został. Ponieważ król koniecznie
chciał, by go przyjęto,
odrzuć więc wziął żywo do
serca, a prócz kwestii stanu,
chciał widzieć w tym osobiste
dla siebie ubliżenie i swojego
nieukontentowania i gniewu
bynajmniej nie taił."

Równie jak cesarz_król - a
może jeszcze bardziej -
zdenerwował się zuchwałym
wystąpieniem Niemojowskiego
królewski namiestnik, generał
Józef Zajączek. To wtedy pewnie
podpatrzył go Kajetan Koźmian,
jak "twarzą i ruchem ramion
okazywał, iż mu się nie podobają
spory i krytyki", a potem
"zniecierpliwiony, prawie z
szyderczym uśmiechem wyszedł".

Niemojowscy jakby się
specjalnie zawzięli, żeby
drażnić sąsiada z Opatówka.
Zwłaszcza naśladowaniem jego

dawnych szaleństw jakobińskich. W kilka dni po otwarciu sejmu doniesiono namiestnikowi, że poseł Wincenty Niemojowski zgłosił wniosek, aby znieść wszystkie tytuły jako też samo szlachectwo, "które stało się czczym słowem, kiedy każdy ma równe prawo do urzędowań i innych korzyści z konstytucji wpływających". W uszach "książęcia Królestwa Polskiego" takie żądanie musiało zabrzmieć jak bluźnierstwo. Ale nie mógł przecież wymazać z pamięci, że przed ćwierćwieczem sam składał podobne wnioski, że sam ze szlachcica Zajączka herbu Świnka chciał się przemienić w bezherbowego Ananasa. Niewiele miał na obronę swego ówczesnego postępowania. Jedyne to, co z ujmującą prostotą wyznał Koźmianowi: "bo głupi byłem". Teraz zmądrzał i nie zamierzał tolerować głupoty u innych.

Osobą najbardziej atakowaną na sejmie roku 1820 okazał się ksiądz Stanisław Staszic, dyrektor generalny w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji, członek Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego - główny doradca i współpracownik księcia_namiestnika w zarządzaniu gospodarką krajową. Wypominano mu bezlitośnie jego fatalny podpis na niekonstytucyjnym dekreście o cenzurze z lipca 1819 r. * Grupa opozycyjnych posłów, na czele z braćmi Niemojowskimi, zażądała postawienia go wraz z ministrem Stanisławem Kostką Potockim przed sąd sejmowy. Uprzedzony o tym Staszic przyszedł na posiedzenie sejmu z zamiarem tłumaczenia się. Jednak ze strony rządowej zakrzatnięto się, żeby mu to uniemożliwić.

"Znając Staszica charakter,
nieugiętość i oburzenie -
wyjaśnia Kajetan Koźmian -
wiedziano, że to tłumaczenie

będzie raczej wyrzutami gorzkimi
i raczej nauką, przestrogą i
zgromieniem sejmu, gdyż Staszic
nie umiał dać miary wysłowieniu
i nawykły do tonu pedagogicznego
byłby mylnie wywołał burzę (...)
Namiestnik więc uwiadomiony i
przerażony wezwał do siebie
Staszica i do pogardzenia
zarzutami i skargami skłonił.
Wzniósł się nad nie Staszic,
głęboko jednak uczuł urazę i
(...) z żalem do przyjaciół
mawiał: "Jak to, P. Stanisława
Potockiego i mnie pod sąd? Toż
nasze zasługi, nasze poświęcenie
są za nic u nich?! Toż na
przeszłym sejmie skarżyli się na
w.księcia, że szulera i
brukowego hultaja zaaresztować
kazał, aby młodzieży nie
rujnował grą, a nas przed sąd
oddają, co się dla kraju, dla
ich synów poświęcamy, i
położeniem tamy rozpasanym
piórom i językom oszczędziliśmy
krajowi nieszczęść, które by
niebacznosc i głupota
sprowadziły. Nie, naród, który z
doświadczenia tak korzysta,
który nie rozumie, co jest
wolność, a co swawola, naród tak
zakochany w anarchii, który tak
ceni zasługi i zasłużonych
prześladuje, istnieć nie może i
losy swoje, konstytucję, swobody
i dolę potomków na szwank
wystawia i zgubi".

Konstytucja dopuszczała
wprawdzie możliwość prawnego
ograniczania wolności słowa, ale
stanowienie w tej sprawie
powierzała nie władzy
wykonawczej, lecz sejmowi.

Pomimo zapobiegliwości
namiestnika, awantury ze
Staszicem uniknąć się nie udało.

Doszło do niej w jakiś czas
później, na wspólnym
posiedzeniu Rady Stanu i
komisji sejmowych z Izby
Poselskiej i z Senatu.
Przedmiotem sporu był jeden z
projektów rządowych, referowany
przez radcę Koźmiana.

Opozycyjnym protestom przeciwko
projektowi przewodził krzykliwie
kasztelan Wincenty Grzymała
(ojciec Wojciecha, protegowanego
Zajączków) - nieubłagany
skądinąd przeciwnik
eksperymentów
społeczno_gospodarczych,
przeprowadzanych w Staszicowej
Fundacji Hrubieszowskiej.
Staszic początkowo udziału w
dyskusji nie brał, gdy jednak
spór rozpalał się coraz
bardziej, postanowił przyjść z
pomocą napastowanym kolegom z
rządu i zwrócił się do
opozycjonistów z takim oto
upomnieniem: "Przebóg, panowie!
Spostrzeżecie się, że wznawiacie
kłótnie i spory z tronem owych
dawnych sejmów polskich, które
Polskę zgubiły. Przebóg!
Wspomnijcie, czym niedawno
byliśmy. Oto zawojowano nas i
nie istnieliśmy; wspaniały
cesarz stworzył nas, dźwignął,
obdarzył swobodami, jakich
życzyć sobie mogliśmy. Zaledwie
wróceni do życia, zamiast
wdzięczności i uległości,
targamy się, burzymy, przeciw
komu? Przeciw potędze, która,
jak stworzyła, może nas jednym
tchem zdmuchnąć."

Słowa Staszica doprowadziły
opozycjonistów do wściekłości.
"Chciał dalej mówić -
relacjonuje Koźmian - ale nagły
okrzyk członków sejmowych i
wrzask Grzymały przerwał mu mowę
w słowach: "Pod sąd, pod sąd
zasługuje taki członek rządu,
który do dyskusji i sporu z

ministrami i z Sejmem miesza nie konstytucyjnie imię panującego i zastraszyć nas nim pragnie". I zerwawszy się z miejsc, wyjść chcieli z Izby; zaledwie prezydujący i referent projektu, którym byłem, łagodnym tłumaczeniem chęci Staszica i gorliwości jego patriotycznej uspokoił umysły i do dalszego rzeczy rozbioru skłonił. Zamilkł zasmucony Staszic i ze

zmarszczonym czołem siedział jak niemy. Po ukończeniu posiedzenia rzekł do mnie: "Ten rebelista - nieprzyjazny mnie za Towarzystwo Hrubieszowskie - powstał na mnie. Widzisz, jak go popierali jego adherenci, anarchiści nie chcieli słuchać prawdy, obaczycie, oni jeszcze raz Polskę zgubią."

W świetle przytoczonych świadectw Stanisław Staszic, jeden z pierwszych mieszczan w poczcie wielkich Polaków - patron setek naszych ulic, szkół, instytucji naukowych i charytatywnych - rysuje się jako zagorzały lojalista wobec władzy, którą większość patriotów polskich wahała się uznawać za władzę prawowitą. Staszic na takie wahania czasu nie tracił. "Za rzecz najważniejszą - przyznaje jego biograf - uważał lojalność wobec władzy. Jawny opór i sprzeciwianie się jej były dla niego czymś wstrętnym i odpychającym." Jednakże - i to podkreślić trzeba od razu i z największym naciskiem - lojalizm Staszica był czymś zupełnie innym niż lojalizm jego najwyższego zwierzchnika we władzach krajowych, generała Józefa Zajączka. Służalczy lojalizm Zajączka - co potwierdzała nieskończona liczba dowodów, łącznie z jego własnymi

wypowiedziami - wynikał z
karierowiczowskiej prywaty i
kondotierskiej zasady ślepego
posłuszeństwa. Natomiast
lojalizm Staszica - z czym
zgadzali się nawet jego wrogowie
- był na wskroś patriotyczny i
bezinteresowny. U jego podstaw
leżało, uwarunkowane bolesnymi
zawodami przeszłości,
przekonanie, że w danym momencie
dziejowym droga wytknięta przez
kongres wiedeński była dla
Polaków drogą jedyną i
zbawienną. Inna rzecz, że kres
tej drogi wyobrażał sobie

Staszic w sposób dość osobliwy.
Dał temu wyraz w koronnym dziele
swego życia: ogromnym (18 ksiąg
liczącym) poemacie pedagogicznym
"Ród ludzki", gdzie dzieje
rozwoju ludzkości -
przedstawione w duchu
antyfeudalnym, antyszlacheckim i
antyklerykalnym - kończył
nieoczekiwanie promienny obraz
jednoczenia się ludów pod berłem
cesarza Aleksandra I.
Sprzeczności między postępową
treścią poematu a wieńczącą go
apoteozą rosyjskiego samowładcy
zdawał się Staszic nie
dostrzegać. Antynomie wszelkiego
rodzaju były naturalnym żywiołem
księdza_dyrektora. Życie i
twórczość tego niezwykłego
człowieka roiły się od
najdziwniejszych przeciwieństw.

Wieloletni bakałarz w
magnackim domu Zamoyskich -
zawdzięczający temu domowi
poszerzenie horyzontów
myślowych, pogłębienie
wyształcenia, a także zaczątki
znacznej fortuny - z całego
swego mieszczańskiego serca
nienawidził magnatów. "Wielcy
panowie - głosił w swych pismach
- są zaporą nieprzyrodzonej
nierówności, nieprzyjacielem
prawa, gromem wolności, kaźnią

cnoty, obyczajów i charakteru narodów. Kiedy wielcy panowie upadają, znak, że kraj powstaje. Kiedy majątki dzielą się i zmniejszają, znak, że rolnictwo wzrasta."

Później - dygnitarz państwowy szczebla ministerialnego i człowiek bardzo majątny - żył do śmierci jak biedak. Gnieździł się w skromniutkich, ubogo umeblowanych pokoikach, odnajmowanych w oficynie pałacu swej dawnej uczennicy Anny z Zamoyskich Sapieżyny, odżywiał się dietetycznymi zupkami, pił tylko czystą wodę i ku zgorszeniu przyjaciół "sam sobie pończochy cerował". Za ubiór jedyny miał podniszczoną sutannę

badź wytarty fraczek urzędniczy; podróże między rozrzuconymi po całym kraju rozlicznymi miejscami swych zajęć i zainteresowań odbywał lichą ryndulką, zaprzężoną w "szkapy, którymi nawet ksiądz proboszcz by pogardził".

W życiu prywatnym do przesady oszczędny - rozdawał hojną ręką swe ciężko wypracowane kapitały na cele publiczne; na budowę pomnika Kopernika, na gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, na szpitale i "domy zarobkowe" dla ubogich, na warszawski Instytut Głuchoniemych, na zakup rozległych dóbr hrubieszowskich, które ku irytacji okolicznych ziemian przekształcił w idealną wspólnotę paruset gospodarzy, zwalniając ich od wszelkich świadczeń, dzieląc między nich grunty dworskie, obdarzając ich samorządem i innymi zdobyczami postępu społecznego.

Był księdzem i nie odrzekał się swej przynależności do stanu duchownego, ale jako członek Rządowej Komisji Wyznań Religijnych i Oświecenia

Publicznego miewał wystąpienia
wręcz antyklerykalne. Domagał
się ograniczenia autonomii
hierarchii kościelnej,
sprzeciwiał się przyznawaniu
klerowi decydującego głosu w
kwestii zawierania małżeństw i
jego wpływowi na szkolnictwo
powszechne. W swoich
"Przestrobach dla Polski" pisał:
"Łakomstwem skażone
duchowieństwo przewróciło prawdy
boskie. Zgodziło miłość
bliźniego z niewolą człowieka.
Ponieważ nie ta dzisiaj
moralność, którą Chrystus
ludziom oddał, ale ta moralność
i nauka, za którą najlepiej
płacili szlachta, panowie i
despoci". Także niektóre jego
wypowiedzi na gruncie
towarzyskim budziły grozę wśród
prawowiernych. Kiedy raz, w
trakcie swobodnej rozmowy o

kobietach, przypomniano mu, że
jako duchowny wyrzekł się był
przecież małżeństwa,
odpowiedział bez żenady:
"małżeństwa tak, ale kobiet
nigdy".

Uważał się za poetę, ale kiedy
odczytywał publicznie swe
napuszone, ciężkie poematy
dydaktyczne, słuchacze z trudem
tłumili ziewanie. Natomiast
prawdziwie szlachetną
kondensację literacką osiągał,
gdy mówił po prostu o
konkretnych rzeczach. Odpierając
zarzuty o nieopłacalności
długofalowych inwestycji
górnictwa, tłumaczył swym
krytykom: "Górnictwo w kraju
naszym porównać można do
szczepu, który ręka pracowitego
ogrodnika, w rodzajne drzewo
zamienić umyślając,
kilkoletniej od niego
cierpliwości wymaga". W
urzędowym raporcie dla Rady
Stanu z objazdu nowych fabryk

sukienniczych pisał: "Z rozkosza widział Polak sókna z wełny krajowej i zrobione w Polsce, jakie przodkowie niegdyś i sam jeszcze niedawno z odległych cudzoziemskich sprowadzał fabryk". Nakłaniając młodzież do ofiarnej pracy dla kraju, wołał: "Paść może naród wielki, zniszczyć... tylko nikczemny".

Dzień cały, od wczesnego ranka poświęcał ciężkiej pracy: wyczerpującym objazdom kopalń i przedsiębiorstw państwowych, urzędowaniu w Komisjach Rządowych: Spraw Wewnętrznych i Oświecenia Publicznego, wielogodzinnym konferencjom u namiestnika - na których wykreślano nowy kształt kraju. Natomiast wieczorami uwalniał się od wszelkich obowiązków i zmieniał się w innego człowieka. Śledzący go agent tajnej policji piętnował w raportach jego "nie odpowiadające stanowi duchownemu" rozrywki: "Ma od dawna zwyczaj przebierać się

prawie co wieczór i iść "incognito" do teatru na ostatnie miejsce galerii, zwane paradyzmem. Czasami korzysta też z tej samej maskarady, aby uczęszczać do miejsc, gdzie nie wypada być osobie duchownej. Nakłada perukę koloru rudego, duże fałszywe faworyty i zakrywa się szerokim płaszczem, co czyni go bardzo śmiesznym, a szczególnie dla tych, którzy wiedzą, iż jest księdzem". I tycząca tego samego tematu obserwacja postronnego świadka: "Zabawne było patrzeć, gdy ten poważny surowy z brwiami nastrzępionymi i pochmurnym wzrokiem starzec za każdym zręcznym skokiem baletniczki rozchmurzał czoło, krasiał je uśmiechem, ręką i głową potakiwał i poklaskiwał zręczności".

Jako urzędnik państwowy
kontrasygnował dekret o
cenzurze, ale jako autor sam mu
się pierwszy sprzeniewierzył,
przemycając sekretnie, bez
zezwoleń cenzury swój poemat
"Ród ludzki". Że jednak był
wobec władzy lojalny, więc
nielegalnie wydrukowanego
nakładu do księgarń nie oddał,
lecz zmagazynował go w tajnym
schowku; odkryto go dopiero po
jego śmierci.

W swoich pismach i
działalności wychowawczej
przejawiał często skłonności do
utopii. Marzył o idealnym
społeczeństwie "zgodnym z naturą
człowieka" i o idealnym
obywatelu "wdrażanym od dziecka
do pracy i oszczędności". Utopią
była jego Warszawa jako stolica
wszechsłowiańskiego imperium.
Elementy utopijne występowały
zarówno w jego Fundacji
Hrubieszowskiej, wyizolowanej z
ogólnokrajowej sytuacji
włościan, jak i w jego
projekcie przymusowej asymilacji
Żydów poprzez drakońską
wieloletnią reedukację w
zamkniętych gettach. Niekiedy w

podciąganiu praktyki do teorii
posuwał się aż do śmieszności. W
czasie pisania "Rodu ludzkiego"
zaprzagnął przekonać się naocznie,
jak natura dopomagała
pierwotnemu człowiekowi w
zaspokajaniu jego potrzeb.
Zebrał tedy parunastu małych
uliczników warszawskich i, po
gruntownym ich przegłodzeniu,
wywiózł do Lasku Bielańskiego,
aby tam sami zdobywali sobie
pokarm ("Natura tu rozsiała
żywność, są dzikie owoce, jest
żołędź, są ptaki, są zające
itd.; szukajcie, gońcie,
chwytajcie, a głód
zaspokoicie"). Jednakże, jak
łatwo było przewidzieć,

eksperyment się nie udał.
"Chłopcy zamiast się wdzierać na drzewa, szukać zwierza, skupili się pod drzewami, zaczęli przeraźliwie płakać i wołać jeść." Skończyło się na tym, że spłakanych z głodu i ze strachu malców musiał odwieźć na obiad do najbliższej oberży.

Ale ten naiwny utopista, ponoszący ciągle klęski w swoich wydukanych teoretycznie koncepcjach, był równocześnie imponująco wielostronnym praktykiem i zadziwiająco zwycięskim organizatorem otaczającej go rzeczywistości. Kiedy się przegląda olbrzymią dokumentację jego osiągnięć gospodarczo_społecznych, zdumienie ogarnia, że jeden człowiek mógł tak wiele uczynić dla pomyślności swej ojczyzny. Najlepiej to widać na przykładzie jego dokonań w dziedzinie górnictwa.

Jesienią 1805 roku, już jako człowiek 50_letni - zaopatrzywszy się we wszelkiego rodzaju termometry, elektrometry i busole - przedsięwziął pionierską wyprawę w Tatry, góry całkowicie jeszcze wówczas nieznanne, dzikie i pełne niebezpieczeństw. Cel wyprawy był przede wszystkim

geologiczny: chodziło o możliwie dokładne zorientowanie się w bogactwach naturalnych kraju. "Zapisał myśl badawczą pod powierzchnię ziemi polskiej - głosi chwałę Staszica Kajetan Koźmian - zwiedził łańcuch Karpatów, śledził ich powinowactwo i związki z innymi górami świata i jak Pascal na szczycie gór alpejskich, tak Staszic ze szczytu Krępaka (dzisiejsza Łomnica - M.B.) rozważał ich pierwszą przedpotopową posadę, zmianę

potopowa, ich warstwy
wewnętrzne, mierzył jeziora na
nich, uważał napływ ich kruszyn
na płaszczyznach, wdzierał się w
głęb ich jaskiń i pieczar,
wyśledzał w nich skarby,
kruszcze, kamienie i sole,
przenosił się na płaszczyzny i
znowu wdzierał się na szczyty
niebotyczne." (Warto w tym
miejscu przypomnieć, że w innych
zgoła celach wdzierał się na
niebotyczne szczyty górskie
młody Polak Staszicowi
współczesny: romantyczny Kordian
z dramatu Słowackiego).

Bezpośrednim wynikiem wyprawy
w Tatry było powstanie
obszernego dzieła
geologiczno_podróżniczego "O
ziemiorództwie Karpatów i innych
gór i równin Polski", którym
Staszic wpisał się trwale w
historię rodzimej nauki jako
"Ojciec geologii polskiej".
Praktyczne wnioski ze swych
badań geologicznych wyciągnął w
dziesięć lat później, kiedy jako
dyrektor wydziału Przemysłu i
Kunsztów w Komisji Rządowej
Spraw Wewnętrznych i Policji
zajął się organizowaniem w
Królestwie Kongresowym
przemysłu, ze szczególnym
uwzględnieniem górnictwa i
hutnictwa. Była to praca ogromna
- niemal od podstaw. NIGdy
przedtem nie rozbudowywano w
Polsce przemysłu na taką skalę i
z takim rozmachem (dają o tym

pewne pojęcie, przetrwałe do dziś
pozostałości Staszicowskiego
budownictwa przemysłowego). Pod
zarządem dyrektora Przemysłu i
Kunsztów poszerzano i
unowocześniano stare kopalnie i
huty oraz zakładano nowe.
Jednocześnie nie ustawano w
poszukiwaniach kolejnych bogactw
mineralnych: węgla, żelaza,
cynku, ołowiu, siarki, miedzi,

srebra i kopalnianej soli. Powstawały także zaczątki innych gałęzi przemysłu potrzebnych krajowi: uruchomiono fabryki tkackie, farbiarskie, meblarskie. Do nowych kopalń i fabryk sprowadzano fachowców z zagranicy, oferując im wysokie zarobki i rozmaite inne korzyści. Jednakże ksiądz_dyrektor pilnie dbał o to, aby w kraju kształcono własne kadry fachowe. Na przedsiębiorstwa prywatne, którym dyrekcja Przemysłu i Kunsztów pomagała, nakładano obowiązek wyuczenia zawodu pewnej liczby ludzi. Jeżeli sprowadzano z zagranicy jakieś nowe urządzenia, instalujący je obcy specjaliści musieli nauczyć Polaków obchodzenia się z nimi. Wykorzystując swą obecność w dwóch Komisjach Rządowych otaczał Staszic szczególną troską niższe szkoły zawodowe, "Izby do przemysłu młodzież sposobiły, to jest, aby wiadomości, a nie naukę, praktykę, a nie teorię za cel miały." Równocześnie doprowadził do powstania w Kielcach Szkoły Akademicko_Górnictwej, mającej szkolić kierowniczą kadrę dla górnictwa. Dbął też o stałe powiększanie liczby zainicjowanych przez Samuela Lindego "szkół niedzielnych", w których doksztalcali się dorośli robotnicy z różnych zawodów. Rozumiał także ksiądz_dyrektor znaczenie wszelkiego rodzaju bodźców zachęcających do pracy. Z jego przemyśleń narodził się

tw. Korpus Górniczy, różnymi przywilejami przyciągający do pracy w górnictwie szerokie rzesze ludności krajowej oraz wysoko kwalifikowanych fachowców zagranicznych. Zainteresowania Staszica nie ograniczały się do

samego wydobywania bogactw naturalnych, starał się również o ich najwłaściwszy przerób i najkorzystniejszy zbył. W sprawozdaniach ze swych pierwszych podróży po kraju pisał: "Żałosno było mi patrzeć na te bogactwa naszej krainy, widząc, że my tylko ziemię kopujemy i wydobytą surową rudę marnie sprzedajemy do Śląska rządowi pruskiemu, który z niej wyrabia żelazo, i to nam na powrót odsprzedając, dziesięćkroć wyżej pieniędzy z naszego kraju wyciąga, niżeli nam za rudę zapłacił." Jako kierownik przemysłu krajowego starał się temu stanowi rzeczy zapobiec, z jednej strony przez zakaz wywozu surowych rud i budowanie własnych fabryk żelaza, z drugiej - przez ustanawianie ceł, chroniących przemysł krajowy przed konkurencją obcego importu.

Udział Staszica w zarządzaniu przemysłem nie sprowadzał się jedynie do wytyczania ogólnych dyrektyw i kontroli ich realizacji przez odpowiednich urzędników. Starał się uczestniczyć we wszystkim jak najbardziej bezpośrednio. Jego turkotliwa dryndulka docierała wszędzie, gdzie rodziło się nowe. Osobiście badał jakość wytwarzanych towarów, osobiście sprawdzał funkcjonowanie sprowadzanych z zagranicy maszyn, osobiście wglądał w kontrakty zawierane z cudzoziemskimi specjalistami. Można bez przesady powiedzieć, że wszystko, co w tym czasie zmierzało do wzbogacenia kraju, było naznaczone dotykem ręki Staszica.

A przecież zarządzanie przemysłem nie było jego zajęciem jedynym. Poza normalnym

urzędowaniem w dwóch komisjach rządowych czuwał nad ulepszaniem i rozbudową dróg krajowych, był prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zasiadał w radzie naczelnej Towarzystwa Ksiąg Elementarnych, należał do najbardziej czynnych organizatorów Uniwersytetu Warszawskiego i Instytutu Politechnicznego (późniejszej Politechniki). I miał jeszcze na głowie swoją Fundację Hrubieszowską. I nie wyrzekał się bynajmniej swej pracy pisarskiej.

Kiedy przyjaciele czynili mu wyrzuty, że zbyt wiele bierze na siebie, rozkładał tylko ręce i niezmiennie odpowiadał: "A jeżeli ja nie zatrudnię się i nie będę pracował, kto pracować będzie?"

Jego niezmordowanym, ofiarnym trudom dla dobra powszechnego przyświecała wiara, że "niewzruszony jest los tego kraju, który swoje bogactwa w swojej ziemi wyrabia i przestać na sobie może". "Wierzył, że w istniejącej sytuacji politycznej dążenie do samowystarczalności gospodarczej jest jednocześnie najpewniejszą drogą do niepodległości. Dlatego wszystko, co zagrażało zakłóceniem normalnego toku jego pracy, uważał za szkodliwy anarchizm. Dlatego nie wahał się położyć swego podpisu pod antykonstytucyjnym dekretem o cenzurze, dlatego polemizował naciekle z rozbrykaną opozycją, dlatego jawny opór i sprzeciwianie się władzy były dla niego "czymś wstrętnym i odpychającym"."

Dla Zajączka obecność Staszica przy jego boku była darem Opatrzności. Doprawdy, że w czepku się rodził ten generał Arbuz. Z jednej strony miał przy

sobie niezrównanego radcę stanu
i życzliwego arcykronikarza
Kajetana Koźmiana, z drugiej -
najwybitniejszego i
najpracowitszego działacza
społeczno_gospodarczego swego
czasu. Książę_namiestnik w pełni
doceniał zasługi
księdza_dyrektora w dźwiganiu
gospodarstwa krajowego. Nie
szczędził też funduszków
(oczywiście skarbowych) na jego
różnorakie przedsięwzięcia,
pobudzając się do
szczodrobliwości, często aż
nadmiernej, skrytą nadzieją, że
zarabia sobie w ten sposób na
pomnik w pamięci współczesnych i
potomnych.

Współpracę między Zajączkiem a
Staszicem najlepiej obrazuje
ruch dwóch pojazdów, widywanych
w tamtych latach na drogach
Królestwa Kongresowego. LIchy
powozik podróżny Staszica, ze
starym służącym Antonim na
koźle, krąży niestrudzenie
między nowymi fabrykami, placami
budowy i kopalniami.
Nieoczekiwanie, jak jastrząb,
zaskakuje ksiądz_dyrektor tych,
którzy hamują rozwój jego
dzieła. Stary człowiek w
wytartej sutannie wzbudza zbożny
lęk wśród niesolidnych
przedsiębiorców i leniwych
robotników. Wszędzie wtyka nos,
wszystkim się interesuje, a
kiedy wpada w gniew, bywa
straszny. Zawsze jednak
pozostawia po sobie coś
dobrego, każda jego wizyta coś
usprawnia, czemuś pomaga,
zagrzewa ludzi do dalszej pracy.
A w jakiś czas potem, tymi
samymi drogami, do tych samych
miejsc toczy się majestatycznie
sześciokonna, zdobna w herbowe
świnki i mitry, karoca
księcia_namiestnika. Jego wizyty
są już zapowiadane i odpowiednio
przygotowywane, więc nastrój jest
inny. Atmosfera wielkiego
święta: przemówienia powitalne,
dzieci z kwiatami, sute

bankiety, zakłamanie sprawozdania. Jeżeli rzecz odbywa się w mieście, to zdarza się nawet, że któraś z ulic zostaje nazwana ulicą namiestnika. "Ćwierćkról bez nogi" przepada za takimi wizytacjami. Utwierdza go w dobrym samopoczuciu. Najbardziej lubi odwiedzać nowe fabryki lokalizowane po wsiach. Dawnemu "obrońcy chłopów" kompensuje to pewnie w jakiś sposób jego późniejszą zdradę sprawy włościańskiej. Po powrocie do Warszawy uogólni swoje wycinkowe wrażenia i pochwali się przed reprezentacją opinii publicznej osiągnięciami swych rządów: "Ubogie zapadłe wioski polskie, dzięki wzmożonej imigracji szybko przekształcają się w zamożne osady fabryczne".

Tandem Zajączek Staszic funkcjonował bez większych zakłóceń do roku 1820. Ale już na kilka miesięcy przed sejmem - w atmosferze narastających nastrojów opozycyjnych - polityka gospodarcza Staszica zaczęła napotykać coraz wyraźniejsze sprzeciwy. Zarzucano mu zbyt lekkomyślne szafowanie funduszami skarbowymi, przesadną etatyzację i centralizację przemysłu, co z kolei prowadziło do rozrastania się biurokracji i najróżniejszego rodzaju instancji kontrolnych. Skarżono się, że Staszic faworyzuje ludzi przemysłu, natomiast uparcie odmawia pomocy zrujnowanym "z przyczyn patriotycznych" majątkom ziemiańskim. Zwracano też uwagę na całkowite zaniedbanie przez rząd sprawy włościańskiej.

Uważny Kajetan Koźmian odnotował w swych "Pamiętnikach" dwa wystąpienia przeciwko Staszicowi w kręgu jego

najbliższych przyjaciół.

"Raz - wspomina pan radca stanu - po rozprawie nad rosnącą

zamożnością kraju naszego, która Staszic serio i żywo utrzymywał, a Badeni ją przeczy, ten ostatni wyzierając z okna, spostrzegł wśród mocnego mrozu zziębłego, na pół bosego i w podartej łachmanie idącego za furką drzewa, ciągnioną przez mizerną wychudłą szkapę włościanina; wziąwszy więc Staszica za rękę, rzekł do niego: "Przyjrzyj się twojej zamożności kraju"."

Jeszcze ostrzej zaatakował księdza_dyrektora radca stanu Aleksander Linowski:

"BOgacie - mówił - urzędników, oficjalistów, entrepreneurów (przedsiębiorców - M.B.), a szarżacie mieszkańcami i obywatelami, dręczycie ich niepraktycznymi rozporządzeniami, pismami, rubrykami, raportami, mordujecie ich cierpliwość, zniechęcacie, wdrażacie nieufność i podejrzliwość do waszych zapytań i rozporządzeń. Chcecie wszystko wiedzieć i nic nie wiecie, bo mieszkaniac właściciel nauczył się przez bojaźń nowych ciężarów taić wszystko, a urzędnicy wasi przekupni kłamią przed wami (...) Chcecie na przykład oświecać lud i przymuszacie dzieci wiejskie do chodzenia do szkół, sprawcie im wprzódę buty i sukmanki, bo trudno, aby boso i nago w mrozy przebywali półmilową podróż. Uwolnijcie ich ojców od ciężarów, od ucisku, od posług, które ich ubożą, a oni się przy zamożności sami oświecą, w nędzy na co im się zda oświecenie, chyba na to, aby od roli uciekali lub porwali za kosy."

Również na sejmie skrytykowano

politykę gospodarczą Staszica. W sejmowych "uwagach nad raportem Rady Stanu" znalazły się zarzuty wyraźnie skierowane przeciwko kosztownym inwestycjom budowlanym księdza_dyrektora, jakkolwiek nazwiska jego nie

wymieniano.

"W Warszawie - głosiły "Uwagi nad raportem..." - wydano 1955000 na ratusz, roгатki itp. wydatki; mniemają Komissye, że pożyteczniej byłoby zająć się kanalizacją, której potrzebę zdrowie mieszkańców wymaga."

I dalej:

"CO do górnictwa (...)
dyrekcyja górnicza bez upoważnienia czyni wydatki i popełnia mnóstwo błędów, wkładając w znakomite summy w spaniałe gmachy, które do użytku mało przydatne. Wystawiono walcownie, nie mając dostatecznej wody. Piec nie mając dostatecznej do niego rudy. Górnictwo żadnego nie wniosło dochodu, a corocznie pochłania przeszło 9000000..."

Na koniec - niewesoła konkluzja: "Znajdują KOMissye położenie Skarbu smutnem i nagłaczem do umiarkowania wydatków".

Prawdziwe kłopoty Staszica zaczęły się jednak dopiero po sejmie.

Drugi sejm Królestwa Kongresowego zakończył się w atmosferze dramatycznego napięcia. Cesarz_król do głębi zraniony gwałtownym atakiem opozycji. Swemu rozgoryczeniu dał upust w mowie, którą zamknął obrady sejmowe w dniu 13 października 1820 roku.

"Zapytajcie się sumienia waszego - zwracał się z nieukrywanym gniewem do posłów i deputowanych - a dowiedcie się, czyli w ciągu obrad waszych

położyliście dla Polski
wszystkie te usługi, których ona
oczekiwała po waszej mądrości,
lub też czy przeciwnie, ulegając
złudzeniom po dziś dzień
pospolitym i poświęcając
nadzieje, które przezorna ufność
byłaby ziściła, nie opóźniliście
w jego postępkach dzieła
przywrócenia waszej ojczyzny? Ta
ciężka odpowiedzialność na was

spadać będzie."

Być może, iż przebieg
warszawskiego sejmu nie
poruszyłby tak bardzo
Aleksandra, gdyby nie ogólna
sytuacja w ówczesnej Europie.
Lata 1819_#1820 były dla "pogromcy
Napoleona" okresem nieustannych
porażek politycznych. Na przekór
głoszonym przez niego raczej już
tylko dla zachowania pozorów
liberalnym hasłom, kolejno
następujące po sobie gwałtowne
wpadki na zachodzie Europy
zdawały się przyznawać rację tym
jego partnerom ze Świętego
Przymierza, którzy ostrzegali
przed niebezpiecznymi
skutkami nawet propagandowego
pobłażania liberałom.

W marcu 1819 roku, w
Mannheimie, niemiecki student
Sand zasztyletował głośnego
pisarza Augusta von Kotzebue po
wykryciu, że był on autorem
pisanych dla Aleksandra raportów
i ocen politycznych, w tym
świetle przedstawiających
dążenia wolnościowe Niemców.

W styczniu 1820 roku w
Hiszpanii wybuchła rewolucja
przeciwko tyrańskiemu rządowi króla
Ferdynanda VII.

W lutym 1820 roku, na placu
Opery w Paryżu, padł z ręki
zamachowca - byłego
żołnierza napoleońskiego,
znienawidzony przez koła
liberalne, bratanek króla
Ludwika XVIII, księżę de Berry -

nadzieja dynastyczna francuskich Burbonów.

W lipcu 1820 roku wrzenie rewolucyjne ogarnęło Królestwo Neapolitańskie.

Wszystko to stawiało Aleksandra w położeniu niezmiernie trudnym. Reakcyjni rzecznicy Świętego Przymierza zarzucali mu, iż swoim ostentacyjnym liberalizmem przyczynia się do rozchwiania porządku ustalonego na kongresie wiedeńskim. Zachodnioeuropejscy rewolucjoniści, którzy dali się

zwieść jego wolnościowym frazesom, a później daremnie oczekiwali jego poparcia, oskarżali go o niezdecydowanie i dwulicowość. Uwielbiany do niedawna "wybawca Europy" zyskał sobie u włoskich karbonariuszy nowe miano "Judasza liberalizmu europejskiego" ("il Giuda del liberalismo Europeo").

W tej sytuacji sprawa polska nabierała dla Aleksandra szczególnego znaczenia. Bezpośrednio po warszawskiej wizycie oczekiwał go zjazd monarchów Świętego Przymierza w Opawie. Wiedział, że będzie tam atakowany. Jedyne udane eksperyment polski mógł go obronić przed zarzutami koronowanych sprzymierzeńców. Dobrze prosperujące konstytucyjne Królestwo Polskie miało posłużyć za dowód, że można wcielać w życie zasady liberalizmu, nie powodując żadnego zagrożenia dla kongresowego porządku europejskiego.

Niezależnie od ogólnych względów politycznych, Królestwo Polskie - jak utrzymują niektórzy historycy - odgrywało ważną rolę w osobistych planach cesarza_króla. Przed laty, bezpośrednio po wstąpieniu na

tron, Aleksander wezwał był do siebie do Petersburga swego dawnego nauczyciela, liberalnego filozofa szwajcarskiego La Harpe'a, proponując mu uczestnictwo w Komitecie, którego "celem i zatrudnieniem będzie praca nad rozszerzeniem światła w Rosji i jej uszczęśliwieniem". (W Komitecie tym zasiadali również: Czartoryski i Nowosilcow). Kończąc listowne zaproszenie, młody cesarz zapewniał La Harpe'a, że po osiągnięciu celu, to jest: uszczęśliwieniu Rosji, "ustąpi z tronu, aby gdzieś w ustroniu Europy resztę życia spędzić spokojnie".

W roku 1820 - kiedy waliły się ostatecznie na jego oczach wszystkie plany uszczęśliwienia Rosji i Europy - Aleksandra ponownie zaczęły nawiedzać myśli o abdykacji. Ustroniem Europy, w którym zamierzał szukać poabdykacyjnego spokoju, miało się stać stworzone przez niego Królestwo Kongresowe.

Nie ulega wątpliwości, że rosyjski samowładca był w jakiś sposób bardzo przywiązany do swego konstytucyjnego Królestwa. Przede wszystkim jako do własnego tworu, z którym łączył wielkie nadzieje na przyszłość. Z pewnością nie kłamał, gdy w wielu rozmowach z Polakami i życzliwymi cudzoziemcami nazywał Królestwo "swoim klejnotem" ("mon bijou"). Jesienią 1817 roku, kiedy rozważał ze swym doradcą Pawłem Łopuchinem możliwość zniesienia w Rosji niewoli chłopskiej i Łopuchin wyraził obawę, że szlachta może się temu gwałtownie upierać - odpowiedział: "Jeśli szlachta będzie się temu sprzeciwiała, w takim razie udam się z całą swoją rodziną do Warszawy i

stamtąd pośle Ukaz" (Widać z tego, że Staszicowska wizja Warszawy jako stolicy imperium nie była tak całkowicie oderwana od rzeczywistości). Świadek ówczesnych zdarzeń, Stanisław Barzykowski, stwierdza, że "ilekroć Aleksander wjeżdżał w granice Królestwa, stwał się weselszym, twarz mu się wypogadzała i mówił do otaczających: "Innym powietrzem tutaj oddycham, czję się wolniejszym, bezpieczniejszym"."

Przyjeżdżając do Warszawy we wrześniu 1820 roku miał wszelkie powody, aby doznawać tych wrażeń w stopniu silniejszym niż kiedykolwiek przedtem. Ostatnimi czasy nie czuł się w swoim cesarstwie wolnym ani bezpiecznym. Jego propolska polityka narażała go na

gwałtowne ataki z różnych stron. W październiku 1819 roku - kiedy powrócił z pierwszego sejmku polskiego, na którym obiecywał Polakom przyłączenie do Królestwa zachodnich prowincji cesarstwa - stawił się przed nim w jego gabinecie w Carskim Siole jeden z głównych rzeczników zachowawczej opinii rosyjskiej, znakomity historyk Mikołaj Karamzin, dla "założenia na cztery oczy przed samym monarchą stanowczego swego protestu przeciw wszelkim ustępstwom na rzecz Polski i Polaków w ogóle, a przeciw restytucji Litwy do Królestwa w szczególności".

"Jeśli im oddasz Litwę, Najjaśniejszy Panie - rzucił mu wtedy w twarz Karamzin * - jedno z dwojga sprowadzisz niechybnie; albo zgubisz Rosję, albo też synów naszych, synów Rosji zmusisz, by raz jeszcze krwią swoją zrosili wały Pragi."

Scenę tę opisuje Szymon askenazy w "Łukasińskim".

Warszawa 1929.

Równie ostro zareagowali na obietnice czynione Polakom młodzi radykalni oficerowie rosyjscy, skupiający się w tajnych związkach, dyskretnie wspieranych przez Aleksandra w pierwszych latach jego panowania. Uznali oni (cytuję za Askenazym), że "cesarz zakochany jest w Polsce, której dał konstytucję, gdyż uważa ją (Polskę) za bardziej cywilizowaną od Rosji i uznaje za część Europy", że "nienawidzi on Rosji", że niewątpliwie zamysła "oderwać" gubernie zachodnie od cesarstwa i podarować Królestwu, a nawet "zamierza stolicę swą przenieść do Warszawy" (Znowu punkt dla Staszica). Na tajnym zebraniu w Moskwie późniejszy dekabrysta Murawiew oświadczył wprost, "że dla zapobieżenia grożącym Rosji klęskom, należy przerwać panowanie cesarza Aleksandra i

że należy losem wyznaczyć osobę, której wypadnie zadać cios monarsze".

Polacy witający Aleksandra w Warszawie we wrześniu 1820 roku byli zaskoczeni jego posępnym wyglądem i niespokojnym zachowaniem. Tym razem nawet warszawskie powietrze nie zdołało wypogodzić mu twarzy i uczynić go weselszym. Rzuciły się też w oczy jego coraz wyraźniejsze skłonności do chronienia się w "osłonięty przesądem" mistycyzm religijny; "często widziano go otwierającego księgę Pisma Świętego, by pierwszy paragraf wzrokiem napotkany stał się wyrocznią niepewność rozstrzygająca".

W mowie tronowej, otwierającej drugi sejm Królestwa cesarz_król nie krył niepokoju z powodu

wypadków rewolucyjnych w zachodniej Europie i ostrzegał polskich poddanych przed ich naśladowaniem. "Zły duch kusi się - mówił - aby osiągnąć na nowo straszne swe panowanie, już on nad częścią Europy wznosi się, już w niej nagromadza zbrodnie i srogie nieszczęścia. Wiek, w którym żyjemy, wymaga bez wątpienia, aby porządek towarzyski miał za podstawę i za rękojmię opiekuńcze prawa, lecz tenże sam wiek wkłada na rządy obowiązek zachowywania tych praw od szkodliwego wpływu namiętności, zawsze nieprawnych, zawsze ślepych. Mnie każe (...) abym dla zapobieżenia utworzeniu się złego i potrzebie gwałtownych lekarstw, wykorzeniał zarody rozprężenia, skoro by te tylko dostrzegać się dawały. Takie jest postanowienie moje. Nie odstąpię nigdy od moich zasad i nigdy nie dam się skłonić do żadnego przyzwolenia onym przeciwnemu."

Ostrzeżenia i groźby osładzał "Cesarz_Aniół" ponownymi nieokreślonymi obietnicami na

przyszłość. "Jeszcze kilka kroków kierowanych mądrością i umiarkowaniem, nacechowanych zaufaniem i prawością - kusił Polaków - a staniecie u celu waszych i moich nadziei."

Odpowiedzią sejmu polskiego na groźby, przestrogi i obietnice cesarskie był "bunt" kaliszian. Mogło to Aleksandra dotknąć do żywego, mógł dopatrywać się w tym "osobistego dla siebie ubliżenia" - jak pisze Barzykowski. Zza maski konstytucyjnego króla wyjrzał rozgniewany samowładca. W pierwszym odruchu obrażonej dumy chciał w ogóle znieść nadaną przez siebie konstytucję. Ale towarzyszący mu minister spraw

zagranicznych cesarstwa Capod.Istria odwiódł go od tego zamiaru jednym krótkim pytaniem: "A co powiemy w Opawie, Najjaśniejszy Panie?". Uznał słuszność tego argumentu. W rozgrywce, jaka go czekała na zjeździe monarchów Świętego Przymierza, nie mógł zrezygnować z tak ważnej karty jak konstytucyjne Królestwo Polskie. Ale wyrzekając się odwetu oficjalnego, nie zamierzał bynajmniej darować Polakom ich nieposłuszeństwa.

"Wyjeżdżając nazajutrz po Sejmie z Warszawy - pisze korzystając z odręcznej noty Czartoryskiego Szymon Askenazy - Aleksander kazał Konstantemu towarzyszyć sobie do Błonia i tutaj na pożegnanie rzekł mu krótko: "(carte blanche)". * "Jak to, Najjaśniejszy Panie, "carte blanche"? - zapytał Konstanty - a konstytucja?". "Konstytucję ja biorę na siebie - odparł Aleksander - działaj swobodnie i nie troszcz się o resztę". "Działaj i "carte blanche" powtórzył kilkakrotnie - kończy Askenazy. - Zamykał ostatecznie rachunki konstytucyjne, otwierał na oścież wrota reakcji i

represji."

Nieograniczone pełnomocnictwo - swoboda działania, wolna ręka (franc.).

"Aleksander po raz pierwszy opuści Warszawę w złym humorze i gniewny - wspomina Stanisław Barzykowski - w kraju zaś Sejm ten zrobił nadzwyczajne wrażenie. Była to iskra elektryczna, co uderzyła puls narodu, obiegła cały jego organizm i do nowego życia poruszyła. Naród jaśniej przejrzał swoje położenie. Imię Niemojowskich nabrało wielkiego

rozgłosu, stali się oni
naczelnikami opozycji, lecz
zarazem i ofiarami prześladowań
rządu i Konstantego, w których
nie tylko prawo i
sprawiedliwość, ale godność i
przyzwoitość pogwałcone były.
Jeżeli Sejm z roku 1820 wpłynął
silnie na ducha narodowego, nie
mniej silnie wpłynął na rząd,
lecz wprost w odwrotnym
stosunku. Rząd zatrwożył się
doznaną opozycją. Odtąd też
zaczyna się systematyczna
wsteczność".

Nastał tedy nowy okres w
dziejach kongresowego Królestwa
Polskiego. Marcin Badeni -
wówczas już minister
sprawiedliwości tegoż Królestwa
- streszczał go z właściwym
sobie humorem: "Bat na stole -
konstytucja pod stołem".

Ale te okropne lata, które
poczęły się po owym "carte
blanche" z roku 1820, nie dadzą
się zbyć żartem dowcipnego
dygnitarza aforysty. Do ukazania
ich treści konieczne są pióra
większego kalibru.

Adam Mickiewicz we wstępie do
trzeciej części "Dziadów" pisał:
"Okolo r. 1822 polityka
imperatora Aleksandra, przeciwna
wszelkiej wolności, zyczęła się
wyjaśniać, gruntować i pewny
brać kierunek. Wtenczas
podniesiono na cały naród polski
prześladowanie powszechne, które

coraz stawało się gwałtowniejsze
i krwawsze. Wystąpił na scenę
pamiętny w naszych dziejach
NOWOSILCOW. On pierwszy
instynktowną i zwierzęcą
nienawiść rządu rosyjskiego ku
Polakom wyrozumował jako
zbawienną i polityczną, wziął ją
za podstawę swoich działań, a za
cel położył zniszczenie polskiej
narodowości. Wtenczas całą
przestrzeń ziemi od Prozny aż

do Dniepru, od Galicji do
Bałtyckiego Morza zamknięto i
urządzono jako ogromne
więzienie. Całą administrację
nakręcono jako jedną wielką
Polaków torturę, której koło
obracali carewicz Konstanty i
senator Nowosilcow (...) Kto zna
dobrze ówczesne wypadki, da
świadczyć autorowi "Dziadów",
że sceny historyczne i
charaktery osób działających
skreślił sumiennie, nic nie
dodając i nigdzie nie
przesadzając. I po cóż miałyby
dodawać albo przesadzać? Czy
dla ożywienia w sercu rodaków
nienawiści ku wrogom? Czy dla
obudzenia litości w Europie? Nie
potrzebował ohydzać rodakom
wrogów, których znają od wieków;
a do litościwych narodów
europejskich, które płakały nad
Polską, jak niedołążne niewiasty
Jeruzalem nad Chrystusem, naród
nasz przemawiać tylko będzie
słowami Zbawiciela: "Córki
jerozolimskie, nie płaczcie nade
mną, ale nad samymi sobą..."

W sto lat po napisaniu przez
Mickiewicza tych słów, znakomity
pisarz historyczny Wacław Berent
- najlepszy i najwnikliwszy
znawca archiwaliów tamtego
okresu - taki oto obraz wydobyl
ze starych papierów:

"(Carte blanche" zapisze się
w historii naszej
najczarniejszymi dokumentami
prześladowań, nie obcych zresztą
wtedy i narodom europejskim pod
własnymi rządami. Jak tyle
innych, i ta fala brudna

uderzała tyleż z Austrii
metternichowskiej, co z Francji
ponapoleońskiej; wezbrała tylko
u nas zdumiewającą we wszystkich
sferach pochopnością do
tropienia ludzi. Wiedział
doświadczony Nowosilcow, że
praca zarobkowa była u nas w

zadawnionej pogardzie i że nie
brakło natomiast w Polsce
zgranych wykołajców, nie
mających nic do stracenia, a nie
gorzej wypolerowanych między
ludźmi od najprzebieglejszych
spryciarzy po świecie. Jakoż z
przedziwną szybkością rozpleniło
się w Królestwie szpiegostwo
zaległe z posiewu rosyjskiego
ducha (Rzeczypospolita dawna nie
znała instytucji podobnej).

Warszawa stała się eldoradem
dystygowanych konfidentów
policyjnych po salonach,
rojowiskiem tajnych agentów po
kościółkach, szkołach, teatrach,
restauracjach, kawiarniach,
szynkach i burdelach, wreszcie
wagonem głodnej sfory szpiclów
ulicznych, wśród których nie brak
było legionistów, inwalidów i
uczniów ze szkół.

Te macki polipie władzy,
sięgającej wszędy, wyławiały z
wojska i ludności obfity żer
donosicielstwa i zdrad
wzajemnych. Przepełniało się
więzienie u Karmelitów.
Odmieniać się też jęło i oblicze
Warszawy. Przestano patrzeć
ludziom w oczy otwartym
wejrzeniem ludzi zachodnich. Kto
nie spiskował, zamykał się w
skorupie sobkostwa lub w
twardszej jeszcze małżowinie
biurokratyzmu, spoglądając na
innych nieufnym, kosym zezem ze
Wschodu.

Ku przerażeniu i zgrozie
całego kraju wszczęto - bez
sądu, mocą tylko rozkazów
tajemnych - zsyłki
administracyjne do karnego obozu
w kazamatach Zamościa, gdzie
otwierały się wrota ówczesnemu
okrucieństwu. Cuchnęło tam nie

krwią tylko, lecz dziechciowym
zaduchem obczyzny rosyjskiej,
rozkiełznanej do znęcania się
nad nienawistną polskością tych

krajowych katorżników. W
poniewieraniu ich ciał
bezbronnych usiłowano tam
traktować jakby i plugawić
samego człowieczeństwa imię i
godność. A przecie i w tym nawet
współdziałało Polaków niemało.
Sadyzm był dotychczas
potwornością obcą na ogół
skłonnościom polskim."

I dopełnienie tego koszmarnego
obrazu w wierszu naocznego i
niezwykle czynnego obserwatora
tamtych czasów Juliana Ursyna
Niemcewicza:

Mierny tylko i chytry uznany
jest zdatnym, @ małe w szkole
pacholę jest już szpiegiem
płatnym, @ fanatyzm przy
Ołtarzach, w szeregach hołota, @
uległość w Trybunałach, po
szkołach ciemnota, @ jednym
prawem do nagród ze wstydu
wyzucie. @

Dla naczelnego dziejopisa
owego okresu, Maurycego
Mochnickiego, "carte lanche",
udzielone przez Aleksandra
Konstantemu - wraz ze wszystkimi
swymi fatalnymi następstwami -
nie stanowiło specjalnego
zaskoczenia.

"Królestwo konstytucyjne
między Prosną i Bugiem - pisał
Mochnicki w "Powstaniu narodu
polskiego w r. 1830_#1831" -
jeden z tych efemerycznych
utworów w polityce, które, jak
widzimy, osobliwie w nowszej
historii, jawią się bez gruntu
pod sobą i bez ujęcia wewnątrz,
jedynie skutkiem protokółów i
konferencji, dla dogodzenia
widokom wielkiego obcego
państwa, było dodatkiem ogromnej
Moskwy, ponieważ od razu, to
jest w pierwszej chwili po
upadku Napoleona, jej częścią
integralną, czyli jej

zaokrągleniem zostać nie mogło
(...) Projekt Królestwa Polskiego
powstał samoprzód w głowie
autokraty, z obawy utracenia
całego zaboru. Ustawa
konstytucyjna dla części
Księstwa Warszawskiego, narodowe
instytucje dla innych ziem, były
ze strony Aleksandra koncesja
dla dobitnia długiego targu o
Polskę (...) Historia Polski
kongresowej jest historią
wykroczeń rządu przeciwko
ustawie konstytucyjnej (...) Po
inauguracji Królestwa miał
Aleksander przed sobą trzy
drogi: albo pozwolić, żeby w
myśl kongresu wiedeńskiego
konstytucja została szczerą
prawdą (...) albo uchylić ją
natychmiast "de facto"; albo na
koniec w uchyleniu jej
postępować systematycznie,
powoli. Pierwszego, jako biegły
polityk, nie mógł uczynić, bo
Polska Konstytucyjna byłaby czy
zaraz, czy w kilku latach
powstała i osłabiła imperializm
przez oderwanie od niego Litwy i
Rusi. Drugie było niepodobne do
obrażenia stosunków
zewnętrznych. Obrął więc trzecią
drogę stopniowego zwijania
Ustawy konstytucyjnej,
stopniowego zamieniania
Królestwa kongresowego w część
integralną Moskwy (...); drogę,
jak przyznać potrzeba,
najwłaściwszą do wyjścia, bez
narażenia sobie Europy i
Cesarstwa, z tego trudnego
położenia, w którym go to
Królestwo postawiło. Krótki,
bolesny zawód konstytucyjny,
któryśmy przebiegli, niesie na
sobie wydatną cechę tego
systematu, tak odpowiadającego
charakterowi Aleksandra."

I jeszcze jedno zdanie na
marginesie owego złowieszczonego
"carte blanche" cesarza
Aleksandra; sumaryczna ocena tego
władcy piórem Stanisława
Barzykowskiego, podobnie jak
Mochnacki - w jednej osobie

dziejopisa i naocznego świadka tamtych czasów.

"Car absolutny - pisze Barzykowski o Aleksandrze - przemógł nad królem konstytucyjnym, zapomniał o ustawach, które sam nadał, przekroczył je, zdeptał i despotycznie o własnym dziele, o konstytucji zapomniał (...) Nie tylko nie dotrzymywał tego, co przyrzekł, ale nadto podkopał budowę, którą sam tak mozolnie wznosił. Następca jego potrzebował tylko iść dalej, a ustawa sama runąć musiała (...) Aleksander biegły był aż do obłudy, przezorny do największego niedowiarstwa i podejrzliwości (...) Ambicya bez granic, żądza chwały niepowściągniona, pragnienie popularności nieskończone, a to wszystko zabarwione uczuciem dobra publicznego, szczęścia rodzaju ludzkiego."

* * *

A jak się w tych ciężkich latach po cesarskim "carte blanche" sprawował generał Józef Zajączek, Jaśnie Oświecony Książę Namiestnik Królestwa Polskiego, pan na Opatówku i przyległościach? Gdyby się chciało na to pytanie odpowiedzieć jednym tylko słowem, trzeba by rzec: haniebnie.

Wszystko, co wiadomo o generale Arbuzie z przekazów historycznych tamtych czasów, układa się w bezprzykładny ciąg ślepego, nadgorliwego posłuszeństwa wobec obcych panów. Wyrzekając na nie krępowaną niczym samowolę wielkiego księcia Konstantego, Stanisław Barzykowski pisał: "Zapewne, że do tego wiele przychyliła się uległość, płaskość, jeżeli nie powiemy

służalczość Zajączka. Gdyby ten zaraz od początku umiał i chciał

był stanąć przy prawach, konstytucyi, przy nadanych sobie prerogatywach i władzy, nie byłby dopuścił wdawania się Cesarzewicza i wpływ jego, albo by musiał być się zmniejszyć i całkiem ustać, lub też zaszłaby była jawna kolizya i Aleksander musiałby rozstrzygnąć, przy kim jest słuszność. Lecz Zajączek nie tylko nie uczynił, ale nawet słuchoać nie chciał, gdy mu tak doradzano, konstytucya więc od początku i systematycznie pogwałconą była".

Aż dziw bierze, że tak bystry i kompetentny obserwator współczesnej mu rzeczywistości jak Stanisław Barzykowski mógł w ogóle dopuszczać ewentualność, że generał Arbuz potrafiłby się opierać wielkiemu księciu, że zdolny byłby do wyłamania się spod zakorzenionego w nim od wczesnej młodości kanonu posłuszeństwa aktualnemu protektorowi i dobroczyńcy, że przy swojej nienasyconej chciwości zaryzykowałby dla jakichś konstytucyjnych mrzonek utratę swego miejsca w Pałacu Namiestnikowskim i wszystkich nieprzebranych korzyści i przywilejów z tym miejsce związanych.

Tyle że do roku 1820 karygodna uległość Zajączka wobec wielkorządcy z Belwederu nie była jeszcze tak widoczna i nie kłuła tak bardzo w oczy społeczeństwa, gdyż wielki książę w mniejszym stopniu mieszał się do cywilnych rządów nad krajem.

"Z początku - pisze o KONstantym Barzykowski - działanie jego w tej mierze było mniej oznaczone, mniej pewne, bo i nowość nadanej konstytucyi i

sama liberalność Aleksandra
ostrożność nakazywały. Lecz, gdy
zmiana w sposobie myślenia
Aleksandra nastąpiła, od
pojawienia się w Europie
związków i rewolucyjnych

wybuchów, gdy monarchowie dzieło
reakcji rozpoczęli W. Książę
stał się prawdziwym szermierzem
św. Przymierza, a Polska
widownią jego popędliwości i
gwałtów. Zaczął od wychowania
publicznego, od szkół. Tam
ciężka ręka jego najprzód się
dała we znaki. W miejsce zacnego
i światłego Potockiego,
zanominowany został ministrem
oświecenia człowiek
najniezdarniejszy, bez
charakteru, bez cnót, przymiotów
i zalet, bez znajomości swego
powołania! (tym nowym ministrem,
który wkrótce zasłużył sobie na
miano "ministra ociemnienia
publicznego", był syn naturalny
króla Stanisława Augusta, tzw.
"Staś" Grabowski - przyjaciel
Nowosilcowa i generała
Różnieckiego - M.B.). Nakazał
Konstanty następnie zmienić cały
plan wychowania publicznego,
Nowosilcowa w Komitecie szkolnym
umieścił, kazał zaprowadzić
kuratorów, inspektorów,
donosicieli szkolnych, nadto
wolność druku ścieśnił tak
srogo, że już i pisać nikt nic
nie był w stanie. Na koniec
zakazał mówić i prawie myśleć
(...) Lecz szczególniejszem i
najulubieńszem zatrudnieniem
Konstantego była policja,
policja tajna, szpiegostwo,
podsłuchy, zbieranina wieści,
plotek i bajek, i może nigdzie
nie była tak liczna zgraja
donosicieli jak u niego w
Warszawie. Była policja
cesarska, książęca i rządowa,
policja cywilna i wojskowa,
policja Różnieckiego, Kuruty,

Lubowidzkiego i Bóg wie czyja?
Była ona wszędzie: w mieście, na
wsi, wśród wojska, wśród
urzędników, wśród obywateli,
wśród służących. Szpiegował
podkomendny swego dowódcę,
podwładny swego przełożonego,
sługa swego pana, zaufały swego
przyjaciela, kochanka swego
ulubionego, żona męża. Trał ten

wszędy grasował tak, iż nikło
zaufanie, rwały się wszelkie
stosunki i ogniwa, nie było
bezpieczeństwa ani spokojności,
bo groźba i przestrasz
prześladowania zawisły nad
wszystkimi, a więzienia i
twierdze zaludniły się ofiarami.
Wypuszczeni po powstaniu
listopadowym na wolność
więźniowie stanu nie wiedzieli
częstokroć przyczyny swoich
męczarni; byli tacy, co
poszaleli z rozpacz, a jednak
trzymano ich w więzieniu."

Zajaczek, będąc królewskim
namiestnikiem, a więc
najwyższym zwierzchnikiem z
władz krajowych, nie mógł o tych
gwałtach i wszelakich innych
okropnościach nie wiedzieć.
Skoro zaś o nich wiedział, a nie
próbował im się sprzeciwić -
stawał się w oczach
społeczeństwa ich
współwinowajcą. Nie bez kozery
wyrazicielka uczuć patriotycznej
inteligencji warszawskiej, młoda
Klementyna Tańska (późniejsza
Hoffmanowa) pisała w pamiętniku
o Zajączku: "imię tegoż zakała
jest dla Polaków".

Ślepe posłuszeństwo
Konstantemu nie było jedynym
grzechem generała Arbuza
przeciwko ojczyźnie. Gorsze
jeszcze było to, że zanim się
spozstrzegł, głównym jego doradcą
i reżyserem w zarządzaniu krajem
stał się komisarz cesarski
senator Nowosilcow. Między

Konstantym a Nowosilcowem istniała jedna zasadnicza różnica. Cesarzewicz z Belwederu, pomimo swych wszystkich szaleństw, stał twardo na gruncie odrębności politycznej Królestwa Polskiego i jego względnej autonomii. Leżało to w jego najbardziej uzasadnionym interesie życiowym. Zwłaszcza po zawarciu małżeństwa z Polką Joanną Grudzińską (w maju 1820 roku), gdy zyskał podstawy, by liczyć na to, że w

zamian za swoje zrzeczenie się praw do tronu cesarskiego, otrzyma od Aleksandra pełnię władzy w Polsce. Natomiast senator Nowosilcow, najbezwzględniejszy rzecznik imperialnej polityki rosyjskiej, z żelazną konsekwencją zmierzał do całkowitego zniesienia odrębności politycznej Królestwa Polskiego i przekształcenia go w zwykłą prowincję cesarstwa rosyjskiego. Słuchając rad Nowosilcowa, nie można było dobrze służyć Polsce.

Miotający się między dwoma rozkazodawcami, serwilista Zajaczek popadał nieraz w sytuacje wręcz paradoksalne. Za przykład może posłużyć historia, która zdarzyła się w początkach roku 1822, kiedy to dwaj konfidenti policji: były pułkownik Augustyn Sznayder i były porucznik Józef Nagórski dostarczyli Nowosilcowowi dowodów na istnienie sekretnego sprzysiężenia w armii (chodziło o założone przez majora Waleriana Łukasińskiego Wolnomularstwo Narodowe - załazek późniejszego Towarzystwa Patriotycznego). Nowosilcow natychmiast pośpieszył z tymi dowodami do wielkiego księcia. Ale tu zarysowała się różnica zdań: Nowosilcow dążył do jak

największego rozdmuchania sprawy, natomiast dbały o dobre imię swego wojska (zwłaszcza w opinii Petersburga) Cesarzewicz starał się ją w miarę możliwości zatuszować. Wszystko to opisuje dokładnie Askenazy, opierając się na świadectwie nie byle jakim, bo raporcie samego Nowosilcowa do sekretarza Aleksandra.

"W.Książę Konstanty - pisze Askenazy - objawił najmocniejsze niezadowolenie z powodu natrętnej gorliwości Nowosilcowa. Kazał sobie w przódę okazać ową listę (były pułkownik Sznayder dostarczył

Nowosilcowowi listę spiskowych - M.B.) i poczynił na niej własnoręcznie lapidarne uwagi, streszczające się w tym sensie, że on uznaje Sznaydra za łotra, co było prawdą zupełną, a denuncyacje jego za potwarcze, sfabrykowane w celach osobistego zysku, wysrane z palca, co już było tylko częścią prawdy. Podobnie potraktował jak najpogardliwiej nową nieproszoną, narzuconą sobie przez komisarza cesarskiego, denuncyację Nagórskiego. Tym swoim poglądem podzielił się W.Książę z Namiestnikiem Zajączkiem, przed którym teraz również nie było już sposobu ukrywać dłużej tej sprawy, a w którym spodziewał się oczywiście znaleźć poparcie. Ale Zajączek, nastrojony odpowiednio przez Nowosilcowa, oświadczył W.Księżciu z powodu zakomunikowanych sobie niniejszych odkryć donosicielskich, że on wierzy w ich zasadność, gdyż "sam nie ufa swemu własnemu narodowi, bo go zna, skłonny jest zatem uwierzyć, iż to co doniesiono o rzeczonych towarzystwach

tajnych, jest aż nadto prawdziwym"; dodał nawet, że "gdyby wybuchła wojna z Turcyą, nie radziłby zostawiać wojsk polskich w Królestwie; niechajby zostały posłane na plac boju, będą się dobrze biły, a kraj będzie spokojny; na ich zaś miejsce przysłano by w takim razie jedne lub dwie dywizye rosyjskie".

"Dziwnie zaiste brzmiały podobne słowa i rady w ustach starego kościuszkowca i legionisty jak Zajączek - komentuje Askenazy rewelacje Nowosilcowa - ale jeszcze niezwykłej była odprawa, z jaką spotkały się ze strony W.Księcia Cesarzewicza. W.Książę Konstanty w największej pasyi wpadł na Zajączka w obecności

Nowosilcowa, przytomnego przy tej scenie szczególnej, "nagadał mu rzeczy dość nieprzyjemnych" i oświadczył mu w żywe oczy, "że on Cesarzewicz, choć cudzoziemiec, jest przecie lepszym Polakiem od Księcia Namiestnika, i że sam podejmuje się bronić Polaków przed monarchą".

Przytoczona wyżej historia nie była w życiu generała Arbuza odosobnionym wyjątkiem. Już w latach wcześniejszych przejawiał zdumiewającą skłonność do serwilistycznej nadgorliwości. "W roku 1817 - wspomina Barzykowski - zdarzyło się, że niejaki Rupiński, obywatel, namawiał włościan majętności Tylewa, aby nie słuchali rozkazów swojej dziedziczki. Włościanie poszli za radą, stawili opór i dziedziczce, i wdającej się w to władzy, tak że rzecz przybrała postać oporu i buntu przeciwko rządowi. Namiestnik ogłosił ludność tej majętności w stanie buntu,

poleciał władzom policyjnym i administracyjnym postępować jako ze zbuntowaną i zdał raport cesarzowi, przekładając potrzebę osadzenia Rupińskiego z kilku innymi osobami w twierdzy na kilka lat bez sądu."

Nie wiadomo, dlaczego Zajaczek odniósł się aż tak surowo do obrońcy włościan typlewskich, nadmiernie wyzyskiwanych przez despotyczną dziedziczkę. Może, jako bogaty pan na Opatówku, zląkł się niebezpiecznego dla ziemian "we wsi ruchu"? Albo zdenerwowało go przypomnienie dawnych jakobińskich głupot, kiedy sam występował jako "trybun wiejskiego gminu"? Lub też - i to jest chyba najprawdopodobniejsze - do takiego postępowania nakłonił go, węszący wszędzie bunty i spiski, cesarski komisarz Nowosilcow? Tak czy inaczej, jego nadgorliwość i tu mu się

nie opłacała. Tym razem "lepszym od księcia namiestnika Polakiem" okazał się sam cesarz król. Bardzo jeszcze wówczas liberalnie nastawiony Aleksander, "nie tylko nie dopuścił żadanego przez Namiestnika pogwałcenia poręek konstytucyjnych na osobie rupińskiego, lecz ponadto wykazał potrzebę zarządzeń specjalnych, biorących pod należyta opiekę słuszne zażalenia włościan polskich".

Inny przykład nadgorliwości Zajaczka - tym razem na pewno już z natchnienia Nowosilcowa - dochował się w "Księdze Protokołów Rady Ogólnej Uniwersytetu Warszawskiego z lat 1817_#1819". Jest to pismo namiestnika królewskiego z 28 lutego 1818 roku skierowane do ministra prezydującego w Komisji Wyznań Religijnych i Oświecenia

Publicznego Stanisława Potockiego, w sprawie nauczania w szkołach języka rosyjskiego.

"Gdy coraz ściślejsze związki łączą nas z państwem rosyjskim - pisał Zajączek - a wynikające stąd do czynienia dla ogółu dobra i interesów kraju naszego, coraz bardziej dają czuć potrzebę znajomości języka rosyjskiego, lubo nam jest wiadomo, iż nauka tegoż języka zaprowadzona jest w Liceach i innych szkołach wyższych, wszelako widząc potrzebę konieczną przyspieszenia i niejako upowszechnienia wiadomości onego, wzywamy Komisję Rządową Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, by starała się naukę języka rosyjskiego zaprowadzić w szkołach, tak by poczynając od klas najniższych kontynuowaną ciągle była aż do najwyższych, bacząc z wszelką pilnością na postęp umiejętności tego języka przy egzaminach szkolnych, ostrzegając uczniów przy popisach w klasach wyższych, iż żaden z nich nie

będzie mógł dostąpić później żadnego urzędu i do tego przypuszczonym nie będzie, jeśli w komisji egzaminacyjnej nie udowodni, iż ten język posiada."

W odpowiedzi na pismo Zajączka minister Stanisław Potocki wyliczył mu z całą dokładnością, iż wykonanie jego zaleceń jest niemożliwe z braku odpowiednich funduszów i odpowiedniej liczby nauczycieli języka rosyjskiego. Niezależnie od wyliczeń rachunkowych, Potocki z dyskretną ironią wytykał zwierzchnikowi niestosowność jego nadgorliwości: "Widząc, jakie wzwyż wspomniane Namiestnika zalecenie sprawiło wrażenie na licznych Komisji członkach, wątpić Minister

Oświecenia nie może o tym,
jakiemby napełniło publiczność,
co zapewnione mając sobie
używanie języka polskiego
konstytucją, widziałaby w
wykonaniu niniejszego zalecenia,
krok dążący do zniweczenia tego
tak drogiego narodowi
konstytucyjnego nadania, a wtedy
ta chęć i ta skłonność, która
dziś istnieje w Polakach
ćwiczenia się w języku
rosyjskim, znacznie by (się)
osłabić mogła i przeciwny
spodziewanemu sprawić skutek.
Utwierdziłoby tak niepomyślne
mniemanie, zapowiedzenie, iż
żaden z uczniów nie będzie mógł
później dostąpić żadnego urzędu,
jeżeli w komisji egzaminacyjnej
nie udowodni, iż rosyjski język
posiada".

* * *

W latach 1821_#1825 Zajaczek,
jako najwyższy urzędnik w
Królestwie, musiał, siłą rzeczy
- bezpośrednio bądź pośrednio
uczestniczyć we wszystkich
okropnościach, opisanych przez
Mickiewicza i Berenta. Z ponurej
dokumentacji okresu "carte
blanche" wyłaniają się, co

chwila, bezsporne dowody
antypatriotycznych działań bądź
zaniechań księcia namiestnika.
Oto kilka najbardziej
rzucających się w oczy
przykładów:

Po zakończeniu drugiego sejmku
szef rządu Królestwa,
wykorzystując swe prerogatywy,
czynił wszystko, aby zohydzić
propozycję sejmową w opinii
całego kraju. Zgodnie z
wytycznymi Petersburga,
otrzymywanymi za pośrednictwem
ministra sekretarza stanu
Ignacego Sobolewskiego, pouczał
generał Arbut okólnymi listami

Komisje Wojewódzkie, "jak lepiej i skuteczniej współdziałać w poważnej i trudnej sprawie odbudowania ojczyzny", przekazując im jednocześnie opinie cesarza_króla, że "Polacy sami się gubią, albowiem kieruje nimi zły stan naśladownictwa", a "oskarżenie rządu to dzieło partii, garści ludzi, którzy krzewią niebezpieczne marzenia".

Otrzymywane od województw odpowiedzi z wyrazami hołdu dla monarchy i krytyki wobec opozycji - odsyłał Zajączek wprost do Petersburga. Warto tu dodać, że z najsurowszym potępieniem opozycji sejmowej wystąpił - nieprzypadkowo chyba - prezes kaliskiej Komisji Wojewódzkiej, Józef Radoszewski - mąż Gabrieli Zajączkówny i najzaufańszy totumfacki księcia namiestnika.

Gorliwe zabiegi Zajączka doczekały się pochwały w piśmie cesarsko_królewskim z dnia 12 sierpnia 1821 roku. Aleksander wyrażał uznanie namiestnikowi i Komisjom Wojewódzkim za ich stosunek do wydarzeń minionego sejmku, przypominając raz jeszcze, że "niebezpieczeństwo grozi Polakom tylko od nich samych, gdy będą naśladowali zagranicę", że "społeczeństwo powinno mieć zaufanie do rządu i kierować się ostrożnym

umiarkowaniem", że "monarcha (...) będzie dusił wszelkimi środkami każdą próbę zachwiania spokoju lub urzędnika skandalu".

W listopadzie 1821 roku - po wykryciu przez szpiegów Konstantego i Nowosilcowa pierwszych śladów tajnej organizacji patriotycznej związanej przez majora Łukasińskiego - namiestnik wydaje dekret, zabraniający

działalności wszelkich związków tajnych i ogłaszający zamknięcie wszystkich łóż masońskich.

W styczniu 1822 roku z rozkazu namiestnika, podbechtanego przez Nowosilcowa, policja dokonuje nalotu na "źle widzianą skutkiem liberalizmu właściciela" drukarnię Natana Glucksberga i konfiskuje składane tam, na mocy uchwały senackiej, arkusze dziennika sejmowego minionych obrad sejmu roku 1820, "skażonego wystąpieniami opozycji". Dalszy druk dziennika zostaje zakazany.

W marcu 1822 roku Zajączek - również z inspiracji Nowosilcowa - ostrzega cesarza króla przed zwołaniem sejmu w przewidzianym przez konstytucję terminie, "z uwagi na podniecenie umysłów, spowodowane przez aresztowania polityczne".

W tym samym czasie, z namowy "ministra ociemnienia publicznego" Stanisława Grabowskiego, namiestnik wspaniałomyślnie uwalnia chłopów od płacenia podatku szkolnego, niszcząc w ten sposób, rozbudowany z takim trudem przez Staszica, system szkół niedzielnych na wsi.

W lipcu 1822 roku, w rezultacie starań namiestnika, "umyślny" dekret królewski rozwiązuje na czas nieokreślony kaliską Radę Wojewódzką * za to jedynie, że ośmieliła się wybrać na swego prezesa szefa opozycji Wincentego Niemojowskiego.

Rady Wojewódzkiej - wybieranego organu samorządu obywateli województwa, nie należy mieszać z Komisją Wojewódzką - organem administracji państwowej.

W październiku 1822 roku, po pierwszych aresztowaniach członków Towarzystwa Patriotycznego, namiestnik -

wbrew konstytucji, przewidującej dla spraw politycznych sąd sejmowy - powoduje przekazanie sprawy Łukasiewskiego i towarzyszy sądowi wojennemu.

Na koniec uwaga ogólna: przez cały okres "carte blanche" - kiedy we wszystkich miastach i wsiach Królestwa szeptano ze zgrozą o torturach fizycznych i psychicznych, zadawanych więźniom Zamościa i Karmelitów - lokator Pałacu Namiestnikowskiego w Warszawie ani razu nie odważył się na najlżejszy bodaj odruch protestu przeciwko tym gwałtom i nadużyciom prawa.

Ale nie trzeba się grzebać w starych dokumentach, żeby wyrobić sobie właściwe zdanie o ówczesnym postępowaniu generała Arbuza. Wystarczy odwołać się do sumarycznej opinii o Zajączku najbardziej wiarygodnego i kompetentnego świadka tamtych lat: księcia Adama Jerzego Czartoryskiego.

"Wyparowany z Królestwa", odsunięty od dawna na boczny tor kuratorstwa wileńskiego, był księżę z Puław jedną z najtragiczniejszych postaci rozgrywającego się wówczas narodowego dramatu. Niegdyś, razem ze swym przyjacielem: młodym liberalnym cesarzem rosyjskim, trudził się nad uszczęśliwianiem Rosji - po latach "carte blanche" uczynił go bezradnym świadkiem unieszczęśliwiania Polski przez tego samego rosyjskiego cesarza, który przestał już być liberałem i przyjacielem.

Posługując się swoim sprawnym

piórem, Czartoryski robił, co mógł, aby zapobiec ostatecznemu pognębieniu ojczyzny. Przez wszystkie te lata nie ustawał w szturmowaniu Aleksandra listami

i memoriałami - w których, odwołując się do dawnej przyjaźni, starał się przedstawiać mu prawdziwy stan rzeczy i ostrzegać go przed wrogimi Polsce doradcami. Nie było to łatwe. Wprawdzie Aleksaander przynajmniej raz do roku przejeżdżał przez Królestwo i Litwę, w drodze na kolejne zjazdy monarchów Świętego Przymierza, ale - jęczący ciąglými donosami Nowosilcowa, straszony rozwijającym się śledztwem przeciwko Łukasińskiemu - coraz chłodniej i niechętniej odnosił się do spraw polskich. W sierpniu 1822 roku generał Krukowiecki, donosząc Czartoryskiemu o bytności cesarza_króla w Warszawie, pisał z ubolewaniem: "Najjaśniejszy Pan był jakiś zimny z wszystkimi; a nawet kiedy nas, wojsko, chwalił, zdawało się, że te pochlebne słowa więcej ze zwyczaju jak z prawdziwego ukontentowania do nas adresował (...) Jeżeli Najjaśniejszy Pan za każdym pobytym swoim tak stygnąć będzie, to podobnie zlodowacieje projekt połączenia naszych rodaków z nami".

Przez długi czas Czartoryski bezskutecznie zabiegał o osobiste widzenie z dawnym przyjacielem i poufną z nim rozmowę. Udało mu się to dopiero w październiku 1823 roku, kiedy powracającemu z manewrów w Brześciu cesarzowi zdołał zabiec drogę w białoruskiej wsi Wołosowce. Pretekstem do poufnej rozmowy był zamiar Czartoryskiego złożenia dymisji z urzędu kuratora wileńskiego. Na Litwie szalał już Nowosilcow i książę nie widział tam miejsca dla siebie. Przebieg

dramatycznego spotkania w

Wołosowcach odtworzył Szymon
Askenazy z odręcznych notatek
Czartoryskiego.

Rozmowa była krótka, na samym
wsiadaniu, przerywana
nieustannym pośpiechem.
Czartoryski wyłuszczyć musiał
przykre sprawy wileńskie,
skłaniające go do prośby o
dymisję. Ale zarazem poruszył
też najboleśniejże zagadnienia
zasadnicze i to po swojemu: w
słowach mocnych i jasnych. "Cały
kraj - mówił - czuje, że Wasza
Cesarska Mość już mu dobrze nie
życzysz. Kraj nie ma więcej
zaufania do uczuć Waszej
Cesarskiej Mości. Kraj obawia
się, że wszystko będzie
zniszczone, co mu dałeś, i
dostrzega to dzieło zniszczenia
w dokonanych już gwałtach (...)
Największym naszym nieszczęściem
jest nastrój trzech osób,
stanowiących o losie naszym
(Konstantego, Zajączka,
Nowosilcowa). Wielki Książę jest
z nich najlepszy, bo działa z
przekonania, zasady,
temperamentu (...) może byłoby
najwłaściwiej oddać mu władzę
cywilną razem z wojskową i
zrobić go wicekrólem."

Trudno o wyraźniejsze i
bardziej surowe potępienie
warszawskiego
księcia_namiestnika, niż te
ostatnie słowa Czartoryskiego.
Pomyśleć tylko: Zajączek gorszy
od szalonego cesarzewicza!
Książę z Puław zabiega o
odebranie władzy Zajączkowi i
oddanie jej Konstantemu! Wierzyć
się nie chce, kiedy się pamięta,
jakie to gromy miotał
Czartoryski przeciwko wielkiemu
księciu w swych dawnych listach
do cesarza_króla. Ale kilka lat,
które od tamtego czasu upłynęło,
zdażyło księcia z Puław
przekonać, że działający "z
przekonania, zasady,
temperamentu" brat cesarski
lepszy jest z dwojga złego dla

kongresowej Polski od
pozbawionego zasad i odwagi
cywilnej "ćwierćkróla bez nogi"
- całkowicie poddanego wpływom
demonicznego Nowosilcowa.

O Nowosilcowie i o jego
działalności denuncjatorskiej
mówił Czartoryski ze szczególną
pasją:

"Czyliż Wasza Cesarska Mość,
niepokojony ustawicznie
dostarczanymi sobie
doniesieniami (...) nie
postrzegasz się, że mają one na
celu wystawić Mu wszystko w
świecie najgorszym, rozjuszyć
Go, zniechęcić do nas, nigdy nie
zmniejszać błędu, lecz zawsze
powiększać, nigdy nie osłaniać
jakiego uchybienia lub
niewłaściwości ani im zapobiegać
zaraz na miejscu, lecz zawsze
rozdmuchować je, zawieszać na
wielkim dzwonie, uczynić źródłem
całego szeregu kłopotów i klęsk
dla kraju, a przykrości i troski
dla Waszej cesarskiej Mości?"

Swój pomysł oficjalnego
przekazania pełni władzy w
Królestwie Konstantemu starał
się Czartoryski wygrać w sposób
dla Polski najkorzystniejszy:

"Wasza Cesarska MOść pragniesz
zmienić konstytucję (...) Byłby
sposób uzyskania (od Sejmu)
takiej zmiany (...) A sposób ów
polegałby na tem, żeby wniosek
podobny wypadł jednocześnie z
wcieleniem sześciu guberni
(litewskich); wcielenie
wynagrodziłoby za wszystko.
Wtedy również byłaby chwila do
zamianowania Wielkiego Księcia
wicekrólem."

Potem Czartoryski mówił o
sobie. Szczerłość, patriotyzm i
odwaga cywilna tej części
wypowiedzi - weryfikują w sposób
szczególnie przekonujący
surowość jego sądu o warszawskim
księciu_namiestniku.

"Nie wiem, doprawdy, jakiego
to rodzaju nieufność ja budzę w
Waszej Cesarskiej Mości. Jeśli

winiem ją temu, że kocham

swoją ojczyznę, to wszak jest to wiadomem Waszej Cesarskiej Mości od lat 28, odkąd mam szczęście być Mu oddanym. Wszystkie moje pragnienia zmierzają do tego, aby ujrzeć gubernie polskie złączone z Królestwem, a Królestwo pod berłem Waszej Cesarskiej Mości. Pragnąłbym co prawda, abyśmy byli inaczej rządzeni, abyśmy stanowili Królestwo osobne, nie będące częścią Cesarstwa, lecz jedynie pod tym samym monarchą, tak jak Hanower (wobec Anglii). Obecnie jesteśmy poddanymi Rosyan, a to być nie może. Oto wszystkie moje życzenia (...) Oto cały powód nieufności, jaką mogę budzić. Ale nieszczęściem Waszej Cesarskiej Mości jest, że nie wierzysz nikomu i że nie umiesz czynić różnicy między uczciwym człowiekiem a obłudnikiem."

Takim tonem jeden tylko Czartoryski mógł przemawiać do najpotężniejszego na świecie pana - kończy swoją relację Askenazy. - Ale głos jego przebrzmiał bez wrażenia, próżny był apel do zblakłych już rozwianych ideałów, próżne wzruszanie popiołów wygasłej od dawna przyjaźni. Cesarz przyjął dymisy Czartoryskiego z kuratorstwa, pożegnali się obadwaj po raz ostatni i rozstajnymi poszli drogami."

* * *

W latach "carte blanche" księżę namiestnik utracił dwóch najbliższych i najważniejszych współpracowników w "dźwiganiu gospodarczym kraju": ministra Skarbu Jana Węgleńskiego i dyrektora generalnego Przemysłu i Kunsztów, Stanisława Staszica.

Zaczęło się od tego, że

nieostrożna krytyka polityki finansowej rządu, zamieszczona w raporcie Rady Stanu dla drugiego sejmiku Królestwa, została skwapliwie podchwycona przez

czujnego Nowosilcowa, który w tę stronę skierował gniew cesarza_króla, obrażonego na polskich poddanych za sejmowe poczynania "kaliskich zapaleńców".

Część roboty za komisarza cesarskiego odrobił jak zwykle Zajączek. Jako naczelny koordynator działań finansowych rządu, on w zasadzie ponosił główną winę za deficyt skarbowy. Dlatego też zaraz po sejmie wszczął gorączkowe zabiegi, aby się od tej odpowiedzialności uwolnić i z obwinionego zmienić się w oskarżyciela.

Już 27 lutego 1821 roku Nowosilcow zawiadomił Aleksandra, że otrzymał właśnie pismo od namiestnika, "zaniepokojonego złym stanem Skarbu".

Dnia 24 kwietnia tegoż roku Zajączek bezpośrednio skierował do Peterburga "raport o złym stanie finansów powierzonego jego rządowi kraju".

Jednocześnie - z namowy Nowosilcowa - wystawił "Deputację do podania cesarzowi i królowi projektu zmiany systemu administracji krajowej w celu zaprowadzenia w wydatkach skarbowych oszczędności". Sens podszepu Nowosilcowa był jasny: polityka fiskalna miała posłużyć do okrojonych ustalonych konstytucją urzędów państwowych.

Rezultaty tych wszystkich działań - wspieranych poufnymi raportami komisarza cesarskiego - nie dały na siebie długo czekać. 24 maja 1821 roku cesarz_król, wracając z kongresu

monarchów w Lublanie, zatrzymał się na krótko w Warszawie. Nazajutrz po jego przybyciu, towarzyszący mu minister sekretarz stanu, Ignacy Sobolewski, ogłosił w imieniu monarchy reskrypt "w sprawie złego stanu Skarbu Królestwa i następstw, które może to za soba

pociągnąć".

"Do tego już stopnia rzeczy doszły - głosił reskrypt królewski - iż nie idzie już o naradzanie się nad utrzymaniem lub zniesieniem niektórych urzędów, nad ukończeniem lub opuszczeniem jakowych robót (...) lecz raczej o wyrzeczenie względem narodowego istnienia Polski, najdroższego dobra Polaków, bo idzie o stwierdzenie doświadczeniem, czy Królestwo PoLskie może w terażniejszej swej organizacji wydołać z własnych funduszów politycznemu i cywilnemu bytowi, którym zostało obdarzone, lub też czyli ma, niemożność swą doświadczywszy, ulec zaprowadzeniu porządku rzeczy więcej zastosowanego do sił swych szczupłości."

Zawarta w reskrypcie groźba całkowitej utraty odrębności politycznej była aż nadto wyraźna. Przerażona Rada Administracyjna jęła się głowić nad znalezieniem środków mogących zaradzić złemu. Wtedy to minister skarbu, Jan Węgleński - którego główną winą było to, że latami posłusznie zaspokajał wszystkie zachcianki finansowe namiestnika - odważył się na krok samobójczy, oświadczając, iż najlepszym sposobem na uratowanie skarbu i kraju od bankructwa byłoby zmniejszenie o jedną trzecią stanu liczebnego armii Królestwa. Pograżyło go to

ostatecznie w oczach zarówno cesarza_krola, jak i (przede wszystkim!) wielkiego księcia wodza naczelnego. Z tą chwilą los ministra skarbu był przesądzony, a Zajączek, myślący jedynie o uratowaniu własnej głowy, nawet palcem nie ruszył w obronie swego nadwornego finansisty. "Lubił Węgleńskiego, póki mu pieniędzy na materialne podniesienie kraju i ozdobę stolicy dostarczał" - stwierdza

cierpko, tak przychylny zazwyczaj Zajączkowi, Kajetan Koźmian.

Odejście Węgleńskiego odbyło się z zachowaniem pozorów dobrowolności:

"Książę Namiestnik - odnotowano w protokole posiedzenia Rady Administracyjnej z 3 lipca 1821 roku - postanowił udzielić ministrowi (skarbu) w celu poratowania osłabionego zdrowia pozwolenia oddalenia się od obowiązków urzędu." Oficjalnej dymisji udzielono mu reskryptem królewskim z 31 lipca 1821. Tego samego dnia cesarz_król powołał na stanowisko ministra skarbu Królestwa Polskiego księcia Ksawerego Druckiego_Lubeckiego.

Przyszły autor polskiego cudu gospodarczego wkraczał w historię Królestwa Kongresowego w aurze jak najgorszej. Był Litwinem, obcym duchowi Królestwa, uchodził za służbistę ślepo powolnego rozkazom z Petersburga oraz za "fuzjonistę", czyli zwolennika wcielenia ziem polskich do cesarstwa. Na domiar złego zaliczał się do przyjaciół Nowosilcowa.

W stojącą u progu bankructwa gospodarkę Królestwa nowy minister wtargnął jak ożywca burza, i z niesłychaną energią i zupełnym brakiem skrupułów

zabrał się do zaprowadzenia swoich porządków. Współcześni mu kronikarze początki jego rządów wspominali ze zgrozą.

"Książę Lubecki - oburzał się Kajetan Koźmian - jako minister Skarbu niczym innym nie był, tylko ślepym naśladowcą rządu państwa rosyjskiego. Kabak, * monopolia, banki, nieuszanowanie prywatnej własności, żadnej baczości na sprawiedliwość, a raczej zupełna jej pogarda, ubóstwienie pieniędzy, każenie nimi serc i umysłów urzędniczych, upadlanie szlachetnych uczuć, zacieranie

tych chlubnych cech ludzkości, stamtąd wziął, stamtąd wprowadził do Polski i rozkrzewił."

Monopol państwowy na wyszynk trunków.

Równie surowo, lecz bardziej rzeczowo, osadzał Lubeckiego Stanisław Barzykowski. Najbardziej go gniewało, że nowy minister upominał się o pradawne zaległości podatkowe, nie ściągane wskutek kolejnych kataklizmów dziejowych od czasu rozbiorów:

"Lubecki, przyszedłszy do ministerstwa, uznał te zaległości za bogactw kopalnie i kazał wszystkie, od Rzeczypospolitej Polskiej zaczynając, bez względu na ich naturę, ani na zmiany, którym kraj uległ, bez miłosierdzia wyegzekwować. Wyznaczył komisyye po województwach, mające wyszukać tego rodzaju zaległości, a wysłedzone na drodze administracyjnej egzekwować, pewną część tak wytropionych należności przeznaczając owym komisyyom w nagrodę gorliwości. Rzuciła się więc urzędnicza tłuszcza, własnym zyskiem i nadzieją

pozyskania łask ministra
pędzona, z nieopisaną
zaciekleścią do tej roboty. Od
czterdziestu lat wszystko
poruszonem zostało, wszystkie
księgi skarbowe wydobyto i co
tylko w podatkach, w ciężarach
publicznych, w ofiarach
patriotycznych ku obronie
ojczyzny nakazanem było, teraz
na nowo odgrzebano. Wszystkie
administracyjne, sądowe, cywilne
kryminalne palety (kwity za
opłacenie myta - M.B.), nakazy,
napomnienia i kary, wszystkie
opłaty stempla wyszukano i
wydobyto. Zażądano od
podatkujących kwitów opłaty, a
gdzie takowych okazać nie było
można, kazano płacić powtórnie.
My sami musieliśmy zapłacić

podatek z czasów
Rzeczypospolitej. Był to
prawdziwy rabunek, łupież
fiskalna, wpłynęły znaczne sumy,
ale społeczność zubożono."
Zamyka jednak Barzykowski swe
skargi zdaniem poniekąd
rehabilitującym nowego ministra:
"Lubecki odarł kraj, aby go
potem z bogacić".

Niektóre poczynania nowego
ministra wywoływały sprzeciw
tak ostre, że dochodziło niemal
do rozruchów. Tak było w wypadku
zatargu Lubeckiego z zarządem
miasta Warszawy o gorzelnie i
browary. Po wprowadzeniu
monopolu na wyrób i sprzedaż
trunków, Lubecki zagarnął na
rzecz państwa także gorzelnie i
browary, pozostające we władaniu
warszawian na mocy jeszcze
przywilejów królewskich. Kiedy
właściciele i użytkownicy
rzeczonych gorzelni i browarów
próbowali się czynnie
przeciwstawiać
"niekonstytucyjnemu pogwałceniu
własności", "mały książę" (tak
nazywał Lubeckiego Nowosilcow)

niewiele myśląc, odwołał się do pomocy wojska. Dla cesarzewicza wodza naczelnego każdy opór był buntem, rewolucją, najgorszą zbrodnią. Zareagował więc na wezwanie Lubeckiego błyskawicznie, z właściwą sobie gwałtownością. "Kazał wszystkim (opornych) - wspomina Barzykowski - do więzienia dowolnie wtrącić i do robót publicznych używać, a mianowicie plac Saski zamiatać (dla szacownych piwowarów warszawskich była to kara szczególnie upokarzająca, gdyż stosowano ją w biały dzień, kiedy ulice pełne były ludzi - M.B.). Gwałt najwyraźniejszy osobom i konstytucyi zadano, aleć dla Konstantego nic nie było świętego."

Równie bezwzględnie postąpiono sobie z rozczeniami prawnymi warszawskich fabrykantów

trunków: "Co do procesu wytoczonego - podaję dalej za Barzykowskim - minister kazał założyć spór jurysdykcyjny i Rada Stanu spór przyjęła, uznając, że na drodze administracyjnej sprawa powinna być rozstrzygnięta. Nie przestał na tem Lubecki, ale jeszcze wymógł, aby mecenas Kozłowski za to, że przyjął sprawę do obrony, destytuowany został (w danym wypadku: pozbawiony prawa występowania przed sądami - M.B.), a referendarz stanu Hube, który sprawę ferował i dał zdanie swoje za miastem, urząd utracił".

Z przytoczonych świadectw miarodajnych kronikarzy ówczesnych widać wyraźnie, jakim potężnym wstrząsem musiało być dla Polaków mieszkających między Prosną a Bugiem przejęcie gospodarki Królestwa Kongresowego przez księcia

Ksawerego Druckiego_Lubeckiego.
Najbardziej wstrząśnięty był
chyba ksiądz Stanisław Staszic.
Jako dyrektor generalny
Przemysłu i Kunsztów skazany był
na najściślejszą współpracę z
nowym ministrem Skarbu i na
daleko posunięte uzależnienie od
niego. Dziś, kiedy Staszic i
Lubecki zajmują należne im
miejsca w poczcie wielkich
Polaków, kiedy uczniowie
polskich szkół wymawiają ich
nazwiska jednym tchem, kiedy
wiadomo już, że nie byłoby "cudu
gospodarczego" Lubeckiego bez
uprzedniego rozmachu
inwestycyjnego Staszica, a
dzieło Staszica poszłoby na
marne, gdyby nie wsparła go
bezwzględna polityka fiskalna
Lubeckiego - trudno zrozumieć i
zmierzyć głębię przepaści, jaka
oddzielała od siebie tych dwóch
najwybitniejszych działaczy
gospodarczych swego czasu.

Naczelnym założeniem filozofii
Staszica - czemu dawał wyraz
tak w swych pismach

teoretycznych, jak i w
działalności praktycznej - była
równość wszystkich ludzi. Przez
całe życie zwalczał
"wyłącznieści" tę równość
naruszające, a zaliczał do nich
zarówno przywileje wynikające z
urodzenia, jak wszelkiego
rodzaju monopole gospodarcze.
Lubecki, opierający swą politykę
właśnie na monopolach i
podporządkowujący ekonomię kraju
interesom "dobrze urodzonych",
do których sam należał - musiał
mu się wydawać istnym potworem.

Ksiądz_dyrektor nie krył się
bynajmniej ze swą negatywną
opinią o nowym kierowniku
finansów Królestwa.
Niejednokrotnie wypowiadał ja
głośno w gronie przyjaciół. "Ten
człowiek nie ma żadnego

wyobrażenia o ekonomii, o finansach, o rządzie konstytucyjnym - mawiał o ministrze, który w ciągu paru następnych lat miał wypełnić pieniędzmi po brzegi puste kasy państwowe i tchnąć nowe życie w zamierającą gospodarkę krajową. Nie ma żadnej nauki, nie czytał, nic nie umie zrozumieć i uparty, ślepe naśladownictwo urzędów rosyjskich mniema być rozumem. On tak zawikła nasze interesa, że równie Rosjanie, jak Polacy z odmetu tego się nie wydobęda."

"Mały książę", ze swej strony, uważał Staszica - nie bez pewnych racji - za teoretyka idealistę, nie umiejącego przystosowywać swych zamiarów do dostępnych środków. Dawał mu to odczuć na każdym kroku - nie w towarzyskich pogwarkach, lecz w codziennych stosunkach służbowych. Ograniczał mu kredyty, poddawał nieustannym kontrolom czynione przez niego wydatki, na posiedzeniach Rady Administracyjnej wręcz mu zarzucał bezmyślne marnotrawstwo.

W atmosferze wzajemnych

zarzutów i niechęci, współpraca między dwoma budowniczymi pomyślności Królestwa była na dłuższą metę niemożliwa. Nie trwała też długo.

Dnia 19 listopada 1823 roku książę namiestnik, całkowicie powolny nowemu ministrowi Skarbu, "złożył do Cesarza wnioski o przekazanie zarządu górnictwem Lubeckiemu, a już w grudniu polecił mu wejrzeć w sprawę górnictwa. W kwietniu 1824 roku książę minister Skarbu po dokładnej inspekcji terenów górniczych w Kieleckim złożył Namiestnikowi obszerny raport z krytycznymi uwagami pod adresem

zarządzania górnictwem,
zwłaszcza jeśli chodziło o
stronę rachunkową".

Boleśnie zraniony tą "zdrada"
ksiądz_dyrektor zwrócił się do
namiestnika z prośbą o dymisję.
Mając jak zawsze na względzie
przede wszystkim dobro
powszechne, swój rozdzierajaco
smutny list do Zajączka kończył
słowami: "Racz Wasza Książęca
Mość (...) położyć kres tym
sprzecznościom i niechęciom,
które są w służbie publicznej
najszkodliwymi. Tylko w
jedności pomyślność krajowa".

Dymisję ze stanowiska
dyrektora generalnego Przemysłu
i Kunsztów otrzymał Staszic 25
maja 1824 roku. Zajączek
wprawdzie "zadość czynił
potrzebom chwili", ale
niewdzięcznikiem nie był. Zrobił
też wszystko, aby najbliższy do
niedawna współpracownik i
przyjaciel odszedł w sposób jak
najbardziej honorowy. Mianowano
go ministrem bez teki i
nagrodzono najwyższym
odznaczeniem państwowym: Orderem
Orła Białego.

Opróżnione po Staszicu miejsce
generalnego dyrektora Przemysłu
i Kunsztów zajął -
nieprzypadkowym chyba zbiegiem
okoliczności, bliski sercu
księcia_namiestnika - Józef

RAdoszewski, mąż Gabrieli
Zajączkówny, ten sam
Radoszewski, który cztery lata
wcześniej objął przyręczone
Wincentemu Niemojowskiemu
stanowisko prezesa kaliskiej
Komisji Wojewódzkiej.

Stosunki samego Zajączka z
Lubeckim od początku układały
się jak najlepiej. Nie mogło być
inaczej, skoro cesarz_król za
pośrednictwem ministra
sekretarza stanu powiadomił
namiestnika, "iż pragnie, aby

księcia Lubeckiego ciągle wspierał we wszystkich jego działaniach, dążących do uporządkowania Skarbu i do zwiększenia dochodów bez pomnażania ciężarów".

W nowym systemie finansowym wydatki księcia namiestnika były drastycznie ograniczane i poddawane ścisłej kontroli, ale nie odebrano mu satysfakcji, płynącej z patronowania "gospodarczemu dźwiganiu się kraju". Zniknęła z dróg Królestwa Kongresowego licha dryndulka Staszica ciągniona przez "szkapy, którymi ksiądz proboszcz by pogardził", ale poszóstna karoca, zdobna w mitry i świnki, nadal odbywała swe tryumfalne wizytacje. "Namiestnik, choć w mocno podeszłym już wieku - pisze Jadwiga Nadzieja - ale zachował jeszcze energię z dawniejszych lat. Jeździł w dalszym ciągu po kraju, sprawdzał stan robót, rozwój budownictwa czy produkcji. Kolejno kontrolował poszczególne województwa, troszczył się szczególnie o rozbudowę dróg, o kopalnie i fabryki. Zachowywał zawsze skromność, był ludzki dla obywateli, słuchał ich skarg i żalów. Wszędzie, gdziekolwiek się znalazł, okazywał, że zależy mu bardzo, aby kraj był zamożny i kwitnący."

Najbliższą sercu namiestnika inwestycją budowlano przemysłową

tamtych lat była wielka fabryka sókna w Opatówku, oddana w pacht przybyłemu z Saksonii fabrykantowi niemieckiemu Adolfovi Gottlibowi Fiedlerowi (potężny gmach tej fabryki, przypominający średniowieczne zamki rycerskie, króluje do dziś nad Opatówkiem). Budowę rozpoczęto latem 1824 roku - w

tym czasie mniej więcej, gdy
Najwyższy Sąd Wojenny w
Warszawie sądził majora
Waleriana Łukasińskiego i jego
kolegów z Towarzystwa
Patriotycznego za "odległe
usiłowanie zbrodni stanu".

Roboty budowlane przebiegały
sprawnie i szybko. Wolno więc
przypuszczać, że w dniu 2
października 1824 roku -
korzystający z ostatnich chwil
urlopu w Opatówku -
książę_namestnik, grzejąc się w
słońcu na swym pałacowym
tarasie, mógł już cieszyć oczy
pierwszymi kondygnacjami nowej
fabryki.

Tego dnia w Warszawie na polu
ćwiczebnym przy rogatkach
powązkowskich - w obecności
garnizonu wojskowego stolicy i
struchlałych tłumów - odbywała
się hańbiąca "egzekucya"
skazanych na wieloletnie
więzienie "zbrodniarzy stanu".

"Wojska sprezentowały broń -
pisano później o tej smutnej
ceremonii - audytor podniesionym
głosem odczytał wyrok,
konfirmowany przez
Najjaśniejszego Pana. Uderzono w
bębny. Człowiek wysoki,
barczysty, czarno ubrany, kat
stołeczny główny, przystąpił do
skazańców, poczynając od
Łukasińskiego, zerwał im szlify
i oznaki, złamał szpadę nad
głową; pomocnicy kata zdarli im
mundury, ubrali ich w szare
kitle więzienne i zgolili głowy;
posadzono ich na ziemi i zaraz
kowale okuli ich na butach w
przygotowane kajdany wagi 22
funty, poczem dano im w ręce

taczki i przy ciągłym
ogłuszającym biciu w bębny
kazano przejść przed frontem
wojsk. Nikt nie odzywał się
słowem, tłum z zapartym patrzył
się oddechem, wojsko stało

nieporuszone, lecz po twarzy
wielu oficerów i szeregowców
(...) również Rosyan ściekały
łzy. Łukasiński szedł pierwszy,
nogi plątały mu się w
kajdankach, wpijajaących isę w
długie twarde aleksandryjskie
botforty, był bardzo blady, ale
pchał mocno taczki przed siebie,
z głową podniesioną, wzrokiem
wlepionym w linię frontową
wojska, mijał ją patrząc się
prosto w oczy dowódcom i
żołnierzom."

Nie bez powodu przywołuję tę
ponurą wizję do tętniącego pracą
budowlaną Opatówka. Ogolona
głowa Łukasińskiego, kajdany na
jego nogach, jego aresztancka
taczka, a z drugiej strony:
błogi uśmiech
księcia namiestnika,
patronującego z wyżyn swego
pałacu budowie fabryki
"sókiennej" Fiedlera - to
elementy tego samego obrazu.
Trzeba o tym pamiętać.

* * *

Z wybitnych kronikarzy
kongresowej Polski jedynie
Kajetan Koźmian stara się
usprawiedliwić i wybielić
generała Arbuza. "Wyznam -
rozpoczyna swe apologetyczne
wywody - iż w początkowych
rządach namiestnika i ja
należałem do liczby malkontentów
i ja dzieliłem powszechności
zarzuty, żale i utyskiwania;
lecz głębiej i dokładniej
poznawszy jego i nasze
położenie, zbliżywszy się do
jego osoby w poufałych i
otwartych rozmowach, pojawiający i
zrozumiały jego silne
przekonanie, jego nieugięty
charakter, jego chęci tym

przekonaniem kierowane mniej go
zacząłem obwiniać." I dalej:

"...sądzę i tego sądu objawić się nie waham: iż co się tyczy materialnej pomyślności kraju, której pierwszy dał popęd, silnie popierał, potrzebę jej i konieczność w naród ledwie nie przymusem wmówił, zgoła to zaczął i stworzył, co książę Lubecki dokończył (o zasługach Staszica zdaje się Koźmian zapominać - M.B.). Sądzę, że z tego względu na nieśmiertelność zasłużył, gdy przeciwnie, nie zasłużył na to bezwarunkowe i uparte potępienie jego politycznego postępowania, które popioły jego ledwie nie przekleństwem okryło i okrywa. Jakkolwiek ulegał, bo musiał, nikogo próżnością nie obraził, nikogo władzą i powagą nie ucisnął, niczyjego bezpieczeństwa osobistego nie naraził, nikogo nie skrzywdził, nikogo nie oskarżył (obrońca typlewskich chłopów, obywatel Rupiński innego chyba był zdania - M.B.). Urazy przebaczał, (...) a o zemście nigdy nie pomyślił. Uprzejmością zaś i ciągłym baczeniem na godność swoją i narodu piastował ten urząd uroczyście, z przyzwoitością (czy słyszycie "dyszkantowy chichot" Niemcewicza? - M.B.). (...) Przymioty nie wyjednały mu ani pobbłażenia, ani wyrozumienia. Taką jest uprzedzona nienawiść ludzka, iż tylko za złą stronę chwyta i szkaluje. Byli zawsze i są ludzie, co po drugich wymagają tego, czego by sami na ich miejscu nie uczynili. NIEjeden z takowych, gdyby czytał to moje zdanie, może by rzekł, po co przyjął urząd, a jeżeli zwiódł się, czemu za niego nie podziękował. Ci ludzie wymagaliby katonizmu w wieku, w którym się Katonowie nie rodzili, a nawet nie byliby pożytecznymi w naszym kraju; nie

pamiętaliby oni, że późna
potomność i historia samemu
Katonowi wyrzuca niepożyteczną
śmierć dla ojczyzny, * nie
pamiętaliby oni, że wytrwać i
poświęcić się na tym miejscu,
które by gorsi posiedli, jest w
pewnych chwilach prawdziwym
patriotyzmem."

Katon Młodszy (Marcus Porcius
Cato uticensis - 95 - 46 p.n.e.)
polityk rzymski o
nieugiętym charakterze i
nieskazitelnej prawości, zwany
"sumieniem Rzymu", niezłomny
obrońca republikańskich
wolności, na wieść o
zwycięstwie Cezara pod Tapsus
odebrał sobie życie, rzucając
się na ostrze miecza.

Podziwu godna jest wierna
przyjaźń Koźmiana do Zajączka,
lecz wywód jego nie brzmi
przekonywająco. Argument:
"odejdę ja - przyjdzie gorszy"
to usprawiedliwienie
kolaborantów wszystkich miejsc i
czasów. Ale kto tak się broni -
sam staje się tym gorszym.

"Zajączek był z tych ludzi -
ciągnie dalej Koźmian - co gdy
się przekonają wewnętrznie o
prawości swoich intencji,
działają bez obawy i z
niebezpieczeństwem niepodobania
się w tym, dla których się, w
mniemaniu swoim, poświęcają.
Narażał się na obmowy i skargi
powszechnie, które opinią
publiczną nazywamy, bo wiedział
z doświadczenia, z jakich
żywiołów się składa i jakie
duchy nią poruszają, wiedział,
że ten gmin, który ludem
nazywamy, uległych władzy nazywa
służalcami i potępia ich, a
uwielbia własnych i
najpodlejszych swoich służalców
i niewolników (wiadomo skądinąd,
że do tej ostatniej kategorii
Koźmian zaliczał Mickiewicza i
MOchnackiego - M.B.). Zajączek
między tym wyborem postawiony
wolał służyć i ulegać władzy niż
anarchii i usiłował przeszkadzać

temu, co nas zgubiło - "inde irae" (stąd gniewy - M.B.)."

Znacznie ciekawsze i bardziej przekonujące od teoretycznych wywodów Koźmiana są jego rzeczowe relacje z wglądu w intymne kulisy poczyń i ogólnej sytuacji

księcia_namiestnika. Opisane niżej zdarzenia rozegrały się najprawdopodobniej jesienią 1824 roku, kiedy Pałac

Namiestnikowski był już pod czujną inwigilacją tajnej policji, w związku z działalnością polityczną faworyta

księżnej_namiestnikowej, referendarza stanu Wojciecha Grzymały, który po aresztowaniu Łukasińskiego zaczął odgrywać ważną rolę w konspiracyjnym Towarzystwie Patriotycznym.

"Z (...) obrazu sprawowania się generała Zajączka na stopniu namiestnikostwa - pisze Koźmian - błędziłby, kto by mniemał, że zupełną ufność wielkiego księcia posiadał, że tylko same łaski, głaskania i dostatki na niego spływały, że jako Polak uległy i wierny wolnym był od wszelkich podejrzeń i posądzeń, i że w tym swoim położeniu spokojnie na samych różach spoczywał. Były między tymi różami kolce, które tak go dotkliwie i boleśnie raziły i zraniły, iż po dwakroć już przedsięwziął, mimo może chęci dotrwania na wygodnym miejscu, podziękować za ten stopień i usunąć się od spraw publicznych. Opowiem i wydarzenia, i powody, dla których pozostał.

Razu jednego wyjechał do Opatówka i parę niedziel tam bawił. W nieobecności jego okradziono jego pokój, wyjęto drogie tabakierki, które miał darem od monarchów, i

porozrzucano papiery. Policja
zajęła się na miejscu
obejrzeniem okradzionego pokoju
i wyśledzeniem złodziei; tych

nie wynaleziono (...)
Publiczność, wszyscy otaczający
namiestnika, podobno i on sam,
przekonani byli, iż to była
sprawa policji sekretnej.
Namiestnik nie lubił o tym
mówić. Wkrótce, nie wiem, z
jakiego powodu, miał żywą z
w.księciem rozmowę, w której ten
książę nie oszczędził słów i
wyrzutów ostrych, obrażających
jego osobistość. Dotknięty do
żywego umyślił prosić cesarza o
dymisję. Zostałem go rano
zasmuconego i rozżalonego; gdy
zapytałem, czyli nie chory,
rzekł do mnie: "Wyjrzyj, czyli
kro pod drzwiami nie
podśłuchuje, czy kamerdynera nie
ma". Gdy odpowiedziałem, że nie
ma nikogo, rzekł: "Ja tego
łajdaka za to płacę, żeby mnie
szpiegował; kiedy już mnie nie
ufają, kiedy ja im nie dogadzam,
niechże sobie wybierają innego,
już raz trzeba te męki
skończyć, podam się do dymisji".
"Mości Książę, odpowiedziałem,
czy to jest chwila porzucić to
miejsce dla osobistej obrazy,
czy nie lepiej uchwycić chwilę
obrazy instytucji krajowych? Ta
nieufność nawet ku W.Książęcej
Mości jest jego
usprawiedliwieniem przed
potomnością". Zamyślił się i
odpowiedział: "Ale to wszystko,
co ja cierpię, już nie jest do
zniesienia" - i potem
przepraszony od w.księcia
pozostał.

Nieporozumienia, nieczęste
wprawdzie, lecz niekiedy
wydarzające się, stąd
pochodziły, iż w.książę
Konstanty wymagania swoje do
namiestnika przesyłał ustnie

przez swojego sekretarza
Mohrenheima lub generała Kurutę. *
Namiestnik w ważniejszych
wypadkach, obrażających bądź
jego instrukcję, bądź instytucje
krajowe, żądał czasami
piśmiennego polecenia, którego
on zawsze odmawiał, a na samo

żądanie unosił się gniewem."

Dymitr Kuruta, generał
rosyjski greckiego pochodzenia
(1770_#1838) zastępca szefa
sztabu głównego, oficer do
szczególnych poruczeń przy
wielkim księciu Konstantym.

Drugie starcie Zajaczka z
Konstantym - do którego doszło w
jakiś czas potem - było jeszcze
bardziej dramatyczne.

"Rano poszedłem do namiestnika
- wspomina Koźmian - kamerdyner
zwykle meldujący gości
powiedział mi: "Książę już
ubrany wyjeżdża do Belwederu,
czeka tylko na pojazd". Nie
kazałem się meldować i
odszedłem; za parę minut wybiegł
za mną kamerdyner ze słowy:
"Książę prosi". Wszedłszy,
zastałem go ubranego w mundurze
jak na jaką uroczystość, ze
wszystkimi znakami honorowymi,
orderami itd. Przed jego
biurkiem przy oknie leżał przed
nim papier złożony. Przywitał
się ze mną czule. "Cóż to,
Książę, tak rano wyjeżdżasz do
Belwederu?". "Jadę i oddaję mu
dymisję, o którą prośbę do
cesarza napisałem. Już tego,
czego w.książę wymaga, trudno
mi znieść. Z jakichście plotek
coś sobie upatrzył do
Radoszewskiego, wymaga, abym go
podał do dymisji, abym pozbawiał
województwo tak zdolnego i
prawego urzędnika; to jest
osobista przeciw mnie szykana,
wyraźnie szuka środka pozbycia
się mnie, więc jak chce, niech
się tak stanie". Ledwo zacząłem

moje uwagi podobne do
pierwszych, gdy nagły turkot
pojazdu dał się słyszeć i
kamerdyner wpadł, otwierając
obie drzwi z słowy: "Wielki
książę". Już trudno było wyjść
bez spotkania się z wielkim
księciem. Namiestnik ledwie
zdołał prędko wymówić: "Usuń się
do garderoby i przykniź drzwi".
Ledwie zdążyłem to uczynić,
usłyszałem przez drzwi chrapliwy

głos wielkiego księcia, jakiś
stuk, ciągle mówienie z ust
tegoż księcia i namiestnika
słowa: "Que faites vous, Mon
Prince, au nom de Dieu!" (Na
Boga, książę, co pan czyni!)
itd. Na koniec usłyszałem
łagodniejszą rozmowę i szelest
rozdzieranego papieru. Gdy się
uciszyło i namiestnik zadzwonił,
wyszedłem z kryjówki, a Zajączek
rzekł do mnie: "Słyszałeś, co ze
mną wyrabiał, padał mi do nóg,
całował po kolanie; przepraszał,
wyrwał mi prośbę o dymisję,
podarł i wymusił słowo honoru,
że mu przebaczam i do dymisji
się nie podam." Jakoż potem się
porozumieli; namiestnik, żeby mu
dogodzić, przeniósł
Radoszewskiego z prezesostwa
kaliskiego na urząd radcy stanu,
dyrektora generalnego Wydziału
Przemysłu i Kunsztów, w miejsce
Staszica, mianowanego ministrem
stanu; a tak i wielkiemu księciu
dogodził, i nie pozbawił kraju
jednego z najzdolniejszych,
szczególniej w tym wydziale,
urzędników." Krótko mówiąc, poza
jednym "wykopanym do góry"
Staszicem, wszyscy byli
zadowoleni i wszystko
szczęśliwie się zakończyło.

Rok 1824 był dla
księcia_namiestnika rokiem
poruszających wydarzeń. Z
pewnością nie najbliższym z
nich było powołanie nowego

arcybiskupa warszawskiego i
prymasa Polski. Został nim
biskup chełmsko_lubelski
Wojciech Skarszewski - dawny
znajomy Zajączka, wyrwany mu
spod szubienicy w roku 1794.

Trzeci sejm Królestwa
Polskiego - który zgodnie z
konstytucją powinien był się
odbyć w roku 1822 - w wyniku
sygnałów ostrzegawczych Zajączka
i Nowosilcowa - odwleczony
został aż do roku 1825. Przed
jego zwołaniem przedsięwzięto
szereg działań, mających

zapobiec powtórzeniu się
"wybryków opozycyjnych" z roku
1820. Przede wszystkim
postanowiono wyłączyć z obrad
sejmowych wymownych naczelników
opozycji kaliskiej: braci
Niemojowskich - co nie było
rzeczą łatwą, zważywszy, że ich
mandaty poselskie wygasały
dopiero w roku 1826. Ale
poradzono sobie za pomocą
środków policyjnych.

Najpierw "załatwiono"
starszego z braci: Wincentego.
Nie obyło się przy tym bez
udziału Zajączka. "Niejaki
Radoński, obywatel z Kaliskiego
- świadczy Stanisław Barzykowski
- był w podróży i znajdował się
właśnie w Neapolu, kiedy tam
rewolucja wybuchła. Wieść
niosła, że miał w niej brać
udział. Za powrotem do kraju,
W.Książę Konstanty kazał go
wtrącić do więzienia. Wincenty
Niemojowski, oburzony żywo na
ten czyn dowolny (...)
oświadczył w pewnym towarzyskim
zebraniu, że na przyszłym sejmie
upomni się o gwałt popełniony na
obywatelu jego województwa.
W.Książę przez szpiegów, którzy
otaczali Niemojowskiego,
zawiadomiony o jego
oświadczeniu, polecił

Namiestnikowi, aby do niego napisał za groźbą, żeby nie ważył się sprawy tej w sejmie poruszać. Niemojowski odpowiedział Namiestnikowi z godnością reprezentanta, który zna i czuje swoje obowiązki i wypełnić się ich nie lęka, przy czym skreślił swój akt wiary politycznej. Konstanty wszystko to posłał co szybciej cesarzowi do Petersburga. Aleksander, już i tak przeciwko Niemojowskiemu uprzedzony i zagniewany, wziął całą rzecz żywo do serca i Ministrowi Sekretarzowi Stanu wolę swoją objawić rozkazał, aby W.Książę Konstanty, przywoławszy Niemojowskiego do Warszawy, oświadczył mu wobec

ministrów, "że obraził cesarza_króla i że mu zabrania się raz na zawsze znajdować się w stolicy podczas pobytu tam monarchy" (...) Kiedy mimo to Wincenty Niemojowski, korzystając ze swych praw posła udał się na sejm do Warszawy, policja zawróciła go od rogatek Wolskich i pod eskortą odwiozła do jego majątku w Kaliskiem."

Inny środek zastosowano wobec Bonawentury Niemojowskiego - niedoszłego prezesa trybunału kaliskiego, a późniejszego prezesa Rządu Narodowego w powstaniu listopadowym. "Ponieważ - znowu słowa Barzykowskiego - według brzmienia Konstytucji każdy członek Izby poselskiej, będący pod zarzutem kryminalnym, mógł być na rugach z Izby wykluczony, rząd posłał zapłaconego agenta, który w domu Niemojowskiego burdy robić zaczął. Niemojowski wypchnął go za drzwi, agent wytoczył mu proces kryminalny. Rząd złożył na to dowody w Senacie i Niemojowski, aż do ukończenia procesu, zawieszony

został w pełnieniu obowiązków
posła."

Ale na posunięciach
personalnych nie porzeczano "w
kierunku - jak pisze Barzykowski
- poskramiania ducha
patriotycznego (...) Wśród
zapamiętałości postanowiono dać
uczuc Polakom srogą rękę kary,
odbierając sejmowi jedną z
głównych prerogatyw mniemając,
że tym sposobem pokaże się im,
że wszystko stracić mogą, jeżeli
dalej opierać się będą przy swej
konstytucji. Postanowiono więc
odebrać jawność obrad
sejmowych." "Artykuł dodatkowy"
do konstytucji, znoszący jawność
obrad sejmowych, ustanowiony
został cesarsko_królewskim
reskryptem z dnia 13 lutego
1825. W uzasadnieniu swego
postanowienia Aleksander pisał:
"Widząc, że jawność obrad w

obydwóch Izbach zniewala mówców
ubiegać się raczej o
przemijającą popularność, niżeli
o dobro publiczne, chcąc
zaradzić złemu w samym źródle i
uprzędzić potrzebę wszelkiego
wpływu na wybory, postanowiliśmy
utrwalić dzieło nasze przez
zmodyfikowanie artykułem
dodatkowym jednego z
rozporządzeń konstytucji,
którego szkodliwość
doświadczenie nam wykazało."

"Artykuł dodatkowy" stanowił
tak brutalne pogwałcenie
konstytucji, że oburzył
wszystkich. Nawet w łonie Rady
Administracyjnej doszło przy
jego roztrząsaniu do poważnych
sporów. Ostatecznie
postanowienie
cesarsko_królewskie
kontrasygnował w imieniu rządu
polskiego, najmniej liczący się
z opinią publiczną, minister
Lubecki. "Mały książę" nie
ograniczył się do podpisu: w

liście do, rezydującego w Petersburgu, ministra sekretarza stanu, usiłował jeszcze jawność sejmku całkowicie zbagatelizować, a nawet ośmieszyć. "Bądź że tym sposobem wiązano się z dawnymi wspomnieniami, bądź że pochlebiam byłoby widzieć się nagle zrównanymi z najwięcej cywilizowanymi ludami Europy, lubiono tę jawność obrad - pisał w swym liście. - Podawała ona osobiste wzruszenia w miejsce tych, których w obcych dziennikach szukamy, nastroczała rolę do odegrania wielu ludziom nie znanym, pragnącym zaszczytów mównicy, pochlebiam sobie, iż postawią imię swoje obok sławnych imion, których wymowę tłumaczyli po większej części dosłownie (był to prawdopodobnie przytyk do braci Niemojowskich, którzy w swych mowach odwoływali się często do rzymskich klasyków - M.B.)."

Kontrasygnując "artykuł dodatkowy", Lubecki kierował się

niewątpliwie tymi samymi pobudkami, co Staszic przy podpisywaniu dekretu o cenzurze, ale swym listem petersburskim - podanym do wiadomości publicznej - przebrał miarę cierpliwości rodaków. "Takie ocenianie poświęceń patryotów - burzył się przeciw niemu Barzykowski - niegodne ministra, cóż dopiero Polaka! U nas, gdzie wszystko było niepewne, gdzie ani prawa, ani bezpieczeństwa osobistego nie szanowano, gdzie każde słowo stać się mogło powodem prześladowania, gdzie los Niemojowskich, jako posłów stał przed oczyma, czyliż wolno było pomyśleć, by reprezentanci powodowali się pychą i próżnością? Płacili oni wolnością osobistą, płacili życiem, godziłoż się porównywać

to z jakąś komedya?"

Ale ten sam Barzykowski częściowo Lubeckiego brał w obronę: "Jednak, ku zmniejszeniu jego winy dodajmy, że jeżeli z rzadką lekkomyślnością kontrasygnował artykuł dodatkowy i usprawiedliwiał tę czynność, to z drugiej strony miał na sercu, aby opinie objawione w sejmie nie były tajne nikomu. Naród, podług niego, nie potrzebował wiedzieć, co jego reprezentanci robili, o czym radzili, lecz panujący powinien wiedzieć o wszystkim (...) Domagał się przeto Lubecki, aby czynności sejmu, w pismach publicznych ograniczone do zdania sprawy z samych rezultatów i głosów przyjmujących lub odrzucających projekta rządowe, dla panującego były podawane w całej rozciągłości w oddzielnym protokóle narad, opatrzonym podpisami marszałka i ośmiu członków sejmu (z każdego województwa po jednym), aby król mógł poznać i zdania obradujących, i potrzeby kraju".

* * *

"Uładzony" trzeci sejm Królestwa Kongresowego rozpoczął urzędowanie 13 maja 1825. Podczas jego miesięcznej kadencji nie wydarzyło się nic szczególnie ważnego. "Obrady sejmowe licznem wojskiem obstawione - wspomina Barzykowski - w miejscu dla publiczności wyznaczonem liczni skoropisarze (stenografowie - M.B.) moskiewscy w mundurach zielonych, a na czele ich Hincz, radca stanu i dyrektor biur W.Ks. Konstantego, czyniły fizyonomią sejmu ponurą, tak że ostatni sejm Grodzieński

(rozbiorowy) gwałtem na myśl
przychodził."

Cesarz_krół był z sejmu
zadowolony. Dał temu wyraz w
mowie pożegnalnej, wygłoszonej
13 czerwca 1825 roku. Między
innymi powiedział:
"Reprezentanci Królestwa
Polskiego! Oddalam się od was z
żalem, ale zarazem z
zadowoleniem. Zachowuję głębokie
wrażenie z waszych obrad, które
zawsze łączyć się będzie z
upragnieniem, abym was
przekonał, jak szczerem jest
moje ku wam przywiązanie i jaki
wpływ postępowanie wasze będzie
mieć na waszą przyszłość."

Ale o ewentualności
przyłączenia do Królestwa ziem
litewskich - tym razem monarcha
już nie wspominał. Zwrócono
także uwagę na jego chorowity
wygląd, nacechowany "posępnym
smutkiem". Wtajemniczeni
szepotali, że "nawiedza go
przecucie rychłego końca".
Miało się ono sprawdzić
wcześniej, niż ktokolwiek mógł
się spodziewać. W pół roku po
pożegnaniu trzeciego sejmu
Królestwa Aleksander I już nie
żył.

Pomimo ciężkich zawodów,
doznanych od rosyjskiego
"cesarza wskrzesiciela", jego

nieoczekiwana śmierć przeraziła
wszystkich Polaków,
mieszkających między Prosną a
Bugiem. Pod datą 8 grudnia 1825
roku Julian Ursyn Niemcewicz
zapisał w swoim dzienniku: "Któż
by przejrzał, któż by się kiedy
spodziewał okropnej wiadomości,
jak piorun z nieba spadłej na
nas. Olbrzym fizycznie i
moralnie, najpotężniejszy mocarz
świata, imperator Aleksander I
żyć przestał. Wieść ta dziś w
nocy o godzinie trzeciej
nadeszła z Taganrogu nad morzem

Azofu (...) Imperator dnia 29 listopada zapadł na żółciową gorączkę, inni mówią - z przeziębienia, inni na ciężki paroksyzm doznawanej już dawniej choroby róży. Zapalenie ściskało mu gardło tak, że przez trzy dni aż do śmierci mówić nie mógł (...) O próżności i próżności świata! przerażający potęgą swoją mocarzy, w 49 roku życia, w nędznym Azji miasteczku zgasł raptownie dnia 1 grudnia. Cios wywracający wszystkie panujących układy, cios może śmiertelny dla nas, bo zawziętość przeciwko nam i narodu moskiewskiego, i Austrii i Prusaków, wszystko się spiknie, by i tę tak wątłą Polskę wywrócić".

IX

Jednym z ostatnich występów publicznych generała Arbuza był jego udział w pogrzebie Stanisława Staszica - w dniu 24 stycznia 1826 roku.

Staszic zmarł 20 stycznia wskutek udaru mózgu - nazywanego wówczas apopleksją. Na dzień przed śmiercią odwiedził go Kajetan Koźmian. Chory leżał obstawiony pijawkami, lecz całkowicie jeszcze przytomny. Do końca troskał się o losy dzieła, które zostawiał po sobie. "Pamiętaj strzec i opiekować się

moim Towarzystwem Hrubieszowskim - prosił po wiele razy Koźmiana - broń i zasłaniaj tę instytucję od zbytecznego mieszania się rządu, jak nadużył tych, których nad nią przełożyłem, a szczególnie nie pozwalaj ją dyskredytować obmową i plotką egoistów - twardych i nieludzkich właścicieli sąsiadów. Niech się rozwinię,

skutki jej będą znakomite,
zaklinam cię o to na miłość
ojczyzny."

Otwarty po zgonie
księdza_ministra testament
jeszcze raz potwierdził, że -
jak pisał o nim przyjaciel
literat - "zdołał więcej kochać
ludzi niżli siebie". Cały swój
pokaźny majątek - poza
indywidualnymi legatami dla
służących i wiernego stangreta
Antoniego - przeznaczył na cele
społeczne: 200 tysięcy złotych -
na szpital Dzieciątka Jezus; 200
tysięcy - na urządzenie "domu
zarobkowego" dla ubogich; 45
tysięcy - na Instytut
Głuchoniemych; 100 tysięcy - na
"utrzymanie przy klinice
wydziału lekarskiego w
Uniwersytecie
Warszawsko_Królewskim kilku
chorych na pomieszenie władz
umysłowych, czyli pospolicie
zwanym wariatów". Całą
posiadaną ziemię - a miał jej
niemało - oddał umiłowanemu
Towarzystwu Hrubieszowskiemu.

Wobec samego siebie pozostał
jak zawsze oszczędny aż do
przesady. "Pogrzeb mój ma być
skromny - pisał w testamencie -
nie różniący się od pogrzebu
chrześcijanina ubogiego, gdyż
przystępując przed oblicze Boga,
wszyscy stajemy się takimi. Przy
trumnie nie ma się więcej palić
jak sześć świec. Światło ognia
świec jest zupełnie niepotrzebne
dla umarłego, trawi tylko marnie
rzeczy, które mogą być użyteczne
ludności. Natomiast w dzień
pogrzebu ma być rozdane 10

tysięcy złotych na ludzi
ubogich."

Jeszcze przed pogrzebem
odnotowano groteskowy incydent,
będący jak gdyby przedłużeniem
maskaradowych dziwactw Staszica,
praktykowanych przez niego za

życia. Przyjaciele księdza_antyklerykała - zgodnie zapewne z jego ostatnią wolą - złożyli go do trumny w ubiorze świeckim: w owym wytartym fraczku urzędniczym, w którym występował za życia przy rozmaitych oficjalnych okazjach. Ale hierarchia kościelna, biernie znosząca antyklerykalne wybryki Staszica żywego, upomniała się o niego po śmierci. Sam prymas Królestwa, arcybiskup Wojciech Skarszewski, posłał dwóch krzepkich, energicznych kleryków z poleceniem, aby przebrali zmarłego w sutannę i założyli mu ornat żałobny. "Klerycy nie znali Staszica i nie wiedzieli, w której części pałacu sapieżyńskiego jest jego mieszkanie. Przypadek zrządził, że trafili do innego pomieszczenia, w którym również znajdowały się zwłoki, zresztą człowieka żonatego i ojca rodziny. Gorliwi klerycy wypełnili swoje zadanie pomimo oporu krewnych nieboszczyka. Później dopiero spostrzegli omyłkę i poszli z kolei do Staszica. Fakt przebrania Staszica w ornat zaniepokoił namiestnika Zajączka, który obawiał się, by wystawienie ciała w tym stroju nie wywołało niezadowolenia i jakichś manifestacji. Kazał tedy pośpiesznie zabić trumnę i przenieść ją do gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk". *

Wszystkie dane, dotyczące śmierci i pogrzebu Staszica, czerpię z cennej pracy Barbary Szackiej "Stanisław Staszic. Portret mieszczanina".

Niepokój księcia_namiestnika

był o tyle uzasadniony, że wszystko, co dotyczyło Staszica, znajdowało się już wtedy w kręgu

najżywszych zainteresowań opinii publicznej i najmniejsze uchybienie jego pamięci (a za nie poczytaliby niektórzy przebranie go siłą w strój duchowny" mogło pchnąć zapalną młodzież do najbardziej nieodpowiedzialnych wystąpień.

Gwałtowny wzrost popularności Staszica pod sam koniec jego życia był jednym z fenomenów trudnych lat, w jakich wypadło bytować Polakom, mieszkającym między Prosną a Bugiem. W okresie swych największych powodzeń i potęgi - jako dyrektor generalny Przemysłu i Kunsztów, najbliższy współpracownik księcia_namiestnika w "dźwiganiu gospodarczym kraju" oraz wpływowy członek Rządowej Komisji Oświecenia Publicznego - Staszic nie był postacią szczególnie popularną. Młodzież ziewała nad jego wierszowanymi poematami dydaktycznymi i wyśmiewała jego przebieranki teatralne; patrioci zarzucali mu zbyt daleko posunięty lojalizm wobec obcych panów, obrońcy wolności słowa nie mogli mu darować jego podpisu na dekreście o cenzurze; w Radzie Stanu i w sejmie krytykowano jego politykę gospodarczą, oskarżając go o przesadny centralizm, fasadowość bądź wręcz o marnotrawstwo w wydatkowaniu funduszy publicznych.

Zmieniło się wszystko, gdy stało się wiadome, że Staszic "wypadł z łaski"; gdy po odejściu Potockiego utracił swe wpływy w Rządowej Komisji Oświecenia Publicznego; gdy "wykopano go" honorowo z Rządowej Komisji Spraw Wewnętrznych, obdarzając na pociechę nic nie znaczącym tytułem ministra bez teki; gdy odebrano mu na rzecz Lubeckiego

najbardziej umiłowany dorobek
życia: zarząd krajowego
górnictwa; gdy poczęli mu deptać
po piętach tajni agenci
rozmaitych policji; gdy rozeszły
się pogłoski, że wielki ksiązę
Konstanty, po przeczytaniu
nielegalnie wydanego "Rodu
Ludzkiego", wpadł w taką
wściekłość, że dzieło Staszica
własnoręcznie podarł i spalił w
ogniu belwederskiego kominka.
Wystarczyło tych kilka wyraźnych
znak niełaski ze strony
znienawidzonych obcych panów,
aby sądy opinii publicznej o
Staszicu uległy raptownemu
odwróceniu. Puszczono mu w
niepamięć lojalistyczne wyskoki,
jego utopijne zaślepienie wobec
cesarza Aleksandra, jego błędy w
zarządzaniu gospodarką krajową,
jego dziwactwa i śmieszności.
Przypominano natomiast jego
chwalebą działalność w okresie
Sejmu Czteroletniego, sławiono
jego demokratyczne poglądy i
ofiarnie oddanie sprawom
ojczyzny. Od nowa wczytywano się
w jego dzieła i odkrywano
tkwiące w nich wartości narodowe
i ogólnoludzkie. Dobyte z jego
pism zdanie o "tych, co błyszczą
wśród praw czołami z miedzi"
stało się obok Niemcewiczowskich
"wolontariuszy podłości" jednym
z najczęściej cytowanych określeń
politycznych chwili. W miarę
upływu czasu od zepchniętego w
cień księdza_ministra było coraz
mocniejsze światło.

W społeczeństwie kongresowej
Polski - rozczarowanym
zakneblowaniem ust legalnej
opozycji sejmowej, zgnębionym
aresztowaniami przywódców
niepodległościowego podziemia,
odzieranym z pieniędzy przez
ministra Lubeckiego - narastał
wewnętrzny opór. Zwłaszcza
młodzież marzyła o wielkich
zasadniczych zmianach i na gwałt
poszukiwała nowych proroków i
przewodników duchowych. Na
jednego z nich upatrzyła sobie

autora słów: "Paść może naród wielki, zniszczyć... tylko nikczemny". Nieomylna intuicja młodych patriotów odkryła to, co stanowiło najistotniejszą prawdę życia Staszica: że we wszystkim, co czynił - łącznie z popełnianymi błędami - kierował się najczystsza miłością ojczyzny i względami na dobro powszechnie.

Pogrzeb autora "Rodu ludzkiego" stał się olbrzymią, burzliwą manifestacją patriotyczną. W zamierzeniu władz miał być oficjalną uroczystością państwową. Nie bacząc na testamentowe prośby Staszica o pochówek jak najskromniejszy, namiestnik i podległy mu rząd - w chęci wykorzystania dla siebie autorytetu zmarłego - postanowili uczcić go pogrzebem okazałym i bogatym. Był więc biskup na czele konduktu, był uroczysty karawan zaprzężony w sześć koni, były karety najwyższych dygnitarzy Królestwa: księcia namiestnika królewskiego i prezesa senatu Stanisława Zamoyskiego, dawnego ucznia zmarłego; były ordery niesione na aksamitnych poduszkach i tłumy ludzi rozstawione wzdłuż trasy pogrzebu. Ale młodzież pokrzyżowała szyki organizatorom uroczystości żałobnych. Akademicy nie pozwolili złożyć trumny na karawanie (nawet ostatniej podróży nie dane było Staszicowi odbyć w sześć koni), lecz ponieśli ją na własnych barkach (zmieniając się co pół godziny), aż do wybranego przez Staszica odległego miejsca wiecznego spoczynku przy kościele Kamedułów na Bielanach. "Nie pozwolili nikomu innemu dotknąć się trumny - skarżył się jeden z uczestników pogrzebu - nie dopuścili rzemieślników i

kupców, którzy również ubiegali się o ten zaszczyt (autor "Rodu ludzkiego", wróg wszelkich

"wyłącznie", z pewnością by tego postępowania akademików nie pochwalił - M.B.)."

Niektóre z przemówień ogłoszonych nad grobem zaniepokoiły ludzi starszego pokolenia. Dla Kajetana Koźmiana i innych "klasyków warszawskich" były one tak samo dziwaczne i niezrozumiałe, jak przemycane do kraju z zagranicy poezje Adama Mickiewicza. Ale młodzież rozumiała je doskonale i przyjmowała z entuzjazmem. Po przemówieniach, gdy miano już opuszczać trumnę do grobu, młodych wielbicieli Staszica ogarnął prawdziwy szal.

"Akademyści rzucili się na trumnę i rozerwali na kawałki całun, antaby i blachy, traktując te szczątki niczym najcenniejsze relikwie. Kawałki kiru zachował sobie i Fryderyk Chopin, który brał udział w żałobnej uroczystości."

Rozszarpajmy drogie szczątki, @
rozszarpajmy w drobne sztuki, @
za święte takie pamiątki @
błogosławić będą wnuki. @
Rozszarpajmy w drobne sztuki, @
niech każdy nitką się dzieli, @
błogosławić będą wnuki. @

Ten, przypominający Mickiewiczowskie "Dziady", wiersz studenta Józefa Supińskiego nie był jedynym wierszem napisanym w związku z pogrzebem Staszica. Dni po pogrzebie stały się widownią istnego turnieju rymów gazetowych i ulotnych, sławiących zasługi i charakter zmarłego. Kiedy Franciszek Salezy Dmochowski, stateczny redaktor Biblioteki Narodowej,

próbował ten wólkam
okolicznościowej poezji
poskromić i ośmieszyć -
napadnięto go na ulicy i
dotkliwie pobito laskami,
dokładając rymowaną pogrózkę:

Dmochowski, poddmuchany przez
podmuchy wieszczce, dostał kijem
po grzbiecie i dostanie
jeszcze.

Z wielogłosowego lamentu
żałobnego najtrafniej określał
Staszica wiersz młodego poety,
Nepomucena Leszczyńskiego:

Wszystkim dla szczęścia
Polski, dla siebie był niczym
(...) w prostocie zawsze
wielki, a w wielkości skromny,
tak żył jako ta skała
niezgięty, niezłomny...

Dla generała Arbuza cały ten
nagły wybuch powszechnej miłości
do Staszica musiał być nie lada
zaskoczeniem. Kto wie, może
właśnie wtedy, na pogrzebie
odtraconego współpracownika i
przyjaciela, zapatrzonemu w
swoją karierę wielmoży z Pałacu
Namiestnikowskiego zdarzyło się
po raz pierwszy, iż nawiedziła
go myśl niespokojna, że ubogą
dryndulką, zaprzężoną "w szkapy,
którymi nawet ksiądz proboszcz
by pogardził" można zajechać
znacznie dalej niż sześciokonna
książęca karocą. W każdym razie
pogrzeb Staszica musiał
księcia namiestnika skłonić do
jakichś zasadniczych refleksji,
gdyż w tydzień po nim - 31
stycznia 1826 roku - przystąpił
do dyktowania testamentu.

Zima roku 1825_#1826 była chyba
najtrudniejszym okresem w całym
życiu generała Arbuza. Śmierć
cesarza_króla Aleksandra zbiła
go całkowicie z nóg. W wyniku

sekretnego zrzeczenia się przez
Konstantego praw do tronu,
Królestwo - podobnie jak całe
cesarstwo - znalazło się w
stanie niezwykle denerwującego
bezkrólewia. Dla namiestnika
królewskiego nastąpił czas
dręczącej niepewności i
niepokoję. Przede wszystkim o
własny stołek, Julian Ursyn
Niemcewicz pod datą 9 grudnia

1825 roku odnotował w swoim
dzienniku:

"Dnia wczorajszego jeździł
namiestnik do Belwederu, lecz
nieprzyjęty; nie o kraj,
niepokojny o siebie, zmartwiony
niezmiernie. Dał mu rozkaz
Nowosilcow, by wszystko szło,
jak gdyby panujący żył jeszcze.
Dziś rano znów namiestnik
pojechał do Belwederu i już tam
od godziny siedzi. Jesteśmy jak
wąta nawa, która straciwszy
kotwicę, porwana z portu,
sprzecznymi miotana wicherami."

Niepokój Zajączka o włsną
skórę zakończył się w ostatnich
dniach roku 1825, kiedy nadszedł
z Petersburga reskrypt nowego
cesarza_króla Mikołaja I
stanowiący, iż "generał piechoty
Xiążę Jmć Józef Zajączek w
piastowaniu godności swej
Namiestnika Królewskiego
potwierdzonym zostaje".

Dnia 2 stycznia 1826 roku rząd
Królestwa złożył przysięgę na
wierność nowemu władcy.

Nazajutrz książę_namiestnik
wydał pierwszy dekret swej nowej
kadencji, nakazujący wszystkim
podległym władzom - na znak
żałoby po Aleksandrze -
posługiwać się w czynnościach
urzędowych wyłącznie czarnym
lakiem. Jak na Zajączka był to
krok nader samodzielny, gdyż
wprzedzał oficjalne ogłoszenie
obchodów żałobnych. Tyle że brak
odpowiedniej ilości czarnego

laku doprowadził do przejściowych zatorów w działalności administracji państwowej.

Tymczasem w całym kraju między Prosną a Bugiem szerzyły się paniczne nastroje. Wprawdzie nowy cesarz-król zapewniał polskich poddanych, że nie odstąpi w niczym od polityki zmarłego brata, ale z Petersburga nadchodziły coraz okropniejsze wieści o karach wymierzanych uczestnikom grudniowego buntu oficerów i

literatów, a jednocześnie coraz częściej dawało się słyszeć o powiązaniach rosyjskich "dekabrystów" z polskim Towarzystwem Patriotycznym. Wkrótce po uśmierzeniu buntu petersburskiego wybuchła sprawa księcia Antoniego Jabłonowskiego. Ten młody i lekkomyślny członek władz Towarzystwa Patriotycznego rzeczywiście uczestniczył w próbach nawiązania stosunków z powstańcami rosyjskimi. Po aresztowaniu załamał się w śledztwie i wydał wszystko, co wiedział, powodując swymi zeznaniami całą lawinę dalszych aresztowań. Policja nachodziła nocą najczcigodniejsze domy obywatelskie, przeprowadzała rewizje i wyrwanych ze snu ludzi uwoziła do więzień. Wszystkim kierował Nowosilcow, ale miał w tym swój udział także książę-namiestnik.

"Przebóg, co za gwałty w chwili, gdy panujący dobrowolnie uprzęda czas, przyrzeka i zaprzysięga rękojmię bezpieczeństwa i swobód naszych - biadał w swoim dzienniku NIemcewicz. - Jak haniebnie w tych gwałtach przez nas samych obsłużony. Wczoraj bowiem, 10 lutego, przypadł Nowosilcow do

Zajączka namiestnika, z gotowym już do podpisania listem do wszystkich władz krajowych, aby te wszędzie jemu lub przysłanym od niego dawały pomoc w chwytności i przytrzymywaniu tych wszystkich, których mu podoba się uwięzić. Nie powinienże był pierwszy po królu urzędnik zastanowić NOWosilcowa, że nie ma i on mocy czynić podobnego gwałtu prawom i przez niego, i przez monarchę świeżo zaprzysiężonym? Bynajmniej, wziął pióro i z uniżonością podpisał."

Pełnomocnictwo, udzielone przez Zajączka NOWosilcowowi, ugodziło rykoszetem także w

Pałac Namiestnikowski. W końcu lutego 1826 roku, w rezultacie denuncjacji Jabłonowskiego, aresztowany został "oficjalny faworyt wicekrólowej", referendarz stanu Wojciech Grzymała. Łatwo sobie wyobrazić, jaką burzę z tego powodu musiała zgotować mężowi zraniona w samo serce madame Aleksandrine.

Chcąc odwrócić myśli od coraz cięższej atmosfery politycznej i napiętej sytuacji domowej, książę_namiestnik nadal odbywał swoje wojaże inspekcyjne, ale - ze względu na porę roku i coraz słabsze zdrowie - już tylko w granicach Warszawy. Z miejsc wówczas przez niego odwiedzanych, na uwagę zasługuje założona w roku 1820 Wojskowa Szkoła Aplikacyjna, kształcąca oficerów artylerii, inżynierii i kwatermistrzostwa. Wizyta w Szkole Aplikacyjnej o tyle działała na wyobraźnię, że ówczesny dyrektor tej uczelni był, tak samo jak Zajączek, inwalidą napoleońskim i tak samo jak on postradał był nogę w kampanii 1812 roku. Elewowie Szkoły Aplikacyjnej musieli mieć

nie lada uciechę, kiedy w czasie
raportu powitalnego stanęli
naprzeciw siebie dwaj beznodzy
inwalidzi, wspierający się na
kulach. Możliwe, że w związku z
tym powstał nawet rymowany utwór
satyryczny. Młodzi ludzie nie
mogli przecież wiedzieć, że na
ich oczach spotykały się z sobą
dwie Polksi: Polska zniewolona i
znikczemniała oraz Polska
niepodległa i bohaterska.
Dyrektorem Wojskowej Szkoły
Aplikacyjnej był bowiem major
Józef Sowiński - przyszły generał
i legendarny obrońca Woli w
powstaniu listopadowym.

Wiosną 1826 roku generał
zapadł ciężko na zdrowiu.
"Namiestnik aż do ostatniego
roku swego życia zawsze czynny,
zawsze gorliwy o materialny byt
kraju, fizycznie wyraźnie

słabnął - wspomina Kajetan
Kozmian. - Twarz jego przybrała
blady kolor śmiertelności, na
posiedzeniach publicznych często
drzemał i zasypiał, równie jak i
w poufalszym towarzystwie;
miewał jednak aż do ostatniej
choroby ocknienia umysłowe żywe
i czerstwe. Śmierć dopiero
cesarza Aleksandra jak gromem go
uderzyła i zupełnie go złamała.
Odkryty spisek Jabłonowskiego,
objawione i przewidywane
następstwa gryzły go i z siłą
fizycznych wyzuwały. A lubo
panujący dziś monarcha nie tylko
go na dostojęństwie jego
potwierdził, lecz to
potwierdzenie
najpochlebniejszymi
oświadczeniami uprzyjemnił,
Zajaczek gasnąc powoli ledwie
kikku miesiącami przeżył swego i
narodu polskiego dobroczyńcę.
Humor jego się zmienił,
cierpienia fizyczne się
zwiększyły, na koniec z wiosną
zapadł. Lekarze warszawscy

bliski zgon przepowiadali.
Odwiedzałem go jeszcze
siedzącego na krześle w
ogrodzie, naprzeciw słońca;
używał powietrza; już rozmawiał
z obojętnością jako
przeczuwający bliski zgon,
nareszcie przeniósł się na
łóżko. Namiestnikowa sprowadziła
Jędrzeja Śniadeckiego z Wilna; i
tego rady i lekarstwa nie
skutkowały, przepowiedział kres
nie odstępując go do zgonu."

Chorobę Zajączka opiekujący
się nim lekarze i współcześni mu
kronikarze określili jako
"puchlinę w piersiach". Dziś
określono by ją pewnie jako
obrzęk płuc - ciężkie
schorzenie, wywołane wadliwym
krążeniem krwi. W wypadku
Zajączka powodów do takiej
choroby było aż nadto: podeszły
wiek, brak ruchu wynikający z
inwalidztwa, skłonność do ciężko
strawnego jadła i nadużywanie
wina.

Skarykaturowany, lecz dokładny
obraz choroby
księcia namiestnika przedstawił
Julian Ursyn Niemcewicz w swej
arcyzłośliwej bajce,
kolportowanej przez niego
osobiście po salonach
warszawskich w ostatnich dniach
życia "ćwierćkróla bez nogi".
Oto tekst tej bajki z
nieznacznymi tylko skrótami:

Śmierć Xięcia Zajączka *

Za udostępnienie mi pełnego
tekstu bajki NIemcewiczowskiej,
znanej dotąd czytelnikom jedynie
w drobnych fragmentach - składam
serdeczne dzięki dwóm
literaturoznawcom z Uniwersytetu
Łódzkiego: dr Ryszardowi
Wierzbowskiemu oraz dr
Wiesławowi Puszwowi.

Coś źle koło mnie, mówi Xiążę

chory@ do stojącego służalca,@
wszystko mnie boli od głowy do
palca,@ a te przeklęte doktory,@
choć dają krople Enemy i
proszki,@ nie polepszają ni
troszki.@ Używałem wprawdzie
świata,@ lecz jakież to moje
lata?@ Osiemdziesiąty rok człeku@
to najlepsza pora wieku,@ cóż że
paraliż nagabać zaczyna?@ I że
już w piersiach puchlina?@ Że w
oddychaniu ciężkości (...)@ od
czegoś ich lekarstwa i
umiejętności?@ W żadnej chorobie
nie ma śmierci bez przyczyny;@ a
jeśli kto umiera, to z doktorów
winy.@ Cóż tak straszego w tej
mojej chorobie?@ Jeszcze lat
trzydzieści mogę pożyć sobie.@
Tu ciężki kaszel głos Xięcia
przerywa,@ a stary sługa tak się
doń odzywa: (...)@ Tak jest mój
Xiążę - i wielki i mały,@ co
żyje tylko na tym świecie
całym,@ nic nie jest trwałym,@
wszystko wywraca czas w locie
swym rączy,@ wszystko się
kończy.@ Wieszże, co czynić? -
Pomnij żeś grzesznikiem,@
chciej pomówić z spowiednikiem
(...)@ Dajcie mi pokój! -

krzyknął stary Xiążę,@ nic mnie
nie zobowiąże,@ bym się miał
kiedy spowiadać,@ co ja Popu
będę gadać?@ Wszak wiecie, że
był przez żywot swój cały@ to
tym, to owym jak czasy kazały;@
W młodości mej konfederat,@
republikanin, Desperat,@
służyłem Branickiemu i
Kołłatajowi,@ później duszem
zaprzedał Napoleonowi.@ Dziś gdy
panuje "ein ander",@ wrzeszczę
łotr Napoleon, wiwat Alexander!@
Żadnej plamy na mnie nie ma,@
zawszem miał jedno systema,@
ciągle na dwóch łapach stawać,@
przed tym, co rządzi i co ma
rozdawać;@ na jego rozkaz dla
mnie bagatela,@ powiesić
dobroczyńcę lub ściać

przyjaciela. @ Przez nią mitra
okryta ma późna siwizna. @ I cóż
mi dała ta szelma Ojczyzna? @
Opatówek, starostwo, godność
wyniesiona, @ wszystko od Cara
lub Napoleona. @ Byle ich łaski
odbierać z pokorą, @ resztę
niechaj diabli biorą. @ Tu ktoś
zawołał: ja tego nie tuszę, @
lecz jeśli diabli wezmą Xięcia
duszę, @ nie dobrze będzie -
wszak to nie zaszkodzi, @ że się
nasz Xiażę z Kościołem pogodzi, @
i wypowiada? - wsparty do
połowy @ zawołał chory - nie
durzcie mi głowy! @ Mocnego
jeszcze czuję w sobie ducha, @
niech mi do wista wołają
Pępucha, @ i kilku jeszcze
gałganów, @ Faworytów
Kasztelanów @ z nimi niech
przyjdzie i Kalwin mój tłusty, @
a teraz niech mi dadzą zrazów i
kapusty. @ Ah xiażę! sługa
odpowie, @ chiej baczyć na własne
zdrowie, @ ah! jakże możesz w tak
okropnych razach @ myśleć o
zrazach, @ ksiądz Prosper stoi w
alkirzu!! (...) @ Milcz, krzyknął
chory, niech mi tego Popa @ wśród
progów moich nie postanie
stopa, @ niech go wypchną!
(...) @ Gdy się tak unosi, @
wchodzi sługa i donosi: @ Że
Wielki Xiażę przysłał doń

Kurutę @ z rozkazem by ostatnią
wypełnił pokutę. @ Tu krzyknął
chory (...) czy go diabeł
nadał, @ ale się spostrzegł - i
schyliwszy głowy; @
nieposłuszeństwem Pana nie
obrażę, @ gdy Wielki Xiażę
koniecznie tak każe @ no (...) to
się będę spowiadał. @

Tym razem "dyszkantowy
chichot" Niemcewicza atakował
tak brutalnie i wszechstronnie,
że nie mógł pozostać bez
odpowiedzi; udzielił jej
(wprawdzie dopiero po latach),

wierny do końca Zajączkowi,
Kajetan Koźmian.

"Niemcewicz, który władał
opinią patriotyczną, nieubłagany
w swojej nienawiści do
namiestnika - wspominał
nieostygły jeszcze z obrazy
autor "Pamiętników" - niegodnym
ani swego serca, ani swego
umysłu sposobem, podczas
trwającej choroby starca, jakby
chciał rozjątrzyć rozdrażnioną
opinię - napisał bajkę czy
powieść w najzjadliwszym
satyrycznym duchu, wyśmiewając i
wyszydzając jego nawyknięcia,
nałogi i to pasowanie się starca
między miłością życia, miejsca
swego i ulubionego kalwina a
obawą przyszłości, i w komicznej
scenie wystawił jego rozmowę z
biskupem sandomierskim ks.
Prosperem, spowiednikiem,
którego z mnichowskiej celi na
biskupstwo wyniósł. Umieścił w
niej ten zjadliwy wiersz: "Co mi
ta szelma ojczyzna dała,
wszystko mam od Napoleona".
Przesada w epitecie, której się
Zajączek mimo swoich żalów do
kraju, nigdy nie dopuścił, a
którą ten złośliwy poeta dla
oburzenia patriotów narzucił i
po domach czytając,
rozśmieszając, politowanie nawet
konającemu odejmował. Nie wiem,
kto pochwali tę niegodną
Niemcewicza, tę niezasłużoną
przez Zajączka zemstę.

Szlachetne serca przy grobach
swoich nieprzyjaciół zwykły
składać i zapominać nienawiści.
Nie pokazał jej tu Niemcewicz,
jakkolwiek ją w powody
patriotycznej za ojczyzną pomsty
ubrał. Zgrzeszył i jak człowiek
prawy, i jak chrześcijanin.
Naigrywać się z ziębnących zwłok
swojego dawnego przyjaciela,
walecznego wodza, zasłużonego
męża, chociażby w polityce

popęłnił jakie błędy, chociaż
nie był wolny od wad,
nieoddzielnych od
natury człowieka, żadne prawidła
moralności nie upoważniały,
zwłaszcza w chwili, w której już
miał stanąć przed sądem
Boga (...) Niemcewicz zarzucał
Zajączkowi, że się wzbraniał
spowiedzi, a sam ważniejszym
prawidłem religii naszej
ubliżył."

Nie wdając się w rozsądzanie
racji Niemcewicza i Koźmiana,
trzeba przyznać, że "Śmierć
Namiestnika" jest cennym
przyczynkiem do biografii
generała Arbuza. Pomimo
żartobliwej formy satyra
Niemcewicza dokładniej wprowadza
w chorobę Zajączka, niż czynią
to jego oficjalni biografowie,
poczynając od Kajetana Koźmiana,
a kończąc na Jadwidze Nadziei.
Od Niemcewicza dowiedzieć się
można - o czym milczą
biografowie - że Zajączek, poza
"Puchliną w piersiach", cierpiał
jeszcze na częściowy paraliż.
Niemcewicz sobie tego nie
wymyślił. Potwierdzenie jego
informacji dochowało się w
korespondencji wiarygodnego
świadka tamtych lat,
generała poety Franciszka
Morawskiego. Latem 1826 roku
Morawski pisał do generała
Wincentego Krasińskiego: "Biedny
nam(iestnik) stracił w paraliżu
pół głowy, pół serca". NIestety,
na liście MORawskiego nie ma
dokładnej daty, nie wiadomo
więc, czy paraliż chorobę

Zajączka rozpoczął, a później
ustąpił (ówczesna medycyna
znała już takie wypadki), czy
też ją zakończył.

Druga cenna informacja,
zawarta w satyrze Niemcewicza,
to owa historia przedśmiertnej
walki o zbawienie duszy

namiestnika. To również nie bajka: potwierdza ją w ogólnym zarysie jeden z najpoważniejszych pamiętnikarzy ówczesnych: profesor ekonomii politycznej na Uniwersytecie Warszawskim, Fryderyk hrabia Skarbek. Oczywiście, że w utworze Niemcewicza rzecz uległa satyrycznemu skrzywieniu i zaostreniu. W relacji Skarbka nie ma mowy o rozkazie Konstantego odbycia spowiedzi, przysłanym przez generała Kurutę; występuje w niej natomiast żona wielkiego księcia, znana z pobożności Joanna Grudzińska, księżna Łowicka. Z jej to ponoć natchnienia sprowadzony został do Warszawy biskup sandomierski Prosper Burzyński, aby dysponować na śmierć" Starego druha z wyprawy egipskiej. Podobno początkowo księżna_namiestnikowa nie chciała dopuścić spowiednika do męża, obawiając się pewnie, aby zwiastun zbliżającego się końca nie spowodował u chorego załamania duchowego. Na tym tle doszło nawet do ostrej wymiany zdań między dwiema księżnymi. W końcu jednak spowiedź się odbyła. Jaki był jej przebieg, można się tylko domyślać. Nie sądzę, aby był taki, jaki sugeruje Niemcewicz. Jedno jest pewne: przedśmiertne otwarcie się przed starym przyjacielem musiało być dla generała Arbuza przeżyciem wstrząsającym. Przypuszczam, że właśnie w związku z tą spowiedzią, a może nawet bezpośrednio po niej - doszło na tarasie Pałacu Namiestników do głęboko

poruszającej sceny, znanej z zapisu naczelnego szpiega Warszawy Henryka Mackrotta. W trzy dni po śmierci namiestnika

w raporcie z 31 lipca 1826 roku
- wśród różnych
konfidenckonalnych wiadomości,
uzyskanych od służby pałacowej -
Mackrott przekazał wielkiemu
księciu, co następuje:

"Opowiadają, że nieboszczyk
książę Zajacek, dowiedziawszy
się, że już nie wyzdrowieje,
kazał się zanieść na taras od
strony Wisły i zwróciwszy oczy
ku przedmieściu Praga, płakał
tak bardzo, że lękano się
konwulsji. Potem powiedział:
"Teraz ulżyło mi trochę na
sercu, bom odpłakał to, co mi
tak bardzo ciążyło.""

W jednej z rozmów z Koźmianem
Zajacek uskarżał się na swego
kamerdynera, że go śledzi i
podsłuchuje, aby donosić policji
o każdym jego kroku. Nie mógł
przewidzieć, że w ostatecznym
rozrachunku ów lokaj_konfident
przysłuży mu się lepiej niż
wszyscy zauszniccy i przyjaciele
razem wzięci. Przyczyni się
bowiem pośrednio do powstania
najbardziej uczłowieczającego
dokumentu jego biografii.

Chciałoby się wiedzieć, co
było przyczyną wielkiego,
przedśmiertnego płaczu generała
Arbuza. Czy spoglądając na
Pragę, gdzie przed z górą
trzydziestu laty rozpoczął się
jego konflikt z ojczyzną, kajał
się za swe niewłaściwie przeżyte
życie? Czy też przeciwnie:
płakał, bo żał mu było się z tym
życiem rozstawać i porzucać to
wszystko, co wysłużył był sobie
ślepy posłuszeństwem u różnych
obcych panów? Mackrott takimi
pytaniami głowy sobie nie
zawracał: jego rzeczą było
donosić o faktach, interpretację
ich pozostawiał innym.

W tych dniach choroby
wspaniała Pałac Namiestnikowski
na Krakowskim Przedmieściu był

jednym z najsmutniejszych miejsc w Warszawie. Płakał nie tylko namiestnik. Popłakiwała także - ale z umiarem, aby nie szkodzić urodzie - rozdarła między umierającym mężem a uwięzionym kochankiem, księżna_namiestnikowa. Ale żywotna madame Alexandrine nie poddawała się obezwładniającej rozpacz. Właśnie w tym smutnym okresie najpełniej ujawniała swoją energię i twardość charakteru, dowodząc jednocześnie, że naprawdę potrafi "czuć i kochać jak piętnastoletnia panienka".

O opiece, jaką zakochana "wicekrólowa" otaczała uwięzionego "faworyta" dowiedzieć się można z pamiętników współwięźnia Wojciecha (Alberta) Grzymały, pułkownika Ignacego Prądzyńskiego, późniejszego sławnego generała armii powstańczej. "Ze wszystkich uwięzionych najobszerniejszą korespondencję z miastem miał Grzymała - wspomina Prądzyński. - Pocieszny też on był pod niektórymi względami, a przede wszystkim w stosunkach z płcią niewieścią, w których nie potrafiła sprawić mu roztargnienia sprawa, grożąca mu tak wielkim niebezpieczeństwem. I owszem, więcej może od niej, zajmowały go ciągle kobiety. Pierwsza dla niego w rządzie była, pomimo jej wieku podeszłego, księżna Zajączkowa, z którą od wielu już lat żył w najściślejszych stosunkach. Była ona do późnej starości przyjemną i bardzo dowcipną. Wystawiam sobie, że wiele musiała mieć podobieństwa do sławnej Ninon de L. Enclos. Ale Grzymałę przywiązywały do niej podobno i cokolwiek rachuby. Zajączkowa nie ustała (...) najwierniejszej dotrzymywać przyjaźni Grzymale pomimo licznych niewierności, których się względem niej

dopuszczał. W czasie jego uwięzienia u Karmelitów dawała mu tego dowody, mogące ją mocno skompromitować, a które tym większą były dla niego ofiarą, że wcale nie była patriotką, lecz jedynie kobietą światową. Co tydzień przysyłała dla pana Alberta potężny kosz, napełniony wybornymi wiktuałami. Nie żałowała i pieniędzy; w ciągłej byli korespondencji. Ważne oddawała mu usługi w samej sprawie, już to przez wiadomości, jakie przysyłała, a które przez swoje położenie z pierwszej ręki mieć mogła, już znowu przez wpływ, jaki (...) na umysł sędziów wywarła."

Ten dziwny stosunek miłosny między żoną szefa państwa a więzionym "zbrodniarzem stanu" nie mógł ujść uwagi policji. Wydaje się jednak, że pokąd żył namiestnik, starano się nie dawać tej sprawie rozgłosu. Dopiero w miesiąc po jego śmierci, w raporcie z dnia 1 września 1826 roku, Henryk Mackrott donosił Wielkiemu Księciu Konstantemu: "Wśród papierów skonfiskowanych w mieszkaniu referendarza Grzymały przez Komitet Śledczy znaleziono dużą paczkę listów miłosnych, pisanych do niego przez namiestnikową Zajaczek. W wielu listach czyni ona referendarzowi wyrzuty z powodu tego, że przenosi nad nią aktorkę Kurpińską".

W drugiej połowie lipca stan zdrowia księcia_namiestnika uległ gwałtownemu pogorszeniu. Może to właśnie wtedy doszło do owego paraliżu "połowy głowy i serca" - o którym pisał Franciszek Morawski. W każdym razie po mieście rozeszły się pogłoski, że generał Zajaczek umiera. Warszawa nie zmartwiła się zbyt wiele tą wiadomością. Niemcewicz, chichocząc po

swojemu, zabawiał towarzystwo
"Śmiercią Namiestnika". Ulica

warszawska demonstrowała swe
uczucia w sposób jeszcze
bardziej brutalny.

"Rankiem 19 lipca - pisze w
swych "Tajemnicach Warszawy"
Karolina Beylin - księżna
(Zajączkowa) stojąc w oknie
pałacu, wychodzącym na
dziedziniec od Krakowskiego
Przedmieścia, usłyszała głośne
hałasy i śmiechy. Donośny
grzechot przeszył powietrze.
Zadzwoiła na Mateusza (Mateusz
Kulczyński był kamerdynerem w
Pałacu Namiestnikowskim i
głównym konfidentem Mackrotta -
M.B.) i kazała mu zobaczyć, co
się tam dzieje. Lokaj wybiegł na
ulicę. Stał zdumiony. Śrokiem
ulicy pędziły dwa psy z
olbrzymimi, napełnionymi
grochem, pęcherzami,
przywiązanymi do ogonów. Za nimi
biegli mali ulicznicy
warszawscy, strasząc je gwizdem
i krzykiem. Psy ubrane w żałobną
krepę pędziły w stronę kościoła
Świętego Krzyża. Na chodnikach
stali ludzie i pękając ze
śmiechu, patrzyli na przemian to
na zwierzęta, to w stronę Pałacu
Namiestnikowskiego. Mateusz
dowiedział się, że psy są
własnością przekupki
sprzedającej owoce naprzeciwko
pałacu i że to wszystko
urządzono na złość księciu
Zajączkowi."

* * *

Po kilku dniach ciężkiego
bolesnego konania - nad ranem 26
lipca 1826 roku -
książę namiestnik Królestwa
Kongresowego, generał Józef
Zajączek herbu Świnka zakończył
swe burzliwe życie doczesne.
Towarzyszyli mu do ostatniej

chwili dwaj mężczyźni
przedstawiciele rodziny: "Józef
Radoszewski, mąż Gabrieli
Zajączkówny i Jan Łubieński, mąż
Pelagii Zajączkówny * (oba -
przewidziani na spadkobierców w

sporządzonym po pogrzebie
Staszica testamentem, wszelako
pod warunkiem, że nie porzucą
nigdy swych żon; trzeba
generałowi Arbuzowi przyznać, że
stryjem był naprawdę
troskliwym). Prócz nich
świadkami ostatniego tchnienia
Zajączka byli dwaj jego
przyjaciele i towarzysze: szef
gabinetu, generał brygady
Franciszek Ksawery Kossecki, i
stały partner od wiska,
senator wojewoda Feliks Józef
Czarnecki - z powodu małego
wzrostu, tuszy i obżarstwa,
nazywany powszechnie Pępuchem.
Niejako z urzędu asystowali przy
zgonie lekarz i spowiednik:
sławny profesor medycyny z Wilna
Jędrzej Śniadecki oraz biskup
sandomierski Prosper Burzyński.

Jana Łubieńskiego, męża
Pelagii Zajączkówny - młodszej
córką Ignacego Zajączka - nie
należy mylić ze współczesnym mu,
Janem hrabią Łubieńskim,
członkiem potężnego klanu
hrabiów Pomian Łubieńskich.

"Nowa klęska dotknęła naszą
ojczyznę - pisano następnego
dnia w "Gazecie Warszawskiej" -
rozstał się z tym światem Mąż,
którego imię chlubnie w dziejach
świata zapisane było szacownym
skarbem dla Polaków i najdroższą
ich sławy spuścizną. Józef z
Wrzący Xiążę Zaiączek,
Namiestnik Królewski, na dniu
wczorajszym żyć przestał.
Drętwieie ręką kreśląc to smutne
zdarzenie, boleść przeraża
serce, a łza żalu i wdzięczności
skrapia drogie imię Męża, który
dla dobra ludzkości nie powinien

był jeszcze porzucać tej ziemi.
Lecz inne były Przedwiecznego
wyroki; ani powszechne błagania
Polaków, ani pieczołowitość
tkliwej małżonki i domowników,
ani najusilniejsze starania
lekarzy nie zdołały zachować
istnienia szanownego Męża."

I dalej:

"To tak piękne życie

oddychające miłością oycyzny,
ożywiające się widokiem
wzrastającej pomyślności, srogo
dotknięte zostało już przy swym
schyłku przez zgon
Nayukochańskiego Monarchy.
Przerażający ten wypadek zadał
mu cios trudny do opisania; iego
fizyczne i moralne siły doznały
widocznego wzruszenia i zdawało
się, że oycyzna cała wyobrażała
przez niego swą boleść (...)
Cios ten stawił Zajączka nad
grobem; lecz wstrzymała go
jeszcze Opatrzność, ażeby
zobaczył odradzające się cnoty
Alexandra w yego Dostynym
Następcy, ażeby uyrzał spełnione
nadzieie Polaków, ażeby
spokojnie umierał."

Artykuł w "Gazecie
Warszawskiej" kończył się
żałosnym lamentem: "Już go
nie masz (...) Płaczcie Polacy
Męża, który był waszym
zaszczytem, płaczcie najlepszego
Obywatela!"

Inne zgoła nastroje
przebijały z pisanych w tych
dniach raportów szpiega
wielkiego księcia Konstantego,
Henryka Mackrotta:

"Warszawa, d. 30 lipca 1826
roku

(...) Oficerowie VIII Pułku
Zbyszewski i Rostkowski,
pełniący wartę przy trumnie
namiestnika Zajączka, nie
zachowywali powagi, rozmawiali i
śmieli się bezczelnie (...)
Oficer Zbyszewski popychał ludzi

zbliżających się do trumny i
mówił do warty przy drzwiach:
"Walcie kolbami to bydło, a od
czego macie karabiny?"

Zwłoki Zajączka - zanim
wystawiono je na pokaz publiczny
w największej sali pałacu
Namiestników - uległy
zabalsamowaniu. Zabalsamowano je
znakomicie. Świadczą o tym do
dziś starzy mieszkańcy Opatówka,
którzy w swoich latach szkolnych
mieli szczęście podziwiać
generała Arbuza na własne oczy,

kiedy spoczywał w otwartej
jeszcze trumnie w podziemiach
miejscowego kościoła św. Anny i
"wyglądał jak żywy, tylko brodę
miał dłuższą niż na portretach."

Uroczystości pogrzebowe
rozpoczęły się 1 sierpnia 1826
roku. Przedtem doszło do
niezwykle interesującej
kontrowersji na temat
ewentualnych mów nad trumną.
Opisuje tę historię dokładnie i
zadziwiająco szczerze Kajetan
Koźmian:

"Podczas przygotowań do
pogrzebu - wspomina pan radca
stanu - generał Kossecki
przyszedł do mnie z wezwaniem i
prośbą od samej księżny, abym
przemówił na jego (Namiestnika)
pogrzebie. Znalazłem się w
trudnym położeniu z przyczyny
głośno wybuchłej przeciw niemu i
nienawistnej mu opinii
powszechnej. Odpowiedziałem
Kosseckiemu, "iż na pogrzebie
namiestnika powinien by mówić
minister lub senator (ja jeszcze
nim nie byłem), a i to wojskowy;
a jeżeliby tylko przyjaciel ma
mówić, ty jesteś bliższy do tego
i wszelkie względy i obowiązki
są za tobą. A przy tym mówmy
otwarcie: jeżeli księżna żąda
tej ofiary ode mnie, abym się
naraził opinii, powiem i nie
zapnę się ani przyjaźni, ani

wdzięczności. Ale ani ja, ani ty, ani kto bądź nie zdołamy tak powiedzieć wobec wielkiego księcia i uprzedzonego gminu, żebyśmy okrażając drażliwe okoliczności nie ściągnęli na siebie z jednej strony nieukontentowania, z drugiej nienawiści i potępienia; bo kto wie, czy publiczność nie przyjąłaby nas z sykaniem lub świstaniem? A tak, chcąc mu oddać ostatnią posługę, czy nie narazilibyśmy zwłok i pamięć jego na ubliżenie?" - Kossecki uznał te moje uwagi za słuszne i wrócił do namiestnikowej."

I nieco dalej:

"Wrócił do mnie nazajutrz Kossecki i oświadczył mi, że równie namiestnikowa, jak Radoszewski uznali moje uwagi za słuszne, że mnie uwalniają i życzą sobie, aby nikt nie mówił. Tymczasem wieść o zgonie namiestnika dobiegła do Końskich i do wiadomości jego szczerego i stałego przyjaciela Stanisława Małachowskiego, generała i kasztelana, * który zwykle czy w Opatówku, czy w Warszawie wieczory z nim dzielił. Ten natychmiast w pierwszym żalu napisał sobie mowę, a raczej apologię namiestnika i z nią przybiegł do Warszawy. Pierwszego mnie odwiedził z zapytaniem, kto będzie mówił na pogrzebie namiestnika? Odpowiedziałem: "Żądano ode mnie tej posługi, lecz ja nie jestem senatorem; podobno nikt". - "Otóż ja powiem, napisałem sobie mowę, bądź cierpliwy, przeczytam ci". Wysłuchawszy arkuszonej gorącej mowy i przewidując, na co siebie i namiestnika zmarłego wystawia, powtórzyłem mu moje uwagi i obawy, dla których się wymówiłem. "Ja na to wszystko nie uważam - odrzekł - śmielszy

jestem jak ty i ujrzysz swoje obawy próżnymi" i wybiegł do Ogrodu Saskiego na przechadzkę. Zastał ogród napełniony prawie całą Warszawą; na wszystkich ulicach nie rozmawiano - tylko o wypadku śmierci namiestnika. Zbliżył się więc do jednej (grupy), złożonej z kilkunastu osób, ważniejszych, znajomych i nieznajomych sobie, cywilnych i wojskowych, i tam rozmawiano o przyszłym obrzędzie i przygotowaniach do niego cywilnych i wojskowych. I gdy Małachowski właśnie miał chęć oświadczyć swoją gotowość do mówienia, jeden z tej grupy odezwał się: "Ciekawy jestem, czy też się znajdzie jaki z gałganów senatorów, kasztelanów, co by śmiał mówić na jego

pogrzebie?" (Słowa te prawie wyjął z satyry NIemcewicz). Na to Małachowski zbladł, odskoczył od zgromadzenia i szybkim krokiem przybiegłszy do mnie, zadyszany rzucił laskę i kapelusz na stół i wyrzekłszy: "Niech cię licho weźmie, jaki ty masz takt", opowiedział potem swoje wydarzenie, schował mowę i prosił o sekret."

Generał kasztelan Stanisław Aleksander Nałęcz Małachowski (1770_#1849) był bratankiem Stanisława Nałęcza Małachowskiego, marszałka Sejmu Wielkiego.

Takt - dzisiaj powiedziano by raczej: węch - miał Koźmian rzeczywiście wyborny. Ale sumienie musiało go gryźć, bo to, czego nie odważył się wygłosić nad trumną przyjaciela, będzie się starał nadrobić później - w "Pamiętnikach". Obronę Zajączka oprze jak zwykle na swej ulubionej antynomii: Zajączek - NIemcewicz.

"Niemcewicz zawsze będzie miał

za sobą ubolewanie, Zajączek przeciw sobie zazdrość i nienawiść. Uleganie jego, acz z położenia nieuniknione i konieczne, nazywano służalstwem i podłością. Narażenia się niepożyteczne Niemcewicza brano za heroizm, a sarkazmy rzucane przez niego na ludzi innego z nim w czym bądź przekonania i zdania przyjmowano za wyrocznię. Odległa dopiero i bardzo odległa potomność między tymi dwoma antagonistami z historycznych faktów wyda bezstronny wyrok. Obecna generacja zawsze będzie skłonniejszą potępić Zajączka niż cokolwiek zaprzeczyć Niemcewiczowi; chętnie wierzy, że Zajączek był służalcem, niż że Niemcewicz przy patriotycznych cnotach był mściwym i aż do grobu złośliwym."

Od napisania przez Koźmiana powyższych słów minęło bez mała półtora wieku, lecz szala wagi

wyroków "odległej i bardzo odległej potomności" ciągle jeszcze ani rusz nie chce się przechylić na stronę generała Arbuza.

Ale ta historia nie wygłoszonych mów nad trumną jest czymś więcej niż cennym przyczynkiem do biografii Zajączka i Koźmiana. Epizod ten ujawnia kształtowanie się w nękanym przez antykonstytucyjne gwałty, kongresowym państewku polskim nowej siły politycznej, budzącej lęk w kasztelanach i radcach stanu: patriotycznej opinii publicznej. Siła ta będzie rosła i krzepłać w miarę narastania gwałtów władzy i na koniec sprawi, że rewolta 150 młokosów ze Szkoły Podchorążych i garstki równie młodych dziennikarzy rozwinie się w powstanie narodu.

Oficjalna propaganda uczyniła

wszystko, aby pokryć prawdziwe
nastroje, towarzyszące odejściu
znenawidzonego "ćwierćkróla bez
nogi". Gazety prześcigały się w
drobiazgowych opisach
uroczystości pogrzebowych. Dla
przykładu - relacja z "Kuriera
Warszawskiego":

nr 181 z d. 1 sierpnia (wtorek)
"Przez cały dzień onegdajszy i
wczorajszy mnóstwo osób
wszelkiego stanu i wieku
odwiedzało czcigodne zwłoki ś.p.
Jo. Xięcia Namiestnika
nabalsamowane i złożone na
wspaniałym katafalku w iednei z
sal Pałacu Namiestników. Od rana
do południa przy trzech
ołtarzach w teiże sali
odprawiały się Msze Św., a przez
cały czas kapłani śpiewali
żałobne psalmy. Straż honorowa
wojskowa (między innymi znani
już oficerowie VIII pułku:
Zbyszewski i Rostkowski - M.B.),
tudzież urzędnicy ciągle
otaczali katafalk. Ciało ś.p.
Xięcia złożone będzie w iego
dziedzicznej maitności
Opatówku pod Kaliszem w grobie,

który nieboszczyk od dawna obrał
na wieczny spoczynek. Jutro w
kościelie Ś. Krzyża odbędzie się
wielkie żałobne nabożeństwo."

Nr 182 d. 3 sierpnia (czwartek)
"Za duszę ś.p. J.O. Józefa
Xięcia Zaiączka, Namiestnika
Królewskiego, wczoraj w kościelie
Ś. Krzyża odbyło się wielkie
żałobne nabożeństwo. Wspaniały
katafalk urządził Budowniczy W.
Koracy (Corazzi - M.B.). Trumnę
otaczało 8 korynckich kolumn
połączonych u wierzchu
chorągwiemi (...) Na przodzie
znaydowało się popiersie
nieboszczyka (...) Na gradusach
złożono znaki (jego)
dostoiństwa. W kościelie
iaśniało 1800 świec iarzących
(oburzyłyby się Staszic na takie

marnotrawstwo - M.B.). Celebrował
Jw. Arcybiskup Prymas (ciekawe,
czy choć na chwilę nawiedziło
arcypasterza Królestwa
wspomnienie opresji roku 1794?
- M.B.). W czasie Mszy Wielkiej
wykonane zostało z zupełną
dokładnością słwne "Rekwiem"
Mozarta przez półtorasta
Artystów i Amatorów pod dyrekcyą
Kapelmistrza KUrpińskiego (mały
był "wielki świat" ówczesnej
Warszawy: dyrygent Karol
Kurpiński to przecie mąż
aktorki Kurpińskiej, o którą tak
zazdrosna była
księżna namiestnikowa - M.B.).
Nastąpiło kazanie miane przez
Jw. Jx Prażmowskiego Biskupa
Płockiego: wzorowy mówca oddał
należną cześć zasługom zmarłego.
Zakończył Kondukt ("Castrum
Doloris") odbyty przez Jw
Prymasa tudzież Jjww Biskupów,
Krakowskiego Woronicza,
Płockiego Prażmowskiego,
Sandomierskiego Burzyńskiego."
Nr 183 d. 4 sierpnia (piątek)
"Przeprowadzenie zwłok ś.p.
Jo Xięcia Zaiączka, Namiestnika
Królewskiego, odbyło się z
wspaniałością odpowiadającą
dostojności iakimi był
zaszczycony od N. Monarchów.

J.C.W.Wielki Xiążę Cesarzewicz
towarzyszył przy trumnie przez
cały czas obrzędu. Orszak
pogrzebowy przechodził ulicami:
Krakowskim Przedmieściem,
Wierzbową, Elektoralną, Chłodną,
aż do Woli, gdzie woisko złożone
z gwardyi konnych i pieszych obu
narodów, tudzież pułków
liniowych Królewsko_Polskich i
artyleryi, oddały ostatnie honory
należne zmarłemu. Wszystkie
dostojne osoby obecne w stolicy,
Senatorowie, Urzędnicy władz
wszelkich należeli do orszaku
pogrzebowego. Zwłokom
nieboszczyka towarzyszy aż do

Opatówka oddział Strzelców
Konnych (gwardyi); odwozi ie Jw
Radca Stanu Radoszewski i tamże
udał się dla złożenia ich na
wieczny spoczynek Jw Burzyński
Biskup Sandomierski, niegdyś
Missyonarz w Egipcie, w owym
czasie gdy zmarły Xiążę iako
woiownik znaidował się w tym
odległym Kraiu."

"Pokryta karmazynową materyią"
trumna księcia_namiestnika
wędrowała z Warszawy do Opatówka
przez cztery dni z okładem.
Witały ją ustawione w szpalerach
tłumy, delegacje władz, weterani
i kadeci. W większych miastach
na trasie pogrzebu, towarzyszący
trumnie biskupi celebrowali
żałobne nabożeństwa. Dnia 5
sierpnia 1826 roku dostojne
złoki spoczęły wreszcie w
krypcie kościoła św. Anny w
Opatówku. Jedynie niepoprawni
kpiarze, dla których nigdy nie
ma nic świętego, usiłowali
zakłócić uroczysty nastrój
pogrzebu. Ledwie zwłoki znalazły
się w krypcie grobowej,
puszczono w obieg wierszyk
ulotny "Nagrobek Zajączka":

Tu spoczywa lis i zając,@
który był tronu bliskim i
niskim.@ Spał za życia w
Warszawie,@ * po śmierci w
Kaliskim.@

Aluzja do "drzymek"
księcia_namiestnika na
posiedzeniach Rady
Administracyjnej w ostatnich
latach jego urzędowania.

W sumie jednak ostatnia droga
z Warszawy do Opatówka była
najwspanialszą ze wszystkich
podróży krajowych
księcia_namiestnika. Gorzej było
z tym, co Zajączek zostawił po
sobie w Warszawie. Mam na myśli
jego wnątrznosci, wydobyte

podczas balsamowania zwłok,
Zazwyczaj o tych rzeczach się
nie mówi, ale w wypadku Zajączka
przemilczeć ich nie sposób.
Umieszczone w specjalnych
naczyniach wnętrzości
księcia_namiestnika pochowano w
filarze katakumb cmentarza
Powązkowskiego, zamykając otwór
grobowy płytą kamienną, na
której wyżłobiono jedynie wielką
literę Z. Ta pólanonimowość
wynikała zapewne z tych samych
powodów, z jakich Koźmian
wzbraniał się przemawiać na
pogrzebie Zajączka. Ale
tajemnicy nie udało się
zachować: ludzie się
dowiedzieli, co kryje w sobie
filar katakumb powązkowskich i
cała złość na znienawidzonego
namiestnika wyładowała się na
jego wnętrzościach. Odtąd
każdej nocy miejsce pod tablicą
z literą Z było przez nieznanych
sprawców profanowane i
zanieczyszczane. Z czasem rzecz
stała się tak głośna, że
pilnowaniem wnętrzości Zajączka
musiała się zająć tajna policja.
W tym samym czasie inni tajni
policjanci krążyli wokoło
kościółka Kamedułów na Bielanach,
aby przeszkadzać patriotycznym
pielgrzymkom do grobu Staszica.

Niespełna w rok po śmierci
generała Arbuza zamknął się
ostatecznie jeden z ubocznych,
lecz ważnych wątków jego
biografii. Dnia 12 czerwca 1827
roku zmarł prymas Królestwa
Polskiego, arcybiskup

Warszawski, Wojciech
Skarszewski. Śmierć jego
nastąpiła w okresie wielkiego
napięcia, poprzedzającego Sad
Sejmowy, który miał zawyrokować
w sprawie "zbrodniarzy stanu" z
Towarzystwa Patriotycznego.
Prymas, jako najstarszy z
senatorów, był z tym

wydarzeniem osobiście związany.
Oto co o tym pisze najbardziej
miarodajny świadek: Tadeusz
Bieczyński - sekretarz
prezydialny Sądu Sejmowego:

"Arcybiskupem warszawskim był
podówczas Skarszewski, który w
roku 1794 miał być za wyrokiem,
przez lud powieszony (...)
Skarszewski, będąc członkiem
senatu, miał także zasiadać w
powołanym Sądzie Sejmowym i na
niego tak wielki książę, jako i
Nowosilcow wiele bardzo liczyli,
znając słabość jego charakteru,
uległość i przywiązanie do rządu
rosyjskiego. Lecz na dni
kilkanaście przed terminem
wyznaczonym do zwołania i
ukonstytuowania Sądu Sejmowego,
zachorował mocno i trzy dni
przed tymże terminem życie
zakończył. Wyprowadzenie jego
ciała było w czasie
popołudniowym, w sam dzień
ukonstytuowania Sądu Sejmowego,
w którym to Sądzie wyroki
najwyższej Opatrzności nie
dozwoliły mu wziąć udziału.
Publiczność warszawska uważała
wydarzenie to za wymierzoną karę
Bożą, a dla więźniów za
najlepszą wróżbę ich losów. Na
eksportacji Skarszewskiego,
oprócz biskupów oraz senatorów
województwa Czarneckiego (Pępucha
- M.B.) i Franciszka
Grabowskiego, nie był żaden
więcej z członków senatu. Przy
ulicy Podwale, obok mieszkania
pałacu arcybiskupiego znajdowała
się znaczna liczba publiczności,
lecz za trumną nikt nie
postępował, oprócz osób z
konsystorza i z urzędu
asystujących oraz członków

familii i służby. Zdarzyło się
przy tym, że któryś z
lekkomyślników warszawskich tak
dalece swą śmiałość i odwagę
posunął, iż w tym czasie, gdy

trumna na karawan stawiana była,
opasał ją grubym konopnym
postronkiem, co miało być aluzją
do przygody w 1794 r."

Sprawca tego uczynku wywodził
się nieątpliwie z kręgu tych
samyh "lekkomyślników
warszawskich", którzy w dniach
konania księcia_namiestnika
urządzali pod jego oknami
wyścigi psów odzianych w żałobę,
a po jego śmierci znieważali
jego szczątki pochowane na
cmentarzu Powązkowskim. Ich psie
figle i demonstracje
pogrzebowo_cmentarne -
jakkolwiek prymitywne i
niesmaczne były niektóre z nich -
niosły już w sobie zapowiedź
historycznej NOcy listopadowej
splamionej krwią gnerałów. MIAł
szczęście generał Arbuz, że tej
nocy narodowego gniewu nie dożył.

Warszawa, 1984_#1986